

VICKI I GRAHAM MASTERTON

SMIAK RAJU

TYTUŁ ORYGINAŁU A TASTE OF HEAVEN

PRZEKŁAD MAGDALENA GOŁACZYŃSKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Naturalnie na statku nie brakowało przystojnych młodych mężczyzn, zwłaszcza wśród

młodszych oficerów pokładowych. Jednak już w czasie pierwszego wieczoru z dala od Nowego

Jorku Esther zdecydowała, że tylko wysoki Francuz siedzący przy stoliku nr 243 miał to

wspaniałe, niebezpieczne wejrzenie, które przyprawiało ją o prawdziwe dreszcze.

Mimo nienagannego wieczorowego stroju wyglądał jak ktoś, kto poznał życie, nie raz stając

na jego krawędzi — jakiś przemytnik broni, może eks-legionista.

W swoim pamiętniku oprawnym w krokodylą skórę zapisała otwarcie:

Przeraza mnie!!! Ma ten rodzaj uśmiechu, który powoduje, że kobieta czuje się naga!!!

Do tej pory uśmiechnął się do niej dwukrotnie. Za każdym razem, rzecz jasna, odwróciła się

oziębłe. Jednak również za każdym razem poczuła niewidoczne, lekkie drżenie. Bow Frazier, jej

serdeczna przyjaciółka, powiedziała kiedyś, że Francuzi doskonale wiedzą, co zrobić, aby

podniecić kobietę. Święta prawda! Święta prawda!

Teraz jednak, tego drugiego wieczora, Esther czuła wzrastające zniecierpliwienie. Nie

przestawała obserwować go, natomiast on nie odwracał się, by uchwycić jej spojrzenie.

Próbowała też przymykać powieki oraz trzepotać nimi. Gdyby przypadkiem odwrócił głowę,

miała wyglądać namiętnie i pociągająco.

— Co z tobą, Esther, zasypiasz? — zapytała ją matka.

— Oczywiście, że nie. — Esther zarumieniła się.

— Więc dlaczego tak ciągle mrużysz powieki?

— Mamo—o—o — zaprotestowała Esther — to jest przecież omdlewające europejskie spojrzenie. Wiesz, półprzymknięte powieki, jak Marlina Dietrich. Na miłość

boską, jesteśmy już

właściwie w Europie, mogę więc ćwiczyć sobie takie spojrzenie.

— Coś podobnego! — obruszyła się matka. — Prawie przez całe moje życie mieszkałam w

Europie, a nigdy nie widziałam ani jednej osoby mrużącej oczy w ten sposób. W Szanghaju,

owszem, ale tam nic nie mogą na to poradzić. — Matka ogarnęła swoim krótkowzrocznym

spojrzeniem salę restauracyjną. — Mrużysz oczy z powodu jakiegoś chłopca?"

Gdy chodziło o dobór „chłopców”, matka Esther stawała się tak wybredna, jakby co najmniej

kupowała ryby dla Colony Restaurant. Wszyscy, którzy nie byli znakomicie urodzeni, spotykali się z tak druzgocącą krytyką, że rzadko kiedy mieli jeszcze odwagę zaprosić Esther na drugą randkę. Matka Esther wyszła za mąż dla majątku. Esther, jak to już zostało postanowione, miała za sprawą małżeństwa wejść w wyższe sfery — wydać się, załóżmy, za jakiegoś angielskiego barona czy niższego niemieckiego księcia, no, mógłby to być nawet francuski diuk. Znalezienie Esther odpowiedniego męża to był ich główny — choć o tym się oczywiście nie mówiło — cel podróży do Europy. Oficjalnie natomiast wybierały się do Paryża, aby zamówić suknie i kapelusze na sezon letni. Esther była właściwie nieformalnie zaręczona z Rodneyem Hamiltonem II, mężczyzną całkiem przystojnym (typ Roberta Taylora — brwi w kształcie litery V), którego krewni byli nieprzyzwoicie bogaci (Hamilton Oil). Ale Hamiltonowie wciąż jeszcze trzymali spluwaczki w sali bilardowej, na szczęście pod stołem. Natomiast ich jacht niewiele miał wspólnego z rozsądnie pojmovanym wyczuciem dobrego smaku. Chociaż Esther uwielbiała towarzystwo Rodneya, bo świetnie grał w brydża i znał wszystkie najnowsze tańce, matka nawet nie chciała go widzieć u siebie na herbacie. Odkąd matka Esther sięgała pamięcią, maniery zawsze uważano za rzecz najważniejszą. Teraz zaś, kiedy oficerowie gwardii żenią się z aktorkami, a księżniczki wychodzą za swoich szoferów, odpowiednie wychowanie to naprawdę rzadkość. — Wiesz co, Esther, w dzisiejszych czasach sezon letni nie ma żadnej klasy. Klasa? Cóż te prasowe „osobistości” albo ci sprzedawcy mydła wiedzą o klasie? Przed wojną nie znalazłabyś w Newport miejsca na rozbiecie parawanu kąpielowego; Na plaży siedzieli ramię przy ramieniu sami królowie i książęta. Matka teraz znów wyrzucała z siebie potoki słów jak serie wystrzałów z karabinu maszynowego — to była ta jej dopracowana dykcja rodem z Opery Warszawskiej. Przy akompaniamencie monotonnych dźwięków Esther mogła wreszcie spokojnie skupić całą swoją uwagę na wysokim Francuzie. Jakież to był czarujący widok — wysoka, szczupła sylwetka, lśniące, czarne włosy zaczesane gładko do góry oraz ostro zarysowany profil! Jego oczy — ciemne i żywe — stwarzały wrażenie, że ma tak wiele do powiedzenia. Spojrzała na kobiety przy jego stoliku, które wniebowzięte wpatrywały się w niego oczami wielkimi jak spodki, podczas gdy on, pełen

wyrafinowanej
elegancji, śmiał się to ciszej, to głośniejsze, z wdziękiem gestykulując rękami.
Oddałyby wszystko,
aby móc usłyszeć, co też im opowiadał.
Jak śmiesz tak mnie ignorować, ty arogancki, zarozumiały, przystojny cochoń*,
pomyślała
sobie. Całował mnie sam Alfred Vanderbilt (nie była to znów aż taka
przyjemność), a mój ojciec
jest właścicielem połowy dróg kolejowych w Nowej Anglii, że o Domach Towarowych
Fleckera
już nie wspomnę.
Próbowała znów przymykać powieki. Matka nie przestawała paplać. Czy Esther jest
w stanie
pojąć, jak bardzo ona tęskni za tymi cudownymi, wspaniałymi czasami, gdy
przystojni strażnicy
w doskonale skrojonych mundurach pilnowali, aby motłoch nie dostał się na Bailey
Beach; kiedy
to Vanderbiltowie wydawali wieczorne przyjęcia, które mogłyby śmiało równać się
z ucztami w
starożytnym Rzymie: Marmurowa Sala, moja droga! Wszystko ze złota, jedwabiu i
albo
perskiego marmuru! Och, i te beztrioskie przedpołudnia, gdy ona i pani Oliverowa
Hazard Perry
Belmont to wynurzały się, to zanurzały w obecności trzech służących, które były
tam tylko po
to, aby je osuszyć, gdyby znów przyszła im ochota wyskoczyć z wody. Nie
wspominając już o
męskiej służbie — wszyscy w podwiniętych drelichowych spodniach, trzymając w
górce zielone
parasolki, które miały osłonić śnieżnobiałą cerę dziewcząt przed promieniami
słońca.
— Nieszczęśnicy! Myśmy chichotały, a im surowo zakazano się śmiać!
— Cóż za nieszczęśnicy — przytaknęła Esther z roztargnieniem.
Przez cały ten czas po drugiej stronie sali restauracyjnej Normandii wysoki
Francuz
rozmawiał, śmiał się i przechylał lekko w tył na swoim błękitnym, złoconym
krześle. Był
wyjątkowo smukły i uroczy, z tym nieskazitelnym kołnierzem i równie
nieskazitelnymi
mankietami. Miał duże, kształtne uszy oraz opalone, silne dłonie pokryte
ciemnymi, skręconymi
włoskami. Roześmiał się, a wtedy ona, siedząca sześć stolików dalej, śliczna, z
twarzą skąpaną w
jasnym świetle odbijającym się na szklanych ścianach, roześmiała się także,
prawie nie zdając
sobie sprawy, że to robi.
Wysoki Francuz odwrócił głowę. Musiał dosłyszeć śmiech, który wybijał się ponad
głosami
gości jedzących kolację w tej wytwornej sali. W brzmieniu swojego głosu
zachowała bowiem coś

z operowego kontraltu matki. Francuz uchwycił jej spojrzenie. Rozpoznanie nastąpiło w okamgnieniu — jakby ktoś roztrzaskał małą, grubą szybkę. Szpiegujesz mnie, n'est-ce pas*?

Odplacę ci więc tym samym i dla odmiany będę szpiegował ciebie. I Esther momentalnie poczuła się naga, jakby jej wieczorowa, ciemnoniebieska suknia bez ramiączek rozplynęła się we mgle, a popielata, jedwabna halka i także pończochy zniknęły bez śladu. Natychmiast odwróciła twarz, na co matka zapytała:

— Co? Co się stało? — Obrzuciła salę surowym, pełnym niezadowolenia spojrzeniem, zdolnym niemal zmieść ze stołów szkło i porcelanę. Esther wiedziała jednak, że on, ten czarujący on, wciąż jeszcze patrzył na nią, ona zaś nie chciała podnieść głowy. Nie, nie teraz, gdy udało jej się przyciągnąć jego uwagę. Spojrzeć na niego teraz byłoby zdecydowanie zbyt rażącą zachętą. „Okrażaj ich powoli, kochana”, radziła

Bow.

Pani Flecker położyła swoją dłoń w białej rękawiczce na obciążonym także białą rękawiczką nadgarstku córki.

— Nie masz przypadkiem choroby morskiej?

— Absolutnie nie, mam. Na litość boską, przestań się martwić. Nie mogłabym czuć się lepiej.

Matka zmarszczyła brwi.

— Twoja twarz wygląda żółtawo. W takim stanie zupełnie przypominasz swojego ojca. Nie znałam w życiu nikogo, kto tik strasznie chorowałby na morzu jak on. Zwracał wszystko, co agadł, cokolwiek by to było.

— Na litość boską, mam!

— Ostrygi, cielęca wątróbka, ser camembert, cały posiłek: od zupy do orzeszków. Mniam, mniam, mniam, con brio*, potem mniam, mniam, mniam allargando*, następnie: bach! Tutta la forza*.

— Mam!!!

— Nie wiem, po co kucharze zadawali sobie trud, aby gotować dla niego, a kelnerzy, żeby mu podawać. Nie wiem, dlaczego w ogóle zadawał sobie trud, żeby jeść! Syzyfowa praca!

Esther spojrzała w dół na swoje na wpół zjedzone filets de boeuf perigourdine, raz jeszcze na matkę, po czym odłożyła widelec.

— Nie jesteś głodna? — zapytała zaskoczona matka. — Jeśli chcesz wyjść za mąż, musisz jeść! Rodney potrzebuje kobiety, a nie kija od szczotki!

— Prawdę powiedziawszy, mam — odparła ostro Esther — to myślę, że mam już dosyć.
Zabawne, jak opowiadanie o chorobie morskiej ojca może odebrać mi apetyt, nawet jeśli ty zmienisz je w partyturę muzyczną.
Matka Esther przechyliła się i postukała widelcem w talerz córki.
— Toż to cień wołowiny! — zawołała. — Jak można się tym najeść? Kiedy śpiewałam w Wiedniu, kazali mi jeść nadziewaną kapustę, sznycel i ciastka truskawkowe, i to wszystko na śniadanie! Twój głos, Mario, powtarzali, żeby twój głos wypełnił salę, musisz najpierw napęlić swój żołądek!
Niespodziewanie matka Esther położyła sobie dłoń na brzuchu i zaśpiewała L'alba separe delia luce l'ombra! Wykonała przy tym nadzwyczajny tryl, który sprawił, że kieliszki do wina firmy Lalique zadźwięczały nieprzyjemnie, a goście przy sąsiednich stolikach poderwali się na nogi, klaszcząc i uderzając trzonkami noży w świeżo wyprasowane obrusy.
— Brawo! Brawo!
Esther przewróciła oczami i z rezygnacją zakryła twarz dłonią.
— Mam, dałaś mi słowo honoru, że nie będziesz tęga robić.
Matka siedziała znów na krześle. Unosiła do góry rękę, ukazując tym sposobem dokładnie wydepilowaną, choć nieco lśniąca pachę. Gestem takim oraz królewskim uśmiechem nagradzała tych spośród jej towarzyszy podróży, którzy od razu rozpoznali w niej Marię Wygryzwalską, wspomniała Divę Divinsky, Polskiego Skowronka, kobietę, dla której słynny dietetyk sir John Boyd Orr „z radością” postanowił nauczyć się jeść polskie kluski. Nie musiał zadawać sobie trudu — matka Esther byłaby całkiem szczęśliwa, mogąc spałaszować i jego porcję.
— Widzisz, uwielbiam mnie — rzekła córce, ponownie kiwając ręką w stronę zachwyconej publiczności.
Wciąż jeszcze była piękna, zawsze taka będzie. Miała klasyczną słowiańską twarz o krótkim, prostym nosie, wystających kościach policzkowych i piwnych, lekko skośnych oczach. Kiedy rozczesała swoje popielatoblond włosy, nadal sięgały jej do pasa. Minęły już jednak czasy, gdy układała je w wymyślne sploty? la Fricka z Wagnerowskiego Pierścienia.
Owszem, była piękna, nie ulegało jednak wątpliwości, że należała do tych kobiet, które na łamach „Ladies' Home Journal” dyskretnie określano mianem „dobrze zadbanych”.
Całe lata pracy wymagającej iście herkulesowego oddechu, a także zamiłowanie do gotowanych ziemniaków, czekolady i wódki zmieniły ją w kobietę słusznych rozmiarów. Tak się

złożyło, że
jej rola Astrafiamante, Królowej Nocy w Czarodziejskim flecie, który grano w
nowojorskiej
Metropolitan Opera w 1914 roku, zrobiła ogromne wrażenie na amerykańskim „królu
kolei”
Thomasie Fleckerze. Jeszcze tego samego wieczora zaprosił ją na kolację,
nazajutrz podarował
brylant Schencka, a w tydzień później poślubił.
Z tego też powodu zawsze było ją stać na ubieranie się u najdroższych (i
najbardziej
schlebiających) krawców. Tego wieczora na przykład miała na sobie kreację
projektu Pauline
Trigere za pięćset dolarów, z kremowego jedwabiu o szerokich, miękko opadających
klapach,
dzięki którym jej biust wydawał się raczej dorodny niż monstrualny, zaś związane
luźno w pasie
plisy ukrywały fałdy tłuszczu na brzuchu.
W przeciwieństwie do matki Esther była ciemniejsza — ciemnooka i ciemnowłosa,
choć
letnie słońce zawsze wydobywało jasny odcień z jej włosów. Była też wyższa,
miała proste,
trójkątne plecy i wąskie biodra. Jedyne, co wyraźnie odziedziczyła po matce, to
kanciasta twarz i
wytworny, bujny biust. Natomiast takie przyjemności wieku młodzieńczego jak
jazda na nartach,
jazda konna czy pływanie jachtem dodały jej figurze i ruchom zwinności.
Esther wyglądała dzisiaj wyjątkowo ślicznie i wiedziała o tym. Na włosach
uczesanych a la
Joan Crawford miała błękitną, jedwabną opaskę z przypiętym kwiatem gardenii.
Niebieska
wieczorowa suknia z jedwabiu przylegała miękko do jej ciała. Z biżuterii miała
na sobie jedynie
(p>za, oczywiście, pierścieniem zaręczynowym) brylantowo — szafirowe kolczyki i
taki sam
długi wisiorek kołyszący się jej na głębokim dekolcie.
Nie przestając rozglądać się po sali w poszukiwaniu tego, co mogło przykuć uwagę
córci,
matka Esther oświadczyła:
— W twoim wieku znałam już ośmiu książąt i dwóch diuków.
— Powinnaś więc była wyjść za jednego z nich.
— Nie mów głupstw! Wszyscy byli biedakami. Nie możesz zbudować dynastii,
opierając się
tylko na nie spleconych długach hazardowych i wspomnieniach o luksusie. Poza tym
twój ojciec
starał się o mnie z taką determinacją i z pomocą tak wielu brylantów, że nie
mogłam powiedzieć
„nie”.
— Rodney też jest pełen determinacji. I także daje mi brylanty, no... szafiry.
Matka Esther zrobiła zniecierpliwioną minę i powiedziała:
— Tak, tak, Rodney to dobry chłopak. Jestem tego pewna. — Przetarła usta

serwetką i

przyjrzała się Esther uważnie. — Esther? Co się dzieje? Ty znów mrużysz oczy!

Esther potrząsnęła głową

— Chyba coś mi wpadło do oka.

— Chodź tutaj, odwróć głowę — zaniepokoiła się matka. — No chodź, pozwól mi spojrzeć.

Zawsze byłam w tym dobra. Wyobraź sobie, pewnego razu w Covent Garden wyciągnęłam

językiem rzęsę z oka Carusa.

— To obrzydliwe!

— Był mistrzem, jak mogłam uważać go za obrzydliwego?

— Miałam na myśli, obrzydliwe dla niego.

Matka Esther władczym gestem przywołała stewarda.

— Przynieś mi tutaj miseczkę z wodą. I kartę deserów, skoro już tu jesteś.

Esther, powinnaś

spróbować deseru waniliowego. Jesz tyle co dzieciół.

— Wróbelek, mam, nie dzieciół. I naprawdę nie mam ochoty na deser. Najchętniej poszłabym prosto do sali klubowej i napiła się kremu miętowego.

— Kremu miętowego! — prychnęła matka pogardliwie. — To piją wariaci i duchowni!

Tak

czy inaczej, będziesz jednak musiała poczekać. Zjadłabym trochę winogron, a potem Sachertorte.

— Mówię szczerze, mam. Wolalabym już przejść do sali klubowej.

Matka pozostała jednak niewzruszona.

— Esther—zawsze—cię—uczono—dobrych—manier — powiedziała, nie rozdzielając słów.

—

Zaczekasz.

Miseczkę z wodą już przyniesiono, matka mogła więc urządzić zaimprovizowane przedstawienie; zanurzyła koniuszek swojej serwetki w wodzie, chwyciła podbródek Esther i

przekręciła jej głowę tak mocno, aby mogła patrzeć na oko z góry jak zstępująca Walkiria. Boże,

pomyślała Esther, dlaczego ona ze wszystkiego musi robić operę. Równocześnie też, gdzieś

ponad kołyszącym się kolczykiem matki, dostrzegła w przelocie, że ten wysoki Francuz cały czas

przypatruje się jej, wręcz gapi się, mało tego — jeszcze się uśmiecha! Poczula się bardziej naga

niż przedtem. Teraz już wszyscy pozostali przyglądali się, ciekawi, co też jej matka robi,

wywijając tak bardzo rękami. To wtedy właśnie — ku przerażeniu Esther — wysoki Francuz

wstał, przeprosił panie, z którymi tak dobrze się bawił, rzucił swoją serwetkę na stół i ruszył w

ich kierunku.

— Mamo—o—o! — syknęła Esther.

Było już jednak za późno. Wysoki Francuz stał właśnie obok niej, jeszcze wyższy i bardziej

wyrafinowany niż do tej pory — ręce elegancko założył do tyłu, na twarzy pojawił mu się

skromny uśmiech.

— Madame, mademoiselle, proszę o wybaczenie. To oczywiście wielka śmiałość z mojej

strony tak się paniom narzucać — powiedział z mocnym francuskim akcentem — chciałym

jednak spytać, czy nie mógłbym w czymś pomóc.

Matka Esther przekreśliła się w swoim krześle, a było to przedsięwzięcie tak wielkie i

skomplikowane jak zmiana dekoracji w drugim akcie II Trovatore, i wlepiła w niego wzrok.

Wyraz jej twarzy był naprawdę godny uwagi; oczy na zmianę to zwężały się, to rozszerzały,

jakby miała problemy ze skupieniem wzroku, a miękkie fałdy wokół ust zaczęły się niebezpiecznie nadymać.

— Nie sądzę, abyśmy zostali sobie przedstawieni — powiedziała.

— Sacha St-Pierre — powiedział wysoki Francuz, kłaniając się. — Pani zaś to oczywiście

Maria Wygryzowska-Flecker, legendarny, operowy kontralt. A także panna Esther Flecker.

Jestem zaszczycony.

— Pańska opieka nie jest nam potrzebna, dziękuję, monsieur — odrzekła, z trudem poskramiając swoje macierzyńskie uczucia.

Sacha St-Pierre skłonił się. Esther mogłaby przysiąc, że powstrzymał uśmiech.

Miała to

szczególne wrażenie, że brakuje jej tchu, podobnie jak wtedy, gdy wdychała pyłek z tymotki czy

podeszła zbyt blisko do koni.

— W takim razie — rzekł — przepraszam, że paniom przeszkodziłem.

— Pańskie przeprosiny zostały przyjęte — zahuczała matka. — Może pan wrócić do swoich... — rzuciła krótkowzroczne spojrzenie w kierunku jego stolika — escargots.

(Jadł

profiteroles.)

Niespodziewanie Sacha trzasnął obcasami, skłonił głowę i oznajmił:

— La Superba jest dla mnie zbyt uprzejma.

I chociaż cały czas rozmawiał tylko z matką, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy

Esther. Ona natomiast czuła, że jej policzki robią się coraz czerwiejsze i

strasznie chciała móc je

teraz przypudrować, ale jednocześnie równie mocno pragnęła tego nie robić. Było z nią bardzo,

bardzo źle! Nie próbuj walczyć z matką, wznosiła w myśli pełne desperacji błagania.

— Może mógłbym przysłać paniom jakiś drobiazg na dowód mojej skruchy — zaproponował

— powiedzmy, pół butelki szampana do deseru?

— Nie jest to konieczne, dziękuję — powiedziała matka Esther, tym razem już trochę mniej

ostrym tonem niż dotychczas. Pańskie przeprosiny całkowicie wystarczą.

— Comme vous uoulez, madame* — powiedział Sacha. — Mam'selle. — Skinął głową w stronę Esther i oddalił się.

Esther śledziła go wzrokiem, a jej policzki płonęły niczym pochodnie. Ktoś roześmiał się dwa czy trzy stoliki dalej, na co gwałtownie odwróciła głowę, niemal natychmiast gotowa wrzeszczeć.

Matka natomiast jadła swoje winogrona oraz Sachertorte, dotykając czasami warg serwetką i mówiła o Francji:

— Kraj barbarzyńców! Jeśli można oceniać kraj na podstawie publicznych toalet. Powinnaś zobaczyć Warszawę przed wojną! Całymi wieczorami przesiadywałam u Zwyna i śmiałam się!

Cały świat się bawił!

— Nie musiałaś tak ostro grać swojej Wagnerowskiej roli, mamó. On tylko próbował pomóc.

— Pomóc? Myślałby kto! Znam się na tych uprzejmościach. — Fałdy wokół ust zatrzęśły się lekko.

— Mógł być przecież księciem, diukiem osy kimś takim, nie sądzisz? Z nazwiskiem Sacha St-Pierre, kto wie? — Esther wymówiła je z francuskim akcentem najlepiej jak umiała, z wibrującymi głoskami „r” w słowie „Piiiierrre”.

Matka pozostała niewzruszona.

— Cóż, jeżeli chcesz uważać go za księcia, to jest nim. Książę Różowych Koronek! Całego swojego majątku dorobił się, sprzedając modne, damskie gorsety, zwane La Nymphe.

.Esther wytrzeszczyła oczy.

— Żartujesz! Skąd możesz to wiedzieć?

Matka wzruszyła ramionami.

— Rozmawiałam o nim z okrętowym inkasentem.

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem, gdy tylko wyruszyliśmy z Nowego Jorku.

— Ale dlaczego?

Matka obdarzyła córkę długim, stanowczym spojrzeniem.

— Dlatego że jestem twoją matką. Dlatego z tłumu tysiąca mężczyzn potrafię wyłowić tego jednego, za którym poszłabyś w ogień! Jesteś taka jak ciocia Nana, dokładnie taka sama! Masz fatalne szczęście do przygód z kupcami, tak jak ona. A książę Sacha St-Pierre zajmuje się handlem — wzięła głęboki oddech — i to nie zwykłym handlem, ale niestosownym handlem.

Wstały wreszcie od stołu, aby pod opieką drugiego oficera przejść przez masywne, wykonane z brązu drzwi restauracji w kierunku głównej sali klubowej, gdzie już trwał dancing. Matka Esther musiała na chwilę usiąść z powodu zadyszki — jak to określiła. Royowie zaprosili ją do swojego towarzystwa (Harry Roy — szef orkiestry, jego żona — księżna Pearl, jedna z córek sir

Charlesa „Radzy” Brooke’a z Sarawak), co ją chwilowo tak pochłoneło, że z radością oddała Estlier w ręce drugiego oficera. Nazywał się Ferdinand Troisgros i był oszalamiająco przystojny, lecz miał tylko pięć stóp i cztery cale wzrostu (przy wzroście Esther pięć stóp, pięć cali), a tańczył sztywno, niezgrabnie jak manekin.

— To prawdziwy cud, że ten statek w ogóle nazwano Normandia — powiedział do Esther, usiłując trafić w rytm On The Beach At Bali Bali. Chcieli go nazwać Maurice Chevalier. Może sobie pani wyobrazić pływanie na statku pasażerskim o takiej nazwie? Śmialiby się z nas w każdym pandę. To tak, jakby Queen Mary nazwano... no nie wiem, Ba przykład... Doris Waters.

Esther uśmiechnęła się uprzejmie.

— Myślę, że ten statek jest po prostu piękny — odparła — i nie dbam o to, jak się nazywa.

Kolacja prawie dobiegała końca, goście zaczęli więc schodzić się do głównej sali klubowej.

Pasażerowie znajdowali się o dwa dni drogi od Nowego Jorku i przez ten czas zdobyli już wprawę w chodzeniu po kołyszącym się pokładzie, byli więc w stanie tańczyć albo przynajmniej siedzieć i popalać niezbyt mocne cygara. Parkiet zalały tłumy gładkowłosych mężczyzn w białych krawatach i frakach oraz smukłych, bogatych kobiet ubranych w to, co humorystycznie zwano „wieczorowymi ramiączkami bez sukni”. Zapach cygar i perfum niczym dym kadzidła unosił się wokół złożonych kolumn i lamp w stylu art deco. Prawie całkowicie zasłaniał wysokie, pokryte kwiecistymi wzorami ściany i pozłacane freski, przedstawiające średniowieczne galeony.

Esther w przelocie dostrzegła spokojnego i małomównego Walta Disneya oraz Olivię Havilland, kobietę o pogodnym, jasnym spojrzeniu. Drugi oficer wskazał Esther Jej Królewską Wysokość Marię — Wielką Księżną Rosji, która, zdaniem panny Flecker, była niewysłowionym bezgłuskiem. Esther właśnie nauczyła się słowa „niewysłowiony” i używała go bardzo często.

Okrętowa orkiestra swingowa Jean–Claude Fusee et Ses Feux D’Artifices, siedząc na niewielkim podwyższeniu w kształcie muszli, grała jazzową wersję Red Sails In The Sunset i When I’m With You. Sam Jean–Claude śpiewał natomiast coś, co brzmiało początkowo jak Easy Drew Wad Daisy Bow D.C., a okazało się mieć tę samą melodię, co Is It True What They Say About Ducie?

Esther właśnie uczyła drugiego oficera, jak przyzwoicie przeciąć wszerz parkiet, gdy zjawił się ten młody, około dwudziestopięcioletni, barczysty człowiek, o jasnych, sterczących włosach.

Przerwał im, uderzając swoją białą rękawiczką w epolet drugiego oficera tak gwałtownie, jakby chciał mu go strącić.

— Witam. Ten taniec to chyba dżentelmeński „odbijany”! — przekrzykiwał muzykę.

— Oui, monsieur* — odrzekł drugi oficer.

— W takim razie odbijam, przepraszam pana! — krzyknął młody człowiek.

— Ależ oczywiście, monsieur — powiedział drugi oficer Troisgros, któremu wyraźnie ulżyło,

że może pójść potańczyć z kimś bardziej statecznym.

— Kolejna jaszczurka, nic tylko same jaszczurki — stwierdziła Esther, gdy młody blondyn

chwycił ją mocno i zgrabnie poprowadził w rytm All My Eggs In One Basket.

— Jaszczurka? — uśmiechnął się. Miał niezwykle jasne oczy.

— Ktoś, kto nie lubi swinga — wyjaśniła mu Esther. — Proszę mi tylko nie mówić, że pan też

jest jaszczurką?

— Ależ nie, jestem ogromnym wielbicielem swinga — odparł.

— W takim razie jest pan aligatorem.

— Jestem aligatorem, to prawda.

Roześmiał się raczej zbyt głośno, jak na jej gust. Tańczył za to znakomicie, z niezwykłą

pedanterią. Miał takie ostre, typowo germańskie rysy, które kojarzyły się Esther z szeregami

oddziałów, tężyzną fizyczną i pragnieniem zwycięstwa. W zasadzie byłby prawie doskonały,

gdyby nie nos, który musiał sobie kiedyś złamać. Mogła się założyć, że stało się to przy okazji

czegoś co najmniej tak chwalebego jak pierwszy dżentelmeński pojedynek.

— A zatem, moja urocza damo, czy po raz pierwszy gości pani na pokładzie Normandii? —

zapytał.

— Wstyd przyznać — odparła — ale jest to w ogóle moja pierwsza podróż do Europy.

— O! W takim razie czeka panią mnóstwo niezwykle mi — ,łych chwil. Taka śliczna dziewczyna jak pani będzie się naprawdę znakomicie bawiła. Ale, ale, jestem okropnie źle

wychowany, powinienem był się przedstawić. Harold von Höxter. Do usług, gnädige Fräulein*.

— Bardzo mi miło — odrzekła Esther. — Ja jestem...

— Ależ ja doskonale wiem, kim pani jest! Panna Esther Flecker, pierwsza i jedyna córka

„króla kolei”, pana Thomasa Fleckera. Jest pani sławna! Jak to gazety panią nazywają?

„Gwiazda”! Przeczytałem wszystko, co w nowojorskiej prasie napisano o pani pożegnalnym

przyjęciu. Oglądałem także fotografie, w rzeczywistości jest pani jednak znacznie pilniejsza!

— No cóż, może mi pan schlebiać, jeśli pan sobie życzy — rzuciła Esther beztrąsko. Było to zdanie, które zawsze powtarzała Bow Frazier.

— Spodziewam się, że jest pani do tego przyzwyczajona — przyciął jej Harold von Höxter.

Esther, chociaż bardzo tego nie chciała, zarumieniła się.

— Prawdę powiedziawszy, jestem w zasadzie zaręczona i wkrótce wychodzę za mąż — powiedziała, starając się, aby zabrzmiało to sztywno.

Harold zamrugał oczami, przesadnie udając zdziwienie.

— Zaręczona? Ach nie, mówi tak pani tylko po to, aby popsuć mi zabawę.

Esther potrząsnęła głową.

— Tańczy pan, Herr von Höxter, z przyszłą panią Rodneyową Stuyvesantową Hamiltonową

Drugą.

Harold okręcił Esther, mignęła jej wtedy w locie postać matki. Całował ją właśnie w rękę jakiś gruby, wyglądający na Egipcjanina mężczyzna.

— O, mój Boże, a to kto?! — wykrzyknęła. Harold obrócił ją raz jeszcze.

— Czy mam szansę sprawić, aby zmieniła pani zdanie?

— Na jaki temat? — spytała Esther, wciąż usiłując ponad tłumem tańczących dojrzeć swoją matkę.

— Na temat małżeństwa, natürlich*. Dlaczego tak piękna, młoda dziewczyna jak pani chce wychodzić za mąż?

— Z miłości, rzecz jasna.

— Do tego... Rodneya Stuyvesanta Hamiltona Drugiego?

— Zgadza się. Jest niezwykle sympatycznym młodym człowiekiem i także mnie kocha.

Harold wzruszył ramionami.

— I to jest pani przyszłość? Wyjdzie pani za niezwykle sympatycznego młodego człowieka, ustatkuje się i da światu Rodneya Stuyvesanta Hamiltona Trzeciego, nie wspominając już o Rodneyu Stuyvesancie Hamiltonie Czwartym?

— I cóż w tym złego?

— Co w tym złego? Przecież to tragedia! Pani ma tańczyć, bywać na przyjęciach! Powinna pani dać sobie z tym spokój! Myśli pani o małżeństwie, dzieciach, trzecich, czwartych i piątym Hamiltonach, a nawet nie była pani jeszcze w Berlinie!

— Teraz wcale nie jest pan miły — zaprotestowała Esther.

Harold uśmiechnął się do niej przeproszająco.

— W takim razie, moja urocza damo, proszę o wybaczenie, lecz gdy pozna pani Europę, przekona się pani, że miałem słuszną rację.

— Nie wybieram się do Paryża, żeby „dać sobie z tym spokój”, szanowny panie Haroldzie — odpowiedziała ostro. — Jadę tam, by zrobić przymiarki moich letnich sukni.

— Może pani być spokojna — stwierdził Harold. — Paryż już wkrótce rzuci na panią swój

urok. Powinna pani jednak przyjechać także do Berlina.

— Pan mieszka w Berlinie? Harold przytaknął.

— Mieszkam w Dahlem. To bardzo ładne berlińskie przedmieście. Słyszała pani o Herr von

Ribbentropie, naszym ministrze spraw zagranicznych? Mieszkam dwa domy od niego.

Często się

odwiedzamy, wspaniale gra nam się razem w tenisa. Moi rodzice od zawsze przyjaźnili się z

rodziną Henkell. Wie pani, to ci, co produkują te słynne wina musujące. A Herr von Ribbentrop

ożenił się z córką Henkellów. Średnio dwa razy w roku wybieram się do Ameryki w poszukiwaniu

amatorów musującego wina Henkell oraz innych niemieckich gatunków win.

— Ale nie jest pan chyba nazistą? — zapytała Esther.

Harold roześmiał się.

— Jestem kupcem! Mogłaby mnie pani nazwać, powiedzmy, „człowiekiem frontu” i to najwyżej „frontowym amatorem”, jeśli już. Podbijam amerykańskich hotelarzy, aby zabrać ich na

lunch. Wówczas robię na nich dobre wrażenie moim szlachetnym, pruskim dziedzictwem i

namawiam, żeby kupowali jak najwięcej wina Henkell. Czy gdybym był nazistą, tańczyłbym

publicznie z najsłynniejszą w całej Ameryce dziedziczką żydowskiej fortuny?

— Ale Herr von Ribbentrop jest nazistą — powiedziała Esther.

— No tak, oczywiście — zgodził się Harold — ale tylko publicznie. Wie pani, w dzisiejszych

czasach człowiek nie ma zbyt dużego wyboru, jeśli chce zdobyć nazwisko i coś znaczyć w

niemieckiej polityce. Joachim dosyć niechętnie wstąpił do partii nazistowskiej.

Ja zaś wiem na

pewno, że nie ma żadnej osobistej urazy do Żydów. Kiedy zachorowała jego córka, bez

najmniejszego wahania posłał po żydowskiego doktora.

— Powinien pan usłyszeć, co mój ojciec mówi na temat nazistów — odparła Esther.

— A pani co mój! — Harold roześmiał się. — Ale nie ma on też najlepszego zdania o Żydach

i Polakach. A już szczególnie nienawidzi Brytyjczyków! Mówi, że oni zawsze mają resztki zupy

pomidorowej na krawatach!

Wciąż jeszcze tańczyli przy akompaniamencie All My Eggs In One Basket, kiedy nagle, jakby

za sprawą czarodziejskiej różdżki, zjawił się Sacha St-Pierre i postukał Harolda von Höxtera w

ramię.

— Odbijany, przepraszam pana — uśmiechnął się. Harold nie przerwał tańca.

— Niestety, mój przyjacielu, ten taniec nie jest odbijany — powiedział, nie spojrzawszy nawet

w stronę Sachy.

— To nie ma znaczenia — odrzekł Sacha.

Esther przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że jej serce jest teraz sześciokrotnie

większe niż
normalnie i wypełnia całą klatkę piersiową tak, że z trudem mogła oddychać. To
był on, Sacha,
chciał z nią zatańczyć, a Harold nie chciał się zgodzić!
— Pozwoli pani opowiedzieć sobie coś bardzo interesującego o winie musującym —
zwrócił
się Harold do Esther.
— Odbijany, monsieur — powtórzył Sacha, tym razem dużo wyraźniej.
Harold przestał tańczyć.
— Sir — powiedział — ta młoda dama tańczy ze mną. Ani mnie, ani jej nie podoba
się, że
nam pan przeszkadza. Zechce nas pan łaskawie zostawić w spokoju?
Tym razem Esther zabrała głos.
— Haroldzie, nie może pan mieć monopolu na mnie przez cały wieczór. Później
opowie mi
pan o winie musującym. Harold przeszył ją swoim bladym spojrzeniem. Mięśnie
zadrgały na
jego twarzy i dziewczyna zdała sobie sprawę, że zazgrzytał zębami.
— Och, niechże pan da spokój, Haroldzie — powiedziała Esther przymilnie. — Niech
pan nie
będzie jaszczurką.
Skinąwszy oficjalnie głową, odsunął się od niej o kilka kroków, wyciągnął
szywno ramię, jak
gdyby prezentował Esther przed kabaretową publicznością i oświadczył:
— Bitte sehr*, mój przyjacielu. A pani, panno Flecker, mówię auf wiedertanzen*.
Od jednego
aligatora do drugiego.
Esther uśmiechnęła się, a Sacha St-Pierre podszedł i wziął ją w ramiona. Był o
prawie sześć
cali wyższy, więc aby spojrzeć na niego, musiała podnosić głowę. Poczowała jego
suche, mocne
dłonie, zapach francuskiego tytoniu i ledwo uchwytną woń piżmowej wody
kolońskiej. Na jego
nieskazitelnych mankietach połyskiwały brylantowe spinki.
— Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w czymś ważnym? — zwrócił się do niej
Sacha.
Tańczył zupełnie inaczej niż Harold: miękko, romantycznie, wcale nie
wypuszczając jej z
ramion.
— Nie, to nic szczególnego — odrzekła Esther. — Ale Harold jest naprawdę bardzo
sympatyczny.
— O tak — potwierdził Sacha. — Podstępny uśmiech na twarzy bestii. Znam to.
— Ale on nie jest nazistą. Nie tańczyłby przecież ze mną, gdyby nim był, prawda?
— No cóż, proszę mi wybaczyć te słowa, ale jest pani bardzo naiwna — odparł
Sacha. —
Naziści mają dwie twarze: dla świata, drugą zaś odsłaniają dopiero wtedy, gdy
widzi ich nikt z
wyjątkiem tych biednych Żydów, którzy mieli nieszczęście stać się ofiarami ich
oskarżycielskich
ataków. A Harold von Höxter... co można powiedzieć o Haroldzie von Höxterze?

— Czy pan go zna? — zapytała Esther.

Sacha wykonał nieokreślony ruch ramionami.

— Wiem, co się o nim mówi. Powiedzmy, że obaj pracujemy w tej samej branży. Orkiestra zagrała Moon Over Miami. Sacha trzymał teraz Esther prowokacyjnie blisko,

prowadził ją po parkiecie płynnymi, posuwistymi i pełnymi namiętności ruchami.

Nigdy jeszcze

nie tańczyła z mężczyzną, który robił to tak znakomicie, czuła się więc dziwnie

podekscytowana.

— Mama mówiła mi, że zajmuje się pan produkcją damskich gorsetów — odezwała się.

Spojrzał na nią z góry. Jego nozdrza rozszerzyły się lekko.

— No tak, to prawda. Mój słynny gorset La Nymphe sprawia, że otyłe kobiety

wyglądają

szczupło, a szczupłe bardziej okazałe.

— Moja matka nie ma najlepszego zdania o mężczyznach, którzy sprzedają gorsety.

— Ależ dlaczego? — zawołał Sacha. — La Nymphe zmieniłby życie pani matki! A już

na

pewno zmieniłby jej wygląd.

Esther poczuła się urażona.

— Dziękuję panu, moja mama lubi siebie taką, jaka jest. Zresztą... nie ma

specjalnego

wyboru.

— Nie — odrzekł Sacha. — Myli się pani, i to bardzo. Nie ma na tym świecie ani jednej

kobiety, która podobałaby się sobie samej. Wszystkie chciałyby mieć dokładnie

taką figurę, jaką

dyktuje dzisiejsza moda, czyli: szczupłe biodra, szczupłą talię i dorodny biust.

Jeśli wolno mi

powiedzieć pani komplement, mademoiselle Flecker, to każda kobieta chciałaby po

prostu mieć

taką figurę jak pani.

Esther ponownie się zarumieniła, tym razem jednak nie zaprotestowała.

— Niech pani mnie źle nie zrozumie — ciągnął Sacha. — Wszystkie kobiety są na swój

sposób piękne. I te grube, i te chude, i te o prostych włosach, i te z

wystającymi zębami, i te w

okularach. Każda z nich, bez wyjątku, jest obdarzona własną, niepowtarzalną

urodą, ale żadna z

nich nigdy w to nie uwierzy! W ich naturze bowiem leży, żeby nie być z siebie

zadowoloną.

Nawet te najpiękniejsze mają zastrzeżenia do własnych kształtów. — I wysokim

falsetem, który

niesłychanie rozbawił Esther, zawołał: — Nie cierpię mojego biustu! Nienawidzę

moich ud!

Spójrz, jaki mam okropnie wielki derri?re*! — Uśmiechnął się. — Widzi pani, nie

można uznać

za niemoralne sprzedawania kobietom garderoby, która tak bardzo poprawia im

samopoczucie.

La Nymphe robi niewiele, tylko nieznacznie zmienia figurę. Ponieważ jednak ten

gorset jest

bardzo drogi, to kiedy kobieta włoży go na siebie, ma wrażenie, jakby odmieniła się całkowicie.

Musi tak być, wydała przecież tyle pieniędzy! A sama świadomość zmiany jest równie dobra co

prawdziwa zmiana.

Esther nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Jest pan strasznie cyniczny!

Sacha roześmiał się także. Kiedy się uśmiechał, w policzkach robiły mu się śliczne dołeczki.

— No, może trochę. Wolę jednak nazywać siebie realistą. Orkiestra zaczęła grać bardzo

szybką wersję Swingin' The Jinx Away. Sacha zrobił pierwsze trzy, może cztery kroki, po czym

przestał tańczyć, stanął i przytrzymał Esther w talii, aby także się zatrzymała.

— Proszę posłuchać, nie mam już ochoty na jitterbugowe płasy. Czy nie moglibyśmy wyjść

na zewnątrz i pospacerować na górnym pokładzie? Ma pani szal?

Esther rzuciła okiem w kierunku stolika, przy którym siedziała matka. Jej krzesło stało puste,

drink nie dokończony. Diva Divinsky i gruby Egipcjanin podrygiwali energicznie na drugim

końcu sali. Taniec hipopotamów, pomyślała w duchu Esther. Dobry dla osób z zadyszka.

Natomiast Harold von Höxter tańczył z dziewczyną o tycjanowskich włosach, która była o

połowę mniejsza od niego. Przez cały czas jednak wyraźnie pilnował Esther wzrokiem. Ale

akurat wtedy, gdy Sacha wyprowadzał ją z sali, jedna ze złoconych kolumn zasłoniła Haroldowi

na moment widok. Tańczył więc dalej, rozglądając się po sali niespokojnie, nieświadomy, że

Esther już tam nie ma.

A na zewnątrz, pod osłoną sterburty na pokładzie spacerowym, ciepła bryza rozwiewała

Esther włosy. Nad taflą Atlantyku rozpościerał się wielki, kwietniowy księżyc.

Wilgotne

powietrze potęgowało jego blask. Od czasu do czasu tylko przysłaniał go dym wydobywający się

z dwóch czynnych kominów statku. Trzeci komin był tylko dla ozdoby, znajdowała się w nim

karuzela dla dzieci.

Dzięki swoim czterołopatkowym śrubom Normandia płynęła wyjątkowo łagodnie.

Esther

miała wrażenie, że statek sunie przez ocean jak tren panny młodej po wypolerowanej podłodze.

— Zapali pani? — zapytał Sacha, otwierając złotą papierośnicę.

Esther wzięła papierosa, którego Sacha następnie zapalił, przytrzymując przy tym jej dłoń.

Kiedy błysnęła zapalniczka, spojrzała mu w oczy. Były tak lśniące jak płomień.

Wciągnęła dym i

zakaszlała. Sacha oparł się o poręcz obok Esther i obserwował ją z zainteresowaniem.

— Przygląda mi się pani przez cały dzisiejszy wieczór — zauważył. — Zaczynałem się już

zastanawiać, czy coś jest ze mną nie w porządku: dynda mi na policzku jakiś listek sałaty lub coś

w tym rodzaju.

Esther energicznie strząsnęła popiół z papierosa.

— Tureckie — poinformował ją Sacha. — Nie smakują pani?

— Nie, są znakomite, dziękuję. A tak naprawdę nie przyglądałam się panu, tylko podziwiałam

ściany.

— Ściany? Ach tak. Są znakomite, wszystkie autorstwa Lalique'a.

Przez chwilę zapanowało milczenie, które im jednak nie ciążyło — było raczej swego rodzaju

wyczekiwaniem. Kiedy w końcu odezwali się, uczynili to jednocześnie, oboje więc powiedzieli

„przepraszam” i roześmiali się.

— Niech mi pan opowie o La Nymphe — poprosiła Esther. — Czy sam go pan zaprojektował?

— Cóż, muszę się przyznać, że nie — odrzekł Sacha. — Nie mam wystarczającego doświadczenia w projektowaniu dla pań. Pomysł był jednak mój, chodziło mi o bardzo lekki

gorset, który nosiłoby się z przyjemnością. Rozumie pani, mała, delikatna kontrola zamiast tego

wszystkiego, co obciska i dusi.

— Ale, czyja wiem... sprzedawanie gorsetów? Sacha roześmiał się, tym razem jeszcze bardziej.

— Nie jest to, zdaniem pani, zbyt męskie zajęcie? Uważa pani, że sprzedawaniem gorsetów

trudnią się tylko kobiety i homoseksualiści.

Esther wciągnęła potężny haust powietrza i dymu z papierosa. Na miłość boską, skoczyli już

na głębokie wody! Bow miała rację. Ci Francuzi potrafią podniecić kobietę, nawet nie starając się

o to! Święta prawda!

Esther wiedziała o homoseksualistach tylko tyle, że szczebiotali, trzymali się za ręce i od

czasu do czasu malowali sobie usta. Kiedyś pewien znany aktor pojawił się na jednym z ich

letnich przyjęć w Newport ubrany w garnitur safari z Abercrombie & Fitch i umalowany

jaskrawą, czerwoną szminką. Matka miała wtedy jeden z tych swoich ataków drgawek.

— Może pani być spokojna, nie jestem homoseksualistą — wyjaśnił Sacha. — Ale nie mam

też specjalnych powodów, żeby nie lubić tych ludzi. Wasz poeta Walt Whitman był homoseksualistą, prawda? Jak on to pisał? „Spójrzcie, ja nie zajmuję się

wygłaszaniem kazań ani

rozdawaniem jałmużny... jeżeli już coś daję, to daję samego siebie”.

Esther odgarnęła włosy z oczu. Jeszcze żaden mężczyzna nie rozmawiał z nią w ten sposób.

Poczuła się zupełnie jak we śnie; jakby ten księżyc namalowano na płynących chmurach.

Zaciągnęła się papierosem, po czym wyrzuciła go za burtę. Fala natychmiast pochłonęła maleńką iskierkę.

— Zdenerwowałem panią — stwierdził Sacha.

Kątem oka dostrzegła nieskazitelne mankiety, które lśniły, krepując jego przeguby.

— Nie, wcale — odparła. — Po prostu nie spodziewałam się usłyszeć poezji z ust człowieka,

który zarabia na życie ukrywaniem obfitych kobiecych kształtów.

— Ha! — wykrzyknął Sacha — Bardzo mi się pani podoba! Nie pozwoli pani, aby coś uszło

mi płazem, prawda? Może powinniśmy jeszcze trochę pojitterbugować. Kiedy podryguje pani w

tańcu, nie może pani rozmawiać ani myśleć. Nie ma wtedy znaczenia, czy pani partner jest

księciem, czy zajmuje się czyszczeniem pisuarów. — Przynął się bliżej. —

Widziałem, jak mi

się pani dzisiaj przyglądała, i zadawałem sobie pytanie, dlaczego ta młoda dama tak mi się

przygląda? Teraz znam już odpowiedź. Istnieją osoby, które odnajdą się w tłumie tysięcy

innych, zwykłych ludzi, dostrzegając nagle drugą współczującą duszę. Rozumie pani, co mam na

myśli, mówiąc „współczująca”? Dusza, która naprawdę dzieli z drugą te same uczucia i

namiętności. To ma niewiele wspólnego z wyglądem zewnętrznym, chociaż oczywiście nie

można pominąć tego aspektu. To ma raczej związek z emanacją. Wie pani, co znaczy emanacja?

Esther odwróciła się i zamrugała powiekami, naśladując omdlewające spojrzenie a la Dietrich

najlepiej, jak potrafiła.

— Dobrze się pani czuje? — zaniepokoił się Sacha. — Ten papieros nie był dla pani za

mocny?

— Ależ skąd — odrzekła Esther. Podparła dłońmi podbródek, łokcie położyła na poręczy i

patrzyła na księżyc.

— Przepraszam. — Uśmiechnął się. — Znów panią zdenerwowałem.

— Ależ, niech się pan nie przejmuj — uspokoiła go. — To moja wina. Po prostu robię coś

nie tak, to wszystko.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem. Co pani robi nie tak?

— Chodzi o to spojrzenie, jeśli już koniecznie chce pan wiedzieć.

— Oczywiście, że chcę wiedzieć. Ale jakie spojrzenie? Przymknęła do połowy powieki i

popatrzyła na niego przez rzęsy.

— Wyrafinowane, zblazowane europejskie spojrzenie — wyjaśniła.

Sacha wybuchnął śmiechem.

— Ależ pani jest cudowna! Wszyscy myślicie, że w Europie patrzymy w taki sposób?

Z

prawie zupełnie zamkniętymi oczami? Och, jest pani naprawdę wspaniała!

— Proszę się ze mnie nie śmiać! — Esther udawała, że się dąsa.

Sacha jednak uściśnął jej rękę i nie przestając się śmiać, potrząsnął głową.

— Jak mógłbym śmiać się z pani, moja droga, skoro to pani przecież tak świetnie żartuje sobie

ze mnie. Właśnie to miałem na myśli, kiedy opowiadałem o emanacji i gdy mówiłem, że być

może oboje, pani i ja, mamy ze sobą coś wspólnego.

Esther zupełnie nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nie spodziewała się, że Sacha będzie się

zachowywał aż tak prowokacyjnie. Z drugiej jednak strony podejrzewała, że byłaby poważnie

rozczarowana, gdyby tego nie robił. To właśnie czyniło go niebezpiecznym. On zdecydowanie

nie zajmował się wygłaszaniem kazań ani rozdawaniem jałmużny, nie miała co do tego

najmniejszych wątpliwości. On rzeczywiście dawał samego siebie. Miała ochotę powiedzieć,

żeby pozwolił jej chociaż na złapanie oddechu. Nie mogła wymówić ani słowa, głos uwiązał jej w

gardle.

Sacha przyglądał się Esther przez chwilę, wciąż trzymając jej rękę, a potem powiedział:

— Pozwoli pani, że spróbuję odgadnąć, co pani sobie myśli. „Przecież ja kompletnie nie znam

tego człowieka, jak on śmie tak się spoufalać? I jakież on niby ma... jak pani to nazywa?

Pochodzenie. To wólcze! Utrzymuje się ze sprzedaży gorsetów! Moja matka na pewno go nie

zaakceptuje. A on mimo wszystko zabiera mnie na pokład, każe oglądać księżyc i jeszcze ma

czelność twierdzić, że mamy ze sobą wiele wspólnego. A ja się na to wszystko godzę. To dopiero

zagadka”.

Esther spojrzała na niego podejrzliwie, ale nie próbowała cofnąć ręki, którą trzymał.

— Możliwe — powiedziała.

Sacha pokiwał głową.

— Tak — uśmiechnął się. — Możliwe.

W tym momencie, bez żadnej określonej przyczyny Esther odniosła wrażenie, że rozstrzyga

się właśnie coś bardzo ważnego. Uczucie to przyprawiało ją o zawrót głowy. A może był to tylko

skutek kołysania się statku na falach północnego Atlantyku. Może przyczyniły się do tego

jitterbugowe podskoki i wino albo podniecenie spowodowane bliską perspektywą ujrzenia

Starego Świata. Uwolniła dłoń i popatrzyła na morze.

— Przypuszczam, że musiał pan znać setki kobiet — powiedziała.

Sacha wzruszył ramionami.

— Naturalnie — odrzekł tonem Charlesa Boyera. — Na tym polega moja praca.

— Chodziło mi o to, że osobiście.

— O tak! — oświadczył. — Znałem bardzo wiele kobiet! Kurtyzany, tancerki, ekspedientki,

wiarołomne żony! Cały korowód!

— A czy one wszystkie miały tę... emanację? — zapytała Esther.

Napięcie między nimi wzrastało z każdą chwilą. Było to ryzykowne, ale i zabawne.

Sacha powoli i z powagą potrząsnął głową.

— Nie, emanacja to coś szczególnego. Coś bardzo wyjątkowego. Przytrafia się tylko raz w

życiu. Czasami nigdy.

— No, nie wiem — zawahała się Esther. — Nigdy jeszcze o niej nie słyszałam, jeśli mam być

szczerą. Może w takim razie powinniśmy spróbować tego doświadczyć.

— Zawsze musi być ten pierwszy raz, n'est-ce pas?

— Jasne. — zgodziła się. — Ale przypuszczam, że znacznie ułatwiłoby nam sprawę, gdybym

rozumiała, co to w ogóle jest ta emanacja.

— No cóż, jakby to wyjaśnić? — zastanowił się Sacha. — Emanacja to taki blask.

Jak te

małe promyczki, które dzieci zawsze rysują wokół słońca. Dotyczy to sfery intelektu, uczuć,

seksu.

Uff!! On naprawdę użył słowa „seks”! I jakim tonem to powiedział! Jeżeli ciągle powtarzałoby się w taki sposób słowo „seks”, to w zasadzie nie ma nawet potrzeby go uprawiać.

— I sądzi pan, że pan i ja... — chociaż starała się, by wypadło to zupełnie naturalnie, głos jej

zadrżał tak jak wcześniej powieki — sądzi pan, że między nami jest, uhm, jedna z takich

emanacji?

Sacha wyjął z ust papierosa i przepuścił dym przez zęby.

— Mam swoje zdanie na ten temat, ale oczywiście byłbym bardzo ciekaw również pani

zdania.

Z wysokości siedemdziesięciu stóp pokładu Normandii Esther spojrzała w dół na kołyszącą

się na powierzchni wody pianę. Sacha obserwował Esther przez chwilę, a następnie zapytał:

— Czy mogłaby pani na przykład uwierzyć, że to Przeznaczenie kazało nam obojgu znaleźć

się na tym samym statku; że pokierowało nami jak te wykresy, które pokazują, jak należy

tańczyć?

Esther przypatrywała mu się przez palce.

— Skoro już mowa o tańcu, to może powinniśmy jeszcze trochę potańczyć. Wie pan, zanim

zanurzymy się w naszym przeznaczeniu.

Spojrzał na nią, potem roześmiał się i rozgniół papierosa o deski pokładu.

— Ma pani całkowitą rację. Wszystko w swoim czasie! Najpierw taniec, potem przeznaczenie! Czy umie pani tańczyć Big Apple? No oczywiście, jak mogłaby pani nie umieć!

Wrócili więc do sali. Zobaczyli tam Harolda von Höxtera, który siedział tuż obok matki Esther

i szeptał jej coś szybko i poufale do ucha. Natomiast gruby Egipcjanin opadł na swoje krzesło jak

na wpół wypompowany balon i próbował złapać oddech. Sala była teraz tak zadymiona, że

Esther ledwie mogła dojrzeć jej przeciwległą stronę. Słysząc było wybuchy śmiechu odurzonych

gości. Wybijały się z ogólnego gwaru, który stanowił mieszaninę fragmentów sześciuset różnych

rozmów. Orkiestra grała dosyć rozmytą wersję The Way You Look Tonight, a niektórzy młodzi

mężczyźni, aż purpurowi z podniecenia, błędzili rękami po derrières swoich partnerek.

Gdy tylko ukazała się Esther, Harold poderwał się na nogi, skłonił głowę i zawołał:

— Więc jest pani nareszcie! Zaczynałem się już trochę niepokoić, Fraulein Flecker! Miałem

nadzieję, że pani i ja będziemy mogli pobawić się razem jeszcze trochę!

Esther, wsparta mocno na ramieniu Sachy, odpowiedziała:”

— To naprawdę bardzo miło z pana strony, Haroldzie, ale obawiam się, że od tej zabawy

rozboleła mnie głowa. Tak mi spuchła, jakbym miała ją co najmniej dwa razy większą.

— To pani ma więcej niż jedną głowę? — zażartował Harold nieudolnie.

Matka Esther (która miała więcej niż jeden podbródek) spojrzała szybko na córkę i

oświadczyła:

— Ależ oczywiście, że zatańczysz z Herr von Höxterem! — Poraziła Sachę swoim słynnym

„śmiercionośnym spojrzeniem” i oświadczyła: — Jestem przekonana, że pan St–Pierre nie będzie

miał nic przeciwko temu, Monsieur St–Pierre, zgadza się pan?

— Ależ, naturalnie — odparł Sacha. — Śmiało, niech pani tańczy, Esther. Ca ne fait rien*.

Będzie jeszcze wiele okazji, żeby razem zatańczyć.

Harold natychmiast chwycił Esther za łokieć, lecz ona wyrwała się kapryśnie.

— Przykro mi, Haroldzie — powiedziała. — Naprawdę, padam z nóg. Myślę, że przesiedzę

ten taniec.

— Ale grają właśnie Big Apple! — wykrzyknął Harold. Sacha rozpromienił się i nie proszony

podsuwał już Esther krzesło.

— Czy życzy sobie pani coś do picia? — zapytał. Harold skłonił się sztywno w stronę Sachy i wyjaśnił:
— Panna Flecker jest teraz ze mną.
— Wybacz pan, ale odniosłem wrażenie, że proponował pan panie Flecker wspólny taniec, a nie towarzystwo przy stoliku. Steward! Czy mogę prosić szampana?
Wydając złowróżbne pomruki i potrząsając kolczykami, matka Esther powiedziała:
— Monsieur St-Pierre, dziękujemy za pana troskę, ale same potrafimy zamówić sobie napoje.
Proszę nas zostawić.
Wtedy Sacha niespodziewanie chwycił obciążoną brzoskwiniową rękawiczką dłoń pani Flecker i zanim zdążyła cofnąć rękę, złożył na niej pocałunek. Esther była kompletnie przerażona. Był to naprawdę potężny całus!
— Pani Flecker! — zawołał Sacha głosem przepelnionym szczerym uczuciem. — La Superba, Polski Skowronek, Diva Divinsky, tak nazywano panią u szczytu sławy. Całkowicie zasłużenie!
Mam nagrania pani Ehdry z I Puritani, a także pani Amneris z Aidy. Słuchałem ich chyba z tysiąc razy, nie, co też mówię, milion razy! Puszczalem je tak często, że w końcu igła poprzebijała płyty prawie na wylot, pozostawiając mi tylko garść wspomnień i nieme, czarne krążki! Esther była całkowicie oszołomiona. Jeszcze nigdy żaden z jej chłopców nie ośmielił się rozmawiać z matką w taki sposób. To strasznie staromodne! Wspomnienia i nieme, czarne krążki? Nie wierzyła, aby matka rzeczywiście dała się na coś takiego nabrać.
Zobaczyła, że matka wciąga głęboko powietrze. Wielki biust operowej primadonny zaczął się unosić. Bębni Esther już drżały w oczekiwaniu na wybuch wulkanu, który nieuchronnie nadciągał. Eksplozja jednak nie nastąpiła. Zamiast tego matka zaczęła bardzo powoli kiwać głową, a twarz jej wykrzywiła się pod wpływem niezwykle mieszanej dwóch uczuć: dezaprobaty i polechtanej próżności. Przez udawaną niechęć przebijała coraz słabiej skrywana duma.
— Dziękuję panu, monsieur St-Pierre — odrzekła z lekko wilgotnymi oczami. — Jestem jednak zmuszona pozostać przy swoim.
Wówczas Sacha zrobił coś, co było dla Esther niezwykle krępujące. Ukłękął mianowicie na jedno kolano, tak jakby prosił o jej rękę, chwycił jednocześnie dłonie Esther i jej matki, i powiedział:
— Pani Flecker, podarowała pani moim uszom tak wiele godzin rozkoszy. Czy nie byłoby

możliwe, żebym zamówił dla pani chociaż jedną lampkę szampana? Chciałbym wiedzieć, że pani

boska krtań skąpała się w moim nędznym trunku...

Harold poklepał Sachę po ramieniu.

— No już, przyjacielu, niech pan wstanie. To przecież absurdalne. Naprzykrza się pan tym

damom. Zresztą zamówiłem już szampana. O, steward już idzie. Znakomicie, proszę tutaj!

Sacha wstał i odsunął się o parę kroków. Wąsaty steward zakrzętnął się żwawo i postawił na

stole kubek wypełniony lodem. Za nim pojawiło się dwóch innych stewardów z tacami, na

których stały eleganckie, smukłe kieliszki, serwetki w kolorze kości słoniowej i niewielkie,

srebrne półmiski pełne orzeszków, oliwek i aromatycznych ciasteczek.

— Mimo wszystko może monsieur zechce wypić z nami kieliszek szampana — zaproponowała matka Esther.

Wszyscy usiedli. Esther została wciśnięta między Harolda a Sachę. Harold był wściekły, nie

jednak nie mógł zrobić. Zapalił gniewnie papierosa i wypuścił dym ponad siedzącymi. Jean-

Claude Fusee śpiewał: „Sław Allacha i kręć się, kręć się, kręć! Sław Allacha, tańcz i wiruj!

Stąpaj nogami z wielkim zapałem, słodkiej radości sobie nie żałuj! Big Apple! Big Apple!”

Steward wyjął z kubka z lodem butelkę szampana i pokazał Haroldowi.

— Jawohl* — stwierdził Niemiec, spojrzawszy na etykietkę. — Znakomity.

Sacha przechylił się tak, aby i on mógł ją zobaczyć. — Może i doskonały — wtrącił się. —

Ale nie jest to oczywiście szampan w ścisłym tego słowa znaczeniu.

— No, jeśli chodzi o ścisłość, to naturalnie ma pan rację — rzucił Harold oschłym tonem. —

To Henkell Trocken, nasze niemieckie wino musujące. Obiecałem pannie Esther, że go skosztuje.

— A jednak — Sacha nie ustępował — nie jest to szampan. Harold wypuścił nosem dwa

równe kłęby dymu. Chociaż specjalnie jej na nim nie zależało, to Esther musiała przyznać, że

potrafił być niesamowicie opanowany.

— Chce pan powiedzieć, że jest ono pod jakimś względem gorsze od szampana?

— Ależ nie — odparł Sacha. — Chcę powiedzieć, że jest ono pod każdym względem gorsze

od szampana.

— Myślałby kto! Sprzedawca gorsetów! — odparował Harold. — Czy zna się pan na szampanie tak dobrze jak na swoich, proszę o wybaczenie, pani Flecker, pasach i biustonoszach?

— Mój drogi chłopcze, same pasy i biustonosze, jak pan je nazywa, nie są przecież

bluźnierstwem przeciwko Bogu — zachrypiała matka Esther, a była to chrypka zupełnie

przyjemna, spowodowana nadmiarem wina i tańca. — Bluźnierstwem jest raczej sam fakt, że

trzeba je nosić! — W tym miejscu nastąpił wybuch straszliwego śmiechu, który nawet ojciec

Esther uznałby za niestosowny. „Ten jej śmiech mógłby spowodować odpadnięcie płata farby z

jachtu o długości dwudziestu kroków” — narzekał zawsze.

Sacha sięgnął po jeden ze swoich owalnych, tureckich papierosów.

— Ktoś, kto żyje ze sprzedawania gorsetów, niekoniecznie musi mieć podniebienie z fiszbinu

— odparł. — I odwrotnie, jeżeli ktoś zajmuje się sprzedażą win, nie znaczy to, że potrafi

rozróżnić lepszy i gorszy trunek, nie mam racji?

Harold zerwał się na równe nogi.

— No nie, to jest nie do zniesienia! Obraża mnie pan celowo! Reprezentuję honor firmy

Henkell, a wino Henkell jest najlepsze ze wszystkich win na świecie. Bez

wyjątku! Żądam, aby

mnie pan przeprosił!

— Chyba nie oczekuje pan — uśmiechnął się Sacha — że będę przepraszać za mówienie

prawdy.

Esther siedziała teraz na samym brzeżku swojego krzesła. Czuła się w

niewysłowiony sposób

podekscytowana! Nie wystarczy miejsca w pamiętniku, aby opisać wszystko, co się tu dzieje!

Uwielbiała tę arogancję Sachy oraz jego niebezpieczne, miazdzące przeciwnika spojrzenia.

Równocześnie jednak odkryła w Haroldzie znakomicie ułożonego, staromodnego Prusaka. I

pomyśleć, że to o nią walczyli tak zaciekle!!! A przecież i tak żaden z nich nie miał tak naprawdę

szans, bo była już w zasadzie zaręczona z Rodneyem.

— Przeprosi pan — powtórzył Harold — albo będzie pan musiał ponieść konsekwencje.

— Wyzywa mnie pan na pojedynek?! — zapytał Sacha z przesadnym niedowierzaniem.

— Chwileczkę, Herr von Höxter — przerwała matka Esther. — Tego już za wiele!

Monsieur

St–Pierre, mój drogi, proszę przeprosić. Kelner, na litość boską, otworzy pan wreszcie tę butelkę,

czy nie? Całkiem już zaschło mi w gardle!

„Sław Allacha i kręć się, kręć się, kręć! Sław Allacha, tańcz i wiruj!”

— Może to wino nie jest wystarczająco dobre dla pana St–Pierre’a — stwierdził Harold. —

Być może jego podniebienie jest zbyt subtelne i nie może znieść tego smaku.

Słyszałem, że

istnieją mężczyźni o takiej wyjątkowej subtelności.

O zgrozo, pomyślała Esther, on najwyraźniej insynuuje, że Sacha nie jest w pełni mężczyzną!

Sacha rozstawił nogi i przechylił się do przodu.

— Wie pan co, Herr von Höxter? Skoro znalazłem się w tej wyjątkowo niezręcznej sytuacji,
że nie mogę odwołać moich stów, ponieważ nadal uważam, że mówiłem prawdę, i skoro pan
wyzywa mnie na pojedynek, w takim razie może byśmy się jednak pojedynkowali?
— W mojej kabinie są szable — oświadczył Harold. Najeżył się, źrenice miał rozszerzone.
— Nie, nie, nie — zaprotestował Sacha. — Tylko nie szable, na Boga.
— A więc pistolety? Muszą mieć jakieś na pokładzie.
— Niech pan nie będzie śmieszny — powiedział Sacha. — Nie chcę przecież pana zabić, chcę
tylko udowodnić swoje racje. Moja propozycja jest taka: niech stewardzi przyniosą nam obu po
sześć kieliszków szampana, w każdym z nich będzie inny gatunek tego trunku. Natomiast pan i ja
spróbujemy je rozpoznać, tylko na podstawie smaku i wyglądu. Wtedy przekonamy się, kto z nas
wie więcej na temat wina.
Esther klasnęła w dłonie.
— Cudownie! Znakomity pomysł!
Mięsień na policzku Harolda zadrgał. Niemiec zazgrzytał zębami. Najwyraźniej w Sachy St-
Pierre było coś, co sprawiało, że Harold kompletnie nie miał do niego zaufania. Esther była jednak pełna entuzjazmu.
— No, niechże się pan zgodzi, Haroldzie. Będzie świetna zabawa! Wiem, co zrobić! Zwycięzca będzie mógł w nagrodę zatańczyć ze mną ostatni taniec. Co wieczór, dopóki nie
dopłyniemy do Francji!
— Nagroda wydaje się bardzo kusząca. — Sacha uklonił się, błyskając czarnymi oczami w stronę dziewczyny.
— Esther! — zaprotestowała matka. — Ja ci zabraniam!
— Och, niechże się pani zgodzi, pani Flecker! — przekonywał Sacha? — Pani córka jest jak
księżniczka na średniowiecznym turnieju rycerskim, która ofiarowuje zwycięzcy szarfę.
Harold skłonił sztywno głowę i oświadczył:
— W porządku, zgadzam się. Ale jedynie dlatego, że panna Flecker tego sobie życzy, a także
dlatego, że monsieur St-Pierre jest nikim więcej jak tylko błaznem, którego nie należy traktować
poważnie. W normalnych warunkach zażądałbym prawdziwej satysfakcji.
— Dobrze wiedzieć, że nawet wy, Niemcy, zdobywacie się czasami na odrobinę poczucia
humoru. — Sacha wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Steward, czy może pan to wszystko zaaranżować? Sześć gładkich kieliszków, świeżo wypłukanych w wodzie,
napelnionych sześcioma różnymi rodzajami szampana, gatunkowego i negatunkowego. Poczynając od
musującego wina Henkell, aż po te najrzadsze i najlepsze marki. Ja płacę za

wszystko.

— Pan znów mnie obraża! — kłapnęła Harold. — Obraża pan Henkła i obraża pan Niemcy!

— Herr von Höxter, ujada pan jak jamnik. — Matka Es — ther skrzywiła się. Harold miał ochotę kłapnąć również na nią, w ostatniej jednak chwili zdążył ugryźć się w

język. Poderwał się tylko znów na nogi i stał tak z rękami założonymi do tyłu, wysoko

podniesioną głową, czekając, aż przyniosą szampana.

— Pozwólcie sobie powiedzieć — mówiąc to, nie zwrócił się do nikogo konkretnego

— że już

wkrótce nadejdzie dzień, kiedy świat zupełnie się zmieni.

„Stąpaj nogami z wielkim zapałem, słodkiej radości sobie nie żałuj!”

Wieść o Wielkim Szampańskim Pojedynku rozeszła się po sali w błyskawicznym tempie,

wzbudzając wśród gości ogromne podniecenie. Kiedy więc stewardzi ustawili stół na samym

środku parkietu i nakryli go białym, płóciennym obrusem, wszyscy pasażerowie pierwszej klasy

zgrupowali się wokół. Śmiali się przy tym i palili papierosy, a czwarty oficer zaczął już

organizować zakłady o to, kto wygra.

Esther usłyszała, jak pewna ulizana Angielka powiedziała, stawiając dwadzieścia funtów:

— Na litość boską, Freddie! Szkop sprzedaje wino, a Żabojad produkuje majtki.

Moim

zdaniem wniosek jest prosty.

Esther uznała, że cała ta historia jest wyjątkowo pasjonująca. Cieszyła się

jednak, że na

pokładzie nie było nikogo z Nowego Jorku czy Newport, nie chciałaby bowiem, aby plotki o tym

pojedynku dotarły do uszu Rodneya.

Rodney potrafił w bardzo irytujący sposób ujawniać swój instynkt posiadania.

Zakładał

oczywiście, że prędzej czy później wezmą ślub, i nie miał właściwie nic

przeciwko temu, żeby

chodziła na przyjęcia koktajlowe bez niego czy nawet przytulała się do innych chłopców. Jeżeli

jednak ktoś posunął się za daleko, natychmiast zjawiał się obok, marszcząc groźnie swoje

trójkątne brwi. W rezultacie robiło się wszystkim bardzo nieprzyjemnie.

Monsieur Charles Dumas, kierownik sali, zgodził się sędziować. Był to okrągły mężczyzna, o

policzkach pokrytych siecią żyłek, wypomadowanych wąsach oraz z przedziałkiem dokładnie na

środku głowy. Robił wokół straszne zamieszanie i awanturował się tak jak matka

Esther. Uderzał

w dłoń, wysyłał biegiem swoich stewardów to tu, to tam i rozkazywał: Allez!

Allez! Allez!* —

dopóki stolik nie został wreszcie przygotowany.

Harold i Sacha mieli siedzieć obok siebie w odległości około czterech stóp,
rozdzieleni wielką
dekoracją z różowych, staromodnych róż z gatunku Mme Isaac Pereire. Kolejno
mieli
otrzymywać sześć świeżo napełnionych szampanem kieliszków i rozpoznawać gatunek.
Ten kto
by zidentyfikował większą ich liczbę, wygrywał taniec z Esther oraz, jako
nagrodę dodatkową od
kapitana statku, butelkę gatunkowego szampana, który sam sobie wybrał. Nie była
to bynajmniej
skromna premia, ponieważ Normandia mogła się pochwalić najlepszą piwnicą na
morzu. Trunki
zostały złożone tam na sześć tygodni przed pierwszym rejsem, aby wino mogło
przez ten czas
„przyzwyczaić się” do nowego otoczenia.
Sacha, zanim jeszcze usiadł za stołem, podszedł do Esther.
— Czy życzy mi pani szczęścia? — zapytał, trzymając jej dłoń.
— A jak pan myśli? Sacha zrobił skromną minę.
— Myślę, że jestem przystojniejszy niż Harold von Höxter. Myślę, że jestem
bardziej
zabawny niż Harold von Höxter. I w ogóle prawie we wszystkim jestem lepszy od
Harolda von
Höxtera.
— Pod warunkiem, że zna się pan lepiej na szampanie niż Harold von Höxter —
rzuciła
prowokacyjnie Esther.
Sacha wyjął jedną różę z bukietu na stole i wpiął ją Esther we włosy. Był to
gest bardzo
poufały i Esther zaczerwieniła się onieśmielona.
— Jeżeli nie może mi pani życzyć szczęścia, niech się pani chociaż modli, abym
się za bardzo
nie wstawił — uśmiechnął się. — Ja oczywiście wygram. Nie mogę jednak tańczyć,
kiedy jestem
podchmielony.
Zajął miejsce obok Harolda, mrugając jeszcze na koniec porozumiewawczo w jej
stronę.
O Boże, Sacha, pomyślała, ależ z ciebie arogancki cochon! Mimo to musiała
przyznać, że w
jego obecności wciąż czuła lekkie drżenie.
Esther usiadła obok matki. Matka natychmiast szarpnęła ją za ramię i kazała
pochylić się
bliżej.
— Bądź miłsza dla Herr von Höxtera! — syknęła. — Żaden z niego Herr, jego ojciec
jest
baronem i ten ojciec jest bardzo chory.
— A co mu jest?
— Na litość boską, skąd mogę wiedzieć, co mu jest? Jest chory i to się liczy!
Harold nie
spodziewa się, aby dożył końca roku!
— Wobec tego bardzo mi przykro, mamó, ale co to niby ma wspólnego ze mną?

— Czy chcesz, żebym ci to wyśpiewała fortissimo*? Harold wygląda zupełnie przyzwoicie, jest bogaty, nawet bardzo zamożny, a przed końcem tego roku zostanie najprawdopodobniej baronem!

— Tak? — Esther zaskoczona zamrużyła powiekami. Uwielbiała drażnić się z matką w ten sposób.

Matka cmoknęła zirytowana.

— Baronowa Esther von Höxter! Pomyśl o tym!

Esther obróciła się i spojrzała przez stół na Harolda. Zauważył ją. Skinął energicznie głową i skrzywił twarz w nienaturalnym uśmiechu.

— Nie szaleję za nim specjalnie, mamó. W tym cały problem — stwierdziła Esther.

— Spójrz na ten jego okropny nos!

— Na litość boską! Wychodzisz za mąż z powodu tytułu, a nie nosa! Nos, nos, nos!

Kto by się przejmował jego nosem! Przecież ma ładny nos, co ci się w nim nie podoba? Patrz, właśnie go wyciera. Tak, to musi się udać!

— Przykro mi, mamó.

— Uff! — prychnęła matka. — Podejrzewam, że wpadł ci już w oko ten facet od gorsetów.

— Oczywiście, że nie — odparła Esther wymijająco.

— Cóż, marna pociecha.

Przerwały, ponieważ monsieur Dumas wystąpił naprzód i podniósł rękę, prosząc wszystkich o ciszę.

— Wasze królewskie moście, wasza świątobliwość biskupie, szanowni lordowie, panie i

panowie. Rozpoczynamy Wielki Szampański Pojedynek. Steward napełni teraz kieliszki po raz

pierwszy, będzie to wino gatunkowe, my zaś poprosimy Herr Harolda von Höxtera i monsieur

St-Pierre'a, aby je nazwali.

Zerwały się brawa i śmiechy. Dwaj stewardzi podeszli do stołu — a każdy z nich niósł małą,

srebrną tackę z lampką do połowy napełnioną szampanem. Postawiono kieliszki przed Haroldem

i Sachą.

— Każdy z panów ma jedną minutę na zidentyfikowanie szampana — poinformował pan Dumas. — Nazwę proszę napisać na kartkach papieru, które leżą przed wami.

Sacha wziął swój kieliszek, zbadał barwę trunku, powąchał go, po czym podniósł lampkę

najpierw w kierunku Esther, potem jej matki, a na koniec w stronę Harolda. —

Santé* —

powiedział i wypił łyk.

Harold podniósł kieliszek bez żadnych ceremonii, powąchał wino, następnie głośno pociągnął

łyk, zabulgotał i wypluł.

W sali panowała cisza, od czasu do czasu tylko słyhać było pokastywania. Harold wziął do

ręki ołówek i napisał odpowiedź. Sacha natomiast zapisał swoją, pismem ozdobnym w zawijasy,

używając wiecznego pióra.

— Czy są to ostateczne odpowiedzi? — zapytał monsieur Dumas.

Obaj, Harold i Sacha, przytaknęli. Pan Dumas podszedł i zebrał złożone kartki.

— W rzeczywistości był to Royal Reserve Brut z firmy Philipponnat w Mareuil-sur-Ay —

ogłosił. Rozwinął oba kawałki papieru i przyjrzał się im uważnie. Następnie

wyjął okulary z

kieszonki na piersi, założył je i popatrzył raz jeszcze. — No więc, obaj

dżentelmeni odgadli

prawidłowo! A zatem otrzymują po jednym punkcie!

Zerwały się gromkie oklaski. Ulizana Angielka wykrzyknęła:

— Bravo—o—o! — jakby oklaskiwała amatorskiego dżokeja w czasie gonitwy.

Pan Dumas przywołał swoich stewardów, którzy zabrali dwa pierwsze kieliszki i zastąpili je

następnymi. Tym razem szampan był z gatunku rose. Zarówno Harold, jak i Sacha ostrożnie

unieśli kieliszki, a następnie przyjrzeni się trunkowi, oceniając intensywność

barwy. Potem

powąchali go i skosztowali. Harold zamknął przy tym oczy i zastanawiał się przez prawie całą

dozwoloną minutę.

Monsieur Dumas zebrał kartki i podniósł rękę.

— Encore une fois* obaj panowie odgadli prawidłowo! Brut rose, negatunkowy, Ruinart z

Reims. Moje gratulacje!

Matka Esther pociągnęła córkę za rękaw.

— Skąd ten facet od gorsetów zna się tak dobrze na szampanie?

— Nie wiem, mamu. Nawet nie wiem, skąd on zna się na gorsetach.

Wniesiono lampki po raz trzeci, a potem czwarty. Zarówno Harold, jak i Sacha poprawnie

rozpoznali najpierw Reserve Francois—Nicolas Billecart, a następnie, bez najmniejszego wahania,

wino Henkell Trocken.

Piątym szampanem był Cuvee Grand Si?cle z firmy Laurent—Perrier. Harold początkowo

uznał go za Belle Epoque z Perrier—Jouet, potem jednak skreślił pierwszą odpowiedź i napisał

drugą, tym razem poprawną. W tym momencie nastąpiły jeszcze większe brawa, dało się też

słyszeć przesadne jęki zadowolenia.

Teraz pozostał im już tylko jeden szampan do spróbowania. Krąg zebranych wokół stołu

zacieśnił się. Stewardzi wnieśli dwie ostatnie lampki i postawili je przed zawodnikami. Harold

natychmiast uniósł swoją, powąchał i wypił łyk. Zmarszczył czoło.

— Tym razem zadanie jest trudniejsze — powiedział. — Ale szampan jest bardzo dobry, ma zachwycający bukiet, znakomitą moc, wspaniały wiek. Jest całkowicie dojrzały. Sacha także wypił łyk, zastanowił się przez chwilę, a następnie uśmiechnął. Jeszcze raz łyknął i uśmiechnął się znowu, tym razem dużo wyraźniej, na koniec zaś zapisał swoją odpowiedź. Ale Harold odsunął już krzesło, wstał i podniósł kieliszek. — Nie muszę pisać odpowiedzi. Jestem jej całkowicie pewien. To Heidsieck Diamant Bleu. Znowu zerwały się gromkie oklaski, a dwóch czy trzech niemieckich pasażerów podeszło do Harolda i poklepało go po plecach. — A jak brzmi pańska odpowiedź, monsieur? — zapytał Sachę kierownik sali. Sacha rozłożył kartkę i podał mu ją. Pan Dumas spojrzał na nią i podniósł głowę. — Monsieur St–Pierre jest innego zdania. Uważa, że jest to Grand Cuvee z firmy Louis David w Epernay, znany jako LTEtoile de Champagne. — Louis David?! — ryknął Harold. — Jeśli to jest Louis David, to ja jestem rabbi Glickman! Niemieccy pasażerowie wybuchnęli hałaśliwym śmiechem, a jeden z nich krzyknął: — Gegen die Dummheit die Götter kómpfen selbst vergebens!*

Pan Dumas roześmiał się także, ruchem ręki poprosił jednak o ciszę. — Herr von Höxter, z przykrością muszę stwierdzić, że szóstym szampanem był faktycznie Grand Cuvee Louis David. W związku z tym ogłaszam monsieur St–Pierre’a zwycięzcą! Wówczas na sali zapanowała cisza. Triumfalny uśmiech Harolda zniknął w mgnieniu oka. Jego rodacy rozeszli się zawstydzeni. Natomiast Sacha wstał z krzesła, co uczynił elegancko i z godnością, skłonił się bez słowa, podniósł kieliszek i obracając się na wszystkie strony, wznosił toast za swoich towarzyszy podróży. Na koniec zaś wymyślnym gestem wznosił toast na cześć Esther, która zaczerwieniła się. Mimo wszystko, pomyślała, jesteś cochon, i doskonale wiedziałeś, co robisz. — Popatrz teraz, do czego doprowadziłaś! — sapnęła matka. — Tytuł nic dla ciebie nie znaczy! Tak lekkomyślnie nim wzgardziłaś! Jean–Claude Fusee podniósł batutę, a Ses Feux D’Artifices zagraли swingową wersję Marsylianki. Pasażerowie wiwatowali na cześć zwycięzcy i wszyscy z wyjątkiem Niemców zaśpiewali: Allons! Enfants de la Patrie!* w synkopowanym rytmie. Przez chwilę Harold von Höxter kipiał z wściekłości, nie odzywając się, potem uklonił się Esther, jej matce, a na końcu Sachy. — Jak już wcześniej powiedziałem, wkrótce świat zupełnie się zmieni — oświadczył, a

następnie utorował sobie drogę do wyjścia.

— A co, nie mówiłam? — powiedziała ulizana Angielka do swego ulizanego towarzysza, przeciągając słowa. — Wniosek jest prosty. Niemożliwe, aby ktoś, kto sprzedaje wino, znał się na nim chociaż trochę, widzisz teraz? To tak jakbyś oczekiwał od sprzedawcy rolls-royce'ów, ee będzie wiedział cokolwiek o samochodach.

Kiedy zakończył się ostatni taniec, Sacha wyszedł z Esther na pokład, na ostatnią wieczorną przechadzkę w świetle księżycy. Przedtem złożył jej matce uroczystą obietnicę, że bezpiecznie i nie później niż za dwadzieścia minut odprowadzi córkę do kabiny. Niezwykła czerni oceanu

doskonale odbijała światło. Połówka księżycy wydawała się więc idealnym kołem. — Właśnie widzi pani przed sobą wieczność — powiedział Sacha, opierając się o poręcz.

— Nie jestem pewna, czy mi się to podoba — odparła Esther. — Czuję się teraz, czyja wiem... taka malutka.

— No cóż, wszyscy jesteśmy mali — zgodził się Sacha. — W obliczu wspaniale urządzonego wszechświata jesteśmy niczym więcej jak tylko pelzającym robactwem, które walczy między sobą, próbując zdobyć, co tylko się da. Ale to właśnie czyni nas jeszcze bardziej odpowiedzialnymi za siebie nawzajem.

— Obawiam się, że w naszej rodzinie nikt nie ma filozoficznej natury — przyznała Esther. —

Ojciec myśli tylko o pociągach, matka tylko o operze. Powinien pan przyjść do nas na obiad.

Albo raczej nie powinien. Jeżeli ojciec nie wykończyłby pana swoim perfekcyjnie przemyślanym planem przewozów kolejowych, matka z pewnością dobiłaby pana Verdim. To dopiero wspaniałe

życie, może mi pan wierzyć! Pociągi, opera; opera, pociągi! Od czasu do czasu urodzinowe

przyjęcie zakłócające tę monotonię albo przejażdżka łodzią dla poprawienia samopoczucia.

Mając takich rodziców, powinnam poświęcić się medycynie. A czy wie pan, że kiedy byłam

czteroletnią dziewczynką, potrafiłam już stać na puentach?

Sacha uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Jestem rozpieszczonym bachorem — przyznała Esther, niespecjalnie tym zmartwiona. —

Mam tylko nadzieję, że nie znudzę się Rodneyowi. Potrafię być męcząca.

Sacha zapalił papierosa. Pomarańczowy płomień odbił się w jego oczach.

— Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby poczuć się panią znudzony?

— Każdy jest. Pan też, zanim się obejrzy, poczuje się znudzony. Córka Fleckerów, piękne

suknie i pusty mózdek, wie pan, o co chodzi. Miał pan rację, monsieur. Wszyscy jesteśmy robakami, a ja należę do tych najbardziej robaczywych spośród nich. Sacha odgarnął z jej twarzy włosy, które rozwiewał wiatr.

— Im bardziej robaczywy robak, tym miłszy wyda się innym robakom. Esther przez długą chwilę przypatrywała się, jak wierzchem suchej dłoni gładzi jej policzek.

— Skąd pan tak dobrze zna się na szampanie? — zagadnęła. — Ja nie potrafię odróżnić jednego gatunku od drugiego. Ważne, żeby miał bąbelki i działał na mnie rozweselająco — powiedziała prowokacyjnie. Sacha wzruszył ramionami.

— Jedyłą miarą jakości szampana jest radość, jaką daje pijącemu.

— Ale pan potrafi określić, kto wyprodukował szampana, czy jest on gatunkowy, czy nie i inne tego typu rzeczy.

— Gdyby żyła pani na świecie tak długo jak ja, potrafiłaby pani robić różne rzeczy.

— Jakie na przykład?

— No, latać samolotem, grać jazz na klarncie.

— Jedno i drugie równocześnie? Sacha roześmiał się.

— A więc to tak! Zawsze zbija mnie pani z tropu! Esther nic na to nie odpowiedziała. Przyglądała się tylko migoczącemu śladowi, który statek zostawiał za sobą na wodzie. Ślad wił się z dwóch stron na podobieństwo lśniących morskich węży.

— Czy mogę zadać panu naprawdę osobiste pytanie? — zagadnęła po chwili. Spojrzał na nią, sprawdzając, czy aby nie drażni się z nim zbyt okrutnie.

— Oczywiście — odrzekł. — Może pani pytać o wszystko. Chce pani znać mój rozmiar skarpetek? Chce pani usłyszeć, co jadam na śniadanie?

— Chciałabym wiedzieć, czy kiedykolwiek był pan zakochany? — powiedziała Esther.

— Naprawdę rozpaczliwie zakochany, o to mi chodzi. Tak bardzo, że każda sekunda z dala od niej wydawała się godziną, a każda godzina bez niej stuleciem. Sacha spojrział na nią przenikliwie.

— Pyta pani poważnie?

— Poważnie? Oczywiście, że poważnie! Uważa pan, że to nie jest poważne pytanie?

— No tak, jest. Ale pani prawie mnie nie zna. I nagle takie pytanie! Esther wyjęła różę z włosów i bawiła się, obracając ją między palcami.

— Czy nie po to właśnie wymyślono ostatni taniec? A pan przecież starał się jak mógł, żeby go wygrać, prawda?

— Znakomicie — odparł Sacha, a jego oczy zalśniły w blasku księżyca. — Opowiem pani wszystko o sobie, pod warunkiem że pani zrobi to samo. Umowa stoi? Esther uśmiechnęła się podstępnie.

— Łącznie z życiem uczuciowym?

— Łącznie z życiem uczuciowym. Ale pani pierwsza, na tym polega umowa.
— Nie mam nic do opowiadania, czego by pan wcześniej nie przeczytał — zaśmiała się. —

Moja matka to Maria Wygryzwalska, mój ojciec to Thomas M. Flecker. Jestem ich jedynym dzieckiem. Wychowywałam się na Piątej Alei, pod numerem 616 i na Drakes w Newport.

Otrzymałam najlepsze prywatne wykształcenie, jakie można kupić za pieniądze, i prawie wszystko zdążyłam zapomnieć. Lubię przyjęcia, taniec, szampana, bardzo szybkie samochody i grę w tenisa.

— A czy kiedykolwiek była pani zakochana? — zapytał Sacha. — Naprawdę rozpaczliwie zakochana, tak bardzo, że każda sekunda z dala od niego wydawała się godziną, a każda godzina bez niego stuleciem?

— Jestem zaręczona — odparła natychmiast Esther. — W każdym razie prawie zaręczona.

— To nie jest dokładnie to, o co pytałem.

Spojrzała na niego i chciała coś powiedzieć, nie potrafiła jednak znaleźć odpowiednich słów.

Przez moment czuła się pewna siebie, lecz teraz straciła odwagę. Jeśli wyzna Sachy prawdę o

swoim życiu uczuciowym, całą prawdę i tylko prawdę, będzie musiała przyznać, że nie kochała

dotąd nikogo. Nie kochała nikogo naprawdę, nie kochała nawet Rodneya. Przede wszystkim nie Rodneya.

Sacha palił papierosa i uśmiechał się do niej, ona zaś czuła się onieśmielona, miała bowiem

wrażenie, że czyta w jej myślach. Daleko na horyzoncie, niby światła odległego karnawału,

błyszczały lampy innego transatlantyku. Mijał ich, płynąc do Nowego Jorku.

Zaryczała jego

syrena, Normandia zahuczała swoją w odpowiedzi.

— Myślę, że już czas na mnie — oświadczyła Esther.

— Jak sobie pani życzy — powiedział Sacha i wyciągnął rękę, dotykając jej twarzy.

Zrobił to w taki sposób, jakby znalazł właśnie jakiś niezwykle drogocenny skarb.

Schylił się i

pocałował ją w... czoło. Próbowwała złapać oddech. W czoło, a niech to diabli!

Kiedy ona już

zdążyła przymknąć powieki i rozchylić zachęcająco wargi!!! Otworzyła oczy. Sacha był teraz

bardzo blisko. Czuła zapach wody kolońskiej i tytoniu. Znow miała wrażenie, że brakuje jej

powietrza.

Nie mogę oddychać! Nie mogę oddychać! Wszystko jedno! Mogę się nawet udusić, nie mam

nic przeciwko temu!

Wtedy pocałował jej usta. Ich wargi złączyły się płynnie i miękko. Pocałunek nie trwał na tyle długo, aby można go było określić jako namiętny, wystarczająco jednak długo, aby wstrząsnęły nią dreszcze.

— Esther Flecker — powiedział Sacha — jest pani wyjątkowo piękną, młodą damą. Esther nic nie odpowiedziała, tylko uniosła dłoń, dotknęła czarnej, jedwabnej klapy jego

marynarki i odwróciła się. Sacha zszedł za nią do środka. Kiedy znaleźli się w jasno oświetlonym

korytarzu, Esther zamrugła oczami, jak ktoś, kogo nagle wyrwano ze snu.

Mijający ich pan

Dumas ukłonił się Sachy.

— A więc ostatni taniec jutro? — zapytał Sacha, gdy znaleźli się przy drzwiach jej kabiny.

— To pańska wygrana — przypomniała mu.

— Oczywiście, nie będę jednak nalegał, jeśli nie życzyłaby pani sobie tańczyć ze mną.

Trzymał jej dłonie w swoich.

— Naturalnie, że zatańczę z panem — odrzekła. — Nie odebrałabym panu wygranej. Gdyby

pan jednak nie nalegał, byłabym w niewysłowiony sposób rozgniewana.

Pocałował ją raz jeszcze. Pocałunek był bardzo lekki, cudownie delikatny.

Następnie wziął ją

pod rękę i zadzwonił do drzwi.

Służąca Fleckerów, Elżbieta, otworzyła natychmiast. Na pewno stała po drugiej stronie drzwi

z ręką na klamce, pomyślała Esther. Elżbieta była także Polką; siwowłosa, ubrana w szary strój i

ostra jak brzytwa.

— A, jest pani z powrotem, panno Esther! — wykrzyknęła. Zmierzyła Sachę wzrokiem od

góry do dołu, jej dziurki w nosie skurczyły się, zrobiła głęboki wdech i

powiedziała: —

Dobranoc panu.

Sacha ukłonił się Esther.

— Dobranoc, Esther. Nie mogę doczekać się już jutrzejszego ostatniego tańca.

Aha,

odpowiedź brzmi: trzydzieści dziewięć.

— Trzydzieści dziewięć? — spytała zdziwiona.

— Rozmiar moich skarpetek — uśmiechnął się.

Matka, ubrana w jedwabny, brzoskwiniowy peniuar, siedziała przed lustrem przy toaletce i

rozczesywała włosy. Na toaletce czekały już odpowiednie akcesoria — kieliszeczek polskiej

wódki, pudełko czekoladowych truflii belgijskich firmy Leonidas i ogromny

rozpylacz z

perfumami Worth — przyjemności, których zazwyczaj nie odmawiała sobie przed zaśnięciem.

— No i co? — spytała, gdy Esther weszła do sypialni.
— Co, no i co? — rzuciła w odpowiedzi Esther.
Matka przerwała na chwilę czesanie i przyglądała się twarzy córki w lustrze.
— Nie zakochałaś się chyba? Masz wypieki na twarzy.
— Poszłam pospacerować na pokładzie, to wszystko. Jest wiatr.
— Wiesz co, Esther — powiedziała matka, przekręcając się na taborecie — miłość na statku zawsze okazuje się fatalną pomyłką.
— A czy nie jest pomyłką swatanie mnie z kimś, kto ma opinię nazisty?
— Nie bądź taka mądra! Harold von Höxter to dobry chłopak, chłopak z charakterem. Poza tym bardzo cię lubi.
— Oj, mamoo—o! Wolałabym, żebyś przestała bawić się w swatkę.
Matka wlała wódkę do ust, przełknęła ją i potrząsnęła głową.
— Co ty, mając dziewiętnaście lat, możesz wiedzieć o życiu? Spróbuj wyobrazić sobie siebie jako czterdziestoletnią żonę producenta gorsetów.
— Mamo, uważam, że Sacha jest przystojny, czarujący i bardzo go lubię, ale w tej chwili nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić za niego za męża! Jeśli już mam wyjść za kogoś, to moim mężem będzie Rodney!
— Tak tylko mówisz! Jesteś taka sama jak twoja ciotka! Ona też nie zamierzała wychodzić za męża za sprzedawcę ze sklepu spożywczego! A teraz pożycz mi swój grzebień, bo Elżbieta nie może znaleźć mojego.
Esther rozejrzała się wokół.
— A niech to licha! — wykrzyknęła. — Musiałam zostawić torebkę na pokładzie. Pójdę po nią.
— Weź ze sobą Elżbietę — poleciła matka.
— Po cóż u diabła?
— Nigdy nie wiadomo, kto może wałęsać się po pokładzie. Esther cmoknęła z irytacją.
— Myślisz o mężczyznach bez tytułu?
— Nigdy nic nie wiadomo. Nie chcesz chyba zostać zgwałcona przez jakiegoś prostaka.
Kiedy nadeszła Elżbieta, Esther rzuciła jej przygważdżające spojrzenie, które oznaczało: „Nie waż się iść ze mną”. Wyszła z kabiny i szybkim krokiem skierowała się w stronę pokładu, na którym spacerowała z Sachą. Pamiętała, że położyła torebkę na jednej z ławek. Możliwe, że nadal tam leżała. Torebka była co prawda z prawdziwej krokodylej skóry, z brylantową klamrą, ale w środku nie znajdowało się nic, co warto by ukraść.
Po drodze uklonił się jej drugi oficer Ferdinand Troisgros, który właśnie odprowadzał do kabiny ohydny, lecz niesamowicie bogatą panią Slesphen Hunter, wdowę po

Comstocku,

„srebrnym magnacie”. Słyszała ona z tego, że nigdy nie potrafiła dobrać sobie szminki oraz że

dawała bajecznie hojne napiwki.

Esther weszła na pokład Normandii, gdzie za rogiem, ku swemu zaskoczeniu, ujrzała Sachę

we własnej osobie. Zresztą nie tylko Sachę we własnej osobie, ale Sachę z inną kobietą

ramionach. Była to młoda, wyjątkowo śliczna brunetka w różowej, wieczorowej sukni bez

ramiączek i lśniącego diademie. W chwili, gdy Esther wyłoniła się zza rogu, oni właśnie się

całowali!

Złapani na gorącej przyjemności, jak powiedziałyby Bow Frazier, Sacha odwrócił się.

— O! — uśmiechnął się, bynajmniej nie zmieszany. — To znowu pani.

Dziewczyna miała czelność także się uśmiechnąć!!

— Zechcą mi państwo wybaczyć — kłapnęła gniewnie Esther.

— Szukała mnie pani? — zapytał Sacha.

— Szukałam, ale nie pana, tylko mojej torebki.

— Wobec tego, pozwoli pani, że pomogę szukać — zaproponował. — Aha, i niech mi wolno

będzie przedstawić: Madame la comtesse de Flers. Marguerite, oto moja nowa przyjaciółka,

Esther Flecker.

Madame la comtesse wyciągnęła dłoń w różowej rękawiczce.

— Widziałam panią w salonie — powiedziała — w czasie tej niezwyklej degustacji szampana.

Czy to nie było zabawne?

— A tak, bardzo zabawne — rzuciła Esther, ignorując wyciągniętą w jej kierunku dłoń i nadal

rozglądając się za swoją torebką. Największa ze wszystkich dwulicowych świń, wściekała się w

duchu. Jego usta jeszcze nie obeschły po moim pocałunku, a już całuje się z tą słodziutką

hrabiną! I to dokładnie w tym samym miejscu!

— Esther, czy coś się stało? — zapytał Sacha niespokojnie.

— Oczywiście, że nie. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ja tylko próbuję znaleźć

moją torebkę, nic poza tym. Położyłam ją gdzieś w momencie, wie pan, tak zwanej chwilowej

amnezji.

Sacha spojrział na Marguerite i wzruszył ramionami. Potem obrócił się, sprawdzając, czy

torebka Esther nie znajduje się w zasięgu wzroku. Nie było jej jednak ani na ławce, ani na

pokładzie pod ławką.

— Możliwe, że ktoś znalazł zgubę i odniósł ją do kantoru inkasenta — zasugerował Sacha.

Próbował chwycić łokieć Esther, lecz ona wyrwała się szybko. — Esther —

przemówił błagalnie

— bardzo mi przykro. Czy miała pani w środku coś bardzo cennego?

— Ależ nie — odparła Esther. — Ta torebka miała dla mnie wartość tylko uczuciową, choć

pewnie wyda się to panu śmieszne.

— Absolutnie nie — zaprotestował Sacha. — Ale pani gniewa się na mnie, a ja nie bardzo

rozumiem dlaczego.

— Jestem po prostu staroświecka, pewnie dlatego — wyjaśniła Esther. Potem odwróciła się i

ruszyła w kierunku wejścia prowadzącego do luksusowych kabin, nie powiedziawszy nawet

„dobranoc”. Słyszała, jak Sacha mówił coś do pani hrabiny, ale kto by się tym przejmował. Tym

podłym zdrajcą, rzecz jasna.

Kiedy znalazła się znów w kabinie, matka leżała już w łóżku, w eleganckiej, koronkowej

koszuli nocnej, ze szklaneczką wódki i kilkoma jeszcze nie zjedzonymi czekoladkami. Czytała

Przeminęło z wiatrem, wzdychając przy tym wyjątkowo głośno.

— Jeden z oficerów odniósł twoją torebkę — odezwała się. — Jest u Elżbiety.

— Dzięki — odparła Esther. — Idę już spać. Matka zamknęła książkę. I tak niezbyt lubiła

czytać.

— Co się stało? — spytała. — Wyglądasz na zdenerwowaną.

— Nic mi nie jest, mamu. Dziękuję.

— No cóż, nie wierzę ci. Ale dlaczego miałabym się wtrącać?

Esther pocałowała matkę na dobranoc i poszła do swojego pokoju. Usiadła na brzegu łóżka,

wzięła pamiętnik, przekreśliła kluczyk, otworzyła go i zaczęła pisać.

Pytanie brzmi: co myślisz na temat mężczyzn, którzy sypiają z zameźnymi kobietami? Skoro

jest pani hrabina, musi istnieć także pan hrabia! Chociaż książę Windsoru ma już od dawna

dosyć pikantny romans z panią Simpson, a nikt nie wydaje się mieć mu tego tak bardzo za złe!

W chwilę później Elżbieta zapukała do drzwi.

— Panno Esther, kąpiel gotowa.

Esther zawahała się przez moment, następnie zamknęła pamiętnik na kluczyk i odłożyła go.

Ostatnie napisane słowa brzmiały: Aż do dnia mojej śmierci nigdy, przenigdy nie zaufam

żadnemu Francuzowi.

ROZDZIAŁ DRUGI

— Jedziemy do Bois d'Argensolle w najbliższy weekend. Miałabyś ochotę zabrać się z nami?

— spytał Henri.

Esther siedziała po turecku na ławeczce przy oknie w wykuszu. Była w pizamie, miała

wyszczotkowane włosy i pomalowane na błękitno paznokcie u rąk i nóg. Usiłowała

czytać „Le Figaro”, który donosił, że w poniedziałek ostatecznie zatwierdzono rozwód pani Simpson i Ernesta Simpsona. Najświeższe wieści głosiły, że księżę Windsoru opuszczał swoje ustronie w Austrii i spieszył na spotkanie kochanki w Château de Candé. Zdaniem Esther cały ten romans był nie-sa-mo-wi-cie namiętny, nigdy jednak nie udało jej się namówić Henriego, aby przetłumaczył jej bieżące wiadomości. Henri nie uważał, aby pani Simpson i eks-król byli chociaż odrobinę romantyczni. No ale Henri miał tylko dwadzieścia dwa lata i znacznie bardziej interesowały go sportowe samochody i le jazz hot. Ubóstwiał Benny’ego Goodmana i już jedenaście razy był na Wielkiej Radiowej Transmisji 1937. Doprowadzał do szału swojego ojca, kiedy nazywał jego bezcenny fortepian Erarda nie inaczej jak „le pudło na mole”.

Esther złożyła gazetę. W tym roku maj w Paryżu był chłodny, lecz słoneczny. Promienie porannego słońca odbijały się na jej włosach.

— Gdzie jest Bois d’Argensolle? — zapytała.

— W Szampanii. Czeka nas świetna zabawa, jak zwykle zresztą. Mamy tam przyjaciół, Signaców. On jest kompozytorem, bardzo ekscentrycznym, ona maluje. Są zwariowani na punkcie swinga, tenisa i motocykli.

— To brzmi zachęcająco. Czy jedzie ktoś jeszcze? Henri potrząsnął głową.

— Nie, tylko Isabelle.

— W porządku, wobec tego jadę — zgodziła się Esther. — Ale pod warunkiem, że nie zaprosisz matki.

— Oszalałaś?! — zawołał Henri. — Do Bois d’Argensolle wszystkim matkom wstęp wzbroniony!

Henri był jedynym synem Pierre’a i Jeannette Delahaye’ów, przyjaciół, u których Esther i jej matka zatrzymały się w Paryżu. Isabelle natomiast była ich przybraną córką. Matka Esther poznała Pierre’a i Jeannette jeszcze na początku lat dwudziestych. Pierre, straszliwie wówczas bogaty, zajmował się inwestycjami bankowymi, był kolekcjonerem dzieł sztuki i mecenasem Cologne Orchestra. Jeannette, w młodości atrakcyjna, rudowłosa i bardzo obiecująca sopranistka, wyszła za mąż (nieszczęśliwie zresztą) za beznadziejnego wiolonczelistę. Matka Esther zaprzyjaźniła się z nimi podczas najgorętszych dni ich romansu. W tamtych czasach Pierre zabierał Jeannette oraz pół tuzina przyjaciół (aby ukryć ich związek) na niedzielne kolacje do Ritza.

Naturalnie matka Esther uwielbiała je. W tych „dobrych czasach” w niedzielne wieczory aż roiło się w Ritzu od członków rodzin królewskich, międzynarodowych sław oraz milionerów.

Aby wcisnąć się za stół, dawano zapewne szefowi restauracji, Olivierowi z monoklem, napiwki wartości małego samochodu.

Ostatnimi czasy ten dawny, oszałamiający blask zdawał się jakby powracać do Paryża. Być może przyczyniły się do tego owe powodujące niestrawność wieści z Niemiec; to wrażenie, że Europa cierpi na okresowe, polityczne burczenie w brzuchu. Skoro chwieje się cały świat, to cóż innego można zrobić niż tylko urządzać bale.

Z drugiej strony być może bogacze poczuli się po prostu trochę zmęczeni udawaniem biednych. Chcieli się gdzieś pokazać w swoich strojach, urządzać tańce na fortepianach i wielkie widowiska w ogródkach, włóczyć się po całym Paryżu, kochać i pić szampana. Delahaye’owie stali się jednak trochę bardziej konserwatywni, niż byli w latach dwudziestych.

Głównie z powodu wieku. Przyczyniła się do tego także operacja prostaty, której poddano Pierre’a. Nadal urządzali bale maskowe i prozzone kolacje, gromadząc umiarkowanie znakomitych, a także dosyć sławnych gości. Stale też gościli w swoim domu dwie czy osoby.

Ciągle jednak powtarzali: „Trzeba było widzieć za dawnych czasów”.

— Nie ma jednak nic przyjemniejszego, jak co rano widywać przy śniadaniu taką nową, śliczną twarz — powiedział Pierre do Esther i ucałował jej dłoń.

Uważała, że wygląda dosyć staro jak na swój wiek, całkiem jednak nieźle. Z pomarszczoną w przyjaznym uśmiechu twarzą i krótko przyciętymi wąsikami przypominał jej Charliego Chaplina.

Delahaye’owie mieli pied-?-terre w centrum miasta. Był to miniaturowy pałacyk przy rue Jean Giraudoux, nie dalej niż sto jardów od Łuku Triumfalnego. Wprawdzie willa Fleckerów w Newport była dosyć pretensjonalna, jednak wchodząc do domu pod numerem 34, na rue Jean Giraudoux, było się ze wszystkich stron otoczonym absurdalnym przepychem mebli i ozdób.

Zgromadzono tam pozłacane esy-floresy, udrapowane jedwabie, marmurowe kolumny i ogromne, klasyczne malowidła Grosa i Gericaulta przedstawiające lubieżne rzymskie orgie oraz udręczonych herosów, którzy swe wstydlive części okrywali jedynie niewielkimi strzępami tkaniny, unoszeni na tratwach przez sztormowe fale.

Pierre Delahaye lubił opowiadać, że rezydencja przy rue Jean Giraudoux 34,

centymetr po
centymetrze i z uwzględnieniem inflacji, kosztowała piętnaście razy więcej niż
pałac w Wersalu.
Esther uważała, że owszem, dom robił wrażenie wyjątkowo monumentalnego, zbyt go
jednak
zagracono, aby mógł być wygodny. Jeżeli podczas słuchania płyt Cootie Williamsa
i czytania
czasopism nie możesz przewiesić sobie nóg przez oparcie sofy tylko dlatego, że
ten przekłety
mebel to „Ludwik XIV”, to na co ci w ogóle taka sofa?
— Musisz wziąć ze sobą kostium kąpielowy. Signacowie mają wspaniały basen.
Charlotte
zawsze pływa nago. To ma coś wspólnego z jednoczeniem się z naturą.
Właśnie wtedy do pokoju wkroczyła matka Esther. Miała mocno wypudrowaną twarz i
mnóstwo podzwaniających bransolet. Ubrana była w seledynowy kostium Chanel i
pałała
papierosa osadzonego w seledynowej lufce.
— A więc tu jesteś! — odezwała się zrzędliwie. — Jeszcze się nie wyszykowałeś?
— Wszykowałeś na co? — zapytała Esther.
— Czyżbyś zapomniała? Oczywiście, że zapomniałaś! Monsieur Delahaye zabiera nas
na
lunch!
Esther ostentacyjnie przewróciła stronę w gazecie.
— Och, mamó, czy mogę nie iść? Jeśli zjem coś jeszcze, moje sukienki na pewno
popękają w
szwach!
— Nie, nie możesz nie iść. Monsieur Delahaye ma zamiar przedstawić nas diukowi
de
Melicourt, a także jego synowi.
Henri wybuchnął śmiechem.
— Maurice’owi de Melicourt? Temu „rozpylaczowi”? Matka Esther poraziła Henriego
swoim
słynnym „śmiercionośnym spojrzeniem”.
— Twój ojciec mówi, że Maurice to bardzo przystojny, młody człowiek.
— No tak, oczywiście — zgodził się Henri. — Ale mój ojciec nie musi się martwić,
że
zostanie jego żoną.
— Mój Henri, swego czasu byłeś najgrzecniejszym małym chłopcem, jakiego znałam
—
oświadczyła srogim tonem matka Esther.
Henri odgarnął włosy i uśmiechnął się do niej szeroko. Był bardzo chudym
blondynem o
zadartym nosie i wystających przednich zębach, i chociaż wyglądał jak królik z
bajek
rysunkowych, Esther uważała, że jest uroczy. Zawsze potrafił ją rozśmieszyć i
jak dotąd nigdy
nie pozwolił, aby nadęte maniery ich rodziców przeszkodziły mu w tym. Ubrany był
teraz w
bardzo drogą, białą koszulkę z krótkim rękawem i płowe „les portki oksfordzkie”
z diagonalu.

Jego rodzice byli na tyle zamożni, że nigdy w życiu nie musiał pracować, wpadł natomiast na pomysł, aby ubierać się jak kierowca wyścigowy.

— Naprawdę, mamó. Okropnie boli mnie głowa — powiedziała Esther znad gazety.

— Matka udawała, że nie słyszy.

— Zobaczmy się na dole, w holu za dziesięć minut. I załóż coś ładnego. Ten popołudniowy żółty kostium od Schiaparelli.

— Oj, mamó. Wolałabym, żebyś mnie nie „opakowywała” — odezwała się Esther niezadowolona.

Na spotkanie z Maurice’em de Melicourt powinnaś założyć pelerynę przeciwdeszczową — zarechotał Henri. — On pluje, kiedy mówi.

Ale matka jeszcze nie dała za wygraną.

— W porządku, moja droga. Tak, znowu zabawiam się w swatkę, taką już mam naturę. Dlaczego miałabym pozwolić, aby moja córka poślubiła milionera, skoro może poślubić utytułowanego milionera? Dlaczego niby, pytam się? Jeżeli jednak zdoła cię to pocieszyć, to po lunchu jesteśmy umówione w Reboux na kupowanie kapeluszy. Powiedziałam Lucienne, że może się nas spodziewać dokładnie o trzeciej.

Esther opuściła gazetę.

— No cóż — westchnęła — skoro już koniecznie musimy... W rzeczywistości uwielbiała Reboux et Compagnie i ich przepyszne kapelusze. Tak jak wszystkie kobiety, mogłaby przesiadywać w Reboux całymi dniami. Szczególnie zachwyciły ją te najnowsze okrągłe kapelusiki z czarnego aksamitu, przyozdobione bogato pękami strusich piór. Nie mogła już się po prostu doczekać, kiedy wróci do Nowego Jorku i zakasuje Bow Frazier.

— Jedna przestroga! — powiedział Henri, kiedy wychodziła, żeby się przebrać, zabierając ze sobą „Le Figaro”. — Nie pozwól Maurice’owi za bardzo się zbliżyć — ostrzegł. — Znajomi nie bez powodu nazywają go Upiorem z rue Morgue.

Jechały przez lśniące ulice w pięknym beżowo — błękitnym lincolnie, limuzynie Delahaye’ów. Na Polach Elizejskich roiło się od połyskujących w słońcu nowych, seledynowych taksówek, licznych, podzwaniających rowerów i dwukołowych wozów konnych. Promienie słońca przeświecały przez gałęzie kasztanowców, tak że powietrze wydawało się złote, choć było przymglone od kurzu z powodu prowadzonych w szaleńczym tempie ostatnich już prac budowlanych przy Wystawie Paryskiej.

Hector, pyzaty szofer Delahaye’ów, usiłując objechać Trocadero, narzekał strasznie na wystawę i na wszelkie utrudnienia w ruchu, jakie powodowała. Szczególną zaś niechęcią darzył wieżę Eiffla, tę „odblaskową ozdobę” świecącą jednej nocy na różowo, następnej —

na zielono.

Powiedział, że zmieniła ona święty symbol La Belle France w une femme sans vertue*. Rzucił

też nie kończące się kąśliwe uwagi na temat świateł na clous, nowych przejściach dla pieszych.

Za każdym razem kiedy nocą odwoził gdzieś Esther i jej matkę, a jakiś pieszy pojawił się przed

nimi na światłach, warczał: „I na co oni czekają? Na oklaski?”

Natomiast matka Esther, głucha na zrzędenia Hectora, bezlitośnie znęcała się nad swoim

maleńkim, obciągniętym „w jedwab kalendarzykiem.

— Jutro wieczorem, patrz tutaj, czeka nas koktajl w Ritzu, w towarzystwie lady Mendl.

Następnie kolacja w Ambassadeurs z diukiem de Gramont i Elizabeth de Gramont. Elizabeth

mówi, że potrzebuje czyjejś pomocy przy pisaniu pamiętników! Wiesz, ona ma strasznie słabą

pamięć do skandali!

— W odróżnieniu od ciebie, rzecz jasna — wtrąciła Esther. Matka zignorowała ją, oblizła

głośno palec i przewróciła stronę.

— W czwartek jesteśmy umówione na koktajl z hrabiną Jean de Polignac. Co za wspaniała

kobieta! Poczekaj, zobaczysz, co zrobiła ze swoim domem! Pilastry ozdobione draperiami z

czerwonego atlasu! Piątek jest wolny. W piątek przyjeżdża pani Furlonger z Londynu, żeby

zrobić mi pełny masaż. Następnie w sobotę mamy f?te champ?tre* w domu barona de Gunzbourga, w Bois.

— Mój Boże, mamó! — wykrzyknęła Esther. — O niczym nie zapomniałaś. Jesteś po prostu

rozrywana w towarzystwie.

Matka postukała ją w ramię.

— Wiesz, oni wszyscy mnie pamiętają. Do wielu rzeczy byli zdolni, aby tylko móc mnie

usłyszeć. Chodzili słuchać Liły Pons, ale nawet kiedy słuchali Lily Pons, myśleli o mnie.

— Mamo, Lily Pons śpiewa sopranem koloraturowym, a ty kontraltem. Dlaczego mieliby

wtedy myśleć o tobie?

— Dlatego, że oni zawsze myślą o mnie, ty głupia dziewczyno!

— Och, ależ jestem głupia — powiedziała Esther. — Jak mogłam się nie domyślić! Zatrzymali się pod Fouquetem na Polach Elizejskich, Hector wysiadł, aby otworzyć

im drzwi.

Na zewnątrz, na chodniku stało mnóstwo stolików, przy których tłoczyli się już zwykowni

mężczyźni w letnich blezerach i wytworne kobiety w okrągłych kapelusikach ze wspaniałymi

piórami. Jednak wielu młodych ludzi pozdejmoowało nakrycia głowy na czas lunchu.

Matka

Esther uznała to za niemoralne i niebezpiecznie wywrotowe.
Pierre Delahaye siedział w cieniu błękitnej markizy, która głosiła: „Kolacje,
dania barowe i z
grilla”. Wyszedł im na spotkanie. Bardziej niż zwykle przypominał teraz
Charliego Chaplina.
Uchylił kapelusza, następnie ucałował obie panie. Był dzisiaj wyjątkowo
elegancki, w
jasnopolatym garniturze i filcowym kapeluszu w tym samym kolorze.
— Maria Wygryzowska, Esther! Dwie piękne kobiety, które umiła mój posiłek!
Chodźcie,
poznajcie Georges'a i Maurice'a. Właśnie opowiadałem im o was!
Poprowadził je do swojego stolika, przy którym diuk de Melicourt i jego syn
Maurice sączyli
powoli pernoda. Wstali obaj, diuk de Melicourt — mały, blady, z gładkimi,
czarnymi włosami i
wielkim, zakrzywionym nosem, Maurice — wysoki i rozlazły, z jaśniejszymi włosami
i dużą,
ciężką głową, która nie wiadomo dlaczego przypominała Esther wiadro na węgiel, i
w okrągłych
okularach na nosie. W rzeczywistości przypominał raczej wystrojonego konia niż
mężczyznę.
Diuk de Melicourt strzelił obcasami i skłonił głowę.
— Enchante mesdames*. Miałem wrażenie, jakby przez chwilę oślepił mnie blask
słońca! A to
po prostu panie zjawily się niczym boginie, jak dwa bliźniacze anioły.
— Monsieur le duc jest dla nas naprawdę zbyt łaskawy — wdzięczyła się matka.
Nie dla mnie, pomyślała Esther. Czyja rzeczywiście wyglądam aż tak staro, żeby
uchodzić za
bliźniaczą siostrę matki?
— Pozwolą panie, że przedstawię: mój starszy syn, Maurice — kontynuował Georges
de
Melicourt. — Maurice właśnie wrócił z Ameryki Południowej. Opowiedz paniom, co
tam
robiłeś, Maurice.
Maurice uniósł brwi ponad oprawki swoich okularów, jakby zamierzał powiedzieć
coś
niezwykle dwuznacznego.
— A więc, muszę się przyznać, że pojechałem do Buenos Aires kupować konie
wyścigowe.
Kupiłem sześć, przyplyną w przyszłym miesiącu. Ach, co za stworzenia!
Georges uderzył otwartą dłonią w stół.
— Bo widzą państwo, moim marzeniem jest zdobyć Prix du Jockey-Club i Prix de
l'Arc de
Triomphe, obie nagrody w jednym roku! Nie opuszczę tego świata, dopóki tego nie
dokonam!
— Więc, Georges, długo jeszcze pozyjesz — zauważył Pierre Delahaye złośliwie.
— Nonsense! — odparował Georges. — Za każdym razem mam nadzieję, że następny rok
będzie moim wielkim rokiem! W tym sezonie L'Ecstase pędzi szybko jak wiatr. W
przyszłym
roku, gdy skończy trzy lata, będzie huraganem na czterech nogach.

Maurice pochylił się do przodu i szepnął do Esther:
— L'Ecstase to nasza przepustka do Prix de l'Arc de Triomphe. To najkosztowniejsze wyścigi konne na świecie; stanowią ogromny sprawdzian zarówno dla konia, jak i dla dżokeja.
Prawostronny bieg na Longchamp na dwa kilometry i czterysta metrów.
— Nadzwyczaj interesujące! — stwierdziła Esther. Spojrzała w dół, aby przekonać się, że ręka Maurice'a znajdowała się teraz na jej dłoni.
— Excusez-moi* — powiedziała i uwolniła rękę.
— Czy lubi pani konie? — Maurice nadal mówił tym swoim świszczącym szeptem. Henri miał całkowitą rację — Maurice mówiąc, pluł. A nawet gorzej: plując, mówił; tak, to byłoby bardziej adekwatne określenie, myślała Esther.
— Ach, jeżdżę trochę konno — odparła. — Mam dwuletnią klacz Moonshine i czterolatka Diamonda. Lubię zabierać je na przejażdżki brzegiem morza.
— O, to bardzo dobrze. Słona woda wzmacnia ich ścięgna. „u To ostatnie zdanie było tak zroszone śliną, że Esther odsunęła się do tyłu i przycisnęła do matki.
— Czy mógłby pan tego więcej nie powtarzać? — poprosiła Maurice'a.
— Pardon?* — zamrugał oczami.
— Czy mógłby pan nie powtarzać zdania: „Słona woda wzmacnia ich ścięgna”?
— Przepraszam — rzekł Maurice zbity z tropu i lekko dotknięty. Przypuszczał, że niechcący powiedział coś obraźliwego. — Mój angielski nie jest doskonały. Ale może pani mogłaby mnie poduczyć...
Georges de Melicourt uśmiechnął się promiennie do Esther, z drugiego końca stołu.
— Widzę, że pani i Maurice dobraliście się jak w korcu maku. Maurice uwielbia piękne twarze, prawda, Maurice?
Szkoda, że sam taką nie grzeszy, pomyślała Esther. Była już zniecierpliwiona. Kochała Paryż i tutejszy wielki świat zamożnych cudzoziemców — amerykańskich milionerów, angielskich lordów oraz białych, rosyjskich księżniczek. Przez ostatnie dwa tygodnie, od dnia kiedy Henri i Isabelle wyszli im na spotkanie w Cherbourgu, gdzie przybiła Normandia, a Hector przywiózł ją i matkę lincolnem do Paryża, Esther miała okazję oglądać z bliska mnóstwo sławnych twarzy naraz. Znacznie więcej niż widziała w całym swoim dotychczasowym życiu. Nie było tu niczym niezwykłym wybrać się na kolację do Florence'a i zostać wciśniętą między Cole Portera a Barbarę Hutton, podczas gdy spocony Victor przeciskał się obok w poszukiwaniu stolika dla Ali Khana.

Naturalnie Esther oszalała też na punkcie mody. Z pewnością wydały dosłownie miliony franków u Molyneux, Jeanne Lanvin, Schiaparelli i Chanel. Nie wspominając już o kapeluszach Tałbota i bieliznie Verlaine'a. No i te buty! Uwielbiała również nocne życie, chociaż matka upierała się, aby towarzyszyć jej wszędzie w charakterze przyzwoitki, przewodnika, operowego akompaniamentu i w ogóle nieprzyjemnego balastu. Ma fille, wykrzykiwała ze swoim strasznym francuskim akcentem, si heureuse d'avoir une m^{re} si jolie et sympathetigue comme moi-m^{me}*. Ale nawet mimo dozoru matki te modne kluby o niskich stropach, wypełnione duszącym dymem z papierosów i eleganckim towarzystwem, miały w sobie coś niebezpiecznie ekscytującego. A kabarety! Ochryple głosy czarnych piosenek w Brick Top; Kiki i jej niewiarygodnie nieprzyzwoite piosenki w Boeuf Sur Le Toit, i piski dziewcząt tańczących kankana w Bal Tabarin! W Paryżu ledwie można było odróżnić dzień od nocy, nie miało to większego znaczenia. Mogły wracać do nawet o trzeciej nad ranem, mijając N^{otre} Dame, fgtoile, Place de la Concorde, a światła reflektorów nadal zalewały ulice mocnym blaskiem, ludzie zaś wciąż jeszcze spacerowali w wieczorowych strojach. Esther jednak zniecierpliwiona marzyła, aby móc zerwać się z matczynej smyczy. A już wyjątkowo irytowało ją to nie kończące się, bezsensowne jeżdżenie od jednego nudnego młodego arystokraty do drugiego. Jej dłoń została obcałowana chyba przez połowę męzczyzn z towarzystwa, lecz nie spotkała jak dotąd żadnego, na którego widok jej serce zabiłoby chociaż odrobinę mocniej. Nikt nie potrafił poruszyć jej tak, jak uczynił to Sacha St-Pierre, przy którym serce waliło jak szalone. Mineły już dwa tygodnie od chwili, gdy przyплыnęli do Francji, a ona z wściekłością przyłapywała się na tym, że nadal myśli o Sachy. Tak naprawdę to myślała o nim prawie przez cały czas. Następnego ranka po tym, jak przyłapała go na całowaniu się z madame la comtesse Jak-Jej-Tam, Sacha zapukał do drzwi jej kabiny. Zjawił się w niebieskim blezerze, w nieskazitelnie białych, drelichowych spodniach i z kwiatami w ręku. Oczywiście nie chciała rozmawiać z tym zdrajcą I nie przyjęła od niego bukietu gardenii. Tego samego ranka jeszcze raz próbował z nią porozmawiać na pokładzie spacerowym, ale

ona tylko zadarła nos do góry i udawała, że właśnie obserwuje niezwykle interesującą grupę chmur na południowo-wschodniej części nieba. Potem jednak zaczął ją wyraźnie ignorować i to było najbardziej Lerwujące w całej tej sprawie. To ona miała go ignorować, on ją. W ostateczności zaś oczekiwała odręcznego liściku itp. je fen prie, ma cherie*, w którym prosiłby o jeszcze jedną szansę. A tak naprawdę to spodziewała się zapierających dech w piersiach przeprosin z padaniem na kolana czy czymś w tym rodzaju i trzykrotną błagalną prośbą: „Powiedz, że mi przebaczasz, najdroższa. Zbłądziłem, ale teraz zrozumiałem swoją pomyłkę”. Nic z tych rzeczy. Resztę podróży Sacha spędził otoczony tłumem swoich wielbicielek, w tym także madame la comtesse Jak-Jej-Tam, która starała się być tak blisko Sachy, że praktycznie oddychali tym samym powietrzem. Do Esther nie odezwał się ani słowem, nawet nie poprosił o żaden z ostatnich tańców, które przecież mu się należały. Nawet nie mrugnął. Nawet nie spojrzął w jej stronę. Esther próbowała się jakoś pocieszać. Leczyła chandrę w towarzystwie wysokiego Kalifornijczyka zwanego Tipton, przystojnego jak sekwoja i dwa razy od sekwoi grubszego. Kilka razy tańczyła też z natrętnym Haroldem von Höxterem, którego zmuszona była odganiać, uderzając go po rękach. Wszystko to jednak nie zdołało osuszyć łez po utracie czarującego Sachy.

A niech to jasna cholera!

Po raz ostatni widziała go na nadbrzeżu portowym w Cherbourgu. Miał na sobie sztruksowy garnitur w płowym kolorze i kapelusz borsalino. Wsiadał właśnie do wspaniałego, granatowego samochodu, którego maska była tak długa jak sala restauracyjna Normandii. La comtesse Jak-Jej-Tam była z nim, w różowym kostiumie, jak zwykle wyzywająca i bezczelna. I tak odjechał, znikając z jej życia na zawsze.

Dwa dni temu, w witrynie Ariadnę Corsetiere na Polach Elizejskich, zauważyła gorsety La Nymphe i nagle poczuła całkowicie irracjonalną pokusę, aby kupić jeden z nich. O nie, powiedziała do siebie, skoro nie mogę mieć tego mężczyzny, to już na pewno nie chcę jego okropnej bielizny!

— No, tak! — oświadczył Pierre Delahaye i zupełnie niespodziewanie podniósł się, a razem z

nim wstali Georges de Melicourt i matka Esther. Maurice też się oczywiście poderwał. Tylko Esther siedziała nadal, całkowicie zdezorientowana.

— Mamo? Myślałam, że zjemy tutaj lunch.

Matka położyła dłoń w rękawiczce na ramieniu córki.

— Zgadza się, ty zjesz tutaj, kochanie. Pomyśleliśmy jednak, że wam, młodym, będzie o wiele przyjemniej, jeśli my, starzy, pójdziemy sobie i zjemy lunch gdzie indziej.

— Mamo—o—o — warknęła cicho Esther, wciągając powietrze. — Nie możesz mnie zostawić samej z tym człowiekiem. On chce mnie zabić.

Matka schyliła się i pocałowała powietrze dwa cale od Esther.

— Życzę ci doskonałej, cudownej zabawy, kochanie. Czy to nasz samochód, Pierre?

— Mamo, jeżeli on nie zanudzi mnie na śmierć, to już na zapluje mnie na śmierć.

— Hector przyjedzie po was na tyle wcześniej, żebyś zdarła na spotkanie do Reboux. — Matka uśmiechnęła się, a następnie odплыnęła niczym przystrojony w seledyn galeon. Pierre Delahaye i duc de Melicourt szli po obu jej stronach, ona zaś pozdrawiała po drodze różnych ludzi — tych, których знаła, oraz tych, których, jak jej się zdawało, powinna znać.

Esther była wściekła. Oparła łokcie na stole i przypatrywała się naburmuszona swojemu odbiciu w błyszczącym oknie. Maurice usiadł obok i przysunął swoje krzesło do jej krzesła.

Esther odsunęła swoje dalej.

— Nie wyobraża sobie pani, jaka to dla mnie przyjemność — powiedział. — Czy zamówić dla pani drugą lampkę szampana?

— Chyba wołałabym taxi — odparowała Esther.

— Taxi? To rodzaj koktajlu, tak? — zapytał Maurice i podniósł rękę, żeby przywołać kelnera.

Nawet Esther nie potrafiła być aż tak okrutna.

— Niech pan zapomni o taxi — rzekła. — Lampka szampana to znakomity pomysł.

— Kiedy po raz pierwszy panią ujrzałem, zrobiła pani na mnie ogromne wrażenie — przyznał Maurice, energicznie zacierając ręce.

— Czyżby?

Kiwnął głową i uśmiechnął się nieśmiało.

— Uważam, że jest pani naprawdę doskonała.

— No cóż, mówi się trudno. Te dzisiejsze młode Francuzki są zbyt agresywne. Wszystkie chcą głosować, pisać książki albo występować na scenie. Ale pani, pani ma taki niezwykły, staromodny chic*.

— Czy ma pan papierosa? — zapytała Esther.

Maurice otworzył złotą papierosnicę i poczęstował ją jednym gitanes vizir. Potem usiłował podać jej ogień, ale zapalniczka nie chciała się zapalić, niezależnie od tego, jak zawzięcie ją

uruchamiał. Przystojny, siwowłosy mężczyzna z sąsiedniego stolika wstał, uchylił kapelusza i bez słowa podał jej ogień.

— No tak. Dziękuję — uśmiechnęła się Esther.

On natomiast uklonił się i wrócił do swego stolika. Drugi mężczyzna, w którego towarzystwie siedział, pochylał się teraz i coś do niego szeptał. Następnie obaj roześmiali się i pokiwali głowami.

Esther wciągnęła dym. Tytoń okazał się tak mocny i tak gryzący, że prawie się zakrztusiła.

— Co to jest u diabła! — wykrzyknęła, łapiąc oddech. — „Dym z Ogniska”?

— Jest mi naprawdę bardzo przykro. — Maurice tracił już głowę. — Proszę to zgasić.

Przyniosę pani zaraz kilka weekendów, angielskich papierosów.

— Na litość boską, nie! Może lepiej zaczekam na zewnątrz z gaśnicą.

Maurice zamówił lunch. Dla siebie zupę cebulową i ragôut z królika. Esther doszła do wniosku, że jest w stanie przełknąć jedynie salade nicoise i całkowicie jej to wystarczy.

— Jeszcze soupçon* tego wspaniałego szampana? — Maurice wyszczerzył zęby, pochylając się bliżej.

— Proszę, niech pan tego więcej nie powtarza — powiedziała błagalnie Esther. Boże, Maurice był odrażający. Siorbał głośno zupę cebulową i palił podczas jedzenia — zupa,

chleb, papieros, zupa. Wydmuchiwał nos w serwetkę i ani na chwilę nie przestawał mówić, jaka

to Esther jest jolie*, że on zawsze szukał takiej zrównoważonej dziewczyny, że powinni się

wybrać razem na przejażdżkę konną, że jego ojciec o mało co nie wygrał zeszłorocznej Prix de

Dianę w Chantilly, jak należy oceniać wytrzymałość konia, jakim niezwykłym facetem jest

Mussolini, jakim obrzydliwym typem Hitler i wreszcie — jaki to genialny jest on sam i tak dalej,

i tak dalej.

Kiedy podano sałatkę, Esther przeprosiła go, wstała i poszła w głąb restauracji do toalety, aby

się przypudrować. W rzeczywistości nie miała takiej potrzeby, czuła jednak, że jeżeli posiedzi

jeszcze jedną minutę dłużej w towarzystwie Maurice’a Melicourta, z pewnością zacznie głośno

krzyżeć, trawiła kapelusz w lustrze i zrobiła do siebie groteskową minę.

— Jaka jesteś jolie — powiedziała do swojego odbicia, rozciągając powieki i obniżając

palcami kąciki ust.

W tej właśnie chwili pojawiła się starsza kobieta, która wyszła ze swojej małej izdebki dla

personelu i zobaczyła Esther. Kobieta stała teraz zupełnie nieruchomo i niczym

kameleon
wytrzeszczała na dziewczynę wielkie, zaokrąglone Uczy. Esther pospiesznie
poprawiła szminkę
na ustach.
— Jolie pogodę dzisiaj mamy — uśmiechnęła się Esther, rzucając starszej kobiecie
franka na
spodeczek. — Il fait Camembert temps, n'est-ce pas?*

Kobieta nic nie odpowiedziała, nadal jednak przypatrywała się Esther, dopóki
tamta nie
wyszła.
Restauracja Fouqueta miała jedno małe wejście od strony Pól Elizejskich, a
drugie — od
Avenue George V. Esther musiała przepuścić grupę rozgadanych Francuzek
wchodzących do
restauracji. Przez przeszkłone drzwi mogła dostrzec po stronie Pól Elizejskich
Maurice'a, który
siedział nad pustym talerzem po zupie, z kolejnym cuchnącym papierosem w ustach.
Mówił coś
do siebie, miętosząc w palcach bułkę.
Nagle ku swemu zaskoczeniu zauważyła, że po drugiej stronie ulicy idzie nie kto
inny jak
Harold von Höxter. Był to jeden z tych wspaniałych zbiegów okoliczności, które
mogą się
zdarzyć tylko w prawdziwym życiu. Szedł z laseczką spacerową i z kimś rozmawiał.
Esther zawahała się przez chwilę, po czym podjęła decyzję. Pchnęła drzwi
restauracji i
przemknęła chyłkiem, ukrywając się za plecami kelnera, tak aby nie zauważył jej
Maurice.
Podbiegła do Harolda i chwyciła go za ramię.
— Harold! — wykrzyknęła. — Harold, jak cudownie znów cię widzieć!
— Esther! — Harold uśmiechnął się radośnie i uchylił kapelusza. — Cóż za
wspaniała
niespodzianka!
— Myślałam, że pojechałeś do Berlina! — szczebiotała Esther.
Harold potrząsnął głową.
— Wracam tam w przyszłym tygodniu. Nadal mam jeszcze do załatwienia kilka spraw
dla
Henkla. Bierzemy udział w wystawie, natürlich. Czy widziałaś już niemiecki
pawilon? Słupy,
orły, swastyki. Herrlich*.
— Do widzenia, Haroldzie — odezwał się jego znajomy. — Zadzwoń do mnie w piątek.
To
oczywiste, że nie mogę konkurować z tak piękną dziewczyną.
— W porządku, Freddi. — Harold roześmiał się, uściśnął mu rękę i wziął Esther za
ramię. —
Esther, wyglądasz cudownie! To kostium Schiaparelli? Cóż za talent ma ta
kobieta! Ale ty jesteś
tak piękna, że zasługujesz na to, co naprawdę najlepsze!
— Posłuchaj mnie, Haroldzie — rzekła Esther, oglądając się za siebie przez
ramię. Przez

drzwi wejściowe do Fouqueta mogła akurat dostrzec kawałek obrusa i postukujące niecierpliwie

w stół palce Maurice'a. — Potrzebuję twojej pomocy! Versteh?* Tam, w głębi siedzi mężczyzna, który próbuje mnie utopić.

Harold spojrział w stronę restauracji i zmarszczył brwi.

— Co takiego? Próbuje cię utopić? Na samym środku Pól Elizejskich? Jak miałby tego dokonać?

— Zapluwając mnie na śmierć, właśnie tak.

— Żartujesz sobie — stwierdził Harold.

— Jeszcze nigdy w życiu nie mówiłam tak poważnie. Na litość boską, Harold, ratuj mnie!

Poszli razem w kierunku Hotel Taillevent przy rue Lammenais, w którym Harold zatrzymał

się do czasu załatwienia wszystkich interesów przy Wystawie Paryskiej. Mówił zbyt był jak

zwykle napuszony, a jego twarz robiła się buraczkowa. Nic nie wydawało się jednak gorsze niż

salade oise w towarzystwie Maurice'a.

— Nie pomyślisz chyba, że za dużo sobie pozwalam — powiedział Harold — jeśli poproszę,

abyś poszła ze mną na górę do apartamentu. Zostało mi jeszcze do załatwienia kilka telefonów.

Zainstalowali dla mnie w pokoju lodówkę i, uwaga, niespodzianka, jest w niej mnóstwo wina

Henkell Trocken!

— Jeżeli tylko możesz mnie przechować do godziny trzeciej — odrzekła Esther.

Taillevent okazał się małym, mrocznym, surowo urządzonym i cichym hotelikiem. Pachniało

tam woskiem do podłogi, z daleka czuć było ścieki. Apartament Harolda na drugim piętrze

urządzony został z ponurym przepychem, ozdobiono go ciężkim, niebieskim aksamitem. Z okna

roztaczał się widok na nieszczególnie zachwycający, odrapany mur z żółtej cegły i szare,

powykrzywiane drzewo. Naturalnie dyrekcja zdobyła lodówkę, ale była to ogromna, przestarzała

Machina z małym, przymocowanym na górze kominem i zajmowała prawie całą garderobę.

Harold podsunął Esther krzesło, a następnie podszedł do lodówki i wyjął z niej zmrożoną

butelkę wina Henkell Trocken.

— Kiedy myślę o tobie i szampanie, mam raczej przykre wspomnienia — zauważył.

— Ach, masz na myśli Wielki Szampański Pojedynek, przecież to była tylko zabawa.

— Oczywiście, masz rację. Mimo to muszę przyznać, że duma została zraniona.

— Twoja duma? — Esther zdjęła kapelusz i położyła go na stole.

— Zawsze myślałam, że Niemcy są gruboskórni jak nosorożce.

Niekoniecznie — odparł Harold, wyciągając korek i napełniając dwa kieliszki musującym

winem. — Potrafimy być bardzo wrażliwi i bardzo poetyczni. Plätze, O Platz in Paris, unedlicher Schauplatz, wo die Modistin, Madame Lamort, die ruhlosen Wege der Erde, endlose

Bander, schlingt und windet*. To Rilke.

— A Herr Hitler? Czy on też jest poetyczny?

— Hitler? To raczej malarz niż poeta.

— W Paryżu nikt go za bardzo nie lubi, prawda? Monsieur Delahaye mówi, że powinno się go wrzucić do kwasu.

Harold roześmiał się.

— Francuzi nikogo za bardzo nie lubią. Oni są z natury nietolerancyjni i arogancy. Cierpią na ksenofobię, są też bardzo okrutni. Tak! Kiedy krytykują Adolfa Hitlera, powinni pamiętać, że w ten sposób ranią serca Niemców. — Podniósł kieliszek. — Ale wznieśmy lepiej toast za ciebie, moja droga Esther, i za szczęśliwy los, który dziś po południu postawił cię na mojej drodze!

Biedny człowiek! Myślisz, że on jeszcze siedzi w restauracji, czekając, aż wrócisz i dokończysz swoją sałatkę?

— Całkiem możliwe — odpowiedziała Esther. — Bardzo przypadłam mu do gustu. Przez cały

czas powtarzał, że, no wiesz, przypominam mu delikatny, rozkwitający pąk.

Harold uniósł jedną, jasną brew.

— Tak? I miał rację. Jesteś bardzo piękna.

— Haroldzie, daj spokój tym sentymentalnym bzdurcom. Nie miałeś przypadkiem jakichś telefonów do załatwienia?

— Oczywiście, miałem — uśmiechnął się.

Gadał przez telefon chyba ze dwadzieścia minut. Esther w tym czasie rozłożyła się na sofie,

przerzucała „Vogue” i popijała wino. Mogła uchwycić zaledwie ogólny sens tego, co mówił.

Cały czas przyciskał palec do ucha i do kogoś o imieniu Klaus wykrzykiwał coś na temat

schreckhchen Bretten, co, jak odkryła przypadkiem wiele lat później, oznaczało „okropne półki”.

Skończyła przeglądać „Vogue” i rzuciła czasopismo na podłogę. Wtedy właśnie zauważyła, że

Harold gapi się na jej nogi. Mogła przysiąc, że to robi, nie miała co do tego najmniejszych

wątpliwości. A dokładnie gapił się na jej kolana. I nie patrzył po prostu, bo akurat zahaczył o nie

wzrokiem, tylko prawdę gapił się, jakby próbował sobie wyobrazić, co by było, gdyby zsunął z

nich pończochy i obcałował jej nogi na całej długości, od kostki po udo.

Widziała to spojrzenie już wielokrotnie. Zawsze oznaczało ono, że mężczyznę dosięgła

oślepiająca błyskawica zwana niepohamowaną żądzą i wszystkie hamulce,
powstrzymujące
normalnie jego reakcje, teraz właśnie puściły i jest on bliski zrobienia czegoś
naprawdę
żenującego.
Uff, z deszczu pod rynnę, pomyślała. Miejmy nadzieję, że ta nowa o schrecklichen
Bretten i
uerdamnten Verkäufern* przeciągnie się do trzeciej. Trzymaj tak dalej, Klaus,
kimkolwiek
jesteś. Nie chcę po raz drugi urazić uczuć Harolda.
Jednak Klaus, zapewne zmęczony słuchaniem wyzwisk, odłożył słuchawkę. Harold też
to
zrobił, uśmiechnął się krzywo do Esther i wzruszył ramionami.
— To nasz człowiek od reklamy. Obiecał dostarczyć mi na wystawę wszystko, co
najlepsze.
Powinnas zobaczyć, jaką przysłał tandetę! — Wziął butelkę wina i podszedł z nią
do kanapy. —
Pozwól, że napełnię ci kieliszek. A co byś powie — działa na odrobinę muzyki? W
radiu na
jednej ze stacji grają swinga.
Esther starała się być pewna siebie, uśmiechnęła się.
— Może zeszlibyśmy do baru?
Harold rozejrzał się po pokoju.
— Do baru? Po co? Masz tutaj wszystko: dobre wino i przytulnego barmana.
— Harold, ja naprawdę wolałabym zejść do baru.
Harold potrząsnął głową.
— Wierz mi, będziesz tego żałować. Tutejszy bar jest po prostu okropny.
Usiadł obok niej, niewygodnie blisko.
— W takim razie chodźmy do Ritza albo Georgesas.
Harold przechylił się do tyłu, rozciągając rękę na oparciu sofy za plecami
Esther.
— Podoba mi się tutaj. Jest spokojnie, intymnie, mogę porozmawiać.
Esther odsunęła się od niego, jak mogła najdalej. On zaś z udaną nonszalancją
przesunął się za
nią. Przycisnął swoje udo do jej uda. Esther nie mogła już odsunąć się ani
trochę dalej, ponieważ
była teraz przyparta do bocznej krawędzi sofy.
— Harold — rzekła płaczącym tonem — to naprawdę nie ma sensu.
— Nie chcesz ze mną rozmawiać?
— Tego nie powiedziałam. Ale to nie jest dobre dla twojego ciśnienia. Zaczynasz
się robić
coraz bardziej purpurowy. Wybacz, że to mówię.
Harold nachylił się w jej stronę i wtedy właśnie zdała sobie sprawę, jak bardzo
jest pijany.
Opary brandy, wydobywające się z jego ust, widoczne były niemal gołym okiem, jak
żar z pieca
koksowego powodujący falowanie powietrza. Oczy miał mocno zaczerwienione. Kiedy
go
spotkała, musiał właśnie wracać z bardzo obficie zakrapianego lunchu. Nic
dziwnego, że

wydawał się tak jowialny.

Harold zapytał:

— Nie sądzisz, że to pożałowania godne, aby z powodu rygorów obyczajowych mężczyzna

nie mógł wyznać kobiecie, jak bardzo ona go pociąga? — Przerwał na chwilę.

Wymachiwał ręką

w powietrzu, jakby miało mu to pomóc w wyjaśnieniu sprawy. Wylewał sobie przy tym wino na

spodnie. — Pociąga fizycznie, ó to mi chodzi. Rozumiesz, co mam na myśli? Do pokoju wchodzi

piękna kobieta i co się dzieje? Powiem ci: każdy mężczyzna jest już w pogotowiu!

— Wybuchnął

głośnym śmiechem, następnie ucichł i przybrał pełen skruchy, głupawy uśmieszek uczniaka. —

Przepraszam, Esther. Wiesz, mam pewne trudności z kobietami. To znaczy, trudno mi się z nimi

rozmawia. Jestem albo zbyt oficjalny i nudny, albo zbyt wesoły i figlarny.

Esther usiadła prosto, próbując uwolnić się od ręki, która oplatała jej ramiona wężowym

ruchem.

— Haroldzie, uwierz mi. Wiele cech można ci przypisać, ale figlarność do nich nie należy.

— Nie? — Harold przyglądał się jej bez słowa. Wydawało się, że trwa to bardzo długo, potem

skinął głową. — Cieszę się. Uspokoiliś mnie. Boże, czuję się teraz znacznie lepiej! Bałem się, że

cię zdenerwowałem. Ciężko mi się zorientować, co takiego denerwuje kobiety. Mam wrażenie,

że często je denerwuję. Niekiedy czuję się czymś, co można by nazwać wadliwym egzemplarzem.

Nie powinieneś się tym przejmować, Haroldzie — powiedziała Esther. — W głębi duszy, pod

swoją zewnętrzną powłoką, jesteś naprawdę wspaniałym facetem.

Harold usiadł i zmarszczył brwi. Nastąpiła niewiarygodnie długa cisza. Tym razem Esther

zastanawiała się, czy on jeszcze kiedykolwiek przemówi. W końcu jednak odezwał się.

— Moja zewnętrzna powłoka ci się nie podoba?

— Harold, tego nie powiedziałam. Ja po prostu...

— Myślisz, że to ją należy winić za mój brak powodzenia u kobiet?

— Ależ, Haroldzie...

Harold zerwał się na równe nogi i zaczął nagle szarpać krawat.

— Więc nie podoba ci się moja zewnętrzna powłoka? Wobec tego usunę ją. Wtedy ujrzysz

wspaniałego faceta na własne oczy!

— Na litość boską, Harold, przestań! Zachowujesz się jak szaleniec!

— Ja!* Wreszcie robię coś szalonego! Wreszcie robię to, co czuję! I mam gdzieś konsekwencje!

Ściągnął marynarkę, przewracając rękawy na lewą stronę i rzucił ją na podłogę.

Zrzucił buty,

kopnąwszy je tak mocno, że pofrunęły aż do garderoby, i rozluźnił mankiety.

Esther stwierdziła,

że już najwyższy czas, aby wyjść. Wstała.

— Harold — powiedziała tak stanowczo, jak tylko potrafiła — nie myśl, że cię nie lubię, bo to

nieprawda. Myślę jednak, że właśnie zamierzasz zrobić coś, czego będziesz z pewnością żałował.

Harold zatrzymał się. Stał z rozpiętą do połowy kamizelką.

— Esther — przemówił delikatnym tonem, który miał ją z pewnością uspokoić, w rzeczywistości jednak sprawił, że ścierpła jej skóra. — Esther, czy to faktycznie tak źle o mnie

świadczy, jeżeli wyznam, że chcę się z tobą kochać?

Esther spojrzała na zegarek.

— No cóż, Haroldzie, bardzo mi to pochlebia, ale szczerze mówiąc, mam trochę za mało

czasu. Jestem umówiona z mamą na kupowanie kapeluszy.

Harold okrążył kanapę, stając na drodze między Esther a drzwiami. Przez cały ten czas nadal

rozpinał kamizelkę, potem rozluźnił kołnierz i zaczął rozpinać koszulę. Pod koszulą ujrzała naga

klatkę piersiową o białej skórze i mocno uwydatnionych mięśniach jak na posągach Michała

Anioła.

Esther poczuła, że zaschło jej w ustach. Przesunęła się ostrożnie w kierunku okna, aby

sprawdzić, czy nie dałoby się przeskoczyć przez stół i dostać do drzwi w ten sposób. Harold

jednak także się przesunął i zagroził jej drogę.

— Nie boisz się? — zapytał, rozpościerając ramiona. — Spójrz, pod zewnętrzną powłoką

moje wnętrze!

Mój Boże, pomyślała Esther, on rzeczywiście ma zamiar zmusić mnie, abym się z nim

kochała! Myśli, że ja też go pragnę!

Tylko dlatego, że tak dobrze go знаła, słowo „gwałt” jakoś nie przeszło jej przez myśl.

— A teraz, Haroldzie — powiedziała, próbując zachować spokój — zastanów się tylko, co

robisz. Wypiłeś trochę za dużo i jeżeli zamierzasz nadal tak się zachowywać, nigdy już nie będę

cię lubiła.

— Aha, więc tak teraz mówisz! — krzyknął Harold triumfalnie. Oswobodził ramiona z

niemodnych, karmazynowych szelek i zrzucił koszulę. Potem zaczął rozpinać spodnie.

Esther okrążyła kanapę.

— Harold, ostrzegam cię, zaraz zacznę krzyczeć.

Harold kołysał się z boku na bok. W pewnym momencie omal nie potknął się o swoje spodnie.

Zdołał jednak wyplątać z nich stopy, jedną po drugiej, a potem kopnął spodnie na

bok. Następnie
bez najmniejszego wahania wyskoczył ze swoich białych, luźnych szortów.
Esther nie patrzyła tam wprost—nie chciała — wiedziała jednak doskonale o
istnieniu jasnych,
sztywnych włosów łonowych i jasnopurpurowego, unoszącego się penisa. Przelknęła
powoli
ślinę, a równocześnie pomyślała: On jest pijany, kompletnie goły i
nieobliczalny. Jeżeli naprawdę
się nie pośpieszę...
Uciekała wzdłuż sofy z jednej strony na drugą. Harold gonił ją niby goły
piłkarz, który „kiwa”
przeciwnika i dyszał przy tym ciężko. Zamiast jednak okrążyć sofę, wskoczyła na
nią od tyłu,
przeskakując oparcie i prawie już dobiegała do drzwi, kiedy Harold rzucił się
naprzód i chwycił
ją mocno za ramię.
— Harold! — wrzasnęła. — Harold, puszczaj! Aaaaaa—aa! — Był to prawdziwy krzyk
operowy, z którego matka Esther byłaby bardzo dumna.
— Gott im Himmel! — zawołał Harold. — Meine Ohren!* Jej wrzask jednak wcale go
nie
powstrzymał. W rzeczywistości jakby jeszcze bardziej go podniecił. Harold
obrócił Esther i
zmusił ją, aby wróciła na sofę.
— A teraz, moja piękna księżniczko, moja najdroższa, teraz będziemy wyznawać
sobie
miłość, tak?! I uprawiać miłość!
Esther wierzyła, szamotała się i wbijała w niego paznokcie, ale siła Harolda
była
przytłaczająca. Chyba nawet nic nie poczuł. Mężczyzny, dla którego szramy po
szabli na
policzkach stanowiły symbol męskiej dumy, z pewnością nie zdoła powstrzymać
kilka kocich
draśnięć.
— Esther, dlaczego się bronisz? — Sapał, wciskając ją w poduszki. (Boże, ten
oddech!) —
Nie widzisz, jak bardzo cię pożądam? Powinnaś być z tego dumna! — Wdrapał się na
nią i
przydusił całym ciężarem swojego ciała. — Uwielbiam cię! Doprowadzasz mnie do
szaleństwa!
— Zaczął zadzierać jej spódnicę, odsłaniając podwiązki.
— Aaaaaaaa! — wrzeszczała Esther. Obite tkaniną ściany i ciężkie meble tłumiliły
jednak jej
krzyk. — Aaaaaaaa! — krzyknęła ponownie.
Tym razem Harold wymierzył jej dosyć mocny policzek.
— Jestem mężczyzną! Jestem Harold von Höxter! Ich bin Deutschland! Ich bin die
Zukunft!*
Ulegniesz mi, a potem będziesz dumna, że to zrobiłaś!
Podniósł się, szarpiąc teraz gwałtownie jej jedwabne majtki i miętosząc grubymi
paluchami
obnażone uda Esther. Kiedy to robił, dysząc ciężko, Esther udało się sięgnąć za

siebie ręką w
poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby go uderzyć — popielniczki, książki,
czegokolwiek.
Koniuszkami palców wyczuła chłodną butelkę Henkell Trockena.
Harold ściągnął jej majtki do połowy ud. Jego twarz, czerwona od wypieków
pożądania,
odbijała się ostro od mlecznobiałej, muskularnej klatki piersiowej.
— Domagam się nagrody! — ryczał. — Esther, meine Prinzessin*!
W tej właśnie chwili Esther udało się błyskawicznie przysunąć butelkę wina o
jeden cal bliżej,
chwycić ją i dźwignąć do góry. Skierowała butelkę dokładnie między uda Harolda a
swoje
własne, po czym przechyliła ją. Oboje krzyknęli przy zetknięciu ze strumieniem
lodowatego
wina. Harold nie mniej przeraźliwie niż Esther. Esther upuściła butelkę,
podźwignęła się,
skurczyła, pchnęła ciało naprzód i zdołała wydostać się spomiędzy jego ud.
Niezgrabnie
przekoziółkowała na dywanie, a następnie wstała, z trudem łapiąc oddech.
Harold z wyrazem zaskoczenia i bólu na twarzy patrzył w dół na swoje ciało.
Zmrożony
Henkell Trocken, tak jak zimna morska woda, wywołał natychmiastowy efekt.
— Coś ty mi zrobiła? — krzyczał. — Coś ty mi zrobiła?
Ale Esther, potłuczona i wściekła, w spódnicy przemoczonej zimnym winem, nic nie
odpowiedziała. Naciągnęła pończochy, wzięła kapelusz oraz torebkę i ruszyła w
stronę drzwi.
Harold nadal klęczał na sofie i gapił się na nią. Tym razem na jego twarzy
malowało się
oburzenie raczej niż pożądanie.
— Myślałem, że trochę ci na mnie zależało — powiedział.
— Jesteś pijany — odparła. — Jesteś pijany i zupełnie obrzydliwy.
— Esther — rozejrzał się po pokoju, jakby po raz pierwszy widział go na oczy —
przepraszam. Ja chyba myślałem, że pragnęłaś tego tak bardzo jak ja.
— Nic takiego nie myślałeś — odparła. — Chciałeś mnie zgwałcić, uderzyłeś mnie i
jeśli
kiedykolwiek jeszcze zbliżysz się do mnie na odległość mniejszą niż mila, każę
cię aresztować.
— Och, daj spokój. — Harold roześmiał się. — To tylko żarty między przyjaciółmi.
— Ja nie żartuję, Harold. Żegnaj.
Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Harold wrzasnął:
— Zrobiłaś to tylko dlatego, żeby mnie upokorzyć! Sprowokowałaś mnie! Ty
Żydówko! Ty
flejtuchu!
Drżąc jak w gorączce, Esther zeszła po schodach prowadzących do hotelowego holu.
Na
zewnątrz poczuła świeże powietrze. Rue de Lammenais była głośna i oświetlona
promieniami
słońca. Tłoczące się na chodniku kobiety w plisowanych spódniczkach i
kapeluszach z piórami
wyglądały młodo jak uczennice.

Przeszła pieszo całą drogę dzielącą ją od ronda na Polach Elizejskich. Czowała w sobie pustkę, była w szoku i nie mogła opanować wstrząsających nią dreszczy. Dotarła wreszcie do modystek Reboux. Przeszła przez szklane drzwi i wsiadła do windy. Kiedy jechała do góry, zamknęła oczy i powiedziała do siebie: Już po wszystkim, nie skrzywdził cię, zapomnij o tym. Szła wzdłuż okrągłej galerii i słyszała swój oddech. Miała wrażenie, że panował tam upał nie do zniesienia i nie było czym oddychać. Pokryta czerwonym dywanem podłoga wydawała się kołysać niczym pokład Normandii. Właśnie wtedy, gdy ujrzała przy oknie zdenerwowaną matkę, która mówiła coś do Lucienne, jej ciałem wstrząsnął Szloch, początkowo bezgłośny, a po policzkach popłynęły łzy. Matka zauważyła Esther i pospieszyła w jej kierunku. — Esther! Gdzieś ty się u diabła podziewała? Maurice wychodzi z siebie! Duc de Melicourt zawiadomił policję! Hector w poszukiwaniu ciebie objeżdża całą dzielnicę! „Zostawiła sałatkę, powiedział Maurice, i znikła jak kamfora!” Esther nie mogła złapać tchu, nie mogła mówić. Ukryła się tylko w ramionach matki i płakała. Lucienne stała kilka oków dalej, wyraźnie niezadowolona z dramatu, który rozgrywał się w jej salonie. Stukała niecierpliwie elegancko wymalowanymi paznokciami w ozdobiony niebieską wstążką czepek. Gdy Esther obudziła się rano następnego dnia i ujrzała świecące słońce, poczuła się całkiem dobrze. Odczuwała pewną satysfakcję, przekonawszy się, że nie jest aż tak słaba i kapryśna, jak zawsze sądziła. Być może odziedziczyła po matce trochę tej niezwyklej mocy pozwalającej przezwycięzać wszelkie przeszkody, które stawiało przed nią życie, a po ojcu — jego żelazną zasadę, by nigdy nie iść na ustępstwa. W każdym razie Héloïse, służąca Delahaye’ów, przyniosła jej do łóżka wiklinową tacę z rogalikami, świeżym sokiem grejpfrutowym i kawą. Przyszła również matka, która usiadłszy na krawędzi łóżka, maczała palec w morelowych konfiturach. — Wiesz, trzeba złożyć skargę do Niemieckiej Ambasady — powiedziała. — Powinni aresztować Harolda i zastrzelić go, a przynajmniej wykastrować. Dobry Boże, aż strach pomyśleć, co by zrobił twój ojciec, gdyby się o tym wszystkim dowiedział! Przywiązałby pewnie Harolda do szyn kolejowych i przejechał po nim parowozem! I to dwukrotnie! Esther zdołała się uśmiechnąć.

— Mamo, wiem, że jesteś zła. Ja jednak wolałabym zapomnieć o całym zajściu. Harold był strasznie pijany. Nie uważam, żeby zgłaszanie tego na policję miało jakikolwiek sens. Co ja bym im powiedziała? Że zostawiłam biednego Maurice'a u Fouqueta i odeszłam z pijanym Niemcem? Że zgodziłam się pójść sama z tym pijanym Niemcem do jego hotelowego pokoju w środku dnia? Bądź rozsądna, mamo, wiesz równie dobrze jak ja, jak zareagują ci francuscy policjanci. Uniosą brwi do góry i będą chrząkać znacząco. Nigdy nie zrozumieją tego, że Maurice pluł. Matka Esther wykwinie, aczkolwiek głośno oblizwała palec.

— Cóż, nie jestem pewna, czyja to rozumiem. Nieszczęsny młodzieniec, o tak znakomitych koligacjach! — Popatrzyła jednak na córkę z uśmiechem. — Myślę, że masz rację — powiedziała. — Może to zabrzmie dziwnie, ale Maurice jest raczej... cóż, podejrzewam, że pewnego dnia zostanie diukiem, ale jest po prostu beksą. Płakał jak mała dziewczynka, kiedy myślał, że cię stracił. Wiesz, kochanie, bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Gdybym tylko wiedziała! Nie można jednak ufać Niemcom, zapamiętaj to sobie! Nigdy, przenigdy. Berliński Scala Theatre jest mi winny sześć tysięcy marek od 1931 roku! Teraz nie są już warte papieru, na którym je drukowano. — Rzuciła okiem na tacę Esther, sprawdzając, czy nie zostały tam jakieś resztki rogalika. — W każdym razie nic ci nie jest i tylko to mnie obchodzi. Doktor Mathias mówi, że siniak pod okiem też wkrótce zniknie. Dzięki Bogu! Myślę jednak, że na bal maskowy mogłabyś pójść przebrana za pierrota z czarnymi obwódkami wokół oczu. Esther popijała kawę małymi łykami, a następnie odstawiła filiżankę na spodeczek.

— Mamo... Wolałabym raczej zostać w domu do końca tygodnia. Wiem, że właściwie nie zostałam... no, powiedzmy, nie zostałam poważnie ranna. Przeżyłam jednak szok i potrzebuję kilku dni, żeby wrócić do siebie. Może pomyślę o jakimś wyjściu w przyszłym tygodniu.

— W przyszłym tygodniu? Przecież w sobotę mamy iść na f?te champ?tre! To ma być wielkie wydarzenie towarzyskie tego lata! A Jean-Paul Gaillard zgodził się dotrzymywać nam towarzystwa i poprosił tego cudownego księcia Kutchńskiego, żeby także do nas dołączył! Bardzo przystojny jest ten Kutchński! Wygląda jak Kozak, który zapomniał futrzanej czapki. Kroczy po ulicy, jakby wędrował po stepach! I w ogóle nie pluje! Będziesz nim zachwycona,

jestem pewna! Mogłabym mieć córkę księżną!
Esther uśmiechnęła się do matki smutno.
— Mamo, ostatnim człowiekiem, który nazwał mnie księżniczką, był Harold.
Wczoraj, kiedy
próbował mnie zgwałcić.
— Och, moje biedactwo! — Matka odstawiła tacę, usiadła blisko Esther i
przycisnęła ją do
siebie.
Esther była wdzięczna za te serdeczności i odwzajemniła szczerze uścisk, lecz
jednocześnie
czuła, jak szmaragdowo–brylantowa broszka matki tak mocno wbija jej się w nos,
że z ledwością
może oddychać. Niemniej jednak cierpliwie czekała, aż zakończy się ten
ostentacyjny pokaz
matczynej miłości, starając się zużywać jak najmniej tlenu i trzymając głowę
dziwacznie
uniesioną, aby uchronić się przed ukłuciem broszki.
W końcu matka doszła do wniosku, że nie może marnować reszty dnia na ściskanie
cóрки i
podniosła się.
— Chyba zadzwonię do Jeana–Paula i powiem mu, że nie możemy przyjść — rzekła,
wzdychając głęboko.
— Ależ nie! — zaprotestowała Esther. — Nie ma takiej potrzeby! Możesz pójść
sama. Pewnie
będziesz się znacznie lepiej bawiła, jeśli nie będziesz musiała ciągnąć mnie ze
sobą.
Matka Esther klasnęła w dłonie.
— Ale co ty będziesz robić? Bal zaczyna się rano, potrwa cały dzień, a
prawdopodobnie i
znaczną część nocy. Jakie to będzie przykre, spędzić tyle czasu beze mnie!
— Mamo, naprawdę nic mi nie będzie! Potrafię znakomicie bawić się sama, wiesz
przecież!
Isabelle ma układankę, o której od dawna już marzę, a Henri mnóstwo swingowych
nagrań.
Zresztą Henri planuje wyjechać w sobotę na wieś. Mogłabym pojechać razem z nim.
Matka potrząsnęła powoli głową. Jej policzki zafalowały jak woda w wannie, z
której dopiero
co ktoś wyszedł.
— Układanka! Płyty! Wycieczki na wieś! Moja kochana, w twoim wieku, jeśli nie
tańczyłam
na jakimś balu, musiałam badać sobie puls, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie
umarłam!
— Mamo, ja o mało co nie zostałam zgwałcona.
— No, tak — stwierdziła matka. Jej współczucie dla innych ludzi, nawet dla
Esther, miało
ściśle określone granice. Zawsze jej się wydawało, że jeżeli zbytnio będzie
współczuła innym
ludziom, oni natychmiast zaczną skomleć i użalać się nad sobą, a to za bardzo
oderwie ich uwagę
od najważniejszego ze wszystkich tematów, jakim była jej własna osoba. — Uważam,

że
faktycznie należy ci się krótki okres rekonwalescencji.
Kiedy Héloïse przyszła po tacę, matka Esther wyrzuciła z siebie w powietrze
mnóstwo
drobnych, niewidzialnych całusów i ruszyła na kolejne zakupy. Mainbocher nie
został jeszcze do
końca splądrowany.
Gdy Esther była zupełnie pewna, że matka już sobie poszła, sięgnęła po stojący
koło łóżka,
wykonany z mosiądzu i kości słoniowej, telefon i wykręciła siódemkę. Henri
odebrał prawie
natychmiast.
— Henri? Tu Esther.
— Esther, jak się czujesz? Ojciec mówił mi o twoim strasznym przeżyciu!
— No, nie było może aż tak straszne, jak mogłoby się zdawać. Raczej śmieszne,
powiedziałabym. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Mam teraz
wymówkę, żeby
nie iść z mamą na ten sobotni bal maskowy.
— Ale tam naprawdę będzie ci się podobało! — wykrzyknął Henri. — Przyjdą różni
zabawni
ludzie!
— Henri — odparła Esther — czy nie zaświtało ci jeszcze w głowie, że muszę
spędzić trochę
czasu z dala od matki? Ona mnie dusi, Henri! Kocham ją i tak dalej, ale ona
zabiera mi za dużo
powietrza! Zresztą chcę pojechać z tobą i Isabelle do Szampanii.
— W porządku, kotku, skoro chcesz właśnie tego — powiedział Henri. — Nie
chciałem po
prostu, abys mnie potem obwiniała, że nie poszłaś na bal. Wyjeżdżamy około
dziewiątej rano i
dotrzemy do Bois d'Argensolle w porze lunchu. Jedyne, czego potrzebujesz, to
rakietę tenisową i
kostium kąpielowy. Albo tylko rakietę tenisową. Zależy, na ile awangardowo się
czujesz.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nad nimi rozpościerało się błękitne niebo, usiane puchatymi barankami chmur.
Mknęli
krętymi, wznoszącymi się drogami, które prowadziły doliną rzeki Marny. Mijali
farmy i sady,
maleńkie wioski i kościółki, stodoły i domy z pozamykanymi przed słońcem
okiennicami.
Zostawiali w tyle tumany kurzu i śmieci, kurczaki oraz starszych mężczyzn
marszczących brwi,
jakby ujrzeli zjawę z przyszłości, która pędziła zbyt szybko, aby mogli ją
pochwyć.
Zatrzymali się na chwilę przy Château Thierry, skąd roztaczał się widok na
wysokie wzgórza
po drugiej stronie rzeki. Henri zaparkował na poboczu swój lśniący, szkarłatny
kabriolet marki
Peugeot, a potem wyjął butelkę czerwonego burgunda. Usiedli w wysokiej trawie,

otoczeni przez
fruwające motyle i obserwowali błyszczącą rzekę oraz ruch samochodów wokół
miasta.

— Tu jest ta—ak spokojnie — powiedziała Isabelle, wyciągając się na trawie i
patrzac w
niebo.

Była niewielką, śliczną dziewczyną, dosyć ciemną, podobnie jak jej brat, o
wielkich,
brązowych oczach i pełnych, różowych wargach oraz ujmującym wyrazie twarzy,
który sprawiał
wrażenie, jakby nie mogła złapać tchu albo miała się zaraz rozplakać. Była o rok
młodsza od

Esther i niezwykle elegancka. Zawsze nosiła wyjątkowo dopasowane suknie oraz
najszybkniejsze kapelusze, a kiedyś starał się o jej względy sam Serge Lifar.

Mimo to była nie

mniej sympatyczna i gadatliwa niż Henri i tak samo jak on drwiła sobie ze snobów
i nudziarzy.

— Dziwię się, że nie chciałaś iść na f?te costumée — rzekła Esther.

Isabelle zmarszczyła nos.

— Jestem już powoli zmęczona oglądaniem starszego pokolenia w akcji. Im są
starsi, tym

robią głupsze rzeczy. Kiedy po raz pierwszy widzisz swoją matkę wystrojoną w
zasłony z

sypialni oraz ojca, który bez butów i skarpetek tańczy na fortepianie, to jest
to zabawne. Ale za

trzecim razem... no wiesz, ogarnia cię straszliwa nuda.

Henri poczęstował je papierosami. Zapalili.

— A poza tym — dodała Isabelle — uwielbiam odwiedzać Signaców. Potrafią mnie
rozweselić. No i taka ucieczka z Paryża raz na jakiś czas bardzo poprawia
samopoczucie.

Sącząc wino, Esther przysłoniła ręką oczy i spojrzała przed siebie na
połyskującą rzekę.

— Pięknie tu — stwierdziła. — Tak cicho, że można niemal usłyszeć głosy ludzi
rozmawiających w mieście.

Henri wypuścił dym.

— Trudno byłoby ci uwierzyć, że jakieś dwadzieścia trzy lata temu niemiecki
Siódmy Korpus

stacjonował właśnie tutaj, na wschód od Château Thierry, a cała ta dolina
stała w ogniu.

Zginęły tutaj tysiące mężczyzn: Francuzi, Niemcy, Brytyjczycy. Może to właśnie
ich rozmowy

słyszysz, echa ich głosów.

— Oj, Henri, nie strasz nas — skrzywiła się Isabelle. Ale Esther rozejrzała się
po tej ciepłej,

sielankowej dolinie i miała niesamowite uczucie, jakby przenosiła się w czasie.

— Bitwa nad Marną w 1914 — powiedział Henri i wskazał ręką na wschód. — Cała
Szampania była jednym wielkim potem bitwy. Tam, gdzie ginęły tysiące dzielnych

ludzi, rosną

teraz winogrona.

— To Laurence opowiedział mu to wszystko — wyjaśniła Isabelle.

— Laurence?

— Signac, ten człowiek, którego jedziemy odwiedzić. Laurence jest bardzo romantyczny. I odrobinę fou.

— Isabelle ma na myśli: zwariowany — rzekł Henri, dolewając wszystkim wina. Kiedy jechali dalej w górę Marny, okolica robiła się coraz bardziej pofałdowana, górzysta i

coraz więcej pól porośniętych było winoroślą, której liście tańczyły wesoło w promieniach

słońca. W małym miasteczku Dormans odbili od Marny i jechali teraz wąską, wiejską drogą

prowadzącą przez las w kierunku Bois d'Argensolle, w którym mieszkali Signacowie.

Powietrze wypełniał cierpki zapach jodły. Śpiewali: „Sław Allacha i kręć się, kręć się, kręć!

Sław Allacha, tańcz i wiruj!” Esther siedziała na tylnym siedzeniu peugeota, wiatr rozwiewał jej

włosy i czuła, że życie jest niczym innym jak tylko jedną, wielką zabawą.

Dotarli do domu Signaców tuż po dwunastej. Zjechali powoli stromą, krętą drogą prowadzącą

między cienistym lasem jodłowym a polem, na którym pasło się mnóstwo czarno — białych

krów. Było teraz gorąco i w chłodnicy samochodu głośno bulgotało, a Henri musiał jechać wolno

z powodu nachylenia drogi.

Wysoki, ładnie przystrzyżony żywopłot z cisów otaczał dom, a właściwie mały pałacyk z

brązowego kamienia, kryty dachówką, ze strzelistymi wieżami i maleńkimi wieżyczkami, w

których gnieździły się białe gołębie. Henri zatoczył peugeotem wielkie koło na pokrytym żwirem

dzieńcu, zatrąbił, a potem wyłączył silnik.

— Mam nadzieję, że są w domu — odezwała się Isabelle, wysiadając z samochodu. — Mogli

zapomnieć, to do nich podobne.

— Nie przejmuj się — uspokoił ją Henri. — Wiem, gdzie chowają klucze i gdzie trzymają

szampana.

Nie było jednak powodu do obaw (a może właśnie był!), ponieważ nagle frontowe drzwi

pałacyku otworzyły się z hukiem i pojawił się w nich krępy, łysiejący mężczyzna w białych

spodenkach tenisowych, z rakieta w jednej i z czymś, co wyglądało na pistolet, w drugiej ręce.

— Henri! Isabelle! — wykrzyknął, zbiegając po schodach po dwa stopnie naraz. — Moi

kochani, młodzi przyjaciele! W samą porę na kieliszeczek szampana przed lunchem! Henri poprowadził Esther naprzód.

— Laurence, mam przyjemność przedstawić ci pannę Esther Flecker z Ameryki.

Laurence przełożył rakieta do tej dłoni, w której trzymał pistolet, uściskał

rękę Esther i
ucałował. Następnie spojrzął na dziewczynę i uśmiechnął się. Był w
rzeczywistości całkiem
przystojny, na swój francuski sposób. Spod sportowej koszulki wylaniały się,
jakby usiłowały się
stamtąd wyrwać, kręcone, czarne włosy porastające klatkę piersiową. Wydawało
się, że energia
rozpiera Laurence'a. Esther zrozumiała teraz, dlaczego Isabelle określiła go
jako „odrobinę fou”.
— Przyjaciele Henriego i Isabelle na wieki pozostaną moimi przyjaciółmi —
oświadczył
Laurence. — Nawet jeżeli Henri i Isabelle będą daleko stąd, nawet jeżeli nie
będą żyć, bez
wahania przygarnę cię do mej piersi.
Perspektywa bycia przygarniętą do tego czarnego gąszczu na piersi Laurence'a nie
wydawała
się zbyt pociągająca, Esther jednak odpowiedziała:
— Merci*, Laurence — i zdobyła się na uśmiech.
— Nie zawracajcie sobie głowy bagażami. Albert zanieś je do pokojów. Chodź,
poznaj
Charlotte. Właśnie graliśmy w nowy rodzaj tenisa.
— Jeśli przegrasz, zabijasz przeciwnika? — zapytał Henri.
— Nie, nie, nic z tych rzeczy. Jesteśmy pacyfistami! Gra na tym, że trzeba, o
ile to możliwe,
odbić piłkę do przeciwnika, a jeśli nie uda ci się jej dosięgnąć, zestrzelić ją,
spadnie na ziemię.
— To strasznie niebezpieczne — stwierdziła Esther.
— Nie, wcale — odparł Laurence. — W każdym razie nie graczy. Za to dla widzów,
owszem!
Laurence przeprowadził ich przez pusty, wysoki hol z błyszczącą, marmurową
podłogą.
Odgłosy ich kroków odbijały się echem. Po obu stronach, na pokrytych dębową
boazerią
ścianach, wisiały surrealistyczne obrazy nagich kobiet o białej skórze. Była tam
też głowa
jelenia, któremu ktoś wetknął do pyska wielkie cygaro. Przeszli następnie przez
jasny korytarz o
kamiennych ścianach, aż w końcu znaleźli się na przestronnym patio z widokiem na
ogród.
Widok łagodnych wzgórz Bois d'Argensolle był jakby przymglony przez południowy
upał. W
samym ogrodzie kołysały się tysiące białych róż i brzęczały pszczoły. Pośród
żywopłotu stały
dziwne, białe figury: potwory, jednorożce oraz powykrzywiane, nagie postacie
ludzkie. Bliżej
domu natomiast znajdował się ogromny basen z fontanną w stylu rzymskim, otoczony
turkusową
mozaiką. Z basenu szerokie, kamienne schody prowadziły na patio.
Przy stole na patio siedziała długonoga i długoreka kobieta w białym,
marokańskim kaftanie,

ukryta w cieniu swego Wielkiego, białego kapelusza. Jedyne, co Esther mogła rozróżnić, to opalona stopa w białym, rzemykowym sandale i opalona dłoń, w której kobieta trzymała czytana książkę.

— Charlotte, nos amis*. — krzyknął Laurence, na co ona podniosła głowę. Twarz jej pozostała ukryta za olbrzymimi okularami przeciwsłonecznymi, które miały błyszczące, zielone szkła. Z daleka wyglądała jak owad albo osoba niewidoma.

— Henri, Isabelle bienvenus*! — zawołała głosem, który okazał się prawie barytonem. — Laurence m'a dit que vous n'arriueriez pas auant une heure!* Zeszli po schodach prowadzących na patio, a w tym czasie Charlotte Signac wstała. Była wyjątkowo wysoką (prawie sześć stóp wzrostu) kobietą, miała szerokie ramiona oraz wielkie dłonie i stopy. Kiedy szła w ich stronę, jej kaftan powiewał na wietrze. Ucisnęła każde z nich po kolei.

— A to musi być Esther Flecker — stwierdziła, kiedy podeszła do Esther. Zdjęła swoje zielone okulary przeciwsłoneczne, odsłaniając oczy w kolorze zielonych winogron, i uśmiechnęła się. Prezentowała męski typ urody: szlachetną twarz o kwadratowej szczęce i krótkim, nienagannie ukształtowanym nosie. — Isabelle mówiła, że Henri jest w tobie zakochany, moja droga. Teraz rozumiem dlaczego! Henri zarumienił się i zamachnął na Isabelle złożoną mapą samochodową. Isabelle zaśmiała się i uciekła przed nim w podskokach. Esther zaś pomyślała, że jeśli Henri zakochał się w niej, to jest to urocze. Ujęła go więc pod ramię i pocałowała w policzek.

— Jesteś po prostu kochany — powiedziała. W tym momencie Laurence krzyknął: — Hura! — i wypalił w powietrze, ogłuszając wszystkich.

— Laurence, naprawdę wolałabym, żebyś tego nie robił — zbeształa go Charlotte. — Zachowujesz się jak mały chłopiec, który dostał nową zabawkę.

— Powiedział nam, że gracie w tenisa na pistolety — rzekła Isabelle.

— To bzdury — odparła Charlotte. — On po prostu odbijał piłeczki tenisowe w powietrze i strzelał do nich. Nie mam z tym nic wspólnego. Wątpię, żeby ktoś chciał zginać, grając w tenisa.

— Nazywam tę grę Tom Mix Tennis — oświadczył Laurence z dumą. Weszła Marie-Rose, niosąc tacę z kieliszkami i butelką szampana. Była bezpośrednią, prostą i szczerą dziewczyną. Miała na sobie biały czepek i długi, biały fartuch. Kiedy wyszła, Laurence wyznał:

— Ona zawsze kojarzy mi się z pielęgniarką w domu wariatów.
— No cóż, mój drogi — odrzekła Charlotte — nie jesteś zbyt daleki od prawdy.
Laurence wyjął butelkę szampana ze srebrnego naczynia z lodem.
— A teraz, jako poczęstunek, butelka L’Etoile, grand cuvée, z firmy Louisa Davida. Moim zdaniem to najszlachetniejszy szampan, jakim można cię uraczyć.
— Louis David? — zapytała Esther. — Słyszałam już nim.
Oczami wyobraźni ujrzała przymglony obraz Sachy St–Pierre’a, który na zakończenie Wielkiego Szampańskiego Pojedynku stoi na pokładzie Normandii, wznosząc kieliszek w niemym, triumfalnym toaście.
— No tak... — zaczął Laurence — muszę się przyznać, że ,am szczególny stosunek do win Louisa Davida. Znałem bardzo dobrze Jacoba Davida. Grywaliśmy razem w tenisa... nie na pistolety, rzecz jasna! On był starszym człowiekiem, a ja młodym chłopakiem, ale to się nie liczyło. Przyjaźniliśmy się, a wiek nie miał znaczenia. Zawsze był największym tradycjonalistą wśród producentów szampana, bardzo pedantycznym w tym, co robił. Odkręcił drucik na szyjce charakterystycznej niebiesko–zielonej butelki i obrócił ją w dłoni, aby móc wyjąć korek. Kiedy korek wyskoczył, usłyszeli niezwykle delikatne pyknięcie.
— Słyszysz to, Esther? — zapytał Laurence. — Butelka szampana nigdy nie może wybuchać jak armata. Dźwięk nie powinien być głośniejszy niż... Henri! Comment dit–on en Anglais „une pette féérique”?*
Wszyscy z wyjątkiem Esther wybuchnęli śmiechem. W końcu Isabelle, otarłszy ręką oczy, dotknęła ramienia Esther i wyjaśniła:
— On jest bardzo ordynarny! To znaczy „czarodziejskie mruknięcie”.
Laurence napelnił szampanem pięć kieliszków w kształcie tulipana i podał wszystkim.
— Henri i Isabelle, mam zaszczyt powitać was ponownie w moim domu — oświadczył.
—
Mam też nadzieję, że dla ciebie, Esther, która odwiedzasz nas po raz pierwszy, będzie to jedno z wielu powitań!
Wypili. Szampan okazał się zaskakująco delikatny, typu brut, o cudownym, pełnym i słodkawym smaku.
— Smakuje ci? — zapytał Laurence, opierając się wygodnie w swoim giętym, metalowym krześle ogrodowym.
— Jest wyśmienity. Nigdy nie przypuszczałam, że szampany mogą być tak różne. Właściwie to przekonałam się o tym na Normandii. Na pokładzie było dwóch mężczyzn: Niemiec

i Francuz,
którzy rywalizowali ze sobą w degustacji szampana. I wiesz co, oni faktycznie potrafili nazwać gatunki szampana, a nawet określić, przez jaką firmę zostały wyprodukowane.
— Tak, zawodowy degustator szampana potrafi to zrobić — powiedział Laurence.
Przez patio przeszedł syjamski kot i wskoczył mu na kolana. Laurence zanurzył dwa palce w kieliszku szampana i dał kotu do polizania. — Mitzi jest takim zawodowym degustatorem, prawda Mitzi?
— I kto wygrał? — spytała Charlotte. — Mam nadzieję, że Francuz.
— Tak — odpowiedziała Esther. — Ale on nie był zawodowym kiperem ani nikim takim. Był producentem gorsetów.
— Uff! — wzdrygnęła się Charlotte. — W takim razie, nie jestem pewna, czy to on powinien wygrać. Nie znoszę gorsetów! Kobiece ciało jest najpiękniejsze w swojej naturalnej postaci, niezależnie od figury. Taka na przykład Joan Crawford! Miałyby na ten temat wiele do powiedzenia!
— Joan Crawford raczej mi się podoba — przyznała Esther, chociaż mówiąc to, czuła się dość niepewnie i trochę jak szowinistka. — A ten Francuz, który wygrał, też był niczego sobie.
No, szczerze mówiąc, trochę fałszywy, ale bardzo przystojny.
— Słyszysz, kochanie? — spytał Laurence. — Zupełnie jakby o mnie mówiła.
— Ty wariacie! — odparowała Charlotte i rzuciła w niego poduszką.
Przez chwilę rozmawiali o paryskich znajomych. Laurence od kilku ładnych lat przyjaźnił się z Jeanem Cocteau. Pożyczył też pieniądze Gertrudzie Stein, kiedy pisała Autobiografię Alicji B.
Toklas. Popijali szampana, a Laurence jeszcze kilka razy wystrzelił w powietrze. W końcu Charlotte wstała i odrzuciła na bok kapelusz, który, niczym latający talerz, poszybował nad różanymi krzewami.
— Mam zamiar popływać przed lunchem. Henri, wyglądasz na spoconego, może tobie też przyda się kąpiel? Nie myśl jednak, że tak bardzo mi zależy, by mieć spoconego paryżanina w swoim basenie! A ty, Esther?
— Jasne, bardzo chętnie, jeżeli Marie–Rose mogłaby znaleźć mój strój kąpielowy. Charlotte zadzwoniła po Marie–Rose, która przebiegła spiesźnie przez patio, niczym przejęta, cicha mniszka. Pani poleciła jej przynieść kostium Esther.
— Quel couleur, mademoiselle?
— Rose, Marie–Rose. Avec des bandes jaunes*. Następnie, nie odzywając się już słowem do nikogo, Charlotte zdjęła przez głowę kaftan — przez chwilę przypominała potężny powój — po

czym rzuciła go, aby pofrunął z wiatrem.
Nagość Charlotte automatycznie przerwała wszelkie rozmowy. Jej ciało było równomiernie opalone, skóra gładka, olimpijska. Miała szeroką klatkę piersiową i gigantycznych rozmiarów piersi, a jej uda wyglądały jak napięte do strzału łuki. Esther spojrzała na Isabelle i uniosła brwi, a Isabelle zrobiła po prostu niezadowoloną minę.
Charlotte ostrożnie położyła na stole okulary przeciwsłoneczne i bez najmniejszego skrępowania zeszła po schodach, a następnie zatrzymała się na chwilę na brzegu basenu. Uniosła ramiona nad głową i wskoczyła do wody, zanurzając się bezgłośnie. Wszyscy pochylili się naprzód w swoich krzesłach, aby móc obserwować, jak mknie niczym strzała pod pomarszczoną wiatrem powierzchnią wody. Przepłynęła całą długość basenu, zanim się wynurzyła.
— Twoja żona jest jak atleta — zauważyła Esther. Laurence wypił łyk szampana i wzruszył ramionami.
— Ah, oui. La nouvelle femme*. Wydaje jej się, że musi we wszystkim prześcignąć mężczyzn.
A zapomina, że mężczyźni już dawno, dawno temu odkryli, że ćwiczenia fizyczne są nudne i nie dają satysfakcji. Prowadzą duszę ludzką w ślepy zaułek i bynajmniej nie dają człowiekowi uczucia spełnienia. Możesz ćwiczyć sobie do upadłego i co z tego będziesz miała? Tylko pot i ból. Czy wobec tego warto? Z drugiej zaś strony, możesz namalować obraz, który następnego ranka nadal będzie istniał! I w kolejnym stuleciu, gdy z twojego atletycznego ciała pozostaną tylko toczone przez robaki kości, twój obraz nadal będzie istniał! Tak żywy jak w dniu, w którym go namalowałaś! Wierz mi, ćwiczenia fizyczne są niczym więcej jak tylko choreografią ludzkiej marności.
— Jesteś bardzo cyniczny — odparła Esther. — A już na pewno leniwy. Laurence cmoknął z zadowoleniem, uderzył się po udzie i znów wypalił z pistoletu. Kolejny, ogłuszający strzał rozniósł się echem po lesie.
— Moje drogie dziewczę, ja jestem bon viveur*, w pełnym tego słowa znaczeniu. To moje pierwsze i ostatnie słowa.
Marie–Rose zjawiała się z kostiumem kąpielowym. Esther tak naprawdę nie kupiła go do pływania, ale raczej do pokazywania się w nim. Matka zamierzała zabrać ją do Deauville, gdy tylko skończą zakupy w Paryżu, a potem do St–Tropez.
— Nie bój się — rzekł Laurence lakonicznie — nie będziesz się musiała przebierać

en plein

air*. Mamy mały domek kąpielowy, tam w głębi, przy krzewach róż.

Domek kąpielowy okazał się rdzewiejącą, lecz bardzo elegancką cieplarnią w stylu art

nouveau, z pobielonymi oknami, białymi, lekkimi zasłonkami, kanapami z białej wikliny i

ogromnymi lustrami. Nie zabrakło tam także mahoniowych kufrów pełnych świeżych, frotowych

ręczników oraz mnóstwa wieszaków na ubrania. Esther zdjęła i powiesiła swoją prostą sukienkę

Lanvin oraz białą, jedwabną bieliznę i przymierzyła przed lustrem kostium kąpielowy.

Pomyślała, że wygląda bardzo blado i mizernie w porównaniu z Charlotte. Miała ochotę ubrać się

z powrotem i zrezygnować z kąpeli, ale wiedziała, że wtedy Henri nazwie ją tchórzem.

Wyszła z domku kąpielowego na słońce akurat w porę, żeby zobaczyć Henriego, jak galopuje

po schodach w luźnym, turkusowym stroju kąpielowym i wpada do basenu z rozpostartymi

ramionami, uderzając brzuchem o powierzchnię. „Pobiegła za nim i skoczyła zgrabnie do wody,

tak jak uczył ją Rodney. Woda okazała się nadszpedziewanie ciepła, prawie tak jak w wannie,

więc leniwie przepłynęła całą długość basenu.

Charlotte siedziała na brzegu fontanny z odchyłoną do tyłu głową, pozwalając, aby strumień

oblewał jej twarz. Esther podpłynęła do niej, chwyciła ręką kamienną krawędź i uderzała nogami,

aby utrzymać się na powierzchni.

— To całkiem łatwe — powiedziała Esther do Charlotte.

— O tak — odparła ona, przeciągając dłońią po mokrych, falujących włosach jak z obrazów

Botticellego. — Czy kiedy jesteś tutaj, nie czujesz się bliżej natury?

— Chyba tak — zgodziła się Esther.

— Oczywiście, trudno jest czuć się całkiem blisko natury, będąc w ubraniu.

Esther nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nagość Charlotte nie wprawiała jej w zakłopotanie, ponieważ sama Charlotte zachowywała się tak, jakby to było naturalne. Esther nie

była jednak wcale pewna, czy sama chciałaby się kąpać nago.

Strumień wody z fontanny rozprysnął się na ramionach Charlotte i spadł kropelkami na jej

twarde, skurczone sutki. Wyglądało to tak, jakby płynęło z nich diamentowe mleko.

— Czasami mam wrażenie, że świat powinno się powierzyć kobietom — rzekła Charlotte. —

Wyobraź sobie tylko, jaki byłby dobry i spokojny! Żadnych wojen, żadnych zbrodni «ani

okrucieństw. Po prostu raj!

— No, nie byłabym tego taka pewna — odparła Esther. — teraz wydaje mi się, że

kiedy
kobiety walczą o to, czego naprawdę chcą, potrafią być dwa razy okrutniejsze od
mężczyzn!
Może nawet jeszcze bardziej!
Charlotte roześmiała się i odrzuciła głowę w tył.
— Kobiety są okrutne tylko wtedy, gdy walczą o mężczyznę. Natomiast w przypadku
polityki
prawdziwa feministka jest także pacyfistką w pełnym tego słowa znaczeniu.
Esther poznała w Nowym Jorku kilka niedoszłych feministek. Na przykład taka
Naomi
Greenberg — która właśnie ukończyła studia politologiczne w Vassar — zawsze
chodziła
przygarbiona, w brązowych, wełnianych kamizelkach i męskich spodniach. Albo
Ellie
Prudenkamf, która postanowiła, że nie będzie nosić fildekosowych pończoch,
ponieważ
wyprodukowano je kosztem wyzysku robotników, ani pończoch z jedwabiu, ponieważ
jest to
okrutne wobec larw jedwabników, i która nieustannie cytowała Emily Dickinson.
Esther nie
mogła jednak przypomnieć sobie nikogo, kto dorównywałby Charlotte Signac.
Charlotte
promieniowała siłą i pewnością siebie, a bystrością i inteligencją nie
ustępowała Laurence'owi.
Równocześnie jednak była delikatna i pełna wdzięku, niezwykle kobieca. Esther
przyglądała się
jej zafascynowana, uderzając stopą i rozpryskując wodę wokół siebie. Musi
koniecznie odkryć,
na czym polega sekret Charlotte.
— Esther! Płynę do ciebie, czy tego chcesz, czy nie! — Henri zbliżał się do niej
żabimi
skokami i wymachiwał ramionami.
Pisnęła i odpłynęła szybko na grzbiecie, lecz mimo to udało mu się ją opryskać.
Charlotte
roześmiała się i wykrzyknęła:
— Sama widzisz! Mężczyźni zawsze będą burzyć spokój tego świata! To leży w ich
naturze!
Esther i Henri nadal dokazywali, opryskując się nawzajem. Natomiast Charlotte
wynurzyła się
z basenu, nie mniej dostojna, niż kiedy się w nim zanurzała. Gdy wchodziła
powoli po schodach,
wyglądała jak Afrodyta.
— Chodźcie, mes enfants*. Myślę, że już czas na lunch. Laurence stał na brzegu w
całej swej
okazałości i palił papierosa osadzonego na idiotycznie długiej lufce. Pełen
oddania czekał na
żonę z szeroko rozpostartym wielkim, frotowym ręcznikiem.
Lunch jedli na patio, w cieniu ogromnego parasola. Cykoria a l'ardennaise, karp
au bleu,
wieprzowe ratki d la Sainte-Menehould, ser Arrigny, a do tego wszystkiego

szampan Louisa
Davida. Dzień był gorący i słoneczny. Róże w ogrodzie tańczyły jak baletnice.
Laurence mówił
niezwykle dużo (najczęściej z pełną buzią). Charlotte zaś, choć znacznie mniej
gadatliwa, była
również błyskotliwa i dowcipna.
— Szampan jest najbardziej uniwersalnym ze wszystkich win — tłumaczył Laurence.
— Nie
trzeba go koniecznie pić do dań wyszukanych. Smakuje też znakomicie z
wieprzowymi
parówkami albo kapuśniakiem. Jest także najlepszym napojem do śniadania.
— Skąd wiesz? — zapytała Charlotte, biorąc masło. — Przecież nigdy jeszcze nie
obudziłeś
się przed końcem śniadania.
Po lunchu Laurence powlókł się do ogrodu na swój ulubiony leżak, gdzie zamierzał
dokończyć to, co jeszcze zostało z ostatniej butelki szampana i udawać, że robi
notatki do książki
o Giotcie, którą miał napisać. Sam nie mógł pojąć, dlaczego zgodził się na tę
książkę. Już samo
brzmienie nazwiska Giotta przyprawiało go o ból głowy. Problem w tym, że wydał
już wszystkie
pieniądze, jakie otrzymał od wydawcy jako zaliczkę, i chociaż zapewne stać by go
było na ich
zwrot, to samą myśl o tym uważał za niemoralną. Wydawcy byli jednak w jego
oczach trochę
lepsi niż rzeźnicy.
— Co będziesz robił dziś po południu? — zapytała Henriego Charlotte.
— Przypuszczam, że będę spał — odpowiedział. — Może pogram trochę w tenisa.
— Powinieneś pokazać Esther winnice — upomniała go. — Jedźcie do Champillon,
zobaczycie opryskiwanie winorośli. Potem możesz zawieźć ją do firmy Louis David
w Epernay.
Mają tam wspaniałe piwnice! Jeśli chcesz, zadzwonię do nich i umówię was.
Henri rozparł się wygodnie na krześle i skrzywił twarz.
— Charlotte, jesteś okrutna jak Tartar! Też masz pomysły! Najpierw podejmujesz
nas takim
lunchem, a potem oczekujesz, że przez całe popołudnie będziemy się włóczyć po
piwnicach!
Ale Esther chwyciła Henriego za ramię, przymilnie je uściśnęła i poprosiła:
— Chodź, Henri! Bardzo bym chciała je zobaczyć!
Isabelle roześmiała się, a Henri zarumienił.
— W takim razie, zgoda — odparł. — Ale spodziewam się za to pocałunku o zmroku!
Esther kopnęła go swoją bosą stopą.
— Oj, Henri, na litość boską! Możesz dostać go za dnia, jeśli sobie życzysz!
Henri zawiózł je pięć kilometrów na północ od miasteczka Epernay. Mijając po
drodze
wspaniałe winnice, które wznosiły się na kształt naturalnych amfiteatrów,
dotarli do Royal
Champagne Hotel w Champillon. Tam usiedli na werandzie, popijając kawę i marc
oraz
pogryzając małe, słodkie ciasteczka. Hotel znajdował się na zakręcie przy

drodze, dokładnie na
skraju płaskowyżu Montaigne, z którego roztaczał się panoramiczny widok na
winnice i dalej na
południe, na złocące się w słońcu szczyty dachów w samym Epernay i na Dolinę
Marny.
Daleko w dole robotnicy uwijali się między winoroślami, usuwając niektóre liście
i
opryskując rośliny siarczanem miedzi. Jego opary widoczne były w gorącym,
popołudniowym
powietrzu.
— Pryskają, żeby zabić pourriture grise, szarą motylicę — wyjaśnił kierownik
hotelu. —
Może ona wyrządzić wiele szkód, jeśli w powietrzu jest wilgoć.
Kiedy skończyli kawę, zeszli na dół i przechadzali się po winnicach, rozmawiając
z
robotnikami. Starszy człowiek w zakurzonym berecie, z twarzą przypominającą
zmiętą,
papierową chusteczkę, pokazał im ręką, które winnice należą do Merciera, które
do Oudinota i
Guillaume Frère, a które do Louisa Davida.
— Mówi, że tutejsze winnice są bardzo małe. W sumie zajmują mniej niż
siedemdziesiąt
hektarów. Ale jakość winogron jest bardzo dobra, czyli nie grand cru, ale
premier cru.
Winogrona te nadają cuvee* niezwyklej wyrazistości.
Starszy człowiek szarpnął Henriego za rękaw i szepnął mu coś jeszcze, a
następnie
wyszczrzył do Esther zęby w uśmiechu i uniósł beret.
— Co on powiedział? — chciała wiedzieć Esther. Isabelle śmiała się, a Henri
wyglądał na
wyjątkowo zawstydzonego.
— Powiedział, że moja żona jest bardzo piękna. Ma nadzieję, że mamy mnóstwo
dzieci.
Teraz już i Esther, i Isabelle wybuchnęły śmiechem, a starszy człowiek stał tam
i przyglądał
się im z gasnącym papierosem marki Gauloise w ustach, rzucając czasami
tajemnicze spojrzenia
to na prawo, to na lewo. Henri natomiast podrapał się w kark, a potem założył
ręce i zaczął
rozglądać się po winnicy, jakby wolał znaleźć się w tej chwili w każdym innym
miejscu byle nie
tu.
Potem zawrócili na południe, zjeżdżając ze wzniesień płaskowyżu Montaigne
zakurzoną, krętą
drogą, która prowadziła przez winnice firm Moet i Chandon oraz Perrier-Jouet i
Pommery.
Powietrze złociło się w słońcu. Esther zaczęła śpiewać My Dreamy Baby, a
Isabelle przyłączyła
się do niej.
Marzycielem jest mój najdroższy

I zawsze nim będzie,
A ja nie przestanę go kochać,
Bo marzy tylko o mnie...
Przekroczyli Marne i wjechali do Epernay. Zdaniem Esther, jak na miasto o tak magicznej nazwie było ono zbyt szare, nudne i raczej mało romantyczne. Składy kolejowe, magazyny, plac targowy i odrapane budynki miejskie. Henri wjechał na Avenue de Champagne, którą z obu stron otaczały biura i piwnice należące do najznakomitszych spółek szampańskich. Jednym z ostatnich stojących przy alei budynków był kremowożółty dom w stylu art deco — centralny zarząd firmy Mercier, otwartej w 1930 roku. Obok znajdował się mniejszy budynek, tradycyjny pałacyk, otoczony wysokim, porośniętym bluszczem murem. Złocene litery: Maison Louis Daudid, Fondee 1870, napisane ozdobną kursywą na czarnych, żelaznych wrotach prowadzących do tego mniejszego budynku, zapoczątkowały legendę firmy. Kiedy wjechali na wybrukowany kamieniem dziedziniec, Henri powiedział: — Pracownicy Merciera nazywali swój budynek Château de Pekin, ponieważ musieli długo iść od centrum miasta, żeby do niego dotrzeć. Wobec tego pracownicy Louisa Davida nazwali ten Château de la Lune. Wysiedli z samochodu i ujrzeli mężczyznę w jasnobrązowym garniturze, okularach bez oprawy i z jasnobrązowymi włosami, który zbiegał po schodach pałacyku, spiesząc im na spotkanie. Uściskał wszystkim dłoń, robiąc to, zdaniem Esther, trochę zbyt gwałtownie i przedstawił się jako Giscard Medot, „nie spokrewniony bynajmniej z domem Medot!” Wprowadził ich zwawo do budynku. Przeszedłszy przez podwójne drzwi frontowe, znaleźli się w wysokim holu, po którym roznosiło się echo, gdzie stał ogromny, pozłacany kandelabr i błyszcząca marmurowa posadzka. — Monsieur Signac dzwonił do nas i mówił, żebyśmy państwa oczekiwali — powiedział pospiesznie pan Medot. — Monsieur Signac to nasz stary przyjaciel. — Wygląda na to, że jest on starym przyjacielem dosłownie wszystkich — zauważyła Esther. — Oczywiście. Szampania nie jest duża. Żyjemy tu jak w rodzinie. Nic nie można poradzić na to, że zna się wszystkich. Zaprowadził ich do biura, gdzie przywitali się z kierownikiem handlowym oraz z chef de caves, a także ze śniadym mężczyzną w szarym garniturze, który wyglądał przez okno, paląc

papierosa i wydawał się nie mieć nic wspólnego z szampanem Louisa Davida.
— Nasz dyrektor finansowy — przedstawił go w końcu pan Medot. — Bardzo mi przykro, że
monsieur David nie może przywitać tu państwa osobiście — dodał. — Ale jest dzisiaj bardzo
zajęty swoimi motocyklami. Szaleje na punkcie jazdy na motorze, rozumieją państwo! Wygrywa
wszystkie wyścigi!
Raz jeszcze podał rękę wszystkim obecnym w biurze, a następnie przeprowadził Esther,
Henriego i Isabelle z powrotem przez hol.
— Zapraszam teraz państwa na krótkie zwiedzanie — powiedział, otwierając potężne,
rzeźbione drzwi. — Kiedy skończymy, zapewne z prawdziwą przyjemnością skosztują państwo
naszego najlepszego, markowego szampana!
Wprowadził ich szybko do ogromnego, słabo oświetlonego magazynu, gdzie zgromadzono
setki dębowych beczek. W powietrzu unosił się mocny, aromatyczny zapach owoców i dojrzałego drewna.
— Zebrane winogrona przenosi się do prasowni, tuż obok winnicy — wyjaśniał. — Proszę
łaskawie zauważyć, że firma Louis David to niezwykle tradycyjny producent szampana. Jesteśmy
tu bardzo skrupulatni, jeśli chodzi o stosowanie dawnych metod. Używamy tylko ogromnej,
staroświeckiej prasy, zwanej pressoir co quart, którą obsługuje się ręcznie. A także tych
staroświeckich, dębowych beczek, do których zaraz po wyciśnięciu owoców przelewa się sok
winogronowy, aby sfermentował. Monsieur David mówi, że one „lepiej oddychają”.
— Wygląda na to, że ten wasz monsieur David to pedant — stwierdziła Esther.
— Ah, oui — skinął głową pan Medot, na boku zaś spytał Henriego: — Qu'est-ce que c'est
qu'un „pedant”?* — Przeprowadził ich między stosami beczek. — Proszę spojrzeć, tutaj cukier
z soku winogronowego zmienia się w alkohol, a sam sok staje się winem. Ale jeszcze nie
szampanem!
Minęli znów niezliczone ilości beczek.
— Całe to miejsce wydaje się ogarnięte fermentem — szepnęła Esther do Henriego, ściskając
mu dłoń.
Henriemu podobał się ten uścisk, chociaż nie zrozumiał żartu.
— Z produkcją wina wiąże się pewna tajemnica — mówił pan Medot. — W wyniku jednego
tłoczenia, według tradycji i oraz według wszelkich zasad, otrzymujemy dwa tysiące sześćset
sześćdziesiąt cztery litry soku. Sok przechowuje się w trzynastu takich beczkach, jakie państwo

widzicie. I znów, według tradycji, każda z nich ma pojemność dwieście pięć
litrów. Jeśli są
państwo dobrzy w rachunkach, łatwo mogą obliczyć, że po każdym tłoczeniu znika
gdzieś jeden
litr. Co się z nim dzieje?
Nastąpiła bardzo długa cisza.
— Proszę na mnie nie patrzeć — powiedziała Esther. — Nie znam odpowiedzi.
Pan Maedot uśmiechnął się.
— Oczywiście, że nie. To jedna z tajemnic szampana. Monsieur David mówi, że jest
to mała
ofiara składana bóstwom winnic.
Na samym końcu magazynu przeprowadził ich przez kolejne, rzeźbione drzwi. Zanim
je
jednak otworzył, obrócił się do nich i przybrał komicznie poważną minę.
— Po fermentacji sok winogronowy zostaje fachowo wymieszany przez naszego chef
de
caves. Potem dodaje się odrobinę naturalnych drożdży winnych, odrobinę cukru i
rozlewa się
wszystko do butelek. W tym miejscu zaczyna się prawdziwa magia!
Po tych słowach otworzył drzwi i przebiegając zwinnie swoimi małymi stopami w
czarnych
pantoflach, zbiegł w dół po gładkich, dębowych stopniach. Pierwsza kondygnacja,
druga, potem
następna i jeszcze następna. Biegli za nim najszybciej, jak potrafili, a kiedy
dotarli na sam dół,
śmiali się i dyszeli głośno. Przeszli przez ogromne drzwi z wyrzeźbionymi
winogronami i
cherubinkami i znaleźli się w piwnicach.
— Oto świątynia świątyń — oświadczył pan Medot.
Esther była zdumiona. Piwnice zdawały się ciągnąć i ciągnąć bez końca. Zostały
wykopane
bezpośrednio w podłożu z wapieni a i oświetlone sznurem przyćmionych światełek
elektrycznych. Po obu stronach, na całej długości znajdowały się tysiące
lśniących, ciemnych
butelek szampana. Nawet nie wyobrażała sobie, że tyle ich w ogóle może istnieć!
— Zimno tutaj — powiedziała, drżąc cała.
Z ust unosiła im się para i musieli uważać na każdy krok, ponieważ posadzka była
mokra. Z
łukowatego sklepienia bez przerwy kapwały krople wody, rozpryskując się na ich
głowach i
ramionach.
— Na tym poziomie temperatura wynosi dwanaście stopni Celsjusza — wyjaśnił pan
Medot.
— Mamy w sumie cztery poziomy piwnic, coraz głębiej w ziemi. Na najniższym z
nich, gdzie
składujemy nasz najlepszy szampan, temperatura wynosi zawsze dziesięć stopni.
Jest to dobre dla
szampana, ale niezbyt przyjemne dla tych, którzy muszą tam przebywać. —
Prowadził ich w
chłodny mrok. — Wino niemarkowe musi leżakować tu w ciszy i spokoju co najmniej

przez rok,
natomiast markowe, co najmniej trzy lata.
Esther przesunęła palcami po ułożonych w zwartym rzędzie butelkach.
— To niesamowite. Ile butelek tutaj trzymacie?
— Wie pani, my jesteśmy małą firmą. Nie tak wielką jak na przykład Mot czy Mercier. Ale
jednorazowo mamy tutaj około trzech milionów butelek szampana. Kolejny zaś mały cud polega
na tym, że w ciągu ostatnich trzech lat stłukło się ich tylko dwadzieścia! Jeśli
weźmie pani pod
uwagę, że w każdej z nich panuje takie ciśnienie, jak w oponach dużej
ciężarówki, to jest to
powód do dumy!
Właśnie mieli schodzić na niższy poziom, kiedy usłyszeli głośne wołanie:
— Giscard! Giscard, jesteś tam?
— Proszę mi wybaczyć — przeprosił pan Medot. — To monsieur David. Widocznie już
wrócił ze swoich wyścigów motocyklowych. Un moment, s'il vous plait!*
Poszedł spieszenie w kierunku wejścia. Na dole schodów stał wysoki mężczyzna w
brązowej,
skórzanej kurtce motocyklisty. Jego twarz znajdowała się w cieniu. Esther, Henri
i Isabelle
czekali na pana Medota, który mówił coś szybko po francusku, przyciszonym
głosem.
— O Boże, tu jest naprawdę klaustrofobicznie — stwierdziła Esther, rozglądając
się wokół
siebie. — Możecie sobie wyobrazić, że spędzacie tu na dole chociaż jeden dzień?
— Można się bardzo szybko wstawić — powiedziała Isabelle,
— Tak, wstawić, przemoknąć i doprowadzić do kompletnego szaleństwa — uśmiechnęła
się
Esther. — Mnie ogarnia panika, jeśli muszę zbyt długo jechać windą.
W tej właśnie chwili monsieur David zrobił niewielki krok naprzód i znalazł się
w świetle
jednej z żarówek. Esther mogła więc po raz pierwszy zobaczyć jego twarz.
Poczuła, że jej
żołądek faluje niby ogromny, wypełniony gorącym powietrzem balon. Z trudem udało
jej się
powstrzymać od głośnego wybuchu.
Monsieur David był Sachą St–Pierre, producentem gorsetów.
Pan David i pan Medot rozmawiali ze sobą jeszcze przez kilka minut. W tym czasie
Esther
powoli wycofywała się za plecy Henriego, tak żeby monsieur David nie mógł jej
dostrzec.
Była zupełnie zaskoczona. To nie mógł być brat bliźniak Sachy St–Pierre'a ani
też ktoś bardzo
do niego podobny. Miał dokładnie tę samą oszalamiająco przystojną twarz i
dokładnie te same
gesty. Mimo że rozmawiał o ściąganiu wina i degorgement*, zamiast o tkaninach
elastycznych i
paskach do podwiązek, był to ten sam głos.
Henri chwycił ją za ramię.

— Esther? Zimno ci? Cała się trzęsiesz.

— Nie, nie. W porządku. Wszystko w porządku.

Pan David i pan Medot podali sobie dłonie. Przez jedną, krótką chwilę Esther miała jeszcze

nadzieję, że pan David zamierza pójść na górę. On jednak chwycił właśnie za łokieć pana Medota

i obaj powoli zaczęli zbliżać się do nich, mijając rzędy butelek szampana.

— Tak. Kilku przyjaciół pana Signaca — wyjaśniał pan Medot. — Oprowadzałem ich właśnie

szybciotko po piwnicach.

Pan David uściśnął najpierw rękę Isabelle, a potem Henriemu. Wtedy Henri przesunął się na

bok, aby tamten mógł się przedstawić również Esther.

— Dzięki, ale z ciebie kumpel — syknęła Esther do Henriego, który zmarszczył teraz brwi.

Monsieur David stał i przyglądał się Esther z niezwykłym wyrazem twarzy. Był zdziwiony,

rozbawiony, zmieszany, ale i uradowany.

— Patrzcie, patrzcie — powiedział, unosząc i całując jej dłoń. — Widzę tu gatunek, przy

którym błędą wszystkie inne gatunki w moich piwnicach! Klasyczny bukiet, delikatne mousse*,

znakomita moc i łagodny posmak.

— Patrzcie, patrzcie, a pan co? — odparowała natychmiast, rozglądając się po piwnicy. —

Cóż to się stało? Czyżby załamał się rynek gorseciarski?

Sacha roześmiał się.

— Mogę to oczywiście zaraz wyjaśnić. To był tylko niewinny żart. Zawsze kiedy udaję się w

podróż, dla zabawy zmieniam swoją tożsamość, a więc ludzie, którzy widzą mnie po raz

pierwszy, nie mają pojęcia, kim jestem. Raz udawałem poławiacza pereł, kiedy indziej

sprzedawcę orientalnych dywanów. Przed wyjazdem uczę się wszystkiego o moim rzekomym

zawodzie. Zdziwiłaby się pani, jak wiele różnych, dziwnych rzeczy się dowiedziałam przy tej

okazji.

— Strasznie zabawne! — odpaliła Esther. — Przypuszczam, że pan i pańska przyjaciółka

musieliście pękać ze śmiechu za moimi plecami. Frajerka, dała się nabrać nie raz, ale dwa razy.

— Esther, proszę! — błagał ją Sacha. — To wcale nie tak!

— Nieważne — powiedziała Esther. — Myślę, że miałam już wystarczającą porcję szampańskich przeżyć jak na jeden dzień. Wybacz pan.

— Ale niech mi pani da szansę naprawienia wszystkiego! To był tylko żart.

— Zupełnie nie mam poczucia humoru — odpowiedziała. — Zresztą jestem z tego znana.

Henri, czy będziesz tak miły i odwiedzisz mnie do Signaców?

Henri był nadal zbity z tropu.

— Esther, o co tu chodzi? Nic nie rozumiem.

— To proste — wyjaśniła. — Poznałam Sachę–Paszę na pokładzie Normandii. Udawał, że jest wszystkim, czym nie był. Zrobił ze mnie wariatkę, a ja nie zamierzam dać mu szansy, aby zrobił to po raz kolejny. Więc czy moglibyśmy już iść?

— Chodź, Henri — powiedziała Isabelle. — Lepiej, żebyśmy stąd poszli. Zresztą zimno mi.

Ale Sacha próbował chwycić Esther za ramię.

— Proszę! Nie powinniśmy się rozstawać w taki sposób. Przyznaję, źle zrobiłem, że nie przestałem udawać producenta gorsetów. Ale, jak wy to nazywacie? To była tylko mistyfikacja.

Uczynię wszystko, aby to pani wynagrodzić.

— Mógł mi to pan wynagrodzić na statku, prawda? Ale pan nawet nie zadał sobie trudu!

— Była pani tak rozgniewana, że nic nie mogłem na to poradzić. Poza tym pani matka powiedziała mi, że pani nie chce więcej ze mną rozmawiać.

Esther uwolniła ramię, przepchnęła się obok Sachy i przemaszerowała z powrotem przez piwnicę. Zimna kropla wody spadła jej prosto na czoło.

— Do diabła z tymi kroplami! — wrzasnęła — Do diabła z panem! To był największy zimny prysznic w całej Francji!

— Przykro mi — powiedział Henri do pana Medota i ruszył za nią.

— Nigdy nie odniósł pan wrażenia, że sprawił pan komuś ogromną przykrość? — spytała Sachę Isabelle.

Sacha stał osłupiały i z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia oraz niepewnym uśmiechem na twarzy przyglądał się odchodzącej Esther. Wchodziła po schodach tupiąc i miała zawziętą minę.

Kiedy jednak dotarła na górę, zrobiło jej się gorąco, była zmęczona i nie mogła złapać tchu.

— Cóż on u licha zrobił, że tak bardzo cię zdenerwował? — zapytała Isabelle.

— Spytaj lepiej, czego nie zrobił — sapnęła Esther. — Najpierw mnie całuje, powtarzając, że jestem najwspanialszym zjawiskiem, jakie pojawiło się od chwili stworzenia świata, a zaraz potem czuli się do innej, jakiejś comtesse de–Czegoś–Tam.

— Jest jednak bardzo zamożny i sławny. Sacha David to znakomity producent szampana i świetny motocyklista.

— I cóż to ma za znaczenie, skoro jest oszustem?

— Może i niewielkie. Ale chyba lepiej trafić na bogatego oszusta niż ubogiego świętego.

— Nie byłabym aż taka pewna — odrzekła Esther. Znow jednak miała to dziwaczne wrażenie kołysania się, uczucie, jakiego doświadczyła już na pokładzie Normandii.

Nieoczekiwane

spotkanie z Sachą dosyć ją zdenerwowało, ale również podnieciło. — Chodź, Henri, wrócimy do

Signaców i jeszcze sobie popływamy — powiedziała do Henriego, który wspinał się po schodach

z wypiekami na twarzy.

W tym momencie na dole schodów, przy wejściu do piwnic, pojawił się Sacha.

— Esther! — krzyczał w górę, a jego głos odbijał się echem. — Esther, je suis desole*!

Esther zmarszczyła groźnie brwi i spojrzała na Isabelle, lecz Isabelle

najwyraźniej była zdania,

że cała ta kłótnia jest dosyć zabawna.

— Esther! — nalegał Sacha.

Esther przechyliła się przez dębową poręcz.

— Sacha, nie jestem skończoną idiotką! Niech pan wraca do swojej hrabiny! Au revoir* na

zawsze!

— Hrabiny? — zapytał Sacha.

Ale Esther już chwyciła Henriego pod ramię i mijając wejście do magazynu, wymaszerowała

na jasny, oświetlony słońcem dziedziniec.

— A tak się cieszyłem na myśl o tej butelce szampana — stwierdził Henri i obejrzał się

tęsknie za siebie, otwierając drzwi do samochodu.

Jak to Francuz: najpierw żołądek, potem zasady!

— Kupię ci ją w drodze do Bois d'Argensolle, dobrze? — powiedziała Esther szorstkim

tonem. — Ale nie zostanę tu i nie pozwolę, aby ten obłudnik wyśmiewał się ze mnie. Powiedział,

że jest producentem gorsetów. Mówił, że wynalazł gorset La Nymphe. Gorset La Nymphe,

wyobrażacie sobie! Naopowiadał mi różnego rodzaju kłamstw o kobiecych ciałach i o tym, czego

im potrzeba. Wszystko było jednym wielkim kłamstwem! I na pewno wszyscy na tym statku

wiedzieli, kim on naprawdę jest. No, w każdym razie prawie wszyscy. Z wyjątkiem oczywiście

mojej matki i biednego, poczciwego Harolda von Hóxtera! To znaczy, nie:

„biednego,

poczciwego”, tylko: „głupiego, bezczelnego” Harolda von Hóxtera! I nikt z nich nie pisał

słowa! Co za oszust! Na pewno kłamie bez przerwy!

— Kompletny oszust!

Henri prychnął pogardliwie, zapalił peugeota i tak manewrował, żeby wyjechać nim z

dziedzińca. Musiał to robić ostrożnie, ponieważ bardzo blisko samochodu

zaparkowany stał

potężny scott. Była to wielka, lśniąca maszyna, na której kierownicy kołysała się jeszcze

skórzana pilotka i okulary Sachy.

— Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyś go przewrócił — warknęła Esther. — W zasadzie nie miałabym nic przeciwko, gdybyś po nim przejechał! I to dwa razy! I wtedy właśnie, gdy podskakując, wyjeżdżali peugeotem–kabrioletem przez bramę firmy Louis David na Avenue de Champagne, Esther nagle coś sobie uświadomiła. Zaczynam mówić jak moja matka, pomyślała. Mój Boże, zaczynam mówić zupełnie jak ona. Bow Frazier nazwałaby to „paralizującą refleksją”.

Mijając wyjątkowo imponująco ogrodzoną siedzibę spółki Met & Chandon, jechali znów przez Avenue de Champagne w stronę Place de la République. Esther siedziała teraz cicho. Płonęła ze wstydu, myśląc o tym, co się stało. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak nagle straciła panowanie nad sobą. W rzeczywistości przecież wcale jej na nim nie zależało, nic z tych rzeczy.

W każdym razie taką miała nadzieję.

— W zeszłym roku Sacha David wygrał wszystkie znaczące wyścigi motocyklowe! To taki przystojny facet! Cieszy się też poważaniem starszych ludzi, ponieważ produkuje znakomitego szampana. Jest on jednym z ostatnich, trzymających się tradycji wytwórców tego trunku.

— No pewnie — zgodziła się Esther. — I jednym z ostatnich, tradycyjnych cochons.

— Henri

głośno zmienił bieg, kiedy okrążali Place de la République. — I bawił się w udawanie producenta gorsetów. Ale dowcip!

Właśnie skręcili w rue E. Mercier, kierując się na południe w stronę Bois d’Argensolle, kiedy Esther usłyszała z tyłu głośny warkot motoru. Odwróciła się. To niewiarygodne, ale zobaczyła tam ścigającego ich Sachę.

— Henri! — pisnęła. — Jedzie za nami! Henri spojrzał we wsteczne lusterko.

— Muszę dać się wyprzedzić. Nie mam szans.

— Nie! — krzyknęła Esther. — Dodaj gazu i zostaw go z tyłu!

— To niemożliwe! — zaprotestował Henri.

Mimo to przerzucił dźwignię zmiany biegów na „trójkę” i docisnął pedał gazu. Skręciwszy z piskiem opon na rogu rue E. Mercier, gnali teraz przez Place des Fusiliers. Na placu uciekła przed nimi w popłochu starsza kobieta. Zostawili za sobą także dwóch robotników na rozkołysanych rowerach.

Kiedy zarzuciło ich samochód przy skřęćie w Avenue Marechal Foch, przednie koło motoru Sachy prawie dotknęło ich tylnego zderzaka. Esther obróciła się na siedzeniu i zawołała:

— Niech się pan odczepi! Nie znoszę pana! Vous ?tes execrable*, jasne?

On jednak uśmiechał się pod swoimi błyszczącymi w słońcu okularami, machał do niej ręką i wołał:

— Zaczekajcie! Zaczekajcie!

— Henri! — wrzeszczała Esther. — Naprzód! Gaz do dechy!

Sportowy samochód i motocykl prawie jednocześnie przejechały z hukiem przez południowo

— wschodnie granice Epernay. Mknęli teraz obsadzoną drzewami wiejską drogą, która przez

Mancy i Moslins prowadziła do Bois d'Argensolle. Pędzili prawie dziewięćdziesiąt kilometrów

na godzinę, Henriemu aż włosy jeżyły się na głowie. Zostawiali za sobą wielką chmurę

piaszczystego kurzu.

Sacha był teraz tak blisko nich, że Esther mogła do niego krzyknąć.

— Niech się pan odczepi! Pan kompletnie zwariował! Ale on zaśmiał się, skrzywił przepustnicę,

tak że motocykl zabuksował kołami, skoczył naprzód i wyprzedził ich z ogłuszającym rykiem

silnika. Przechylając się lekko w prawo, znalazł się teraz dokładnie przed nimi. Zaczął zwalniać,

więc Henri nie miał innego wyjścia i także zmuszony był przyhamować.

W końcu oba pojazdy zatrzymały się. Sacha wyłączył silnik, zsiadł z motocykla i zaciągnął

hamulec. Następnie, zdejmując okulary i otrzepując palcami kurz z włosów, podszedł do nich.

Esther siedziała na tylnym siedzeniu z kamienną twarzą, a w każdym razie miała nadzieję, że tak

to wygląda. Słońce świeciło, motyle przelatywały obok, a na pobliskim polu stała brązowa

krowa, która leniwie im się przyglądała. Sacha przyklęknął obok samochodu i oparł rękę na

skrzydle złożonego dachu. Nie przestawał się uśmiechać, ale oczy miał całkiem poważne.

— Powiedziała pani: „hrabina” — odezwał się do Esther. — Teraz proszę mi wyjaśnić, o

jakiej hrabinie pani mówiła.

Esther siedziała z założonymi rękami.

— To dosyć jałowa dyskusja, nie sądzi pan? Miałam na myśli hrabinę, do której umizgiwał się

pan na pokładzie spacerowym zaraz po tym, jak powiedział mi pan dobranoc.

Sacha schylił głowę, tak że przez moment widziała tylko jego przedziałek na włosach. Potem

znów spojrzał na nią i zapytał:

— I dlatego nie chciała pani więcej ze mną rozmawiać i nie przyjęła moich gardenii? Dlatego

pani matka kazała mi trzymać się od pani z daleka?

Esther spojrzała na niego, zwięzając oczy.

— Nie wiem, co moja matka panu powiedziała. Nigdy mi nawet nie wspominała, że z panem

rozmawiała. Ale cokolwiek powiedziała, zasłużył pan sobie na to.

— Zasłużyłem sobie na to? Tym, że pocałowałem na dobranoc własną siostrę? Isabelle zachichotała nerwowo. Esther rzuciła jej piorunujące spojrzenie. Henri siedział,

ścisnąc kierownicę i patrzył prosto przed siebie. Miał łagodny, męczyński wyraz twarzy. Była

to twarz mężczyzny zdającego sobie sprawę, że jego szansę zdobycia dziewczyny, na której

naprawdę mu zależy, maleją z każdą chwilą.

— Madame la comtesse de Flers jest moją młodszą siostrą — wyjaśnił Sacha. — A dokładnie:

przyrodnią siostrą, ponieważ moja matka urodziła ją, kiedy rodzice się rozwiedli. Siostra wracała

z wycieczki do Ameryki i miała dołączyć do swego męża, le comte de Flers, w Normandii.

Poprosił mnie, abym się nią zaopiekował, na co oczywiście z radością się zgodziłem. —

Potrząsnął głową. — Nie miałem pojęcia, że kiedy nas pani wtedy zobaczyła, wyglądało to tak,

że ja, jak to pani określiła, umizguję się do niej. Nie przyszło mi to po prostu do głowy. A kiedy

następnego ranka pani matka powiedziała mi, że pani uznała moje towarzystwo za niepożądane,

ja naturalnie uszanowałem jej życzenie i trzymałem się z dala. Ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął,

to być niemile widziany.

Esther wytrzeszczyła oczy.

— Co moja matka powiedziała?

— Niezupełnie tak brzmiały jej słowa. Pani matka wyraża się w dosyć szczególny sposób, jest

mi więc trudno dokładnie je powtórzyć. Ale właśnie taki był ich sens.

— No tak. Nieomylna primadonna — stwierdziła Esther.

— Prawdopodobnie pani matka była święcie przekonana, że panią w ten sposób ochrania —

wyjaśnił Sacha.

Esther zmrużyła oczy i zacisnęła usta.

— Jediną osobą, która będzie potrzebowała ochrony, jest ona sama. Czy w tej swojej

tradycyjnej prasie do winogron znajdzie pan jakieś miejsce dla dwustufuntowej polskiej

śpiewaczki operowej?

Sacha roześmiał się.

— Proszę posłuchać, nie gniewajmy się już. Mamy piękny dzień, a ja jestem wzruszony tym,

że panią znowu widzę. Zapraszam więc do Epernay na degustację mojego markowego szampana.

Potem może zechce pani przyjechać do mnie na kolację. Pani przyjaciele także są zaproszeni.

Henri rozchmurzył się na myśl o szampanie i jedzeniu. ‘Odwrócił się i powiedział:

— No, Esther, zgódź się! Czemu nie?

— Nie jestem odpowiednio ubrana — stwierdziła Esther, iągając się.

Sacha podniósł jej rękę i pocałował. Obdarzył ją spojrzeniem, które wieczorem miała opisać w

pamiętniku jako „obezwładniające”.

— Wygląda pani jak letni kwiatuśzek. Jeśli jednak chciałaby pani ubrać się bardziej

elegancko, to mam w domu kilka Sni mojej siostry. Są do pani dyspozycji. Może pani pożyczyć

taką, jaka się pani spodoba.

Mogła powiedzieć „nie”. Mogła poprosić Henriego, aby wczoraj wieczorem pisała do Kodneya i przyrzekała, że jej serce na zawsze należy do niego.

Jednak, nie wiedzieć czemu, nie był to dzień na pozostawianie nie wykorzystanych szans i

pytań bez odpowiedzi. Niebo było zbyt niebieskie, a powietrze zbyt ciepłe. Ta nieszczęsna krowa

poruszała szczęką i gapiała się na nią, jakby chciała przypomnieć, że każda kobieta, która boi się

podjąć ryzyko, skończy tak jak ona (jeżeli Esther dobrze tłumaczyła sobie tę większą metaforę).

— No, śmiało — powiedział Sacha, podnosząc się. — Przewiozę panią z tyłu na motorze.

Pani przyjaciele mogą jechać za nami.

Esther odważnie na niego spojrzała.

— W porządku. Nie boję się. — Wydostała się więc z tylnego siedzenia peugeota i zeskoczyła

prosto w ramiona Sachy. — Nigdy dotąd nie jechałam na motorze — przyznała. — Czy muszę

robić coś szczególnego?

Wsiadł na swojego scotta i zwolnił hamulec.

— Jedyne, co należy zrobić, to objąć mnie w pasie i trzymać się bardzo mocno.

Kiedy

przechylałam się w lewo, pani też przechyła się w lewo. Kiedy przechylałam się w prawo, przechyła

się pani w prawo.

— Ale nie pozwól mi pan spaść, prawda? — spytała, gdy podwijała swoją bladożółtą

spódnicę i wspinała się na tylne siodło.

Henri zatrafił z tyłu klaksonem, dodając jej odwagi. Obróciła się i uśmiechnęła.

Biedny

Henri! Udawał, że jest dzielny i wesoły. Ale chłopcy to chłopcy, a mężczyźni to mężczyźni i

tylko najlepsi zwyciężają — jakoś tak to jest. Żałowała, że nie mogła jej teraz zobaczyć żadna z

jej nowojorskich przyjaciółek, chociaż była naprawdę zadowolona, że nie widzi jej Rodney.

Sacha kopnął nogą starter i motor wydał z siebie ryk. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, że

będzie to tak ogłuszające. Ale Sacha już krzyknął przez ramię:

— Proszę się mocno trzymać! — Ani się obejrzała, jak zawrócili na drodze i... już

ich nie
było!

Pędzili z powrotem do Epernay. Wtopy Esther truwały na wietrze, oczy zaszyły łzami, a spódnica wydymała się, odsłaniając podwiązki. Prędkość i huk motoru dawały jej jednak uczucie niesamowitej radości. Podobało jej się to niebezpieczne podskakiwanie żołądka, które czuła, gdy przechylali się z boku na bok na każdym zakręcie. Nawet nie miała czasu, żeby spojrzeć, czy Henri i Isabelle nadążają za nimi.

Znów przejeżdżali przez Epernay. Starsza kobieta, której o mało co nie potracili na Place des Fusiliers, jeszcze zbierała swoje rozsypane zakupy, a kiedy przemknęli z hukiem obok niej, wygrażała im pięścią i złorzeczyła.
— Biedna kobieta! — krzyknął Sacha. — Dopilnuję, żeby dostała na pocieszenie butelkę szampana!

Esther mogła tylko uśmiechnąć się przez łzy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dom Sachy stał ukryty głęboko w lesie na płaskowyżu Montaigne, niedaleko la Neuville. Ze wszystkich stron otaczały go srebrne brzozy. Był to solidny, ładny budynek z cegły o delikatnym pomarańczowym odcieniu. Portyki i architrawy wykonano z kremowego kamienia, a okiennice pomalowano na białe. Aby się tam dostać, musieli przejechać starą, żelazną bramę, a następnie wspiąć się pod górę drogą dojazdową. Dwóch ogrodników strzygło właśnie żywopłot z cisów, a trzeci kosił trawnik.

W ciepłym powietrzu wyczuwało się tak niezwykle spokojny, że kiedy Sacha wyłączył silnik swojego motocykla, Esther zatrzymała się na moment z półprzymkniętymi powiekami i rozkoszowała się tą atmosferą. Sacha stał niedaleko i patrzył na nią z uśmiechem.

— Ten dom wybudował mój dziadek — opowiadał, kiedy szli w kierunku półokrągłych schodów frontowych. — Najpierw był paryskim bankierem, człowiekiem wielkiego formatu.

Wzniósł się w rodzinę osiadłą od lat w Szampanii, a ponieważ część posagu żony stanowiła trzyipółhektarowa winnica w Ay, postanowił zrezygnować z pracy w banku i zająć się produkcją szampana.

— Pięknie tu — powiedziała Esther.

— Owszem, pięknie, ale czasami smutno.

Esther spojrzała na niego. Nie chciała oczywiście wścibiać nosa w jego prywatne sprawy, ale

był on ostatnim człowiekiem na świecie, którego nazwałaby smutnym. Uśmiechnął się do niej,
wziął ją za rękę i powiedział:
— Chodź. Na pewno chętnie się odświeżysz po tych wszystkich szampańskich przygodach i motocyklowych szaleństwach.
— Tak, czuję się trochę oszołomiona — przyznała Esther. Drzwi domu otworzyły się, zanim jeszcze doszli do nich.
Wyszła im na spotkanie niska kobieta o ostrych rysach twarzy, ubrana w czarny strój i biały, koronkowy fartuszek.
— Madame Hatte! — zawołał Sacha. — Salut, salut, salut!* Oto panna Esther Flecker, która przyjechała z samej Ameryki! Byłem na tyle lekkomyślny, że zaprosiłem ją dziś wieczorem na kolację, nie uprzedziwszy pani o tym. Mało tego, obiecałem też, że ugotuje pani swoje słynne griues sous la dendre.
Madame Hatte dygnęła i uśmiechnęła się. Skojarzyła się Esther z małym, grzecznym ptaszkiem o bardzo jasnych oczach i spiczastym dziobie.
— Madame Hatte jest moim domowym aniołem — wyjaśniał Sacha, wprowadzając Esther do holu i rzucając swoją pilotkę na krzesło. — Każdy kawaler na świecie powinien mieć takiego anioła jak madame Hatte. Tyle że wszystkim innym się nie poszczęściło, ponieważ to ja mam madame Hatte, a nie istnieje nikt, kto mógłby się z nią równać.
Madame Hatte ze stoickim spokojem podniosła pilotkę Sachy i zapytała:
— Kolacja ma być tylko na dwie osoby, monsieur?
— Tak, na dwie, dziękuję pani — odparł Sacha. Przeprowadził Esther przez chłodny, ciemny hol obity dębowymi deskami. Po prawej jego stronie wznosiły się wspaniałe, dębowe schody.
Wysoko nad schodami znajdowało się okno z bursztynowożółtym witrażem w stylu art nouveau.
Przedstawiał on obnażoną do połowy nimfę, która tańczy między drzewami, wymachując trzymanymi w dłoniach kiściami winogron, a za nią biegną roześmiani satyrowie.
— Dziadek miał, jak to się mówi, gorącą krew — zauważył Sacha. — Ale był pierwszorzędnym finansistą, znakomitym producentem szampana i miał też niezwykle poczucie humoru. Na początku stare, uznane firmy produkujące szampana nie liczyły się z nim za bardzo.
Ale pokonał je ich własną bronią, wytwarzając szampana tylko z najlepszych winogron i przy wykorzystaniu najbardziej tradycyjnych metod.
— Mademoiselle, czy zechce się pani wykapać? — zapytała madame Hatte.
— Z największą przyjemnością — odrzekła Esther.
— Każę madame Hatte, aby przyniosła ci kieliszek szampana — powiedział Sacha. —

Nie ma
lepszey pory na picie tego trunku niż wieczorna kąpiel.
— Laurence Signac twierdzi, że najlepiej pić szampana, jedząc wieprzowe parówki.
Sacha udawał, że robi zrezygnowaną minę.
— W takim razie powiem, żeby przyniosła ci też kilka wieprzowych parówek.
Wanna była olbrzymia: żeliwna, pokryta białą emalią, wysoka, wsparta na bardzo masywnych
nogach z brązu, miała lśniące, dziwnie wyglądające kurki. Esther głośno się niej
pluskała,
przesuwając się w różne strony.
Z okna łazienki, przez odsłonięte zasłony z błękitnego aksamitu i potrójną
warstwę
śnieżnobiałej koronki, Esther widziała trawniki, które rozciągały się z tyłu
domu. Stała i
kamienna fontanna pełna sikających wodą cherubinków, kamienne pawie ciągnęły
swoje ogony
po ośmiokątnym ogródku ziołowym. Jedna z kucharek, ubrana w płócienny czepek,
zbierała
właśnie zioła na ich kolację.
Dzień już się kończył, była prawie ósma wieczorem. Wydłużone cienie rozciągały
się na całej
przestrzeni aż do drzew.
Dom ojca Esther w Newport był prawie trzykrotnie większy niż ten, a tereny wokół
niego
znacznie lepiej utrzymane, ale jakoś brakowało mu tej romantyczności Château
David, jego
odosobnienia i tej dziwnej, europejskiej melancholii, którą Esther już zaczynała
odczuwać.
Możliwe, że była to tylko tęsknota za minionymi czasami, głosami, które już
ucichły, za
twarzami, które zniknęły na zawsze. Może chodziło o samotne życie, jakie Sacha
wiódł tutaj —
bez żony, dzieci i innych krewnych. Dom taki jak ten potrzebuje dzieci.
Wypiła ostatni łyk szampana. (I wierz mi, moja droga Esther, ja naprawdę
zaczynam myśleć,
że może już nigdy w życiu nie wypiję kolejnej lampki szampana!) Następnie
wydostała się z
wanny i wycierała przed wielkim lustrem, które stało przy oknie.
Wciągnęła brzuch. Ciekawe, czy przybrała na wadze. Isabelle przysięgała, że
szampan nie jest
tuczący, ale jak zwykle, zapewne wszystko zależało od tego, jak dużo się go
piło. Nóżki cielece i
sery też nie mogły być niskokaloryczne.
Zastanawiała się też, na ile jest atrakcyjna. Dla wszystkich mężczyzn, a dla
Sachy w
szczególności.
Zawsze uważałam, że mam za duże piersi. Wyglądałabym jednak wyjątkowo dziwnie
bez
nich, z tymi szerokimi ramionami. Jeśli miałabym zmniejszać biust, musiałabym
także zrobić

operację ramion. Ale wtedy wyglądałabym jak rakieta.
W każdym razie poczuła się silna, zdrowa i wystarczająco ładna. Tego popołudnia na basenie u Signaców opaliła się trochę. Jej skóra połyskiwała delikatnym, złotym odcieniem. Nie lubiła być za bardzo opalona; uważała, że wtedy zbyt rzuciły się w oczy jej żydowskie rysy. Rodney powiedział, że jest śmieszna i w żadnym wypadku nie wygląda na Żydówkę, zresztą skąd niby można by to wiedzieć? Rodney oczywiście nie orientował się, ale ona wiedziała doskonale. W jednej z jej szkolnych książek znajdował się obrazek przedstawiający Ruth zanurzoną po pas w zbożu. Gdy Esther opaliła się zbyt mocno, wyglądała dokładnie jak ona. Kiedy skończyła wycieranie, okręciła się w grubą szatę z kapturem, którą dała jej madame Hatte, a stopy wsunęła w płaskie kapcie odkrywające palce. Moja droga, powiedziała do siebie, cóż za szyk! Wyglądasz jak szalony mnich Rasputin, który wyszedł na popołudniową przechadzkę. W tym właśnie momencie rozległo się pukanie do drzwi łazienki i madame Hatte zawołała:
— Mademoiselle? Jest już pani gotowa? Mogę pani pokazać kilka sukien na dzisiejszy wieczór!
Esther szła za nią przez korytarz. Jej kapcie klapały głośno po dębowej podłodze. W wysokich, znajdujących się po obu stronach oknach ujrzała w przelocie ogrody, zabudowania stajenne i rzędy drzew. Ściemniało się już i otoczenie Château David przybrało barwę brudnego fioletu.
Madame Hatte wprowadziła ją do ogromnej garderoby, której dwie ściany były całkowicie zabudowane sięgającymi sufitu szafami z gładkiego mahoni. Czuć było naftalinę i kwaśny zapach szuflad, których nie otwierano przez dwadzieścia lat. Po przeciwnej stronie pokoju stała toaleta w stylu Ludwika XV, tak bogato złocona i piękna, jak organy w katedrze w Reims.
Znajdowały się na niej misternie poukładane szczotki, grzebienie i kryształowe rozpylacze do perfum. Pod oknem stał żółty, jedwabny szezlong, z którego zwieszała się elegancko udrapowana, biała jedwabna halka.
Mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie natychmiast „upolować”, monsieur David, pomyślała Esther, biorąc do ręki halkę i czując, jak jedwab przepływa jej między palcami. Ostatecznie bielizna była całkiem zwyczajna. Może w takim razie Sacha, jako prawdziwy

dżentelmen, wcale nie oczekuje, że zobaczy ją w tym stroju. Najdziwniejsze w Sachy było to, że im więcej mówił o sobie, tym mniej o nim wiedziała. Był on na pewno intrygujący, żeby nie powiedzieć: tajemniczy. Mogła zupełnie uczciwie powiedzieć, że nigdy dotąd nie spotkała kogoś tak tajemniczego. Zaskakującego — owszem. Nawet jej matka potrafiła być zaskakująca. Ale nie tajemnicza.

— Czy ten pokój do kogoś należy? — zapytała Esther, biorąc do ręki małe lustro. Było z litego srebra, z wygrawerowanym herbem, takim samym, jaki widziała na butelkach szampana Louisa Davida: rycerski hełm z wyrastającymi u góry pędami oraz tarcza pokryta zdobieniami w kształcie przepiórek, sztyletów i róż. To normalne, że żydowska rodzina dopóty upiększa swój herb, dopóki nie przypomina on kosza przygotowanego na piknik. Madame Hatte otwierała szuflady, składając i porządkując ich zawartość.

— Wszystkie damy z rodziny Davidów korzystały z tego pokoju. Pani hrabina zawsze się tutaj ubiera, kiedy przyjeżdża do nas z panem hrabią. Są częstymi gośćmi w czasie winobrania. Esther usiadła przed lustrem przy toalecie, zdjęła kaptur i zaczęła czesać włosy. Na wyższych półkach toaletki znajdowały się oprawione w srebrne ramki fotografie wszystkich dam z rodziny Davidów: ciemnobrunatna odbitka przedstawiająca elegancką kobietę w olbrzymim, kwiecistym kapeluszu, która musiała być babką Sachy; studyjny portret ciemnowłosej piękności z perłowym naszyjnikiem oplatającym sześciokrotnie jej długą szyję (to na pewno była jego matka); ręcznie pokolorowana fotografia la comtesse de Flers, przyrodniej siostry Sachy. Ale stało tam jeszcze jedno zdjęcie, wykonane stosunkowo niedawno, szalenie atrakcyjnej młodej kobiety o wielkich, jasnych oczach i najsmutniejszych ustach, jakie Esther kiedykolwiek widziała. Zdjęła fotografię i przyjrzała jej się z bliska.

— Madame Hatte? Kto to jest?

Madame Hatte instynktownie musiała wiedzieć, o które zdjęcie Esther pytała, ponieważ odpowiedziała, nie odwróciwszy się nawet.

— To madame Camille David.

— Czy ona jest...?

— Nie jest, mademoiselle. Była.

— Och, przykro mi — odrzekła Esther. — Wygląda bardzo pięknie.

— Tak, mademoiselle. Była bardzo piękna. Wszystkie damy z rodziny Davidów były i

są

piękne. Davidowie zawsze brali to, co najlepsze.

— Co się z nią stało? — zapytała Esther. — To zdjęcie nie mogło być zrobione dawno temu.

Madame Hatte podeszła do toaletki, delikatnie wyjęła fotografię z dłoni Esther i postawiła z

powrotem na półkę.

— Zostało zrobione pięć lat temu na wiosnę. Chyba powinnam postawić je tam, gdzie było.

Chociaż monsieur David i tak nigdy nie wchodzi do tego pokoju.

Było jasne, że madame Hatte nie zamierzała powiedzieć jej nic więcej, Esther odłożyła więc

szczotkę do włosów i rzekła:

— W porządku. Wobec tego wybierzmy suknię. Mam tylko nadzieję, że któraś z nich będzie

na mnie pasowała. W przeciwnym razie usiądę do kolacji w moim codziennym stroju.

Madame Hatte otworzyła szerokie drzwi szafy, ukazując chyba z pięćdziesiąt sukien.

Pastelowe jedwabie, dopasowane atłasy i lśniące apreturowane tkaniny. Koronki, aksamity i

jedwabne krepy.

— Te po prawej stronie należą do madame la comtesse i są nowsze. Może się jednak okazać,

zechce pani wybaczyć, że nie będą najlepiej leżały. Większość sukien wiszących po lewej stronie

należało kiedyś do madame Camille. Mają oczywiście po pięć, sześć lat, ale wszystkie pochodzą

z najlepszych domów mody i wiele z nich jest, jak to mówicie, ponadczasowych.

Esther z radością rzuciła się w wir poszukiwań. Przymierzyła niebieski, dopasowany model

Molyneux, należący do hrabiny. Suknia leżała znakomicie, wszędzie z wyjątkiem biustu.

— Do licha! — zawołała, bezskutecznie usiłując wcisnąć piersi w górną część sukni. —

Gdyby nie ten przeklęty stanik, byłaby zupełnie jak na mnie.

— Bardzo mi przykro; madame la comtesse jest trochę drobniejsza — powiedziała madame

Hatte taktownie.

Esther przymierzyła cztery z nowszych sukien, ale żadna nie pasowała. Wtedy zaczęła

przeglądać tę część szafy, która należała do madame Camille. Pierwsza suknia, którą

przymierzyła, leżała tak, jakby uszyto ją dla niej. Była to bardzo wąska wieczorowa suknia

Molyneux, odkrywająca ramiona, uszyta z bladoniebieskiego jedwabiu, z ogromną organdynową

krezą unoszącą się wokół ramion.

— No cóż, ta jest przepiękna — stwierdziła Esther. — I wcale się nie zestarzała.

Madame Hatte obserwowała Esther, jak kręci się w sukni po garderobie.

— Teraz rozumiem, co takiego monsieur David w pani widzi, mademoiselle.

Esther zaskoczona zauważyła, że w oczach madame Hatte zalśniły łzy. Starsza pani wyjęła małą, koronkową chusteczkę, aby je sobie otrzeć. Esther była już prawie gotowa i przypudrowywała sobie właśnie nos, kiedy do drzwi garderoby zastukał Sacha.

— Mogę wejść? — zapytał.

— Un moment, s'il vous plait, monsieur — zawołała Esther. Skinęła na madame Hatte, chciała się bowiem upewnić, czy kreza ułożyła się odpowiednio i czy suknia nie marszczy się na plecach. Potem spryskała się dwa razy perfumami Isabey, zwilżyła wargi i wstała. — W porządku. Teraz możesz wejść.

Sacha otworzył drzwi. Zrobił tylko jeden krok i zatrzymał się, jakby garderoba stanowiła świętą przestrzeń, której granice niechętnie przekraczał. Sam także wyglądał wyjątkowo atrakcyjnie — we fraku, z białym, wykrochmalonym i lekko rozchylonym kołnierzem oraz gładko zaczesanymi do tyłu włosami. Stał tam i wpatrywał się w Esther z miną człowieka, który wysiadając ze statku w Nowym Jorku, uświadomił sobie właśnie, że zapomniał zamknąć frontowe drzwi od domu w Paryżu.

— No i co o tym myślisz? — zapytała Esther po długiej chwili milczenia. — Podoba ci się?

Nie podoba? Pasuje do mnie?

Sacha oblizwał wargi. Kiedy przemówił, jego głos był bardzo niski i cichy. Wydawało się, że jest rozgniewany.

— Madame Hatte, sądziłem, że panna Flecker założy coś, co należy do mojej siostry.

Madame Hatte zmieszała się.

— Przepraszam, monsieur, ale suknie madame la comtesse po prostu nie pasowały.

— Ani jedna?

— Nie, monsieur. Nie miałam zamiaru pana zdenerwować.

— Naprawdę aż tak ci się nie podoba? — zapytała Esther.

Sacha potrząsnął głową.

— Au contraire*, jest przepiękna. Pasuje na ciebie idealnie. Wyglądasz jak księżniczka z bajki.

— Uff! — wykrzyknęła Esther. — A już myślałam, że ci się zupełnie nie podoba.

Sacha wyciągnął rękę, nie wchodząc dalej do garderoby. Esther uniosła więc lekko spódnicę i podeszła do niego. Jedwab prześlizgiwał się po jej udach ze zmysłowym szelestem. Sacha chwycił ją za ramię i pocałował w oba policzki.

— Jeżeli zamierzasz całować mnie jak generał, to chcę otrzymać *croix de guerre**

—

zamruczała zuchwale.

— Przykro mi — odparł — ale skończyły nam się *croix de guerre*.

— W takim razie będziesz musiał pocałować mnie, jak należy. Pocałował ją w usta.

Mimo że

zachęciła go do tego, a może właśnie dlatego, że to zrobiła, poczuła

nieprzyzwoity niemal

dreszcz rozkoszy. Przyglądała się im stojąca za plecami Esther madame Hatte.

Miała mieszane

uczucia — na jej twarzy malowało się zadowolenie, nadzieja, lecz także smutek.

— Szkoda, że twoi przyjaciele, Henri i Isabelle, nie mogli zostać na kolacji —

powiedział

Sacha, kiedy szedł z Esther korytarzem w stronę górnej części schodów.

— Nie mogli sprawić Signacom zawodu — odparła.

— Niemniej jednak jest mi przykro.

— A mnie nie.

Sacha wprowadził ją do dużego, przewiewnego salonu w bladobrzoskwiniowym kolorze.

Wszędzie wisiały olejne obrazy przedstawiające winnice, tłoczenie winogron oraz mnichów

popijających szampana. Mimo że zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, oszklone drzwi do

ogrodu były otwarte, a na patio migotały płomienie lamp.

Wyszli na zewnątrz. Była ciepła, bezchmurna noc. Na niebie świeciło mnóstwo gwiazd. W

olbrzymim, srebrnym naczyniu czekała na nich butelka szampana Louisa Davida.

Sacha wyjął ją

z wody i zręcznie owinał dużą, białą serwetką.

— Teraz nauczę cię, jak smakować szampana — powiedział.

Zerwał ozdobną folię, odkręcił druciane zabezpieczenie i wyjął korek, który wyskoczył z

bardzo delikatnym pyknięciem.

— *La pette d'un ange* — stwierdziła Esther.

— Niech zgadnę — uśmiechnął się Sacha. — Laurence Signac.

Napełnił dwa wysokie, smukłe kieliszki niewielką ilością szampana i podał jeden z nich

Esther. Już miała wypić łyk, kiedy chwycił ją za przegub dłoni i zatrzymał. —

Smakowanie

szampana to coś więcej niż tylko wypicie go. Nie przyglądałaś mi się podczas

„szampańskiego

pojedyнку” na Normandii? — Podniósł kieliszek w stronę oświetlonych szklanych drzwi i

przyjrzał mu się dokładnie. — Najpierw musisz się upewnić, że szampan jest klarowny, że nie

ma żadnego osadu czy zmętnienia. Jeśli nie jest czysty, należy z niego

zrezygnować. Niektóre

gatunki szampana są wyjątkowo klarowne, przez co cieszą się szczególnym uznaniem.

Esther niepewnie uniosła swój kieliszek.

— Wydaje mi się klarowny.

— Tak, ponieważ to jest Louis David Etoile de Champagne, czyli Gwiazda

Szampanii. Nazwę

zawdzięcza swojej wyjątkowej klarowności i jasnej barwie.

— Czy możemy go już spróbować? — zapytała Esther. — Zaczyna zasychać mi w gardle.

— Jeszcze nie teraz — odparł Sacha. — W następnej kolejności należy przyjrzeć się barwie.

Większość szampanów ma kolor słomkowy, jasnozłoty. Jeżeli jednak jest to blanc de blancs,

który wytwarza się tylko z białych winogron, może on wyglądać prawie jak woda.

Natomiast w

przypadku blanc de noirs, który zawiera także czarne winogrona, wino może

przybrać mocny,

żółty odcień.

Poruszył delikatnie kieliszkiem to w jedną, to w drugą stronę, tak żeby odbijał

się w nim blask

światła.

— Każde białe wino ciemnieje z wiekiem. A więc na podstawie barwy możemy ocenić nie

tylko proporcje i gatunki wykorzystanych winogron, ale także przybliżony wiek wina.

— A ile to ma lat? — zapytała Esther.

— To jest, moja droga, rocznik 1928. Moim zdaniem jak dotąd najlepszy w tym stuleciu.

— Rozpieszczasz mnie — stwierdziła Esther. — A nie powinieneś. Nie znam się na szampanie na tyle, abym potrafiła to docenić.

Sacha uśmiechnął się.

— Ale docenisz, zobaczysz sama. Obiecuję ci! Nauczę cię tego. Moja życiowa zasada brzmi:

nigdy nie wiesz, co jest najlepsze, dopóki tego nie spróbujesz.

— Tak — odrzekła Esther. — Całkowicie się z tobą zgadzam. Ale skąd możesz wiedzieć, że

znalazłeś właśnie to, co najlepsze?

Sacha spojrział na nią i wzruszył lekko ramionami.

— Skąd możesz wiedzieć? Skąd ktokolwiek mógłby wiedzieć? To przecież tylko i wyłącznie

kwestia gustu.

— Tak jak ta suknia — powiedziała Esther.

— Nie — odparł Sacha. — Ta suknia jest idealna.

— Chcesz powiedzieć: idealna, ale nie dla mnie.

— Nie — odpowiedział. — Jest idealna. Esther usiadła na kamiennej balustradzie.

— Sacha, ta suknia należała do kogoś o imieniu Camille. Sacha nie odzywał się przez chwilę,

a potem powiedział:

— Następnie musisz sprawdzić mousse, czyli bąbelki.

— Mówisz o szampanie.

— Oczywiście, że mówię o szampanie!

— Jesteś jednak zdenerwowany. Denerwuje cię, że mam na sobie tę suknię. Daj spokój,

Sacha, nie jestem aż tak głupia! Jestem kobietą światową, czyżbyś o tym nie wiedział?

Sacha obserwował delikatny strumień bąbelków unoszących się w jego kieliszku.
— To nieprawda, że im wspanialsze bąbelki, tym lepszy szampan. Sposób unoszenia się bąbelków zależy od napięcia, jakie wytwarza się między winem a kieliszkiem.
Tylko twoje podniebienie może wyczuć, jak bardzo musujący jest szampan.
— Sacha...
— Nic nie mów, tylko słuchaj! Musisz teraz powąchać bukiet. Szampan może wydawać się złocisty, cudownie złocisty! Ale tylko twój nos jest w stanie ocenić, czy jest to stary blanc de blancs, czy młody blanc de noirs, czy może mieszanka średniego wieku.
Esther powąchała swój kieliszek.
— Według mnie pachnie jak szampan.
— Nie, nie tak. Pozwól mu ustać się przez chwilę, a potem poobrać kieliszkiem.
Wtedy uwolnisz pierwszą porcję dwutlenku węgla, przez co aromat stanie się wyczuwalny i bukiet wina mocniejszy.
— Nadal pachnie jak szampan.
— Oczywiście. Jeszcze nie wiesz, czego szukasz.
— A czy Camille wiedziała, czego szuka? Czy może była taką samą ignorantką jak ja?
Sacha opuścił swój kieliszek.
— Esther, proszę cię. Nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać o Camille.
— Ale zdenerwowałeś się, kiedy zobaczyłeś mnie w jej sukni. Posłuchaj samego siebie! Jesteś strasznie apodyktyczny!
Wziął papierosa, włożył go w usta i nagle uśmiechnął się.
— Masz rację. Zachowałem się jak tyran. Wolałbym jednak nie rozmawiać o Camille.
Ona należy do tego rozdziału w moim życiu, który został już zamknięty.
— W każdym razie byłeś okropnie ponury. To wszystko, co mam do powiedzenia.
— Przepraszam. Nie chciałem zepsuć ci wieczoru moim okropnym ponuractwem. Uśmiechnął się, lecz ona wiedziała, że nie zamierzał wyjawiać żadnego sekretu. To naprawdę bardzo nieprzyzwoicie z jego strony być tajemniczym i upartym jednocześnie.
Mężczyźni, których znała w Stanach, nigdy nie oparliby się możliwości poplotkowania na swój własny temat.
— Powąchałaś już bukiet? — zapytał Sacha. — Obróciła lekko kieliszek, tak jak jej pokazywał, a następnie powąchała. — I co zauważyłaś? — spytał. — Próbujesz wyczuć świeżość młodego lub dojrzałość starego wina. Tym razem wiesz już, że masz do czynienia z winem bardzo dojrzałym, z doskonałego rocznika. Czujesz bogaty aromat i słodycz, tak?
— Skoro tak mówisz... — powiedziała Esther niepewnie. Miał jednak rację. Czuli bogaty, pełny bukiet. Szampan wyraźnie różnił się od tych, które piła dotychczas.

— Dobrze — rzekł Sacha — teraz możemy już naprawdę skosztować. Nie sączymy wina. Bierzymy duży łyk, po czym wciągamy do ust powietrze, tak aby zbulgotać.

— Sądziłam, że takie smakowanie jest dosyć pretensjonalne. To znaczy, bulgotałeś oczywiście wtedy na Normandii, ale czy zrobisz to na kolacji w El Morocco?

Przyjaciele

pomyśla, że masz bzika.

— Kiedy idziesz na kolację do El Morocco albo gdziekolwiek indziej, nie musisz urządzać

wielkiego przedstawienia przy degustacji wina, ponieważ wiesz już, co pijesz. A jeśli jest to

naprawdę dobra restauracja, to powinni w niej mieć piwnicę na odpowiednim poziomie. Jedyne,

co musisz zrobić w restauracji, to sprawdzić klarowność wina, powąchać bukiet, a następnie

skosztować je szybko, żeby upewnić się, czy zostało właściwie schłodzone i czy odpowiada

twoimi oczekiwaniami. Ale niezależnie od tego, jakie wino próbujesz i w jakich okolicznościach

to się dzieje, zawsze powinnaś zapytać siebie samą, czy ci ono smakuje i czy sprawia ci

przyjemność. Tylko idiota pije wino nie dla przyjemności, ale na pokaz.

Esther ostrożnie wzięła duży łyk szampana. Spróbowała zbulgotać, ale nagle roześmiała się i

opryskła szampanem cały rękaw Sachy.

— Och, przepraszam! — zawołała. — Nie wydaje mi się, abym mogła kiedyś zostać wielkim

smakoszem!

Sacha wycierał się chusteczką.

— Poczekaj tylko, a zostaniesz największym smakoszem, jaki kiedykolwiek istniał!

Spróbowała ponownie. Tym razem zbulgotała lekko, ale potem znów się roześmiała.

Musiała

więc połknąć całą porcję wina jednym haustem.

— Sacha, wcale mi to nie wychodzi! Udławię się w końcu! Stań blisko niej.

Patrzył na nią

przez dłuższą chwilę, a następnie uniosł rękę i dotknął jej włosów.

— Musisz się nauczyć — powiedział miękko. — Kiedy bulgoczesz, powodujesz odparowywanie estru i eteru zawartego w winie, które głęboko wprowadzasz do nosa i gardła. W

ten sposób poznajesz jakość trunku i jego rodzaj.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem uciekła wzrokiem.

— Ja rzeczywiście przypominam ci Camille, prawda? — zapytała.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Sacha powiedział:

— Czy to widać aż tak wyraźnie?

— Tak, dosyć wyraźnie. Odkąd mam na sobie tę suknię, rozmawiasz ze mną, jakbym była

kimś zupełnie innym. Wcale nie chcę nauczyć się bulgotać szampanem. Przecież wiesz o tym,

Sacha. Nie jestem na tyle rozsądną osobą. Chciałabym tylko pić, tańczyć i bawić się.

Sacha popatrzył w ziemię.

— Przepraszam. Chyba nie umiem zbyt dobrze oceniać ludzi.

— Potrafisz odróżnić jeden szampan od drugiego. Powinieneś więc umieć także odróżnić

jedną kobietę od drugiej.

Uśmiechnął się do niej ponuro.

— No tak, masz rację. Ale szampan rozpoznaje się zmysłem smaku, który ja mam doskonale

rozwinęty. Natomiast kobietę poznać można tylko sercem. A moje serce, do czego ze skruchą

muszę się przyznać, jest nadwrażliwe i bardzo łatwo daje się zwieść.

— Po prostu traktuj mnie tak, jakbym była sobą — poprosiła Esther.

— Oczywiście. Czy możesz mi wybaczyć?

— Pod warunkiem, że nie będziesz mi więcej kazał bulgotać.

W tej właśnie chwili do drzwi balkonowych podeszła madame Hatte i zawołała:

— Monsieur! Stół dla państwa już gotowy!

Sacha wziął Esther pod rękę i wprowadził do domu. Kolacja została podana w wielkiej,

seledynowej jadalni, na owalnym, mahoniowym stole przykrytym pięknym, koronkowym obrusem. Na środku stołu stały dwa masywne lichtarze ze złoconego srebra. Blask

zapalonych

świec migotał na pokrytych złotem sztućcach i złoconych obwódkach kieliszków do wina.

Sacha podsunął Esther krzesło.

— Madame Hatte cudownie gotuje — powiedział. — Ale zawsze jest niezadowolona ze swoich potraw. Pamiętaj, aby ciągle jej powtarzać, że są wspaniałe.

Madame Hatte wniosła dużą, srebrną wazę z zupą i postawiła ją przed Sachą.

— Soupe au lait ardennaise — oświadczyła. — Myślę, że nie przyprawiłam jej wystarczająco

dobrze.

Sacha nalał trochę zupy do talerzy. Skosztowali.

— Znakomita, madame Hatte — rzekł Sacha.

— A mademoiselle?

— Znakomita — potwierdziła Esther.

— Nie mówi pani tego przez grzeczność?

— Oczywiście, że nie.

— Może chciałaby pani więcej soli?

— Madame Hatte, zupa jest doskonała.

Madame Hatte, bynajmniej nie przekonana, poszła przygotowywać swoje faszerowane drozdy. Kiedy wyszła z pokoju, Sacha roześmiał się i podniósł swój kieliszek szampana.

— Widzisz? Ona nigdy nie jest szczęśliwa.

— A ty? — zapytała Esther.

— Ja?

— Czy jesteś szczęśliwy? Sacha nabrał łyżkę zupy.

— Nie jestem pewien, czy to pytanie jest w porządku.

— Bo nie miało być. To ty się zdenerwowałeś, kiedy założyłam tę suknię. To ty zdecydowałeś, że muszę przejść przyspieszony kurs zaawansowanego Bulgotania szampanem.

Sacha nie przerywał jedzenia zupy i przyglądał się Esther zza lichtarzy.

— Chodzi o Camille, prawda? — zapytała. Urwał kawałek chleba i kiwnął głową.

— Czy chcesz o tym porozmawiać?

— Raczej nie. To temat, który nadal jest dla mnie bolesny.

— Nie możesz opowiedzieć mi o niej czegokolwiek?

Sacha wytarł chlebem zupę z talerza.

— Zapewne domyśliłaś się już, że Camille była moją żoną. Latem minie pięć lat od jej

wypadku i śmierci. To był dla mnie straszny szok. Jeśli mam być z tobą zupełnie szczerzy, to

muszę przyznać, że jeszcze się z tego nie otrząsnąłem.

Esther poczuła się okropnie! Biedny człowiek! Prowokowała go, dokuczała mu i zachowywała się zupełnie jak smarkula, a on przez cały ten czas myślał o swojej zmarłej żonie. Z

drugiej jednak strony, pomyślała, to wcale nie jej wina.

Przecież nie powiedział, że jest nadal pogrążony w żałobie, więc skąd niby miała o tym

wiedzieć?

— Przykro mi — powiedziała, chociaż nie czuła się szczególnie skruszona. Raczej zaciekawiona niż skruszona.

— Nie — odparł Sacha. — To ja powinienem cię przeprosić. Jesteś moim gościem. Nie

zachowywałem się wobec ciebie uczciwie.

Spiesznym krokiem nadeszła madame Hatte i zabrała talerz Sachy. Esther zjadła dopiero

połowę swojej zupy.

— Nie smakuje pani?

— Nie, nie, jest wspaniała. To dlatego, że za dużo mówiłam.

— Jest już zimna.

— No cóż. Obawiam się, że tak.

— Następnym razem przyprawię ją lepiej. Przykro mi, że pani nie smakowała.

— Madame Hatte...

— Oui, mam'selle?

Zapanowała chwila ciszy, a potem Esther powiedziała:

— Nic, nic, nieważne. Ale pani zupa naprawdę bardzo mi smakowała.

Po kolacji znów wyszli na zewnątrz i wsłuchiwali się w ciemność nocy. Sacha otworzył

butelkę słynnego Champagne Cremant Louisa Davida. Esther wypła już i zjadła tyle, że teraz

mogła jedynie sączyć wino małymi łyżkami.

Od chwili kiedy poruszyła temat Camille, atmosfera przy kolacji zrobiła się bardzo sztywna.

Sacha był nadal bardzo uprzejmy i mówił o najróżniejszych rzeczach. Opowiedział jej wszystko

na temat kankana. Dowiedziała się, że nazwa tańca pochodzi od szesnastowiecznego francuskiego słowa oznaczającego „wrzawę”. Wyjaśniał również zawiłości francuskiej polityki.

Mówił o tym, co monsieur Blum próbuje zrobić, aby ocalić kraj od tragicznych skutków

zadłużenia. Koszty utrzymania we Francji rosły w zastraszającym tempie.

Niewielki poulet de

dimanche, kosztujący teraz czterdzieści franków, jeszcze rok temu kosztował

dwadzieścia dwa

franki, a za czterofuntowe udo baranie trzeba zapłacić co najmniej sześćdziesiąt franków.

Mówił też o kobietach, lecz nie o swoich kobietach. Nie wspomniał ani razu o Camille. W

Paryżu, mówił, nadal niepodzielnie panują les femmes de quarante ans*. Ale jego nie interesują

frywolne kobiety w średnim wieku. Woli młode i poważne dziewczęta.

— A czy Camille była młoda i poważna? — spytała prowokacyjnie Esther. Za nią migotały

plómienie ogrodowych lampek poruszane wieczornym wiatrem.

Sacha kiwnął głową.

— Camille była młoda i poważna. Być może zbyt młoda i zbyt poważna. Ale, ale, nie

spróbowałaś jeszcze naprawdę swojego szampana!

— Oczywiście, że nie. Przecież nie nauczyłam się, jak to robić.

Sacha nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Co z ciebie za dziewczyna! Czy chcesz, żebym cię tego nauczył?

— Proszę bardzo.

Usiadł blisko niej. Czują teraz zapach jego wody kolońskiej i tytoniu. Mogła dostrzec ciemne

owłosienie na wierzchu jego dłoni. Mimo całej swojej tajemniczości i drażliwości był niezwykle

atrakcyjny. Esther niemal czuła, że coś ją do niego przyciąga, jakby miał wokół siebie jakieś

własne pole magnetyczne. Był niesamowicie pociągający, a ten elegancki strój podkreślał jeszcze

jego atrakcyjność.

— Twój język odbiera cztery różne bodźce smakowe. Wyczuwasz smak słodki, kwaśny, słony

i gorzki. Kiedy degustujesz szampana po raz pierwszy, to prawie tak, jakbyś zaangażowała się w

nowy romans. Koniuszkiem języka wyczuwasz słodycz, a jego brzegami cierpkość.

Możesz

jednak zostać oszukana. Mocna słodycz może maskować zbyt cierpki smak i odwrotnie, mocny,

cierpki smak może ukrywać zbyt wiele słodyczy. Kiedy już zdecydujesz, co masz o tym myśleć,

tylną częścią języka wyczujesz, czy w smaku jest gorycz.

Esther napiła się, udało jej się nawet lekko zabalgotać.

— Tak, doskonale! — pochwalił Sacha. — I co czujesz?

— No—o—o... Nie czuję zbyt wiele słodyczy. Jest bardzo wytrawny. Myślę, że jest nawet

bardziej wytrawny niż szampan, który piliśmy przy kolacji. Ale nie jest cierpki, prawda? Raczej

bardzo lekki i łagodny.

— A mousse?

— Co?

— Bąbelki. Czy jest bardzo musujący, jak myślisz?

— Nie wiem. Pieni się normalnie. To znaczy bąbelki powstają na dole i wędrują do

góry.

Sacha chwycił jej nadgarstek i uniósł go tak, żeby światło odbijało się w kieliszku.

— Czy widzisz, jak bardzo delikatne są te bąbelki? Jak wolno się unoszą? To dlatego, że

szampan cremant jest znacznie mniej musujący niż taki, który zwykle pijesz.

Niektórzy

smakosze nie pijają win całkowicie mousseux, uważając je za cierpkie i niedojrzałe. Mówią, że

zbyt mocno czuć w nich zapach fermentacji. Dlatego wolą typ cremant, który jest tylko trochę

petillant*.

Esther wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Wiesz co, Sacha? Co dzień człowiek uczy się czegoś nowego.

Oboje przyglądali się sobie przez moment, po czym wybuchnęli śmiechem.

— Znęcasz się nade mną strasznie, ty nikczemna dziewczyno! — zawołał Sacha. — I co ja

mam z tobą zrobić?

— Czy masz gramofon?

— Oczywiście, że mam! Co chciałabyś usłyszeć?

— A masz jakąś muzykę taneczną?

— Oczywiście.

— To zatańcz ze mną.

Sacha nie miał żadnych swingowych nagrań, ale znalazł Red Sails in the Sunset i When Did

You Leave Heaven? oraz kilka niezłych jazzowych płyt, jak na przykład Yearning For Love i

Clarinet Lament. Tańczyli razem na patio, pod gwiazdzistym niebem. Słyszeli pohukiwanie sów i

szelest srebrnych brzoź, które wzdychały jak porzucone na pierwszym balu dziewczęta.

Na zakończenie Yearning For Love Sacha przytulił Esther mocniej i pocałował ją w oba

policzki.

— Croix de guerre? — zapytała go.

— Skończyły się — odparł i pocałował ją w usta.

Był to prawdziwy, długi i namiętny pocałunek, który sprawił, że poczuła, jakby całe jej

wnętrze zmieniało się w szampana. Kiedy skończyli, mogli tylko przyglądać się sobie nawzajem

i czuć wzrastające powoli pożądanie.

— Widzisz — powiedział Sacha przyciszonym, chrapliwym głosem — mówiłem ci, że spotkanie było nam sądzone.

Patefon wydawał z siebie dziwne dźwięki.

— Lepiej zmień płytę — powiedziała Esther.

— Zostaniesz dzisiaj ze mną na noc? — zapytał Sacha. Boże, ten człowiek nie traci czasu!

Trzy tańce i już chce iść do łóżka! To jednak prawda, co mówią o Francuzach!

— Nie mogę — odrzekła. — Henri i Isabelle będą się o mnie martwić. Poza tym moja matka

ma dzisiaj dzwonić z Paryża, oczywiście jeśli nie zapomniała, jeśli jest trzeźwa i jeśli nie
zakochała się w jakimś śniadym Egipcjaninie.
Tak naprawdę to Esther bała się. A właściwie dlaczego nie miałyby zostać?
Sacha pocałował ją ponownie, tym razem delikatniej.
— Mogę zadzwonić do Henriego i Isabelle. To będzie całkiem proste. Powiem im, że
wieczór
się przedłużył i zrobiło się zbyt późno, abym mógł cię odwiedzić do Bois
d'Argensolle i wobec
tego zdecydowałaś się zostać na noc.
— Sacha — powiedziała, czując, że jej serce skurczyło się tak, jak te związane
drozdy
madame Hatte — muszę wyjaśnić ci jedną rzecz. Jestem zaręczona z Rodneyem.
Kocham go i
nie zamierzam pójść z tobą do łóżka.
Sacha wzruszył ramionami.
— Jak sobie życzysz. Ale nadal chciałbym, żebyś została. Skoro nie mogę mieć cię
całej, będę
zupełnie zadowolony z twojego towarzystwa.
— Mam nadzieję, że mogę ci ufać? — zapytała Esther.
— Czy myślisz, że musisz o to pytać?
— Nie warto byłoby zostawać, gdybym nie musiała.
— Ależ z ciebie diablica! — zawołał Sacha. — Po którym z rodziców odziedziczyłaś
więcej
cech?
— Nie wiem. Chyba po każdym z nich w tych samych proporcjach. Pięćdziesiąt
procent
starego, złośliwego lisa plus pięćdziesiąt procent kapryśnej primadonny. Niezłe
zestawienie,
prawda?
— Nazwałbym to cuvée de prestige — stwierdził Sacha i poszedł do domu, żeby
zmienić
płytkę i zatelefonować do Signaców. Esther usiadła na dworze i dopijała swojego
szampana.
Czuła, że jest trochę zmęczona, ma zawroty głowy i tak naprawdę wcale jej się
nie uśmiechało
jechać teraz z powrotem aż do Bois d'Argensolle. Obawiała się, że zrobiłaby z
siebie straszna
idiotkę przy którymś z przydrożnych rowów. A tego jednego była pewna: że
wymiotująca
dziewczyna wygląda wyjątkowo obrzydliwie w oczach mężczyzny.
Sacha nie był właściwie jej mężczyzną, ale mimo wszystko nie chciałyby go w ten
sposób
zrazić. Wracał, zacierając energicznie ręce.
— A więc, wszystko już załatwione! Henri i Isabelle spodziewają się ciebie z
powrotem jutro
rano po śniadaniu. Twoja matka dzwoniła już z Paryża i najwyraźniej odspiewała
siedem czy
osiem taktów Die Färberin, po czym odłożyła słuchawkę albo sama padła. Wygląda
na to, że na

f?te champetre trwa dobra zabawa. — Dolał Esther wina. — Teraz noc należy do nas. Możemy tańczyć, śpiewać i pić szampana.

— Mam wrażenie, że moja głowa wiruje — stwierdziła Esther.

Sacha przyjrzał się jej, udając skupionego.

— Nie masz racji. Nie poruszyła się ani trochę.

— Może powinniśmy zatańczyć — powiedziała Esther. — Ale tak, żeby za bardzo nie podskakiwać. Najlepiej coś w rodzaju Mickey Mouse.

— Mickey Mouse?

— Coś takiego, no wiesz... wolnego, nudnego i staroświeckiego. Żeby mogła oprzeć się na tobie, a ty na mnie i żebyśmy szeptali sobie do ucha słodkie bzdury.

Sacha przygładził ręką włosy.

— Wiesz co, zawsze myślałem, że całkiem niezłe rozumiem angielski.

Zatańczyli. Esther czuła, że jej głowa stała się jakaś wyjątkowo lekka. Nie była pewna, czy znajdują się jeszcze na Normandii, czy już nie. Ten przeklęty pokład ruszał się w górę i w dół.

Widziała teraz tylko twarz Sachy, która migąła jej przed oczami, no i te okropne, oszklone drzwi wirujące wkoło. Jeden obrót, drugi i jeszcze jeden — za każdym razem W tym samym kierunku.

Jak to możliwe, żeby zawsze kręciły się w tym samym kierunku?

— Esther, byłbym tchórzem, gdybym nie wyznał ci, co czuję — odezwał się Sacha.

— No, co czujesz? — rzuciła wyzywająco. — Jeśli powiesz, że masz nudności, to natychmiast się odsunę!

— Nudności? Nie, nie mam nudności. Czuję coś zupełnie innego niż nudności.

Czuję, że jesteś bezwzględnie najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem, i jestem coraz bardziej oczarowany twoją osobą. Wyjątkowo oczarowany.

Esther spróbowała skupić wzrok na jego twarzy.

— Wyjątkowo oczarowany, tak?

— Może nawet bardziej niż wyjątkowo oczarowany.

— Bardziej niż „wyjątkowo oczarowany”? A co powiesz na „czarująco wyjątkowy”?

Sacha przytulił ją mocno.

— Chyba szampan uderzył ci do głowy.

— Oczywiście, że nie. Mnie nic nie uderza do głowy. Ale błagam, nie ściskaj tak mocno.

Czuję, jakbym była po brzegi wypełniona drozdami i bąbelkami.

— Napijesz się trochę brandy, żeby uspokoić żołądek?

— Czuję się bardzo dobrze. Naprawdę znakomicie.

— Chodź, usiądź na chwilę.

— Nie, nie! Ja nie potrzebuję niczyjej pomocy. Czuję się znakomicie. Co ja zrobiłam z moim szampanem?

— Wypiłaś go.

Zmarszczyła brwi i odsunęła się od niego chwiejnym krokiem.

— Czy ty oskarżasz mnie o coś? Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Ależ skąd. Myślę jednak, że dobrze by było, gdybyś się położyła.
Esther pogrążona była w głębokim śnie, kiedy drzwi jej sypialni uchyliły się
nieznacznie i z
holu dobiegło powolne bicie stojącego zegara. Minęła trzecia, księżyc już
zniknął. Dom był tak
ciemny jak piwnice Davidów osiem kilometrów dalej, gdzie miliony butelek
leżakowały sobie w
chłodzie, gromadząc ciśnienie rzędu pięciu czy sześciu atmosfer.
Drzwi otworzyły się odrobinę szerzej. Zaskrzypiały zawiasy. Potem na półpiętrze
zapaliło się
światło, które rozjaśniło trochę wewnątrz sypialni. Esther leżała jednak bez
ruchu. Na ogromnej
poduszce wiły się jej czarne, kręcone włosy. Pucha — tą kołdrę odrzuciła na bok.
Księżniczka z
bajki w długiej, białej, płóciennej koszuli nocnej spała na plecach.
Usta miała otwarte, oddychała wolno i chrapliwie. Spała kamiennym snem pijanego
człowieka.
Nagi mężczyzna, który pojawił się w drzwiach, stał zupełnie nieruchomo i
obserwował
dziewczynę. Był wysoki, szczupły i dosyć muskularny, chociaż miał nieznacznie
zaokrąglony
brzuszek. Czarne, kręcone włosy na jego klatce piersiowej układały się w kształt
krzyża.
Stąpił niepewnie po drewnianej podłodze, aż doszedł do leżącego przy łóżku
perskiego
dywanika. Wahał się prawie minutę, zanim wyciągnął rękę i położył ją na czole
Esther takim
ruchem, jakby chciał jej zmierzyć gorączkę.
— Esther? Cest Sacha. Tu dors?*

Esther poruszyła się, oblizwała wargi i zamruczała coś, nadal jednak była
pogrążona w
głębokim śnie.
Sacha pochylił się nad łóżkiem i pocałował ją w czoło, a potem w policzki.
— Croix de guerre — szepnął i pocałował ją w usta. Zamruczała i próbowała
odwrócić
głowę, ale wciąż spała. Sacha stał i przyglądał się jej bardzo długo.
— Nawet nie wiesz, mój aniołku, co ty mi zrobiła — wyszeptał.
Poruszyła lekko powiekami, lecz nie odpowiedziała.
— Zaskoczyłaś mnie. Złapałaś mnie w pułapkę, kiedy najmniej się tego
spodziewałem.
Gdybym nie zobaczył cię dzisiaj, nigdy bym już o tobie nie pomyślał. Ale ty
zjawiłaś się tam, w
piwnicach, w tej swojej żółtej sukience i zaskoczyłaś mnie, kiedy myślałem... o
niczym! O
jakimś degorgement i ściąganiu wina. Jesteś taka młoda!
Schylił się i ostrożnie chwycił sterzący rąbek koszuli nocnej. Unosił go
delikatnie coraz
wyżej. Powoli zaczął odsłaniać ciało, którego kontury widział w świetle
padającym przez
półotwarte drzwi wejściowe. Długie, zgrabne uda, na tyle szczupłe, że między

nimi utworzyła się
trójkątna szczelina, w której zmieściłaby się męska dłoń. Płaski brzuch, lekko
zaokrąglone
biodra. Ciemne pukle włosów łonowych i maleńkie znamię na boku, które zdaniem
Sachy miało
kształt gwiazdki. Duże, okrągłe piersi, których jasna skóra przypominała marmur
pokryty
niebieskawymi żyłkami, oraz największe i najbledsze sutki, jakie kiedykolwiek
widział.
Wyglądały jak brązowiejące płatki różowych róż.
Pocałował jej ciepłe, nieruchome palce, przyciskając mocno do ust. Potem ułożył
się na łóżku
obok niej i z zapartym tchem czekał, czy się obudzi. Wciąż jednak spała.
Wiedział już, że teraz
należy całkowicie do niego. Mógł z nią zrobić wszystko i nic nie wyszłoby na
jaw.
Koniuszkami palców bardzo delikatnie wodził po jej brzuchu, wokół wzgórka Wenera
i w dół
po udach. Następnie oparł się na łokciu, pochylił lekko głowę i dotknął wargami
brodawki jej
lewej piersi. Wysunął język i zaczął zakreślać nim koliste ruchy, dopóki sutek
nie stwardniał i nie
skurczył się. Podniósł głowę i przyjrzał się Esther. Nie poruszyła się, nawet
nie zamruczała.
Włożył sutek w usta i przyciskał językiem do podniebienia, ssąc delikatnie i
szarpiąc go. Był
całkowicie odurzony. Po tym jak madame Hatte pomogła Esther położyć się do
łóżka, wypił
jeszcze trzy czwarte butelki niemarkowego brut. Ale to nie wino spowodowało, że
czuł się tak
upojony, tylko Esther. Jej zapach, miękkość i pociągająca kobiecość. Miała ten
szczególny urok,
który zapierał dech w piersiach i sprawiał, że Sacha był tego wieczoru równie
bezbronny jak ona.
Całował i pieścił obie piersi. Był zachwycony ich krągłością i miękką
ociężałością. Potem
wstrzymując oddech i czując ból wewnętrznego napięcia, usiadł ostrożnie na jej
brzuchu. Był tak
podniecony, że ledwie zdołał się utrzymać. Ścisnął jednak mocno w dłoni swoją
twardą męskość
i zaczął pocierać nią o piersi dziewczyny, zakreślając koła wokół brodawek, na
których w końcu
zaśniła rosa jego tłumionej namiętności.
Przesuwał się powoli coraz niżej. Całował jej brzuch, potem biodra. W pewnej
chwili musnął
językiem pulchną szczelinę, którą skrywały włosy łonowe.
Była zachwycająco słodka i wytrawna. Kiedy podniósł głowę, pomyślał, że smak
pięknej
kobiety musiał stanowić oryginalne natchnienie dla twórców szampana. Nigdy
jeszcze nie pił

trunku, który mógłby równać się z tym, czego zasmakował dzisiejszej nocy. Zszedł z łóżka. Starannie opuścił koszulę nocną Esther. Jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała pod wpływem kontrolowanego wysiłku. Pochylił się raz jeszcze i pocałował Esther.

— Dobranoc, kochanie — szepnął. Potem wyszedł cicho z pokoju i zamknął drzwi. Trzy pokoje dalej madame Hatte leżała zupełnie przytomna pod swoją pikowaną kołdrą.

Czuwała, dopóki nie zgasło światło na półpiętrze. Madame Hatte martwiła się o Sachę jak o własnego syna i nie chciała, żeby znów ktoś go zranił. Nie tak, jak zraniła go Camille.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ujrzał ją rano w ogrodzie parę minut po siódmej. Przechadzała się bosą po mokrej od

porannej rosy trawie, trzymając w ręku filiżankę kawy.

— Dzień dobry! — zawołał, nalewając kawę dla siebie. — Wczesnie wstałaś!

— Jest taki piękny dzień, że nie mogłam się oprzeć! No i madame Hatte obiecała zrobić dla

mnie jajecznicę!

Zszedł po schodach patio i znalazł się przy niej na trawniku. Miał na sobie koszulę w prążki,

jedwabny krawat i granatowe, bawełniane spodnie. Słońce wspięło się już ponad wierzchołki

drzew i cały ogród migotał bladozłotym światłem.

— Na polu, zaraz za drzewami rosną grzyby — powiedział. — Moglibyśmy pójść tam i zebrać kilka, chcesz? Zjemy je z jajecznicą.

— Tak, to cudowny pomysł!

Postawiła filiżankę na kamiennym cokole jednego z posągów i poszła razem z nim. Minęli

zagajnik srebrnych brzoź znaleźli się na pagórkowatym polu usianym wczesnymi smardzami.

Zaczęli zbierać grzyby, które Esther wrzucała do twojej spódnicy.

— Dobrze spałaś? — zapytał Sacha, nie patrząc na nią. Kiedy obudził się dzisiaj rano, ledwie

mógł uwierzyć w to, co się stało. Na myśl o tym szaleńczym wyczynie robiło mu się gorąco.

— Jak suseł — odrzekła Esther. — Nawet nie mam kaca.

Sacha wrzucił jeszcze parę grzybów do jej spódnicy, doskonale świadom tego, że Esther

trzyma ją cały czas uniesioną.

— To dlatego, że jesteś młoda i twój organizm potrafi świetnie sobie radzić z taką ilością

alkoholu. A poza tym piłaś tylko i wyłącznie najlepszego szampana. Dopiero kiedy zaczynasz

mieszać różne rodzaje trunków, następnego dnia masz kaca.

Esther przypatrywała się uważnie jednemu z grzybków.

— One nie są trujące, prawda?

— Nie, te nie są. Ale nie powinno się zbierać grzybów, jeśli się ich dobrze nie zna. Jeden z

moich wujów zjadł kiedyś cały talerz grzybów zwanych l'amanite printaniere. Są białe, lśniące i wyglądają na przepyszne. Ale w ciągu czterech dni wuj oszalał, a po sześciu zrobił się żółty i umarł.

— To bardzo zastrzyło mi apetyt — stwierdziła Esther.

— Nie martw się! Ze mną jesteś zupełnie bezpieczna! Esther spojrzała na niego znacząco.

— Czyżby? — zapytała.

Śniadanie jedli na patio — puszysta jajecznica i grzybki usmażone na maśle.

Sacha otworzył

szampana. Wypili swoje zdrowie. W lesie Montaigne śpiewały ptaki, niebo było jasne.

Wyglądało na to, że wszystko na świecie nie tylko toczy się swoim normalnym torem, ale wręcz znakomicie się układa.

— Czy będę mógł cię znów zobaczyć? — zapytał Sacha niespodziewanie.

— A chcesz? — rzekła Esther.

— Oczywiście. Jak długo jeszcze będziesz w Paryżu?

— Tydzień. Potem jedziemy do Deauville, a następnie na południe Francji.

— Mogłabyś przyjechać tutaj zamiast do Deauville.

— Matka chybaby oszalała.

— Nawet jeśli dowiedziałyby się, że nie jestem jednak producentem gorsetów?

Esther skończyła jeść jajecznicę i odłożyła widelec.

— Chciałabym umieć robić taką jajecznicę.

— To nie jest tajemnica — odrzekła madame Hatte, sprzątając jej talerz. — Trzeba przez cały

czas bardzo energicznie ubijać jajka, ubijać, ubijać, a wtedy okażą się znakomite.

— Mogę przyjechać do Paryża we wtorek — powiedział Sacha. — Jeśli zatelefonuję do

twojej matki, to myślisz, że pozwoli mi zabrać cię na kolację?

— Jeżeli zechcę pójść z tobą na kolację, żadne matki świata nie zdołają mnie powstrzymać —

oświadczyła Esther. — O ile zechcę.

— A sądzisz, że zechcesz?

— No... być może.

Być może! Właściwie to nie była wcale przekonana do Sachy. Zbijał ją z tropu. No i kochała

Rodneya. Tęskniła za nim! Tęskniła za jego uśmiechem, wesołością i szalonymi tańcami. Do

diabła, brakowało jej nawet tych jego zmarszczonych brwi! Przypominali dwie różne książki:

Rodney otwartą, Sacha zamkniętą. Mimo to Esther nie była pewna, czy mogłaby teraz rozstać się

z Sachą, wyjechać do Paryża i zapomnieć o nim całkowicie. Był tajemniczy, to prawda, a także

bardzo poważny i staroświecki, ale znalazła się już pod jego urokiem. I jeszcze coś. Miała jakieś

dziwne przecucie, że ubiegłej nocy zdarzyło się coś niezwykłego. Nie mogła

zrozumieć co, ale
kiedy obudziła się o piątej rano, wydawało jej się, że ktoś z nią rozmawiał i
całował ją, mimo że
pokój był pusty. Poczuli się też spocona i jakby lepka.
Sacha sączył szampana.
— Może ty mogłabyś zadzwonić do mnie.
— Tak, sądzę, że tak.
Sacha nie odpowiedział, tylko spojrzął na zegarek.
— Jest wpół do dziesiątej. Chyba powinienem odwieźć cię do Signaców.
— Znow robisz to samo — stwierdziła Esther.
— Je m'excuse?* Co robię?
— Pozwalasz mi odejść bez walki. Tak jak zrobiłeś to na Normandii.
— Wybacz, nie rozumiem. Chcesz, abym o ciebie walczył?
— Odrobina agresji byłaby całkiem mile widziana. Wiesz, o co chodzi: mężczyzna,
czyli
łowca. — Słyszała, jak Bow mówiła tak kiedyś do swojego chłopaka.
— W porządku — powiedział Sacha z uśmiechem. — W takim razie nalegam, żebyś
została.
— Nie masz na co liczyć — odrzekła natychmiast. — Dzisiaj jadę do Bois
d'Argensolle, a
jutro wracam do Paryża.
— Nalegam!
Esther potrząsnęła jednak głową.
— Za późno, monsieur. Chociaż bardzo pana lubię. Sacha już miał ochotę warknąć:
„Jesteś
dopiero młodą dziewczyną, Esther, nie drażnij się ze mną!”, ale zapanował nad
swoimi nerwami.
Wstał i podszedł do kamiennej balustrady. Wyjął paczkę papierosów Spud i
poczęstował Esther.
Po bardzo długiej chwili milczenia spojrzął przed siebie na ogród i rzekł:
— Muszę się przyznać, Esther, że przez ten krótki czas odkąd się znamy, bardzo
się do ciebie
przywiązałem.
Esther wypuściła dym.
— To znaczy: zakochałeś się we mnie? — Poczuli bicie serca. To było
niebezpieczne pytanie.
— Tak, zakochałem się, jeśli wolisz tak to nazwać.
— Nie rozumiem, jak możesz używać tego określenia. Prawie mnie nie znasz.
Sacha spojrzął na nią uważnie.
— Nie zgadzam się. Myślę, że znam cię bardzo dobrze.
— Nie — odparła Esther. Wiedziała, że wystawia go na próbę, i wolałaby tego nie
robić. Ale
co innego jej pozostało? Nie mogła uwierzyć w to, że on naprawdę ją kocha. Wciąż
jeszcze nosił
w sercu wspomnienie o Camille, jego dalekiej, ukochanej Camille. A ją, Esther,
polubił tak
bardzo tylko dlatego, że przypominała mu Camille. Po prostu nie mógł sobie z
sobą poradzić.
— Jesteś wobec mnie bardzo okrutna — powiedział Sacha.
— Nie sądzę — odrzekła Esther. — Chciałam powiedzieć, że prawda jest zawsze

okrutna. Ale

najbardziej wtedy, gdy nie chcesz stawić jej czoła.

— A więc jaka jest ta okrutna prawda, której według ciebie nie chcę stawić czoła?

Esther odwróciła się.

— Camille — rzekła cicho.

Madame Hatte, która sprzątała ze stołu, usłyszała to, podniosła głowę i zawahała się.

— Camille? — zapytał Sacha. — Tak myślisz?

— To ty sprawiłeś, że tak myślę.

Sacha, paląc papierosa, przechadzał się tam i z powrotem.

— Camille była bardzo dawno temu.

— A w ilu kobietach zakochałeś się od tego czasu? Popatrz na nią uważnie.

— Jesteś wyjątkowo bystra jak na swoje lata, panno Flecker. Prawda jest jednak taka, że przed

tobą w żadnej. I w tobie także nie zamierzałem się zakochać.

— I może się nie zakochałeś. — W swej nieprzyzwoitej próżności Esther oczekiwała z

drżeniem serca, że Sacha natychmiast zaprotestuje.

Madame Hatte zaniósła talerze do domu.

— No cóż. Wygląda na to, że ty i ja nie jesteśmy sobie przeznaczeni. Początkowo myślałem,

że nasze losy zostały ze sobą splecione. Ale nie. Rozminęliśmy się o włos. Tak jak dwoje ludzi

zdolnych odmienić sobie nawzajem życie, którzy przechodzą przez te same drzwi obrotowe:

jedna osoba tą stroną, druga tamtą i nigdy nie spotykają się twarzą w twarz.

— Czy możesz dolać mi szampana? — poprosiła Esther. Sacha napełnił jej kieliszek. Nie

potrafiła pojąć, dlaczego

tak na nią patrzył. To prawda, nie była może wystarczająco dorosła. Cóż mogła wiedzieć o

tym strasliwym, spadającym nagle na człowieka uczuciu, które obracało wniwecz rozsądek

dojrzałego wieku. O miłości, która niszczyła wszystko, co stało na jej drodze, niezależnie od

tego, jak bardzo byłoby to święte czy wartościowe? W obliczu takiego uczucia zapomina się o

lojalności, a małżeństwa i fortuny rozpadają się. Siedzieli na patio i długo nic nie mówili. W

końcu odezwał się Sacha:

— Może lepiej, abyśmy na tym zakończyli dzisiejszy dzień?

Esther paliła papierosa. Wzruszyła ramionami.

— Jak sobie życzysz. Wszystko mi jedno. Sacha wstał.

— W takim razie, chodź. Odwiozę cię do Signaców.

— Sacha? — zapytała, kiedy wstał. Dlaczego nie walczył? Dlaczego jej nie pocałował?

Słońce znajdowało się za nim. Nie mogła więc zobaczyć wyrazu jego twarzy.

— O co chodzi, Esther? Potrząsnęła głową.

— Nic, nic. Nieważne.

— Na pewno? Chciałaś coś powiedzieć.
— Och, nie wiem. Chyba tylko: c'est la vie*. Chwycił jej rękę.
— Wiesz, ja nigdy nie mówię: c'est la vie. To dlatego, że nie chcę być fatalistą.
— W takim razie kim jesteś? Uśmiechnął się.
— Jestem człowiekiem, który uważa, że wszystko może się zdarzyć.
Kiedy Esther przyjechała w poniedziałek przed lunchem do Paryża, matka jeszcze nie wydobrzała po f?te champetre u barona de Gunzbourga. Zabawa przeciągnęła się do niedzielnego popołudnia, a trzystu gości zdołało wypić ponad tysiąc siedemset pięćdziesiąt butelek szampana.
— Bardzo się cieszę, że nie poszłaś ze mną — powiedziała matka. Siedziała w fotelu, w swojej sypialni. Okna były całkowicie zasłonięte. Matka na oczach miała flanelową szmatkę z zimnym okładem, więc wyglądała teraz jak ślepa Temida. Niebieski dwuwęglan sodowy musował w szklaneczce stojącej na stoliku obok niej.
— Ja też — odrzekła Esther, jedząc czekoladki. — W Szampanii było naprawdę cudownie.
— Kilka dziewcząt za dużo wypilo — opowiadała matka. — Pozrzucały z siebie ubrania i biegały po klombach kwiatowych.
— Oglądaliśmy piwnice — powiedziała Esther. — Nawet sobie nie wyobrażasz! Ciągną się całymi milami!
— A potem młody Julian de Gunzbourg odtańczył pewnego rodzaju taniec... no, nie spodobałby ci się. Zdjął koszulę. Niektóre kobiety uznały, że to ekscytujące.
Ale: brr!
Nastąpiła chwila ciszy. Matka sączyła swoją sodę. Esther przyglądała się jej przez moment, a potem powiedziała:
— Poznałam właściciela firmy Louis David.
— Tak? — zapytała matka, po czym oświadczyła: — Muszę jeszcze raz iść do Suzanne Talbot. Robi naprawdę cudowne kapelusze z ogonem skunksa. Esther upierała się przy swoim.
— Przyjeżdża w tym tygodniu do Paryża. Chciałby mnie zabrać na kolację. Matka odsłoniła oczy.
— Kto chce cię zabrać na kolację?
— Właściciel firmy Louis David. Poznałam go w sobotę w Epernay, kiedy zwiedzaliśmy piwnice.
— Piwnice? O czym ty mówisz?
— Oj, mamu. Nie słuchałaś ani przez chwilę. Matka zadzwoniła po służącą Delahaye'ów.
— Oczywiście, że słuchałam, ale nie mamy czasu. W piątek po południu jedziemy do Deauville, a w przyszłym tygodniu na południe Francji. Ten tydzień jest już zaplanowany!. O mój Boże, jeszcze mamy cztery przymiarki u Chanel i Molyneux oraz koktajl z Cecile Sorel.

— Kiedy? — zapytała Esther.

— Nie wiem... w środę.

— No to ty możesz iść na koktajl z Cecile Sorel, a ja pójdę na kolację z Sachą. Matka prychnęła niezadowolona.

— Sacha? Tak mu na imię? Masz chyba jakąś manię na punkcie mężczyzn o tym imieniu.

Zawsze mam wrażenie, że to imię dziewczyny. Tak czy inaczej, nie zgadzam się. Musisz

pojechać do Cecile. Poczuj się śmiertelnie obrażona, jeśli nie przyjdiesz. Ja także. A już na

pewno nie zamierzam grać roli twojej przyzwoitki i patrzeć, jak jakiś Francuz będzie ział nad

tobą swoim czosnkowym oddechem! Pojedziesz ze mną i poznasz diuka de Brecourt. Jest bardzo

wysoki i pełen fantazji. Gra w polo i mówią, że jest mistrzem trik-traka. Esther zapaliła

papierosa.

— Mamo, wiesz doskonale, że nienawidzę polo, a trik-trak jest najnudniejszą grą, jaką

kiedykolwiek wymyślono. Jeżeli każesz mi poznawać jeszcze jednego francuskiego diuka, to

chyba zwymiotuję! „Och, pfanno Fleckeer, jaka jepst pfanii piiiękna. Muszę pfania

pfocałowaać”.

Ale matka powiedziała tylko:

— Nie zachowuj się jak rozpieszczona dziewczyna. Może go polubisz. Równie dobrze możesz

go nawet pokochać. Kto wie? Miłość zawsze zjawia się niespodziewanie.

— O Boże, mamo! — zawołała Esther. — Daruj sobie.

Sacha przyjechał we wtorek po południu. Nie zatelefonował jednak, lecz osobiście pojawił się

przed drzwiami rezydencji Delahaye'ów z tuzinem białych róż i pudełkiem ręcznie robionych

pralinek. Dzień był słoneczny i Sacha miał na sobie nieskazitelny, jasnoszary garnitur, czarno-

popielaty krawat i porządnie wyszczotkowany kapelusz. Przeprosił, że przyszedł bez zapowiedzi,

ale chciałby porozmawiać z matką Esther. Pokojówka wprowadziła go do holu i poprosiła, żeby

zaczekał.

„Matka Esther właśnie wróciła z obfitego lunchu, na którym była ze swoją serdeczną

przyjaciółką Misia Sert. Zjadła za dużo langust w polewie z szampana i cierpiała teraz zarówno z

powodu wyrzutów sumienia, jak i niestrawności. O czwartej miała jechać z Esther na ostatnią

przymiarkę do Chanel i wiedziała już, że suknie będą ohydnie opięte. Nawet bardziej niż

ohydnie, ponieważ madame Chanel wysiliła ostatnio cały swój niezwykły geniusz i zwężyła

suknie tak, aby matka Esther wyglądała w nich możliwie zgrabnie.

Pokojówka wręczyła jej pudełko pralinek i kartę wizytową: Sacha David, Maison Louis

David, Avenue de Champagne, Epernay. Matka Esther siedziała przy toalecie.

Zadrżała.

— Co to jest? — zapytała. Zerwała wstążkę i podniosła pokrywkę pudełka.

Zobaczyła wielkie

belgijskie pralinki, olbrzymie, ze świeżym kremem, zawierające niezliczoną liczbę kalorii,

kuszące i pachnące, otulone w foremki z karbowanego papieru.

— Co to jest? — wrzasnęła — Czekoladki? Czy to jakiś żart? — Hałaśliwie wysypała pralinki

do kosza na śmieci. Następnie wstała, zacisnęła szarfę swojego szlafroka najmocniej, jak się dało,

i niczym huragan ruszyła po schodach do holu. Sacha siedział akurat w trójkątnym świetle

promieni słonecznych i przeglądał gazetę. Białe, owinięte w celofan róże leżały na stole. Spojrzał

na schodzącą po schodach matkę Esther, wstał i pochylił głowę w ukłonie.

— A więc, madame Flecker, Diva Divinsky, znów się spotykamy. Jakże mi miło!

— To pan! — wybuchnęła matka Esther.

— Przepraszam, nie rozumiem?

— Pan robi gorsety! — wykrzyknęła, wymachując jego kartą wizytową. — Co to ma wspólnego z szampanem?

— Ach, o to pani chodzi! Sądzę, że należą się pani moje przeprosiny. Wyjaśniłem już

wszystko Esther. Występowałem, można by tak rzec, w przebraniu. To taki żart, nic więcej.

Bardzo lubię les poissons d'Avril*, nawet w maju.

— A więc nie jest pan producentem gorsetów? Robi pan szampana! Znęca się pan nad winogronami, a nie nad kobietami! A ten Sacha, którego Esther poznała na wsi, to pan? Dwóch

Sachów, którzy okazali się jednym i tym samym Sachą?

— No cóż, przypuszczam, że może pani całą sprawę pojmować w taki właśnie sposób, madame Flecker.

— Ha! — wydała krótki, piskliwy okrzyk. — Czy myśli pan, że obchodzi mnie, jak pan tę

sprawę ujmuje? Chyba wyraźnie prosiłam pana na Normandii, aby trzymał się pan mojej córki z

daleka, a już na pewno nie spodziewałam się, że będzie pan drapał do jej drzwi niczym

wystrojony kocur!

Sacha ze zdziwieniem podniósł jedną brew.

— Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli, madame Flecker. Przychodzę tu, ponieważ

wierzę, że Esther chce mnie zobaczyć i pragnie tego spotkania tak bardzo jak ja.

— W takim razie jest pan równie niemądry jak podstępny! :Niczym się pan nie różni od

jakiegoś domokrażcy! Myślał pan, że zdoła zdobyć moją przychylną czekoladkami, tak? I w

ogóle, jak pan śmiał zjawić się tutaj, skoro jest pan tym człowiekiem ze statku?

Co za

bezczelność, żeby... węszyć za moją córką, za moimi plecami!

— Madame Flecker! — zaprotestował Sacha. — Esther i ja spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo, kiedy ona odwiedziła Signaców. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek ją jeszcze

zobaczę. Nie było w tym żadnego podstępu.

Zirytowana matka Esther wydała przez nos dźwięk pełen dezaprobaty.

— Oczywiście, jako mężczyzna o tak podłych manierach może pan tak mówić!

— Madame, wprawdzie powiedziała mi pani na pokładzie Normandii, że Esther nie życzy

sobie nawet ze mną rozmawiać, Esther jednak twierdzi, że niezupełnie tak to wyglądało.

Matka Esther spojrzała na niego wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami, fałdy na jej

policzkach zaczęły się charakterystycznie nadymać.

— A teraz chyba pan na dodatek oszalał! Najpierw próbuje mnie pan przekupić czekoladkami,

a potem mówi mi prosto w twarz, że kłamię. Czy tak?

— Absolutnie nie. Chcę po prostu powiedzieć, że Esther i ja zostaliśmy przyjaciółmi, a to, co

zaszło między nami na Normandii, było jednym wielkim nieporozumieniem.

Matka Esther ruszyła do drzwi, szarpnęła je i otworzyła na oścież, ku wielkiej uciechu

przejeżdżającego na rowerze chłopca z piekarni.

— W takim razie, żeby nie było więcej nieporozumień — oświadczyła — wyjaśnijmy sobie

wszystko do końca! Nie jest pan tutaj mile widziany.

— Chciałbym to usłyszeć z ust Esther — odparł Sacha.

— Od tej chwili niech się pan trzyma od niej z daleka, w odległości co najmniej pięćdziesięciu

mil! — sapnęła matka.

— Pięćdziesiąt mil? — zapytał Sacha z uśmiechem niedowierzania. — Ależ, droga madame

Flecker, to jest po prostu śmieszne.

— Nie ma nic śmiesznego w sprawach dotyczących honoru mojej córki, monsieur.

Powiedziałam: pięćdziesiąt mil!

Sacha popatrzył na schody prowadzące na półpiętro.

— Czy ona tam jest? Mogę przynajmniej z nią porozmawiać?

— Zabraniam. Życzę sobie, aby pan wyszedł. Czy mam zadzwonić po monsieur Delahaye'a i

kazać pana siłą wypchnąć na ulicę?

Sacha wahał się przez moment. Następnie wziął swój kapelusz oraz gazetę i z zawziętym

wyrazem twarzy ruszył w stronę drzwi.

— Początkowo, madame Flecker, uważałem panią za postać dosyć zabawną. Ale teraz zmieniłem zdanie. Myślę, że jest pani osobą nieznośnie nadętą i zarozumiałą.

Matka Esther bez wahania wymierzyła mu dwa policzki. Sacha skłonił głowę, jakby otrzymał

od niej komplement.

— Policzek, madame, można wybaczyć, ale braku rozsądku, nigdy. — Mówiąc to, założył kapelusz i wyszedł.
Matka Esther zatrzasnęła za nim drzwi z takim hukiem, że siedzący w bibliotece Pierre Delahaye zawołał:
— Czy to ty, Henri? Znów zostawiłeś otwarte te przeklęte drzwi? Wiesz przecież, że wiatr zawsze nimi trzaska!
Zignorowawszy go, matka Esther przeszła jak burza przez hol, porwała białe róże Sachy i rzuciła je z obrzydzeniem służącej.
— Pozbądź się tego, Hortense! I nigdy więcej nie wpuszczaj tu tego człowieka. Jest całkowicie... brrr! Jest obrzydliwy!
Wróciła na górę do swojej garderoby, dysząc tak głośno, jakby właśnie miała zaczynać Dite alla giouine w Traviacie. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, po czym potrząsnęła głową i powtórzyła: „brrrrr!” Następnie włożyła nogę do kosza na śmieci i rozdeptała pralinki Sachy.
W tej właśnie chwili do pokoju weszła Esther. Miała na sobie jedwabną szatę w kolorze eau de Nil* i wyglądała na trochę zmęczoną. Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, widząc matkę z nogą w koszu, ale nic nie powiedziała.
Matka wyciągnęła nogę i nadal głośno sapała. Jedna z pralinek przykleiła się do czubka jej aksamitnego pantofla. Zeskrobała ją za pomocą pomarańczowej szminki z toaletki.
— Wydawało mi się, że zobaczyłam mysz — wyjaśniła wyniośle.
Esther zajrzała ostrożnie do kosza.
— Deptałaś po niej?
— Musiałam się pomylić. Nie miałam okularów. Zresztą nieważne.
— Tu jest całe pudełko czekoladek! Matka usiadła ciężko na taborecie.
— Powiedziałam: nieważne! Czyja zawsze muszę wszystko powtarzać po sto razy?!
Esther zmarszczyła brwi.
— Coś cię rozzłościło. O co chodzi?
— Nic mnie nie rozzłościło. Jestem po prostu... zmęczona i przewrażliwiona.
— Czy szykujesz się już do Chanel?
— Nie idę do Chanel. Nie dzisiaj. Zadzwoń, proszę, do niej w moim imieniu i umów mnie na jutro.
— Mamo, zachowujesz się strasznie dziwnie.
— Oj, przestań się przejmować — powiedziała matka. — Henri jest znudzony i chodzi z kąta w kąta. Poproś, żeby zabrał cię na przejażdżkę.
Esther była zdezorientowana. Pozostawiła jednak matkę jej złym humorom i poszła ubrać się w popołudniowy strój. Wybrała jasnożółtą, jedwabną bluzkę, białą, plisowaną spódnicę i biały

beret. Potem zeszła do salonu, gdzie Henri, leżąc wygodnie na sofie w stylu Ludwika XIV, czytał

czasopismo motoryzacyjne i palił papierosa.

— Henri — zagadnęła, stając w drzwiach — co byś powiedział na przejażdżkę starym,

pocziwym peugeotem?

Henri podniósł głowę.

— Gdzie? W jakieś konkretne miejsce?

— Nie wiem. Gdzieś, gdzie jest ładnie. Ty zdecyduj. Rzucił czasopismo na przeciwległe krzesło.

— W porządku. Zawiozę cię do Fontenay–Tresigny. To tylko jakieś pół godziny drogi stąd.

Jest tam stary domek myśliwski, w którym możemy napić się po lampce wina.

— Myślisz, że Isabelle też miałaby ochotę pojechać?

— Zapomnij o Isabelle. Poszła kupować buty. A kiedy Isabelle kupuje buty, to wpada w trans

i nie wraca przed upływem kilku dni. No, w każdym razie kilku godzin.

Henri poszedł po swoją białą kurtkę samochodową z gabardyny i ukochaną białą czapkę.

Esther wyszła frontowymi drzwiami i czekała na niego w przedsionku. Tego popołudnia ulice

były jasne i zatłoczone. Odnosiła wrażenie, jakby większą część swojego życia mieszkała w

Paryżu. Na pewno będzie za nim tęskniła, kiedy przyjdzie pora wracać do Ameryki. Z drugiej

strony nie mogła się doczekać, kiedy znów zobaczy Rodneya. Sacha nie odezwał się i zaczynała

już wątpić, czy kiedykolwiek się odezwie.

Weekendowe szaleństwo, pomyślała. Dwoje ludzi przechodzących przez te same drzwi obrotowe, jedna osoba wchodzi, druga wychodzi i nigdy nie mogą się tak naprawdę spotkać.

Esther spojrzała w dół, w kierunku sutereny. Zobaczyła tam służącą Hortense, która usiłowała

wepchnąć do kosza na śmieci tuzin białych, długich róż. Właśnie ukłuła się wystającym z

celofanu kolcem i ssała kciuk.

— Hortense? — zawołała Esther. — Wszystko w porządku?

— Ce n'est nen, mademoiselle* — odpowiedziała Hortense.

Esther zawahała się przez moment, po czym zapytała:

— Dlaczego wyrzucasz te piękne róże?

— Pardon, mademoiselle?*

— Pourquoi jettes — tu ces jolies roses dans la poubelle?*

— Aha. Dlatego, że pani matka każe.

— Moja matka kazała ci je wyrzucić? Przecież one są zupełnie świeże! Nawet nie zostały

rozpakowane!

— Jest bardzo zła. Powiedziała, że muszę to zaraz zrobić.

Esther wyszła z przedsionka, otworzyła furtkę i zeszła ostrożnie po wąskich, kamiennych

schodkach prowadzących do sutereny. Wyciągnęła różę i przeczytała kartę, którą przywiązano wstążką do ich łodyg.

Poczuła dreszcz wstrząsający całym jej ciałem. To była karta wizytowa Sachy. Na odwrocie znajdowały się słowa napisane eleganckim, pewnym charakterem pisma: „Dla Esther, z ogrodu mojego serca. Sacha”.

— Przeklęta! — dyszała Esther, trzęsąc się ze złości. Nie mogła w to uwierzyć. — Co za przeklęta, wścibska wiedźma z tej mojej matki! Kiedy te różę przysłano? Hortense wycierała ręce w fartuszek i wyglądała na zdezorientowaną.

— Niedawno. Może dziesięć minut temu. Ten dżentelmen przyniósł je osobiście. Pokłócił się z pani matką. Było bardzo źle! Uderzyła go w twarz. Bach! Bach! A on mówił, że ona już go nie śmieszy.

— No, nie dziwię się — odrzekła Esther.

Wzięła różę i właśnie miała ruszyć na górę, pomachać nimi matce przed nosem i policzyć się z nią, kiedy zjawił się Henri. Naciągał samochodowe rękawiczki z białej, koźlej skórki.

— Gotowa na przejażdżkę?

— Nie! Tak! Poczekaj minutkę!

Zostawiła różę Hortense i poszła na górę do holu. Podniosła słuchawkę telefonu, który stał na parapecie okiennym obok żelaznego stojaka na parasole, i poprosiła telefonistkę, żeby połączyła ją z Maison Louis David w Epernay.

Na linii głośno zaszumiało i zaświergotało. Henri z wyrazem melancholii na twarzy czekał cierpliwie w otwartych drzwiach. Wreszcie po dwóch kilku minutach J’alof i j’attendez, s’il vous plaît”* powtarzanych w centrali w Epernay, Esther połączono z panem Medotem.

— Monsieur Medot? Mówi Esther Flecker. Tak, zwiedzałam wasze piwnice w sobotę z Henrim i Isabelle Delahaye. Dzień dobry panu. Proszę posłuchać, monsieur Medot. Sacha David jest dzisiaj w Paryżu. Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie się zatrzymał? Ach tak, rozumiem.

Nie wiedziałam. Czy ma pan może ich numer? Dziękuję, poczekam. — Zasłoniła ręką słuchawkę i powiedziała do Henriego: — Louis David ma biuro na Faubourg St–Honore. Sacha zwykle tam się zatrzymuje, kiedy przyjeżdża do Paryża. Ma apartament na czwartym piętrze.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz — powiedział Henri, kiedy Esther poprosiła telefonistkę, żeby połączyła ją z paryskim biurem Louisa Davida.

— Och, Henri — uśmiechnęła się — jesteś najukochańszym przyjacielem, jakiego miałam.

— No tak, to już coś — stwierdził Henri i zapalił kolejnego papierosa. Dym wydostawał się

na zewnątrz przez otwarte drzwi wejściowe.

Monsieur Sachy Davida nie było w jego paryskim biurze. Monsieur Sacha David poszedł złożyć towarzyską wizytę mademoiselle Esther Flecker. Potem pojechał do Roissy na rozmowę z kilkoma akcjonariuszami, a następnie miał wracać prosto do Epernay. Nie zostawił żadnych wiadomości.

— Merci, monsieur* — powiedziała Esther i odłożyła słuchawkę.

— I co? — zapytał Henri.

— Henri... jeśli poproszę cię, żebyś mnie zabrał na przejażdżkę do Szampanii, to zgodzisz się?

— Teraz?

— Tak, teraz.

— A co z twoją matką? Nie powinnaś jej najpierw zapytać? Myślałem, że zabiera cię dzisiaj

na nową sztukę Bourdeta. Jeśli pojedziemy do Szampanii, prawdopodobnie nie wrócimy przed...

powiedzmy północą.

— Posłuchaj, mój drogi Henri! Matka spoliczkowała Sachę i kazała Hortense wyrzucić róże

od niego, które nie były przeznaczone dla niej, tylko dla mnie! Matka nie zasługuje nawet na to,

żeby jej zatrzeć na pożegnanie, a cóż dopiero mówić o czymś więcej. A więc zawieszysz mnie

czy mam ci ukraść kluczyki od samochodu i pojechać sama?

Henri wzruszył ramionami.

— W porządku. Jeśli tego właśnie chcesz, nie mam nic przeciwko temu, żeby cię zawieźć.

Ale... wiesz, pytam jako twój najukochańszy przyjaciel, czy nie sądzisz, że trochę za bardzo się

za nim uganiasz?

— Henri, moja matka przegoniła Sachę już po raz drugi. O ile wiem, ten biedny człowiek

myśli, że ja się na niego obraziłam. Jeśli ja nie pognam za nim, on na pewno nie będzie uganiał

się za mną. A ty byś to robił, wiedząc, że mam taką matkę? Ależ z niej wiedźma!

Jutro będzie

próbowała wydać mnie za jakiegoś diuka de Brecourt.

— Diuk de Brecourt?! — zawołał zaskoczony Henri. — Czy wiesz, jak nazywają diuka de

Brecourt?

— Nawet mi nie mów — odparła Esther, ale po chwili zapytała: — No powiedz, jak?

—

Może nie jest to najlepsze tłumaczenie, ale nazywają go: „piszczące nogi”.

Wiesz, o co chodzi?

Kiedy uda są tak tłuste, że ocierając się o siebie podczas chodzenia, wydają piszczący odgłos.

— Esther energicznie naciągnęła beret, założyła go na bok.

— To przesądza sprawę. Ruszajmy natychmiast do Epernay! I nie wracajmy stamtąd przed
czwartkiem.
Zaraz za Le Thiolet wjechali na stłuczoną butelkę i przebili oponę. Henri przez
pół godziny
męczył się, zmieniając koło, natomiast Esther siedziała w trawie na poboczu i
piła ciepłe piwo
prosto z butelki. Przyjechali do Epernay wczesnym wieczorem. Esther czuła się
już zmęczona,
była rozczochrana i zastanawiała się, czy cała ta wyprawa do Szampanii w pogoni
za Sachą to
rzeczywiście był taki wspaniały pomysł.
W centrum Epernay długie cienie kładły się na pokrytych kurzem kocich łbach.
Drogą
prowadzącą między kasztanowcami ludzie wracali na rowerach do swoich domów.
Henri i Esther
podjechali pod Maison Louis David. Kiedy weszli do biura i spytali o Sachę,
jeden z urzędników
powiedział im, że nie spodziewają się go dziś wieczorem.
— Jeżeli wrócy do Epernay, to ‘n nie przyjedze ‘utaj, tylko pojedze do ‘omu.
— Omu? — zapytała Esther. — Aha, ma pan na myśli: „do domu”. No tak, ‘om jest
chyba
tam, gdzie znajduje się nasze ‘erce*.
Poszli do Cafe des Jancelins na rogu rue des Huguenots. Usiedli przy oknie, obok
przekrzywionej firanki. Henri zamówił kawę i mały kieliszek marc.
— Coś na pocieszenie — uśmiechnął się.
W radiu grano sentymentalne francuskie piosenki o tym, że mężczyźni tracą serce
dla kobiet z
kwiatami we włosach. Obok siedzieli dwaj starsi mężczyźni. Palili stare skręty i
grali w grę
rysunkową, strasznie się przy tym kłóćąc.
— Przypuszczam, że do tej pory matka zawiadomiła już policję — stwierdziła
Esther. Oczy
miała podkrążone i była w ponurym nastroju.
— Dlaczego ona traktuje cię jak dziecko? — zapytał Henri. Położył rękę na jej
dłoniach. —
Nie jesteś wcale dzieckiem.
— Chce, żebym wyszła za mąż za kogoś utytułowanego — wyjaśniła Esther. — Po
ślubie z
ojcem przestała martwić się o pieniądze. Teraz martwi się o pozycję.
— Nie wiem, dlaczego tak się tym przejmuje. Połowa ludzi w Europie ma taki czy
inny tytuł.
Mój ojciec jest baronem, ale nie mówi o tym nikomu. Uważa, że to żenujące.
Kiedy wypili kawę, ruszyli dalej. Przejechali z powrotem most na Marnie i
krętymi, górskimi
drogami dotarli do Dizy. Następnie, mijając ciemne amfiteatry winnic, dojechali
do lasu
Montaigne.
Skręcili w stronę la Neuville. Kiedy pokonywali wąskie drogi między srebrnymi
brzozami,

Henri musiał zapalić przednie światła. Mimo to dopiero w ostatniej chwili zauważył bramę prowadzącą do domu Sachy. Cofnął samochód i wjechał na podjazd. Nie wiedzieć czemu posiadłość wydawała się niesympatyczna i mniej zachęcająca niż podczas weekendu. Esther usłyszała wściekle ujadanie psów, które dochodziło z boku budynku. Kiedy reflektory samochodu Henriego oświetliły podjazd, stwierdzili, że nie ma na nim ani śladu wspaniałego bugatti royale Sachy. Stał tam natomiast inny samochód — ogromny packard super eight w kolorze błyszczącego srebra.

— Dlaczego nie zatrąbisz? — zapytała Esther Henriego. Henri zasłonił ręką klakson, żeby Esther nie mogła go dosięgnąć i sama nacisnąć. Potrzęsnał głową.

— Podejźmy do drzwi i zapowiemy się, jak należy.

— Też mi gadanie — prychnęła Esther.

Połąskotała Henriego pod pachą, tak że zdjął rękę z klaksonu, a następnie zatrąbiła sama trzy lub cztery razy. Psy wpadły w szal, ale drzwi frontowe domu otworzyły się. W świetle dochodzącym z holu Esther zobaczyła madame Hatte, która stała ze zmarszczonymi brwiami, ubrana w dziwaczny, zielony kaftan domowy i francuską, rewolucyjną czapkę. Esther wysiadła z samochodu i podeszła do schodów.

— Madame Hatte? — powiedziała.

— Ach, to mademoiselle! — zawołała madame Hatte. — Nie spodziewałam się pani. Przykro mi, ale monsieur Davida nie ma w domu. Powinien jednak wrócić na kolację.

— Czy mogę na niego poczekać? — zapytała Esther.

— Oczywiście. Powinien wkrótce nadjechać. Henri szedł za nią.

— Bonsoir, madame*. — Ukłonił się madame Hatte.

— Czy monsieur Delahaye też mógłby poczekać? — spytała Esther.

— Jestem pewna, że monsieur David nie miałby nic przeciwko temu.

— Właściwie to chyba pojedę do Signaców — powiedział Henri, wycofując się. — Zostawiłem tam w niedzielę moją rakietę tenisową, a nie bardzo chciałem, żeby Laurence odsyłał mi ją pocztą.

— Czy wróci pan na kolację? — zapytała madame Hatte.

— Nie, proszę się mną nie martwić. Przekaszę coś z Laurence'em i Charlotte.

Esther, po prostu zadzwoń do mnie, kiedy będziesz chciała wracać. Przyjadę wtedy po ciebie. Esther nie wiedziała, czy Henri faktycznie zapomniał zabrać rakietę tenisową od Signaców, czy nie. Podejrzewała, że zostawiał ją samą w Château David tylko dlatego, że nie chciał zawadzać jej i Sachy podczas romantycznego wieczoru. Od ostatniego weekendu nie próbował

więcej mówić o swoich uczuciach, jednak ze sposobu, w jaki na nią patrzył i w jaki jej dotykał,
gdy tylko nadarzyła się okazja, zgadywała, że był w niej nadal zakochany.
Pochlebiali to Esther,
ale też zasmucało ją trochę. Zwłaszcza, że naprawdę tak bardzo go lubiła.
Henri odjechał. Kiedy zniknął za bramą, zatrąbił klaksonem, co znów rozjuszyło psy. Esther
weszła do domu, a madame Hatte zamknęła drzwi na klucz.
— Proszę wejść do biblioteki — powiedziała madame Hatte. — Może zechciałaby pani napić się herbaty albo wina.
— Z przyjemnością wypiję filiżankę herbaty — odparła Esther. — Bez mleka i bez cukru.
Podczas pobytu u Sachy nie widziała biblioteki. Był to mały pokój w zachodniej części domu,
który od góry do dołu wypełniały brązowe, oprawione w skórę książki. Znajdował się tam także kamienny kominek, ale ponieważ było lato, jego kratę zajmowała dekoracja z suszonych miesięcznic i michałków.
Esther zdziwiła się, kiedy w jednym ze skórzanych foteli zobaczyła mężczyznę palącego papierosa i czytającego książkę.
— Monsieur Guillaume, to jest mademoiselle Flecker. Mademoiselle, to jest monsieur Guillaume Alexandre.
Mężczyzna zamknął książkę, odłożył ją i wstał. Był wysoki, wyjątkowo elegancki i niesamowicie przystojny. Przypuszczała, że był mniej więcej w wieku Sachy, miał prosty nos, gładką twarz, włosy w kolorze ciemnobłond z przedziałkiem na boku i głęboko osadzone, bładoniebieskie oczy. Ubrany był w jasny garnitur w angielską kratę i kremową jedwabną koszulę, która zapewne kosztowała dwa razy tyle, ile wynosiła średnia pensja krajowa.
Wyciągnął do niej rękę.
— Panna Flecker? To dopiero niespodzianka. A już myślałem, że jestem skazany przez resztę wieczoru na czytanie nudnych, starych książek Sachy o uprawie winorośli. Jego angielszczyzna była prawie tak nieskazitelna jak garnitur, mówił w zasadzie bez akcentu.
— Miło mi pana poznać — odparła Esther wymijająco.
— Herbata dla pana? — spytała go madame Hatte.
— Herbata? Nie mogę przecież zapoznawać się z tak czarującą młodą damą przy herbacie. Co by pani powiedziała na butelkę l'Etoile?
— Boże, tylko nie szampan — zaprotestowała Esther, zajmując krzesło naprzeciwko niego. —
Pozostanę przy herbacie. Dziękuję, madame Hatte.
Guillaume usiadł także i założył nogę na nogę.

— Nie lubi pani szampana? — uśmiechnął się. — Zaskoczyła mnie pani. Wygląda pani na

osobę, która go uwielbia.

— Spędziłam u Sachy ostatni weekend. Można byłoby napełnić arkę Noego tą ilością szampana, którą razem wypiliśmy. Stąd ta przejściowa awersja. Wszystko, co mogłoby uderzyć

mi do głowy, poczyniłoby niezwykle spustoszenia. Czy nie ma pan przypadkiem papierosa?

Jedziemy prosto z Paryża. Wpadliśmy na ten pomysł zupełnie niespodziewanie.

Guillaume rozejrzał się wokół zdeorientowany.

— My? — zapytał.

— Mój przyjaciel pojechał po swoją rakietę tenisową.

— Aha — powiedział Guillaume, kiwając głową, jakby rozumiał, o co chodzi. Wyjął płaską,

złotą papierośnicę i poczęstował Esther jednym lucky strike.

— A więc... jest pani przyjaciółką Sachy?

— Raczej znajomą. Poznaliśmy się na Normandii, płynąc z Nowego Jorku.

Guillaume schylił się, podając jej ogień.

— To wyjaśnia, dlaczego mi o pani nie wspominał. Nie widziałem się z nim od jego powrotu.

Kim był tym razem?

— Kim był?

— Zazwyczaj występuje w jakimś przebraniu, na przykład: księdza, żołnierza czy cyrkowca.

— Aha, wiem już, co pan ma na myśli. Był producentem gorsetów.

Guillaume potrząsnął głową.

— Producent gorsetów! Ależ to absurdalne! Wie pani, właściwie on zawsze, już nawet jako

mały chłopiec, był dowcipnisiem. Pewnego razu udawał generała francuskiej armii. Popadł w

śmieszne kłopoty z władzami wojskowymi, kiedy przebrał się za oficera. Nawet wypożyczył

sobie mundur i medale!

Esther wypuściła dym z ust.

— Lubię ludzi, którzy mnie rozśmieszają.

— Tak, to prawda. Sacha rzeczywiście potrafi rozśmieszyć wielu ludzi. Z drugiej jednak

strony równie wiele osób przez niego płacze.

— Czyżby?

Ten Guillaume mówił tak, jakby wcale nie przepadał za Sachą.

Guillaume wzruszył ramionami.

— To człowiek, którym targają sprzeczne emocje. W jednej chwili potrafi być miły i

delikatny, w drugiej zaś wściekły niczym rozjuszony byk.

— Mówi pan, jakby go znał do bardzo dawna.

— Ależ, tak. W zasadzie całe życie.

Madame Hatte przyniosła Esther herbatę, którą podała w filiżance z delikatnej porcelany z

kwiecistą obwódka i niewielki talerz biscuits a la cuiller.

— Pańskie wino będzie za moment, monsieur.

— Jest pani nieoceniona, madame Hatte — uśmiechnął się Guillaume.
Esther zauważyła, że jego słowa wcale nie spodobały się madame Hatte. Nic nie odpowiedziała, a kiedy wychodziła, rzuciła mu groźne spojrzenie.
— Czym się pan zajmuje? — zapytała Esther, maczając biszkoptowy paluszek w herbacie i odgryzając kawałek.
— Niech pani zgadnie — zaproponował Guillaume.
— Nie wiem. Nie jest to na pewno produkcja gorsetów.
— Ha! Żałuję, ale nie miałem z tym nic wspólnego. Esther zwięzła oczy i przyjrzała mu się badawczo. Był naprawdę nadzwyczaj przystojny. Gdyby nie poznała wcześniej Sachy, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby ją oczarował. Te jego wyblakłe oczy wydawały się wyjątkowo nikczemne, a kiedy mówił, odnosiło się wrażenie, jakby prawie przez cały czas kłamał. Było w tym coś bardzo intrygującego. Co on tak naprawdę myślał? Mówił prawdę czy tylko to, co chciała usłyszeć?
— Założę się, że pracuje pan w domu wariatów — rzuciła Esther.
— Nie rozumiem — zamrugał oczami. — Czy ten dom ma może coś wspólnego z orzechami?* Orzeszki laskowe, ziemne i tak dalej? To pani ma na myśli? Esther zachichotała.
— Nie, nie. Powiedziałam: dom wariatów, czyli szpital dla umysłowo chorych. Założę się, że jest pan lekarzem. Jednym z psychiatrów.
Guillaume przycisnął rękę do piersi.
— Czy według pani na takiego wyglądam? Na psychiatrę? Psychiatrizy noszą brody i mówią z twardym, niemieckim akcentem.
Esther powiedziała:
— A jednak potrafię po prostu wyobrazić sobie, jak słucha pan tych wszystkich bogatych, starszych dam, które opowiadają panu o swoich seksualnych frustracjach. „Doktorze, ciągle męczą mnie te okropne sny!”
— No tak! — roześmiał się Guillaume. — Jest pani bardzo zuchwała, panno Flecker, obawiam się jednak, że nie ma pani zupełnie racji. Nigdy nawet nie byłem w domu wariatów.
Pracuję w tej samej branży co Sacha, również produkuję szampana.
— Aha — odparła Esther.
Guillaume przyglądał się uważnie, jak wypuszczała dym z papierosa i maczała w herbacie biszkopta, ona zaś nawet na niego nie spojrzała.
— Może po drodze zauważyła pani znaki moich winnic: Guillaume Fr?re.
Esther rzuciła mu krótki, zdawkowy uśmiech.
— Szczerze mówiąc, nie mogę odpowiedzieć, że tak.
— Wygląda na to, że szampan panią nudzi.
— Ależ nie! Uwielbiam szampana! Tylko, rozumie pan, tak naprawdę lubię go wyłącznie pić.

Nie bardzo mnie natomiast interesuje, jak się go wytwarza. Sacha wszystko mi już wyjaśnił.

Pierwsza fermentacja, druga i tym podobne rzeczy, wie pan. Nawet próbował zrobić ze mnie

kipera, tylko że zupełnie nie radziłam sobie z bulgotaniem.

— Może to ja powinienem panią uczyć.

— Niech mi pan wyświadczy przysługę i nie zawraca sobie głowy, bardzo proszę.

Sacha był

dosyć zdenerwowany z tego powodu.

— No tak — powiedział Guillaume. — Sacha traktuje szampana jak świętość.

— Świętość?

— O tak! Traktuje go jak relikwię. Większość członków Commission de Chalons uważa, że

Sacha jest, jak wy to nazywacie, religijny, jeśli chodzi o szampana. Zawsze musi stosować

najbardziej tradycyjną metodę. Dębowe beczki, ręcznie obsługiwana prasa. Ja natomiast twierdzę

coś zupełnie przeciwnego. Szampan nie jest żadną świętością i można go produkować równie

dobrze przy wykorzystaniu nowoczesnych metod przemysłowych, a przez to trzykrotnie taniej.

— Ale Sacha robi naprawdę znakomitego szampana — zauważyła Esther.

— Oczywiście, że tak! Nie można temu zaprzeczyć. Ja też produkuję znakomitego szampana,

tylko że mój jest znacznie tańszy.

Esther piła powoli herbatę.

— To w tym celu pan tu dzisiaj przyjechał? Aby kłócić się z Sachą o szampana?

Guillaume uśmiechnął się.

— Coś w tym rodzaju. Rzeczywiście kłócimy się dosyć często.

— Nie sprawia pan wrażenia osoby kłótlivej. Dlatego właśnie myślałam, że jest pan

psychiatrą.

— W życiu zdarzają się takie sytuacje, w których trzeba się kłócić.

— Czyżby?

Guillaume wziął do ręki książkę i długo przypatrywał się napisowi na jej grzbiecie: Resume du

Cours d'Oenologie Champenoise.

— Pozwoli pani, że coś powiem — odezwał się wreszcie. — Mimo wszystkich istniejących

między nami różnic, Sacha i ja jesteśmy złączeni tak mocno jak bracia syjamscy. I dlatego

właśnie walczymy ze sobą tak zaciekłe. Nigdy nie zdołam uwolnić się od niego, ani on nie zdoła

uwolnić się ode mnie.

Esther zmarszczyła brwi.

— Dlaczego?

— Nie opowiadał pani o mnie?

— Nie. Wcale o panu nie wspominał.

— W takim razie zapewne będzie lepiej, jeśli jemu pozostawię wyjaśnienia.

Esther czekała, aż coś jeszcze powie, ale on tylko rozgniół papierosa, wypuścił

ostatni, długi

kłąb dymu, usiadł na krześle ze splecionymi palcami i uśmiechał się do niej w milczeniu.

— Czy to już wszystko, co zamierza mi pan powiedzieć? — zapytała w końcu. — Że jesteście

złączeni razem jak bracia syjamscy i nie możecie się od siebie uwolnić? A którą część ciała

macie wspólną?

— Serce — wyjaśnił Guillaume. — Chciałbym jednak, żebyśmy również mózg mieli wspólny.

Madame Hatte przyniosła pół butelki L'Etoile de Champagne i kieliszek. Esther poczekała, aż

ona wyjdzie, a potem powiedziała:

— Jeżeli istnieje coś, czego nienawidzę bardziej niż plotkującego mężczyzny, to jest to

mężczyzna, który zaczyna plotkować, a potem z powodu wyrzutów sumienia przerywa w

połowie i nigdy nie mówi tego, co chciałoby się usłyszeć.

Guillaume otworzył butelkę i uśmiechnął się.

— Wszystko oczywiście zależy od tego, co chciałoby się usłyszeć.

O ósmej wieczorem Sachy wciąż nie było, wobec tego madame Hatte podała im kolację.

Zjedli zupę cebulową z serem Gruyere, a następnie pain de poulet na gorąco, w sosie z kurczaka i

pomidorów. Popijali czerwonym vin onginaire de la Champagne viticole, które pochodziło z

małej winnicy Louisa Davida w Maureuil-sur-Ay.

Guillaume nie mówił więcej na temat Sachy. Mogła więc zgrzytać sobie zębami, lecz nie

dowiedziała się, co ich obu tak nierozzerwalnie wiązało oraz powodowało, że się tak bardzo

kłócili. Opowiadał natomiast wyjątkowo dowcipnie i inteligentnie o swoich podróżach do

Ameryki i o żeglarstwie, które było jego wielką pasją.

— Gdyby weszła pani na mój jacht, zrozumiałaby pani, dlaczego żeglarze potrafią darzyć

morze znacznie głębszą miłością niż jakąkolwiek kobietę.

— A czy pan kocha morze? — zapytała Esther, jedząc zupę cebulową.

— Myślę, że tak — powiedział, a jego oczy zalśniły w blasku świec.

— Bardziej niż jakąkolwiek kobietę?

— Owszem, kocham kobiety. Kochałem szczególnie kilka z nich. Ale jak dotąd żadnej tak

bardzo jak morze.

— Trudno zabrać morze ze sobą do kina. Guillaume roześmiał się.

— Ależ z pani zabawna dziewczyna.

— To dziedziczne.

Zdażyła mu już opowiedzieć o tym, jak jej matka spoliczkowała Sachę i wyrzuciła jego róże

do śmieci. Guillaume słuchał w milczeniu i przyglądał się Esther. Powiedział jedynie:

— Czasami tak się zdarza. A Sacha zawsze lubił ryzykować.

Zegar w holu wybił wpół do dziesiątej.

— Zastanawiam się, kiedy Sacha może wrócić do domu — odezwała się Esther. — Może zadzwonię do Henriego i spytam, czy chce wracać do Paryża, czy nie.

— Chyba nie zamierza pani jechać do Paryża dziś wieczorem? — zapytał Guillaume.

—

Dotrzecie tam dobrze po północy.

— Nie, ja nie zamierzam. W każdym razie dopóki nie zobaczę się z Sachą. Ale

Henri może

będzie chciał jechać.

— Załóżmy, że Sacha postanowił nie wracać. Co wtedy pani zrobi?

— Nie przypuszczam, aby madame Hatte miała coś przeciwko temu, żebym została tu na noc.

Prawda, madame Hatte?

Madame Hatte, która sprzątała naczynia, zrobiła dwuznaczną minę.

— Może się pani zatrzymać u mnie — zaproponował Guillaume. — Ostatecznie to trochę za

wiele prosić madame Hatte, aby przyjęła niespodziewanego gościa.

— To żaden kłopot, monsieur Guillaume — odparła natychmiast madame Hatte ostrym tonem. — Monsieur David wyznaje zasadę, że jego dom zawsze stoi otworem dla przyjaciół.

— Nie jest to raczej dla niego zbyt męczące — zauważył Guillaume. — Zważywszy, że ma

ich tak niewielu.

— Osądza go pan dosyć surowo — stwierdziła Esther. Guillaume uśmiechnął się, wstał od

stołu i odsunął także jej krzesło.

— Sacha jest tak samo surowy wobec mnie. To stanowi podstawę naszych wzajemnych stosunków.

Zaprowadził ją do salonu. Esther podeszła prosto do gramofonu, podniosła

pokrywę, pokręciła

korbką i nastawiła Red Sails In The Sunset, która była akurat najnowszą płytą

Sachy.

— To specjalnie dla pana, ponieważ kocha pan tak bardzo żeglarstwo — powiedziała do

Guillaume'a. — Czy miałby pan ochotę poniszczyć trochę tutejsze dywany?

Guillaume zgasił papierosa i wziął ją w ramiona. Był bardziej krępy niż Sacha i tańczył z

mniejszą gracją. Poruszał się jednak pewnie i stanowczo, a poza tym znał kilka

naprawdę interesujących kroków i obrotów.

— Zaskoczył mnie pan, mówiąc, że Sacha lubi podejmować ryzyko — rzekła Esther.

— Tak, ryzyko leży w jego naturze.

— Owszem, słyszałam, że ściga się na motocyklach. To jest dosyć ryzykowne. Ale w pozostałych sprawach... sama nie wiem, wydaje się raczej stateczny.

— A jakież to pozostałe sprawy ma pani na myśli? — zapytał Guillaume, wyraźnie rozbawiony.

— No, wie pan, na przykład jego maniery, potrafi być wyjątkowo oficjalny. A także sposób, w

jaki produkuje szampana: te stare beczki i cała reszta. Moim zdaniem świadczy to

o jego
stateczności.
Guillaume potrząsnął głową.
— Gdyby pani lepiej знаła mentalność europejskich kobiet i mężczyzn, nie
powiedziałyby
pani, że jego zachowanie jest wyjątkowo oficjalne. A jeśli znałyby się pani na
produkcji
szampana, nie uważałyby pani Sachy za osobę rozsądną. Winogrona ciągle są
narażone na
tragiczne skutki złej pogody bądź atak motylcy. Poza tym przez ostatnie sześć
lat, odkąd Wielka
Brytania utraciła parytet złota, sprzedanie takiej ilości szampana, aby
przynosiło to przyzwoite
zyski, stało się niemożliwe. Gonimy resztkami sił! Rozumie więc pani, że w
takich
okolicznościach upieranie się przy tradycyjnych metodach i dążenie do absolutnej
perfekcji, jak
robi to Sacha, jest bardzo ryzykowne. — Guillaume obrócił ją, po czy dodał: —
Podziwiam
Sachę za to, ale podziwiam go w taki sam sposób, jakbym podziwiał człowieka,
który postanowił
przepłynąć Atlantyk na średniowiecznym żaglowcu. Wspaniałe osiągnięcie, tylko
jaki mamy z
tego pożytek? Wie pani, na sto osób otwierających butelkę Louisa Davida tylko
garstka będzie
potrafiła wyczuć, że do pierwszej fermentacji użyto dębowych beczek. Natomiast
jeszcze mniej
osób będzie w ogóle przywiązywać do tego wagę. Większość ludzi pije szampana,
żeby, jak to
Anglicy nazywają, wesoło przepłukać sobie gardziołko. To taka rozrywka dla
bogaczy.
Esther zmieniła płytę na wolnego, bluesowego walca i przez chwilę tańczyli w
milczeniu.
Zaczynała się czuć zmęczona, więc bez najmniejszego skrępowania oparła głowę na
ramieniu
Guillaume'a. Nagle spojrzała na niego.
— Nie jest pan żonaty, mam nadzieję?
Roześmiał się.
— Czy wyglądam na żonatego? Czyż żonatych mężczyzn nie poznaje się po
zmarszczkach
wokół oczu i zgarbionych plecach? A pani? Myśli pani o wyjściu za mąż? Czy tam w
Ameryce
czeka na panią kawaler?
— Jestem przyszłą panią Rodneyową Hamiltonową Drugą we własnej osobie.
— Rozumiem. A czy ten pani przyszły mąż jest bardzo atrakcyjny? Bardzo
sympatyczny?
— Wytrzymuje próbę. Znakomicie tańczy, lepiej niż pan.
Guillaume uśmiechnął się.
— Większość mężczyzn tańczy lepiej ode mnie. Pierwszym tańcem, którego się w
ogóle

nauczyłem, był ten słynny walc The Necessity Shuffle. Na pewno zna pani kroki: najpierw posuwisty krok do przodu lewą nogą, następnie posuwisty krok do przodu prawą. Przez cały czas trzeba uważać, żeby nie podeptać nowych butów partnerki. Nawet teraz, jedyne co potrafię, to tańczyć różne warianty tego właśnie walca.

— Kłamie pan, kemo sabay, tańczy pan lepiej, niż pan mówi.

— W porządku. — Guillaume wrzucił ramionami. — Kłamię. Ale dlaczego nazwała mnie pani... jak to było?

— Kemo sabay. To ze słuchowiska radiowego. Nigdy pan nie słyszał o Samotnym Obieżyświacie? Guillaume potrząsnął głową.

— On jest trochę taki jak Sacha — stwierdziła Esther. — Jedyne różnica polega na tym, że jest kowbojem, nosi maskę i nikomu nie pozwala podziękować za to, co zrobił.

— Wobec tego — odparł Guillaume, trzymając teraz Esther bardzo blisko — on jest dokładnie taki jak Sacha. Zegar wybił wpół do jedenastej. Skończyli tańczyć, usiedli razem na sofie i zaczęli rozmawiać. Rozmawiali o muzyce swingowej, o balach, na których byli, i o ludziach, których znali. Guillaume był we wszystkim dobrze zorientowany. Zdawało się, że doskonale wie, kto z kim romansuje. Rozmawiali nawet o polityce. Guillaume uważał, że z Niemcami mogą być poważne kłopoty.

— Hitler mówi, że potrafi zrealizować wszystkie swoje ambicje bez rozlewu krwi. Wobec tego, skoro nie istnieje takie prawdopodobieństwo, to dlaczego w ogóle wspomina o rozlewie krwi? Gdybym powiedział mojemu krawcowi, że spodziewam się otrzymać dobry garnitur bez rozlewu krwi, on pomyślałby natychmiast: jeśli nie uszyję temu człowiekowi odpowiedniego garnituru, na pewno dostanę od niego pięścią w nos.

— To, co moja matka mówi o Hitlerze, nie nadaje się do powtórzenia — oświadczyła Esther.

— Jej siostra Nana, która mieszkała dawniej w Berlinie, zamknęła teraz swoje mieszkanie i wyjechała do Tangeru albo w jakieś inne dziwne miejsce. Twierdzi, że nie zamierza wrócić, nawet jeśli miałyby stracić swój majątek.

— Możliwe, że jest mądrzejsza, niż przypuszczamy — zauważył Guillaume. Wypili następnego szampana. Esther zaczęła odczuwać sympatię dla Guillaume'a, chociaż był znacznie mniej uprzejmy niż Sacha. Zachowywał się dużo bardziej bezpośrednio, co ograniczyło niemal z grubiaństwem. I ciągle miał te diabelskie ogniki w oczach! Wyglądał na

mężczyznę,
który nie zawahałby się wpędzić dziewczynę w kłopoty. Jednocześnie jednak
zadbałby o to, aby i
ona bawiła się przez cały czas znakomicie. Esther bardzo się też spodobał jego
niedbały sposób
zapalania dwóch papierosów naraz i wręczania jej jednego z nich.
Rodney, widząc to, zmarszczyłby na pewno nos i oświadczył: „zarazki”.
Za dziesięć jedenasta Esther zadzwoniła do Signaców. Powiedziała Henriemu, że
zamierza
spędzić noc w Château David. Henri nie wydawał się specjalnie zmartwiony — grał
w karty z
Laurence’em i listonoszem z miasteczka, i właśnie wygrywał.
Zanim jednak odłożył słuchawkę, powiedział do Esther:
— Uważaj na siebie, dobrze? I nie rób nic, czego ja bym nie zrobił.
Esther posłała mu buziaka.
— Dobranoc, mój bohaterze. Dors bien*.
Wybiła północ. Guillaume spojrzął na zegarek.
— Wciąż nie widać Sachy! Esther, wygląda na to, że pani i ja straciliśmy cały
wieczór.
— Ależ na litość boską, Guillaume, wcale tak nie uważam.
Świetnie się bawiłam. Przypuszczam, że matka zamorduje ie z zimną krwią, ale za
to
poznałam pana.
— Nie uważa pani, że należałoby do niej zatelefonować, aby dać znać, że jest
pani cała i
zdrowa?
Esther potrząsnęła głową.
— Chociaż raz może się pomartwić.
— To w końcu pani sprawa. — Guillaume wstał. — Ja muszę wracać do domu. Wcześnie
rano mam zebranie zarządu.
Esther odprowadziła go do drzwi. Madame Hatte była już na górze. Zaciągała
zasłony,
odkręcała i zakręcała kurki oraz trzaskała drzwiami, demonstracyjnie okazując
swoje
niezadowolenie z powodu tego, że Esther i Guillaume nie pozwalają jej spać o tej
porze. Esther
nadal nie potrafiła oswoić się z myślą, że poza Paryżem chyba wszyscy udawali
się na spoczynek
zaraz po zapadnięciu zmroku.
— A więc dobranoc, panno Flecker — powiedział Guillaume, kiedy znaleźli się na
ganku.
Noc była ciepła, słyszeli grające świerszcze. — Mam nadzieję, że będę mógł
jeszcze panią
zobaczyć w najbliższym czasie.
— Wybieramy się z matką do Deauville.
— Spodoba się pani tam. Proszę pamiętać, aby matka zabrała panią do Ciro.
Przez moment oboje zawahali się. Była to chwila pełna „słodkiego, niepokojącego
i
fascynującego” napięcia. Następnie Guillaume wziął Esther dosyć brutalnie w
ramiona i

pocałował ją.

— Mmff!!! — zaprotestowała, próbując go odepchnąć. I znów: — Mmmf — kiedy stwierdziła, że jest zbyt silny. Potem zaś sama dosięgła ręką jego ramienia, przylgnęła do niego i zamruczała: — Mmmm.

Stali mocno do siebie przytuleni. Esther patrzyła na jego krawat, a Guillaume na jej zaczesane do tyłu włosy.

— Oczekuje pani, że ją przeproszę? — zapytał Guillaume. Po brzmieniu jego głosu Esther

poznała, że się uśmiechał.

— Dlaczego miałby mnie pan przepraszać? — odrzekła, strzepując długimi, pomarańczowymi paznokciami włos z kłapy jego marynarki. — Mnie nie jest przykro. Tak czy owak, wie pan, jak ludzie mawiają: pocałunek jest tylko pocałunkiem.

— To prawda. Pocałunek jest tylko pocałunkiem, ale pani przyjechała tu, żeby całować Sachę, a nie mnie.

Esther spojrzała na niego i roześmiała się.

— No, wystarczy już tego!

Guillaume pocałował ją raz jeszcze. Nie odczuwała takich dreszczy rozkoszy, jak wtedy gdy całował ją Sacha. Była jednak zmęczona i podenerwowana, a Guillaume okazał jej tyle życzliwości.

W tym właśnie momencie oślepił ich blask białego światła i usłyszeli głośny warkot

potężnego silnika samochodowego oraz chrzęst kamyków pod kołami. Esther przysłoniła oczy

dłonią i spojrzała na drogę dojazdową. Guillaume prawie natychmiast puścił Esther i odsunął się

od niej. Światła zgasły, silnik także. Mimo że Esther wciąż jeszcze była oślepią, rozpoznała

długą, lśniącą sylwetkę bugatti royale. Z samochodu wysiadł Sacha i szedł teraz przez podjazd w ich kierunku.

— Esther? — zawołał zdziwiony, zdejmując rękawice samochodowe. — Co tu się u licha dzieje?

Guillaume włożył ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

— Spóźniałeś się, Sacha, więc panna Flecker i ja pozwoliliśmy sobie zabawić się sami na twój rachunek.

Sacha spoglądał to na Esther, to na Guillaume'a.

— I na tym polega wasza zabawa? Na kochaniu się w środku nocy przed moim własnym domem?

Esther zarumieniła się.

— Sacha, myśmy się wcale nie kochali. To był tylko pocałunek, nic więcej.

— Ach tak, nic więcej! Tylko pocałunek! Kolejny policzek wymierzonymi przez damę

z

rodziny Fleckerów! Co za dzień! Najpierw twoja matka, a teraz ty!

— Do diabła, Sacha! — zaprotestowała Esther. — Myślisz, że co ja tu w ogóle robię w

Szampanii? Kiedy dowiedziałam się, co zaszło między tobą a matką, poprosiłam Henriego, żeby

przywiózł mnie aż tutaj! Guillaume i ja mówiliśmy sobie dobranoc, to wszystko!

— Ach, rozumiem! Mówiliście sobie dobranoc! — krzyknął Sacha, rozluźniając szarpnięciem

krawat. — Jedyne, co mogę powiedzieć, moja droga, to, że robisz to w nadzwyczaj czuły sposób.

I to z moim własnym bratem.

Esther poczuła, jakby wylał na nią miednicę lodowatej wody.

— Twoim bratem? Co to znaczy? Guillaume jest twoim bratem?

Sacha wszedł po schodach na ganek. Jego szary garnitur był wymięty, a on sam sprawiał

wrażenie wyczerpanego.

— Nie powiedział ci? No cóż, to mnie wcale nie dziwi. On lubi, żeby ludzie wiedzieli tylko

to, co jest dla niego wygodne.

— Jakoś nie doszliśmy do tego — powiedział Guillaume.

W obecności Sachy wydawał się zdecydowanie mniej pewny siebie, bardzo nieszczerzy. A

może po prostu oburzenie Sachy było tak uzasadnione i sprawiedliwe, że każdy poczułby się

nieswojo. Nawet sama Esther czuła, że jest un peu* nie w porządku.

W drzwiach ukazała się madame Hatte w nieskazitelnie niebieskim szlafroku i tej dziwacznej,

rewolucyjnej czapce. Stała tam, obserwując ich i czekając.

Sacha przemówił do Esther delikatniejszym tonem:

— Spodziewałaś się, że zostaniesz tu na noc?

— Nie spodziewałam się, Sacha. Niczego się nie spodziewałam. Po prostu przyjechałam, żeby

cię zobaczyć.

— A Henri?

— Zatrzymał się u Signaców.

Sacha skinął głową, po czym zwrócił się do Guillaume'a. Mówił zimnym, szorstkim głosem.

— Przepraszam, że spóźniłem się na spotkanie z tobą, Guillaume. Może moglibyśmy omówić

tę sprawę jutro? Zadzwoń do ciebie na zebranie Komisji.

— W porządku, odpowiada mi to — odrzekł Guillaume. — Czy nie podziękujesz mi jednak

za zabawianie panny Flecker w twoim imieniu?

Sacha milczał przez chwilę, potem położył rękę na ramieniu Esther i poprowadził ją w stronę

drzwi.

— Dobranoc, Guillaume — powiedział.

— Bonsoir, mon Fr?re* — odrzekł Guillaume. — Bonsoir, Esther.

— O ile dobrze zrozumiałem, powiedziałaś już Esther dobranoc — wtrącił Sacha.

Guillaume łypnął na niego okiem i zszedł po schodach ganku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Esther źle spała tej nocy. Poduszka zdawała się pęcznieć, jakby usiłowała ją w ciemności

udusić. Poczowała ogromną ulgę, gdy przez ciężkie zasłony z weluru zaczęło się przebijać światło

brzasku i usłyszała świergot ptaków.

Kiedy zeszła na śniadanie, Sacha już nie spał. Siedział w bibliotece z dzbankiem kawy przed

sobą, okularami na czubku nosa i pracował.

— Dzień dobry — powiedziała, stając w drzwiach. Spojrzał na nią.

— Ach, dzień dobry. Dobrze spałaś?

— Wprost wspaniale! Wyglądam jak Esther Podbite Oko. Nie widzisz tych sińców pod oczami?

Zawahał się, stalówka zawisała przez moment nad kartką papieru. W końcu wyprostował się.

— Napijesz się kawy? Poproszę madame Hatte, żeby zrobiła świeżą.

Usiadła po przeciwnej stronie biurka.

— Jesteś jeszcze zdenerwowany? — zapytała.

— Nie, nie na ciebie.

— Ale zeszłej nocy byłeś.

— Zeszłej nocy byłem strasznie zmęczony.

— Wiesz, to nic nie znaczyło — tłumaczyła się Esther. — Mam na myśli

Guillaume'a. To był

tylko pocałunek. Chodzi mi o to, że znam go jeszcze mniej niż ciebie, a ciebie przecież też nie

znam zbyt dobrze. Nawet nie wiem, dlaczego ci się w ogóle tłumaczę. Jestem przecież zaręczona

z Rodneyem.

— Tak — pokiwał głową Sacha. — Dzielny Rodney.

Sacha wyglądał wyjątkowo ładnie i rozczulająco w tych okularach. Dodawały one jego

ostrym, męskim rysom bezradności mola książkowego, której Esther dotąd u niego nie widziała.

Mały, zagubiony chłopiec.

Zdjął okulary i położył je na bibule obok pióra.

— Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem dziś rano, to zadzwoniłem do państwa

Delahaye'ów, aby im

powiedzieć, że jesteś całkowicie bezpieczna i zatrzymałaś się u mnie.

Dowiedziałem się jednak,

że wczoraj w nocy telefonował już do nich Henri. To rozsądny facet, ten twój

Henri. Według

słów madame Delahaye twoja matka jest naprawdę w tragicznym nastroju. Modemie Delahaye

mówiła coś o łasce sądu ostatecznego. Rozumiesz, w odniesieniu do twojej matki.

— Matka absolutnie nie miała prawa rozmawiać z tobą w taki sposób. Ani wyrzucać twoich

róż.

Sacha uniósł jedną brew.

— Znalazłaś moje róże?

— Dlatego przyjechałam. Były uroczce. Liścik zresztą też.

— Nie miałem pojęcia, że zareagujesz tak impulsywnie. W przeciwnym razie na pewno postarałbym się być w domu i czekać na ciebie. Widzisz, francuska dziewczyna nie postąpiłaby tak jak ty.

— Podejrzewam, że francuska dziewczyna miałaby więcej rozsądku.

Sacha uśmiechnął się.

— Żałujesz tego?

— Nie wiem. Trudno powiedzieć.

Sacha poczekał, aż madame Hatte postawi przed nimi tacę ze świeżą kawą i rogalikami, a potem wyjaśnił:

— Przyjeżdżając tutaj, polectałaś moją próżność ponad wszelką miarę. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Twoja matka i zapewne wszyscy inni ludzie uznają cały ten incydent za bardzo niestosowny. Młoda dziewczyna gna na łapu–capu przez cały kraj, aby spotkać się ze swoim wielbicielem. Myślę jednak, że rozumiem cię lepiej niż oni. Jesteś bardzo nowoczesną dziewczyną. Owszem, także i rozpieszczoną, lecz wystarczająco piękną, aby zasługiwać na rozpieszczanie. — Obserwował, jak Esther nalewa dla niego kawę i podaje mu filiżankę. Wziął kawę, zamieszał ją i oparł się na krześle. — Co myślisz na temat Guillaume’a? — zapytał.

Piła powoli kawę. Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Nie jest zbyt podobny do ciebie. To znaczy teraz, kiedy wiem, że jest twoim bratem, dostrzegam pewne zewnętrzne podobieństwo. Poza tym jednak wydaje się zupełnie inny.

I nie powiedziałabym, aby był twoim ulubieńcem.

— Nie — przyznał Sacha. — Zdecydowanie nie jest moim ulubieńcem. Ani ja jego.

— Powiedział, że wiecznie się kłócicie, ale jesteście ze sobą połączeni jak bracia syjamscy.

— Tak. — Sacha kiwnął głową. — Chang i Eng Szampanii. — Uśmiechnął się do Esther dziwnie. — Naprawdę jesteśmy braćmi. Przyrodnymi. Mieliśmy tego samego ojca, a różne matki.

To był słynny proces lat dwudziestych. Pewnie w Ameryce nigdy o nim nie słyszałaś, ale większość Francuzów do dziś pamięta l’affaire Louis Daudid*.

— Co się wtedy stało? — zapytała Esther.

— Nic nadzwyczajnego — wyjaśnił Sacha. — Mój ojciec, Charles David był człowiekiem pełnym życia. „Pełen życia” to delikatny sposób na określenie tego, że lubił towarzystwo pięknych kobiet. Wierzę, że jego romanse były w większości bardzo powierzchowne, a matka najczęściej przymykała na nie oko. Ale w 1901 zakochał się na serio w żonie

ministra spraw
wewnętrznych, madame Françoise Perrière, która była wówczas prawdziwą piękną.
Ojciec
ciągnął ten romans, który w końcu stał się sprawą publiczną, no i oczywiście
skandalem. Nawet
prezydent Republiki, monsieur Loubet, wyraził swoje niezadowolenie. W końcu
oboje: moja
matka i monsieur Perrière wystąpili o rozwód. Pech chciał, że kiedy rozpoczęły
się postępowania
rozwodowe, zarówno matka, jak i madame Perrière prawie równocześnie stwierdziły,
że są w
ciąży. Dziwnym zbiegiem okoliczności Guillaume i ja urodziliśmy się tego samego
dnia, 11
lutego 1904 roku, chociaż faktycznie ja przyszedłem na świat trzy i pół godziny
wcześniej niż on.
— To nie-wia-ry-godne — oświadczyła Esther.
— Tak, to dosyć niezwykle, ale nie takie znów niewiarygodne, jeśli weźmiesz pod
uwagę, że
w ostatnich dniach swojego małżeństwa ojciec starał się za wszelką cenę
zadowolić dwie kobiety
naraz. Im mocniej kochał madame Perrière, tym bardziej czuł, że powinien gorliwie
udowodniać
swoją miłość mojej matce. Być może nie powinien tego robić. Może było w tym
jakieś
niezdrowe podniecenie.
— Czy twój ojciec ożenił się z tą madame Perrière?
— O, tak. I nadal prowadził firmę Louis David, ale z domu niedaleko Chalons-sur-
Marne,
tego samego, w którym mieszka dzisiaj Guillaume. Matka i ja zostaliśmy tutaj.
Jak wiesz, moja
matka ponownie wyszła za mąż. Za wydawcę, Maurice'a Silbersacha, bardzo miłego,
inteligentnego, a także zamożnego człowieka, którego jednak wcale nie
interesował szampan.
— I on był ojcem twojej siostry? La comtesse de Flers?
— Właśnie.
— Co w takim razie zdarzyło się w latach dwudziestych? Na czym polegała sprawa
Louisa
Davida?
Sacha wypił łyk kawy.
— Wtedy właśnie zmarł mój ojciec, w 1921 roku. W swoim testamencie w całości
przekazywał Maison Louis David swojej drugiej żonie, Françoise, a po jej śmierci
miał nim
zarządzać Guillaume. Jednak moja matka natychmiast zakwestionowała testament i
zaczęła
walczyć o moje prawa jako najstarszego syna ojca. W końcu sąd postanowił, że
majątek zostanie
podzielony między mnie a Guillaume'a. Dokładnie po równo, łącznie ze
skrupulatnym podziałem
hektarów, na których rosły poszczególne gatunki winogron: Chardonnay, Pinot i
Meunier. Ja

miałem otrzymać piwnice w Epernay oraz wyasygnować odpowiednią sumę, która pozwoliłaby Guillaume'owi otworzyć nowe piwnice w Chalons. Podzielono cały zapas wina, co do butelki.

Ponieważ ja byłem o trzy godziny starszy, miałem prawo produkować szampana, używając nazwy Louis David, natomiast Guillaume musiał zadowolić się nową: Guillaume Frère de la

Maison David. Pozostała jeszcze jedna sprawa. Przez wzgląd na wolę ojca, który chciał, aby

firma znajdowała się w jednych rękach, sąd postanowił, że pierwszy prawowity syn, jaki urodzi

się któremuś z nas, odziedziczy obie części majątku po naszej śmierci. Sąd stwierdził, że w

rzeczywistości Guillaume i ja jesteśmy nikim więcej, jak tylko tym samym chłopcem, który przez

przypadek urodził się dwa razy.

— To nie-wia-ry-godne — powiedziała Esther. Sacha uśmiechnął się.

— Masz rację. To nie-wia-ry-godne. Ale nie powinnaś zapominać o tym, że wszystkich

mieszkańców Szampanii łączy mocno zakorzenione przywiązanie do tradycji. Dla ludzi stąd

wino, a także ochrona znanej marki, jest wszystkim. Chociaż z wielu powodów jesteśmy swoimi

śmiertelnymi wrogami, i ja, i Guillaume uznaliśmy słuszność wyroku, zarówno ze względu na

jego historyczne, jak i ekonomiczne uzasadnienie. Maison Louis David podzieliła namiętność,

lecz pewnego dnia za sprawą innej namiętności zostanie połączony znów w jedną całość. Obaj

jesteśmy z tym pogodzeni, ponieważ na razie żaden z nas nie ma syna.

— No tak, ale wcześniej czy później któryś z was ożeni się i co wtedy?

Sacha spojrział na nią.

— Słucham?

— Powiedziałam, że wcześniej czy później któryś z was ożeni się. I który by to nie był,

zapewne natychmiast zaczniesz płodzić dzieci. Rodzina będzie się rozmnażać szybciej niż króliki.

— Ach! — zawołał Sacha. — Tego też ci Guillaume nie powiedział?

— Czego mi nie powiedział?

— Esther, moja droga, Guillaume jest żonaty od prawie pięciu lat. Ma żonę Juliette i dwie

córeczki: Helenę i Margot.

Esther wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

— I nadal jest żonaty? Sacha kiwnął głową.

— Zdrajca! Podły zdrajca! Powiedział mi, że nie jest! Wyraźnie mówił, że nie ma żony!

— Być może „zdrajca” to zbyt mocne słowo. On ma też zalety. Znany jest jednak z tego, że

pomija pewne szczegóły z życia prywatnego, aby lepiej się zaprezentować.

— Coś takiego! — wykrzyknęła Esther. — Przytulał mnie w tańcu, szeptał czule słówka i...

— Kochał się z tobą na ganku — uśmiechnął się Sacha.

— Tak i kochał się ze mną na ganku. To znaczy, mówił mi dobranoc na ganku. Co za tupet!

— No cóż, on potrafi przyciągać do siebie kobiety. Mój ‘ ojciec posiadał zresztą ten sam dar.

Guillaume ofiarowuje im tylko kłamstwa, zdrady, niedoszłe do skutku randki i głupie wymówki.

One jednak zawsze dają się omotać. Zgadniają się chętnie na wszystko, nawet jeśli wiedzą, że będą potem bardzo cierpieć. Przyczyna jest prosta. Guillaume potrafi sprawić, że każda kobieta czuje się przy nim tak, jakby była tą jedyną. Jedną jedyną kobietą na świecie.

Esther bardzo długo nie spuszczała wzroku z Sachy.

— Ale ty też tak potrafisz. Ty także masz ten dar.

— Ja chyba jestem trochę inny — odparł cicho Sacha. — Mogę to robić tylko wtedy, kiedy w to wierzę.

Esther odwróciła się. To było to! Teraz była już całkowicie pewna, że zakochała się w nim, choć dotąd prawdziwą miłość wyobrażała sobie zupełnie inaczej. Nie przypuszczała, że może poczuć się zagrożona. Miłość okazała się niebezpieczna, ale była jednocześnie strasznie słodka, smakowała jak duży łyk syropu. W jednej z oszklonych szafek bibliotecznych Esther ujrzała odbicie swojej twarzy. Wyglądała na bladą i zmęczoną, za chwilę mogła zemdleć.

— Powinnam chyba wyjść na świeże powietrze — powiedziała.

— Ha! Znów wypiął za dużo mojego szampana!

— Tak — przyznała Esther. — Możliwe.

Henri przyjechał tego ranka około jedenastej. Sacha zawiózł ich do Reims i zaprosił na lunch.

Cała trójka była w radosnym, niemal głupawym nastroju. Esther śpiewała im piosenki. Siedziała między mężczyzną, w którym była zakochana (wiedziała to już na pewno), i mężczyzną, który zrobiłby wszystko, aby usłyszeć, że zakochała się właśnie w nim.

Nie wiedziała, że mimo zmęczenia wyglądała tego dnia piękniej niż kiedykolwiek.

Uwolniła się od matki i nie martwiła się letnim sezonem w Newport. Jej żółta sukienka była wymięta, ale nic ją to nie obchodziło. Słońce świeciło, drzewa lśniły w jego blasku, a Henri pogwizdywał do wtóru jej śpiewom.

Bugatti royale Sachy był wspaniały, ciemnogrnatowy, jeden z sześciu, jakie Ettore Bugatti wyprodukował dla siebie. Sacha kupił go na Londyńskiej Wystawie Samochodowej w 1932 roku za jedenaście tysięcy funtów, a więc zapłacił ponad trzykrotnie więcej, niż

kosztował rolls-royce.

Samochód był niski, długi i bardzo szybki. Sacha przypuszczał, że osiąga prędkość stu mil na godzinę, ponieważ jednak nie miał szybkościomierza, trudno to było sprawdzić.

Nie było tam

także wskaźnika paliwa, ale Sacha twierdził, że samochód może przejechać cztery mile na

jednym galonie benzyny.

Bugatti, który w letni dzień sunął z uroczymi pasażerami przez zakurzone wioski, zwracał

uwagę wszystkich.

Po lunchu Sacha zabrał ich na przejażdżkę po Reims. Na koniec zatrzymał się na Place Drouet

d' Erlon.

— Nie zaparkowałbym tu jednak nigdy w okresie winobrania, ponieważ wtedy z jakiejś nie

wyjaśnionej przyczyny większość ptaków z Szampanii, objadłszy się winogronami, przylatuje tu

co noc na spoczynek. Powinni zmienić tę nazwę na Place Guano*.

— Albo Place Merde d'Oiseau* — zaproponowała Esther.

— Znowu mi dogadujesz — rzekł Sacha.

Weszli do katedry w Reims. Nad nimi majestatycznie wznosiły się jej strzeliste, gotyckie

wieże. Jeszcze wyżej, nad wieżami, żeglowały po niebie chmury przypominające anielskie

wyspy.

— Pamiętasz Kawkę z Reims? — zapytał Sacha Esther. — „W świętym gniewie oraz pobożnym żalu przeklął tego łotra i złodzieja! Przeklął go we śnie, aby każdej nocy śnił mu się

szatan i żeby zawsze budził się z przerażeniem”.

Esther chwyciła Sachę mocno za ramię.

— Wiesz, muszę wracać do Paryża.

— Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę. Ale może twoja matka uspokoiła się trochę przez

ten czas.

— Ha, ha! Wątpię. W rzeczywistości pewnie podsyca tylko swoją wściekłość.

— Muszę przyjechać do Paryża w czasie weekendu. Mógłbym z nią porozmawiać.

— Równie dobrze możesz sobie rozmawiać z Herr Hitlerem. Odniesie to taki sam skutek.

— Mimo wszystko spróbuję.

Kiedy popołudniowe słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, Sacha objechał z nimi winnice

na zboczach Montagne de Reims, wyjaśniając, które z nich są własnością firmy Louis David, a

które Guillaume Frère. Zatrzymali się przy kaplicy Saint-Lie i podziwiali stamtąd rozległy widok

na złociste Chalons. Następnie minęli Verzy i przejechali przez las porośnięty powykrzywianymi,

tysiącletnimi bukami, które nazywano „bukowymi parasolami”.

O czwartej przyjechali do domu Sachy. Była to akurat pora, aby przed wyjazdem do

Paryża

wypić razem ostatnią lampkę szampana.

— Tu jest tak spokojnie — powiedziała Esther, gdy usiedli w ogrodzie. Przymknęła oczy i

wygrzewała twarz na słońcu, tak jak to robiła, kiedy pierwszy raz przyjechała do Château David.

— Miejmy nadzieję, że zawsze tu tak będzie — odrzekł Sacha.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

— Zadzwoń do ciebie, gdy przyjadę do Paryża. Kiwnął głową.

— Będę o tobie myślał.

— Nie tylko myśl, módl się za mnie.

Nigdy jeszcze nie widziała matki aż tak wścieklej. Początkowo Diva Divinsky prawie się nie

odzywała. W swojej obszernej piżamie Piguet koloru lawendy miotła się jak huragan po pokoju.

Przemierzała go tam i z powrotem, a przy każdym zakręcie wyrzucała ramiona w górę.

— Dałam ci wszystko! — krzyknęła w końcu. — Wszystko! Ubrałam cię i wykształciłam!

Masz odpowiednie maniery, szyk i towarzyską ogładę! A ty jak mi odpłacasz? Jak— ty—mi— odpłacasz?

— Mamo — powiedziała Esther, zaciskając zęby. — Skończyłam dziewiętnaście lat. Miałam prawo...

— Prawo? Jakie prawo?! Nie masz żadnego prawa! Ja jestem twoją matką! Jestem za ciebie

odpowiedzialna! Za całe twoje życie! A ty co zrobiłaś? Wyszłaś bez słowa i pognałaś... pognałaś

z płaczem za tym awanturnikiem! Po tym jak ja wyrzuciłam go z domu! Nie tylko wygłupiłaś się

i poniżyłaś, ale upokorzyłaś również mnie! Esther starała się nie ustępować.

— Mamo — zaprotestowała gwałtownie — to była twoja wina! Nie powinnaś odprawiać Sachy w ten sposób, nawet nie mówiąc mi o tym.

— Tobie? Mówić tobie? Nie mam obowiązku mówić ci o czymkolwiek! Jestem twoją matką i

dopóki nie dorośniesz, będziesz robiła wszystko, co ci każę, bez zastrzeżeń, rozumiałaś? Bez

żadnych zastrzeżeń!

— Dobrze — powiedziała Esther. Czowała, że łzy napływają jej do oczu. Nie płakała jednak z

żału, lecz ze złości i bezsilności. — Przepraszam, że wyszłam bez słowa.

Przepraszam, jeśli przez

to martwiłaś się o mnie. Ale nie żałuję, że pojechałam zobaczyć się z Sachą. Ja naprawdę go

kocham.

Matka wpatrywała się w nią wytrzeszczonymi oczami. Potem rozłożyła szeroko ramiona i

wydała z siebie okrzyk. Rozdzierający krzyk, który sprawił, że szklane wisiorki zdobiące lampy

przy łóżku zadzwoniły żałośnie, budząc litość, a wszystkie rozpieszczone pudle w okolicy nadstawiły zapewne uszu.

— Jak możesz mówić coś takiego? Miłość! Aaaaaach! Co ty wiesz o miłości? Nie jesteś jeszcze nawet kobietą i nic nie wiesz o tym uczuciu. A miłość, ty głupia dziewczyno, nie ma nic wspólnego ze szczęściem ani udanym małżeństwem! Czy myślisz, że ja pokochałam twój ojca, gdy tylko go poznałam? Oczywiście, że nie! Ale byłam rozsądna i rozumiałam, że najpierw trzeba sobie zapewnić dostatnie życie, a czas na miłość przyjdzie może później.

— Mamo...

— Posłuchaj mnie! — krzyknęła z furją matka. Całe jej usta napęczniały. — Przedstawiałam cię księżetom! Przedstawiałam cię diukom! Dwudziestu różnym młodym mężczyznom, którzy stanowią śmietankę śmietanki towarzyskiej! Wiążąc się z którymkolwiek z nich, stałabyś się kobietą o określonej pozycji, stylu oraz znakomitej reputacji! Czy nie rozumiesz, że pragnęłam tego dla ciebie, odkąd przyszedłeś na świat, od chwili kiedy pielęgniarki położyły cię w moich ramionach! Moja mała księżniczka, tak cię nazywałam! A teraz co?

— Mamo...

— Co teraz? Jak pierwsza lepsza gnasz za tym producentem szampana! Za mężczyzną, który nie ma ani tytułu, ani prawie żadnych pieniędzy! Na litość boską, on ma mniej pieniędzy niż Rodney! Za mężczyzną, którego nazwisko kojarzy się od razu z jednym z największych skandali, o jakich kiedykolwiek słyszano we Francji! Aach! Nie mogę tego znieść! Po prostu nie mogę znieść! I wszyscy już wiedzą! Wczoraj wieczorem plotka rozeszła się po mieście! Mówili o tym w Ambassadeurs! Mówili o tym w Alexandre, gdzie dzisiaj rano byłam u fryzjera! A najgorsze z tego wszystkiego — teraz już naprawdę wrzeszczała — że on jest Żydem! Esther była bardzo blada, jej ciemne oczy wydawały się więc jeszcze większe niż zwykle.

— Mamo, o ile sobie przypominam, my również jesteśmy Żydami.

— I właśnie to mnie tak złości! Czy myślisz, że chciałabym, abyś wyszła za mąż za Żyda? Jak ci się zdaje, dlaczego toleruję twoje zaręczyny z Rodneyem? Dlatego, że jest bogaty, to prawda. Ponieważ jest przystojny, czy to nie wszystko jedno? Przede wszystkim jednak dlatego, Esther, że on jest gojem*, a tylko goj ma wstęp w najwyższe szeregi arystokracji!

Esther wstała.

— Nie potrafię uwierzyć w to wszystko, co mówisz.

— Czyżby? No cóż, ty nigdy nie zaznałaś prawdziwej biedy, zgadza się? Co możesz wiedzieć

o dziurawych butach i głodzie? I nigdy nie musiałaś cierpieć z powodu czyjejś nienawiści. A już

niedługo, moja droga, ten świat stanie się nie tylko nieprzyjemny, ale śmiertelnie niebezpieczny

dla Żydów. Jak myślisz, dlaczego twoja ciotka Nana uciekła z Berlina? Posłuchaj mnie, Esther.

Nie miałam nic, kompletnie nic. Miałam tylko mój głos i na nim zbudowałam fortunę. I nie

zniszczysz wszystkiego, do czego doszłam kosztem tylu wyrzeczeń, tak jakby to nic nie

znaczyło.

— Kocham go, mamó — powiedziała Esther. — W każdym razie bardzo go lubię, a twoje

postępowanie sprawia, że jestem jeszcze bardziej zdecydowana.

Matka zmierzyła ją wzrokiem i prychnęła pogardliwie.

— A więc nic cię nie obchodzi, ile wycierpiałam?! Całe moje życie nie jest warte funta

kłaków?

— Mamó, a dlaczego powinno mnie to obchodzić? Dzięki tobie przyszłam na świat, dałaś mi

wszystko, co byłaś w stanie dać, ja jednak nie mogę być wdzięczna za twoje wyrzeczenia. Tak to

już jest na tym świecie! Jeśli teraz musiałabym cierpieć, nie oczekiwałabym, że moje dzieci będą

mi za to wdzięczne. Dzieci przychodzą na świat jako owoc miłości. Nie mają obowiązku

odczuwać wdzięczności wobec rodziców.

— Twoje dzieci? — zapytała matka. Zacisnęła mocniej pasek od pizamy. — Mówisz o twoich

małych, żydowskich dzieciach deptających winogrona bosymi stopami?

— Mamó, przesadzasz! Wyolbrzymiasz wszystko ponad miarę!

— Och! — zawołała matka ogromnie zraniona. — Och, wobec tego przepraszam!

Myślałam,

że moje życie i cierpienia coś dla ciebie znaczą, ale najwyraźniej myliłam się!

To było niemądre

z mojej strony! Byłam bardzo naiwna, oczekując, że moja jedyna córka mogłaby mnie szanować

i robić to, o co ją poproszę! Głupota, nie uważasz?

— Wcale tego nie powiedziałam! — krzyknęła Esther. — Jesteś po prostu próżną, nadętą,

starą wiedźmą, która usiłuje wspiąć się na wyższy stopień hierarchii społecznej!

Przez moment matka Esther wyglądała tak, jakby miała zaraz wybuchnąć. Potem jednak

wzięła głęboki, głośny oddech, zacisnęła pięści i zdołała się opanować.

— Nie będę się więcej z tobą kłócić, Esther — powiedziała bezbarwnym tonem, nie rozdzielając wcale słów. — Zatelegrafowałam już do twojego ojca i dałam mu znać, że wrócimy

wcześniej, niż planowałyśmy. Wyjeżdżamy z Francji. Nie pojedziemy do Deauville

ani do St-

Tropez, ani w żadne inne miejsce, gdzie mógłby do nas dotrzeć ten obrzydliwy St-Pierre, czy jak mu tam.

— Wyjeżdżamy? — zapytała Esther z niedowierzaniem.

— Zarezerwowałam już dla nas miejsce na Queen Mary.

Wyruszymy z Cherbourga w poniedziałek rano. Odwołałam wszystkie rezerwacje, poprosiłam, aby domy mody przysłały nam suknie później.

— Mamo, to niemożliwe. — Esther była wstrząśnięta. Ale matka miała łzy w oczach i

zawzięcie miętosila w dłoniach pasek od piżamy.

— Esther, nawet nie wiesz, jak bardzo mnie skrzywdziłaś. Kiedy przyjechałam do Paryża,

byłam taka dumna, miałam znakomitą reputację! Wszyscy ludzie tłoczyli się, aby mnie

zobaczyć! Oto ona, wróciła wreszcie w pełni chwały! La Diva Divinsky, Polski Skowronek,

Maria Wygryzwalska ze swoją wspaniałą córką na wydaniu! Nie rozumiesz, ile to dla mnie

znaczyło! Miałaś się zakochać w księciu, jak to bywa w bajkach. Ale ty wszystko zniszczyłaś i

wystawiłaś mnie na pośmiewisko. Dziś rano pisali o tym nawet w „Herald Tribune” —

Dolna warga zadrżała jej ze wzruszenia. — Takie u-po-ko-rze-nie!

Esther stała i w milczeniu długo przyglądała się matce. Matka wyjęła chusteczkę i głośno

wydmuchwała nos.

— A więc wyjeżdżamy? — spytała Esther. — Z tego powodu?

— Tak, wyjeżdżamy z tego powodu. Mój Boże, czy nie jest on wystarczający? Esther odwróciła się.

— Wiesz, to zabawne. A już myślałam, że moje życie należy do mnie.

Matka potrząsnęła głową, dzwoniąc przy tym naszyjnikiem.

— Nie, Esther. Są sprawy, na których matki znają się najlepiej. Nie zobaczysz już więcej

Sachy St-Pierre’a, a jemu nie będzie wolno spotkać się z tobą. To koniec.

Esther wzięła głęboki oddech. Przychodziło jej do głowy mnóstwo rzeczy, które mogłaby

powiedzieć, ale wszystkie były nieprzyjemne, odwróciła się więc i wyszła z sypialni matki.

Zamknęła za sobą drzwi najciszej, jak potrafiła.

Słońce pojawiło się na niebie tak nagle, jakby Bóg odsłonił swoje kotary. Na nadbrzeżu grała

orkiestra. Ludzie krzyczeli, wiwatowali, płakali i rzucali serpentyny. Esther stała na pokładzie

spacerowym pierwszej klasy, na R.M.S. Queen Mary. Patrzyła na ponure nadbrzeża i doki

Cherbourga, ciągnące się jardami zabudowania stoczniowe, a także dalej — na szarozieloną

okolicę półwyspu Cotentin, gdzie ciemnoszare chmury unosiły się ponad rozjaśnionymi słońcem

szczytami dachów. Esther odczuwała fizyczny ból na myśl o tym, że już nigdy w życiu nie zobaczy Francji.

Powinno padać, pomyślała. Pogoda powinna być wstrętna, dokładnie taka jak moje samopoczucie. Może jednak bardziej odpowiednia byłaby burza gradowa, taka prawdziwa,

wagnerowska burza. Coś, co harmonizowałoby z nie słabnącą wściekłością matki. Matka stała trochę bliżej wejścia do kabin, jakby chciała w każdej chwili móc wycofać się do

środką. Jedną ręką przytrzymała kapelusz Talbot, którego strusie pióro rozwiewał wiatr, drugą

zaś — przód seledynowego, letniego płaszcza na wypadek, gdyby poła miała się odchylić, bo

wtedy wszyscy zorientowaliby się, że skrojono go zbyt obszernie raczej z konieczności, a nie ze względu na fason.

Esther zapaliła papierosa i umyślnie dmuchnęła matce dymem w twarz. Matka odwróciła się i rzuciła córce gniewne spojrzenie.

— A więc nie przyjechał, aby życzyć ci bon voyage*? — zapytała.

— Mamo, na litość boską, przestań mi dokuczać.

— To przecież ty wierzysz w romantyczną miłość.

— Przynajmniej jedna z nas w nią wierzy.

Odkąd Esther wróciła ze swojej wyprawy do Szampanii, nie powiedziały sobie chyba ani

jednego miłego słowa. Podejrzewała, że Sacha kilkakrotnie telefonował do domu Delahaye'ów.

Słyszała, jak służące mówiły, że „przykro im, ale mademoiselle Flecker nie może podejść”. W

piątek rano słyszała także kłótnię przed domem, domyśliła się, że Sacha rzeczywiście przyjechał

do Paryża i przyszedł do niej, ale go nie wpuszczono.

Obsesyjny strach matki przed ośmieszeniem się w oczach całego paryskiego towarzystwa

okazał się tragiczny w skutkach. Przez ostatnie kilka dni i nocy, które spędziły w Paryżu, nie

chciała nigdzie wychodzić. Bała się, że ludzie będą się śmiać za jej plecami.

Odrzuciła

zaproszenia do Ambassadeurs, do Maxima i do Florence'a. Odmówiła nawet Elsie Mendl. Całe

dnie zajmowało jej pakowanie się, załatwianie telefonów i wyżywanie się na służbie. Cały pobyt

we Francji był dla niej jedną wielką katastrofą. Im szybciej wróci do Newport, tym lepiej.

Mój Boże! Któż zdoła pojąć bezmiar niewdzięczności niezamężnych córek?

W czasie tych ostatnich dni pobytu w Paryżu jedyną przyjaciółką Esther była Isabelle.

Wspinały się razem na dach, rozkładały koce na szarych dachówkach i opalały się, paląc

papierosy i rozmawiając o tym, jak beznadziejni są rodzice w średnim wieku. Pod

nimi słyhać
było odgłosy ruchu ulicznego wokół Łuku Triumfalnego, a ażurowa wieża Eiffla
górowała
majestatycznie nad zatłoczonym i oszalałym z powodu Wystawy Paryskiej miastem.
— To jeszcze nie koniec z tobą i Sachą — powiedziała Isabelle, rozkładając się
na
dachówkach. — Zobaczysz sama. Z miłością jest jak z rozpoczętą powieścią, jeżeli
oczywiście
zechcesz ją przeczytać.
Gołębie gruchały, znad Sekwany wiał lekki wietrzyk, a Esther była jeszcze
wówczas pełna
nadziei.
Teraz jednak, kiedy Queen Mary, rozbryzgując fale, sunęła wzdłuż wysokiego,
szarego
falochronu, który oddzielał cherbourską przystań od kanału La Manche, Esther
czuła, że cała
księga jej życia została gwałtownie poszarpana, grzbiet książki był rozdarty, a
kartki rozrzucone
na wietrze.
Pocieszające było jedynie to, że miała wkrótce zobaczyć Rodneya. W tej właśnie
chwili
straszliwie za nim tęskniła, za jego zmarszczonymi brwiami, udawanymi dąsami i
okropnymi
żartami typu: Znałem dziewczynę, która była na tyle głupia, że dziwiła się, że
słupy telefoniczne
mogły wyrosnąć tak równo.
Kiedy Esther wróci do Nowego Jorku, Rodney zawiezie ją pewnie prosto do El
Morocco.
Będą tańczyć, pić i spotkają się ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi. Bow Frazier
będzie
wypytywała o Francję, Cobina Wright Jr o sukienki, a Mimi Baker nawet nie
zorientuje się, że
Esther gdzieś wyjeżdżała.
Nie potrafiła jednak przestać myśleć o Sachy, o jego pełnym skruchy uśmiechu.
Nie mogła
zapomnieć tych wieczorów w Szampanii, kiedy słońce kryło się za winnicami.
Podeszła do niej matka.
— Płaczesz — powiedziała z wyrzutem.
— Nie, nie płaczę — odrzekła Esther. — To tylko wiatr.
Queen Mary okrążyła już falochron i zaczęła kierować się na pełne morze. Esther
zrobiło się
zimno.
— Idę do środka — rzekła. — Może będziesz miała ochotę kontynuować swoje
złośliwe
uwagi przy drinku.
— Jesteś niemożliwa, wiesz? — warknęła matka.
Musiały wyminąć tłum zachwyconych fotografów, który zgromadził się wokół Miss
Frances
Day, jasnowłosej Angielki, gwiazdy komedii muzycznych. Ubrana w marynarski
kostium i

szkocki beret z pomponem, pozowała na pokładzie, wydymając przy tym wargi i wykrzywiając do środka nogi.

— Któż to jest? — prychnęła pogardliwie matka Esther. — Wygląda jak przebieraniec.

Weszły do sali klubowej dla palących i usiadły pod jednym z pilastrów przedstawiającym renesansowych rycerzy. Matce nie udało się zamówić tego, co zwykle, czyli wódki, ponieważ

Esther uprzedziła ją.

— Moja mama chciałaby prosić o butelkę szampana. Louis David L'Etoile de Champagne, rocznik 1929.

Steward skłonił się matce Esther z wyraźnym szacunkiem i powiedział:

— Doskonały wybór, proszę pani, jeśli wolno mi zauważyć. Szanowna pani ma znakomity gust.

Kiedy odszedł, matka aż zadrżała.

— Zamówiłaś go celowo, żeby mnie ośmieszyć!

— Tak — stwierdziła Esther.

— Jesteś niemożliwa — oświadczyła matka. — Gorzej jeszcze niż niemożliwa, doprowadzasz mnie do szału!

Esther wyprostowała się na krześle. Sala powoli się wypełniała. Pasażerowie byli dosyć

elegancy, ale Esther już wcześniej doszła do wniosku, że Queen Mary jej się nie podoba. W

odróżnieniu od lekkiej, pełnej wdzięku i przestronnej Normandii, Queen Mary wydawała się

ociężała, staroświecka i zbyt wystawna. Za dużo drewna, wszystko było tu drewniane —

wykonane z jesionu, buka, jaworu i drzewa atlasowego. Okleina zaczęła skrzypieć, gdy statek

znalazł się na letnim, wzburzonym morzu i miała tak skrzypieć przez całą podróż, dopóki nie

przybili do Nowego Jorku.

Steward wrócił z szampanem. Matka Esther opychała się właśnie serem śmietankowym i

kanapkami. Kiedy była zdenerwowana, obżerała się ponad miarę. Zresztą zawsze się obżerała.

Esther uśmiechnęła się do niej i powiedziała wyjątkowo wyniosłym tonem:

— Chyba lepiej napiję się sama. Mama zajęta jest jedzeniem.

Matka Esther nie ośmieliła się zaryzykować otwarcia ust, co spowodowałoby eksplozję

okruszków. Esther mogła jednak wyczytać z jej oczu, że w tym momencie z łatwością

popęłniłaby zbrodnię dzieciobójstwa.

Steward otworzył butelkę i nalał odrobinę szampana do kieliszka Esther.

Podniosła go. Wino

było idealnie czyste. Powąchała je i poczuła ten aromatyczny, zachwycający

zapach winogron.

Następnie wzięła duży łyk i zabalgotowała; zrobiła to idealnie. Pomyślała, że Sacha byłby z niej dumny.

Steward uśmiechnął się.

— Odpowiada pani?

— Doskonały — odrzekła Esther. — Duża zawartość owoców, mocny ekstrakt. Jest prawie tak dobry jak rocznik 28.

Esther i matka piły szampana. Nie odzywały się przez prawie pięć minut, rzucały na siebie

tylko gniewne spojrzenia.

— Co myślisz o tym szampanie? — zapytała w końcu Esther.

— A ty myślisz, że co ja o nim myślę? Uważam, że to zniewaga.

— To jeden z najlepszych markowych szampanów, jakie kiedykolwiek wyprodukowano.

— Niemniej jest to zniewaga. Zniewaga w butelce.

— Och, mamoo-o. Dla ciebie wszystko jest zniewagą. Matka zadarła nos do góry.

— Gdzie się podział szacunek? Kiedy stałam na scenie La Scali, obsypywano mnie kwiatami białego bzu.

Ale Esther nie słuchała jej. Wokół okien sali klubowej zgromadził się niewielki tłum

pasażerów, którzy wymachiwali rękami, śmiali się i rozmawiali o czymś podnieceni.

— Co się tam dzieje? O co chodzi? — spytała Esther przechodzącego stewarda.

— Łódź motorowa, proszę pani. Krąży wokół nas. Esther wstała, zostawiła matkę i dopchała się do okna.

Początkowo nie widziała nic oprócz tłumu stojących przy balustradzie ludzi.

Potem jednak

dojrzała potężną motorówkę, która rozbryzgując wodę, mknęła obok Queen Mary. Na niej,

umocowany na dwóch drzewcach, powiewał transparent z jakimś czerwonym napisem, ale Esther

nie mogła rozróżnić liter.

— Esther! — zawołała matka. — Esther!

Esther jednak zignorowała ją, wyszła szybko z sali i wydostała się na pokład spacerowy.

Miała przeczucie, niezwykle przeczucie. Kiedy przepchnęła się przez tłum roześmianych i

rozgadanych pasażerów, stanęła przy balustradzie i zobaczyła tańczącą wokół rufy Queen Mary

motorówkę, wiedziała już, że się nie omyliła.

Łódź motorową pilotowała dwuosobowa załoga. Obaj mężczyźni mieli zielone kurtki i

żeglarskie czapki. Za nimi trzepotał ogromny, biały transparent, który czasami zwijał się na

wietrze, ale potem znów się rozprostowywał. Esther mogła więc przeczytać namalowane na nim

litery, które miały trzy stopy wysokości: ESTHER, JE TAIME*.

— Sacha! — zawołała. — Sacha! Sacha!

Stanęła przy balustradzie i wymachiwała obiema rękami. Wiatr zerwał jej z głowy kapelusz

kupiony za pięćdziesiąt dolarów u paryskiej modystki, ale co ją to mogło obchodzić? Łódź

motorową prowadził Sacha. Rzucił się w pogoń za Queen Mary, z transparentem wykonanym z

trzech zeszytych razem hotelowych prześcieradeł, tylko po to, aby powiedzieć, że ją kocha!

— Sacha! — krzyknęła, ale jej głos zagłuszyła syrena mgłowa z Queen Mary. Było to

ostrzeżenie, aby łódź motorowa nie zbliżała się do statku.

Motorówka jeszcze raz opłynęła Queen Mary. Przez ten czas zgromadzeni pasażerowie

zrozumieli, kim jest Esther oraz że napis na transparencie adresowany jest do niej. Kiedy więc

Sacha podpłynął jeszcze bliżej burty statku, wszyscy wskazali na Esther, a zgodny chór

sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu głosów zawołał:

— Ha–lo, Sacha! Ha–lo! Ona jest tutaj! Sacha!

Sacha spojrział w górę i zmarszczywszy brwi, szukał twarzy Esther. Kiedy ją zauważył,

przyhamował, aby jak Queen Mary płynąć z prędkością dwunastu węzłów. Zdjął czapkę i

wymachiwał nią.

— Esther! — wrzeszczał. — Esther! Kocham cię!

— Ja też cię kocham! — odkrzyknęła Esther.

Sacha przyłożył zwiniętą w trąbkę dłoń do ucha.

— Nie rozumiem! Nie słyszę cię!

— Ona też cię kocha! — zaryczeli zgromadzeni pasażerowie.

— Wracaj prędko! — krzyczał Sacha. — Wracaj prędko! Chcę się z tobą ożenić!

— Co mam powiedzieć Rodneyowi? — zawołała Esther.

— Co? Co powiedziałaś?

— Co ma powiedzieć Rodneyowi? — zawył tłum.

— Powiedz cokolwiek. Powiedz mu, że cię kocham.

— Ona też cię kocha! — krzyczeli pasażerowie.

Esther stała przy barierce i wymachiwała przez cały czas rękami. Pasażerowie wydawali

okrzyki radości, a Sacha przyspieszył i nakreślił na wodzie spieniony ślad w kształcie ósemki. Z

oczu Esther popłynęły łzy. Gdyby mogła, skoczyłaby do morza i popłynęła z powrotem do

Francji. Teraz wiedziała już na pewne, że tam wróci. Wiedziała też, że Sacha kocha ją i że ona

kocha jego.

W końcu Sacha pomachał do niej na pożegnanie i zawrócił w stronę Cherbourga. Rozgadani i

roześmiani pasażerowie rozeszli się powoli, a Esther została sama. Nie było tam nikogo z

wyjątkiem matki, która schroniła się w przejściu i patrzyła teraz złowieszczo na

córkę.

Esther spojrzała na nią. Nie odezwała się ani słowem.

— No i co? — zapytała matka. Jej furia już minęła, pogodziła się jakby z tym wszystkim.

Głos miała matowy, brzmiał on jakoś złowroźnie i nieprzyjemnie.

— Co, no i co? — spytała Esther.

— Co zamierzasz powiedzieć Rodneyowi?

Esther odwróciła się.

— Nie wiem. Nie jestem zresztą pewna, czy mnie to w ogóle obchodzi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Moglibyśmy pójść do Morocco — powiedział Rodney. Esther zmarszczyła nos.

— Tam jest zbyt nudno.

— Mam wrażenie, że ostatnio wszędzie jest zbyt nudno — odrzekł dosyć już znieczcierpliwiony

Rodney. Siedział rozparty w ogromnym, brązowym skórzanym fotelu w rogu sali bilardowej.

Miał na sobie frak i śnieżnobiały gors. Bawił się szklanką bourbona, którą obracał w palcach.

O siódmej wieczorem Rodney przyjechał do rezydencji Fleckerów przy Piątej Alei.

Chciał

zabrać Esther na premierę Clockwork, nowego musicalu Leonarda Ruddella. Esther nie była

jeszcze gotowa, a kiedy się wreszcie ubrała, zrobiło się za późno na pójście do teatru. Poza tym

tak naprawdę wcale nie chciało jej się nigdzie iść. Nie lubiła musicali ani klubów nocnych.

Jedynie, na co miała ochotę, to snuć się osowiała po domu i puszczać płytę Yearning For Love.

Oczywiście matka Esther wiedziała, dlaczego córka tak się zachowuje, ale postanowiła się do

tego nie mieszać (przynajmniej na razie). Poleciała z mężem do Pasadeny, aby odwiedzić jego

brata, który był właścicielem sieci hoteli w pastelowych barwach.

Cała rodzina miała się spotkać w Newport pod koniec czerwca, aby swoim słynnym, corocznym przyjęciem z okazji Czwartego Lipca zainauguować nowy sezon towarzyski. W

zeszłym roku ojciec Esther zapłacił osiemset pięćdziesiąt dolarów za portrety — swój, żony i

córki — ze sztucznych ogni, zamontowane na rusztowaniu, które umieszczono wzdłuż lokomotywy ze wspianą fajerkową gwiazdą i barwnymi iskierkami strzelającymi z komina.

Teraz matka Esther wznosiła do nieba żarliwe modły, aby paryskie domy mody zdążyły

dostarczyć wszystkie suknie na ten sezon, nie mówiąc już o bieliznie i butach.

Matka Esther

kupiła sobie w Paryżu dziewięćdziesiąt osiem par butów. Zdaniem Esther było to dosyć

imponujące osiągnięcie, zważywszy, że matka miała stopy jak wieprzowe ratki.

W zeszły piątek rano Rodney czekał na molo Cunard, aby przywitać Esther wracającą z

Francji. Miał na sobie wściekle żółty blezer oraz ogromny, biały kapelusz. Ucieszył się bardzo na jej widok, mówił dużo, zadawał mnóstwo pytań. Natomiast Esther przez cały czas zachowywała się uprzejmie, lecz była zamyślona. Następnego dnia wieczorem zaprosił ją do delikatesów Jean French przy Sześćdziesiątej Ulicy i zapytał, czy mogliby zająć się bliższym określeniem dnia.

— Dzień już został określony, ma swoją nazwę. Dzisiaj jest sobota — odparła Esther.

— Esther, daj spokój. Kiedy zamierzamy się pobrać? To miałem na myśli.

— Wiem.

— I co?

— Nie wiem.

Nadal go lubiła. Podobał się wszystkim dziewczynom. Nie dało się go nie lubić. Był wysoki, barczysty i oszałamiająco przystojny.

Jednak, mój drogi pamiętniku, żaden mężczyzna nie wytrzymuje porównania z Sachą, z jego ostrymi, męskimi rysami i delikatną zmysłowością. Koniec, kropka.

Esther rozłożyła się na skórzanym szezlongu. Miała na sobie wieczorową suknię Mainbochera, bez ramiączek, z żółtego, lśniącego jedwabiu w czerwone kwiaty. Pod suknią zaś nie miała zupełnie nic z wyjątkiem kilku kropel perfum Isabey i żółtych, jedwabnych pończoch.

Ostrzygła włosy, nosiła teraz przedziałek z lewej strony. Założyła też nowe kolczyki, złote kółka, które ojciec kupił dla niej u Tiffany'ego jako prezent z okazji powrotu z Francji.

Rodney nie potrafił pojąć, dlaczego odkąd wróciła, wyglądała tak niesamowicie czarująco, a jednocześnie traktowała go tak lodowato. Bez przerwy próbował ją pocałować, naprawdę namiętnie pocałować, jak dawniej. Nigdy mu się to jednak nie udało, ponieważ za każdym razem jej usta gdzieś umykały, a on jak idiota całował powietrze.

Zaczynał podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Właściwie z dnia na dzień robił się coraz bardziej posepny. Uważał, że za całą tę sytuację prawie wyłącznie odpowiedzialne są ciągłe zmiany pogody, które przychodziły zza oceanu.

— W takim razie co chcesz robić? — zapytał. — Dziś wieczorem jest przyjęcie u Melchoirów. Będą tam Bea Lillie, Fredric Marches i Iya Abdy. Musiałaś spotkać Iyę w Paryżu.

Wróciła stamtąd tydzień przed tobą.

— Och, nie wiem — odpowiedziała Esther. — Znowu ci sami ludzie i znowu te same rozmowy.

— No więc co będziemy robić? Siedzieć kołkiem przez cały wieczór i patrzeć na swoje skrzywione twarze?

— Możemy jeszcze raz zagrać w bilard — zaproponowała Esther.
Rodney dopił swojego bourbona i zakaszłał.
— Na litość boską, Esther, nie chcę już grać w bilard. Grasz beznadziejnie. Chcę tylko wiedzieć, co się z tobą stało. Dlaczego tak bardzo się zmieniłaś?
Esther spojrzała w inną stronę.
— Naprawdę uważasz, że się zmieniłam?
— Mam wrażenie, jakbyś była tu obecna tylko ciałem, a twoja dusza znajdowała się zupełnie gdzie indziej.
Skinęła głową.
— Masz rację. Masz całkowitą rację.
— No tak, dziękuję ci! Nic mi nie wyjaśniłaś. Chcę wiedzieć, dokąd tak uciekasz.
Spojrzała znów na niego. Rzuciła mu przelotny uśmiech.
— Rodney, czy wiesz, jak bardzo cię lubię? Uwielbiam cię. Jesteś najsympatyczniejszym chłopakiem, jakiego znam.
— Nie jestem pewien, czy podoba mi się określenie „sympatyczny”.
— Popatrz, popatrz — dokuczała mu Esther. — Mój biedny, nadąsany chłopaczek. Pójdziemy do „21” i zrujnujemy się. Będzie co robić.
— No dobrze — westchnął Rodney z rezygnacją. Był rozdrażniony jak ktoś, komu twardy grunt, na którym dotychczas stał, usuwa się spod nóg.
Esther podeszła do niego i pocałowała go w czoło.
— Wróć za moment — powiedziała. — Muszę się tylko poperfumować.
Kiedy wyszła, Rodney schował swoją papierośnicę do kieszeni marynarki, zawiązał na nowo krawat, a następnie, włożywszy ręce do kieszeni, poszedł powoli do holu, aby czekać tam na Esther. Hol był okrągły. Na środku stała fontanna z brązu. Wokół znajdowały się kolumny i oświetlone łagodnym światłem nisze z marmurowymi posązkami greckich atletów. Na tym, zdaniem matki Esther, polegała elegancja i dobry smak. W porównaniu z domem Hamiltonów wystrój był rzeczywiście dosyć gustowny i pełen dostojności, Rodney jednak uważał, że to dosyć przerażające mieć hol zaludniony nagimi dyskobolami, którym utracono pewne części ciała. A może paniom z rodziny Fleckerów podobało się, że ich mężczyźni byli wykastrowani.
Zapalił papierosa i przechadzał się tam i z powrotem, stukając obcasami wieczorowych butów po marmurowej podłodze. Nie chciał się martwić, zawsze jednak myślał o Esther jako o swojej dziewczynie, a tymczasem jej zachowanie świadczyło o czymś zupełnie innym.
Esther zjawiała się ubrana w jedwabną, wieczorową pelerynę dobraną do sukni i kapelusz z farbowanych na żółto bączniczych piór. Rodney podał Esther rękę i pocałował ją w

policzek.

— Jesteś ravissante* — powiedział.

— Coś podobnego! Nie wiedziałam, że ty „parle franse” — dokuczyła mu.

— Wyobraź sobie, że uczono mnie tego.

— Wiesz, Rodney, powinieneś pojechać do Francji. To inny świat. Wszystko jest urocze,

eleganckie i takie strasznie wiekowe. Zamykasz oczy i po prostu czujesz historię.

Rodney zapalił papierosa.

— Zakochałaś się w tym kraju, prawda?

Esther nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

— A może zakochałaś się nie tylko we Francji? — zapytał Rodney. — Może wpadł ci też w

oko jeden z jej mieszkańców...

Esther rzuciła mu szybkie, kokieteryjne spojrzenie. Nie wiedziała, czy powinna opowiadać mu

o Sachy, czy nie. To byłoby dość niebezpieczne. Rodney był jej zawsze bardzo wierny. Kiedy

zaczęli się ze sobą spotykać, wszyscy uważali, że pewnego dnia Rodney i Esther pobiorą się.

Przyjaciele mówili o nich zawsze jednym tchem: „Rodney–i–Esther”. Zdawała sobie sprawę, że

Rodney zupełnie oszalał na jej punkcie. Bóg wie, co mógłby zrobić, gdyby powiedziała mu, że

faktycznie zakochała się w kimś innym, a ich ślub, który wydawał się dotychczas czymś bardziej

niż pewnym, obecnie jest coraz mniej prawdopodobny.

Wzięła go pod rękę.

— Nie bądź taki ponury, Rodney. Chodźmy przepłukać gardziółko, dobrze?

— Nie, zaczekaj Esther. Myślę, że mam prawo oczekiwać jakiejś odpowiedzi, nie sądzisz?

— Mój drogi Rodney, odpowiadam tylko na pytania, a nie na stwierdzenia.

— Dobrze — rzekł prowokacyjnie — wobec tego powiedz, czy przypadkiem nie zakochałaś

się w kimś innym?

Esther wspięła się na palce i pocałowała go. Tym razem nie w policzek, ani nie w koniuszek

lewego ucha, ale w same usta.

— Rodney — zamruczała — ty zupełnie zwariowałeś.

— Esther, jestem najzdrowszym na umyśle facetem, jakiego znam.

— No więc skoro jesteś przy zdrowych zmysłach, powinieneś wiedzieć, co do ciebie czuję.

Rodney przyjrzał się jej uważnie.

— Chciałbym oczywiście móc być tego pewny. Nie próbujesz mnie zwodzić?

— Och, Rodney, nawet gdybym we Francji zakochała się w jakimś facecie, to przecież on jest

tam, a ty jesteś tu, więc skoro ja także jestem tutaj, to chyba nie mamy się o co spierać, n'est-ce

pas?

Ta odpowiedź uspokoiła trochę Rodneya, nie do końca jednak. Wciąż miał wrażenie,

ze

Esther nie odpowiedziała na jego pytanie. W zasadzie to tak, jakby powiedziała mu, że we

Francji jest jakiś facet. Ale jak słusznie zauważyła Francja to Francja, a Nowy Jork to Nowy Jork.

Rodney zawiózł ją do „21” swoim lśniącym białym kabrioletem auburnem super-charged

speedster. Jechali z opuszczonym dachem. Była parna, majowa noc, więc charakterystyczne

zapachy Nowego Jorku (gorące pączki, dym z cygar oraz spaliny samochodowe) wydawały się

wyjątkowo intensywne. Odgłosy trąbiących samochodów roznosiły się echem po ulicach;

pojazdy ryczały jak zabłąkane bydło. Lokal o nazwie Dwadzieścia Jeden znajdował się w

wytwornej części miasta i stał jako dwunasty budynek, pod numerem 21 przy Pięćdziesiątej

Drugiej Ulicy Zachodniej. Był to pałac z piaskowca, z żelaznym ogrodzeniem i bramą wjazdową

w esy — floresy. Główne wejście na parterze zdobiły kwiaty w skrzynkach.

Zaparkowali przed

budynkiem, zaraz za beżowym buickiem należącym do zarządzającego firmą Noela Cowarda

Jacka Wilsona, i weszli do środka.

Portier Jimmy wyrzwał zza swojego blatu i powiedział:

— Dobry wieczór, panie Hamilton i panno Flecker. — Nadeszli trzej młodzi, ulizani

mężczyźni, którzy wyglądali jak tresowane foki, i wzięli od nich kapelusze oraz płaszcze. Takie

powitanie od razu zdenerwowało siwowłosego mężczyznę w średnim wieku i jego opatuloną w

futro żonę, którzy najwyraźniej czekali od jakiegoś czasu, żeby ktoś ich zauważył.

— Posłuchaj mnie, przyjacielu — zwrócił się do Jimmy’ego siwowłosa mężczyzna. — Powiedziałeś, że w lokalu nie ma ani jednego wolnego miejsca.

— Przykro mi, sir, ale ci państwo mieli wcześniejszą rezerwację — odrzekł pełnym żalu

głosem Jimmy, chociaż Rodney i Esther zjawili się bez zapowiedzi i wcześniejszej rezerwacji.

— Jimmy — zapytała Esther portiera, gdy wprowadzał ich do sali klubowej — czy nie

znajdziesz dla tego biednego człowieka stolika choćby w „budzie”? Na litość boską, on próbuje

zaimponować swojej żonie.

„Buda” była to sala na tyłach lokalu, gdzie umieszczano : natrętnych, lecz nie chcianych gości

i gdzie ceny w karcie były dwukrotnie wyższe niż normalnie.

— Jeśli ten człowiek chce budę — odrzekł Jimmy z wyższością — niech sobie zbuduje

własną. Ja zaś mogę go namówić, żeby pożyczył ode mnie potrzebne drewno. Rodney i Esther usiedli na jednej z otoman w zielono — białej sali. Esther wymogła na Rodneyu, żeby zamówił szampana. Tego wieczoru na sali było bardzo głośno. Jack Wilson jadł kolację w towarzystwie oszałamiającej księżniczki Paley. Główną restaurację na górze wypełniały najczęściej fotografowane twarze kawiarnianego towarzystwa. Byli tam między innymi: Steve Hannagan, prasowa gruba ryba i Valentina Schlee, projektantka mody, która odmówiła kiedyś matce Esther uszycia sukni, wyjaśniając, że „nie robi namiotów”. Esther zapaliła dwa papierosy naraz i podała jeden Rodneyowi. Rodney popatrzył podejrzliwie na końcówkę papierosa i stwierdził:

— Zarazki.

— Widzisz je? Masz taki dobry wzrok?

— Daj spokój, Esther. To jest oczywiste. Na pewno tam są.

— A czy kiedy się całujemy, to nie ma zarazków? Rodney wzruszył ramionami.

— To co innego.

Zamówił butelkę niemarkowego Taittingera. Przyniósł go Wałdo, kelner odpowiedzialny za wina. Miał ceglasczer — woną twarz i ciasny, pękający w szwach strój w butelkowym odcieniu zieleni. Charles z gracją otworzył szampana. Urządził wielkie widowisko przy wyciąganiu korka, który wyskakując nie wydał prawie żadnego dźwięku.

— Anielskie pruknięcie! — wykrzyknęła uszczęśliwiona Esther.

Rodney wytrzeszczył oczy.

— Co? — zapytał, uśmiechając się z zakłopotaniem.

— Tak się określa delikatny odgłos wyskakującego korka. Rodney spojrzał zmieszany na kelnera. Tamten wzruszył ramionami. Cóż on mógł wiedzieć o egzotycznym uocabulaire du viri* Laurence’a Signaca.

Kelner nalał Rodneyowi odrobinę szampana do skosztowania. Rodney wypił dużego łyka i powiedział:

— W porządku. Dziękuję.

Jednak zanim kelner zdążył dolać wina, Esther chwyciła kieliszek Rodneya i zapytała:

— Mogę?

Wcześniej wcale nie planowała pokazywać Rodneyowi techniki degustacji szampana. W każdym razie sama siebie przekonywała, że nie zamierzała tego robić. Ale degustacja L’Etoile de Champagne na Queen Mary sprawiła jej dziką rozkosz, zwłaszcza że wprawiła tym matkę w ogromne zakłopotanie, teraz więc bardzo ciężko było się oprzeć pokusie powtórzenia

przedstawienia. Poza tym fachowa degustacja szampana miała w sobie tę wyrafinowaną

europęjską elegancję, która przypominała jej tak bardzo Sachę.

— Ty chcesz spróbować? — zapytał Rodney.

— Jasne, dlaczego nie? — Esther uśmiechnęła się. — Oczywiście, jeżeli nie masz nic

przeciwko temu.

Kelner popatrzył na Rodneya. Zrobił minę z gatunku: „Ach te kobiety! Co my, mężczyźni

musimy przez nie znosić!”

Rodney jednak przede wszystkim chciał zrozumieć, dlaczego Esther tak bardzo się zmieniła

od czasu powrotu z Francji, a podejrzewał, że dziwaczny pomysł z degustacją szampana może

mieć z tym coś wspólnego.

— Śmiało — powiedział ostrożnie. — Spróbuj. Waldo, można prosić o czysty kieliszek?

— Cha, cha — zaśmiała się Esther. — Nie boję się zarazków. Twój w zupełności mi wystarczy.

Wzięła kieliszek i spojrzała na wino pod światło. Było klarowne, miało wspaniałe bąbelki.

Następnie powąchała je i w końcu skosztowała. Rodney w skupieniu przyglądał się, jak

zabulgotała głośno. Kelner wciągnął gwałtownie powietrze przez obie dziurki w nosie i odwrócił

wzrok. Miał taki dramatyczny wyraz twarzy, jakby właśnie zdechł jego ulubiony pies.

— I co? — zapytał Rodney, kiedy skończyła.

— Ma mydlany smak — powiedziała stanowczo. Zapanowała niewyobrażalnie długa chwila

ciszy.

— Co? — powtórzył Rodney.

Esther obróciła się i spojrzała na niego wyzywająco.

— Mydlany smak. Taittinger może taki mieć, ale bardzo rzadko. Zazwyczaj trunek ten jest

wyjątkowo klarowny, finezyjny i bogaty w smaku, ale wino z tej akurat butelki okazało się

mydlane.

Trzymając podniesioną butelkę, kelner zwrócił się do Rodneya.

— Sir, czy życzy pan sobie, żebyśmy nalał?

— Wykluczone. Nie życzymy sobie, aby pan nalewał — odpowiedziała Esther. — Szampan

ma mydlany smak i jest słaby, nie chcemy go.

— Proszę pani, muszę oświadczyć, że w tym szampanie nie ma żadnego mydła. — Te słowa

kelner powiedział tonem prawie uszczypliwym. — Ten szampan jest zrobiony tylko z winogron,

z niczego więcej. Nie z mydła, proszę pani.

Esther spojrzała mu prosto w oczy.

— Wybacz, koleś, ale jeśli nie wiesz, co znaczy „mydlany”, to nie masz w ogóle o

niczym

pojęcia. Biegasz wkoło z kieliszkiem uwiązany na szyi, a nie odróżniłbyś Taittingera od coca-coli.

— Esther — powiedział Rodney, biorąc ją za rękę. — Dajmy sobie z tym spokój.

— Dajmy spokój? Co przez to rozumiesz? Nie chcesz chyba pozwolić, aby ten ulizany gość

wcisnął ci butelkę zwietrzałego szampana?

— Esther, proszę, bądź rozsądna! — Rodney był coraz bardziej zdenerwowany. — Waldo

mówi, że wino jest dobre. Zrozum, przecież Waldo to zawodowy kelner od win.

— Właśnie! Kelner, którego praca polega na sprzedawaniu wina. A jeśli potrafi sprzedać

mydlanego szampana gościom, którzy są zbyt głupi, aby się na tym poznać, to

wykonuje swoją

pracę znakomicie.

— Może pan Hamilton chciałby porozmawiać z panem Kriendlerem — zaproponował kelner.

Lokal „21” nazywał się faktycznie U Jacka i Charliego; pan Kriendler to był właśnie Jack.

W tym momencie do sali klubowej wszedł Marty Black, fotograf kroniki

towarzyskiej z „New

York American”. Szedł wolnym krokiem, z rękami w kieszeniach, pokryte brylantyną włosy miał

zaczepione do tyłu, a na szyi zawieszony aparat fotograficzny. Marty miał

wyjątkowego nosa do

skandali towarzyskich. Kiedy więc zauważył, że Esther kłóci się z kelnerem,

zrobił jej kilka

zdjęć, niemal oślepiając przy tym Rodneya lampą błyskową.

— Dobry wieczór, panie Hamilton — zawołał do Rodneya, ale patrzył na Esther. —

Jak się

pani bawi, panno Flecker?

— Dziękuję, bawię się wprost znakomicie — odpowiedziała cierpko Esther.

Wszyscy goście siedzący na sali wyciągali teraz szyje, aby zobaczyć, co się dzieje.

— Właśnie usiłuję odesłać tę okropną butelkę Taittingera. To diabelnie niewdzięczne zadanie

— dodała Esther, ale Rodney krzyknął:

— Marty, jeśli wydrukujesz choćby jedną setną cala kwadratowego którejs z tych fotografii,

postaram się o to, żeby wysłano cię na zieloną trawkę.

— Dobrze, ba—a—ardzo przepraszam panie Hamilton — powiedział Marty, zmieniając żarówkę w lampie błyskowej. — Tylko jedna poprawka i na tym koniec. Hej, Henry,

przynieś mi

śrubokręt, szybko!

— Panie Hamilton, chce pan, abym nalał to wino, czy nie? — pytał natarczywie kelner.

Rodney otworzył portfel i wyjął dziesięciodolarowy banknot.

— Zapomnij o tym, Charles — powiedział do kelnera. — Sądzę, że ten wieczór od samego

początku był jedną wielką pomyłką.

— To najlepsze zdanie, jakie usłyszałem w tym tygodniu — stwierdził Marty Black.

—

„Dziedziczka Fleckerów wzgardziła bąbelkami z „21”, dziedzic Hamiltonów uznał wieczór za jedną wielką pomyłkę”.

— Wychodzimy — oświadczył Rodney, podnosząc się. Podał kelnerowi dziesięć dolarów.

Zanim jednak kelner zdążył schować banknot, Esther w mgnieniu oka wyrwała mu go z ręki i

wetknęła sobie za dekolt sukienki.

Rodney usiadł z powrotem. Sala wybuchnęła śmiechem. Marty Black zrobił dwa kolejne

zdjęcia, a ktoś sardonycznym głosem zaśpiewał It Looks Like Rain*.

— Do diabła, co ty próbujesz mi zrobić? — syknął Rodney do Esther.

Ona potrząsnęła głową.

— Niczego nie próbuję zrobić, Rodney. Chcę tylko, żebyś zachowywał się jak mężczyzna i

otrzymał to, co ci się należy. A należy ci się dobry szampan.

— Coś takiego! Spędziłaś kilka tygodni we Francji i już jesteś światowej sławy znawcą

szampana.

— Taittinger powinien mieć „przypalony” smak — upierała się przy swoim Esther. —

A ten

jest mydlany.

— „Przypalony”? O czym ty do diabła mówisz?

— Tak, tak, niech pani mówi, panno Flecker. — Marty Black wyszczerzył zęby i oblizując

lubieżnie końcówkę ołówka, przysunął się bliżej. — Proszę mi zdradzić tę tajemnicę.

Esther podniosła głowę. Wiedziała, że jej zachowanie jest szalenie niestosowne, ale jakoś nie

mogła się powstrzymać.

— Każdy, kto chociaż trochę zna się na szampanie — powiedziała wyraźnie — wie, że do

produkcji niemarkowego Taittingera wykorzystuje się głównie winogrona

Chardonnay. I każdy,

kto zna się trochę na szampanie, wie, że winogrona Chardonnay mają

charakterystyczny posmak

spalenizny.

Marty Black szybko odwrócił się do kelnera.

— Czy to prawda, Waldo?

Niewiele brakowało, aby kelner gwałtownie wybuchnął.

— Jeśli panna Flecker będzie nalegać, otworzę następną butelkę.

— Panno Flecker — zapytał Marty — jak to się stało, że jest pani taką entuzjastką szampana?

Czy określenie „przypalony” istnieje naprawdę, czy pani je sobie wymyśliła?

— Określenie „przypalony” — rzekł kelner, opanowując się nadludzkim wysiłkiem woli —

istnieje naprawdę.

Z tymi słowami zgarnął kieliszki ze stołu i oddalił się dumnym krokiem. Zanim doszedł do schodów, przystanął i wylał całą butelkę Taittingera do znajdującej się przy drzwiach doniczki, w której stała palma. Marty Black przyskoczył do niego, aby zrobić zdjęcie. W doniczce zabulgotała piana. Słysząc było oklaski, śmiechy i okrzyki: „Wstyd, Waldo!” Panował zgiełk — dzisiaj w „21” zapowiadał się całkiem niezły wieczór. — Wystarczy już, Esther — oświadczył Rodney. — Wychodzimy. Zrobiłaś ze mnie bałwana, a z siebie widowisko. Esther patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. — Rodney, chociaż raz w życiu nie awanturuj się! — powiedziała scenicznym szeptem. — Jeśli nie potrafisz poprzeć mnie teraz, to nigdy nie będziesz umiał tego zrobić. Ten szampan był zepsuty i miałeś święte prawo go odesłać. A w duchu przez cały czas mówiła: „Sacha, wybac mi, proszę, że urządziłam takie przedstawienie w restauracji. Przestrzegaleś mnie, abym tego nie robiła. Mówiłeś, że popisywanie się przed ludźmi jest karygodne. Ale nigdy się nie dowiesz, jak bardzo tęsknię za twoim niezwykłym wyczuciem smaku, za twoim mistrzostwem. Próbuję pokazać Rodneyowi, czego mu brakuje. Jestem przy tym okropna, krzywdzę go, ale nic nie mogę poradzić na to, że tęsknię za tobą i nie potrafię wymyślić innego sposobu, aby pokazać wszystkim, jak bardzo czuję się osamotniona”. Jednocześnie jednak myślała: „dziękuję ci, mon ami*, nie: dziękuję ci, mon amour*”, że kiedy szliśmy przez Place St-Nicaise w Reims i mijaliśmy piwnice Taittingera, opowiedziałeś mi wszystko o tym winie. Było to tego popołudnia, gdy nad Szampanią świeciło słońce, słyszeliśmy bicie dzwonów, a ja czułam się wolna”. Rodney wściekał się. — Czy ty naprawdę sądzisz, że na tym cała sprawa się zakończy? — zapytał. — Jutro będą o nas pisać we wszystkich plotkarskich kolumnach towarzyskich. — Zawsze piszą o nas we wszystkich kolumnach towarzyskich. — Ale nie z tego powodu, że robimy z siebie kompletnych idiotów. — A któż by się u diabła przejmował tym, co piszą? — powiedziała Esther beztrąsko. Wzięła drugiego papierosa. Długo czekała, zanim Rodney podał jej ogień. Oczywiście śmiała się z tej sprawy specjalnie. Wszyscy, których twarze pojawiały się w „El Morocco Family Album”, stawali się bohaterami najświeższych plotek towarzyskich. Interesowano się nimi

nawet bardziej

niż statecznymi osobami z tradycyjnego „Social Register”.

Waldo wrócił z kolejną butelką Taittingera i dwoma czystymi kieliszkami do szampana.

Otworzył butelkę w jeszcze bardziej wymyślny sposób. Tym razem nikt nie skomentował

delikatnego odgłosu, jaki wydał wyskakujący korek. Kelner nalał trochę szampana do kieliszka

Rodneya, a następnie odwrócił się do Esther i pełnym słodczy głosem zapytał:

— Czy lady także skosztuje odrobinę?

Esther popatrzyła na Rodneya i uśmiechnęła się.

— Nie, nie. To dżentelmen płaci.

Rodney wziął swoją lampkę. Sala uciszyła się, wszyscy patrzyli, jak uniósł kieliszek pod

światło. Kątem oka spojrzał wtedy na Esther. Żadne z nich nie potrafiłoby jednak powiedzieć, co

dostrzegało w oczach drugiego. Nieufność, oburzenie czy miłość — to uczucie, które potrafi

wczepić się w człowieka swoimi pazurkami i nie puszczać.

Powąchał bukiet. Poczul łaskotanie w nos. Następnie wziął dużego łyka i wydał z siebie

zdławiony bulgot. Niewiele brakowało a wleciałby mu ten przeklęty napój do płuc.

W ten sposób

dostałby zaszczytu zostania pierwszym nowojorczykiem, który utopił się w sali klubowej „21”.

Odstawił kieliszek na stół.

Esther skinęła głową i szepnęła:

— Byłeś doskonały.

Kelner Waldo pochylony, przygotowywał się do napełnienia kieliszków, ale Rodney zatrzymał dłoń owiniętą w białą serwetkę szyjkę butelki.

— Tak, panie Hamilton? — spytał Waldo.

— Przykro mi, Waldo, ale ten szampan też jest mydlany. Waldo patrzył się na niego z

niedowierzaniem.

— Ten szampan też jest mydlany?

— Obawiam się, że tak. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

— Życzy pan sobie, abym zawołał pana Kriendlera? Rodney znów wyjął portfel i wcisnął

kelnerowi do ręki dziesięciodolarowy banknot.

— Powiedzmy, że dzisiejszego wieczora najwyraźniej nie było nam pisane zrujnować się w

„21” i poprzestańmy na tym.

— Byłeś doskonały — zaśmiała się Esther, kiedy mknęli przez Riverside Drive.

— Byłem zły — odparował Rodney.

— No cóż, miałeś prawo być zły. Dwie butelki zepsutego szampana pod rząd!

— Nie byłem zły na Waldo, tylko na ciebie.

Esther trzymała sobie ręką kapelusz i patrzyła na niego zdziwiona.

— Byłeś zły na mnie? O co?

— Zgadza się, na ciebie. Byłem zły, dlatego że próbowałaś zrobić ze mnie idiotę na oczach

połowy Nowego Jorku. Byłem zły na ciebie, ponieważ musiałem udawać, że wiem, jak smakuje ten cholerny mydlany szampan, po to abyśmy oboje mogli wynieść się stamtąd, zachowując odrobinę godności. A i tak będą o tym pisać we wszystkich gazetach. Esther nie odzywała się. Z obu stron cicho przepływały fale ulicznych świateł. W oddali, z lewej strony widać było czarną, lśniąca rzekę Hudson, która wyglądała jak rzeka ropy naftowej. Na jej powierzchni unosił się księżyc. Po nocnych imprezach Rodney i Esther zawsze najbardziej lubili mknąć przez Riverside Drive w stronę Harlemu i z powrotem, rozrywając po drodze pajęczyny. To było lepsze nawet od świeżych jajek z ostrą, czerwoną papryką, polanych sosem Worcestershire. Przejżdżali wówczas na czerwonych światłach, wyprzedzali śmieciarki i trąbili klaksonem, pędząc po nędznych, uśpionych uliczkach. Potem z rykiem silnika zawracali w stronę śródmieścia i jechali na śniadanie do hotelu Plaża. Jednak dziś wieczorem Rodney nie miał nastroju do takiej jazdy. Szarpał dźwignią zmiany biegów, jakby chciał wyrwać ją z podłogi. Esther powiedziała: — Rodney, naprawdę ten szampan miał mydlany smak. — Na litość boską, Esther! Proszę, daruj sobie! Dał się pić, wiesz o tym doskonale. Zrobiłaś widowisko, które nie miało nic wspólnego z mydlanym szampanem. Prowadziłaś mnie publicznie na smyczy jak jakiegoś cholernego, tresowanego psa! — Wyrzucił niedopałek papierosa przez okno samochodu, po czym oświadczył: — Możliwe, że mam całe mnóstwo wad, Esther, ale nie jestem posłusznym głupkiem, którym się dyryguje. Esther przyglądała mu się bardzo długo. Dojechali już prawie do Sto Trzydziestej Czwartej Ulicy. — Rzecz w tym, czy mnie kochasz? — zapytała. — Czy ja cię kocham? Do diabła, a jak myślisz? — Wobec tego zawieź mnie gdzieś — rzekła. — Zawieźć cię gdzieś? — Rzucił jej szybkie spojrzenie. Nie wiedział, czy może wierzyć własnym uszom. Położyła rękę na jego udzie. Jego mięśnie zadrgały, gdy puścił sprzęgło. — Wiesz, co mam na myśli. Gdzieś, gdzie nikt nas nie zna. — Naprawdę chcesz tego? — Jego głos był teraz bardzo zmieniony. — Oczywiście, że tak. Nie prosiłabym cię, gdybym nie chciała. Rodney obliznął wargi. — W porządku. W takim razie zawiozę cię gdzieś. Pojedziemy za miasto. Nie masz chyba nic

przeciwko małej przejażdżce?

Po tym jak zgodziła się pójść z Rodneyem do łóżka, uznała, że ta noc stanowiła głównie

rodzaj zadośćuczynienia. Możliwe, że był to także przejaw jakiejś brawury. W ten sposób chciała

udowodnić Rodneyowi i samej sobie, że jest teraz swoją panią, więc jeżeli

zapragnie kochać się z

jakimś mężczyzną, to może to zrobić i zrobi to. Być może próbowała się nawet w ten sposób

zemścić na Sachy za to, że był we Francji, podczas gdy ona znajdowała się tutaj.

Nadal uważała, że Rodney jest pociągający, chociaż nie miał ani odrobiny tego je ne sais

quoi* Sachy ani uroku skrzywdzonego szelmy. Rodney jako znakomity tancerz i pierwszorzędny

tenisista miał szerokie plecy i potężne uda, których nie zdołałaby objąć dłońmi.

Prawie go

kochała. Kochałaby go, gdyby nie Sacha. Tej nocy przekonała się jednak, że w sprawach miłości

„prawie” jest jeszcze gorsze niż „wcale”.

Zawiózł ją do przydrożnego motelu, Mamaroneck Auto-Court, niedaleko White Plains. Esther

nie pytała, skąd o nim wiedział. Podejrzewała, że było to jedno z tych miejsc,

dokąd lubiący się

zabawić członkowie Phi Delta Kappa przywozili bez wiedzy rodziców dziewczyny, z którymi nie

mogli pokazać się w towarzystwie. W ciasnym biurze, wyłożonym zniszczonym, czerwonym

dywanikiem i lepem na muchy, Rodney podpisał listę gości: „Pan John Emshwiller i pani

Emshwiller”. Taki mały, prywatny żart — Emshwiller był jego szkolnym nauczycielem biologii.

Właściciel o twarzy jak księżyc w pełni przyglądał mu się z miną znudzonego astmatyka. Powoli

skubał na łokciu swoją zgniłozieloną, wełnianą marynarkę, a następnie nawijał wyskubaną nitkę

na palec.

Trzymając się pod rękę, przeszli po chodniku z desek, który prowadził do pokoi. Niedaleko

wejścia do zajazdu znajdował się oświetlony szyld przedstawiający śpiącego w łóżku,

uśmiechniętego komiwojażera, z którego nosa wydobywały się literki „z-z-z-z”.

Rodney

przyjrzał się badawczo drzwiom i powiedział:

— To tutaj, numer dwanaście. — Otworzył je.

Wewnątrz czuć było ciepłą woń pleśni i środków owadobójczych. Zanim włączył światło,

wziął ją w ramiona i pocałował. Esther nagle uświadomiła sobie, jaka w porównaniu z nim jest

małutka i bezbronna. Jego pocałunek był oschły, lecz pełny pożądania. Zanim skończył ją

całować, zaczął jej rozpinać sukienkę na plecach.

Usiadła na brzegu łóżka i zapaliła światło. Łóżko było przykryte obrzydliwie różową,

wzorzystą, bawełnianą narzutą. Esther podskoczyła na nim i stwierdziła:

— Przynajmniej nie skrzypi.

Rodney rozluźnił krawat i rozpiął mankiety.

— Esther, wiesz, że możemy jeszcze poczekać. Nie musisz mi niczego udowadniać.

Zawahała się przez sekundę czy dwie. Z sąsiedniego pokoju dochodził dźwięk radia.

Usłyszała głos Johnny'ego, który wołał: „Philip Mawriss!” Zdjęła swoją jedwabną sukienkę

przez głowę. Jej piersi uniosły się na moment, a następnie opadły delikatnie i zakołysały się

provokacyjnie.

— Wiem, że nie muszę, Rodney — rzekła. — Ale z drugiej strony ty także nie musisz mi

niczego udowadniać.

Rodney zdjął wieczorowe buty i rozpiął pasek, nie spuszczać ani na moment wzroku z

Esther. Uważał, że w kręgu światła, które dawała tandetna, stojąca na stoliku przy łóżku lampka z

różowymi ozdóbkami, Esther wyglądała jednocześnie jak księżniczka i elegancka dziwka. Miała

pięknie ostrzyżone włosy, doskonały makijaż, kosztowny naszyjnik i gładką skórę. Uśmiechała

się takim uśmiechem, jakiego nigdy przedtem u niej nie widział. Do tej pory istniało między nimi

porozumienie, że będą czekać aż do ślubu.

Rodney podszedł do łóżka ubrany w szorty.

— Nie — powiedziała Esther, chwyciła pasek i ściągnęła je na wysokość kolan.

Zaparło jej

dech w piersiach na myśl o własnej śmiałości: był to dopiero drugi mężczyzna w życiu, którego

dotykała. Ujęła jego męskość w rękę i zaczęła powoli pocierać w dół i w górę, cztery czy pięć

razy, patrząc mu przy tym prosto w oczy z niezmiennie wyzywającym wyrazem twarzy. Miała

ochotę być wyzywająca. Czuła się tak, jakby chciała zaszokować cały świat.

Rodney pochylił się i pocałował jej włosy.

— Esther... czy wiesz, jaka jesteś piękna? — wyszeptał. Zrzucił tę okropną, różową narzutę i

wszedł na łóżko, pociągając Esther za sobą. Leżała obok niego, a on całował, przytulał ją i pieścił

jej piersi.

— Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie — powiedział szeptem.

— Rodney? — szepnęła, oplatając go ramionami.

— O co chodzi, kochanie?

— Dlaczego mówimy szeptem?

Zachichotała. Pocałował ją w milczeniu. Potem całował jej ramiona i piersi. Cały czas słyszała

radio w pokoju obok. „Było to słuchowisko Amos'n'Andy: Zalegam teraz ze wszystkim... nawet z opłatą za trumnę”.

Słuchała nadal, gdy Rodney, bez żadnych dodatkowych wstępów, obrócił ją na drugą stronę i błyskawicznie wślizgnął się w nią od tyłu.

Wziął ją przez całkowite zaskoczenie. Nie, żeby miała z tego powodu narzekać. Tak naprawdę nie wiedziała o seksie nic ponad to, co powiedziała jej Bow Frazier i co wprawiało ją raczej w zakłopotanie. Słyszała wszystko o prysznicu i pamiętała, aby nie drażnić zbytnio mężczyzny.

Przypuszczała więc, że Rodney z pewnością robił to, co należy. Nacierał na nią mocno, gwałtownie i niewyobrażalnie szybko. Czuła się okropnie zmaltretowana. W tym momencie Rodney zaczął sapać, drzeć, cały się trząść i zanim Esther zdołała pojąć, że już się zaczęło, było po wszystkim. Nie zdążyła nawet zamknąć oczu. Wciąż trwał program Amos'n'Andy: „Nie mam żadnej forsy, przyjaciele. Wszyscy moi kumple rozumieją mnie. Wysłuchują mnie, współczują mi, a potem sobie idą”.

Promienie porannego słońca przedostawały się przez motelowe żaluzje, a Esther leżała, paląc papierosa i gapiała się w sufit. Obok niej leżał Rodney. Oddychał równo i spokojnie jak sprawnie funkcjonująca maszyna. Układała w myśli słowa, jakimi zacznie opisywać w pamiętniku wczorajszy wieczór.

Drogi pamiętniku, dzisiaj rano jeszcze mniej niż dotychczas rozumiem seks. Zastanawiam się: jak to możliwe, że moje uczucia związane z seksem są tak mocne, podczas gdy sam akt jest tak mało satysfakcjonujący? To tak, jakbyś bez końca wyczekiwał na przepyszny posiłek tylko po to, aby ktoś zabrał ci go sprzed nosa, gdy ty nadal siedzisz z podniesionym widelcem.

To deprymujące, pamiętniku. To jest wielka tajemnica ludzkości: dlaczego ludzie podejmują niezliczone zabiegi, zalecając się do siebie nawzajem. Dlaczego kobiety stroją się niczym królowe lub ladacznice, a mężczyźni prowadzą wojny i piszą ckliwe, romantyczne sonety, skoro to wszystko kończy się zawsze na dwuminutowym wzdychaniu w niewygodnym łóżku? Albo cała ludzkość kompletnie zgłupiała, drogi pamiętniku, albo ja najwyraźniej tego nie pojmuję.

Przejechała palcami po ramionach śpiącego Rodneya. Był straszliwie atrakcyjny. Muskularny

niczym bóg, prawie doskonały. Ale kochał się z nią tak, jakby robił po prostu coś, czego zdrowy mężczyzna od czasu do czasu potrzebuje, aby dobrze funkcjonować; tak jak energicznego masażu albo wyczerpującej rozgrywki tenisowej.

Trzeba przyznać, że Carl Atkins, chłopak, który pozbawił ją dziewictwa, zachowywał się dokładnie tak samo. Stosunek (a w każdym razie coś, co miało nim być) odbył się na kanapie w letniej willi w Newport. Esther miała szesnaście lat i tak do końca nie rozumiała, co Carl jej robił.

Nie bolało ją to, ale też i nie podobało jej się specjalnie. Zapamiętała lśniące, kasztanowe włosy Carla. Pamiętała także bladą twarz małego chłopca, który od samego początku obserwował całe zdarzenie przez okno. Miała co prawda zadartą spódnicę, ale uśmiechnęła się do niego i pomachała mu ręką ponad ramieniem Carla. Chłopiec natychmiast zniknął. Potem sięgnęła między nogi i poczuła coś mokrego. Pamiętała, jak sperma Carla poplamiała jej błękitne pończochy i jak bardzo ją to zdziwiło.

I to właśnie, drogi pamiętniku, wydaje być się wszystkim, co dają nam ci mężczyźni i chłopcy.

Obietnice, o tak! Mnóstwo obietnic! Nie pozostaje jednak nic prócz niepotrzebnie pobudzonego apetytu i małego bryzgu białych kropelek. I z tego powodu imperia chwiały się w posiadach. Albo, jak powiedziałyby matka: I z tego powodu imperia chwiały się w posiadach?! Trudno w to uwierzyć!

Rozgniotła trzeciego już dzisiaj papierosa. Żałowała, że nie mogła porozmawiać na ten temat z Sachą. Tego rodzaju pytanie zrozumiałby na pewno. Co więcej, na takie pytanie nie bałby się odpowiedzieć.

Po chwili wyciągnęła rękę, włączyła małe radio stojące na stoliku nocnym i nastawiła na NBC

— Red. Rozpoczęła się właśnie audycja One Man's Family. Musiała być ósma. Potrzaśnięła ramieniem Rodneya.

— Rodney! Rodney! Zamruczał coś i odwrócił się.

— Rodney, jest ósma rano. Powinniśmy pomyśleć o powrocie.

Rodney otworzył oczy i zamrugał nimi. Powoli uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— Dzień dobry, przyszła pani Rodneyowo Hamiltonowo Druga. Jak się pani dzisiaj czuje?

— Dziękuję, dobrze. Nie pogardziłabym filiżanką kawy. Rodney przysunął się i pocałował ją.

— Kawa? Dobry pomysł. Ja nie pogardziłbym czymś jeszcze.

— No wiesz, Rodneyu Hamiltonie! Wstydz się — powiedziała Esther, naśladując głos ślicznotki z Południa. I chociaż wiedziała, że drażni go w ten sposób, błyskawicznie spuściła nogi

na podłogę i sięgnęła po ubranie.

Rodney pozostał więc nie zaspokojony i nie miał wyboru; mógł tylko obserwować ubierającą się Esther.

W drodze powrotnej do miasta Esther zapytała:

— Co sądzisz na temat seksu?

Rodney spojrział na nią i wybuchnął pewnym, głośnym śmiechem.

— Co sądzę na temat seksu? Dostyc zabawne pytanie! Myślę, że to wspaniała rzecz! A ty nie?

— Nie wiem — odrzekła Esther. — Moim zdaniem wiąże się on z pewnego rodzaju samotnością.

Rodney potrząsnął głową.

— Samotnością? Nie rozumiem, dlaczego akurat seks miałby mieć coś wspólnego z samotnością? Przecież w żadnej innej sytuacji dwoje ludzi nie może znajdować się bliżej siebie.

Mam na myśli to, że seks graniczy z kanibalizmem. Prawda, że zabawne? Powiedział mi to

Julian Gerard.

Rodney zachowywał się jak młody byczek; ojciec Esther powiedziałby: „byczek o błyszczących oczach i puszystym ogonie”.

— Wiesz co — powiedział do Esther, kiedy skręcili na południe, w zatłoczoną Piątą Aleję —

myślę, że naprawdę nadszedł czas, abyśmy zdecydowali, gdzie i kiedy to nastąpi.

— Gdzie i kiedy co nastąpi? — Esther zmarszczyła brwi.

— Gdzie i kiedy weźmiemy ślub, rzecz jasna. A ty myślałaś, że o co mi chodziło?

— Nie wiem. Wyraziłeś się niezbyt jasno.

Rodney zwolnił i zmienił bieg.

— Znów zamierzasz zachowywać się oficjalnie? Myślałem, że przeszło ci ostatniej nocy.

— Oficjalnie? — warknęła Esther. — Kto zachowuje się oficjalnie?

— Ty! — odparował Rodney. — Zupełnie cię nie rozumiem. Robisz ze mnie kretyna w „21”,

potem mówisz, że pójdziesz ze mną do łóżka, a teraz, kiedy cię proszę, abys wyznaczyła termin, ty... kręcisz nosem.

— Ach, rozumiem — odparła Esther. — Tylko dlatego, że poszłam z tobą do łóżka, od razu

muszę wychodzić za ciebie za mąż!

— A nie chcesz za mnie wyjść? — zapytał Rodney zdziwiony. — Po ostatniej nocy? Esther spojrzała na niego. Wolałaby, żeby te przekłete, głupie łzy nie napływały jej do oczu.

— Przepraszam bardzo, a co ostatnia noc ma z tym wspólnego?

— Co ma z tym wspólnego? Ostatniej nocy kochaliśmy się, gdyby przypadkiem wyleciało ci to z głowy.

— Ach, więc tak się nazywa to, co robiliśmy. — Mówiła teraz głosem bez wyrazu, tak samo

jak jej matka.

Rodney wcisnął hamulec. Taksówkarz, który włókł się za nimi checkerem, zaryczał zdenerwowany:

— Ty głupi ośle!

Rodney zignorował go jednak zupełnie. Z kamienną twarzą chwycił mocno nadgarstek Esther i wykręcił go.

— Co ty do diabła chcesz zrobić? Potrafisz zachowywać się jak przeklęta dziwka, wiesz?

Znalazłaś sobie kogoś innego, prawda? Pojechałaś do tej cholernej Europy i znalazłaś sobie jakiegoś cholernego Europejczyka! Jezu Chryste, Esther, czy sądzisz, że ja jestem aż taki głupi?

Nie myśl, że nie zauważyłem. Kiedy wyszedłem po ciebie na statek, nawet mnie nie pocałowałaś.

Z ledwością zmusiałaś się do tego zeszłej nocy, kiedy byliśmy w łóżku. Bóg jeden wie, dlaczego

w ogóle chciałaś przespać się ze mną. Przypuszczam, że myślałaś o nim, gdy to robiliśmy. Tak

było? Seks w zastępstwie?

Rozbawieni ludzie zebrali się już tłumnie wokół samochodu i próbowali podsłuchiwać.

Ostatecznie był to całkiem niezły samochód, a Rodney i Esther byli niezłe ubrani. Za nimi trąbiły

klaksony, a policjant kierujący ruchem na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, dmuchał wściekle w gwizdek.

— Nie, nie myślałam o nim, kiedy to robiliśmy — odpaliła Esther. — Prawdę powiedziawszy,

nie było czasu na myślenie o czymkolwiek. A teraz puść moją rękę, to boli! Rodney uwolnił jej nadgarstek.

— A więc — oświadczył gwałtownie — przyznajesz się.

— O tak, srogi i potężny Rodney, przyznaję się. A teraz zawieź mnie do domu.

— Nie, dopóki nie powiesz, że to nic poważnego.

— Co? — zapytała Esther.

— Powiedz mi, że ty i ten facet z Europy to nic poważnego.

— Do jasnej cholery, nie powiem ci nic takiego!

— W takim razie będziemy tu siedzieć, dopóki tego nie zrobisz.

Esther uderzyła go torebką w ramię.

— Do diabła, zawieziesz mnie wreszcie do domu, czy nie?

— Kochasz go? — zapytał Rodney. — Spałaś z nim? Powiedz, jak ma na imię!

— Nie twoja sprawa, jak ma na imię, a to czy poszłam z nim do łóżka, czy nie także nie ma

nic do rzeczy.

Rodney odetchnął głęboko.

— Esther — powiedział — kocham cię.

— No cóż, okazujesz to w bardzo zabawny sposób. Spójrz, co zrobiłeś z moim nadgarstkiem!

— Posłuchaj, bardzo mi przykro. Przepraszam.

— O tak, to ładnie z twojej strony — stwierdziła Esther. — Będziesz musiał ciągle

przepraszać. Ja natomiast będę musiała przez następne dwa tygodnie nosić długie rękawiczki.

Przez ten czas dotarł do nich policjant. Sprawdził tablicę rejestracyjną, a następnie ze stoickim spokojem podciągnął na kolanie nogawkę spodni, tak aby mógł wygodnie oprzeć jedną stopę na stopniu auburna. Miał małe, zimne jak stal oczka, a jego cera przypominała ogorzałą rzepe.

— Wybaczy pan — powiedział ze śpiewnym irlandzkim akcentem z Queens — ale czy nie byłoby możliwe, aby skończyli państwo tę rozmowę w miejscu bardziej odpowiednim niż środek głównej ulicy.

— Przepraszam, proszę pana, to moja wina — powiedziała Esther. — Ja i mój narzeczony spieraliśmy się właśnie, czy powinniśmy wrócić na śniadanie do Sherry'ego, czy pojechać lepiej do Tiffany'ego.

— Aha — stwierdził policjant, jakby tego typu decyzje musiał podejmować codziennie. — No i zdecydowali państwo?

— Tak. Sądzę, że tak. Słodkie bułeczki z cynamonem u Tiffany'ego.

— W takim razie skoro zdecydowaliście, ruszajcie stąd tymi przekłętymi saniami Świętego Mikołaja!

Rodney zawiózł Esther do domu, prawie wcale się nie odzywając.

— Czy spotkamy się znów dziś wieczorem? — zapytał, kiedy główny lokaj Oliver otworzył przed nią drzwi frontowe.

— Nie wiem, Rodney. Jestem trochę zmęczona. Wziął ją za rękę i uściśnął.

— No tak, już do tego dochodzi... zazdrość nie jest chyba zbyt ładnym uczuciem, prawda?

Przepraszam.

— Rodney, nie ma za co.

— Ależ skąd, jest za co. Powiedziałem ci tyle przykrych rzeczy, choć wcale tak nie myślę.

Nigdy nie byłaś dziwką, Esther, zawsze byłaś naprawdę wspaniałą dziewczyną. I pozwól, że to

powiem: wczoraj podarowałaś mi najcudowniejszą noc w całym moim życiu.

Pocałowała go w policzek, potem zawahała się i pocałowała go w usta.

— No cóż — rzekła. — Muszę się przebrać. Dzisiaj po południu mam jechać z wizytą do

przyjaciół rodziny. Znasz Abramów Lipschitzów?

— A co powiesz na jutro? Moglibyśmy pojechać na Long Island. Stanley i Maria urządzają piknik.

Uwolniła rękę.

— Zadzwoń do ciebie, zgoda?

Rodney pozostał na schodach domu Fleckerów jeszcze długo po tym, jak zamknęły się drzwi

frontowe. Stał z rękami w kieszeniach i z opuszczoną głową. Dopiero kiedy policjant zawołał do

niego:

— Sir? To pański samochód? — zszedł na chodnik, wsiadł do samochodu i odjechał. Esther obserwowała go przez okno swojej sypialni. Pokojówka Doris przygotowywała dla niej

kąpiel i wyjmowała ranny strój. Długo po tym, jak Rodney zniknął jej z oczu na zatłoczonej

Piątej Alei, Esther opuściła białe, udrapowane, koronkowe firanki i z westchnieniem poszła w kierunku łóżka z baldachimem.

— Doris — zapytała — nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli zadam ci dwa pytania?

Doris doprowadzała właśnie do porządku rękawy szykownego, różowego kostiumu z płótna.

— Oczywiście, że nie, panno Esther. Niech pani pyta, ile pani chce. Ale nie mogę obiecać, że na wszystko odpowiem.

— Więc... pierwsze pytanie brzmi: co myślisz o programie Amos'n'Andy.

Doris podniosła głowę i patrzyła na Esther wytrzeszczonymi oczami.

— Co to za pytanie, panienko Esther? Jestem tylko pokojówką.

— To znaczy, że ich nie lubisz?

— Właściwie prawie nigdy nie miałam okazji ich słuchać — powiedziała Doris wymijająco.

— Ale to dwaj biali mężczyźni, którzy udają, że są czarni, i wyśmiewają się z siebie.

Doris potrząsnęła głową.

— Czy pani nigdy się nie śmieje z innych ludzi, panno Esther? Słyszę, jak pani wyśmiewa się

z nich przez cały czas i wcale nie zawsze życzliwie.

Esther spuściła głowę.

— Tak, masz rację. A teraz... drugie pytanie.

— Niech pani pyta.

— Dotyczy ono... no wiesz, tego jak dwoje ludzi się kocha. Kiedy idą ze sobą do łóżka.

Doris nie podniosła głowy, ale jej palce coraz wolniej rozpiwały bluzkę, którą szykowała.

Cieężko było o tak dobrą pracę jak ta, a pani Flecker to kobieta wyjątkowo gwałtowna i bardzo

przeczulona na punkcie moralności i powodzenia swojej córki.

Esther zapytała głosem, który na początku wydawał się trochę zdławiony:

— Czy uważasz, że to wielki grzech pójść do łóżka z mężczyzną z jakiegoś innego powodu

niż miłość? Mam na myśli taką wielką, prawdziwą miłość?

Doris zastanowiła się, a potem odpowiedziała, starając się zachować spokój:

— Panienko Esther, całe mnóstwo kobiet idzie do łóżka z mężczyzną z mnóstwa innych

powodów niż wielka, prawdziwa miłość.

— Ale czy to grzech?

— Grzech? Myśli pani o takim grzechu jak w Biblii? Nie sędzę, abym była odpowiednią

osobą, by o tym mówić. Ale takie rzeczy zdarzają się każdego dnia i każdej nocy.

Kobiety idą do
łóżka z mężczyzną, ponieważ potrzebują pieniędzy, dlatego, że są znudzone,
przerażone, z
powodu poczucia winy, ponieważ są samotne albo taką mają potrzebę. Z bardzo
wielu różnych
powodów, ale któż miałby wiedzieć, który z nich jest właściwy, a który grzeszny.
Lepiej nie
osądzać, tak ja zawsze mówię, na wypadek gdyby ktoś inny postanowił kiedyś z
ukrycia osądzić
mnie.

Esther odwróciła się do okna. Sypialnia była wysoka, słoneczna i nieskazitelnie
urządzona —
cała w delikatnych odcieniach fioletu i błękitu. W dużym, szklanym wazonie przy
uchylonym
oknie drżały płatki pachnącego groszku.
Doris wyprostowała się, spojrzała na Esther i pomyślała, że dziewczyna jest
śliczna jak
obrazek. Potrafiła się domyślić, co ją trapi. Uniesienia, drżenie serca, czyż w
młodości wszyscy
ludzie nie doświadczają tego samego?
Położyła dłoń na ramieniu Esther. Mimo zachowania pełnego szacunku dystansu,
gest był
bardzo serdeczny.

— Istnieje tylko jedna rzecz na świecie, którą uznałabym za grzech, panienko
Esther —
rzekła. — Umyślne skrzywdzenie drugiej istoty ludzkiej, niezależnie od tego, w
jaki sposób się to
zrobi.

Esther nic nie odpowiedziała, wpatrywała się tylko w okno, a po policzkach
płynęły jej
błyszczące łzy. Po chwili podniosła rękę i uściśnęła dłoń Doris. Stały tam tak,
jakby Doris była
matką Esther, bo w pewnym sensie może stać się nią każdy, kto troszczy się o
drugą osobę.

Całe popołudnie Esther spędziła z Naomi Lipschitz, robiąc zakupy w Saks i
Bergdorf
Goodman. Naomi była dwa lata starsza od Esther i — ku rozpaczy swoich rodziców —
nadal
niezamężna. Jednak dowcipna, niezależna i zawsze wyjątkowo elegancka Naomi nie
zawracała
sobie specjalnie głowy mężczyznami. A w każdym razie nie mężczyznami z tak
zwanego
kawiarnianego towarzystwa. Naomi chciałaby kogoś takiego jak jej ojciec, który
dyrygował
nowojorską Metropolitan Orchestra, a cztery lata temu pomógł Albertowi
Einsteinowi opuścić
Berlin.

Naomi nosiła oryginalne kapelusze, które jednak nie mogły zatuszować zbyt dużego
nosa i
szerokich, jasnoczerwonych ust. Za to niezwykła osobowość dziewczyny

wynagradzała z
nawiązką brak urody. Pewnego razu Naomi ośmieliła się rozmawiać z księciem
Serge'em
Obolenskim na temat cudów Bożych i tampaxów.
Siedziały w Plaża przy herbacie po rosyjsku i ciasteczkach. Wokół leżały paczki
z ich
ekstrawaganckimi zakupami. Skrzypek z Palm Court wygrywał jedną z tych
sentymentalnych
melodii, które sprawiały, że łzy zraszały stojące na stole bezy. Esther
opowiadała Naomi o
Rodneyu i o tym, co zdarzyło się w Mamaroneck Auto-Court.
— Używał, mam nadzieję, „sprzętu” — powiedziała Naomi.
Kawałek napoleonki przykleił jej się do szminki na ustach.
— Sprzętu?
Naomi głośno oblizwała wargi, pochyliła się i powiedziała poufnie:
— Sprzętu, moja droga. Prezerwatywy.
Esther poczuła, że jej policzki robią się purpurowe.
— Nie wiem. Nie pytałam go.
— A nie widziałas, jak ją zakładał?
Esther potrząsnęła głową. Całe jej światowe obycie, z którym wróciła z
Szampanii, wydawało
się rozplýwać jak bańka mydlana.
— Esther, jak na osobę zaczynającą w tym wieku, jesteś strasznie zielona.
— Nie wiem — upierała się Esther. — Możliwie, że tego używał. Nie widziałam. To
wszystko stało się zbyt szybko.
— Szybko, to znaczy jak długo? — zapytała zafascynowana Naomi.
— No... nie wiem. Nie wiem, jak długo powinno to zazwyczaj trwać.
Naomi zeskrobała widelczykiem resztki kremu z talerza i wyjęła papierośnicę z
krokodylej
skóry.
— Śmiało, chcę usłyszeć wszystkie pikantne szczegóły! Czy trwało to mniej więcej
tyle
czasu, ile zajmuje na przykład wypalenie papierosa?
— Nie, nie aż tak długo — odpowiedziała Esther.
— Pół papierosa?
— Też nie.
— Mniej niż pół papierosa? Wypalenie połowy papierosa zajmuje tylko trzy minuty!
Esther spuściła oczy.
— W sąsiednim pokoju grało radio, było słuchowisko Amos'n'Andy. Myślę, że
usłyszałam
mniej więcej cztery wybuchy śmiechu na widowni w studiu.
Naomi nagle złagodniała.
— O mój Boże! Innymi słowy, spisał się nieszczególnie?
Chociaż Esther starała się opanować, znów poczuła te głupie, napływające do oczu
łzy.
— Właściwie to nie spałam przez całą noc i zastanawiałam się, dlaczego ludzie w
ogóle
zawracają sobie głowę kochaniem się.
— Nie przejmuj się, moja droga — pocieszała ją Naomi. — Niektórzy mężczyźni mogą
przedłużać to bez końca, inni natomiast potrafią sprawić, że czujesz się po

prostu cudownie.

Przerwała, gdy kelner zapalał jej papierosa i pytał, czy chciałaby jeszcze jedno ciastko.

— Od tej pory będziemy go po prostu musiały nazywać Rodneyem od Czterech Śmiechów,

zgoda? — zaproponowała złośliwie.

Esther była bardzo nieszczęśliwa.

— Nie zamierzaliśmy tego robić przed ślubem. Ale po poznaniu Sachy, no cóż... miałam

wrażenie, że czekanie nie ma sensu, o ile rozumiesz, o co mi chodzi. To już nie wydawało się,

czyja wiem... to nie wydawało się taką świętością. Teraz wiem, że nie mogę wyjść za Rodneya.

Po prostu nie kocham go wystarczająco. Ostatniej nocy sądziłam, że jest mi go żal, ale... wiesz,

to zabawne, chciałam go jednocześnie ukarać. Naprawdę nie kocham go wystarczająco.

— Moja droga — powiedziała Naomi przez chmurę dymu z papierosa — ależ to jest najważniejszy we wszechświecie powód, aby nie wychodzić za męża. Nie potrafiłabym pokochać

żadnego mężczyzny, który nie rozumie Brownowskiej teorii ruchu ani elektrodynamiki ciał.

Zwłaszcza takiego, który nie umie sprawić, aby „to” trwało dłużej niż cztery wybuchy śmiechu w

Amos’ n’ Andy.

— To jak myślisz, co powinnam teraz zrobić? — zapytała Esther.

Naomi wzruszyła ramionami.

— Nic. Dobrze się bawić.

— A co z Rodneyem?

— No cóż, na twoim miejscu nie zrywałabym z nim przed końcem sezonu. Jest idealną osobą

towarzyszącą. Wszystkie matki uwielbiają go, nie znajdziesz latem nikogo takiego jak on. Ale na

litość boską, Esther, nie pozwól więcej zabierać się za miasto! Powiedz mu po prostu, że

postanowiłaś jednak poczekać. Chodzi o świętość małżeństwa i tym podobne rzeczy.

Powiedz, że

oglądałaś film o zakonnicy i nawróciłaś się.

— Co?

Naomi przymrużyła oczy i zastanowiła się przez chwilę.

— I, cóż... daj swojemu Sachy znak. Coś śmiałego, lecz nie świadczącego o zaangażowaniu.

Nie chcesz przecież, aby wydawało się, że tak bardzo ci na nim zależy. Mimo wszystko... tylko

błagam, nie wybuchnij płaczem, mógł równie dobrze znaleźć sobie kogoś innego albo po prostu

całkowicie o tobie zapomnieć. Mężczyźni w głębi duszy są bardzo niestali, choć na zewnątrz

wydają się zdecydowani; nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli. Boże, nienawidzę tej ich

śmiałości! Ale w każdym razie daj mu znać, że jego kaskaderski wyczyn na motorówce nie przeszedł całkowicie bez echa. Mężczyźni lubią być klepani po ramieniu, rozumiesz, tak samo jak po każdym innym miejscu.

— Odkąd wróciłam z Francji, czułam się taka pewna wszystkiego — stwierdziła Esther.

Naomi uściśniła jej rękę i powiedziała:

— Pewność, moja droga Esther, pochodzi z wnętrza ciebie. Pozycja kobiety ma tyle wspólnego z mężczyzną, co ruch planet z dziedzicznymi odruchami u reżysów.

— Naomi, nie rozumiem nigdy ani jednego przeklętego słowa z tego, co mówisz, ale jakoś

zawsze potrafisz poprawić mi nastrój.

— To dobrze — odrzekła Naomi, wypuszczając dym. — Szkoda, że sama sobie nie potrafię poprawić nastroju.

Do tego czerwcowego dnia, w którym rodzina Fleckerów miała zjechać się do Newport,

Esther zajmowała się robieniem zakupów i odwiedzaniem przyjaciół. Widziano ją też, „uroczą,

pewną siebie i elegancką”, na skórzanych, pasiastych kanapach w El Morocco lub w Perskiej

Sali, w Plaża, jak tańczyła przy muzyce Eddy’ego Duchina, albo dalej jeszcze — w Harlemie,

gdzie całymi godzinami słuchała Duke’a Ellingtona w Cotton Club czy w Connie’s Inn, a potem

jadła na śniadanie kielbaski i gryczane ciasteczka.

Rodney był uprzedzająco grzeczny, ale zawsze spięty jak ktoś, kto denerwuje się o swój

samochód, który musiał zaparkować w podejrzanej okolicy. Towarzyszył jej wszędzie.

Fotografowano ich w El Patio, a także w „21”, ponieważ trzydziestoczerocalowe kolumny w

gazetach następnego dnia po awanturze spowodowały, że kierownictwo lokalu chętnie

wybaczyło Rodneyowi i Esther całą tę historię z mydlanym szampanem. Jediną osobą, jaka

nigdy nie miała im tego zapomnieć, był Waldo, kelner odpowiedzialny za wino, któremu bardzo

szybko nadano przydomek: „Bąbelki”.

W całym nowojorskim towarzystwie nadal traktowano ich jako „Rodneya-i-Esther” i teraz

już wszyscy, podekscytowani, spodziewali się na wiosnę ich ślubu. Eleanor Young powiedziała,

ze ubierze się na zielono, ponieważ jest tak bardzo zazdrosna. Dzień w dzień skrzynka na listy w

rezydencji Fleckerów wypełniała się broszurami reklamowymi agencji pośredniczących w handlu

nieruchomościami, sklepów jubilerskich, zakładów krawieckich, firm wypożyczających

limuzyny i świadczących usługi żeglugowe, kwiaciarni oraz dostawców artykułów żywnościowych. W „New York Post” nazwano Rodneya i Esther „Serduszkami Towarzystwa” i zawsze przedstawiano ich na zdjęciach w kształcie serca.

Prawda o ich wzajemnych stosunkach w tych czerwcowych tygodniach była jednak zupełnie inna. Esther tańczyła i flirtowała dosłownie ze wszystkimi. Natomiast Rodney najczęściej siedział w kącie razem z kobietami podpierającymi ściany lub elegantami zbyt starymi, żeby tańczyć, którzy pili zbyt dużo, ziewali i wyglądali na wyjątkowo wymęczonych.

Esther wiedziała, że zachowuje się egoistycznie i okrutnie, ale postanowiła sobie, że fakt odkochania się w Rodneyu nie może zepsuć jej zabawy. Nie prosiła Rodneya, aby się w niej zakochał. Nikogo o to nie prosiła. Wysłała Sachy widokówkę z Empire State Building z kokieterijną wiadomością (Naomi zapisała ją na obrusie w czerwonej kratce, w barze z tyłu „21”): Wciąż mnie inspirujesz.

Pozdrawiam, Esther. Naomi twierdziła, że całość ma subtelnie falliczny charakter. Esther pomyślała, że było to mniej więcej tak subtelnie falliczne, jak widokówka z bananem, ale nic nie powiedziała.

Do tej pory Esther nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Malowała sobie właśnie paznokcie pięcioma różnymi odcieniami różu i myślała o Sachy jedzącym samotne posiłki w Château David, którego nie mogła pocieszyć nawet wierna madame Hatte. W każdym razie Esther miała nadzieję, że był samotny. Skoro, jak się zdawało, zakochał się w niej tak błyskawicznie, to kto wie, czy nie zakocha się równie szybko w jednej z tych jasnoookich i chciwych kobiet, od których w Paryżu po prostu się roiło.

Niekiedy potrafiła sobie niemal wyobrazić, jak wyglądała ta jej domniemana rywalka: była modnie ubrana, miała bardzo długą papierosową lufkę, gwałtowne usposobienie i była pozbawiana jakichkolwiek zasad.

Od czasu do czasu z Pasadeny dzwoniła matka Esther. Narzekała na upały i prosiła, aby Esther upewniła się, że Doris weźmie do Newport jej czerwono-biały kostium Chanel.

— A co u Rodneya? Czytałam w gazetach, że zachowaliście się niegrzecznie w „21”.

— Och, mamoo-o, nic się nie stało. Nie możesz wierzyć we wszystko, co przeczytasz.

— Pisali o szampanie. Odesłaliście butelki. Znam cię, młoda damo. Urządzasz komedię.

Patrzcie, znawczyni szampana! Cała ta degustacja: gul, gul, gul i robienie z siebie widowiska. No cóż, możesz zapomnieć o szampanie i o Sachy Davidzie. Nigdy cię nie prosiłam, żebyś wychodziła za Rodneya, tak czy nie? To ty chciałaś wziąć z nim ślub. Osobiście nie dałabym za Rodneya złamanego grosza. Ani za niego, ani za jego ojca i ich spluwaczki, które są wszędzie, i toaletę, która jest wielka jak La Scala. Rodney zawsze będzie chłopcem, nigdy mężczyzną, wiesz przecież o tym. A ja stworzyłam ci szansę poznania diuków i książąt. Czy nie tak było? Każda dziewczyna z odrobiną oleju w głowie byłaby już do tej pory księżną Czegoś — Tam. A ty co? Nic z tego! Jedyne, czego pragnęłaś, to uciec z tym producentem szampana i myć butelki przez resztę swojego życia.

Esther szarpała i rozkręcała loki swoich świeżo umytych włosów.
— Oj mamoo—o—o, skończ już, dobrze?
— Skończ już, mówi do swojej rodzonej matki, gdy jej rodzony ojciec płaci za rozmowę!
— Przepraszam, mamoo, ale naprawdę...
— Tylko nie zapomnij powiedzieć Doris o kostiumie. Chodzi o ten czerwono—biały.
— Nie zapomnę, mamoo.
— I żebyś więcej nie czytała w gazetach, że się kłócisz. Ty zawsze się kłócisz!
— Tak, mamoo. To znaczy: nie przeczytasz, mamoo. To był raczej rytuał, a nie prawdziwa kłótnia.

W ostatni wtorek czerwca Esther jechała do Newport. Specjalnie wyszła z domu bardzo wcześnie, ponieważ Rodney obiecał przyjechać około jedenastej, żeby się pożegnać. Miał dotrzeć do Newport dopiero za tydzień — ojciec prosił go, aby został w Nowym Jorku i załatwił jakieś rodzinne interesy ubezpieczeniowe. Kiedy jednak o ósmej rano wyszła przez frontowe drzwi i w promieniach porannego słońca schodziła do długiego, lśniącego, kasztanowego lincolna zaparkowanego na krawężniku, usłyszała trzask zamykanych drzwi samochodowych. Spojrzała w lewo i zobaczyła Rodneya, który szedł spiesznie w jej stronę po chodniku.

— Ale z ciebie ranny ptaszek! — zawołał, uchylając kapelusza. Pocałował ją w policzek przez woalkę jej białego, szerokiego kapelusza. — Nie sądziłem, że wyjedziesz przed dwunastą.
— Zmieniłam zdanie.

Rodney wrzucił ramionami i wybuchnął śmiechem, który jednak nie miał z prawdziwym śmiechem nic wspólnego.

— No więc minąłbym się z tobą, gdybym nie jechał do śródmieścia, na Wall Street. Zauważyłem zaparkowaną tutaj limuzynę i Collinsa, który pakował do bagażnika twoje walizy.

Domyśliłem się więc, że postanowiłaś wyjechać wcześniej, niż planowałaś.

— Przepraszam — odrzekła Esther. — Zdaje się, że zapomniałam; powinnam była zadzwonić do ciebie.

Rodney spojrział na nią i uśmiechnął się. Miała na sobie białą, letnią sukienkę zapinaną na guziczki, całą wyszywaną w drobne, białe kwiatuszki i mocno ściśniętą białym paskiem. Światło

odbijające się od ronda kapelusza sprawiało, że Esther bardziej niż zwykle przypominała Grete

Garbo i jeszcze nigdy nie wydawała się tak pociągająca. Sukienka uwydatniała jej obfity biust, a jednocześnie podkreślała wyjątkowo szczupłą talię.

— Jest coś, o czym chciałbym ci powiedzieć — oświadczył Rodney. — Jak myślisz, mamy czas?

Zasłoniła oczy przed słońcem.

— Nie mógłbyś z tym poczekać do czasu, kiedy będziemy w Newport? Przyjedziesz tam w przyszłym tygodniu, prawda?

— No cóż, nie jestem tego pewien. To zależy.

— Nie jedziesz?

— Właściwie... to jadę.

Esther odwróciła się w stronę limuzyny.

— Przykro mi, Rodney. Naprawdę nie mam czasu. To okropnie długa droga, a chciałabym zdążyć tam na lunch.

Rodney przełknął ślinę i powiedział:

— Esther, rzecz w tym, że nie jestem pewien, czy nie powinniśmy zerwać naszych zaręczyn.

— Co? — zapytała zaskoczona. Rodney długo obracał w ręku kapelusz.

— Niełatwo mi to mówić, ale zaczynam myśleć, że chyba wyrośliśmy z siebie nawzajem.

Może ty ze mnie, a może ja z ciebie. Nie jestem pewien. Ale tak czy inaczej na pewno już nigdy

nie będzie nam się zbyt dobrze układało, mam rację?

Esther zrobiła się biała jak jej kapelusz.

— Nie wiem, co masz na myśli.

— Daj spokój, Esther, znamy się zbyt długo, abyś tak mówiła.

W tym momencie, instynktownie wyczuwając rozpaczliwe położenie Esther, podszedł do nich

szofer Collins i nadstawił uszu. Miał sześć stóp, pięć cali wzrostu i zjawił się w olśniewającym

blasku swojego płowego, letniego stroju z dwoma rzędami złotych guzików.

— Czy jest pani gotowa do drogi, panno Flecker? — zapytał ze swoim udawanym angielskim akcentem.

— Za chwilę, Collins. To nie potrwa długo.

— Jak sobie pani życzy, panno Flecker.

Cofnął się o trzy kroki, akurat tyle, żeby móc ich dosłyszeć przez szum ulicznego ruchu.

Odwrócił jednak głowę, aby wyglądało, jakby nie podsłuchiwał.

Esther syknęła do Rodneya:

— Chcesz wszystko odwołać?

Rodney uniósł te swoje Taylorowskie brwi w kształcie litery V.

— Nie ja, kochanie. Ja chciałem ożenić się z tobą od chwili, kiedy po raz pierwszy cię

ujrzałem, i nadal tego chcę. Czasami jednak mężczyzna musi spojrzeć prawdzie w oczy. A

prawda jest taka, Esther, że mnie nie kochasz.

— Obiecałam, że wyjdę za ciebie, czego jeszcze chcesz? — W jej oczach pojawiły się łzy.

— Tak, oczywiście. Obiecałaś, że wyjdiesz za mnie, ale to było przed twoim wyjazdem do

Europy.

Przerwał, jakby oczekiwał, aby zawołała, że nadal go kocha. Kiedy jednak nie uczyniła nic

poza tupnięciem nogą w chodnik i stwierdzeniem: „Och!”, uśmiechnął się,

potrząsnął głową i

powiedział:

— To nie ma sensu, Esther. Od momentu, kiedy wysiadłaś z Queen Mary, ciągnęłaś mnie za

sobą na smyczy. Możliwe, że byłem głupi, skoro pozwoliłem ci na to, ale w takim razie mój

ojciec też był głupi, moja matka jeszcze bardziej, a to widocznie dziedziczne.

Nic nie mogę na to

poradzić. Wiem jedno: nie jestem na tyle głupi, aby ożenić się z dziewczyną,

która mnie nie

kocha. To nie ma sensu. Ja byłbym nieszczęśliwy i ty byłabyś nieszczęśliwa, a

nawet jeżeli

napiszą o nas we wszystkich kronikach towarzyskich, ponieważ zrobiliśmy z siebie kompletnych

idiotów, to przynajmniej nie znajdziemy się tam z powodu naszego rozwodu.

Teraz Esther rozplakała się już na dobre.

— A mówiłaś, że mnie kochasz, Rodney! Mówiłaś, że zostanę twoją księżniczką, nawet jeżeli

ty nie będziesz księciem!

Przytulił ją do siebie. Kilku przechodniów, którzy rozpoznali bohaterów z gazet, odwróciło się

teraz i obserwowało ich. Collins rzucił im groźne spojrzenie, więc cofnęli się,

ale tylko o parę

kroków. Właśnie rozgrywał się nowy dramat towarzyski. Dzisiaj można było na żywo zobaczyć

jutrzejse nagłówki prasowe.

— Esther, bardzo mnie raniłaś, a robiłaś to tylko dlatego, że w głębi serca chciałaś, abym

powiedział to, co mówię właśnie teraz. Chciałaś, żebym wziął na siebie

odpowiedzialność za
zerwanie, a więc robię to. Kocham cię i prawdopodobnie zawsze będę cię kochał,
ale wiesz, jak
mawiają w takich sytuacjach Francuzi.
Podniosła głowę, miała rozmazany makijaż.
— Nie. Jak mawiają Francuzi?
— Skąd miałbym wiedzieć, nigdy nie byłem we Francji. Nie potrafiła powstrzymać
uśmiechu.
Chociaż była bardzo nieszczęśliwa, ponieważ nie mogła mieć wszystkiego naraz,
poczuła, jak
robi jej się coraz lżej na sercu, skoro Rodney uwolnił ją od całej winy.
Odpuszczenie grzechów
odbyło się o ósmej rano, na chodniku i na dodatek publicznie. Nigdy nie
potrafiłaby przyznać się
przed matką, że nie kocha Rodneya na tyle, aby za niego wyjść. Możliwe też, że
nie umiałaby
przyznać się do tego samemu Rodneyowi.
Jedyne, czym naprawdę martwiła się teraz, to fakt, że za chwilę miała pozostać
bez osoby
towarzyszącej na całe lato. A w każdym razie bez kogoś, kogo pożądałyby
wszystkie jej
przyjaciółki. W tym momencie nie przychodził jej do głowy żaden mężczyzna, który
byłby: po
pierwsze — wystarczająco bogaty, po drugie — wystarczająco przystojny, a po
trzecie —
tolerowany przez jej matkę. Być może Rodney zdołał uchronić ich oboje przed
trwającą do końca
życia małżeńską niedolą, ale póki co postawił jej letni sezon pod wielkim
znakiem zapytania.
Chwyciła go za rękę i niezdarnie ją uściśnęła.
— Rodney, kochanie, jesteś bardzo dzielny. Żałuję, że to wszystko tak właśnie
się potoczyło.
— Ja także — odparł Rodney. — Ale sama tego chciałaś. Droga do prawdziwej
miłości nigdy
nie wiedzie prosto.
Zmrużyła oczy, patrząc pod słońce.
— Nie sądzisz, że może byłoby mniejsze zamieszanie, gdybyśmy...
Rodney czekał cierpliwie. Esther spojrzała na niego, spodziewając się pomocy,
ale on nie
zamierzał niczego mówić. Uśmiechał się tylko i czekał, czekał i uśmiechał się.
— No więc — przemówiła z trudem, starając się, aby nie zabrzmiało to tak, jakby
prosiła go o
przysługę — być może moglibyśmy zostać razem jeszcze przez lato. Rozumiesz, jak
przyjaciele,
tylko dla zachowania pozorów. A potem zerwać ze sobą, ogłaszając to wszystkim
delikatnie pod
koniec sezonu.
Zaledwie skończyła mówić, on już potrząsał głową.
— Esther, gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo jest mi przykro, ale nie mogę.
Podjąłem już

decyzję. Będzie znacznie lepiej dla nas obojga, jeżeli rozstaniemy się ostatecznie.

Odsłoniła woalę, uniosła swoją piękną, zalaną łzami twarz i pocałowała go.

Właściwie to

usiłowała go pocałować, ponieważ tym razem on odsunął policzek.

— A więc w ogóle nie jedziesz do Newport? — zapytała.

— Ależ jadę. Oczywiście, że jadę do Newport. Poza uczestnictwem w ogólnej zabawie,

chciałbym trochę pożeglować.

Esther była zakłopotana.

— Mówiłeś przecież, że powinniśmy ostatecznie się rozstać. Skoro jednak jedziesz do

Newport...

— Nie martw się, możemy nadal się widywać. I prawdopodobnie będziemy. Ale przyrzekam

ci: to koniec. Ostateczne rozstanie, żadnych kłótni.

— No, nie wiem — rzekła Esther. — Co na to ludzie powiedzą? Co powie moja matka?

—

Rodney pocałował ją i pewny siebie ujął jej ramiona w swoje silne, opalone dłonie.

— Moja droga — powiedział, parafrazując Rhetta Butlera — ja nie trąbię.

Esther spojrzała mu w oczy i wtedy właśnie zrozumiała wszystko.

— Znalazłeś kogoś innego — zarzuciła mu. — Znalazłeś inną dziewczynę.

Rodney skinął głową.

— Mogę chyba powiedzieć, że znalazłem. Nic lepiej niż nowa miłość nie pomaga odkryć

braków poprzedniej.

— Wobec tego — oświadczyła i chociaż czuła, że zaschło jej w gardle, starała się zachować

spokój — bardzo się cieszę z tego powodu. Czy jest to ktoś, kogo znam?

— Tak. I ktoś, kto zna ciebie.

— Na litość boską, chyba nie Bow!

— Nie, nie Bow. Ostatnio Bow przelatuje ze świstem niczym rakietą; jest dla mnie za szybka.

— W takim razie nie wiem.

Rodney przesunął po twarzy wierzchem dłoni, jakby chciał zetrzeć z niej głupi uśmiešek.

— Prędzej czy później i tak się dowiesz, więc chyba lepiej powiem ci to od razu.

To Naomi.

— Naomi? Naomi Lipschitz?!

— To świetna dziewczyna, Esther. Wyjątkowo pogodna. Esther zaparło dech w piersiach.

Naomi! Podła zdrajczyni!

Zwierzyła się Naomi ze wszystkiego, odsłoniła przed nią swoje najskrytsze namiętności,

obnażyła duszę! A Naomi tak okazała swoją przyjaźń, że sprzątnęła jej sprzed nosa Rodneya,

zabrała jej narzeczonego! Mogłaby krzyknąć! Jej matka wrzeszczałaby, nie zastanawiając się

nawet!

— Dobrze się czujesz? — zapytał Rodney. — Jesteś dosyć blada.
— Naomi Lipschitz — powtórzyła. — Cholerna Naomi Lipschitz.
Wtedy Collins podszedł bliżej i powiedział:
— Proszę mi wybaczyć, panno Flecker, ale musimy już jechać, jeśli mamy zamiar
zdażyć do
Newport na lunch. Nie lubię pędzić całą drogę, zwłaszcza po tych wiejskich
zawijasach.
Esther zignorowała go i spojrzała na Rodneya wyzywająco, z tym samym wyrazem
twarzy,
jaki miała tej nocy, gdy ściągnęła mu szorty i trzymała w dłoni jego męskość
niby berło.
— Przypuszczam, że Naomi powiedziała ci wszystko, o czym rozmawialiśmy?
— Oczywiście, że nie! — odrzekł Rodney. — Dlaczego miałyby to zrobić?
— Nie mówiła ci nic o Sachy?
— O tym Francuzie? Tym gościu od szampana? No... niezbyt wiele, tylko jak ma na
imię i co
do niego czujesz.
— To wspaniale — stwierdziła Esther z nie tłumioną goryczą. — Wprost wspaniale.
Starając się okazać współczucie, Rodney powiedział:
— Kazała ci coś przekazać, ale nie wiem, co to znaczy.
— Ach, tak? A co to miało być?
— Powiedziała: „dwadzieścia cztery śmiechy”.
— To miałeś przekazać? Dwadzieścia cztery śmiechy?
Rodney kiwnął głową. Widział, że Esther jest zdenerwowana, ale nigdy nie
dowiedział się,
dlaczego zamachnęła się wtedy i wymierzyła mu tak siarczasty policzek.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Oczywiście Esther bez najmniejszego kłopotu znalazła osobę towarzyszącą. Harry
K. Monson
jr nie był aż tak bogaty jak Rodney i rzecz jasna nie brała go pod uwagę jako
kandydata na męża.
Był chudy jak patyk, niezwykle dowcipny, grał świetnie w tenisa, a jego ojciec,
Harry K.
Monson miał Angelusa, uważanego powszechnie za najbardziej gustowny jacht w
całym
Newport.
Mimo to Esther doszła do wniosku, że spędzanie sezonu letniego w Newport zaczyna
ją
nudzić, a tegoroczne lato jest najnudniejsze ze wszystkich. Jej matka nigdy
chyba nie zrozumiała,
że te lata, które ona spędzała w Newport — pełne blasku, przedwojenne czasy
Vanderbiltów,
Belmontów i Asto — rów, gdy posiadanie mniej niż dziesięciu aut i trzymanie
mniej niż
dwudziestu pięciu osób służby uważano za coś żenująco skromnego; gdy bez wahania
wydawało
się sto tysięcy dolarów na jedno przyjęcie w ogrodzie czy tysiąc dolarów
miesięcznie tylko na
kwiaty do przybrania stołu przy kolacji — że te czasy odeszły bezpowrotnie.
Pozostało po nich

jedynie echo dźwięczące w pamięci matki Esther.

Teraz organizowano przyjęcia tylko w rytmie swinga, głupawi młodzieńcy szaleli po okolicy swoimi sportowymi samochodami, a łatwo ulegające zawrotowi głowy dziewczęta wypijały na jachtach zbyt wiele martini.

Esther jednak uwielbiała żeglować, a Harry K. Monson jr, oprócz tego, że potrafił na zawołanie śpiewać sprośne, obrażające wszystkich przyjaciół szanty, był znakomitym żeglarzem.

Pewnego burzowego, czwartkowego popołudnia pod koniec lipca wzięli koszyk z prowiantem, nakręcany patefon i pożeglowali aż za Castle Hill. Płynęli dwudziestopięciostopowym jachtem Harry'ego Brindisi. Esther, ubrana w marynarski kostium

Worth, rozłożyła się na stosie haftowanych poduszek i popijała szampana. W tym czasie Harry i

jego załogant George wykonywali wszystkie żeglarskie czynności. Wiatr był coraz silniejszy, ale

Harry uważał, że burza przejdzie bokiem.

— Masz ochotę wybrać się do Casino w przyszłym tygodniu? — zawołał Harry. — Organizują tam bal maskowy.

— Pod warunkiem, że nie wybiera się tam moja matka — odkrzyknęła Esther.

— Twoja matka jest w porządku. O, gdybyś miała taką jak moja!

— Wolę nie myśleć ani o twojej, ani o mojej. Gdyby nie ona, byłabym teraz jeszcze we Francji.

— Tak — rzekł Harry. — Słyszałem, co przydarzyło ci się we Francji.

— Nie przejmuj się. Cały cholerny świat o tym słyszał. Takie są skutki wyjawiania najskrytszych tajemnic Naomi Lipschitz vel „Megafon”.

Harry powierzył Brindisi George'owi i zszedł na śródkręcie, aby usiąść na chwilę przy

Esther. Zdjął żeglarską czapkę i otarł czoło wierzchem dłoni. Miał chudą twarz, orli nos i jasne,

miękkie włosy, które ciągle odgarniał z twarzy. Esther mogła go sobie wyobrazić grającego rolę

Sherlocka Holmesa.

— Czy widziałaś się już z Rodneyem? — zapytał Harry, kiedy podała mu kieliszek szampana.

— Jeszcze nie. Słyszałam, że zabrał Naomi na piknik do Robacków.

— Tworzą dosyć dziwną parę — zauważył Harry. — Mam na myśli to, że Rodney jest

bardzo przystojnym facetem, natomiast jeśli chodzi o Naomi, to nawet wykazując maksimum

dobrej woli, można ją co najwyżej nazwać „interesującą”.

— Nie wiedziałeś, że zakochał się w jej intelekcie? Rodney zawsze lubił uważać siebie za

jednego z największych intelektualistów na świecie. Kiedyś poszedł do biblioteki po książkę o

Maxie Plancku, ale nie znalazł jej, ponieważ szukał w dziale: „leśnictwo”*

Harry przełknął szampana i roześmiał się.

— Ależ z pani złośliwa dama, panno Esther Flecker. Co byś powiedziała na pocałunek?

— Czemu nie.

Na północnym wschodzie niebo przybrało groźną barwę poczerniałej miedzi, a smocze języki

błyskawic prześlizgiwały się po linii brzegowej.

‘ — Jak myślisz, George? — zawołał Harry. — Zawracamy do domu?

George wystawił gładką, opaloną twarz na wiatr, jakby chciał nosem wyczuć deszcz.

— Tak na wszelki wypadek, panie Monson.

Harry podał swój kieliszek Esther, a następnie podniósł się leniwie.

— Ostatnim razem kiedy porwał mnie sztorm, dopłynąłem do Nowego Jorku. Zajęło mi to

jedenastę godzin, a więc przez całą drogę płynąłem z prędkością prawie dwunastu węzłów.

— Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyśmy wrócili do Nowego Jorku — odparła Esther.

— Źle się tutaj bawisz?

— Ależ nie, uwielbiam żeglować, ale jeżeli zobaczą jeszcze jedną rakietę tenisową lub planszę

do gry w Monopol, albo jeszcze jeden Old Gold Puzzle Contest, to chyba wymiotuję.

Harry skrzywił się.

— Wobec tego kiedy następnym razem będziemy grać w tenisa, czy mogłabyś łaskawie upewnić się, że stoję w bezpiecznej odległości?

Ułożyła się na poduszkach. Jacht przechylał się z boku na bok, woda pluskała wesoło,

uderzając w jego granatowy kadłub. Na południowym zachodzie niebo nadal było bardzo

pogodne, przepięknie błękitne. Przypomniało ono Esther dzień, w którym na Queen Mary

wypływała z Cherbourga. Marzyła, żeby Sacha znów zjawił się na motorówce, z rozpostartym na

przedzie transparentem.

ESTHER JE T’AIME. Na myśl o tym nadal robiło jej się gorąco. Ale były to ostatnie

wypowiedziane lub napisane przez niego słowa. Od czasu powrotu do Stanów nie otrzymała ani

jednej linijki depeszy, ani nawet subtelnie fallicznej widokówki z wieżą Eiffla.

Może Naomi (po

tysiącokrotnie przeklęta Naomi) miała rację, może Sacha natychmiast zakochał się w tej

wyimaginowanej francuskiej hurysie z bardzo długą papierosową lufką i moralnością kocicy.

Zastanawiała się, dlaczego w ogóle wspomniała o wymiotowaniu. To było jedno z tych słów,

które samym swoim brzmieniem wywołują u człowieka mdłości. Jednak najgorsze było to, że

zupełnie niespodziewanie jej żołądek zaczął jakby zwijać się w mnóstwo małych,

wstrętnych
supelków, a szampan smakował teraz jak tłuszcz. Przyjrzała się badawczo
kieliszskowi. Jak to
możliwe, aby szampan miał smak tłuszczu? Był to Salon z paryskiej firmy Maxima,
który sama
wybrała, ponieważ Sacha mówił, że znakomicie smakuje na powietrzu. Powąchała go
i miała
ochotę zasłonić usta.
Co u diabła się z nią działo? Nigdy nie cierpiała na chorobę morską, ani razu.
Co więcej była
wystarczająco młoda i zdrowa, aby móc przetrzymać w picciu większość swoich
wielbicieli.
A może to te kanapki z kurczakiem, które zjadła? Może pasztet był nieświeży?
Chwyciła się
za brzuch, żołądek skręcił się i głośno zabulgotał.
— Harry — zawołała. Zaczęła ślinić się obficie i poczuła, jak kanapki z
kurczakiem
przewracają się jej w brzuchu. Jacht zanurzał się i przechylał na falach
przeciwego prądu.
Esther wiedziała już na pewno, że będzie musiała wychylić się za burtę. — Harry!
— Zaczekaj, Esther, jestem zupełnie unieruchomiony!
— Harry, nie mogę poczekać! Zaraz zwymio...
Harry'emu najwyraźniej przemknęła przez głowę myśl, że Esther z jakiegoś powodu
wyskoczyła za burtę. Wcisnął George'owi do ręki linę, którą właśnie wiązał, i
jednym susem
przeskoczył pokład. Esther wychyliła się niebezpiecznie, jedną ręką trzymając
się kurczowo
mosiężnego kołka, żeby nie wypaść za burtę. Słona woda obryzgiwała jej twarz.
Właśnie
skończyła wymiotować do morza.
— Esther! Dobrze się czujesz? — Harry pomógł jej wdrapać się z powrotem na
poduszki.
Leżała tam ze łzami w oczach i twarzą koloru wosku.
— O Boże! — Zadygotała. — O Boże, czuję się okropnie!
— Co się stało? Nigdy nie widziałem, żebyś miała chorobę morską. Najpierw
czujesz się
znakomicie, a za chwilę zwracasz!
— Nic nawet nie mów, Harry. Ani słowa. O Boże, jak mi zimno!
— Masz — powiedział Harry. Otworzył jedną ze skrzyń, wyjął wełniany,
jasnoczerwony koc i
owinał nim Esther. — Teraz lepiej? Założę się, że to moja wina, ponieważ mówiłem
o Rodneyu.
To temat, który każdego może przyprawić o mdłości.
Esther szczykała zębami.
— Nie wiem. Nie wiem, co to było.
Harry wziął jedną z kanapek, które zostały, i powąchał ją podejrzliwie.
— Wydaje się świeża. Może to było coś, co jadłaś wczoraj wieczorem.
— Przytul mnie, Harry. — Esther zadrzała.
Harry wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Jacht Brindisi pluskając na falach,
płynął z

powrotem do Newport.

W domu od razu poczuła się lepiej. Mimo to matka uparła się, że resztę dnia Esther powinna przeleżeć w łóżku i kazała jej wypić filiżankę obrzydliwej ziołowej herbatki, która miała bardzo podejrzany zapach.

Harry nie otrzymał żadnych podziękowań za opiekę nad Esther. Zamiast tego oberwało mu się, że wypłynął z nią w środku burzy i przez niego dziewczyna tak zachorowała, że mało nie umarła.

— Pani Flecker, morze było płaskie jak naleśnik!

— Naleśnik! Nie mów mi o naleśnikach! Moja córka mało nie umarła, a ten mówi o naleśnikach!

Właściwie Esther bardzo odpowiadał ten popołudniowy wypoczynek. Ogromny, piętnastopokojowy „domek letniskowy” był bardzo cichy i wygodny. Jej sypialnię ozdobiono

ślicznymi tapetami w drobne wzory kwiatowe, utrzymane w rdzawobrązowej tonacji. Okno

sypialni wychodziło na wschodnią drogę dojazdową, która wiała się między wysokimi jodłami.

Mogła stamtąd dojrzeć także część zabudowań stajennych, w których nadal trzymano pół tuzina

koni pod wierzch, cztery konie pociągowe oraz dwa pierce arrow, przepisowego rolls-royce’a i półcieżarówkę.

Spała trochę w swoim szerokim łóżu z zasłonami, na prześcieradłach z wyszywanego ręcznie

irlandzkiego płótna. Dawniej wszystkie łóżka w domu przykrywano jedwabnymi prześcieradłami, ale ojciec Esther narzekał, że nigdy nie może czytać w łóżku na siedząco, nie

ześlizgując się przy tym ciągle pod przykrycie. Był co prawda wyjątkowo bogaty, ale jego

fortuna powstała dzięki temu, że był także praktyczny.

Około godziny trzeciej Esther owinęła się w szlafrok, puściła dwie czy trzy płyty Duke’a

Ellingtona i na stole przy oknie zaczęła układać puzzle — złożoną z pięciu tysięcy części

reprodukcję Ogrodu ziemskich rozkoszy. Podczas wybierania fragmentów układanki zapaliła

papierosa i prawie natychmiast go wyrzuciła. Miał okropnie stęchły smak.

Będzie musiała poprosić Betty, aby przyniosła jej nową paczkę.

Znów leżała w łóżku, czytając The Glass Key, kiedy przyszła matka. Wystroiła się stanowczo

zbyt dziewczęco — w falbany z białej organdy i kokardę a la Baba d’Erlanger na czubku

głowy. Usiadła na brzegu łóżka i obrzuciła córkę badawczym spojrzeniem.

— Lepiej się czujesz?

— Tak, dziękuję. Jestem trochę osłabiona, ale każdy by był po takiej herbatce.

Matka pogłaskała ją po dłoni.

— Dzisiaj rano dzwonili do mnie z Cunard. Przyplłynęły już prawie wszystkie nasze suknie z Paryża. Przywiozą nam je jutro przed lunchem. Modliłam się, żeby suknia wieczorowa Mainbochera zdążyła dotrzeć na sobotni bal. Nesta Kravitz zzielenieje z zazdrości, kiedy zobaczy, jak pięknie wyglądam! Zzielenieje! Ty także będziesz wyglądać cudownie, prawda?

— Nie czuję się zbyt cudownie w tej chwili.

— Odpocznij, napij się jeszcze herbatki, a jutro poczujesz się lepiej. Jak ten dureń mógł wypłynąć z tobą na morze w samym środku nawałnicy?

— Mamo, morze było idealnie spokojne, a Harry jest znakomitym żeglarzem. Musiałam po prostu coś niedobrego zjeść.

— Harry mówił coś o naleśnikach.

Matka wstała i okręciła się przed dużym lustrem.

— Wiesz co, Esther, myślę, że zaczynam wyglądać młodziej. No i waga! Tracę na wadze! —

Czubkami palców przycisnęła obciągniętą gorsetem fałdę na brzuchu. — Mam nadzieję, że paryskie suknie nie będą na mnie wisały!

Esther uśmiechnęła się blado. Pomysł, że cokolwiek mogłoby wisieć na matce byłby bardzo zabawny, gdyby nie graniczył z niemożliwością.

— Czy tata wróci dzisiaj później? — zapytała matkę.

— O ósmej, akurat na kolację. Zjesz z nami na dole? Będzie gotowany łosoś, gołębie mięso i truskawkowe ciastka, które tak bardzo lubisz.

— Masz na myśli te truskawkowe ciastka, do których jedzenia zawsze mnie zmuszasz, abyś nie czuła się winna, że sama zjadasz ich tak dużo?

— Uff! — warknęła matka. — Czy wiesz, co ci dolega? Nie cierpisz na chorobę morską, ale na chorobliwy brak uprzejmości!

— Przepraszam.

Matka niespodziewanie wydała z siebie okrzyk: Rinasce... m'agita! — ostatnie słowa Violetty z Traviaty i zamaszystym krokiem wyszła z pokoju.

Esther położyła się z powrotem na poduszkach i westchnęła. Czuła się dziwnie, zupełnie inaczej niż zwykle. Podniecona, a jednak spokojna, jak gdyby znajdowała się właśnie u progu nowego, odmiennego życia.

Adieu tristesse, bonjour tristesse, zacytowała cicho. Tu es inscrite dans les lignes du plafond.

„Żegnaj, smutku, witaj, smutku, wierszami zapisano cię na suficie”.

Nie zeszła na kolację. Znów zwracała, tym razem nie jedzenie, lecz resztki herbatki ziołowej.

Matka obiecała zadzwonić do doktora Jacobsona, gdyby do rana nie było żadnej

poprawy.

Wieczorem tuż przed ósmą na górę przyszedł ojciec, aby odwiedzić córkę. Miał jeszcze na sobie

beżowy, trzyczęściowy garnitur biznesmena ze zwiędłym goździkiem w butonierce.

Thomas Abraham Flecker nie był wysokim mężczyzną, ale dobrze zbudowanym, o potężnej

klatce piersiowej. Dlatego też jego postać wyróżniała się nawet w otoczeniu mężczyzn, którzy

przerastali go o głowę. Starannie przyczesywał, a następnie przyglądał brylantyną resztki

szpakowatych włosów na swojej dużej głowie. Esther zawsze uważała, że jego twarz była

najładniejszą i najbardziej zatroskaną twarzą na świecie. Miał krzaczaste brwi, głęboko

osadzone oczy i ostro zarysowany nos. Tylko równie ostry podbródek ujawniał, że ojciec Esther

jest bardzo uparty. Zresztą kolejne imperium oraz sieć domów towarowych powstały właśnie

dzięki jego uporowi.

Przysunął krzesło z drugiego końca pokoju i usiadł. Przez cały dzień spotykał się z kupcami w

interesach, teraz więc pachniał cygarami. W bruzdach na jego czole osiadły diamentowe kropelki

potu.

— Słyszałem, że jesteś chora — oświadczył, wyjmując notes oraz pióro i zapisując, że ma

porozmawiać z maklerami na temat swoich akcji na centralnej giełdzie nowojorskiej.

— To nic takiego — odparła Esther.

Ojciec wydał wargi i pokiwał głową.

— Spotkałem dziś, hm, Rodneya Hamiltona. Rodneya Hamiltona seniora, oczywiście.

— Tak?

— Był szczerze zawiedziony, że ty i Rodney nie jesteście już razem. Szczerze zawiedziony.

Muszę przyznać, że ja także. Też jestem szczerze zawiedziony.

— Tatusiu — odrzekła lekko rozdrażniona Esther — nic nie możemy na to poradzić. Nie

kochamy się tak mocno, aby spędzić resztę życia razem.

Ojciec nie przestawał kiwać głową, powiedział jednak:

— Słyszałem co innego. Podobno Rodney zdenerwował się, ponieważ przez dłuższy czas

bardzo źle go traktowałaś. W końcu postanowił zrezygnować, bo nie mógł już dłużej znieść

twojego wyjątkowo nikczemnego postępowania.

— Przypuszczam, że powiedział ci to pan Hamilton.

Thomas Flecker nadal kiwał głową.

— Zgadza się. W New York Yacht Club. Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że Rodney

nadal jest do ciebie bardzo przywiązany. Nadal szczerze przywiązany.

— W takim razie żałuję, ale ja nie jestem ani bardzo, ani szczerze przywiązana

do niego. Poza
tym znalazł teraz prawdziwą miłość, Naomi Lipschitz, z którą będzie
najszczęśliwszym
człowiekiem na świecie. Słyszysz: najszczęśliwszym na świecie!
Kiwanie zmieniło się w potrząsanie głową.
— Mimo wszystko on wciąż cię kocha. A ja osobiście nie miałbym nic przeciwko
temu,
żebyście znów byli razem.
— Tato, ja po prostu nie kocham go wystarczająco mocno! Nie mówię, że nie kocham
go
wcale, ale po prostu nie kocham go wystarczająco!!!
Nastąpiła długa chwila ciszy. Ojciec wyjął cygaro i obracał je między palcami, po
czym schował
z powrotem. Widocznie doszedł do wniosku, że troskliwi ojcowie nie mają w
zwyczaju palić
cygar marki Havana Grand Coronas w sypialniach swoich cholerycznych córek. Po
chwili
odezwał się:
— Wiesz, Esther, życie nie jest bajką. Życie to nic innego, jak szereg
logicznych wyborów.
Jeżeli pociąg, zawierający „x” wagonów pasażerskich, wysyłam na stację
rozrządową, która ma
tory kolejowe o długości „y” stóp i składa się z „z” liczby zwrotnic, to wiem,
co mogę z tym
pociągiem zrobić, a czego nie. W życiu jest tak samo. Twój mózg to stacja
rozrządowa, a twoje
logiczne wybory to wagony pasażerskie.
— Tatusiu, na litość boską, mówimy o moim życiu uczuciowym, a nie o pociągu 7.10
z
Davenport do Iowa City.
Thomas Flecker znów zaczął kiwać głową.
— Wiem, Esther, wiem. Musisz jednak spojrzeć prawdzie w oczy: ja i twoja matka
pobraliśmy się z miłości, a nie z żadnego innego powodu, ale niewiele jest
takich małżeństw jak
nasze. — Pociągnął nosem i przechylił się na krześle, aby móc wyjąć z kieszeni
spodni
chusteczkę do nosa. — Możliwe, że ty i Rodney nigdy nie będziecie się kochać tak
bardzo jak
twoja matka i ja. Byłby to jednak rozsądny związek łączący dwie dobrze
prosperujące rodziny,
nie sądzisz? A ty mogłabyś nauczyć się bardziej kochać Rodneya. Jestem tego
pewien.
Chyba po raz pierwszy w życiu Esther zrobiło się żal własnego ojca. Przypomniała
sobie, jak
jej matka krzyczała: „Miłość, ty głupia dziewczyno, nie ma zupełnie nic
wspólnego ze
szczęściem ani udanym małżeństwem! Czy myślisz, że ja pokochałam twojego ojca,
gdy tylko go
poznałam?”
Nic nie odpowiedziała. Ojciec przeczyścił nos. Po kolejnej chwili milczenia

powiedział:

— Wiem, że matce Rodney niezbyt się spodobał, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła. Robiła, co mogła, aby przedstawić cię mężczyznom o określonej pozycji, diukom i tym podobnym. No

cóż, jestem skłonny przyznać, że nie udało jej się to z wiadomych przyczyn.

Zresztą straciliśmy

już sporo czasu, kłócąc się na ten temat. Wobec tego twoja matka i ja

przedyskutowaliśmy całą

sprawę i doszliśmy do wniosku, że chcielibyśmy, abyś wróciła do Rodneya i

abyście jeszcze raz

spróbowali.

— Wygląda na to, że zapomniałeś o pewnej Naomi Lipschitz — odparła Esther.

Ojciec pokiwał głową.

— Jeżeli Rodney zrozumie, że może cię odzyskać, wtedy, wierz mi, Naomi Lipschitz z

ekspresową prędkością zostanie na zawsze odstawiona na bocznicy.

Esther wzięła bardzo głęboki oddech.

— Tatusiu — rzekła. — Nigdy nie wyjdę za Rodneya Hamiltona. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

Nie wyszłabym za niego, nawet jeśli Rodney Hamilton byłby jedynym mężczyzną we wszechświecie.

Ojciec dalej kiwał głową.

— No więc dobrze — powiedział powoli. — Może jednak zainteresuje cię, że ja i ojciec

Rodneya jesteśmy wyjątkowo bliscy zrobienia razem pewnego bardzo intratnego interesu.

— Ach tak? — odparowała Esther. — A ja w jakim charakterze mam wystąpić? Towaru wymiennego w postaci panny młodej?

Ojciec wstał, podszedł do łóżka i pocałował ją w czoło. Poły rozpiętej marynarki otoczyły jej

twarz, tak jak działa się zawsze, kiedy była mała. Znowu znalazła się w jaskini, w której czuć było

gryzącą woń tytoniu z cygar pomieszaną z męskim potem i jakimś intensywnym zapachem wody

kolońskiej. Po raz pierwszy ojciec uśmiechnął się.

— Nie, Esther. Nic podobnego. Na Boga, czy wiesz, że jesteś taka sama jak twoja matka?

Dokładnie taka sama.

— Mam nadzieję, że nie próbujesz znowu przyprawić mnie o mdłości.

— Dostyc tego, Esther! Nie życzę sobie, abyś w ten sposób mówiła o własnej matce. Pamiętaj,

że rozmawiasz ze mną o kobiecie, którą kocham.

O bogowie, oszczędźcie nas, pomyślała Esther. Ale głośno powiedziała jedynie:

— Przepraszam, tatusiu.

Następnego dnia wcześniej rano obudziły ją skurcze żołądka. Dźwignęła się na łóżku,

pośpieszyła do łazienki i znowu zwracała. Zwymiotowała głośno jedną czy półtorej kwarty

letniego płynu. Potem, ubrana w turkusową, atlasową pizamę Molyneux, stanęła na

chwiejnych
nogach i przyjrzała się sobie badawczo w lustrze ze złożonymi ramami. Odchyliła
nawet dolne
powieki i spojrzała w oczy, aby sprawdzić, czy nie widać śladów anemii. Cerę na
twarzy miała
ziemistą, ale to przecież nic dziwnego: była niewyspana i nie jadła nic od
wczorajszego
śniadania. Szczerze mówiąc, nie wyglądała gorzej niż wtedy w Château David,
kiedy miała kaca.
No, w każdym razie nie dużo gorzej.
Zastanawiała się, czy jest umierająca. Może złapała we Francji jakąś straszliwą,
egzotyczną
chorobę, która po okresie inkubacji zaczynała teraz atakować jej organizm. W
końcu Francja była
najbrudniejszym chyba miejscem, jakie kiedykolwiek widziała. Kiedy pewnego razu,
w małym,
dosyć przyzwoitym hoteliku niedaleko Wersalu poszła do toalety, pomyślała w
pierwszej chwili,
że ktoś ukradł sedes.
— Trzeba przykucnąć — wyjaśniła jej wtedy matka. Powiedziała to tonem, którego
nie
powstydziliby się nawet księżna Eboli w Don Carlosie.
Wróciła do sypialni. Usiadła drżąca i osłabiona na brzegu łóżka. Przeczesała
palcami włosy.
Miewała już dawniej nudności, zwłaszcza po tych pasztecikach cielęcych u
Vanderbiltów, nigdy
jednak nie czuła się tak jak teraz. Może to malaria.
Bez wątpienia czuła się wyjątkowo kiepsko, a jednocześnie tak jakoś dziwnie.
Trudno byłoby
to nazwać zadowoleniem, ale kiedy mijały fale mdłości, czuła się prawie
szczęśliwa.
Nagle przypomniała sobie coś, o czym mówiła jej kiedyś Bow Frazier. Podeszła do
biurka i
otworzyła swój kalendarz. Stała tam bardzo długo, licząc dni. Potem zamknęła
kalendarz,
przycisnęła go do piersi i wyszeptwała:
— O nie.
„Używał, mam nadzieję «sprzętu»,”. Naomi wyszczerzyła do niej zęby w uśmiechu.
„Czy
widziałaś, jak go zakładał?”
Czuła się jak we śnie. Wróciła powoli do łóżka, położyła się na kołdrze i równie
powoli
zwinęła się w kłębek. Opóźniała jej się miesiączka. Specjalnie się nad tym nie
zastanawiała,
ponieważ nigdy nie miała jej zbyt regularnie. Doszła do wniosku, że i tak
poczuję, kiedy
miesiączka się pojawi, a nastąpi to jak zwykle w najmniej odpowiednim i
najbardziej krępującym
momencie.
Jeśli jednak Bow miała rację i jeśli Esther nie pomyliła się w obliczeniach... mój

Boże,
poranne mdłości... mogła być w ciąży.
— Możliwe, że spodziewam się dziecka — szepnęła do siebie. — Mogę mieć prawdziwe, żywe dziecko.
Nie, to przecież niemożliwe! Po jednym tylko razie? Tym bardziej, że Rodney zrobił to tak szybko.
Przypuśćmy jednak, że jest w ciąży. A jeżeli tam, w środku niej, rozwija się już Rodney Hamilton III?
Zacisnęła mocno powieki. To nie były żadne przypuszczenia. Ogarnęła ją fala przerażającej pewności. Wiedziała, że jest w ciąży. Z jakiego innego powodu czułaby się tak, jakby coś jej się przydarzyło, coś, co ogarniało ją całą i nad czym zupełnie nie panowała? Z jakiego innego powodu jej ciało zachowywałoby się tak dziwnie?
Ale urodzić dziecko! I to nie będąc nawet mężatką! Całe życie miałyby zrujnowane!
Wybuchnęła głośnym płaczem i łkała tak bez przerwy przez ponad pięć minut. Potem nagle przestała, ponieważ nie potrafiła myśleć i płakać jednocześnie, a chociaż nadal czuła się bardzo nieszczęśliwa, musiała teraz pomyśleć. Zastanawiała się, czy powinna popełnić samobójstwo — wyskoczyć oknem albo w kąpielni podciąć sobie żyły na rękach. Ciekawe, czy Naomi znała kogoś, kto mógłby usunąć ciążę. W końcu dzięki rodzinie Lipschitzów wyemigrowało z Europy całe mnóstwo żydowskich lekarzy. Jeżeli jednak poprosiłaby Naomi o pomoc, wszyscy by się o tym dowiedzieli. Kroniki towarzyskie wszystkich pism rozniosłyby tę sensacyjną wiadomość od oceanu do oceanu. Zgadnijcie, która z nowojorskich gwiazd towarzyskich czuje już kopanie maleńkich nóżek?
Matka zapewne dostanie ataku szału. Ojciec prawdopodobnie wysmarka nos, zapali cygaro i powie, że nie powinna była nigdy wpuszczać pociągu Rodneya do swego tunelu. Najgorsze ze wszystkiego było to, że Rodney najprawdopodobniej przybiegnie do niej w podskokach i będzie się upierał, że się z nią ożeni. Boże, to wszystko było tak okropnie przerażające, tak strasznie niesprawiedliwe!
Usłyszała, jak zegar na dole wybił dziewiątą. Zaraz potem matka otworzyła drzwi do sypialni i na paluszkach, kołysząc się, przeszła przez pokój. Ubrana była w wielowarstwowe, zielone tiule Norell. To, jak w nich wyglądała, nie było winą Norell, w końcu jak bardzo można

zmienić

kobietę? Esther zamknęła oczy i zaczęła oddychać głęboko, udając, że śpi. Nawet nie miała

ochoty mówić matce, że wygląda w tych tiulach jak główka sałaty z innej planety.

Matka usiadła blisko Esther i o mało jej nie zgmiotła. Esther poczuła w jej

oddechu zapachy

śniadania: wódka, sok pomidorowy i seler. Matka delikatnie przesunęła długimi paznokciami po

czole córki, po czym zapytała:

— Esther, Esther? Jak się czujesz?

Esther otworzyła oczy, zamrugała powiekami, przeciągnęła się i ziewnęła.

— Świetnie. Czuję się znacznie lepiej.

— Czy miałaś kolejne ataki mdłości?

Esther potrząsnęła głową.

— Mamo, czuję się świetnie, naprawdę. Jestem tylko trochę zmęczona.

— Masz jakby spuchnięte oczy.

— Po prostu spałam.

— Hm, powiem Doris, żeby przyniosła ci kilka plasterków ogórka. Potrzy masz je przez pół

godziny na powiekach. To ci pomoże.

— Mamo, czuję się bardzo dobrze.

— Ogórek to rozkaz — powiedziała matka. — Potem przyjdiesz do mojej garderoby.

Przywieźli już wszystkie nasze suknie wieczorowe, za chwilę będą rozpakowane.

— Szczerze mówiąc, nie mam ochoty na przymierzanie sukni wieczorowych.

Matka wstała.

— Potrafisz tylko ciągle się klócić i klócić! Kupiłam ci całą szafę letnich sukienek. Większość

dziewcząt w twoim wieku dużo by dało, żeby je mieć. Słuchaj więc! Zrobisz, co ci każę!

Najpierw ogórek, potem suknie wieczorowe!

Esther nic nie odpowiedziała, wcisnęła tylko twarz w poduszkę, usiłując powstrzymać kolejny

wybuch płaczu. Oddałaby wszystko, aby móc powiedzieć matce, że chyba jest w ciąży. Ale nie

mogła przecież tego zrobić. Czy ktokolwiek mógłby porozmawiać z takim tyranem, z tą kobietą,

która interesowała się tylko i wyłącznie sobą?

Matka ruszyła w stronę drzwi. Przystanąła i potrząsnęła głową.

— Jesteś taka sama jak twój ojciec. Uparta jak osioł.

Leżała w łóżku, trzymając dwa plasterki ogórka na powiekach przez prawie godzinę. W końcu

przyszła pokojówka Betty, zdjęła je i odłożyła na miseczkę obok.

— Nadal wygląda pani nieszczerólnie, panno Esther — zauważyła Betty. — Jest pani pewna,

że nic nie mogę dla pani zrobić?

— Zaraz wszystko będzie w porządku — zapewniła ją Esther. Kiedy jednak usiadła, zaczęło

jej się kręcić w głowie i musiała schylić się do kolan.

Ojciec zapukał do drzwi i wszedł do pokoju.

— Esther? Matka pyta, czy jesteś już gotowa na pokaz mody. Zaprezentowała mi

właśnie

kilka swoich dziennych kreacji. Piękne! Po prostu marzenie! Mężczyzna lubi wiedzieć, że jego pieniądze nie poszły na marne.

— Tatusiu, proszę. Daj mi tylko chwilkę czasu.

Thomas Flecker podszedł bliżej i zatroskany położył rękę na ramieniu Esther.

— Jesteś pewna, że dobrze się czujesz, kochanie?

— Czuję się świetnie. Tylko trochę za szybko usiadłam.

— W dzisiejszych czasach problem z wami, dziewczętami, polega na tym, że się głodzicie.

Wiesz, szczupła sylwetka to nie wszystko, a mężczyźni lubią kobiety, które mają odrobinę ciała.

— Zauważyłam — odrzekła Esther.

Thomas Flecker podniósł plasterki ogórka, które leżały na miseczce przy łóżku Esther. Betty

zaskoczona przyglądała się, jak spokojnie ugryzł jeden z nich, a potem zjadł go do końca.

— Zawsze lubiłem ogórki — zauważył, pociągając nosem. — Kłopot w tym, że ogórki nie

zawsze lubiły mnie.

— Zwłaszcza ten — stwierdziła Esther, kiedy schrupał drugi plasterek i połknął go. — Przez

ostatnią godzinę ten ogórek leżał na moich powiekach.

Ojciec patrzył na nią wytrzeszczonymi oczami i powoli przecierał chusteczką wargi.

— Nabierasz mnie — odparł. — Ogórek na oczach? Po cóż u diabła? — Przełknął ślinę,

oblizął usta i znów przełknął.

— Dobry na opuchliznę i zmarszczki, panie Flecker — wyjaśniła Betty.

— No tak — powiedział Thomas Flecker ze wstrętem. — Codziennie człowiek uczy się czegoś nowego. Ogórek, cholera, na oczy. Betty, dobrze, że mnie ostrzegłaś, zanim było za

późno.

— Nie zdążyłam, proszę pana.

— Nie szkodzi — odpowiedział Thomas Flecker. — A ciebie, Esther, matka chce natychmiast

widzieć w swojej garderobie.

— Idę, tatusiu. Daj mi tylko chwilkę czasu.

Kiedy ojciec wyszedł z pokoju, poszła do łazienki. Westchnęła ciężko kilka razy.

Bóg raczy

wiedzieć, jak zdoła ukryć ciążę, jeżeli nadal będą ją męczyły nudności i

wymioty. Wcześniej czy

później matka wezwie doktora Jacobsona, który natychmiast zorientuje się, co się dzieje. Leczył

ją od urodzenia i Esther była przekonana, że umiał czytać w jej myślach.

Spotkała go na

przyjęciu w ogrodzie, kiedy miała trzynaście lat. Była wtedy pewna — poznała to po sposobie, w

jaki się do niej uśmiechnął — że wiedział już o jej pierwszej miesiączce.

Przypatrywała się swojemu odbiciu w lustrze. Stwierdziła, że wygląda po prostu

okropnie. Z

włosów zrobiły jej się tłuste strączki, oczy miała spuchnięte i była blada jak trup. Po — szczypała

się w policzki, usiłując dodać sobie trochę kolorów, ale zdołała tylko upodobnić się do

szmaccianego pajaca.

Matka paradowała po garderobie ubrana w granatową, aksamitną suknię Chanel z szerokim,

miękkim, koronkowym kołnierzem. W garderobie znajdowało się mnóstwo luster oraz wysokie,

wychodzące na północ okno. Gładkie, brązowe dywany i zasłony nie przyciągały uwagi.

Można było skupić się wyłącznie na podziwianiu „modelki”.

Ojciec siedział na parapecie okiennym, oklaskując gorąco swoją żonę:

— Wspaniała, moja droga. Ma–ni–fik!*

Esther stanęła na chwilę w rogu, obserwując, jak matka wdzięczy się i pyszni.

Widziała kiedyś

podobną suknię prezentowaną przez Madeleine Carroll. Ona wyglądała w niej wdzięcznie i

ponętnie.

— No i co? — zapytała matka, zbliżając się do Esther wielkimi krokami, niby manekin na

szczudłach.

— Jest bardzo ładna.

— Ładna, No wiesz! Nie jest ładna! To ostatni krzyk mody! Szczyt gustu! Mięka, gładka i

taka, taka... kobieca! Po prostu stworzona dla mnie!

— Tak, mamo. Stworzona dla ciebie.

Matka chwyciła ją za rękę i poprowadziła na drugi koniec pokoju, gdzie Betty i jeszcze jedna

służąca odpakowywały ze stosu zielonych, kartonowych pudeł i różowych bibulek wykwinne

suknie warte prawie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

— Betty! Gdzie jest ta suknia wieczorowa od Molyneux? Ta z różowej satyny, z pięknym

kołnierzem. Tak, właśnie ta! Chodź, Esther, musisz ją przymierzyć.

Esther poczuła, że uginają się pod nią kolana.

— Mamo, proszę. Może później.

— Nie wyglupiaj się! Tyle pięknych sukien, a twój ojciec nie widział cię jeszcze w żadnej z

nich! Poza tym tę akurat sama dla ciebie wybrałam! Chcę, aby twój ojciec zobaczył, że mam

wspaniały gust, również jeśli chodzi o wybór sukienek dla ciebie.

— Mamo—o—o...

— Nie zachowuj się jak nieznośne dziecko, przymierz ją! Esther weszła do jednej z kabin do

przymierzania, zrzuciła

szlafrok i stała tam naga i drżąca. Prosiła Boga, aby znów nie zaczęło jej się zbierać na

wymioty. Boże, który sprawiłeś, że Morze Czerwone rozstało się, aby Mojżesz i

naród
wybrany mogli przez nie przejść, proszę, racz powstrzymać mój żołądek. Błagam,
wszechmocny,
wszechpotężny Boże! Czy proszę o tak wiele?
Następnie na chwiejnych nogach weszła w śliską, jedwabną suknię wieczorową.
Suknia była
ukośnie skrojona i miała przepyszne kaskady jedwabnych falban wokół całego
kołnierza.
Molyneux nazwała ten model Hiszpańskie Wejrzenie. W Paryżu była to jedna z
ulubionych
kreacji Esther. Teraz jednak nie obchodziła ją bardziej niż na przykład
czerwona, flanelowa
bielizna z zapinaną na guziki klapką z tyłu. Matka zastukała w drzwi kabiny.
— Esther, pospiesz się! Dlaczego zamknęłaś się na klucz, ty głupia dziewczyno!
Tommy,
zaczekaj, dopóki nie zobaczysz tej sukni! Kiedy ją ujrzałam, od razu wiedziałam,
że jest
stworzona dla Esther. Pospiesz się, Esther. Chyba nie zamierzasz robić tego cały
dzień!
Kłopot w tym, że Esther odczuwała teraz nie tylko mdłości i zawroty głowy, ale
miała także
problemy z zapięciem sukienki. Molyneux uszyła tę suknię tak, aby przylegała do
ciała
dziewczyny jak druga skóra; była idealnie skrojona. Esther mierzyła ją na dzień
przed wyjazdem
z Paryża i czuła się w niej niewysłowienie cudownie. Teraz jednak suknia
ściskała ją
niewygodnie w biuście i nie bardzo też było wiadomo, czy wcięcie w talii miało
znajdować się
powyżej czy poniżej lekko zaokrąglonego brzuszka.
O zgrozo! Sukienka faktycznie marszczyła się z przodu, podkreślając figurę,
która nie
wskazywała jeszcze wyraźnie na ciążę, ale o której można było powiedzieć, że
jest odrobinę
pulchniejsza niż zezwalała moda.
Wzięła głęboki oddech. Już wyobrażała sobie nagłówki w gazetach: „Słynna
dziedziczka
szykuje niespodziankę”, „Ekspresowy ślub córki Diwy”. Matka ją zabije! Dosłownie
chwyci ją
za gardło i udusi.
Poczuła, że jest spocona i robi jej się słabo. Otworzyła drzwi kabiny raczej
dlatego, że chciała
zacerpnąć świeżego powietrza, niż wpuścić matkę do środka. Matka jednak
wcisnęła się obok
niej do kabiny i zaczęła się awanturować:
— Co tu robisz tak długo? Twój ojciec ma dużo pracy, a ty zabierasz mu tyle
czasu! Czy w
taki sposób dziękujesz nam za wszystkie swoje piękne sukienki?
Esther zamierzała właśnie coś odpowiedzieć, ale pod wpływem głodu, mdłości i
braku tlenu

pociemniało jej przed oczami. Zachwiała się. Matka próbowała ją przytrzymać, okazało się to jednak niemożliwe, ponieważ w jedwabnej sukni dziewczyna była bardzo śliska. Esther

wyślizgnęła się matce z ramion i upadła na plecy. Leżała na dywanie błada i lekko uśmiechnięta.

Ojciec stanął osłupiały.

— Co tu się u diabła dzieje? Ona znów się wygłupia? Esther!

Ale matka zagrzmiała donośnym kontraltem:

— Dzwon po doktora Jacobsona! Szybko!

Esther obudziła się, czując wszechogarniającą senność i spokój. Kiedy straciła przytomność,

wydawało się jej, że znalazła się z powrotem we Francji i że spacerowała z Sachą po

pagórkowatych polach porośniętych sięgającym po pas makiem. Kiedy więc otworzyła oczy i

zobaczyła siedzącego przy jej łóżku doktora Jacobsona, który miał brodę, okulary i uśmiechał się

jak jedna z tych metalowych skarbonek w kształcie małpy, nie miała pojęcia ani gdzie się

znajduje, ani nawet kim jest.

Doktor Jacobson chwycił ją za przegub dłoni. Zmierzył puls, nie przestając się uśmiechać.

— Osiemdziesiąt — powiedział po chwili i schował zegarek do małej kieszonki kamizelki.

— Czy to jest normalny puls? — zapytała Esther.

— Tak, moja droga, zupełnie normalny. Tak czy owak, jest to osiemdziesiąt na minutę. Gdyby

wynosił osiemdziesiąt na dzień, byłoby czym się martwić!

— Co się ze mną stało? — chciała wiedzieć Esther. Rozglądała się po pokoju.

Nagle zdała

sobie sprawę, że słońce zdążyło się przesunąć, a więc upłynęło już sporo czasu.

— Co pan tutaj

robi? Która jest godzina?

— Niedawno minęła druga po południu. Zemdlałaś i od tego czasu spałaś.

— Zemdlałam? Ja nigdy nie mdleję.

— No, powiedzmy, że straciłaś przytomność. Przyczyniły się do tego prawdopodobnie:

zmęczenie, napięcie i brak jedzenia. Twoja matka mówi, że nie odżywasz się tak, jak należy.

— Czy jestem chora? — zapytała Esther.

Doktor Jacobson wydał policzki i wzruszył ramionami. — Zrobię oczywiście pewne badania.

Nie sądzę jednak, abyś była.

— Jakie badania?

— Badania krwi, moczu. Musimy mieć pewność, że wszystko jest w porządku i nie dzieje się

nic poważnego.

— Czuję się bardzo dobrze, naprawdę — rzekła Esther. — Wczoraj, kiedy pływaliśmy łodzią,

cierpiałam na chorobę morską. Przypuszczam, że z tego powodu czułam wstręt do jedzenia.

— I od tego czasu nie miałaś nudności?

— Uhm. Czułam się dobrze. Byłam może trochę zmęczona i głodna, tak jak pan mówił.

Doktor Jacobson spojrzał na nią przenikliwie. Na kołnierzu czarnej marynarki miał łupież.

— Esther — odezwał się — czy jesteś pewna, że nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

Esther wyraźnie się zaczerwieniła.

— Nie wiem, co pan ma na myśli.

— Twoja pokojówka mówiła, że dzisiaj rano miałaś kolejne ataki mdłości. Słyszała to.

— A, o to chodzi — odrzekła Esther. — To nic takiego. Po prostu zrobiło mi się trochę niedobrze, to wszystko. Chyba jakiś lekki ból brzucha.

Doktor Jacobson nie odzywał się przez chwilę. Potem schylił się i otworzył swoją torbę.

— W porządku, moja droga. Nazwijmy to bólem brzucha, jeśli tak sobie życzysz.

— A cóż innego mogłoby to być?

— Tego właśnie będę musiał się dowiedzieć. Dobrze? Czy mogłabyś dać mi próbkę moczu, abym wziął ją ze sobą?

— Nie mówił pan nic mamie? — zapytała Esther.

— Nie — odpowiedział doktor Jacobson. — I nie powiem, jeśli nie będziesz sobie tego życzyła.

— Ale gdy zrobi pan jakieś badania, ona będzie chciała znać ich wyniki.

— Chyba ma do tego prawo. Jest twoją matką i to ona płaci za moje wizyty.

— Ale co będzie, jeżeli okaże się, że to jest coś... no, nie wiem... niedyskretnego.

— Niedyskretnego? — zapytał doktor Jacobson. — A cóż może być niedyskretnego w bólu

brzucha? Zwłaszcza dla osób, które mają się tobą opiekować.

Przez ułamek sekundy Esther miała ochotę powiedzieć mu, że jej zdaniem jest w ciąży. Ale

jeśli rzeczywiście była, on i tak się dowie, a jeżeli nie była, postawi ją to w wyjątkowo krępującej sytuacji.

Doktor Jacobson podał jej szklaną buteleczkę.

— Będziemy się martwić, jak powiedzieć twojej matce o tym bólu brzucha, kiedy dowiemy

się, co to w ogóle jest, dobrze? A póki co, czy będziesz tak uprzejma...

Przez cały weekend Esther w piżamie wałęsała się rozdrażniona po domu. Nie miała ochoty

ani na papierosa, ani na drinka. Nie mogła już słuchać swingowych nagrań.

Przenosiła się tylko z

jednej kanapy na drugą, głośno przerzucała czasopisma i zajadała zwykłe bułeczki z ogromną

ilością kremowego sera, nie używając przy tym talerza i zostawiając wszędzie okruszki. Harry

wysypany kamykami podjazd.

Musiał najpierw rozmawiać z matką, ponieważ dopiero po dwudziestu minutach Betty poprosiła, aby zeszła na dół i spotkała się z nim w małym salonie. Strzepał już sobie łupież z

marynarki i wyglądał teraz poważnie.

— Dzisiaj rano otrzymałem wyniki badań — rzekł.

Nie widziała jego oczu, ponieważ słońce odbijało mu się w okularach.

— Tak? — zapytała Esther. Czuła się jakby zupełnie nieobecna.

Ściągnął na moment usta, a następnie powiedział:

— Przeprowadzamy specjalny test. Nazywamy go testem Aschheima–Zondeka. Brzmi trochę

jak nazwisko zwariowanego naukowca, prawda? Ale nie jest to tak przerażające,

jakby się mogło

zdawać. Wygląda to następująco: próbka twojego moczu wysłana zostaje do

laboratorium, gdzie

odrobinę z niej wstrzyknie się młodej samicy myszy.

— Myszy? — zapytała Esther. — Prawdziwej, żywej myszy? To brzmi okropnie. A czegoż, u

diabła, ma to niby dowieść?

— No więc — odparł doktor Jacobson — w określonych warunkach organizm kobiety, czyli

twój, produkuje niezwykle dużą ilość pewnych hormonów, które nazywamy

choriongonadotropinami. Kiedy tak się dzieje, część choriongonadotropin

przedostaje się

również do moczu. A więc wstrzykujemy myszy odrobinę twojego moczu, a po pięciu dniach

badamy jej jajniki. Jeżeli w twoim moczu znajdowały się choriongonadotropiny, to niedojrzałe

jajniki myszy rozwiną się, osiągając pełną dojrzałość.

Esther wytrzeszczyła na niego oczy.

— Ale w jaki sposób można zbadać jajniki myszy? Chyba jej nie krzywdzicie, prawda?

— Nie, nie krzywdzimy. — Doktor Jacobson zakaszłał. — Zabijamy ją, lecz nie zadajemy jej bólu.

Esther była przerażona.

— Zabijacie mysz tylko po to, aby zobaczyć, czy ma w jajnikach chroniorgo... jak im tam?

— Obawiam się, że nie tylko jedną mysz, ale sześć. To rutynowe postępowanie przeprowadzane w przypadku każdej kobiety. Mogę tylko powiedzieć, że takie badanie trwa

długo i trzeba poświęcić wiele zwierząt, ale jego zaletą jest to, że daje prawie stuprocentowo

pewny wynik.

— Ale czego ono dowodzi? Jaki jest jego cel? Co to znaczy, jeżeli organizm produkuje zbyt

wiele tych chroniorgo jak im tam? To nie jest nic poważnego, prawda? Nie jestem chora?

Po raz pierwszy doktor Jacobson uśmiechnął się.

— Nie, nie jesteś chora, ale sprawa jest poważna. Nie ma co do tego

najmniejszych

wątpliwości, jesteś w ciąży, Esther.

Esther odetchnęła głęboko.

— Wiedziałaś o tym, prawda? — zapytał doktor Jacobson.

— Domyślałam się — odrzekła, tłumiąc rozpacz. W pewnym sensie poczuła ulgę, że może

mówić o tym otwarcie. Po chwili spytała: — Czy powiedział pan już mamie?

Doktor Jacobson kiwnął głową.

— Uważałem, że dla twojego własnego dobra powinna o tym wiedzieć. To przecież ona

będzie musiała zaopiekować się tobą.

— Jak to przyjęła?

— No... muszę przyznać, że trochę zbladła. Myślę jednak, że zostaniesz mile zaskoczona.

Zobaczysz, jak bardzo matka będzie się o ciebie troszczyła. Wiesz, ona cię kocha i bardzo jej na

tobie zależy, nawet jeżeli nie zawsze to okazuje. — Przerwał na chwilę, a potem powiedział: —

Oczywiście, będziesz musiała zdecydować, co chcesz robić dalej.

— To znaczy: czy chcę urodzić dziecko, czy nie? Doktor Jacobson odchrząknął.

— Naturalnie istnieje prawo regulujące te sprawy. Ale szczerze mówiąc, twój ojciec jest

bogatym człowiekiem, więc udałoby się zorganizować cichą wizytę w prywatnej klinice. Mogę

tylko powiedzieć, że w takim przypadku im szybciej zaczniesz działać, tym lepiej.

Esther powoli potrząsnęła głową.

— Zastanawiałam się już nad aborcją.

— I co?

— Nie mam prawa. Możliwe, że ja zapoczątkowałam to życie, ale nie mam prawa go odbierać. Nikt nie ma prawa tego robić.

Doktor Jacobson zbliżył się i wziął ją za rękę.

— Do ciebie należy wybór, Esther. Ale przemyśl to jeszcze, zanim podejmiesz ostateczną

decyzję. Nie zapomnij pomyśleć również o sobie, o swoim własnym życiu i o swojej przyszłości.

Ty sama prawie jeszcze jesteś dzieckiem. Nie dorastaj wcześniej, niż musisz.

Widziałem zbyt

wielu młodych ludzi, którzy tak zrobili.

Esther powtórzyła ze łzami w oczach:

— Urodzę je, doktorze Jacobson. To jedyna decyzja, jaką mogę podjąć.

Podczas tej rozmowy Esther słyszała chrzęst opon samochodu hamującego na kamykach

przed domem, ale nie zwróciła na to specjalnej uwagi. Teraz jednak odezwało się delikatne

pukanie do drzwi pokoju. W progu stał Rodney. Włosy miał rozczochrane jak po szybkiej jeździe

samochodem, a policzki zaróżowione.

— Esther, mogę wejść? — zapytał.

Przeszedł przez pokój i wyciągnął do niej rękę.

— Twoja matka dzwoniła do mnie — powiedział ochrypłym z wrażenia głosem. Esther spojrzała na doktora Jacobsona. Doktor wzruszył ramionami i stwierdził:
— Każde dziecko potrzebuje ojca, Esther.
Esther wstała, a Rodney uściśnął ją mocno.
— Jezu, Esther! Nie wiem, czy jest mi przykro, czy jestem szczęśliwy.
Esther stała z opuszczonymi rękami i nie odzywała się, kiedy Rodney ją obejmował.
— Twoja matka powiedziała, że może zorganizować ślub w ciągu miesiąca — rzekł Rodney.
— Może nie tak wielkie i wspaniałe widowisko, jakiego zawsze pragnęliśmy, ale odpowiednio wytworne.
— Ślub? — zapytała Esther.
Rodney zrobił krok w tył i uśmiechnął się od ucha do ucha.
— No pewnie, że ślub. Najpierw w kościele episkopalnym, a następnie w synagodze przy Park Avenue.
— Ślub — powtórzyła odrętwiała Esther.
Przez ostatnie kilka dni rozważała dosłownie wszystko: aborcję, samobójstwo, ucieczkę, pójście do klasztoru. Wszystko, z wyjątkiem ślubu. A jednak Rodney, matka i doktor Jacobson mówili najzupełniej rozsądnie. Cóż innego mogłaby zrobić, niż wyjść za ojca swojego dziecka?
Ten mały kłębuszek drogocennych komórek dojrzewających w środku niej będzie musiał mieć nazwisko, dom i tatusia, który go pobuja na kolanie.
— A co z... Naomi — spytała Rodneya bezbarwnym tonem.
Rodney niespodziewanie zrobił się jowialny.
— Hej, proszę cię, Esther! Naomi? Umawiałem się z nią tylko dlatego, żeby mieć się z kim spotykać. Powiedziałem ci, że cię kocham, zgadza się? Wiesz przecież, że to prawda.
— Chyba tak. A co z „dwudziestoma czterema śmiechami”?
Rodney odwrócił się do doktora Jacobsona. Uśmiechał się zakłopotany.
— Nie wiedziałem, co ona przez to rozumiała, i nadal nie wiem, o co jej chodzi. Zmęczona, powolnym ruchem jak tancerz w ostatnim etapie maratonu, podniosła rękę i oplotła nimi Rodneya na wysokości klatki piersiowej. A więc to w taki sposób przeznaczenie rozstrzyga o naszym życiu, pomyślała. Gdzie się podziała wolność wyboru? Co się stało z miłością do mężczyzny, którego naprawdę chciałaś kochać? Dlaczego nie możesz wybrać, kiedy i czy w ogóle pragniesz go poślubić? Dobry Boże, tej nocy, kiedy poprosiłam Rodneya, aby poszedł ze mną do łóżka, uważałam, że jestem dorosła i niezależna. A przez cały czas jak ten skończony głupiec pakowałam się w zastawione sidła, które miały mnie pochwycić, mocno trzymać i już

nigdy nie wypuścić.

Mogła płakać, ale czuła się zbyt zmęczona, żeby to robić. Drzwi do pokoju otworzyły się trochę szerzej. Na zewnątrz stała matka, która patrzyła na Esther z nie skrywaną zazdrością spuchniętymi od płaczu oczami.

Doktor Jacobson odwrócił się, przyłożył palec do ust i powiedział:

— Sz–sz–sz!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cały letni sezon zmienił się oczywiście w jeden wielki chaos. Na początku sierpnia musieli wrócić do Nowego Jorku, gdzie panowały upały nie do zniesienia. Odwołali wszystkie kolacje, tańce i przyjęcia ogrodowe. Trzeba było znaleźć dostawców artykułów żywnościowych i zamówić kwiaty. Następnie należało ustalić terminy ślubu w kościele i w synagodze, zarezerwować salę balową w Ritzu i wynająć zespół swingowy. Trzeba było ogłosić zapowiedzi i w krótkim terminie zamówić w Matson Lines podróż poślubną na Hawaje. Wreszcie — rozesłać sześćset pięćdziesiąt zaproszeń, chociaż Bóg raczy wiedzieć, ilu spośród krewnych i znajomych da się namówić, aby zwlec się ze swoich jachtów i basenów, wrócić do miasta, a następnie wystroić się w przedpołudniowe garnitury i kostiumy w najgorętszym miesiącu lata.

Esther błagała matkę, aby zgodziła się na cichy ślub w obecności sędziego pokoju. Jednak

Maria Wygryzowska — Flecker nie pozwoliłaby, żeby o ślubie jej jedynej córki (niezależnie od

tego, jak bardzo ciężarnej) nie dowiedział się cały świat.

— Jeśli weźmiesz cichy ślub, wszyscy będą pewni, że spodziewasz się dziecka. Jak mogłabym

żyć z tą świadomością?

Natychmiast przywieziono samolotem z Chicago do Nowego Jorku Petrę Gordon, projektantkę mody, która miała zaprojektować suknię ślubną. Zdecydowała się na model

Królowa Guinevre, czyli suknię z wysokim stanem i majestatycznym trenem z białego jedwabiu,

wyszywany drobny perełkami oraz na fryzurę w stylu średniowiecznym. Suknia miała więc

być nie tylko zachwycająco wytworna, ale miała także maskować brzuch, który nie był tak

płaski, jak należy.

Matka Esther z dnia na dzień żyła w stanie skrajnego napięcia spowodowanego histerycznym

strachem. Bała się, że dziennikarze z plotkarskich kolumn dowiedzą się o ciąży Esther. W

rzeczywistości wiadano już o tym prawie we wszystkich rubrykach towarzyskich.

Naomi

Lipschitz wypaplała tajemnicę Keatsowi Speedowi z „New York Sun” i Marty’emu Blackowi

oraz wszystkim, którzy byli tym zainteresowani. Jednak i bez tego każdy znający się na swojej

pracy kronikarz towarzyski doskonale zdawał sobie sprawę, że organizowanie w sierpniu

jakiegoś liczącego się na Manhattanie ślubu przeczyło po prostu logice towarzyskiej. Powody

mogły być tylko dwa: albo któreś z rodziców państwa młodych znajdowało się w końcowym

stadium choroby i było bliskie śmierci, albo panna i pan młody przyspieszyli noc poślubną, nie

używając przy tym „sprzętu”. Żaden jednak felietonista nie był na tyle niedyskretny, aby choć

napomknąć o odmiennym stanie Esther z tej prostej przyczyny, że wszyscy ją lubili. Poza tym nie

chcieli podcinać gałęzi na której siedzieli, przyczyniając się do odwołania tak wspaniałego

wesela w samym środku wakacji, kiedy niewiele się działo.

Ślub Esther zasługiwał na cztery stronice fotografii w „Life” oraz ciągnące się bez końca

kolumny uszczypliwych uwag w „New Yorkerze”.

W każdym razie kiedy na początku przyszłego roku pojawi się nowy dziedzic lub dziedziczka

Hamiltonów, dla każdego, kto potrafi zliczyć do dziesięciu, natychmiast stanie się oczywiste, że

ślub odbył się w sierpniu z konieczności, a nie z wyboru.

Kiedy wiadomość o ciąży Esther dotarła do uszu jej ojca, przez dziesięć minut wykrzykiwał

on głośno na temat nowoczesnej moralności. Potem uciszył się nagle i od tego czasu nigdy

więcej nie powiedział o moralności ani słowa. Długoterminowe korzyści finansowe, jakie

wynikały z faktu wejścia Esther do imperium Hamiltonów, były zbyt atrakcyjne, aby mógł się

długo gniewać. Natomiast po kilku dniach bardzo podniecony zaczął mówić o perspektywie

zostania dziadkiem.

— Ale nie chcę, aby brzdąc nazywał mnie „dziaduniem” — oświadczył.

Esther cierpiała na poranne mdłości jeszcze przez kolejne trzy tygodnie.

Większość czasu

spędzała, leżąc w sypialni, spocona i rozdrażniona. W zasadzie pogodziła się już z myślą, że ślub

z Rodneyem jest nieuchronny. Ostatecznie naprawdę go lubiła — powtarzała to ciągle swojemu

pamiętnikowi. Rodney był bogaty, przystojny, potrafił tańczyć jak nikt inny, a wszystkie

przyjaciółki będą jej zazdrościły jak szalone.

W każdym razie Sacha najwyraźniej zapomniał o niej, a ona ze swej strony niemal

całkowicie

zapomniała o nim. No, prawie że niemal. Machinalnie napisała jego imię w pamiętniku i ozdobiła

je kiściami winogron, następnie napisała: Au revoir, Bachus, a na zakończenie dorysowała szereg

pocałunków.

Dziesięć dni przed ślubem odwiedziła Esther Bow Frazier. Bow wyglądała jak zwykle ślicznie

i modnie. Ubrana była w jasnozieloną, letnią sukienkę z apreturowanej bawełny i kapelusz z

olbrzymim rondem, przewiązany jasnozieloną wstążką. Już w wieku czternastu lat Bow

otrzymała fundusze na stroje w wysokości pięciu tysięcy czterystu dolarów rocznie i zawsze była

jedną z najmodniej ubranych panien w towarzystwie.

— Jestem całkowicie wyczerpana — powiedziała Bow, gdy Oliver ją wprowadzał. —

Wczoraj wieczorem pojechaliśmy z Bruce'em potańczyć i dopiero o szóstej rano wróciliśmy do

domu. Oczywiście zapomniałam, że o wpół do jedenastej byłam umówiona z Mimi.

Esther zaprowadziła ją do wysokiego i przestronnego salonu, gdzie na podłodze stawiała sobie

pasjansa. Bow natychmiast podbiegła do ogromnego, złożonego lustra nad kominkiem, żeby

podziwiać swoje czarne, sięgające ramion włosy i starannie poprawić cynobrowe usta oraz

cienkie kreski brwi. Miała niezwykle jasną cerę, która była marzeniem każdego prasowego

fotografa, więc ostatnio Bow reklamowała mydło Woodbury'ego. Robiła to dla zabawy,

ponieważ w wieku dwudziestu jeden lat i tak miała odziedziczyć cztery miliony dolarów.

Esther była ubrana jedynie w zwariowaną szkarłatno — żółtą piżamę i rzemykowe sandały.

Rozłożyła się na poduszkach na jednej z kanap i westchnęła teatralnie.

— Mam nadzieję, że nie wzdychasz za utraconą młodością — rzekła Bow, zaciskając mocno

usta, aby rozprowdzić szminkę.

— To nie są żarty — odparła Esther. — Zrobiłabym wszystko, aby pójść gdzieś potańczyć.

— A dlaczego nie możesz?

— Lekarz zabrania.

Bow podeszła do niej, usiadła obok i wyjęła papierośnicę.

— Pozwolisz?

— Proszę bardzo. Nie możesz sprawić, abym czuła się jeszcze gorzej.

— Mój Boże — westchnęła Bow. — Mam nadzieję, że nigdy nie zajdę w ciążę.

Esther wzruszyła ramionami.

— Doktor Jacobson twierdzi, że to minie. Mówi, że niektóre kobiety znoszą ciążę bardzo źle,

a niektóre wcale nie mają mdłości.

— Wierz mi, Esther, nie mam zamiaru się o tym przekonywać.

— Masz ochotę na małego drinka? — zapytała Esther.
— Napiałabym się wytrawnego, czystego sherry z lodem. Przez prawie godzinę siedziały i gawędziły, popijając sherry. Bow zamówiła już kreację na wesele Esther, ale większość nowojorskiego towarzystwa — gości mojąszowego i niemojąszowego wyznania — ogarnęła straszliwa panika, że nie mają w co się ubrać. Ślub został zapowiedziany z tak niewielkim wyprzedzeniem, że mało kto zdążył wrócić do miasta na przymiarki.
— Wygląda na to, że młody Hamilton zrobił już wielką, towarzyską furorę — stwierdziła Bow, paląc papierosa. — A zauważ, że jeszcze się biedaczek nawet nie urodził!
— Myślisz, że to będzie on? — zapytała Esther.
— A Rodney nie chce chłopca?
— Nie jestem pewna, czego on chce — przyznała Esther.
— Ale chyba jest szczęśliwy?
— O, mój Boże, tak! Szaleje z radości. Mam go szturchać łokciem, kiedy mały Hamilton da znać o sobie.
— Słyszałam, że chodził z La Lipschitz — powiedziała Bow. — Cóż, są gusta i guściki. Ale jak ty się czujesz, moja droga? Jesteś szczęśliwa?
Esther zrobiła grymas.
— Szczęśliwa? Lepiej nie pytaj.
Bow rozprostowała swoją szeleszczącą spódnice.
— Przepraszam. To nie moja sprawa. Zresztą lepiej już pójdę. — Potem jednak dodała: — Ale zanim wyjdę, muszę zostawić ci adres tej grupy swingowej. Grali na jednym z moich przyjęć w czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia i byli znakomici. Nazywają się The Low-Down Dogs czy jakoś tak.
Wyjęła pióro z torebki i zapytała:
— Czy masz kawałek papieru?
— Powinno być coś w biurku — odrzekła Esther.
Bow podeszła do wygiętego na przedzie biurka w stylu Ludwika XV i otworzyła szufladę.
— Zobacz w którejś z bocznych szuflad — powiedziała Esther.
Bow otworzyła kilka z nich, a potem zawołała:
— O, znaczki! Synek naszego szofera zbiera znaczki! To taki przemily dzieciak. Czy mogłabym wziąć kilka?
Wyjęła plik kopert lotniczych z szuflady i trzymała je teraz w ręku.
Esther patrzyła na nie szeroko otwartymi oczami.
— Pokaż mi je — poprosiła. Poczowała, że jej ciałem wstrząsa zimny dreszcz, jakby ktoś gdzieś otworzył drzwi i wpuścił niespodziewanie strumień chłodnego powietrza.
Bow przyniosła jej przewiązane wstążką listy. Esther spojrzała na pierwszy z nich i zobaczyła,

że był adresowany do niej: „Miss Esther Flecker, Piąta Aleja, Nowy Jork, Etats–
Unis”, miał
francuski znaczek i stempel pocztowy z Reims, z datą 23 maja 1937.
Bow przyglądała się zdezorientowana, jak Esther zrywa wstążkę i przerzuca po
kolei listy. W
sumie było ich osiem, a ostatni miał datę 7 sierpnia, czyli został wysłany mniej
więcej tydzień
temu. Osiem! Osiem listów od Sachy, a ona nie zobaczyła żadnego z nich!
Rozrywała je jeden po drugim i szybko przebiegała wzrokiem po kartkach.
Moja najukochańsza, najdroższa Esther! Kiedy dostaniesz ten list, będę już z
powrotem w
Szampanii... Moja kochana Esther! Byłoby cudownie otrzymać od ciebie wiadomość...
Moja
droga Esther! Mam nadzieję, że twoje milczenie nie oznacza... Najdroższa Esther!
Rozumiem, że
na pewno jesteś zajęta planami na letni sezon, ale...
Podawała po kolei wszystkie listy Bow, która czytała je zaskoczona. Ostatni list
był krótki i
gorzki.
Epernay, le 3 aout*
Droga Esther!
Z bólem serca jestem zmuszony pogodzić się z tym, że twoje ciągłe milczenie
oznacza, iż nie
życzysz sobie otrzymywać ode mnie dalszych listów.
Moje serce i umysł byłyby spokojniejsze, gdybyś zechciała okazać tę odrobinę
dobrej woli i
napisała, że nie ma nadziei na to, abym kiedykolwiek cię jeszcze zobaczył. Ale
może w
dzisiejszych czasach człowiek nie ma już prawa oczekiwać należytą mu
życzliwości.
Chciałbym tylko dodać, że ucieszyłoby mnie najmniejsze słówko od ciebie,
niezależnie od tego,
czy byłoby to potwierdzenie, że nadal nosisz w sercu odrobinę uczucia dla mnie,
czy zwykły list
pożegnalny.
Proszę, okaż serce i przynajmniej pożegnaj się z człowiekiem, który zawsze
będzie cię kochał i
przechowywał o tobie najdroższe wspomnienia.
Twój Sacha
Esther siedziała wyprostowana na kanapie, łzy płynęły jej po policzkach i
spadały na pizamę.
— Och, Bow... O Boże! Bow, on przez cały czas mnie kochał! Kochał mnie, a ja o tym
nie
wiedziałam!
Bow usiadła obok niej, przytuliła ją mocno i próbowała uspokoić. Ale Esther
czuła jedynie
rozdzierający ból, ból po stracie jedynej mężczyzny, którego naprawdę pragnęła.
Cierpiała,
ponieważ poszła do łóżka z Rodneyem, nosiła teraz jego dziecko i wychodziła za
mąż za

niewłaściwego mężczyzną. Wiedziała już, że będzie nieszczęśliwa i to tylko z powodu ośmiu schowanych listów.

— Esther, naprawdę tak mi przykro — powiedziała Bow.

— Przykro! — wrzasnęła Esther. — Przykro! Jak komukolwiek może być przykro?

Odepchnęła Bow, ruszyła w stronę biurka i wyciągała stamtąd szufladę za szufladą,

wyrzucając kartki, buteleczki z atramentem i rozsypując spinacze do papieru. Nie było tam

więcej listów z Francji, ale w głębi jednej z górnych szuflad znalazła przedartą na pół swoją

widokówkę z Empire State Building z wiadomością na odwrocie: „Wciąż mnie inspirujesz.

Pozdrawiam, Esther”.

— Na litość boską, Esther! — zawołała Bow.

Ale Esther myślała już tylko o podstępym postępowaniu matki. Przebiegła przez salon i hol,

zostawiając za sobą szeroko otwarte dwie pary drzwi i krzyknęła:

— Mamo!

Doris nadbiegła od strony kuchni.

— Czy potrzebuje pani czegoś, panno Esther?

— Chcę widzieć moją matkę! — ryczała Esther. — Moją cholerną matkę, tę przeklętą ropuchę!

Z salonu wyszła Bow.

— Doris, jesteś dzięki Bogu! Nasza Esther jest bardzo zdenerwowana.

— Niech pani pójdzie ze mną do salonu, panno Esther, i usiądzie na chwilę — namawiała

łagodnie Doris. — Może zrobić pani tej dobrej herbatki miętowej?

— Tak, chodź, Esther — prosiła Bow.

Ale Esther wyrwała się im obu i zaczęła wspinać się po szerokich, marmurowych schodach.

— Mamo! — wrzasnęła jeszcze raz.

Matka ukazała się na szczycie schodów. Stała przy balustradzie, ubrana w obszerną,

powiewną popołudniową suknię z wytłoczonymi makami; włosy miała przykryte chustką. Była

bez makijażu, zaś w lewej dłoni trzymała kieliszek wódki.

— Esther? Co znaczą te krzyki? Właśnie odpoczywałam!

Esther tupiąc nogami, weszła na samą górę. Chwyliła mocno rękaw sukni matki i szarpała

nim gwałtownie we wszystkie strony.

— Auu! — zawołała matka, całkowicie zaskoczona. Upuściła kieliszek, który roztrzaskał się

na marmurowej podłodze.

— Ty ropucho! — Esther wściekała się, potrząsała matką i biła ją. — Ty złośliwa ropucho!

Zniszczyłaś mi życie! Rozumiesz to? Zniszczyłaś całe moje życie!

— Puść mnie! — krzyczała matka, usiłując się uwolnić. — Esther, puszczaj mnie!

— Puścić cię? Puścić? Zatłukę cię na śmierć, ropucho! Ty stara, gruba, próżna i szkaradna

ropucho!

— Esther! — wrzasnęła matka. Próbowwała uderzyć córkę w twarz, ale Esther szarpnęła

sukienkę matki i oderwała połowę rękawa.

— Ropucha! Ropucha!

— Doris! — zawołała matka. — Dzwon po doktora Jacobsona! Szybko! Bow, pomóż mi!

Ona

oszałała!

Esther wywijiała zwiniętą kopertą ostatniego listu Sachy.

— Nie oszałałam! — wrzeszczała, a kropelki śliny tryskały jej z ust. — To ty, ty oszałałaś!

Chowałaś moje listy! Przez ciebie on myślał, że go nie Kocham! Zrobiłaś to celowo! A teraz mam

wziąć ślub z Rodneyem, a ja nienawidzę Rodneya. Nienawidzę go, ale najbardziej ze wszystkich

ludzi na świecie nienawidzę ciebie!

— Aaaaaaaa! — ryknęła matka.

Był to potężny, pełen wściekłości krzyk operowy. Wyrwała Esther swoją suknię i uderzyła

córkę kilka razy w twarz.

Obcasy Esther poślizgnęły się na marmurowej podłodze, wydając przejmujący dźwięk. Bow,

która stała niżej, widziała, co się zaraz stanie, ale nic nie mogła na to

poradzić. Zawołała tylko:

— Esther, uważaj! — lecz było już za późno.

Esther zrobiła krok w tył, żeby złapać równowagę, a wtedy jej stopa znalazła się na samej

krawędzi najwyższego stopnia. Nawet nie krzyczała. Po prostu runęła w tył i

toczyła się

bezwładnie przez całą długość schodów. Zatrzymała się dopiero w holu, głośno

uderzając głową

o podłogę.

Matka stała na półpiętrze, gapiąc się z przerażeniem w oczach i zaciśniętymi mocno pięściami,

zdrętwiała pod wpływem wstrząsu. Bow zrzuciła sandały i zbiegła boso po

schodach. Uklękła

przy Esther, delikatnie podniosła jej głowę i wzięła ją w swoje ramiona.

— Esther, Kochanie! Esther!

Powieki Esther drżały przez moment, a potem otworzyły się.

— Bow — wyszeptała. — Pękła mi głowa.

— Zaczekaj, Esther, Kochanie — powiedziała Bow. — Doris zadzwoniła już po lekarza.

— Pogotowie! — wrzasnęła matka Esther, odzyskując mowę. — Doris! Wezwij pogotowie!

Bow kołysała Esther w ramionach. Matka schodziła po schodach powoli i sztywno jak

automat. W tym czasie na nogawkach szkarłatno — żółtej pizamy Esther pojawiły się plamy

krwi.

Początkowo myślała, że to Boże Narodzenie i ktoś zapalił lampki na drugim końcu

pokoju.

Jasnopomarańczowe płomyki migotały i tańczyły, a ona uśmiechała się do nich, ponieważ

przypominały jej dzieciństwo.

Kiedy zamazany obraz przed oczami zrobił się wyraźny, zdała sobie sprawę, że to nie były

żadne świąteczne ogniki, ale światło zachodzącego słońca, które odbijało się w kropelkach

sierpniowego deszczu.

Pokój był urządzony skromnie i surowo, chociaż na stole pod przeciwległą ścianą stał wielki

wazon w stylu art deco z białymi irysami, a przy drzwiach wisiał obraz

przedstawiający

niebieskie góry. Esther nie miała pojęcia, gdzie się znajduje ani co się z nią

stało. Czując się

dziwnie, kręciło jej się w głowie i bolał ją prawy nadgarstek. Kiedy podniosła

ramię, stwierdziła,

że nadgarstek ma zabandażowany. Wyżej przymocowano gumową rurkę prowadzącą do wypełnionej przezroczystym płynem szklanej butelki, która wisiała nad łóżkiem.

Musiałam zrobić sobie krzywdę, pomyślała. Chyba nie próbowałam się zabić? Nie przypominam sobie, abym usiłowała popełnić samobójstwo.

Nie upłynęło jednak wiele czasu, kiedy drzwi otworzyły się i do pokoju wsunął głowę młody

mężczyzna z czarną brodą i w okularach. Zamrugał niepewnie oczami, a następnie uśmiechnął

się promiennie.

— Patrzcie, patrzcie! Coś takiego! Nareszcie się obudziłaś!

Esther kiwnęła głową. Nie była zupełnie pewna, czy potrafi jeszcze mówić. Młody mężczyzna

podszedł do niej i delikatnie położył rękę na jej czole. Potem ujął jej

nadgarstek i zmierzył puls.

— Jak długo nie śpisz? — zapytał.

— Nie wiem... dopiero kilka minut. Myślałam, że to Boże Narodzenie.

Młody mężczyzna uśmiechnął się.

— Nie było cię z nami przez jakiś czas, ale nie aż tak długo.

— Nie było mnie? Co pan przez to rozumie?

— Straciłaś przytomność.

— Chyba nie zemdlałam znowu? To już drugi raz! Młody mężczyzna wziął tabliczkę, która

wisiała w nogach łóżka Esther, i zanotował coś szybko, sprawdzając, czy dokładnie zapisał

godzinę.

— Nie-e-e — powiedział. — Nie zemdlałaś, chociaż upadłaś dosyć niebezpiecznie, a dokładnie: uderzyłaś się.

Esther podniosła zabandażowaną rękę.

— Próbowałam się może zabić albo coś w tym rodzaju?

— Nie, nie! Samobójstwo? Nic podobnego! Z tego, co o tobie słyszałem, wynika, że absolutnie nie jesteś typem ze skłonnościami do autodestrukcji.

Do pokoju weszła pielęgniarka.

— Doktor Lowenstein? Doktor Steinberg spotka się z panem o szóstej.

— Dziękuję, siostró. Aha, siostró, proszę zadzwonić do państwa Fleckerów i powiedzieć, że panna Flecker odzyskała przytomność. Proszę też zadzwonić do hotelu Plaža i przekazać tę samą wiadomość do apartamentu 1101.

— Dobrze, doktorze.

Esther spróbowała usiąść, ale poczuła ból w zeszywniałej szyi.

— Upadłam? Nie pamiętam żadnego upadku.

— To się zdarzyło w twoim domu — wyjaśnił doktor Lowenstein. — Straciłaś równowagę i spadłaś ze schodów, z samej góry na dół. Uderzyłaś się dosyć mocno w tył głowy. Miałaś

szczęście, że nie pękła ci czaszka. Dobrze się stało, że wcześniej piłaś sherry; dzięki temu twoje

ciało było bardzo rozluźnione. W przeciwnym razie mogłaś się zabić.

Esther potrząsnęła głową.

— Nic z tego nie pamiętam — wyznała. — Gdzie ja teraz jestem? Czy moja matka przyjdzie mnie zobaczyć?

— Jesteś w szpitalu Bnai Brith przy Park Avenue i Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy. Nazywam

się David Lowenstein. Kazałem zatelefonować do twojej matki, która już tu jedzie.

Esther położyła się z powrotem na poduszce i spojrzała w sufit. Potem nagle raz jeszcze spróbowała usiąść.

— Upadłam? — zapytała. — Ale ja jestem w ciąży! Czy wszystko w porządku? Czy dziecku nic się nie stało?

Doktor Lowenstein uścisnął jej rękę.

— Połóż się, uspokój. Wszystko jest w porządku. Tak jak mówiłem, masz szczęście, że przeżyłaś.

— Ale czy dziecku nic nie jest?

Doktor David odetchnął głęboko.

— Naprawdę wolałbym o tym na razie nie mówić. Poczekajmy, aż będziesz mogła jaśniej myśleć.

Esther jednak nalegała.

— Proszę, chcę tylko wiedzieć, czy z dzieckiem jest wszystko w porządku.

David wahał się przez dłuższą chwilę, a potem powiedział:

— Obawiam się, że niezupełnie.

— Niezupełnie? Co to ma znaczyć: niezupełnie?

— No cóż... przykro mi, Esther. Nie ma sensu owijać dłużej w bawełnę. Prawda jest taka, że straciłaś dziecko.

Esther chciała coś powiedzieć, ale zdołała tylko bezdźwięcznie poruszyć ustami.

Położyła

powoli głowę na poduszce, oczy stopniowo zaszły jej mgłą. Moje dziecko, pomyślała. Obiecałam

je urodzić. Obiecałam, że będę się nim opiekować. Moje biedne, maleńkie dzieciątko.

Doktor David chrząknął.

— Nie było żadnych wewnętrznych urazów. Będziesz mogła mieć jeszcze dzieci.

Tylko to

jedno... no cóż... naprawdę nic nie mogliśmy zrobić.

— Moje dzieciątko — szepnęła Esther.

Świąteczne płomyki zamigotały na ścianie tak jak wtedy, gdy była mała. Teraz jednak, wraz

ze stratą dziecka, czuła, jakby straciła też część własnego dzieciństwa.

Nigdy nie zaśpiewasz dzieciennych wierszyków, moje maleństwo. Nigdy się nie zaśmiejesz ani

nie zapłaczesz. Jesteś teraz gdzieś tam w ciemnościach śmierci, beze mnie, zupełnie samotna, ty

moja mata, biedna duszyczko, a ja nawet ciebie nie poznałam. Ale pamiętaj, maleństwo, że

kochałam cię i w moim sercu zawsze będzie mały kącik przeznaczony tylko dla ciebie.

Matka weszła do pokoju półtorej godziny później. Ubrana była w imponujący czarno

— biały

kostium Chanel i czarno-biały kapelusz w kształcie doniczki. Podeszła do łóżka Esther,

zatrzymała się jednak w odległości kilku stóp od niego. Jej twarz była bez wyrazu.

— Cześć, Esther — powiedziała. Mówiła z mocniejszym niż zwykle polskim akcentem, jak

zawsze, kiedy była wzruszona.

— Cześć, mamo.

— Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. Był straszny ruch. — Matka oddychała głęboko i

drżał jej głos. — Modliłam się za ciebie, Esther. Codziennie. Jedyne, o co

potrafiłam prosić, to

żeby moją następną modlitwą mogła być bentsh gomel. Bentsh gomel to modlitwa, w której dziękuje się Bogu za ocalenie z wypadku lub

wyleczenie z

ciężkiej choroby.

Esther powiedziała miękkiem głosem: — Wygląda na to, że twoje modlitwy zostały wysłuchane, przynajmniej w

większości.

Dziękuję.

Matka miała łzy w oczach.

— Esther... nie wiem, jak mam teraz z tobą rozmawiać, co mam mówić. Powiedzieli ci już o

dziecku?

— Tak, mamusiu. Powiedzieli mi o dziecku. Matka podeszła bliżej łóżka, potem uklękła na podłodze i ujęła rękę Esther w swoje dłonie.

Przycisnęła ją do czoła. Przez dłuższy czas szlochała żałośnie i rozdzierająco, a Esther głaskała ją

po ramionach i szeptała:

— Cicho, mamusiu. Cicho. Już po wszystkim. Nie możemy cofnąć czasu.
Matka podniosła zalaną łzami twarz.
— Ale niedużo brakowało, żebym też ciebie straciła. Doktor mówił, że bardzo łatwo mogłaś się zabić. Przez cały ten czas leżałaś tutaj jak nieżywa, a ojciec i ja siedzieliśmy, obserwując cię.
Rodney także. I wszyscy modliliśmy się za ciebie.
— Cicho, mamusiu. Już po wszystkim. — Teraz płakała również Esther.
— Byłam taka samolubna — zadrżała matka. — Taka samolubna.
— Och, daj spokój, mamó. Próbowalaś się o mnie troszczyć. Nie obwiniaj siebie. Już jest po wszystkim.
Matka pociągnęła nosem i podniosła się. Następnie usiadła na krawędzi łóżka i wyciągnęła chusteczkę.
— Myślałam, że to już nigdy się nie skończy. Myślałam, że nigdy się nie obudzisz!
Esther zmarszczyła brwi.
— Jak długo byłam nieprzytomna?
— Lekarze ci nie mówili? — zapytała matka.
Esther potrząsnęła głową.
— Doktor Lowenstein powiedział tylko, że przez jakiś czas.
— Esther — rzekła matka — przez osiem dni.
Esther wytrzeszczyła oczy.
— Osiem dni? Chyba nie mówisz poważnie! Nie mogłam być nieprzytomna przez osiem dni!
Matka wzniosła oczy do nieba.
— Przysięgam. Pojutrze miał się odbyć twój ślub!
Esther nie mogła uwierzyć w słowa matki. A jednak musiała. Matce nie przyszedłby do głowy tak okrutny żart.
— Chcesz powiedzieć, że leżałam tutaj nieprzytomna przez ponad tydzień?
— Osiem dni, kochanie. Na początku nie dawali ci więcej niż pięćdziesiąt procent szans.
Esther położyła głowę na poduszce. Nie wiedziała, co powiedzieć. Miała wrażenie, jakby wszystko, co się jej przydarzyło, było jakimś koszmarnym snem. Wciąż nie była pewna, czy już się rzeczywiście obudziła. Upadek ze schodów i strata dziecka także mogły być snem. Jak w ogóle można stwierdzić na pewno, że coś jest prawdziwe, a coś jest tylko snem?
Pamiętała Bow,
która stała przed wiszącym nad kominkiem lustrem i poprawiała ołówkiem brwi.
Myślała o listach Sachy i kolorowych znaczkach. Przypomniła sobie, jak runęła w tył i toczyła się bezwładnie przez całą długość schodów, dopóki nie zatrzymała się na samym dole. Leżała nieprzytomna przez osiem dni, a teraz obudziła się, by stwierdzić, że cały jej świat przewrócony został do góry nogami.

— A co ze ślubem? — zapytała.

Matka potrząsnęła głową.

— Nie będzie żadnego ślubu, Esther. Wszystko zostało odwołane.

— A Rodney?

— To on prosił, aby wszystko odwołać — powiedziała matka. — Tylko żebyś nie miała

wątpliwości, Rodney cię kocha. Kocha cię ponad wszystko. Ale twoja przyjaciółka Bow poszła

do niego po wypadku i opowiedziała, co się stało. Powiedziała mu także o Sachy i o jego listach.

Rodney stwierdził, że teraz, kiedy straciłaś dziecko, nie istnieje żaden powód, dla którego

miałabyś wyjść za niego, chociaż jemu bardzo na tobie zależy. Zrobił jednak dla ciebie dużo

więcej. Po rozmowie z Bow wysłał telegram do Francji. To był jego własny pomysł, nikt go o to

nie prosił. Powiedział mi też, że kiedy się obudzisz, mam ci dać ten list,

jeszcze zanim cokolwiek

się stanie.

Matka otworzyła czarną, lakierowaną torebkę i wyjęła z niej kopertę. Esther rozdierała ją

trzęsącymi się rękami. Czytała list ze łzami w oczach.

Moja kochana Esther!

Skoro możesz przeczytać ten list, to znaczy, że odzyskałaś już przytomność (hura!). Z całego

serca życzę ci więc szybkiego powrotu do zdrowia! Wiesz już zapewne o dziecku, a także o tym, że

postanowiłem nie żenić się z tobą dla przyzwoitości.

Kocham cię, Esther, ale — niech to diabli — wiem przecież, że moje uczucie nie jest

odwzajemnione i oszukiwałbym siebie, gdybym uważał, że tak jest. Będzie mi ciebie straszliwie

brakowało i nigdy o tobie nie zapomnę, ale z jakichś powodów ty i ja nie jesteśmy sobie

przeznaczeni. Może po prostu Barany i Ryby nie pasują do siebie.

Mam nadzieję, że ta decyzja przyniesie ci szczęście, na które zasługujesz, najdroższa. Nie

mogę się już doczekać, aby zobaczyć cię całą i zdrową.

Twój kochający Rodney

Esther opuściła list, ręka wciąż jej się trzęsła.

— Co on zrobił, mamó? Powiedziałaś, że wysłał telegram do Francji.

— Zgadza się, telegram do Francji i to w bardzo ważnej sprawie.

Przypatrywały się sobie bardzo długo. Esther patrzyła pytająco, natomiast matka — ze

wzruszeniem, szukając w oczach córki aprobaty i nadziei na przebaczenie.

Pocałowała Esther,

potem wstała i podeszła do drzwi. Otworzyła je i odsunęła się, pozostawiając drzwi otwarte.

Esther nie próbowała nawet wyobrazić sobie, co też Rodney mógł zrobić. Kiedy jednak

usłyszała odgłos kroków za drzwiami, poczuła nagłą, zapierającą dech w piersiach falę pewności.

Wiedziała już, że to, co nieprawdopodobne, stało się rzeczywistością.

Drzwi otworzyły się trochę szerzej i do pokoju wszedł Sacha. Wysoki, w szarym garniturze, z

tą samą przystojną twarzą o ostrych rysach. Uśmiechał się do niej tak, jakby rozstali się nie dalej niż pięć minut temu.

— Cześć, Esther — przywitał ją.

Chciała wymówić jego imię, nie mogła jednak. Zabrakło jej powietrza w płucach, a gardło

odmawiało posłuszeństwa. Wyciągnęła więc do niego ramiona, on zaś przeszedł przez pokój,

usiadł przy niej i przytulił ją bardzo mocno. Jej łzy toczyły się powoli i spadały mu na klapę

marynarki, gdzie lśniły niczym drogocenne klejnoty.

Matka zapłakana odwróciła się do okna i wyjęła po raz drugi chusteczkę.

Pożegnanie odbyło się w drugi wtorek września na Normandii, w kabinie Esther.

Esther uparła

się, aby płynąć właśnie Normandią, chyba dlatego, że uważała to za dobrą wróżbę.

Poza tym

Normandia była statkiem francuskim, a Esther uwielbiała wszystko, co francuskie.

Sacha nie

protestował, ponieważ znacznie bardziej odpowiadała mu ich karta win.

Kiedy Doris rozpakowywała suknie wieczorowe Esther, w otwartych drzwiach zjawił się

Rodney. W dłoni trzymał małą, zapakowaną jak prezent paczuszkę. Zapukał do drzwi i zawołał:

— Mogę wejść?

— Rodney! — Esther rozpromieniła się. — Bałam się, że nie zdążysz.

Wszedł do kabiny, wziął ją w ramiona i pocałował.

— Chyba nawet przez moment nie pomyślałaś, że mógłbym nie przyjść, aby pożegnać się z

moją od zawsze najmilszą dziewczyną?

Rozejrzał się po kabinie, która była urządzona na niebiesko w stylu art deco i wypełniona

eleganckimi, szaroniebieskimi meblami.

— Całkiem nieźle tu u ciebie. Czy masz barek?

— Jasne! Napijesz się czegoś?

— Małego drinka, tak żebym mógł wznieść toast i powiedzieć: Uchayim. Czy Sacha jest

gdzie tutaj?

— Myślę, że ustala z matką sprawy dotyczące ślubu. Paryż wiosną, czyż to nie cudowne?

— Chyba lepsze niż Manhattan w sierpniu — stwierdził Rodney bez cienia złośliwości.

Otworzyła oszklony barek. Rodney podszedł tam i nalał dzinu dla siebie i Esther.

Obserwowała, jak to robił. Kiedy uniósł głowę i spojrzał na nią, był pewien, że dostrzeża w jej

uśmiechu przywiązanie i wdzięczność, które do niego czuła. Podniósł szklanekę.

— Za to, co było nam przeznaczone, oraz za to, co nie było.
— Nie wypiję takiego toastu — powiedziała Esther. — Piję za prawdziwą przyjaźń.
Trącili się kieliszkami.
— Uchayim — rzekł Rodney. — A więc za prawdziwą przyjaźń.
Usiedli na kanapie. Doris zawołała z sypialni:
— Czy będzie się pani przebierała na dzisiejszą kolację, panno Esther?
— Oczywiście! — odrzyknęła Esther.
— Myślałem, że nie jest przyjęte przebierać się na kolację w pierwszy wieczór po wypłynięciu — zauważył Rodney.
— Och, bzdury — odparła Esther. — Zresztą, ja zawsze przebieram się na kolację.
— No tak, ty zawsze robiłaś wszystko w wielkim stylu — stwierdził Rodney.
Esther położyła mu rękę na ramieniu.
— Przyjedziesz na ślub? Obiecujesz?
— Spróbuj mnie tylko powstrzymać. Przyjadę tam na pewno i pierwszy rzucę garść ryżu.
Uśmiechnął się do niej, a potem schylił się i pocałował ją w policzek.
— Mogliśmy być razem, prawda? Tak niewiele brakowało.
— Wiem o tym — powiedziała Esther łagodnie. — Ale cieszę się, że nie jesteśmy.
Wolę mieć
w tobie przyjaciela. To znacznie lepsze niż stracić cię jako męża. Twoje
postępowanie, mam na
myśli telegram do Sachy, było dowodem prawdziwej miłości.
— Wiesz, ten facet cię kocha — przyznał Rodney. — Może nie tak bardzo jak ja.
Nie potrafię
sobie wyobrazić, aby ktokolwiek mógł cię kochać równie mocno jak ja. Kocha cię
jednak na
pewno. Przynajmniej wiem, że będziesz pod dobrą opieką.
Nie zostało im już wiele do powiedzenia. Rozmawiali o wspólnych znajomych oraz o
Paryżu.
W końcu Rodney dopił duszkiem drinka, wziął Esther za rękę i powiedział:
— Długie pożegnania nigdy nie były w moim stylu. Lepiej już pójdę.
— Chciałabym tylko powiedzieć jedną rzecz, zanim wyjdiesz — rzekła Esther.
Objęła go i
przytuliła bardzo mocno. — Rodney, jest mi bardzo przykro z powodu dziecka.
Naprawdę,
ogromnie mi przykro.
Rodney pocałował ją i pogłaskał po włosach.
— Do widzenia, Esther. Zaczyna się nowe życie, zapomnij o przeszłości. Bądź
szczęśliwa.
— Mazel tov, Rodney — szepnęła Esther.
— Przyniosłem dla ciebie prezent — powiedział.
— Nie trzeba. Wystarczy, że przyszedłeś.
— Nie... należy ci się, choćby za to, że jesteś piękna.
Wręczył jej małą paczuszkę. Długimi, pomalowanymi na czerwono paznokciami
rozerwała
złotą folię. Wewnątrz znajdowało się płaskie, granatowe pudełko z wytłoczonym na
wierzchu
napiem: „Tiffany & Co”.
— O nie, jeśli to biżuteria, zabiję cię! — zaprotestowała.
Uchyliła wieczko i ujrzała naszyjnik w kształcie rozpryskującej się gwiazdy z

brylantów,
szafirów i rubinów. Największy, umieszczony w środku wisiorka brylant miał z pewnością ponad siedem karatów; a cały naszyjnik był wart około sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

— Rodney — westchnęła, wyjmując naszyjnik z pudełka. — Nie możesz mi go dać. Nie przyjmę tego.

— To miał być jeden z twoich ślubnych prezentów — wyjaśnił Rodney. — Sam go wybrałem.

Skoro więc kupiłem go dla ciebie, uważam, że powinnaś go mieć. Niech to będzie swego rodzaju pamiątka, zgoda?

— Nie wiem, co powiedzieć! Rodney uśmiechnął się.

— W takich sytuacjach chyba najlepiej jest nic nie mówić. Powiedz tylko: „pa!”

Matka i ojciec żegnali się z nią na szczycie pomostu, podczas gdy francuski oficer ponaglał ich do wyjścia.

— Madame, monsieur... bardzo proszę. Muszą państwo opuścić teraz pokład... opóźniają państwo cały rejs.

Ojciec Esther postukał w epolet oficera i powiedział:

— Niech się pan na moment uciszy, przyjacielu, bo inaczej będę zmuszony wyprawić cały ten statek w jeden z najnieprzyjemniejszych rejsów, w jakich kiedykolwiek brał pan udział.

Matka uścisnęła Esther kurczowo.

— Będiesz o sobie dbała, obiecujesz? I pozdrów ode mnie Jeannette. Jest taka kochana, że

pozwoliła ci się u siebie zatrzymać. I błagam, Esther, pamiętaj: ślub jest planowany na kwiecień.

Poczekaj na noc poślubną, jeśli możesz... a jeżeli nie możesz... no cóż, uważaj tym razem.

Ojciec stał z cygarem w zębach i przymrużonymi z powodu wiatru oczami.

— Moi ludzie w Paryżu dopilnują wszystkiego, Esther — rzekł. — Szczególnie Dan Maskowitz. Jest księciem. Zarezerwuje synagogę, zorganizuje przyjęcie, dopilnuje spraw

związanych z podróżami. Powiedziałem Danowi, że wszystko ma być przygotowane idealnie. W

stu, w tysiącu, w dziesięciu tysiącach procent i w każdym calu idealnie! I nie licz się z kosztami!

Widziałaś, co pisali w „Timesie” dzisiaj rano? „Paryski ślub Esther Flecker ma kosztować

sześćset tysięcy”. Do diabła, cóż za zuchwalstwo z ich strony! Kiedy przetransportuję promem

połowę rodziny Fleckerów do Francji i z powrotem oraz przewiozę połowę rodziny Wygryzwańskich z Warszawy do Paryża i z powrotem, nakarmię całe to przeklęte towarzystwo i

dam im kąć do spania, to będę miał szczęście, jeśli zmieszczę się w siedmiuset pięćdziesięciu tysiącach!

Esther pocałowała go.

— Myślisz, że jestem tego warta?

— Oczywiście, że tak — ojciec roześmiał się. — Cóż to za pytanie?

— Retoryczne — odparła Esther i też się roześmiała. Sacha podszedł bliżej i wziął Esther za rękę.

— Państwo Flecker, zanim odejdziecie, chciałbym coś obiecać. Esther zawsze będzie przy mnie bezpieczna i mam nadzieję, że będzie również zawsze szczęśliwa. Wiem, że początkowo

nie byłem przez państwa akceptowany, ale proszę mi wierzyć, to nie grzech produkować

szampana, zwłaszcza we Francji! Nie jest także grzechem zakochać się w Esther.

Matka zechciała łaskawie przyjąć jego pocałunki, ojciec — uściski dłoni.

— Bardzo wytrzymały z ciebie gość, muszę to przyznać — stwierdził ojciec Esther.

Następnie ostatni odprowadzający zostali poproszeni o zejście z pomostu, a po Battery

rozniósł się ponury, niski dźwięk gwizdka. Setki kolorowych serpentyn rzucono na przystań.

Normandia, ciągnięta przez holowniki, wyruszyła z Nowego Jorku i mijając Liberty Island,

kierowała się na otwarty Atlantyk.

Esther długo kiwała ręką rodzicom, którzy robili się coraz mniejsi, aż w końcu złączyli się z

tłumem i zniknęli jej z oczu.

Sacha stał obok niej, osłaniając oczy przed promieniami słońca, które odbijały się od wież

Manhattanu, Empire State Building, Chrysler Building i Woolworth Building.

Słychać było

krzyki mew, które szybowały wokół rufy statku w poszukiwaniu pożywienia.

— Napijesz się czegoś? — zapytał Sacha. — Mam dla ciebie niespodziankę w mojej kabinie.

L'Etoile de Champagne, twój ulubiony szampan.

Esther nadal spoglądała w stronę przystani.

— Mam jakieś okropne przeczucie, że już nigdy ich nie zobaczę — wyznała.

— Masz na myśli swoich rodziców? Ależ oczywiście, że ich jeszcze zobaczysz!

Przyjadą

przecież w kwietniu na nasz ślub do Paryża. Słuchaj, jestem pewien, że przyjadą.

W końcu twój

ojciec płaci za wesele, chyba nie sądzisz, że przepuści taką okazję?

— Nie wiem — odrzekła Esther. — Po prostu takie mam przeczucie.

Sacha objął ją ramieniem i mocno przytulił.

— To smutek z powodu rozstania z rodziną i ojczyzną. Każdy to odczuwa.

Esther otarła oczy.

— Nigdy nie przypuszczałam, że będzie mi przykro rozstawać się z moją matką.

— Twoją matką? Ależ ona jest wspaniała! Operowy Dżyngis-cha!

Esther roześmiała się i wzięła Sachę pod ramię. Poszli w stronę jego kabiny, aby razem

otworzyć Gwiazdę Szampanii.

Kiedy nadeszła depesza od Rodneya, Sacha objeżdżał właśnie winnice, gdzie nadzorował

spryskiwanie, okopywanie i przycinanie winorośli, ostatnie już przed październikowym winobranieniem. Monsieur Medot przywiózł depezę na winnicę swoim rozklekotanym Citroënem.

Sacha przechowywał telegram starannie złożony w swoim portfelu i kiedy pierwszego

wieczoru na Normandii siedział z Esther w sali restauracyjnej przy kolacji, wyjął go i pokazał jej.

Telegram brzmiał:

ESTHER ciężko ranna STOP Matka chowała pańskie listy STOP Ona wciąż pana kocha STOP

Jeśli pan nadal ją kocha, proszę przy płynąć pierwszym statkiem STOP Pozdrawiam, Hamilton.

— W pierwszej chwili zastanawiałem się, czy nie jest to jakiś żart — powiedział cicho Sacha.

— Potem jednak zatelefonowałem do mojego biura w Paryżu i dowiedziałem się, że Rodney

próbował się tam do mnie dodzwonić. Niestety, bezskutecznie. Czytałem oczywiście w gazetach,

że macie się pobrać. Pogodziłem się chyba z tym, że zapomniałaś już o mnie.

Nawet przez myśl

mi nie przeszło to, co zdarzyło się naprawdę.

— Wysłałam ci sprośną widokówkę — przyznała się Esther.

— Sprośną widokówkę? Jest w Ameryce coś takiego?

— Właściwie nie tyle była sprośna, co dwuznaczna. Tak przynajmniej uważała moja koleżanka. Widokówka z Empire State Building.

Sacha wybuchnął głośnym śmiechem.

— Mam nadzieję, że się nie rozczarujesz!

Dotknęła jego dłoni. Wodziła po niej opuszkami palców.

— Nie rozczaruję się, wiem to na pewno.

— Jesteś bardzo młoda, Esther.

— Wszyscy mi to powtarzają. Ale ja cię kocham, Sacha. Cóż to ma za znaczenie, że jestem

młoda, skoro mam ciebie, który się mną zaopiekujesz?

Sacha pił przezroczystą, zieloną zupę żółwiową aux quenelles.

— O ile cię znam, moja droga, to ty wkrótce będziesz opiekowała się mną.

— Czy podczas tego rejsu będziemy udawać kogoś innego? — zapytała Esther. —

Moglibyśmy być małżeństwem sztukmistrzów, połykaczy ognia. Sacha i Esther

Gorącouści, les

Cracheurs de Feu.

Sacha potrząsnął głową.

— Obawiam się, że te czasy już minęły. Nie rozejrzałaś się dookoła? Czy nie widzisz, że

wszyscy ci się przyglądają? Oni wiedzą, kim jesteś, moja kochana. Najślynniejszą gwiazdą

nowojorskiego towarzystwa. Ani przez chwilę nie uwierzą, że jesteś francuskim sztukmistrzem.

Esther roześmiała się. Tego wieczoru wyglądała czarująco i czuła się tak samo.

Włosy miała

upięte z tyłu lśniącymi, brylantowymi szpilkami, a jej oczy rzucały ogień. Była

ubrana w
satynową suknię wieczorową bez ramiączek. Suknia miała barwę ciemnej, zmysłowej
czerwieni i
wyglądała tak, jakby została ufarbowana w kadzi z mocno dojrzałymi wiśniami.
Każdy, kto
spojrzał na Esther — a patrzyli wszyscy — natychmiast odgadywał, że jest
zakochana do
szaleństwa.
Drogi, najdroższy pamiętniku! Ja zupełnie zwariowałam na punkcie Sachy! Jest
taki, jakim go
zapamiętałam, a nawet jeszcze wspanialszy! Jeszcze bardziej przystojny, bardziej
łagodny,
bardziej czuły i jeszcze silniejszy! I pomyśleć, że naprawdę mamy się pobrać!
Zupełnie nie wiem,
jak zdołam wytrzymać aż do kwietnia, do naszej nocy poślubnej! Tak bardzo już go
pragnę! Ale
on przyrzekł, że dopiero wtedy, kiedy przeniesie mnie przez próg Château David,
będę naprawdę
należała do niego. Zostanę też wzorową gospodynią.
Po kolacji poszli na spacer po pokładzie. Noc była pochmurna, ale od morza wiał
dosyć ciepły
wiatr. Doris spacerowała z nimi. Obiecała matce Esther, że zostanie przyzwoitką
jej córki przez
całą drogę do Cherbourga, dopóki Esther nie będzie bezpieczna pod opieką państwa
Delahaye'ów.
Esther nie protestowała. Sacha był wart czekania. Czowała się z nim tak bardzo
szczęśliwa, że
nie potrafiła tego wyrazić. To wspaniałe móc spędzić Boże Narodzenie w Paryżu!
Sacha obiecał,
że jeszcze przed ślubem zabierze ją (i Doris) na Lazurowe Wybrzeże, a potem do
Tangeru, gdzie
zatrzymają się u kilku przyjaciół.
— Wszyscy oni są homoseksualistami — roześmiał się. — Ale będą cię traktować jak
księżniczkę.
Esther, z głową owiniętą szalem, przechadzała się z Sachą pod rękę po pokładzie.
— Kiedy po raz pierwszy zrozumiałeś, że mnie kochasz? — zapytała.
— To była miłość od pierwszego wejrzenia, nie wiedziałeś o tym?
— Nie, to nieprawda. Gdyby to była miłość od pierwszego wejrzenia, nie dałbyś
się oszukać
mojej matce.
Sacha zapalił dla siebie i Esther papierosa, osłaniając dłonią ogień przed
wiatrem.
— Nie było chyba jakiegoś konkretnego momentu. Jednak tego ranka, kiedy
zbieraliśmy
grzyby i gdy ujrzałem cię promieniach słońca, jak trzymałaś podwiniętą spódnicę,
zrozumiałem,
że nie chcę, abyś wracała do Paryża. Właściwie wcale nie chciałem, żebyś mnie
opuszczała.
— Czarodziejskie grzyby — uśmiechnęła się Esther.
— Pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, gdy znajdziemy się w Paryżu, będzie zamówienie

pierścionka zaręczynowego u Cartiera. Myślę o czymś zupełnie wyjątkowym.

— Nie musisz wydawać na mnie fortuny, Sacha.

— Ależ, moja kochana, jesteś jedyną córką Thomasa i Marii Fleckerów. Nie spodziewasz się

chyba, że dostaniesz mosiężną obrączkę!

— Sacha, wiem, że jestem bogata. Ale kiedy otrzymam mój spadek, wszystko będzie twoje,

więc możesz to zainwestować w Maison Louis David. Chcę być twoją żoną, Sacha, a to oznacza

dzielić z tobą wszystko: moje serce, moją duszę, a także moje pieniądze.

Sacha pocałował ją.

— Nie chcę dzisiaj rozmawiać o pieniądzach.

— Wobec tego, o czym chcesz rozmawiać?

— Nie chcę w ogóle rozmawiać, tylko liczyć. Odliczać sekundy, minuty, godziny, dni. Nigdy

nie zależało mi tak bardzo jak teraz, aby czas szybko mijał.

Esther przytuliła się do jego ramienia.

— Och, Sacha! Zobaczysz, że kwiecień szybko nadejdzie!

Henri przyjechał po nich do Cherbourga limuzyną Delahaye'ów. Był niezwykle uradowany.

Hector zajął się ręcznym bagażem Esther, po czym wszyscy razem w doskonałych humorach

wyruszyli do Paryża. Henri bardzo wydorósł, odkąd Esther widziała go w maju po raz ostatni.

Znalazł sobie nową dziewczynę, Marie-Louise, która była studentką Paryskiego Konserwatorium, a także zaczął pracować w banku ojca.

— Zawsze myślałem, że pieniądze są czymś strasznie nudnym! Ale tak nie jest!

Pieniądze są

bardzo interesujące, naprawdę!

Hector podwiózł Sachę do jego biura przy Faubourg St-Honore. Stamtąd Sacha już sam miał

wrócić do Epernay. Przez okno samochodu ujął rękę Esther, ucałował ją i powiedział:

— Przyjemnego wypoczynku, moja kochana. Odwiedzę cię w przyszłym tygodniu.

— Zadzwoń — obiecała Esther. Pochylił się i pocałował ją w czoło.

— Nie denerwuj się, jeśli nie zawsze będziesz mogła mnie zastać. Niedługo zaczyna się

winobranie, ouverture des vendanges, i będzie mi ono zajmowało większość czasu.

— Kocham cię — rzekła Esther.

— Ja też cię kocham.

Następnie pojechali do domu Delahaye'ów przy rue Jean Giraudoux. Kiedy tylko znaleźli się

pod domem, drzwi frontowe otworzyły się z hukiem i ukazała się w nich Jeannette Delahaye.

Zeszła po schodach, spiesząc im na spotkanie.

— Esther! Jak to cudownie, że bierzesz ślub w Paryżu! Wszyscy o tym mówią!

Chwyciła Esther za ramię i wepchnęła ją do środka. Esther poczuła się prawie jak w domu;

prawie, ponieważ czekał na nią jeszcze jeden dom w Szampanii — Château David, prawdziwy

dom, w którym miała zamieszkać z Sachą. Zaczął właśnie padać deszcz. Na chodnik spadały srebrne krople, które błyszczały jak franki francuskie. Jeannette zawołała:
— Czy życie nie jest piękne?! Trzeba otworzyć szampana! Przecież to teraz twój trunek!
Później Esther siedziała na górze w swojej sypialni. Spoglądała na lśniące wierzchołki dachów, pałac papierosa i popijając szampana Perrier–Jouet z wysokiego, smukłego kieliszka. W radiu, nastawionym bardzo cicho, słychać było swinga.
W drzwiach pojawił się Henri. Miał rozpięty kołnierz i podwinięte rękawy. Oparł się o futrynę i patrzył na Esther. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego.
— Jesteś szczęśliwa, że wróciłaś do Paryża? — zapytał.
— Jestem szczęśliwa, to prawda i bardzo się cieszę, że znów cię widzę.
— Czeka nas dużo dobrej zabawy. Boże Narodzenie tutaj zawsze jest wspaniałe. Setki ludzi, mnóstwo balów. Będziesz zachwycona! Przeszedł przez pokój i stanął przy oknie, patrząc na deszcz. — Chcę ci powiedzieć, że zakochałem się w tobie, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem. Cóż, przypuszczam, że wiedziałaś o tym. Nie było to jednak ślepe zauroczenie. Nadal cię kocham. Proszę, tylko nie zrozum mnie źle. Nie jestem ani trochę zazdrosny o Sachę. Wiem, że wspaniale do siebie pasujecie. Chciałbym jednak, abyś pamiętała, że możesz mnie teraz traktować jak brata, którego nigdy nie miałaś.
— Och, Henri — rzekła Esther, wyciągając do niego rękę. — Ja też cię kocham, ty mój wspaniały, starszy bracie.
Przez całą kolację, którą jedli we wspaniałej, złoconej jadalni Delahaye’ów, nie przestawali mówić o weselu Esther. Esther i Sacha mają wziąć ślub w synagodze przy rue de la Victoire. Uroczystość poprowadzi najwyższy rabin. Następnie ponad czterystu gości będzie się bawić w sali balowej Hotel Le Crillon, przy muzyce Tommy’ego Dorseya i jego zespołu, który ma zostać sprowadzony specjalnie na tę okazję. Tylko Pierre Delahaye nie odzywał się prawie wcale. Bez słowa jadł swoje vichyssoise i carre d’agneau. Mówił tylko uprzejmie:
— Merci, Claude — za każdym razem, kiedy główny lokaj dolewał mu wina.
Po kolacji, gdy wszyscy ruszyli w stronę salonu, Pierre podszedł do Esther i dotknął delikatnie jej ramienia.
— Czy zechciałabyś, ma chérie*, porozmawiać ze mną przez chwilę?
Zaprowadził ją do swojego gabinetu. Na ścianach wisiało mnóstwo fotografii, które przedstawiały: Pierre’a grającego w golfa z francuskimi politykami, Pierre’a

grającego w golfa z

Bobbym Jonesem, Pierre'a grającego w golfa z monsieur Citronem oraz Pierre'a grającego w

golfa z Georgesem Carpentierem. Zamknął drzwi, podszedł do biurka i otworzył papierošnicę.

— Nie, dziękuję — powiedziała Esther. — Czy coś jest nie w porządku?

Pierre trzymał rękę w kieszeni wieczorowej marynarki i pykał cygaro.

— No... może trochę za wcześnie, aby tak mówić. Muszę cię jednak uprzedzić, że są pewne

problemy na amerykańskim rynku giełdowym. Notowania akcji spadają szybko i bardzo

znacznie. Widzisz, ceny towarów wzrastają, a amerykańskie społeczeństwo nie może sobie

pozwolić na ich zakup z powodu niskiej obecnie siły nabywczej pieniądza. Dla ciebie zapewne

nie ma znaczenia, że funt stęka podrożał do dwudziestu dziewięciu centów albo że nowy

samochód kosztuje teraz sześćset dolarów. Jednak dla zwykłego człowieka z ulicy te podwyżki

są ogromne. Będzie on kupował mniej towarów, a w rezultacie coraz więcej mężczyzn straci

pracę. Wierz mi, Esther, to może być znacznie poważniejsze niż krach giełdowy w 1929.

— Nie rozumiem — stwierdziła Esther. Pierre wypuścił dym.

— Jak do tej pory sprawy nie wyglądają bardzo źle. Comme ç*i*, come ç*a**, jeżeli wiesz, co

przez to rozumiem. Musimy jednak być realistami. Podstawę majątku twojego ojca stanowią

koleje i domy towarowe. Oznacza to, że załamanie się rynku papierów wartościowych odbije się

bardzo szybko na wszystkich jego interesach. Jeśli już raz wartość akcji zacznie gwałtownie

spadać, nic nie zdoła tego powstrzymać procesu. Ceny akcji jego kolei spadły już z 167 i pół do

121, natomiast domów towarowych, z 60 do 41. Wszystko wskazuje na to, że sytuacja na rynku

giełdowym nie wróci do normy przez bardzo długi czas. To może nawet potrwać lata.

— Ale udało nam się przecież przezwyciężyć kryzys z 1929 — zauważyła Esther. — Dlaczego teraz nie miałyby się to udać?

Pierre wzruszył ramionami.

— Teraz są inne czasy. Rząd amerykański nie przeznacza już tych pieniędzy na gospodarkę,

plące są wyższe, ceny miedzi także wzrosły, wszyscy też musimy brać pod uwagę niebezpieczeństwo kolejnego konfliktu z Niemcami.

— Co wobec tego próbujesz mi powiedzieć? — zapytała Esther.

Pierre wziął ją za rękę i odparł:

— Próbuję cię tylko uprzedzić, że wkrótce możesz przeczytać w gazetach o wielkim spadku

cen akcji na amerykańskiej giełdzie, a akcje Domów Towarowych Fleckera i

Północno–

Wschodnich Kolei mogą się znaleźć wśród nich. Teraz jednak, skoro cię już uprzedziłem, chciałbym powiedzieć, że ty sama nie musisz się o nic martwić, niezależnie od tego, jak bardzo spadną akcje twojego ojca.

Pierre łagodnie i po ojcowsku uściskał jej dłoń, po czym dodał:

— Obiecuję sam pokryć koszty twojego wesela: opłacić kwiaty, synagogę, przyjęcie w Hotel

Le Crillon, zespół Tommy’ego Dorsey’a i całą resztę. Ani przez chwilę nie powinnaś się o to

martwić. To ma być twój dzień, moja droga, my zaś jesteśmy bardzo dumni i szczęśliwi, że

postanowiłaś wyjść za mąż właśnie we Francji i tutaj zamieszkać.

— Och, Pierre! — zawołała Esther i objęła go.

— Nie! Nie! — zażartował, odpychając ją. — Co będzie, jeśli wejdzie Jeannette? I tak z

ogromnym trudem przychodzi mi ją przekonać, że nigdy nie sadzam sobie mojej sekretarki na kolanach!

Wrócili do salonu, gdzie Henri nalewał już dla wszystkich brandy. Śmiali się, rozmawiali i

grali w remika prawie do drugiej nad ranem. Kiedy jednak Esther poszła do łóżka, leżała na

poduszkach i nie mogła zasnąć. Wsłuchując się w odgłosy nocnego ruchu ulicznego na Polach

Elizejskich, myślała o ostrzeżeniu Pierre’a.

„Załamanie się giełdy odbije się bardzo szybko na interesach twojego ojca... jeśli już raz

wartość akcji zacznie gwałtownie spadać, nic nie zdoła tego powstrzymać...”

Najbardziej jednak ze wszystkiego zaniepokoiło ją, iż Pierre posunął się aż do tego, że obiecał

pokryć koszty wesela, gdyby nie mógł tego zrobić jej ojciec.

Czyżby sytuacja w Ameryce wyglądała rzeczywiście aż tak źle? Czy to możliwe, aby ojciec

nie był w stanie zapłacić za jej wesele? Przecież nie będzie ono chyba

kosztowało więcej niż

sześćset tysięcy? Czy można sobie wyobrazić, by jej ojciec mógł wkrótce zostać bankrutem?

Przed zaśnięciem odmówiła broche za matkę. Wiedziała, że jeśli nastąpi krach na giełdzie i

ojciec zostanie bez grosza, jedyną osobą, która nie zdoła tego przeżyć, będzie jej matka. Wyjść za

mąż dla pieniędzy, nie z miłości, a potem stracić cały majątek... To byłby dla niej cios w samo

serce.

Nagle zrozumiała, jak ważna jest prawdziwa miłość oraz dlaczego miłość to znacznie więcej

niż tylko pocałunki, piosenki i puste słowa.

Odmówiła także broche za Rodneya, który na długo przed nią zrozumiał, co znaczy

miłość, i
którego bezinteresowne postępowanie pomogło jej dorosnąć. Dorosnąć tylko trochę,
tylko
odrobinę, ale nawet odrobina jest lepsza niż nic.
W okresie winobrania Esther spędziła ponad dwa tygodnie w Szampanii, towarzysząc
Sachy
w drodze z winnic do prasowni i z powrotem. Także Doris przyjechała i była
zachwycona
wszystkim, co się tam działo. Szczególnie podobało jej się, gdy starsi
pracownicy prasowni, w
tradycyjnych, niebieskich kombinezonach, z przyklepionymi do ust wilgotnymi
papierosami,
podszczypywali ją w siedzenie i gwizdali, wołając po angielsku:
— Hej! Czarna ślicznotko!
Nad doliną Marny i zboczami winnic rozciągała się lekka mgła, oświetlana
ciepłymi
promieniami słońca. Gdziekolwiek szli, Sacha wyjaśniał Esther, co robi i w jakim
celu. Mówił
jej, jak uprawia się winorośl i w jaki sposób prowadzi się różne gatunki
winogron. Przy
winogronach Chardonnay stosuje się system Chablisa — krzew rozwidla się,
wypuszczając
cztery gałęzie, natomiast w przypadku Pinot Noir i systemu Cordona zostawia się
pojedynczą
gałąź.
— Tutaj rosną białe winogrona Chardonnay — wyjaśniał Sacha, kiedy pewnego
późnego
popołudnia stali na pokrytym kredowym pyłem zboczu, tuż poniżej Champillon. —
Nadają one
winu lekkość i świeżość. — Zerwał jeden owoc i dał Esther do spróbowania. — Tam
zaś mamy
dwa hektary Pinot Noir oraz dwa i pół hektara Pinot Meunier. Są to dwa gatunki
czarnych
winogron. Pinot Noir nadają szampanowi moc i smak starego wina, natomiast Pinot
Meunier dają
mu smak owoców i aromat młodego wina.
— Chcesz powiedzieć, że wszystkie trzy gatunki znajdują się w jednym szampanie?
Sacha kiwnął głową. Miał na sobie kraciatą koszulę roboczą oraz sztruksowe
spodnie, Esther
zaś była ubrana w białą, bawełnianą bluzę i marynarskie spodnie. Esther
uwielbiała przebywać w
winnicach w godzinach pracy. Pola były wtedy pełne robotników, którzy zbierali
winogrona i
układali je w koszach. Mężczyźni nosili berety i niebieskie kombinezony, a wiele
kobiet ubierało
się jeszcze w długie fartuchy i baignolets — noszone od wieków w Szampanii,
białe, lniane
czepki chroniące przed słońcem.
Ich rozmowy brzmiały z daleka jak odgłosy stada ćwierkających szpaków. Dym z
papierosów

unosił się w złocistej mgle.

— Nasz majątek pochodzi z tej ziemi — powiedział Sacha, kiedy wspinali się z powrotem na wzniesienie. — Nie jest to jednak majątek, który zdobywa się łatwo. Mróz, grzyb, ptaki, filoksera, wszystko to może zniweczyć cały rok pracy. Czasami spadnie grad, zdarza się nawet tornado.

Zjeżdżali ze wzgórza na motocyklu Sachy. Jechali do prasowni Louisa Davida w Dizy, znajdującej się tylko dwa kilometry na północ od samego Epernay. Esther uwielbiała jazdę na tylnym siodełku motocykla nawet bardziej niż przejażdżki bugattim. Machała wtedy ręką do wszystkich pracujących w winnicach, a oni odpowiadali jej tym samym. Większość z nich wiedziała już, kim jest — nie Esther Flecker, nowojorską gwiazdą, ale narzeczoną Sachy Davida.

Prasa mieściła się w małym, białym budynku w zachodniej części Dizy. Wokół otwartych drzwi gdały kury. Kiedyś prasownia należała do drobnego producenta szampana — firmy Gilbert Leroux Pere et Fils. Ojciec Sachy kupił ją od nich, ponieważ łatwo było tam dojechać ze wszystkich niemal winnic Davidów. Przez większą część roku budynek stał zamknięty i opuszczony, ale podczas winobrania ożywał — było w nim głośno i tłoczno, a praca wrzała tam przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Niektórzy producenci szampana krytykują mnie za to, że jestem staroświecki — powiedział Sacha, oglądając kosze pełne świeżo przebranych winogron, które ładowano do

otwartej prasy, pressoir coquart.

— Chcesz powiedzieć, że Guillaume krytykuje cię za to, że jesteś staroświecki — wtrąciła Esther.

— Jeśli pozwolisz, wolałbym nie rozmawiać na temat Guillaume’a — rzekł Sacha. Esther spojrzała na niego.

— Jest twoim bratem.

— Moim przyrodnym bratem — poprawił Sacha. Potem chwycił ją za rękę, poprowadził w

stronę jednej z pras i powiedział: — Chodź, zdejmij buty. Musimy wtłoczyć winogrona do prasy.

Ogromna, dębowa dzieża zwana maie była już wypełniona kiściami białych winogron Chardonnay. Sacha rzucił buty i skarpetki, wszedł do dzieży i zanurzył aż po kostki w owocach.

Wyciągnął rękę do Esther, a dwóch pracowników pomogło jej wgramolić się na maie obok niego.

Oboje, trzymając się za ręce, dreptali tam i z powrotem, wgniatając owoce do

prasy. Esther

śmiała się zachwycona, gdy wokół jej stóp rozsypano winogrona z kolejnych koszyków. To było cudowne uczucie, kiedy owoce pękały pod jej bosymi stopami. W krótkim czasie była już prawie po kolana zanurzona w chlupiącym soku.

Sacha przy pomocy tępej, drewnianej łopaty, zwanej pelle, wpychał winogrona prosto pod pokrywę prasy.

Esther spróbowała zatańczyć, ale niewiele brakowało, aby się przewróciła.

Robotnicy

oklaskiwali ją:

— Bravo! Bravo! Formidable!* — a potem pomogli jej wspiąć się z powrotem.

— Powiedzieli, że jesteś teraz honorowym wyciskaczem winogron! — zawołała Sacha, kiedy

polewał sobie stopy zimną wodą.

Podniesione kłapy pokrywy, czyli mouton, zamknięto teraz i czterech pracowników zaczęło

obracać olbrzymim kołem zamachowym, które powodowało powolne naciskanie mouton na

winogrona. Sacha zapalił papierosa i przyglądał się, jak kadź stopniowo wypełnia się sokiem z

pierwszego wyciskania — cuvée.

— Po pierwszym wyciskaniu podnosimy mouton jeszcze raz i wrzucamy wyciśnięte winogrona z powrotem do środka maie. To się nazywa retroussage, a więc dosłownie:

„podwijanie”.

Esther zapytała:

— Czy zaprosisz Guillaume’a na nasz ślub?

Sacha rzucił jej krótkie spojrzenie.

— Dlaczego o to pytasz?

— Robisz się bardzo tajemniczy, gdy tylko o nim mowa.

— Nie ma w tym nic tajemniczego. Ale nie został zaproszony.

— Chciałabym, abyś mi wyjaśnił, dlaczego on tak bardzo cię denerwuje.

Sacha wzruszył ramionami.

— To jest coś, o czym nie mam specjalnie ochoty rozmawiać. To wszystko.

Obserwowali, jak robotnicy otrzymują cuvée, sok najwyższej jakości, a potem tną na kawałki

jednolitą bryłę ze skórek i pestek i wyciskają miąższ, aby można było ponownie wrzucić go do

prasy i uzyskać ostatnie sześćset litrów taille.

— W Maison David nigdy nie wykorzystujemy taille do produkcji szampana — wyjaśnił

Sacha. — Ten rodzaj soku bywa jednak czasami bardzo dobry, więc odsprzedajemy go innym

producentom: tym, którzy wytwarzają tanie marki wina.

Przerwał na chwilę. Założył ręce na biodra, a potem dodał:

— Niestety, z tymi tanimi markami wina wiąże się pewien problem. Kiedy uznane firmy nie

mają zbyt wiele towaru i nie mogą nadażyć z realizacją zamówień, wtedy dosyć

często uciekają
się do zakupu gotowego już szampana od producentów gorszych win. Oczywiście
publicznie
oświadczają, że nigdy nie wykorzystują vins de taille. Odkupują jednak wino od
wielu firm,
którym najpierw sprzedali swój taille, i rozprowadzają je ze swoimi etykietkami
jako własny
wyrób. Nie jest to wbrew prawu, nawet nie zabrania tego Commission de Chalons.
Ale moim
zdaniem oszukują w ten sposób klientów. Nawet jeżeli sprzedajesz wino ludziom,
którzy nie
dostrzegają różnicy między najlepszym markowym szampanem a, wybaczyć, wiadrem
koziego
moczu, jakość wina nigdy nie powinna na tym ucierpieć. — Sacha wyrzucił
papierosa. — To jest
tylko jeden z powodów, dla których Guillaume nie będzie zaproszony na nasz ślub.
Esther wzięła go pod ramię
— Potrafisz być czasami strasznie poważny, wiesz o tym?
Sacha uśmiechnął się do niej półgębkiem.
— Rozmawiamy przecież o szampanie, a szampan to bardzo poważny temat.
Na zakończenie, kiedy cały taille był już wyciśnięty, znów pocięto bryłę z marc
(wytłoczyn)
na kawałki, które raz jeszcze wrzucono do małej, głębokiej prasy o nazwie
sechoir. Niewielka
ilość soku, którą teraz uzyskano, miała być przedestylowana, a otrzymany roztwór
— prestation
vinique — wykorzystany do produkcji winnej brandy.
Sacha poklepał dłonią jedną z dębowych beczek wypełnioną ekstraktem pierwszej
jakości i
powiedział:
— Popatrz, Esther, to początek L'Etoile de Champagne. To całe moje życie, a
teraz stanie się
ono również twoim.
Przytulił ją do siebie i pocałował. Stali w drzwiach, rozkoszując się sielską
atmosferą wsi.
Promienie słońca połyskiwały na włosach Esther. Cały świat zdawał się spokojny i
doskonały.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tego wieczoru pojechali na kolację do Signaców, do Bois d'Argensolle. Wieczory
robiły się
coraz chłodniejsze, więc Signacowie spuścili już wodę z basenu. Charlotte dbała
jednak o swoją
sprawność Amazonki, dwa razy dziennie uprawiając nago ćwiczenia gimnastyczne w
domku
przy basenie. W domku było dość ciepło dzięki naftowemu grzejnikowi,
wykorzystywanemu
dawniej w winnicach do ochrony przed wczesnymi mrozami.
Laurence wymyślił nową grę o strasznie skomplikowanych zasadach, które wymagały,
aby
gracze co jakiś czas wychodzili z pokoju i prowadzili dodatkową grę w holu.

Nazwał ją
„mongolskim pokerem”. Zdążyli rozegrać zaledwie dwie partyjki, kiedy Laurence,
pod wpływem
działania dwóch i pół butelek szampana, zapomniał zasad.
Rozmawiając głośno i wesoło, zjedli kolację, na którą podano dzika w sosie z
czerwonej
porzeczki i przepyszne, gotowane w łupinkach ziemniaki. Potem usiedli przy
rozpalonym
kominku w ogromnym salonie Signaców, gdzie panował artystyczny nieład, i pili
szampana.
— Uważam, że niektóre historie miłosne powstają w niebie — oświadczył Laurence.
— A
wasza historia, twoja i Sachy, jest właśnie jedną z nich. Jaką wspaniałą parę
tworzycie:
Niewinność i Doświadczenie, Piękna i Bestia!
— Tylko pilnuj, moja droga, żeby cię Sacha nie zdominował — przestrzegła
Charlotte. —
Ma opinię człowieka bardzo upartego.
— Upartego? Nonsens! — zaprotestował Sacha. — Zawsze byłem potulny jak myszka!
— Jeśli ty jesteś myszką, to ja nie chciałbym być kotem, którego spotkasz w
ciemną noc —
sapnął Laurence. — Posłuchaj mnie, monsieur David, pamiętaj, że masz się
opiekować tą uroczą,
młodą dziewczyną. Jeśli dotrze do moich uszu najmniejsza choćby pogłoska, że coś
jest nie tak,
od razu zabieram ją do siebie! Zresztą zawsze bardzo podobał mi się pomysł
posiadania dwóch
żon.
Charlotte powiedziała:
— Ale ostrzegam, Laurence, jeśli zamierzasz mieć jeszcze jedną żonę, ja wezmę
sobie
kolejnego męża.
— Ha! — zawołał Laurence, uderzając się po udzie. — Taka jesteś! Teraz widzicie
cały
koszmar mojego położenia! Równouprawnienie kobiet w najskrajniejszym wydaniu!
Jak Kuba
Bogu, tak Bóg Kubie! Tylko dlatego, że podoba mi się dla własnej przyjemności
sprowadzić do
mojego domu uroczą pannę na wydaniu, Charlotte uważa, że od razu ma prawo
przywlec mi
jakiegoś młodego zigołaka, który będzie palił fajkę, używał mojej brzytwy do
golenia swoich
pryszczki i zostawiał nad wanną ociekające skarpetki!
Sacha chwycił Esther i przytulił ją mocno.
— Laurence, nawet jeśli tak się zdarzy, nic nie będzie w stanie mnie przekonać,
żebym
pozwolił Esther odejść.
— I nie będziesz zostawiał nad wanną ociekających skarpetek — dodała Charlotte.
— Nie mów, że wypierzesz je dla niego!
— Nie, to ty możesz mu je wyprać.

— Paf! — zawołał Laurence. — Napijmy się jeszcze szampana!
Pili szampana i łupali orzeszki laskowe. Ogień zaczął powoli przygasać, a Esther sennie oparła głowę na ramieniu Sachy. Zegar na kominku zabrzączał i wybił pierwszą w nocy.

— Musimy jechać — powiedział Sacha. — Esther będzie tu jeszcze tylko jeden dzień, a ja chcę jej jutro pokazać piwnice.

— Mam nadzieję, że on nie chce z ciebie zrobić producenta szampana — rzekł Laurence. — Jedyna interesująca rzecz, którą warto wiedzieć na temat szampana, to jak go pić.

— Esther będzie moją żoną i moim partnerem — wyjaśnił Sacha. — Zostanie największym wytwórcą szampana, jaki kiedykolwiek istniał.

— Z wyjątkiem oczywiście ciebie — uśmiechnęła się Charlotte.

— Nie, nie, ona będzie znacznie lepsza niż ja — stwierdził Sacha — bo Esther potrafi się wspaniale wszystkim bawić. Tym nigdy jej nie dorównam, a właśnie umiejętność zabawy jest przy wytwarzaniu szampana ważniejsza niż cokolwiek innego. Potrzebna jest dobra zabawa i oczywiście miłość.

W końcu o godzinie wpół do drugiej wstali i poszli szukać swoich okryć. Na zewnątrz była zimna, pogodna i bardzo spokojna noc. Wsiedli na motocykl Sachy i okrążyli na światłach podjazd. Laurence i Charlotte kiwali im rękami na pożegnanie.

Sacha zapytał:
— Chcesz jechać wolno czy szybko? To zależy od ciebie.
— Szybko! — zawołała, oplatając go mocno ramionami. — Tak szybko, jak tylko potrafisz!

Jechali blisko siedemdziesiąt mil na godzinę. Mknęli w ciemnościach przez wąskie, kręte dróżki prowadzące do Epernay. Przejechali przez miasto, potem przez Mameę. Cały czas ścigało ich głośnie echo ryku silnika. Esther przycisnęła się mocno do skórzanej kurtki Sachy, żeby wiatr nie dmuchał jej prosto w twarz. Czuła uderzające w nich ćmy i trawę, która smagała ich po kostkach. Kiedy siedziała tam z tyłu na motocyklu, była bardzo blisko niego i miała wrażenie, że to prawie tak, jakby się kochali. Gdy przechylał się w lewo, jego mięśnie napinały się, a ona przechylała się w tę samą stronę. Kiedy przechylał się w prawo, ona również przechylała się w prawo.

To było cudownie ryzykowne mknąć tak przez noc na tej potężnej, ryczącej maszynie!
Przyjechali do Château David zdyszani i roześmiani. Sacha wprowadził motocykl do

jednej ze
stajen. Potem ruszyli razem w stronę frontowych drzwi, które sami sobie
otworzyli. Madame
Hatte już się położyła, Sacha jednak wiedział, że wcale nie śpi, lecz nasłuchuje
czujnie jak matka.
Doris także poszła już do łóżka, zjadłszy przedtem obfitą kolację — coq du vin
de Bouzy — która
bardzo jej smakowała. Gdy Esther i Sacha na palcach wchodzili na piętro po
skrzypiących
schodach, usłyszeli jej chrapanie.
— Nie jest przyzwyczajona do picia wina — szepnęła Esther. — Obudzi się pewnie z
potwornym kacem.
— W takim razie dostanie moje słynne lekarstwo na kaca — odpowiedział Sacha
również
szepem.
— A co to takiego?
— Szklanka eau de vie*, do której wbija się dwa surowe przepiórcze jaja. Zawsze
pomaga.
Gwarantuję natychmiastowy powrót do stanu całkowitej trzeźwości.
Esther zachichotała.
— Biedna Doris, nie wypije tego.
Sacha odprowadził ją do drzwi sypialni. Ujął obie jej dłonie, ich palce splotły
się ze sobą.
Pocałował ją czule i namiętnie, koniuszkiem języka dotykając jej zębów.
— Dobranoc — powiedział miękko.
— Kocham cię — odparła. — Z każdym dniem kocham cię coraz bardziej.
— Mam nadzieję, że zasługuję na twoją miłość — rzekł.
— Jesteś dokładnie takim mężczyzną, jakiego pragnęłaby każda kobieta. Jesteś
nawet lepszy.
Pocałował jej czoło, powieki i policzki.
— Daleko mi do doskonałości, Esther. Nie próbuj nawet myśleć, że jestem
nieomylny, że
nigdy nie popełniam błędów.
— Dobrze, nie będę — odpowiedziała, dotykając czubkiem palca jego warg. — Ale ze
mną
nie popełniłeś błędu.
Pocałowali się raz jeszcze, a potem Esther weszła do swojego pokoju i zamknęła
drzwi. Sacha
natomiast poszedł do sypialni gospodarza, która znajdowała się na samym końcu
piętra.
Wypiła siedem czy osiem kieliszków szampana i natychmiast zapadła w głęboki sen.
Śniło jej
się, że rozbierała się w domku przy basenie Signaców. Sacha i Laurence
obserwowali ją z nie
słabnym zainteresowaniem i rozbawieniem. Obaj siedzieli na niezwykłym,
dwuosobowym
leżaku. Laurence miał nawet czelność przyglądać się jej przez operową lornetkę
na długiej
rączce.
Charlotte, już rozebrana, była blisko niej. Rozciągała się, robiła skłony i

dotykała palcami
stóp. Esther czuła się okropnie zawstydzona tym, że musiała rozbierać się na
oczach mężczyzn,
ale Charlotte nie przestawała na nią krzyczeć:
— Pospiesz się! Przegapisz gimnastykę!
Wtedy właśnie zobaczyła w oknie czyjąś twarz zaglądnącą do środka. To ten sam
chłopiec,
który podglądał ją wtedy w letniej willi, gdy była z Carlem Atkinsem.
Próbowała wyjaśnić to Charlotte na migi. Machała i trzepotała rękami, ale z
jakiegoś powodu
tamta nie mogła jej zrozumieć. Ona nie rozumie! Zaraz zdarzy się coś strasznego!
Charlotte położyła się na podłodze i zaczęła pedałowac nogami w powietrzu.
Esther usiłowała
złapać ją za kostki i zatrzymać (Ktoś nas obserwuje! Ktoś nas obserwuje!), ale
Charlotte odtrąciła
ją nogą.
Esther obudziła się i zadrżała.
— Aaa! — zawołała przerażona.
Ktoś siedział przy niej na łóżku. Przez ułamek sekundy myślała, że to może duch
albo trup,
potem jednak zorientowała się, że to Sacha. Był nagi. Wyciągnęła rękę i dotknęła
go. Wyczuła
ciemne włosy na jego klatce piersiowej.
— Sacha? — zapytała szeptem.
— Sz-sz — odpowiedział. Pochylił się i pocałował ją w usta. — Leżałem, myśląc o
tobie i nie
mogłem zasnąć. Przewracałem się z boku na bok. Przepraszam, ale nie mogłem się
powstrzymać,
żeby nie przyjść tu i nie zobaczyć cię.
Wstał, wcale nie skrępowany swoją nagością.
— Posłuchaj, pójdę już. Wybacz mi. Chciałem tylko raz jeszcze pocałować cię na
dobranoc.
Przesunęła się i uniosła kołdrę.
— Wskakuj, bo się przeziębisz.
Potrzęsnał głową.
— Obiecałem twojej matce, że zaczekam do ślubu. Po tym co zdarzyło się z
Rodneyem...
Nie, nigdy więcej takich wypadków.
— No, wchodź — nalegała. — Chcę cię tylko przytulić.
Zawahał się przez moment, a potem położył się w łóżku obok niej. Było mu zimno,
a ona
przytuliła go mocno i ogrzała jak żona Eskimosa lub Wizygota, który wrócił po
bitwie do domu.
Był owłosiony, muskularny i bardzo silny. Nie przestawał jej całować, ona zaś
przesunęła
palcami wzdłuż jego pleców, aż dosięgła krągłych pośladków. Potem przylgnęła do
niego.
Wtedy jednak chwycił jej nadgarstki i powiedział:
— Nie. Dosyć. Nie wolno nam. Nie.
— Sacha — prosiła go. Całował jej ramiona, usta i włosy.

— Esther, kocham cię, najdroższa. Kocham bardziej niż cokolwiek na świecie, ale obiecałem czekać. Przysięgłem to nie tylko twojej matce, ale także sobie samemu. Nasze małżeństwo będzie doskonałe od początku do końca, od nocy poślubnej do dnia naszej śmierci.

— Nie możesz teraz odejść, nie możesz!

Podniósł się na łokciu i spojrzał na nią w ciemnościach.

— Przepraszam. To moja wina. Nie pomyślałem, że cię rozbudzę.

— Kochaj mnie, Sacha — wyszeptwała.

— Nie dzisiaj — odrzekł. — Ale jeśli przysiękniesz, że będziesz leżała bardzo spokojnie, to zrobię coś, co pomoże ci z powrotem zasnąć.

— Co chcesz zrobić?

— Leż spokojnie. Nie ruszaj się, cokolwiek by się działo.

— Jesteś szalony — zachichotała.

— A ty piękna. Leż spokojnie!

Leżała płasko na plecach tak spokojnie, jak tylko potrafiła. Sacha pocałował ją w usta, a potem ześlizgnął się z niej w dół łóżka. Próbowwała podnieść głowę, aby zobaczyć, co robi, lecz on rozkazał:

— Leż spokojnie! Ani jednego ruchu, bo inaczej się nie uda!

Czuła, że jej koszula nocna unosi się. Znów zachichotała, lecz kiedy Sacha powiedział ostro: „Sz-sz!” — przycisnęła dłoń do ust.

Kiedy się to stało, od razu wiedziała, co to jest. Nigdy jednak nie przypuszczała, że to naprawdę może się zdarzyć. To było zupełnie niespodziewane — delikatne, porywające i niepokojące zarazem. Wolnym ruchem odjęła rękę od z ust, szeroko otwartymi oczami patrząc w ciemność i ledwie oddychała.

Nie było słyhać prawie żadnego odgłosu. Nic tylko szeleszczące na wietrze brzozy w ogrodzie, pojedyncze uderzenia odemkniętej okiennicy i cichy dźwięk przypominający chlupotanie.

Miała wrażenie, jakby ciemność nocy znajdowała się zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz jej ciała. Czuła, że ciemność stopniowo zagęszcza się jak najczarniejsza bryła mar, z której niby wino wyciśnięta zostaje noc. Nigdy dotąd nie przeżyła czegoś takiego, nawet wtedy, gdy sama siebie dotykała. Ciemność zagęszczała się coraz bardziej i bardziej. Esther nie wiedziała w końcu, czy czuje ból czy przyjemność.

Potem nastąpiła chwila nieznośnego napięcia. Noc rozprysła się wewnątrz niej i Esther zaczęła miotać się i drgać pod wpływem spazmów, nad którymi nie była w stanie zapanować. Myślała, że głośno krzyknęła, ale tak naprawdę krzyk był zupełnie cichy. Drząc

jeszcze cała,
wyciągnęła rozpaczliwie ręce do Sachy. On jednak chwycił mocno jej nadgarstki i zatrzymał ją.
— Kochaj mnie — błagała ze łzami w oczach.
Pocałował jej palce.
— Nie teraz już czas, żebyś poszła spać.
— Ty francuski łobuzie! — zawołała pół żartem, pół serio. — Jeśli nie zrobisz tego, zacznę myśleć, że tak naprawdę wcale ci na mnie nie zależy.
— Esther — odparł — największa miłość, jaką mężczyzna może okazać kobiecie, jest wtedy, gdy nie tknie jej ciała aż do dnia ślubu.
— Zwariowałeś.
— Oczywiście, ale cię kocham.
— Wiem, że mnie kochasz. Ale dlaczego wszystko jest w porządku, kiedy robimy to w ten sposób, a nie możemy zrobić tak, jak należy.
Pocałował ją w usta, puścił jej ręce i wstał.
— A dlaczego zadajesz mi tyle niezręcznych pytań w środku nocy?
— Niedługo będzie rano.
Uścisnął jej dłoń raz jeszcze i rzekł:
— Dobranoc, Esther.
Ułożyła się wygodnie na poduszkach.
— Dobranoc, kochana myszko.
Sacha wykradł się z pokoju i bardzo cicho zamknął za sobą drzwi. Zatrzymał się na chwilę, nasłuchując. Potem zamiast wrócić do swojej sypialni, poszedł do garderoby, gdzie Esther przebierała się pierwszego wieczoru, który spędziła w Château David. Przekreślił klucz, otworzył drzwi i wszedł do środka. Zbliżył się do lustra, w którym odbijała się jego blada postać. Stojące wokół toaletki wizerunki kobiet z dynastii Davidów patrzyły na niego obojętnie. Podniósł zdjęcie Camille i podszedł z nim do okna, żeby móc na nie spojrzeć, nie zapalając światła.
— Camille — szepnął i dotknął zimnego szkła, które ich oddzielało.
Esther również nie spała. Leżała wciąż z podniesioną koszulą nocną. Była rozbudzona i zaspokojona zarazem. Chciało jej się pić i żałowała, że zapomniała napełnić karafkę stojącą przy łóżku. Czowała, że potężny kac zaczyna ogarniać jej głowę. Na razie były to pojedyncze sygnały, które później miały się zmienić w objawy dużo bardziej dokuczliwe. Położyła dłoń między udami i zasnęła. Zdążyła jeszcze tylko pomyśleć, że musi przypomnieć Sachy, aby przyrządził dla niej swoje specjalne lekarstwo na kaca. Nigdy dotąd nie piła surowych jajek, lecz sądziła, że jest to napój wyjątkowo wyrafinowany. Miało to jakiś niewysłowiony urok.

Na zakończenie postanowiła, że nie będzie więcej używała słowa „niewysłowny”. Teraz, kiedy ma zostać mężatką, musi pomyśleć o jakimś bardziej odpowiednim wyrażeniu. Następnego ranka dzień wstał wyjątkowo cichy i zachmurzony. Akurat taki, jakiego teraz najbardziej potrzebowała Esther. Nie mogłaby znieść zbyt dużej ilości hałasu i jasnego światła. Dlatego dźwięk rozsuwanych, aksamitnych zasłon zabrzmiał w jej uszach wyjątkowo przejmująco.

— Bonjour, mam'selle! Vous avez bien dormis? — zawołała madame Hatte wesoło. Esther zamrugła oczami.

— Czy jest sok na tacy?

— Oui, mam'selle, jus de pamplemousse*.

Podawała jej szklankę chłodnego soku grejpfrutowego, który Esther wypijała duszkiem.

— O Boże — westchnęła, padając z powrotem na poduszki. — Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek polubili się z szampanem.

Madame Hatte roześmiała się.

— Co pani sobie życzy na śniadanie, mam'selle? Są kielbaski i świeży chleb. Esther potrząsnęła głową.

— Proszę powiedzieć monsieur Davidowi, żeby przyrzadził mi swoją specjalność: eau de vie, avec deux oeufs de cailles*.

Madame Hatte zmarszczyła nos.

— Tr?s bien, mam'selle, comme vous voulez*. Esther zeszła wreszcie na dół, ubrana w luźną, rudą, wełnianą kamizelkę i tweedowe spodnie a la Greta Garbo. Zdziwiła się, widząc, że przy śniadaniu razem z Sachą siedzi jego siostra la comtesse de Flers. Była niewielką, ładną kobietą, mniejszą, niż wydała się Esther na pierwszy rzut oka na Normandii. Miała ostre rysy twarzy i brązowe, kręcone włosy. Musiała mieć jakieś dwadzieścia cztery czy pięć lat. Ubrana była w bardzo drogie, a jednocześnie bardzo tradycyjne ubranie — haftowaną bluzkę i granatową spódnicę.

— O, Esther! Dzień dobry — powitał ją Sacha. — Chodź i poznaj swoją śmiertelną rywalkę.

— Drażnił się z nią, nawiązując do tych chwil na Normandii, kiedy Esther myślała, że umizgiwał się do hrabiny.

Esther zamieniła z nią uścisk dłoni.

— Bonjour, madame la comtesse, bardzo mi miło. Ale będzie pani musiała wybaczyć mi mój wygląd. Wczoraj byliśmy na kolacji u przyjaciół i chyba wypijałam trochę za dużo szampana. Nawet kamizelka mnie uwiera.

Usiadła, a Sacha pchnął przez stół małą szklankę z blado — bursztynowym płynem. Na spodeczku, na którym stała, leżały dwa małe jajka i łyżeczka.

— Pani śniadanie, mam'selle — poinformował.
— Naprawdę zamierzasz to wypić? — zapytała madame la comtesse, udając przerażenie.
— Pod warunkiem, że Sacha zapewni mnie, że to pomoże — odrzekła Esther.
— Och, wierz mi. Z ręką na sercu mówię, że pomaga — zapewnił Sacha. Wziął jajka, wbił je do eau de vie, a potem roztrzepał energicznie.
Esther podniosła szklankę.
— Mam nadzieję, że nie będę tego żałować — oświadczyła. Zawahała się, po czym dwoma łykami wypija zaprawioną jajkami brandy. Siedziała, gapiąc się na Sachę ze łzami w oczach.
Miała wrażenie, jakby jej wnętrzności wypełniły się kipiącą lawą.
— Boże — sapnęła, nie mogąc złapać tchu. Sacha patrzył na nią wyczekująco.
— Widzisz, Marguerite — powiedział do hrabiny. — To zawsze działa, za każdym razem.
Esther udało się wreszcie złapać oddech. Dziwna rzecz — jej żołądek uspokoił się całkowicie i nawet ból głowy zaczynał jakby ustępować.
— Mój Boże — powiedziała. — Nadzwyczajne, to pomaga. Ale nigdy więcej. Nigdy, nigdy więcej!
— Czy ta twoja mikstura ma jakąś nazwę? — zapytała hrabina.
— Powinieneś nazwać ją imieniem mojej matki — stwierdziła Esther. — Działanie jest prawie jednakowe.
Madame Hatte weszła z talerzem tłustych, pokrojonych w plasterki kiełbasek: saucisses
Madril?nes, saucisses a l'ail, saucisses au Gruau.
— Chciałaby pani zjeść coś teraz? — zapytała.
Esther jednak potrząsnęła przecząco głową.
— Myślę, że jedna szklanka takiego napoju każdemu zastąpiłaby śniadanie. Może madame la comtesse zjadłaby coś jeszcze.
Sacha oparł się na krzesło.
— Musisz nauczyć się zwracać do madame la comtesse po imieniu: Marguerite.
Odwiedziła nas po drodze do Berlina. Ona i hrabia jadą tam w interesach na mniej więcej pół roku. To ma coś wspólnego z oponami do ciężarówek, tak, Marguerite?
— Victor jest członkiem rady nadzorczej firmy Achille oraz czterech czy pięciu innych spółek
— odparła Marguerite. — No cóż, nasza posiadłość jest imponująca, ale w dzisiejszych, trudnych czasach ziemia nie przynosi już takich dochodów, które wystarczyłyby na utrzymanie. Gdyby nie udało nam się znaleźć jakiegoś innego zajęcia, musielibyśmy do tej pory sprzedać połowę spadku Victora. No i oczywiście w każdej spółce lubią się pochwalić, że mają hrabiego w zarządzie.

Sacha spojrzął na zegarek.

— Victor powinien być tutaj o jedenastej. Załatwiał interesy w Reims. Zjemy lunch, a potem odwieziemy ich na pociąg.

— Musicie uważać na siebie w Berlinie — powiedziała Esther. — Matka opowiadała mi o

nim różne okropne historie. Przez nazistów moja ciotka Nana wyjechała stamtąd na zawsze.

Marguerite odsunęła na bok talerz i zapaliła papierosa.

— Och, nie będziemy mieli żadnych trudności. Pamiętaj, że jesteśmy gośćmi Rzeszy, a

Niemcy są bardzo zainteresowani towarem Victora. Zorganizowali już dla nas spotkanie z Herr

Hitlerem. Domyślam się, że będzie to jakieś wielkie przyjęcie.

Sacha kiwnął głową.

— Nie będziecie mieli żadnych problemów, Marguerite. Uważam, że zbyt wielu Żydów wpadło w panikę. Wszyscy zdajemy się zapominać, że naród niemiecki przez te wszystkie lata po

wojnie bardzo wiele wycierpiał, więc nikogo nie powinno dziwić, że Niemcy musieli znaleźć

kogoś, kogo można byłoby obarczyć winą za te nieszczęścia. Tak się złożyło, że wybrali akurat

Żydów. Oczywiście nie podoba mi się nagonka na Żydów i myślę, że to, co robią naziści, jest

bardzo okrutne i zupełnie niewybaczalne. Ale może nadszedł czas, abyśmy okazali odrobinę

dojrzałości i cierpliwości. Gdy tylko Niemcom zaczną się lepiej powodzić, zapomną całkowicie

o tej bezsensownej nienawiści, a wtedy kto wie, może znów będziemy bardzo dobrymi

sąsiadami.

Esther zmarszczyła brwi.

— No, nie wiem. Mój ojciec mówi, że szwab zawsze pozostanie szwabem.

Sacha roześmiał się.

— Wybacz, ale twój ojciec ma dosyć uproszczony sposób pojmowania historii.

Powiedział

mi, że historia jest jak pociąg towarowy załadowany robotnikami sezonowymi, którzy ciągle

wyskakują z niego i wskakują do środka, a historia toczy się dalej.

— No cóż, myślę, że ma rację w kwestii nazistów — odparowała Esther. — I mówił o robotnikach „sezonowych”, a nie: „sezanowych”.

Sacha poddał się, podnosząc ręce do góry.

— Przepraszam. Nie jestem taki niemądry, żeby kłócić się z przyszłym teściem.

Esther pochyliła się i pocałowała go w policzek. Nie zapomniała jeszcze ostatniej nocy.

— Nie bądź taki niemądry i nie kłóć się ze mną.

Tego ranka Sacha pojechał z Esther do Epernay, aby oprowadzić ją po piwnicach.

Towarzyszył im pan Medot, jak zawsze ożywiony i elegancki, który z entuzjazmem ucałował

dłoń Esther.

— Doskonale pamiętam pani pierwszą wizytę tutaj! — uśmiechnął się. — Jedno spojrzenie na pana Davida i już pani nie było! Pomyślałem sobie wtedy, że ta młoda dama jest zakochana!

— Pan Medot lubi uważać siebie nie tylko za wytwórcę szampana, ale także za znawcę natury ludzkiej — oziębło skomentował jego słowa Sacha.

W prasowni schładzało się sok winogronowy w celu zahamowania procesu utleniania, potem zaś przychodziła kolej na debourbage, czyli po prostu leżakowanie, które pozwalało opaść resztkom skórek i innym zanieczyszczeniom. Wtedy przewożono sok do przetwórnicy i umieszczano go w beczkach z dębowego drewna, gdzie zaczynała się pierwsza fermentacja.

— Większość dużych firm wytwarzających szampana fermentuje wino w kadziach ze stali nierdzewnej — zauważył Sacha. — Przechowywanie go w dębowych beczkach wymaga według nich zbyt wiele zachodu i czasu. Poza tym istnieje niebezpieczeństwo, że szampan będzie miał smak dębowego drewna, a to byłoby nie do przyjęcia.

— Ależ oczywiście, że nie do przyjęcia! — zawołała Esther.

Sacha roześmiał się. Znow mu dokuczała.

— Wino pozostaje w dębowych beczkach przez trzynaście dni. Większość wytwórców szampana fermentuje wino przez dziesięć dni. Mój ojciec upierał się jednak, że powinno to trwać trzynaście dni. Wszystko wskazuje, że w tej piwnicy zawsze daje to znakomite efekty, więc po co się spierać?

Pokazał Esther beczki, do których podczas zimowych miesięcy ściągano się sfermentowane wino. Ściąganie oznacza odsączanie wina z jednej beczki do drugiej, tak aby pozbyć się mętów, czyli drożdżowego osadu.

— I wreszcie nadchodzi chwila prawdy — powiedział Sacha. — To właśnie wtedy nasz chef de caves łączy ze sobą wina z różnych gatunków winogron, tworząc mieszaninę, która ostatecznie stanie się szampanem. Proces ten nazywa się assemblage, czyli zestawianie i to właśnie od niego zależy, czy nasz szampan będzie nadal znakomity, czy jego jakość obniży się.

Wprowadził Esther do ogromnego, pobielonego wapnem pomieszczenia z łukowatym sklepieniem, w którym stały rzędy masywnych kadzi, a z boku każdej z nich wystawała ogromna śruba.

— Chef de caves dobiera wina w różnych proporcjach w zależności od tego, czy ma stworzyć cuvee de prestige, czy mtanc de blancs, czy blanc de noirs, czy rose. Jego praca wymaga niemal

nadprzyrodzonych zdolności oraz długich lat praktyki. Ma on skomponować cały zestaw szampanów markowych, zestawiając wina tylko z danego rocznika oraz szampany niemarkowe, do których wykorzystuje się wino z różnych lat. Pochylił się nad pachnącą aromatycznie kadzią.

— Tutaj wszystkie rodzaje win zostają dokładnie ze sobą „pożenione”. Esther chwyciła go za rękę.

— Jeśli jest to dobre dla wina, może być dobre także dla mnie.

Sacha dał jej do skosztowania mały kieliszek mieszanki vin clair, podczas gdy Félix Benoist, młodszy chef de caves, obserwował ją rozbawiony. Wzięła łyk i skrzywiła się. Napój był wytrawny, kwaskowy i rozcieńczony.

— To z tego robicie szampana?

Félix Benoist roześmiał się. Sacha odpowiedział:

— Ach, zbliżamy się do momentu, w którym następuje prawdziwy cud tworzenia szampana. Nalewamy wino do butelek, do których dodajemy liqueur de tirage, mieszaninę wina, cukru i drożdży. Powoduje to drugą fermentację, dzięki której szampan zyskuje swój smak, równowagę i staje się musujący.

Razem z panem Medotem przeszli do miejsca, w którym rozlewano wino. Słychać było dzwoniące głośno na taśmie butelki, a dwudziestu czy trzydziestu pracowników, kobiet i mężczyzn w długich fartuchach nadzorowało cały proces. Tutaj dozowano wlewany do butelek liqueur de tirage. Potem zatykano je korkiem, zabezpieczano metalową klamrą oraz wstrząsano.

Następnie taśmą, która znikwała w otworze w podłodze, butelki wysyłane były na dół do piwnic.

— Teraz musimy zejść do najgłębszej z naszych piwnic — zawołał Sacha, przekrzykując hałas. — Podczas drugiej fermentacji butelki trzeba koniecznie przechowywać w stałej temperaturze dziesięciu stopni.

Zeszli po schodach do piwnicy, w której Esther spotkała kiedyś Sachę, a potem szli jeszcze niżej i niżej, a ich kroki dudniły po gołych, dębowych stopniach. Dotarli wreszcie do najchłodniejszej i najgłębiej położonej piwnicy Maison Louis David. Esther wzięła ze sobą płaszcz z wigonii, z futrzanym kołnierzem. Piwnice były przejmująco wilgotne i ciasne. Przy oddychaniu z ust leciała para. Esther nie potrafiła opanować dreszczy. Piwnice Louisa Davida zostały głęboko wykopane w tym samym kredowym podłożu, które decydowało o wyjątkowym charakterze winogron rosnących w Szampanii. Ciągnęły się

przez

ponad milę, słabo oświetlone sznurami elektrycznych żarówek. Po obu stronach głównej piwnicy

wydrążono nisze, w których na drewnianych stojakach leżakowały tysiące ciemnych, zakurzonych butelek szampana.

— Piwnice wykopano w okresie galloromańskim — wyjaśnił Sacha. — W czasach, kiedy wydobywano wapień na budowę miasta Reims. Oczywiście przez lata powiększyliśmy je

znacznie, a mój ojciec wykopał na samym końcu specjalną piwnicę na L'Etoile de Champagne.

Piwnica ta znajduje się tuż pod rzeką, więc wino przechowywane jest w stałej temperaturze

ośmiu stopni, co powoduje wolniejszą fermentację.

Pan Medot dodał:

— Większość naszych butelek pozostaje tutaj złożona przez miesiąc, lecz my nieustannie

rozkładamy te stosy i układamy je na nowo. Wstrząsamy także energicznie butelkami, aby

zapobiec tworzeniu się niepożądanego osadu. Proszę sobie wyobrazić, cóż to jest za praca, skoro

w każdej z tych nisz znajduje się prawie dwadzieścia tysięcy butelek szampana.

Po miesiącu

butelki przenosi się tutaj — powiedział, wskazując rzędy drewnianych, nachylonych pod kątem

desek, z których każda miała sześćdziesiąt otworów. Butelki szampana były w nich ułożone

lekko skośnie, szyjkami w dół.

Teraz szampan przechodził we wprawne ręce tak zwanych remueurs, którzy mieli za zadanie

codziennie obracać każdą butelkę o jedną ósmą obrotu, aby uwolnić znajdujący się w środku

osad oraz trącić lekko łokciem w dno butelki. Po kilku miesiącach butelki ustawiane były

zupełnie pionowo, korkiem w dół, by cały osad gromadził się w szyjce.

Esther była zachwycona tym, co robili remueurs. Ich dłonie ześlizgiwały się po pupitres

(stojakach) ze zdumiewającą szybkością. Wydawało się, że prawie wcale nie dotykają butelek.

— Jeden mężczyzna może obrócić dwadzieścia tysięcy butelek szampana dziennie — wyjaśnił

jej Sacha. — Ale metodę tę wynalazła kobieta, Nicole Barbe Clicquot, która przejęła firmę

Clicquot w 1805 roku. Wycięła ona otwory w swoim kuchennym stole, umieściła w nich butelki

szampana, wyjmowała je codziennie i wstrząsała. — Zaraz po fazie remuage butelki ustawiane są

pionowo w pozycji sur pointes, a więc szyjką w dół, aby wino dojrzało. Większość markowych

szampanów potrzebuje na to trzy lata, ale L'Etoile de Champagne pozostaje sur pointes przez

dziesięć lat.

— Kiedy szampan dojrzeje, z szyjki butelki trzeba usunąć osad — mówił dalej Sacha. —

Robimy to, zanurzając szyjkę w zamrożonej solance. W ten sposób wino w szyjce zmienia się

lodową breję, więc gdy postawimy butelkę w normalnej pozycji i wyciągniemy korek, substancja

ta wyskakuje na zewnątrz, a my nie tracimy przy tym ani odrobiny szampana. Potem dodajemy

jeszcze trochę cukru, a następnie zakorkowujemy butelkę, przylepiamy etykietę i znów

przenosimy wino na dół do piwnic, aby jeszcze poleżakowało. Wtedy szampan jest już gotowy

do sprzedaży.

Esther była zaskoczona, widząc, że nie używane korki nie miały wcale kształtu grzybka tylko

regularnego walca. Korki do połowy wprowadzano do butelek, a następnie błyskawicznym i

bardzo mocnym uderzeniem nadawano im ten charakterystyczny kształt. Umocowany potem na

górze metalowy kapturek uniemożliwiał drucianemu „koszyczkowi” wrzynanie się w korek.

— Wyjaśnię ci mały sekret — powiedział Sacha. — Kiedy otworzysz butelkę szampana,

przyjrzyj się korkowi. Im więcej znajdziesz na nim znaczków kontrolnych, tym lepszy jest

gatunek korka i można przypuszczać, że firma zadbała odpowiednio o swój wyrób. Esther potrząsnęła głową.

— Nigdy się tego wszystkiego nie nauczę.

— Nonsens! — zawołał Sacha, biorąc ją za rękę. — Wkrótce będziesz tak słynnym wytwórcą

szampana jak Veuve Clicquot.

— Veuve? Co to znaczy?

— Wdowa. Nicole Barbe przejęła firmę Clicquot, ponieważ jej mąż zmarł.

Esther uścisnęła mocno dłoń Sachy.

— Jeśli uczynisz mnie sławną za sprawą swojej śmierci, nigdy ci tego nie wybaczę.

Sacha roześmiał się.

— To niemożliwe, moja kochana. Ja jestem nieśmiertelny.

Lunch zjedli w Château David. Był pieczony kurczak nadziewany foiegras (trufle i brandy),

polany mieszaniną masła oraz szampana. Posiłek upłynął w pogodnej i przyjaznej atmosferze.

Teraz, kiedy Sacha pokazał jej całą wytwórnię i piwnice, Esther miała wrażenie, że lepiej go

rozumie: całe to poświęcenie, z jakim wytwarza on swoje wspaniałe wino oraz dlaczego jest tak

przywiązany do tradycyjnych metod produkcji. Siedziała blisko niego, a on od czasu do czasu

brał ją za rękę albo całował.

Victor przyjechał z Reims i opowiadał mnóstwo zabawnych historyjek o Niemcach, z którymi robił interesy.

— Pokazali mi samochód wyposażony w tak zwane ersatz opony, zrobione z jakiegoś ekstraktu węglowego. Była wielka uroczystość, kamery filmowe, urzędnicy partyjni, flagi, wszystko! Włączyli samochód, ale nie mogli ruszyć, ponieważ opony roztopiły się i natychmiast przykleiły do drogi. W życiu nie słyszałem takich krzyków i kłótni.

Victor był szczupłym mężczyzną o delikatnych rysach twarzy i przerzedzonych, czarnych włosach, a jego sposób gestykulacji rękami można by nazwać zniewieściałym. Był jednak człowiekiem stanowczym i znał się na interesach — nikt nie miał co do tego wątpliwości.

Marguerite najwyraźniej uwielbiała Victora.

— Moim zdaniem — powiedział, kiedy usiedli przy stole — szaleństwem byłoby przestać handlować z nazistami. Im bardziej staralibyśmy się ich izolować, tym będą stawać się gorsi.

Herr Hitler doszedł do władzy, ponieważ w Niemczech był kryzys ekonomiczny, i tylko wtedy,

gdy poprawi się tamtejsza sytuacja gospodarcza, może on tę władzę utracić.

— Zupełnie się z tobą zgadzam — rzekł Sacha, nalewając szampana.

— A ja uważam nazistów za tak strasznie odrażających, że brak mi słów — wtrąciła Esther.

— Nie wiem, jak możesz nawet myśleć o robieniu interesów z tymi bandytami. Oni nie pozwalają Żydom być normalnymi obywatelami.

— Masz rację — odpowiedział Victor. — Ale lepiej jeśli będziemy z nimi dyskutować i

próbować ich przekonać. Prócz tego pozostaje nam tylko wojna, a gdybyś widziała wojnę na

własne oczy, zrozumiałabyś, dlaczego z taką niechęcią myślimy o angażowaniu się w następną.

Szampan, który pijemy dzisiaj, pochodzi z ziemi użyźnionej ciałami poległych.

Nigdy więcej nie

chcielibyśmy pić takiego wina.

— A więc taki wznoszę toast — oświadczyła Esther.

— Myślę, że wszyscy za to wypijemy — odezwała się Marguerite i podniosła kieliszek.

Później tego samego dnia odwieźli Victora i Marguerite na dworzec kolejowy w Reims, skąd

la comtesse i jej mąż mieli połączenie do Charleroi, a potem przesiadali się na pociąg sypialny do

Berlina. Esther uścisnęła Marguerite, jakby znała ją całe lata, a nie tylko jeden dzień. Victor

pocałował Esther i powiedział:

— Przyjedź do Flers jeszcze przed ślubem. Ugościmy cię tam jak królową.

— Obiecujcie mi, że będziecie na siebie uważać — odparła Esther.

— Oczywiście — odpowiedział Victor.
Esther i Sacha stali razem na peronie i patrzyli na odjeżdżający pociąg.
Marguerite machała
chusteczką, a Victor kapeluszem. W końcu pociąg zniknął za rzędem magazynów i
wozowni, a
dym rozpląnął się na popołudniowym niebie. Wrócili do samochodu Sachy.
— Twoja siostra jest urocza — stwierdziła Esther. — Myślę, że się zaprzyjaźnimy.
— Jest dla mnie kimś bardzo bliskim i drogim — odrzekł Sacha. — Wolałbym, aby w
obecnej
sytuacji nie jechała do Berlina.
— Victor zaopiekuje się nią. A naziści nie będą mu przecież robili żadnych
kłopotów. Tak
bardzo potrzebują tych jego opon.
— Może masz rację — odpowiedział Sacha, spoglądając na zegarek. — Chyba już
czas, abym
odwiózł cię do Paryża. Masz być na kolacji w Ambassadeurs, prawda?
— Miałabym straszną ochotę zostać jeszcze jeden dzień.
— Nie, nie — zaprotestował Sacha, obejmując ją ramieniem. — Ty masz umówione
spotkanie, a ja swoją pracę. Już i tak zbyt mało od niej oderwałam.
— W takim razie, kiedy znów cię zobaczę?
— W przyszłym tygodniu. W czwartek jadę do Paryża, bo umówiony na lunch z
ministrem
handlu.
Wrócili do Château David, aby zabrać stamtąd Doris i walizki Esther. Kiedy
skręcili w drogę
dojazdową, niespodziewanie zobaczyli srebrnego packarda Guillaume'a
zaparkowanego przed
domem.
— Dzisiaj mamy chyba zjazd rodzinny — zauważyła Esther.
Sacha nie odpowiedział, nie uśmiechnął się nawet. Wsiadł z samochodu, otworzył
drzwi
przed Esther, po czym ruszył naprzód wielkimi krokami i z zawziętym wyrazem
twarzy.
Guillaume z rękami w kieszeniach i papierosem w ustach czekał w bibliotece,
gapiąc się w
okno.
— O, Sacha! — zawołał. — Madame Hatte powiedziała, że niedługo wrócisz. O, jest
i twoja
urocza narzeczona! Jak się pani ma, mam'selle! Czy temu staremu piernikowi udało
się chociaż
panią zabawić? Obawiam się, że życie w Château David jest raczej ponure. Mówi
się tu tylko o
wspaniałych tradycjach produkcji wina i zastanawia, czy szampana powinno się
oczyszczać
techniką ? la volée, czy d la glace. Esther przyjęła łaskawie jego uścisk dłoni
i pocałunki.
— Prawdę powiedziawszy, bawię się tu tak dobrze jak nigdy — odrzekła.
Guillaume chwycił Sachę za łokieć.
— No, no! A więc panna Flecker zdołała cię trochę ożywić.
Sacha odpowiedział:

— Muszę odwieźć Esther do Paryża. Byłbym wdzięczny, gdybyś mógł przejść do rzeczy.

Guillaume rozgniół papierosa.

— Może w cztery oczy.

— W porządku — odparł Sacha i zwrócił się do Esther: — Zechcesz nas zostawić, kochanie?

Tylko na pięć minut.

Esther poszła na górę upewnić się, czy Doris zapakowała wszystkie jej kosmetyki.

Zatrzymała

się na moment w sypialni, przypominając sobie, jak Sacha kochał się z nią ostatniej nocy. Stała

przy łóżku, trzymając rękę na rzeźbionym słupku baldachimu i uśmiechała się do siebie. Nigdy

nie wyobrażała sobie, że mogłaby kogokolwiek kochać tak mocno. Na samą myśl o tym czuła

dreszcze przebiegające wzdłuż kręgosłupa.

W ogrodzie jeden z pracowników spokojnie grabił liście na trawniku. W oddali paliło się

ognisko. Rok 1937 dobiegał końca, a w przyszłym Esther miała wyjść za mąż.

Wtedy właśnie usłyszała krzyki w bibliotece. Sacha i Guillaume kłócili się ze sobą głośno po

francusku, ale rzucane gniewnie słowa były zbyt zniekształcone, aby Esther mogła zrozumieć, o

co chodzi. Kłótnia trwała przez kilka minut. Potem Esther usłyszała, jak zatrzasnęły się drzwi

biblioteki, a kiedy wyjrzała z półpiętra przez balustradę, zdążyła akurat zobaczyć wybiegającego

z domu Guillaume'a.

Zeszła powoli po schodach. Sacha był w bibliotece. Gwałtownym ruchem zapalał papierosa.

Esther podeszła do niego, dotknęła jego pleców i zapytała:

— Coś jest nie w porządku, prawda? Co się stało?

Sacha wypuścił dym i zirytowany potrząsnął głową.

— Sacha, kochanie, jeśli nie powiesz mi, co się tutaj dzieje, jak mogę ci pomóc?

Sacha, za pół

roku mamy się pobrać!

— Och, to tylko Guillaume. Zawsze taki sam — odrzekł Sacha. — Ma kłopoty, ponieważ

przyjął zbyt wiele zamówień na markowego szampana brut i chce, żebym mu sprzedał dwadzieścia pięć tysięcy butelek mojego szampana niemarkowego, którego mógłby

potem

rozprowadzić jako swój własny wyrób.

— A ty oczywiście odmówiłeś.

Sacha podniósł z biurka plik papierów, po czym cisnął go na bok.

— Obchodzą go tylko zyski! Nie dba o dobre imię przemysłu winiarskiego, nie dba nawet o

własną reputację. Byle tylko mógł zarabiać pieniądze!

Esther przytuliła go.

— Uspokój się, kochanie. Nie denerwuj się. Dałeś mu ostrą odprawę i tylko to się liczy.

— Chciałbym, żeby tak było — odparł.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mówię, że jestem zmuszony dać mu to, czego chce.

— Musisz? Co ty mówisz?

— To co słyszysz. Muszę.

— Ale dlaczego?

Sacha zdjął okulary i położył je wolnym ruchem na suszce.

— Na niektórych z nas spoczywają obowiązki, które trzeba spełnić, na niektórych winy

wymagające zadośćuczynienia.

— Sacha, na litość boską, mów! — błagała Esther.

— Włóż płaszcz — odpowiedział. — Pójdziemy do ogrodu. Tamm ci powiem. Ogród był zawsze ulubionym miejscem Camille.

Trzymając się za ręce, szli przez pagórkowate trawniki oświetlone pomarańczowym, październikowym słońcem. Powietrze robiło się już chłodne, a dym z palonych liści unosił się

między gałęziami srebrnych brzoź.

Sacha długo nic nie mówił, potem jednak poprowadził Esther w stronę kamiennej ławki, która

stała przodem do słońca. Usiedli na niej oboje. Z oddali obserwowała ich ciekawska wiewiórka.

— Widziałas zdjęcie Camille w garderobie — zaczął Sacha.

— Oczywiście — odparła Esther. — Ale nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z Guillaume'em.

Sacha spojrzał w bok.

— Camille i ja byliśmy małżeństwem przez sześć lat. Dla mnie były to jedne z najszcześniejszych lat mego życia. Skłamałbym, gdybym powiedział ci, że jej nie kochałem.

Kochałem ją żarliwie i każdego ranka, kiedy budziłem się obok niej, dziękowałem Bogu za to, że

ją dla mnie stworzył. — Przerwał B& moment, potem zaś mówił dalej: — Niestety nie było mi

dane cieszyć się tym szczęściem długo. W szóstym roku naszego małżeństwa, pod koniec lata,

kiedy wróciłem z dwumiesięcznej podróży do Ameryki, Camille przyznała się do czegoś.

Pewnego wieczoru Guillaume i jego żona Juliette zabrali ją ze sobą na bal.

Juliette wróciła do

domu wcześniej, ponieważ bolała ją głowa. Camille natomiast tańczyła z

Guillaume'em i... jak

to mówią, od tego się zaczęło. Spotkali się potajemnie kilka razy i Camille zakochała się w nim.

Esther dotknęła jego dłoni.

— Och, przykro mi, Sacha. Nie wiedziałam.

— Ale to jeszcze nie koniec — powiedział ze ściśniętym gardłem. — Camille odeszła ode

mnie i zamieszkała z przyjaciółką w Chalons, aby być bliżej Guillaume'a. Pewnego dnia, gdy

pracowałem w piwnicach, jej przyjaciółka przyszła do mnie i powiedziała, że Camille nie żyje.

Była w ciąży; coś poszło nie tak i zmarła, ona i dziecko. Jak na ironię, był to chłopiec.

— Och, Sacha — rzekła Esther — naprawdę bardzo mi przykro. Nic dziwnego, że tak bardzo nienawidzisz Guillaume’a.

Sacha przygładził obiema rękami włosy i spróbował się uśmiechnąć.

— Nienawidzę? Nie, ja go nie nienawidzę. W każdym razie staram się tego nie robić.

Nienawiść zawsze wymaga wiele wysiłku. Czuję jednak do niego wstręt, lecz nie z powodu Camille, ale dlatego, że nie obchodzi go nic poza własnym zyskiem. On nie ma żadnych zasad.

Nie liczy się dla niego wierność ani tradycja. To człowiek bez duszy.

Esther pocałowała Sachę w policzek, a potem długo i namiętnie w usta.

— Nie pozwól, aby cię denerwował. Nie jest tego wart. Sacha westchnął głośno.

— Jestem naprawdę zły na Guillaume’a tylko wtedy, gdy rozpoznaję w nim samego siebie.

Byłem odpowiedzialny za śmierć Camille tak samo jak on. Guillaume zabił ją swoją brudną miłością, przez którą zaszła w ciążę, ja natomiast zabiłem ją moim brakiem zainteresowania.

— Jak możesz tak mówić! — wykrzyknęła Esther. Sacha smutno zwiesił głowę.

— Była moją żoną. Wkrótce ty też nią zostaniesz. Młoda żona potrzebuje miłości i opieki, a ja nie potrafiłem myśleć o niczym innym tylko o interesach. Liczyło się wino i jeszcze raz wino.

Zakładałem, że Camille będzie mnie kochać bez powodu. — Podniósł głowę, spojrzął na nią i uśmiechnął się z przymusem. — Z tobą będzie inaczej. Mam już nauczkę. Od teraz istnieje dla mnie tylko jedna Gwiazda Szampanii i będziesz nią ty.

Miał łzy w oczach. Esther przycisnęła jego dłoń do swoich ust i powiedziała:

— Sacha, kocham cię. Tylko to się liczy.

Siedzieli razem na kamiennej ławce i rozmawiali, dopóki na dworze nie zrobiło się chłodno i ciemno. Na niebie pojawiło się stado jaskółek lecących do ciepłych krajów. Wyglądały jak kreski czarnego atramentu na szarym papierze. Esther i Sacha wrócili w końcu do domu, gdzie czekała na nich cierpliwie Doris. Służąca siedziała w ciszy, ze stoickim spokojem, trzymając torbę podrózną na kolanach.

Rok dobiegł końca. Esther spędziła w Paryżu szaleńczo radosną zimę. Chodziła z Isabelle na zakupy do najwspanialszych sklepów na Polach Elizejskich, gdzie kupowała perfumy, biżuterię, futra i buty. Pod koniec listopada spadł śnieg i przez dwa dni całe miasto wyglądało jak z bajki.

Było jeszcze więcej śmiechów i plotek, od kiedy le Duc de Guise, pretendent do francuskiego

tronu, oświadczył, że zamierza domagać się swoich praw jako pierworodnego i przejąć rządy we Francji.

Esther niemal co wieczór chodziła na przyjęcia, bale i kolacje. Została stałym bywalcem u Fouqueta, w Ambassadeurs i w Boeuf sur le Toit. Należała do grona osób, które uznawano za „szalenie eleganckie”.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia w domu Delahaye’ów określiła jako po prostu wspaniały!

Przez całe przedpołudnie wszyscy siedzieli w porannych strojach, otwierali gwiazdkowe prezenty, pili szampana i śmiali się radośnie. Potem, o drugiej po południu, przebrali się do obiadu i przenieśli do jadalni, była udekorowana zielono–złotymi ozdobami i dziesiątki migocących świec. Podano świeżego łososia, pieczoną i czerwoną kapustę. Pili szampana i rozmawiali coraz głośniejsze, aż w końcu nie słyszeli już prawie własnych myśli. Matka i ojciec Esther, chociaż byli Żydami, zawsze bardzo hucznie obchodzili święta Bożego

Narodzenia. Jednak Esther nigdy nie widziała takich świąt jak te.

Było wspaniale! Było cudownie! Opychaliśmy się przepyszny jedzeniem, graliśmy w głupie

gry, a Henri tak bardzo nas rozśmieszał, że niemal robiło nam się niedobrze!

Zabawny z niego facet!

Widziała się z Sachą kilka razy w miesiącu. Przebywała właśnie w Château David, gdy

płaskowyz Szampanii pokryła gruba warstwa śniegu. Pewnego ranka stali na zakręcie drogi w

Champillon, spoglądali na winnice i nie słyszeli zupełnie nic z wyjątkiem rżężenia odległego citroena, który usiłował wjechać pod górę.

— Nic — stwierdziła Esther, klaszcząc dłońmi w jasnoczerwonych, wełnianych rękawiczkach. — Jakby cały świat umarł!

— Albo zasnął — wtrącił Sacha.

Sacha przyjeżdżał też regularnie do Paryża. Często chodzili razem na przyjęcia albo do Grand

Ecart na występy kabaretu lub do Maxima na kolacje. Systematycznie robiono im zdjęcia do

kronik towarzyskich. Ich fotografie obiegały cały świat: „Król Bąbelków”, „Sacha David w

towarzystwie Księżniczki Kolei”, „Esther Flecker”. Firma produkująca papierosy Primerose

spytała nawet, czy Esther nie zechciałaby wystąpić w ich reklamie. Ona jednak odrzuciła tę

propozycję, oświadczając, że jedyny produkt, jaki kiedykolwiek będzie reklamować, to szampan

Louisa Davida.

— Brawo! — zawołał Sacha, kiedy mu o tym powiedziała, i pocałował ją.
W marcu, cztery tygodnie przed ślubem, Sacha miał zabrać Esther do Cannes, a potem do Tangeru. Ale w pewien słoneczny, niedzielny poranek, na tydzień przed planowanym wyjazdem, zjawił się w domu Delahaye'ów. Wydawał się zmęczony i wyjątkowo zmartwiony.
— Wyglądasz, jakbyś zgubił sto franków, a znalazł jednego centyma — stwierdziła Esther, wpuszczając go do środka. — Dziękuję, Héloïse, to wszystko. Powiedz jednemu z chłopców, żeby przyniósł butelkę szampana.
— Nie, nie. Dziękuję — powiedział Sacha, rzucając laskę na stojak. — Muszę zachować trzeźwość umysłu.
— Co się stało? — zapytała Esther.
— Przejdźmy do salonu — zaproponował Sacha, biorąc ją pod ramię.
Nikt jeszcze nie wstał po całonocnym balu u comtesse Perci-Blunt, więc salon był pusty.
Sacha wyjął papierosa zapalił go szybkim ruchem.
— Obawiam się, że będziemy chyba musieli odłożyć nasz wyjazd na Lazurowe Wybrzeże.
Nie na długo. Muszę jednak ST pojechać do Berlina. Victor ma jakieś kłopoty.
— Kłopoty? Jakie kłopoty?
— Jeszcze nie wiem. Ale dzisiaj rano dzwonili do mnie pracownicy firmy Achille i mówili, że Victor nie pojawił się w biurze od trzech czy czterech dni, a oni nie mogą się z nim kontaktować.
Próbowali dzwonić do niemieckich spółek, z którymi Victor robił interesy. Dzwonili nawet na policję i do szpitali, ale jak dotąd nie udało im się niczego dowiedzieć. Ja sam telefonowałem do Marguerite, lecz jej linia była godzinami zajęta.
— To dziwne — stwierdziła Esther. — W sobotę dostałam od niej pocztówkę. Pisała, że bawią się znakomicie. Patrz, pokażę ci.
Sacha wzruszył ramionami.
— Mam dosyć niepewne wiadomości. Sekretarka Victora słabo zna angielski, a pracownicy Achille nie mówią dobrze po niemiecku, więc może to tylko fałszywy alarm. Ale rozumiesz chyba, że muszę jechać do Berlina, aby się całkowicie upewnić.
— Oczywiście — odparła Esther. — Victor i Marguerite są znacznie ważniejsi niż wyjazd na wakacje. Czy chcesz, żebym pojechała z tobą?
— Cóż, to kusząca propozycja — przyznał Sacha. — Muszę jednak działać bardzo szybko, niezwykle dyskretnie i potrzebny mi ktoś, kto biegle zna niemiecki. — Przerwał i położył dłoń na ramieniu Esther. — Poza tym jesteś bogata, znana i jesteś Żydówką. Dlatego też dla twojego

bezpieczeństwa i dla własnego spokoju wolałbym, żebyś została tutaj W Paryżu. Jadę z jednym z naszych doradców prawnych, Georgesem Herardem, który przez trzy lata studiował w Kolonii.

— Będziesz ostrożny, prawda? — upewniła się Esther.

— Oczywiście. Nic na świecie nie przeszkodzi nam, żebyśmy w kwietniu wzięli ślub.

Pocałował ją i pogłaskał po włosach.

— Rozumiesz mnie, prawda? Muszę się upewnić, że nic im się nie stało.

Esther kiwnęła głową.

— Powinna chyba rozpakować moje stroje kąpielowe. Sacha, chociaż był bardzo niespokojny, roześmiał się.

— Jeszcze popływamy, zobaczysz! Za parę dni wrócę tu z Victorem i Marguerite, a potem

wszyscy razem polecimy do Nicei.

Esther przytuliła go mocno.

— Proszę, uważaj na siebie. Gdyby coś miało się stać... Dotknął palcem czubka jej nosa.

— Nic się nie stanie. Ty i ja byliśmy od zawsze sobie przeznaczeni, nie zapominaj o tym!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

O jedenastej rano następnego dnia Sacha zadzwonił do niej z Berlina. Połączenie było bardzo

kiepskie. Był już w okolicach domu numer 17 na Brandenburger Strasse, gdzie zatrzymali się

Victor i Marguerite. Ich mieszkanie na pierwszym piętrze było zamknięte. W domu nie dało się

też dostrzec śladów niczyjej obecności, chociaż wynajęty przez Victora mercedes benz stał w

garażu na tyłach budynku.

Sacha udał się również do głównej komendy berlińskiej policji. Nie mieli tam żadnych

zgłoszeń o jakichkolwiek osobach odpowiadających rysopisowi Victora i Marguerite. Nikt taki

nie zaginał, nie został aresztowany lub zabrany do szpitala, ani nawet znaleziony martwy.

Młodszy urzędnik ambasady francuskiej oświadczył, że jest zakłopotany.

Ostatnio widziano Victora późnym wieczorem 13 marca, kiedy wracał do domu z pracy. Stróż

z Brandenburger Strasse otworzył przed nim drzwi frontowe, ponieważ Victor w jednej ręce

trzymał teczkę, a w drugiej — wielką wiązkę kwiatów.

Esther stwierdziła:

— Może po prostu Victor poczuł się nagle znudzony sprzedawaniem opon i wybrał się z

Marguerite na jakiś tygodniowy urlop, nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie. Mnie również zdarzało

się już robić takie głupie rzeczy.

— To nie w stylu Victora — odparł Sacha. — Victor jest bardzo skrupulatny i systematyczny.

Nigdy nie słyszałem, aby zrobił coś nieprzewidzianego. Poza tym jeżeli myślał o wyjeździe na tygodniowy urlop, dlaczego miałby nieść kwiaty do domu i zostawiać samochód? Esther, to nie ma sensu.

— Co zamierzasz teraz zrobić? — zapytała Esther. — Zostaniesz tam?

— Może jeszcze jeden lub dwa dni, chociaż niewiele mogę zdziałać. Policja mówi, że to nie ich sprawa, jeżeli dwoje dorosłych ludzi postanowiło zniknąć. Przetrzęsneliby połowę Niemiec, gdyby było trzeba.

— W każdym razie uważaj na siebie — powiedziała Esther. — Jak tam jest?

— Słonecznie, wietrznie i niezbyt ciepło. Berlin zmienił się bardzo, od kiedy byłem tu ostatni raz, ponad dziesięć lat temu. W tamtych czasach były tu same seks-kluby i sale dansingowe.

Teraz widać wszędzie tylko swastyki.

— Boże, mam nadzieję, że Victorowi i Marguerite nic się nie stało — rzekła Esther.

— Ja też. Mam do Victora pełne zaufanie; wiem, że zaopiekuje się Marguerite.

— Ja natomiast nie ufałabym Niemcom. W dzisiejszych czasach zachowują się strasznie

dziwnie. Monsieur Delahaye uważa, że oni wszyscy pogłupieli.

— A może monsieur Delahaye mógłby użyć swoich wpływów i pomóc nam odszukać Victora

i Marguerite? Zna przecież ministra spraw zagranicznych.

— Poproszę go o to dzisiaj — obiecała Esther.

Sacha wrócił do Paryża pod koniec tygodnia. Esther i Henri wyszli po niego na Gare de l'Est.

Wyłonił się z chmury w unoszących się wokół ekspresu berlińskiego. Wyglądał na wyczerpanego

i bardzo zmartwionego. Miał wielkie, ciemne sińce pod oczami.

— Próbowałem wszystkiego, co możliwe — powiedział strapiony. — Oboje zniknęli jednak

bez śladu. Jeszcze raz poszedłem na policję i do ambasady. Wynająłem nawet prywatnego

detektywa. Nic z tego. Nikt ich nie widział i nikt nie miał od nich wiadomości.

Nikommu nie

mówili, że wyjeżdżają z Berlina, nie zostawili też żadnych informacji. Esther zdjęła Sachy

kapelusz i uczesała mu włosy.

— Och, Sacha, przykro mi. Wszyscy się zamartwiamy. Panu Delahaye udało się wczoraj

wieczorem porozmawiać ze znajomym z ministerstwa spraw zagranicznych. Ktoś będzie

rozmawiał w tej sprawie z niemieckim rządem, może więc coś się wyjaśni.

Sacha zmęczonym ruchem przejechał dłońmi po twarzy.

— Mój Boże, mam nadzieję. Henri dodał:

— Ojciec ma dobre kontakty z berlińskimi bankierami. Zamierza ich poprosić o pomoc.

— Sprawdzalem już w banku Victora — stwierdził Sacha. — Wygląda na to, że nie podejmował on żadnej nadzwyczajnej sumy przed swoim zniknięciem. Jeśli postanowiłby zrobić Marguerite niespodziankę i zabrać ją na wakacje, wziąłby przecież ze sobą jakąś dodatkową gotówkę, nie sądzicie?

— Możemy się chyba tylko modlić — odparła Esther.

Tego wieczoru Sacha został na kolacji u Delahaye'ów w domu przy rue Jean Giraudoux. Był to zwyczajny posiłek, który jedli w ciszy.

— Zastanawiałem się, co powinniśmy zrobić ze ślubem — rzekł Sacha. Esther przechyliła się i wzięła go za rękę.

— Chcesz przełożyć ślub?

Sacha zastanowił się przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

— Nie. Nawet jeśli nigdy nie odnajdziemy Victora i Marguerite, to oni nie życzyliby sobie tego.

— Sacha, jeśli wolałbyś poczekać... — zaczęła Esther.

— Nie, najdroższa. Chcę się z tobą ożenić. Jeśli stało się coś strasznego, bardziej niż kiedykolwiek będę potrzebował twojego wsparcia.

Monsieur Delahaye wytarł usta serwetką i oświadczył:

— Mój przyjaciel z ministerstwa spraw zagranicznych może Niemcy byli bardzo uprzejmi i pomocni, ale jak dotąd zdołali dowiedzieć się więcej niż ty. Wygląda na to, że rja siostra i jej mąż zniknęli bez śladu. Isabelle zapytała:

— A twojemu prywatnemu detektywowi nie udało się wpaść na jakikolwiek trop?

Sacha potrząsnął głową.

— Nadal próbuje. Zapłaciłem mu, aby kontynuował poszukiwania co najmniej przez miesiąc.

Po wyjściu Sachy Esther poszła na górę do pokoju Isabelle i obie spędziły resztę wieczoru, rozmawiając o ślubie. Zaplanowany był na sobotę, 16 kwietnia. Rodzice Esther mieli przyjechać do Cherbourga dokładnie tydzień wcześniej, a pozostałych czterystu gości — kilka dni przed uroczystością. Planowano trzy kolacje, dwa przyjęcia i śniadanie weselne w Hotel Le Crillon. Po wyjeździe nowożeńców w podróż poślubną (trzytygodniowy rejs po Morzu Śródziemnym na szkunerze Delahaye'ów — Argosie; mieli nim pożeglować aż na Cypr) miało się odbyć wielkie ogrodowe przyjęcie w domu lady Newton — Bysshe niedaleko Wersalu. Suknia ślubna, kreacja z białego jedwabiu autorstwa Mainbochera, była już gotowa. Ten pochodzący z Paryża amerykański projektant stał się bardzo popularny dzięki temu, że właśnie on przygotował wyprawę panny młodej dla pani Simpson. Modele przeznaczone dla pani

Simpson były proste, niekiedy surowe. Natomiast dla Esther zaprojektowano fason o łagodnie falującej linii z białymi, jedwabnymi kokardami i setkami pereł. Suknia ślubna wyglądała tak, jakby uszyto ją dla księżniczki z bajki. Isabelle nastawiła płytę z wolną muzyką i obie zapaliły papierosy. — Wiesz, mam nadzieję, że znajdą Victora i Marguerite — odezwała się Isabelle. — Przede wszystkim ze względu na nich samych, jednak cała sprawa rzuciłaby straszliwy cień na twój ślub. — Sacha nie chce słyszeć o przełożeniu ślubu — odrzekła Esther. — No cóż, myślę, że ma rację. To zabrzmi okropnie, ale życie musi toczyć się dalej, bo przecież musi, prawda? Sacha mówi, że pozbiarał się jakoś po stracie Camille i chyba tak samo będzie musiał poradzić sobie, jeśli straci Marguerite. Z gramofonu słychać było śpiew: „Moja ukochana jest zawsze smutna, zawsze przygnębiona i smutna, To naj–naj–smutniejsza z moich ukochanych...” Isabelle zapytała: — Nie myślisz przecież, że Marguerite zaginęła na zawsze, prawda? — Nie wiem. Boże, mam nadzieję, że nie. Ale w Niemczech zniknęło już bardzo wielu ludzi, zwłaszcza Żydów. Jeśli nie pojawi się do naszego ślubu, odmówimy za nią specjalną modlitwę podczas ceremonii. Siedziały potem w milczeniu, paląc papierosy i słuchając muzyki. Gdyby Victor i Marguerite zginęli w wypadku samochodowym, Esther łatwiej byłoby zaakceptować ich nagłe zniknięcie. Najbardziej przygnębiający był właśnie fakt, że przepadli jak kamień w wodę. A ona znała Marguerite tak krótko! Tej nocy leżała w łóżku z zaciśniętymi mocno powiekami i szeptała: — Drogi, kochany Boże! Proszę, opiekuj się Victorem i Marguerite, gdziekolwiek są. Błagam, pomóż nam ich odzyskać! Przez okno sypialni zaglądał księżyc. Tej nocy ulice w Paryżu były wyjątkowo ciche, jakby całe miasto wstrzymywało oddech. Na samym początku roku ceny akcji na Wall Street nadal spadały. Jednak mimo że wartość rynkowa akcji kolei Thomasa Fleckera obniżyła się o ponad piętnaście, a domów towarowych o ponad dwadzieścia jeden procent, majątek osobisty ojca Esther nie ucierpiał na tym tak dotkliwie, jak obawiał się Pierre Delahaye. Nadal mógł sobie pozwolić na sfinansowanie wesela córki w wielkim stylu.

Poprosił jednak
Pierre'a o drobne wsparcie przy organizowaniu przyjęcia, które miało się odbyć
po wyjeździe
nowożeńców w podróż poślubną.
Esther stawała się coraz bardziej podniecona wraz ze zbliżaniem się dnia ślubu.
Pogoda była
coraz ładniejsza, a w Paryżu zdecydowanie pojaśniało. Przed przyjazdem rodziców
z Ameryki
była jeszcze dwa razy w Szampanii. Wzięła wymiary niektórych pokoi w Château
David, aby
wybrać nowe dywany, zasłony i tapety. Sacha obiecał, że będzie mogła całkowicie
zmienić
wystrój domu i urządzić go od góry do dołu w jakim tylko chce stylu.
— To będzie coś grand i rococo — zdecydowała. — Chcę się czuć jak Maria
Antonina,
siedząc ze stopami na złoconym podnóżku i rozkazując wszystkim, że mają zjeść
swoje gâteau*.
Wciąż nie było żadnych wieści z Niemiec na temat Victora i Marguerite. Prywatny
detektyw,
którego zatrudnił Sacha, telefonował codziennie i za każdym razem jego raport
brzmiał
jednakowo: Ich habe nichts neues gehört*.
Sacha starał się zachowywać wesoło i być dobrej myśli. Madame Hatte powiedziała
jednak
Esther, że czasami zamykał się w bibliotece i wypija sam całą butelkę UEtoile de
Champagne, a
potem na czworakach wpełza po schodach do sypialni. Sacha uwielbiał Marguerite i
choć
wiedział, że nie zdradza jej, zeniąc się z Esther w sytuacji, gdy wciąż nie
wiedział, co się stało z
siostrą, to ledwie potrafił znieść ból, który odczuwał po jej utracie.
Esther zapisała w swoim pamiętniku:
Jednego dnia jestem wniebowzięta, drugiego — załamana. Czuję się winna, wydając
przyjęcia
i będąc szczęśliwa, gdy V. i M. być może męczą się gdzieś tam w jakimś ohydny,
hitlerowskim
więzieniu. A może przytrafiło im się coś jeszcze gorszego! No i ten ślub!
Zapowiada się wspaniałe
wesele przez wielkie „W”. Piszą o nim we wszystkich gazetach i nawet gdybyśmy
chcieli je
odwołać, nie moglibyśmy. Chybaby nas zlinczowali!
9 kwietnia Isabelle pojechała z Esther do Cherbourga, żeby przywitać rodziców
przybywających Queen Mary. Był pochmurny dzień. Silny wiatr rozwiewał drobne
krople
deszczu. Kiedy Esther zobaczyła wychodzących z komory celnej i machających do
niej
rodziców, uderzyło ją, jak bardzo się postarzeli przez tę jedną zimę. Domyślała
się, że ojciec
martwił się stanem interesów, nigdy jednak nie widziała, aby był aż tak
zmizerowany.

Natomiast matka zrobiła się znacznie mniej napuszona i zarozumiała. Ubrana była w

nadzwyczaj stateczny, szary kostium i kapelusz z piórami w tym samym kolorze. — Esther, wyglądasz czarująco — zawołała, przygotowując usta do pocałunku; nie straciła

więc całej pewności siebie. Kiedy mówiła innej kobiecie: „wyglądasz czarująco”, znaczyło to

mniej więcej: „wyglądasz troszeczkę lepiej niż strach na wróble, ale, do diabła, daleko ci do tego,

aby wyglądać tak cudownie jak ja”. Kiedy zaś mówiła swoim przyjaciółkom, że wyglądają

„elegancko”, wtedy naprawdę miały się czym martwić.

Ojciec Esther pocałował córkę oschle w oba policzki.

— To tak witają się we Francji, prawda? Miło cię widzieć, moja droga. Miło widzieć, że

wyglądasz tak dobrze.

— Rodney dzwonił przed naszym wyjazdem — rzekła matka. — Mówił, że prawdopodobnie

przyjedzie do Paryża w piątek wieczorem. Najpierw wybiera się do Londynu, a potem przyleci

tutaj.

Ojciec prychnął pogardliwie.

— Najwyższy czas, żeby zaczęli wozić ludzi samolotami przez Atlantyck. Nigdy nie mogłem

znieść tych podróży morskich. To ciągle kołysanie z boku na bok i ci wszyscy głupcy. Dlaczego

dokądkolwiek byś podróżowała, zawsze spotykasz samych głupich ludzi?

— Twój ojciec cierpiał na chorobę morską — wyjaśniała matka, kiedy Hector otworzył przed

nią drzwi limuzyny, a ona, unosząc swoje siedzenie, wdrapała się na tył. —

Namawiałam go,

żeby wziął lekarstwo na mdłości, ale nie! Musiał się umartwiać.

— To wina jedzenia — skarżył się ojciec. — Ci przekłęci Brytyjczycy nie potrafiliby nic

ugotować, nawet gdyby od tego zależało ich życie. Sardynki i nerkówka, cholera jasna!

Kiedy jechali do Paryża, matka postukała Esther w kolano i tonem, który zabrzmiał niemal jak

rozkaz, oświadczyła:

— Wyglądasz na szczęśliwą.

— Jestem szczęśliwa.

— Z twoich listów też się to wyczuwało.

— Bo byłam i jestem szczęśliwa. Spędziłam tutaj cudowne chwile.

— A twój narzeczony też jest szczęśliwy?

— Tak, jest. I to bardzo.

Ojciec zapytał:

— Czy mieliście już jakieś wieści o jego siostrze? Nie? To straszne. Tragiczne.

Nie oddałbym

w ręce Niemców nawet mojego ulubionego szczura, nie mówiąc już o najbliższych.

— Nie masz przecież szczura — wtrąciła matka Esther. — O co ci chodzi z tym

ulubionym
szczurem?

— Na litość boską, to taka przenośnia!

— Nigdy jej nie słyszałam.

— Bo właśnie ją wymyśliłem.

Matka Esther spojrzała na Isabelle i skrzywiła się.

— Nie chce wziąć lekarstwa na mdłości, wymyśla przenośnie o jakichś szczurach, których

nigdy nie miał. Co zrobić z takim człowiekiem?

Isabelle spojrzała na Esther, jakby trudno jej było uwierzyć, że ta ładna i zrównoważona

dziewczyna mogła być dzieckiem takich rodziców. Esther zawsze zastanawiała się, jak to jest, że

rodzice, którzy wydawali się normalni w domu, zachowywali się tak strasznie dziwnie, gdy

tylko zabrało się ich gdziekolwiek indziej. Podejrzewała, że każdy tak się czuł.

Mrugnęła szybko

do Isabelle i wystawiła język. Isabelle musiała przycisnąć dłoń do ust, aby nie wybuchnąć

śmiechem.

— Czy Dan Maskowitz zadbał o wszystko jak należy? — zapytał ojciec Esther.

— Och, spisał się znakomicie! — odparła Esther. — Nawet udzielał rabinowi korepetycji z angielskiego.

— To rabin nie mówi po angielsku?

— No, nie najlepiej. W końcu jest Francuzem!

Ojciec oparł się na siedzeniu i powoli potrząsnął głową.

— Wiesz co, nigdy mi to nie przyszło do głowy. Rabin Francuzem. To jakoś nie wydaje mi się możliwe.

Tydzień poprzedzający ślub upływał strasznie powoli. Esther zachowywała się nerwowo,

ciągle chichotała, za dużo paliła, za dużo piła, buzia jej się nie zamykała i mówiła zupełnie o

niczym.

Matka Esther, która wróciła do Paryża w pełni chwały i odzyskała dawny blask, bawiła się

znakomicie. Robiła „wielkie wejścia” na przyjęcia koktajlowe i rozmawiała zbyt głośno podczas

kolacji. Powtarzała też wszystkim, że Esther zostanie Królową Szampanii.

— Mogłaby wyjść za każdego diuka lub hrabiego w Europie, aleja bym na to nie pozwoliła.

Cóż takiego mają diukowie czy hrabiowie poza tytułami przy nazwiskach? Esther natomiast

zostanie prawdziwą królową! Panią ziemi, winnic, wspaniałego domu i milionów butelek

szampana. Szampana, wina cesarzy!

Sacha nazwał szampana „winem cesarzy”, kiedy spotkali się wszyscy razem na pierwszym

przyjęciu u Delahaye’ów i matka Esther nigdy tego nie zapomniała. Kiedy

siedziała przy stole,
mawiała nawet: „Czy mogę prosić jeszcze odrobinę wina cesarzy?”
W czwartek o trzeciej po południu miała się odbyć w synagodze próba generalna
ceremonii
ślubnej. Esther była na lunchu z Henrim, Isabelle i Marie–Louise, dziewczyną
Henriego. W La
Residence du Bois, eleganckim hotelu z okresu Napoleona III przy rue Chalgrin,
zjedli perliczki i
wypili o jedną butelkę różowego szampana za dużo. Henri opowiedział im wszystkie
głupie
kawały o ślubach, jakie znał. „Nie wiedziałem, co to jest szczęście, dopóki się
nie ożeniłem, a
wtedy było już za późno”. Potem z piskiem opon i przy włączonym klaksonie
zajechali na rue de
la Victoire w dziewiątej dzielnicy.
— Voil?, mam’selle*! — zawołał Henri, wciskając hamulec. — Czas na pani udawany
ślub!
Kiedy tylko wysiadła z samochodu, z synagogi wyłonił się Sacha i zszedł
pospiesznie po
schodach.
— Esther! Chwała Bogu! Posłuchaj, kochanie, właśnie otrzymałem wiadomość z
Berlina!
— O mój Boże! Dobrą czy złą?
— Jeszcze nie wiem. Ale mój prywatny detektyw dzwonił godzinę temu. Mówił, że
znalazł
mężczyznę, który widział Victora w okolicach Wilmersdorf dzień przed jego
zniknięciem. Ten
człowiek twierdzi, że była tam jakaś bójka, w którą Victor został zamieszany.
Nikt jednak nie
wie, o co w ogóle chodziło ani co się stało potem.
Esther wzięła Sachę za rękę.
— Co zamierzasz zrobić?
— Esther, to pierwszy ślad, na jaki wpadliśmy! Ten mężczyzna jest całkowicie
pewien, że
widział właśnie Victora. Obawiam się, że muszę jechać do Berlina i spróbować
pójść tym
tropem. Proszę, zrozum! Podczas próby ślubu moje miejsce może zająć Henri, ja
zaś obiecuję, że
wrócę jutro wieczorem. Samolot Lufthansy wylatuje z Le Bourget o czwartej,
Zarezerwowałem
już miejsce.
Esther pocałowała go.
— Och, Sacha! Oczywiście, że musisz jechać! Mój Boże, Sacha, może rzeczywiście
ich
znajdziesz!
— No, nie wiem — odparł. — Trochę za wcześnie, żeby tak mówić. Jeśli jednak leży
to w
ludzkiej mocy, znajdę ich.
Esther pocałowała go raz jeszcze.
— Chcę, abyś obiecał mi tylko jedno, kochanie. Obiecuj, że nawet sekundę nie

spóźnisz się na
swój własny ślub!
— Pani David — powiedział, przytulając ją mocno. — Nie ma na świecie takiej
siły, która
powstrzymałaby mnie przed zjawieniem się tutaj w sobotę.
Pocałował ją raz, potem drugi i wtedy na ulicy rozległ się dźwięk klaksonu.
Trąbił kierowca
jasnozielonej taksówki, który zniecierpliwiony pokazywał zegarek.
— Monsieur! Nie mamy zbyt wiele czasu!
Sacha włożył kapelusz i rzekł:
— Do widzenia, kochanie! Spróbuję zadzwonić do ciebie, przyjadę do Berlina.
Jeśli będą z
tym jakieś kłopoty, wyślę telegram.
Esther patrzyła za nim, jak przeszedł przez ulicę i wszedł do taksówki. Pomachał
jej ręką i
posłał pocałunek. Potem taksówka wjechała na zatłoczoną ulicę i znikła.
Na szczycie schodów stał rabin.
— Dzień dobry, mademoiselle Flecker. Pani narzeczony y-y-y wyjaśnił mi y-y-y, co
się
stało. Zapraszam do środka. Wszystko już przygotowane. Pani rodzice i pozostałe
osoby są tutaj.
Proszę y-y-y.
Isabelle wzięła Esther za rękę i uściśniła ją, dodając otuchy.
— Chodź, Sacha potrafi zadbać o siebie. A jeśli przywiezie Marguerite i Victora?
To dopiero
będzie prezent ślubny!
Matka Esther była rozdrażniona.
— Jak mogłaś pozwolić mu jechać?
— A jak mogłam go zatrzymać, nawet gdybym chciała to zrobić?
— Przecież on ma się z tobą żenić w sobotę. A dzisiaj pojechał do Berlina!
— Mamo, on pojechał szukać swojej siostry!
— Ach, rozumiem! Bardziej zależy mu na siostrze niż na własnej żonie! A co z
twoim
biednym ojcem, którego to wesele będzie kosztowało prawie pół miliona dolarów,
skoro na dwa
dni przed ślubem nie ma pana młodego!
Esther naląła sobie kieliszek szampana.
— Lot z Berlina do Paryża trwa tylko kilka godzin. Sacha obiecał mi solennie, że
zjawi się w
synagodze na czas, nawet jeżeli potem będzie musiał wrócić do Berlina.
— Ach, potem! — wykrzyknęła matka. — Kiedy będziecie w podróży poślubnej!
Esther milczała. Wiedziała, że matka jest zdenerwowana i nadmiernie podniecona,
ale ona
sama też tak się czuła. Jeśli więc zaczną krzyczeć na siebie, to w końcu jedna z
nich powie coś
naprawdę złośliwego i nieprzyjemnego. Wystarczy, że martwi się o Sachę, po co
więc jeszcze
kłócić się z matką.
Weszła Jeannette Delahaye ubrana w suto marszczoną, falującą, kwiecistą suknię i
zapytała,

czy matka Esther nie chciałaby zagrać w wista. Matka, zacisnąwszy usta, spojrzała na córkę, po czym ruszyła za Jeannette do małego salonu. Tego dnia Esther położyła się do łóżka wcześniej, ale nie mogła zasnąć. Po godzinie rozmyślała i przewracania się z boku na bok, zapaliła światło i zadzwoniła po Héloïse. Poprosiła ją o filiżankę cytrynowej herbaty i tabletkę nasennych. Następnie przez pół godziny przeglądała „Vogue”. Nie znalazła nic, co by jej się podobało, z wyjątkiem biustonosza, dzięki któremu kobiety o małym biuście miały obfitsze kształty, a kobiety o dużych piersiach — dekolt, w jakim mężczyzna mógłby zatonać. „Biustonosze to jest to!” — pisano w „Vogue”. Zdrzemnęła się na chwilę. Spała z otwartymi ustami i chrapała, wciąż na siedząco. Czasopismo ześlizgnęło się głośno na podłogę. W piątek o dziesiątej rano obudziła ją Isabelle, potrząsając „ramieniem. — Esther! Esther! Obudź się! Sacha dzwoni! Esther spojrzała na Isabelle, jakby jej nie poznawała. — Sacha? — Dzwoni z Berlina! Chodź szybko! Esther odebrała telefon w holu, nadal mrugając oczami, mocno owinięta w jedwabny szlafrok w kolorze ultramaryny. — Sacha, kochanie, co się dzieje? Znalazłeś ich? Głos był bardzo niewyraźny, zagłuszany przez trzaski na linii. — ...ostatniej nocy... pojechałem tam dziś rano... mówił, że mógł mieć kłopoty z... znany Żyd... — Sacha, prawie cię nie słyszę! Co się dzieje? — ...dowiedział się, co... tak sądzę, w każdym razie... nie wiadomo, co z Marguerite... ale Kleidermann szuka... może jeszcze znaleźć... żywą lub martwą... — Sacha, czy możesz zadzwonić jeszcze raz? Spróbuj innego połączenia! Bardzo słabo cię słyszę, głos dochodzi jak ziemi! — ...później... hotel Adlon... Potem usłyszała długą serię trzasków, a kiedy umilkły, połączenie zostało przerwane. Esther natychmiast zadzwoniła do paryskiego telefonisty i poprosiła, żeby połączył ją z Hotelem Adlon w Berlinie. — Przykro mi, madame, ale dziś rano mamy problemy z połączeniami do Niemiec. Mogę zarezerwować dla pani rozmowę. Z kim życzy sobie pani rozmawiać? — Z monsieur Sachą Davidem. I proszę im powiedzieć, że to pilne! — Oczywiście, madame. Przepraszam, madame. — Nie jestem jeszcze madame — prychnęła Esther. — Jestem mademoiselle. — Oczywiście, mademoiselle.

Esther spryskała się perfumami Lanvin, a potem ubrała szybko w śliczną, ciemnoróżową sukienkę Molyneux. Była to dzienna sukienka z wielką, miękką kokardą w kształcie kwiatu. Pod

nią założyła stanik i białe, jedwabne pończochy, nie założyła jednak majtek.

Uczesała włosy i

związała je z tyłu ciemnoróżową wstążką pod kolor sukienki. Potem wróciła na dół do telefonu.

— Hotel Adlon? Czy mogę prosić z monsieur Davidem?

— Monsieur Davidem? Czy zna pani numer jego pokoju?

— Nie, ale sądzę, że ma apartament.

— Apartament, jawohl. Proszę chwilę poczekać.

Po chwili, która wydawała się stuleciem, recepcjonista przyszedł z powrotem i powiedział, że

monsieur David wyszedł na cały dzień i nie wróci prędko.

— Nie wróci prędko — powtórzył z twardym, niemieckim akcentem.

— Ale to pilne! To naprawdę bardzo pilne!

— Mademoiselle, nie mogę połączyć pani z kimś, kogo tu nie ma.

— No więc proszę mu przekazać, żeby, jak tylko wróci, zadzwonił do panny Flecker.

— A to pani jest panną Flecker? Natürlich, panno Flecker. Dla pani wszystko!

Czytałem, że

pani i monsieur David bierzecie niedługo ślub. Gratuluję! Zawsze byłem ogromnym wielbicielem

talentu pani matki. Mam wszystkie jej nagrania, tak to się fachowo określa, prawda?

Esther skinęła sztywno głową.

— Przepraszam... martwię się trochę o mojego... męża.

— Oczywiście, gnädige Fraülein*. Zostawię tutaj wiadomość, że ma od razu do pani zadzwonić.

Dzień ciągnął się w nieskończoność, a Sacha nadal nie dzwonił. Wieczorem Esther miała iść z

Isabelle i jej przyjaciółmi na kolację i na dansing. Ale o godzinie szóstej, mimo że przygotowano

już dla niej strój i kąpiel, Esther nadal siedziała przy telefonie, czekając, aż zadzwoni.

Parę minut po szóstej przysła na dół Isabelle i położyła jej łagodnie dłoń na ramieniu.

— Chodź, Esther. Sacha potrafi zadbać o siebie. Myślę, że jest po prostu zbyt zajęty, żeby do

ciebie zadzwonić. Chodź i zabaw się. To jest twój ostatni dzień wolności!

Esther podniosła głowę. Miała łzy w oczach.

— Och, Isabelle! Najpierw Victor i Marguerite, a teraz Sacha!

— Na pewno nic mu się nie stało, słowo!

— Chciałabym w to wierzyć.

Pozwoliła jednak zaprowadzić się Isabelle na górę do łazieni. Rozebrała się i weszła do

ogromnej, emaliowanej wanny obłożonej czerwonymi, marmurowymi kafelkami pochodzącymi

z jednego z najmniejszych i najbardziej znanych włoskich kamieniołomów. Isabelle

siedziała na
plecionym, pomalowanym na złoto krześle, paliła papierosa i rozmawiała z Esther.
— Nie wolno ci panikować! — tłumaczyła Isabelle. — Czy wiesz, co Sacha mi mówił?
Powiedział, że jesteś pierwszą kobietą, przy której natychmiast zapomina o
wszystkich innych
kobietach, jakie znał.
Esther namydląła sobie ramiona.
— Ciekawe, czy również o Camille.
— Camille?
Esther opowiedziała Isabelle historię, którą usłyszała od Sachy. Kiedy
skończyła, Isabelle
pociągając papierosa, uniosła brwi do góry.
— To dopiero menage a trois*!
— Ale na litość boską, nie mów Sachy, że ci o tym opowiedziałam. On jest
okropnie
przewrażliwiony na tym punkcie.
— Nie dziwię się. Nigdy jednak nie widziałam tego Guillaume’a. Jaki on jest?
Esther położyła się na wodzie. Na powierzchni unosiły się jej piersi i splątane
włosy.
— Ujmę to w ten sposób: gdybym poznała Guillaume’a wcześniej niż Sachę i gdyby
Guillaume nie był żonaty, to... On ma w sobie niezwykłą siłę przyciągającą, wiesz
chyba, co
mam na myśli. Wcale ci się nie podoba, a jednocześnie nie możesz oderwać od
niego oczu.
Bardzo trudno to wyjaśnić. Przez cały czas zachowuje się tak, jakby miał ogromną
ochotę zerwać
z ciebie ubranie i pójść z tobą do łóżka.
Isabelle wypuściła dym.
— Wygląda na to, że to mężczyzna w moim typie.
— Ach, on nie jest chyba w typie żadnej kobiety. Z tego, co mówił mi Sacha...
— Może Sacha był szczególnie ostrożny. Ostatecznie skoro Guillaume ukradł mu już
jedną
żonę...
Esther wstała, rozpryskując wodę, i sięgnęła po ręcznik.
— Kocham Sachę! Jeśli myślisz, że kiedykolwiek przyjdzie mi do głowy go
porzucić...
Isabelle roześmiała się.
— Ja tylko żartuję. Chodź, o ósmej mamy się spotkać ze wszystkimi u Fouqueta na
koktajlu.
W tej właśnie chwili rozległo się pukanie do drzwi łazienki. To była Héloïse.
— Mam’selle Esther, telefon z Berlina!
Esther, jeszcze mokra, owinęła się w szlafrok i odebrała telefon w garderobie
Jeannette
Delahaye. Kiedy czekała na połączenie, przyglądała się sobie badawczo w lustrze.
Z ręcznikiem
uwiązanym na głowie wyglądała zupełnie jak Arab.
— Esther?
— Sacha! Przez cały dzień czekałam na twój telefon! Czy u ciebie wszystko w
porządku?
— Tak, a u ciebie?

— Oczywiście, że tak — odrzekła. — Ale co się z tobą działo?

Nastała bardzo długa cisza, a potem usłyszała głos Sachy:

— ...rozmawiałem z kilkoma osobami, które widziały się z Victorem później, tego samego

wieczora... musiał więc wrócić do domu, a potem wyjść po raz drugi.

— A czy orientują się, gdzie on może teraz być? — zapytała Esther. — Albo gdzie jest

Marguerite?

— Za jakieś dwadzieścia minut mam się spotkać z pewnym mężczyzną gdzieś na Friedrichstraße. Mój detektyw wszystkim się zajął. Jednak niezależnie od tego, co się zdarzy,

wsiadam jutro w pierwszy samolot na Tempelhof. Powinienem więc wrócić na długo przed

ślubem. Nie martw się! Życzę ci dobrej zabawy dziś wieczorem. A jutro czeka nas oboje

wspaniały dzień!

— Sacha... — zaczęła Esther.

— Słucham?

— Sacha, kocham cię. Pokochałam cię już wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzałam cię na

Normandii.

— Nie, to nieprawda. Wiem jednak, że teraz mnie kochasz.

Rozłączył się. Esther siedziała ze słuchawką w ręku, kiedy Isabelle stanęła w drzwiach i

popatrzyła na nią.

— To był Sacha?

— Uhm—m.

— Czy u niego wszystko w porządku?

Esther skinęła głową.

— W takim razie wstawaj — rzekła Isabelle, zabierając — jej słuchawkę i odkładając ją na

widelki. — Chodź, ubierzemy cię!

Kiedy była małą dziewczynką i myślałam o dniu ślubu, wyobrażałam sobie tyle cudownych

rzeczy. Suknia, kwiaty, chór, wszyscy goście śmiejący się i płaczący

równocześnie. Nie

wiedziałam wtedy, że tego dnia będę cierpiała na najstraszliwszego kaca w życiu.

W sobotę wstał słoneczny dzień. Przez poruszone lekkim wiatrem zasłony widać było Paryż.

Wszystkie jego barwy były jasne i czyste jak z akwareli Dufy'ego. Na balustradzie balkonowej

za oknem Esther śpiewały ptaki, natomiast Esther leżała w łóżku, czując że ma sucho w ustach,

obolałą głowę i zapuchnięte oczy. Kiedy weszła Héloïse i rozsunała zasłony, Esther zarzuciła

sobie koc na głowę i zawołała przytłumionym głosem:

— Nie ma mnie! Wyprowadziłam się!

— Mademoiselle, mamy piękny dzień, akurat na ślub! Proszę, przyniosłam pani śniadanie!

Gorąca kawa, rogaliki i proszę spojrzeć, karta od pani matki i ojca.

Esther powoli wynurzyła się spod koca i spojrzała na świecące słońce jak na swojego śmiertelnego wroga.

— Umieram — oświadczyła.

— Ale dzisiaj bierze pani ślub!

— Niezły wyczyn — jęknęła Esther. — Wziąć ślub i umrzeć tego samego dnia. Héloïse poprawiła poduszki i pomogła Esther usiąść. Następnie postawiła przed nią tacę.

Wielka, biała koperta z napisem „Esther” została oparta o srebrny dzbanek z kawą. Esther długo zmagala się z kopertą, aż w końcu udało jej się wyjąć dużą kartę z namalowanymi na niej

akwarelą kwiatami. W środku znajdowały się napisane ręką matki takie oto słowa: Dla naszej jedynej i ukochanej Córeczki w Dniu Ślubu, z najlepszymi życzeniami od zawsze

kochających Tatusia i Mamusi, 16 kwietnia 1938.

Kiedy wolnym ruchem zamykała kartę, nie mogła opanować ściskania w gardle i łez napływających do oczu. Całe dzieciństwo, wszystkie te lata przytulania i kłótni, całowania i

krzyków stały się teraz samymi miłymi wspomnieniami. Ta karta oznaczała, że te czasy już

minęły, a rodzice pogodzili się z tym faktem.

Do pokoju weszła Isabelle.

— Bonjour, panno młoda. Czy jesteśmy podekscytowani?

— Była już jakaś wiadomość od Sachy?

— Nie martw się — odparła Isabelle. — Dzwonił o szóstej rano. Mówił, że nie znalazł jeszcze

Victora i Marguerite, ale jest dobrej myśli. Właśnie wyjeżdżał z hotelu na lotnisko. Powinien

wylądować na Le Bourget około dziesiątej. Będzie miał jeszcze mnóstwo czasu, aby się

przygotować! — Usiadła na brzegu łóżka i poczęstowała się małym kawałkiem rogalika. — Aha,

przy okazji kazał cię zapewnić o swojej dozgonnej miłości i powiedział, że nie może się już

doczekać, żebyś została panią David.

Esther nalała sobie kawy. Siedziała, trzymając filiżankę w dłoniach i popijając gorący napój

małymi łykami. Czuła się coraz lepiej. Jeżeli Sacha był dobrej myśli w sprawie Victora i

Marguerite, to może rozjaśni się trochę cień wiszący nad ich ślubem. A ona nie będzie musiała

czuć się winna, że jest szczęśliwa.

Do pokoju wkroczyła pośpiesznie matka Esther.

— Jeszcze nie wstałaś? Jest tyle rzeczy do zrobienia! O wpół do dziesiątej przychodzi Anton,

żeby cię uczesać! Czy mam poprosić, aby przygotowano ci kąpiel?

Esther odstawiła filiżankę z kawą i wyciągnęła rękę.

— Mamusiu... dziękuję za kartkę... jest piękna.

— No cóż — sapnęła matka. — Nie co dzień wydaje się za mąż swoją jedyłą córkę.

Cieszymy się razem z tobą. Jesteśmy szczęśliwi i już, nawet mimo to, że nie jest księciem!

— Och, mamoo—o!

Ubieranie panny młodej było wdzięczną i niemal magiczną czynnością. Esther stała w pełnej

cudownych luster garderobie Jeannette Delahaye. Słońce wpadało do środka, oświetlając

błyszczący biały jedwab i połyskujące białe perły oraz urocze kokardy, które zdobiły tren.

Isabelle i Doris zostały tam do pomocy, chociaż głównie stały i patrzyły, jak Esther się

przeobraża.

Anton ułożył jej włosy w delikatne loki, które okalały twarz, a jego asystentka Blanche

pomalowała oczy Esther tak, aby wydawały się wyjątkowo błyszczące i niewinne.

Esther zawsze

była śliczna, dzisiaj jednak wyglądała po prostu oszałamiająco i tak się też czuła.

Przyszła matka, aby ją zobaczyć. Stała przez moment w drzwiach ze splecionymi dłońmi i

zaciśniętymi ustami, miała się zaraz rozpłakać.

— Anioł! — zawołała, kiedy zdołała się jakoś pozbierać.

Esther podeszła, szeleszcząc w swojej aureoli z białego jedwabiu i pocałowała ją.

— Tak tylko mówisz. Jestem nadal twoją grymaśną i kłótliwą córką!

Matka potrząsnęła głową.

— Jesteś aniołem! Nie kłóć się!

Na ulicy stały już wyprowadzone samochody. Orszak ślubny składał się z siedmiu lśniaco

czarnych rolls-royce'ów ozdobionych trzepoczącymi wstążkami i girlandami kwiatów, ślub miał

się rozpocząć dopiero o dwunastej, a dojazd do rue de la Victoire zająłby im nie więcej niż

dziesięć minut, nawet gdyby jechali wolno. Jednak ojciec Esther, wyjątkowo elegancki, krążył

niecierpliwie po korytarzu i wypuszczał dym z cygara. Wyglądał przy tym jak pływający po

stawie mały holownik parowy.

— Odezwał się ten przeklęty pan młody? — zapytał.

— Dzwoniłem do Lufthansy, sir, tak jak pan prosił — odparł Hector. — Powiedzieli mi, że

samolot z Berlina wylądował tylko z pięciominutowym opóźnieniem. Monsieur David będzie

miał mnóstwo czasu, żeby zdążyć się przebrać.

— No, to dzięki Bogu za tę odrobinę miłosierdzia — mruknął ojciec Esther. — Ale Sacha

mógł być na tyle przyzwoity, żeby do nas zadzwonić i uspokoić nas, co?

— Możliwe, że nie miał na to czasu, monsieur Flecker. Na górze w garderobie Jeannette sama

kończyła układać suknię Esther — tu poprawiła jeszcze fałdę, tam wstążkę... W

końcu uznała, że
Esther wygląda doskonale.
— Czy masz coś starego? — zapytała.
Esther pokazała jej osiemnastowieczną brylantową bransoletkę, którą dostała od
matki, gdy
miała szesnaście lat.
— Coś nowego?
Esther pokazała jej malutki flakonik z perfumami Baccarat, przywiązany w pasie.
— Coś pożyczonego?
Miała brylantowe kolczyki, które pożyczyła od Isabelle.
— I coś niebieskiego?
Niebieski, jedwabny kwiatek przyczepiła do paska przy pantoflu.
Jeannette powiedziała:
— Nawet nie wiesz, jak bardzo ci zazdroszczę, moja droga. Dzień ślubu był
najbardziej
pamiętym dniem w całym moim życiu. Tego dnia byłam królową, tak jak ty jesteś
dzisiaj, a
ponieważ bardzo kocham Pierre'a i on mnie kocha, to na swój sposób nigdy tak
naprawdę nie
przystałam nią być. Wszyscy mężczyźni w głębi duszy pragną być królami, ale
niewielu z nich o
tym wie. To ty musisz dopilnować, aby Sacha zawsze wiedział, na co go stać i aby
osiągnął
wszystko, do czego jest zdolny. Wtedy oboje będziecie szczęśliwi.
Isabelle wtrąciła:
— I dopilnuj, abyście oboje zaspokajali swoje pożądanie, kiedy tylko przyjdzie
wam na to
ochota! Wtedy oboje będziecie szczęśliwi!
— Isabelle! — skarciła ją matka.
Chociaż hol znajdował się dwie kondygnacje niżej, słychać było, że przyjechali
krewni z
Polski. Nana, ciotka Esther, przyjechała z Gibraltaru pociągiem. Powiedziała
matce Esther, że
zawsze jeździ pociągami, ponieważ boi się latać. Zdaniem Esther powód był
zupełnie inny: po
prostu jeszcze nie zbudowano samolotu, który mógłby podnieść ciotkę z ziemi.
Esther słyszała wujka Franciszka, jego cienki głos i cienki śmiech, a także
gwałtowny chichot
wysokiej kuzynki Jadwigi z wystającymi zębami oraz głośnie przekomarzanie się
rodziny
Nowakowskich. Wszyscy oni przyjechali z Warszawy kilka dni wcześniej i
zatrzymali się w
Ritzu na koszt ojca Esther. Było ich w sumie czternaście osób, łącznie ze
śliczną parą
jasnowłosych, siedmioletnich bliźniaczek — Nadią i Gretą Nowakowskimi, które
były druhami
Esther.
W końcu wszyscy krewni zostali rozlokowani w samochodach i przewiezieni do
synagogi. Za
pięć dwunasta Esther była gotowa. Opanowując treść, wyszła z garderoby Jeannette

na
półpiętro.
Ojciec stał sam w holu, z rękami założonymi z tyłu i czekał na nią. Kiedy
ukazała się na
szczybie schodów, przytrzymując swój długi tren, ojciec odwrócił się i spojrzał
w górę, a jego
twarz rozjaśnił najpiękniejszy uśmiech, jaki Esther kiedykolwiek widziała.
— Esther — wyszeptał i wyszedł jej na spotkanie.
— Tatusiu — powiedziała Esther i z pomocą Isabelle zeszła powoli po schodach, cała
w
jedwabkach, perłach i perfumach.
Ojciec wziął ją za rękę.
— Esther... jak mógłbym kiedykolwiek przypuszczać, że będę miał tak piękną córkę?
Taki
stary, brzydki kolejarz jak ja.
— Tatusiu, nie jesteś ani stary, ani brzydki. Mogę tylko powiedzieć, że
nareszcie wsadziłeś
mnie do właściwego pociągu.
Miał łzy w oczach.
— Znów mi dokuczysz, ty mały psotniku! A teraz chodźmy już! Co prawda tradycja
nakazuje,
aby panna młoda spóźniła się, ale jest to przeciwne mojej kolejarzkiej naturze.
Wyszli z domu w towarzystwie Isabelle i Jeannette, które miały jechać tuż przed
nimi, razem
z dziewczynkami Nowakowskich. Na zewnątrz czekał już tłum widzów i fotografów.
Kiedy
Esther szła po schodach, ich aparaty błyskały jak błyskawice podczas wiosennej
burzy. Niebo
było niebieskie i pogodne, pokryte małymi, puchatymi chmurkami. Esther słyszała
bijące gdzieś
dzwony.
Jechali na wschód wzdłuż bulwaru Haussmanna. Minęli dworzec St-Lazare i wjechali
do
dziwiątnej dzielnicy. Na tylnym siedzeniu rolls-royce'a Esther trzymała ojca za
rękę, była jednak
zbyt podniecona, aby mówić.
Za każdym razem kiedy musieli zwolnić z powodu ruchu ulicznego, powtarzała w
duchu:
Szybciej, proszę! Nie chcę się spóźnić. Sacha będzie myślał, że nie przyjadę.
Nie mogę się
zresztą doczekać, aby go zobaczyć! Po prostu nie mogę! Ciekawe, co sobie
pomyśli, kiedy ujrzy
mnie wchodzącą do synagogi w takim stroju!
Nagle przypomniała sobie, że Rodney też tam będzie. Dzwonił do niej wczoraj, gdy
przyleciał
z Londynu, ale ona właśnie brała kąpiel, a potem nie miała czasu, żeby do niego
oddzwonić.
Cudownie! Cały dzień będzie cudowny!!! Prawie zapomniała o kacu.
Orszak skręcił w rue de la Victoire i zajechał pod synagogę. Henri stał na
chodniku, czekając

na nich, a kiedy zatrzymali się, otworzył drzwi samochodu.
— Cześć, Henri — uśmiechnęła się Esther. — Czy wszyscy już są?
— Wszyscy — odrzekł. Ale kiedy Esther zaczęła zbierać tren, aby wysiąść z samochodu, zatrzymał ją ruchem ręki. — Przykro mi, Esther. Wszyscy z wyjątkiem Sachy. Esther wytrzeszczyła na niego oczy. Wspaniałe, słodkie motylki podniecenia, które trzepotały jej w żołądku, zniknęły nagle, pozostawiając tylko pustkę. Esther była wstrząśnięta.
— Sacha jeszcze nie przyjechał?
Henri smutno potrząsnął głową. Najwyraźniej był bliski płaczu.
— No to gdzież on u diabła jest? — zapytał ojciec Esther.
— Nie wiemy — przyznał Henri. — Nie odezwał się już po tym, jak wcześniej rano rozmawiał przez telefon z Isabelle.
— Ale samolot przyleciał na czas! — warknął ojciec Esther. — Hector sprawdzał to!
— Tak, monsieur — odparł Henri. — Przyleciał na czas, lecz Sachy w nim nie było. Dzwoniliśmy jeszcze raz do Lufthansy. Powiedzieli nam, że na liście pasażerów nie było żadnego Sachy Davida.
— Czy dzwoniłście do jego hotelu w Berlinie? — zapytała Esther. — Może dowiedział się czegoś więcej na temat Victora i Marguerite i postanowił lecieć późniejszym samolotem.
Henri skinął głową.
— Telefonowaliśmy dwa razy do hotelu Adlon. Najpierw rozmawialiśmy z recepcjonistą, a potem z kierownikiem. Sacha wyszedł z hotelu o szóstej dwadzieścia pięć i zapłacił rachunek gotówką. Portierzy pomogli mu włożyć walizkę do taksówki i słyszeli, jak prosił, aby kierowca zawiózł go na Tempelhof.
— Nie było go jednak w samolocie?
— Nie.
— Czy jest jakiś inny lot?
— Tak, dzisiaj po południu, ale jest całkowicie zarezerwowany i żaden z pasażerów nie nazywa się David.
— Może przestraszył się lotu i postanowił wrócić pociągiem — zasugerował ojciec Esther.
Esther spojrzała na przypięty do sukni bukietik świeżych, wiosennych kwiatków.
— Tatusiu, jeśli postanowiłby jechać pociągiem, poprosiłby kierowcę taksówki, aby zawiózł go na dworzec, i zadzwoniłby żeby dać mi znać. Zresztą Sacha nigdy niczego się nie boi.
— Może boi się małżeństwa — powiedział łagodnie ojciec. — To się zdarza. Facet potrafi stchórzyć nawet w ostatniej chwili.
Nastąpiło długie, kłopotliwe milczenie. Łza z policzka Esther spadła na płatki

bladoróżowej

róży. Ojciec Esther zapytał:

— Henri, jak długo, twoim zdaniem, powinniśmy czekać?

— Monsieur Flecker, mimo najszczerzych chęci, nie wierzę, aby Sacha przyjechał.

Esther podniosła głowę. Henri zobaczył, że jest przerażająco blada.

— Czy sprawdzałeś u niego w domu? — zapytała. — Próbowaleś dzwonić do Château

David

albo do firmy w Epernay?

Henri wyszeptał:

— Przykro mi, Esther. Tam też go nie było.

— W takim razie, co się z nim stało? Nie wierzę, aby ukrywał się tylko dlatego, że zmienił

zdanie na temat ślubu. On nie jest taki! Jeśli nie chciałby się ze mną ożenić, przyszedłby prosto

do mnie i powiedział o tym. Wycierpiał już tyle w swoim życiu, że nie chciałby cierpieć znowu!

— Esther, po prostu nie wiemy, co się z nim stało — odrzekł Henri. — Robimy wszystko, co

w naszej mocy, aby go odnaleźć. Ojciec ma zamiar wysłać jednego ze swoich berlińskich

pracowników, aby porozmawiał z policją i francuskim ambasadorem.

— Powinni znaleźć prywatnego detektywa, którego Sacha wynajął. Ten człowiek nazywa

się... jak to było... Kleinman lub Klausman, coś w tym rodzaju. To ten prywatny detektyw

wezwał go z powrotem do Berlina.

— Wierz mi — zapewnił Henri. — Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

W drzwiach synagogi zaczęli się już pojawiać goście weselni, czekając, co będzie dalej.

Ojciec Esther przejechał palcem wokół szyi, aby rozluźnić obcierający go wysoki, wykrochmalony kołnierzyk.

— Tymczasem mamy wesele za pół miliona dolarów. Czterystu gości, kwiaty warte trzystaście

tysięcy dolarów, jedzenie i szampana za siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, Tommy'ego

Dorseya i jego cholerny zespół, salę balową w hotelu Cretin, konne powozy, inne sale, sztuczne

ognie, sznury rolls-royce'ów i wszystko wylewa nam się uszami.

Esther, ze łzami w oczach, wzięła ojca za rękę i powiedziała:

— Och, tatusiu, przepraszam.

Ojciec wziął ją w ramiona i przytulił tak, jak to robił, kiedy a małą dziewczynką, kołysząc ją

tam i z powrotem. — Nic nie szkodzi, kochanie. Nic nie szkodzi, maleńka. To tylko pieniądze.

Pozostało jedynie pójść tam, poprosić o ciszę i powiedzieć wszystkim, że, niestety, muszą wrócić

do domów.

Cała potworna prawda o tym, co się stało, dotarła do Esther dopiero wczesnym rankiem

następnego dnia, kiedy leżała w łóżku. Przez całe poprzednie popołudnie było

straszne
zamieszanie — goście wyjeżdżali, okazując wyrazy współczucia. Nie miała więc w zasadzie czasu pomyśleć, że Sacha przepadł w taki sam sposób, jak przedtem zniknęli Victor i Marguerite.

Pierre Delahaye praktycznie całe popołudnie spędził przy telefonie, dzwoniąc do swoich niemieckich znajomych, zwłaszcza tych, którzy pracowali w ministerstwach. Jednak mimo że obiecali zająć się sprawą, żaden z nich nie oddzwonił. Gdzieś w drodze między hotelem Adlon a lotniskiem Tempelhof Sacha David zniknął bez śladu z powierzchni ziemi.

Większą część poprzedniego wieczoru Esther spędziła sama w pokoju. Leżała na plecach, gapiąc się w sufit, zmęczona i zamroczona pod wpływem środka uspokajającego, który dał jej lekarz domowy Delahaye'ów. Jednak o trzeciej nad ranem zamroczenie minęło i wtedy poczuła przeszywający ją jak ostrze ból. Zdała sobie sprawę, że Sacha nie wrócił, a ona została opuszczona w samym środku najszcześniejszego dnia w życiu.

Zakopała się w poduszki i płakała, aż spuchła jej twarz. Isabelle musiała ją usłyszeć, ponieważ weszła do pokoju, usiadła obok i uspokajająco położyła rękę na plecach Esther.

— Esther?

— O Boże, Izzy... on nie żyje. Wiem, że nie żyje. Niemcy zabili Victora i Marguerite, a teraz zabili również Sachę.

— Sz-sz-sz — powiedziała Isabelle. — Nie możesz tego wiedzieć na pewno. Oni aresztują mnóstwo ludzi. Może Sacha został aresztowany przez pomyłkę. Ale nie mogą przetrzymać go długo, nie powiadamią nas o tym i nie pozwalają mu porozmawiać z adwokatem. Zobaczysz, on się odezwie.

Esther potrząsnęła jednak głową i rzekła:

— On nie żyje, Izzy. Czuję to. Cały czas próbuję nawiązać z nim kontakt, przekazać mu moje myśli, moją miłość. Ale tam nic nie ma. Nic tylko ciemność.

— Esther...

Ale Esther nie mogła już dłużej o tym mówić. Było to ponad jej siły. Leżała z zamkniętymi oczami, pragnąc, aby ona sama też umarła.

Drogi pamiętniku! Trudno uwierzyć, jakie życie potrafi być okrutne. Dzisiaj rano pojechałam do Hotel Le Crillon, aby zobaczyć weselne dekoracje. Były piękne: wszędzie białe kwiaty, ale niektóre z nich zaczęły już więdnąć. Podziękowałam kierownikowi, że postarał się, aby wszystko

wyglądało tak czarująco. Pocałował mnie w rękę i powiedział, że jest mu ogromnie przykro z powodu tego, co się stało. Znał Sachę osobiście. Więc co mi pozostało? Co mam robić? Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, to jechać do Berlina i szukać Sachy. Monsieur Delahaye przestrzegł mnie jednak przed tym i powiedział, że wtedy może mu być znacznie trudniej dowiedzieć się, co się stało. Niemcy mogą być uprzejmi, mówił, ale robią się drażliwi, kiedy zaczyna się z nimi rozmawiać na temat zaginionych osób. Okropnie nienawidzę Niemców! Nie mogę spojrzeć na zdjęcie Hitlera, aby nie pomyśleć, że to on osobiście porwał Sachę. W poniedziałek rano przyszedł do niej w odwiedziny Rodney. Miał na sobie pięknie skrojony, wiosenny garnitur w angielską kratę i kapelusz filcowy z szerokim rondem, który kupił u Locka w Londynie. Wydawał się bardzo opalony, przystojny i pewny siebie. W końcu zaprosił ją na lunch. Henri pożyczył mu swój samochód i pojechali do Le Manoir w Fontenay–Tresigny, białego, drewnianego domku myśliwskiego, który znajdował się tylko pół godziny drogi od Paryża. Był ciepły i pochmurny dzień. Lunch (świeża ryba, sałatka i butelka chłodnego Puligny Montrachet) jedli na wychodzącym na ogrody patio. Był to pierwszy posiłek Esther od sobotniego śniadania.

— Co zamierzasz teraz zrobić? — zapytał Rodney.

— Nie zastanawiałam się jeszcze. Nadal próbuję dojść do siebie po tym wstrząsie. Najbardziej martwię się o tatę. Wydał majątek, a ja nie wyszłam za mąż. Nowakowscy nawet nie chcą wracać do domu. Powiedzieli, że zostaną, aby zobaczyć, czy nie mogliby w czymś pomóc. Czternaście osób w Ritzu!

Rodney założył nogę na nogę i wyjął papierosa.

— Nie sądzę, żebyś miała ochotę wracać do Stanów.

— Nie od razu. Sama nie wiem. Sacha może zjawić się w każdej chwili. Co sobie pomyśli, gdy się dowie, że wyjechałam?

Rodney zapalił papierosa, a potem powiedział:

— Nie obrazisz się, jeśli powiem coś bardzo niedelikatnego?

Wyciągnęła rękę przez stół i dotknęła jego ramienia.

— Możesz mówić, co tylko chcesz. Ty i ja jesteśmy dobrymi kumplami, n'est-ce pas?

— No więc... — zaczął Rodney ostrożnie. — Czy brałaś pod uwagę to, że Sacha może już nie żyć?

Esther poczuła, że wyduła usta, tak jak robi to dziecko, kiedy ma zamiar płakać.

Skinęła
głową.

— Wzięłam to pod uwagę — odrzekła zdławionym głosem. — Właściwie to była
pierwsza
myśl, jaka przyszła mi do głowy.

— Jeżeli on nie żyje, Esther, to nie masz specjalnie po co zostawać we Francji.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej chusteczkę i wysmarkała energicznie nos.

— Wiem. Nie pozwoliłabym, aby ktokolwiek inny coś takiego powiedział, ale mogę
usłyszeć

to od ciebie. Starając się nie ranić moich uczuć, chcesz mi faktycznie
powiedzieć, że mogę być

wdową, chociaż nie zostałam jeszcze panną młodą. — Odetchnęła szybko trzy razy,
aby się

uspokoić. — Próbujesz mi także dać do zrozumienia, że jeśli postanowię wyjechać
z Francji i

wrócić do Stanów, będziesz na mnie czekał z otwartymi ramionami. Czy tak się
sprawa

przedstawia?

Rodney skinął głową.

— Tak. Tak się przedstawia.

Esther długo myślała, zanim odpowiedziała. Wypiła jeszcze kilka łyków wina, a
potem rzekła:

— Jesteś wspaniałym facetem, Rodney, i jedynym człowiekiem na świecie, który
mógł coś

takiego powiedzieć. Prawdziwy z ciebie przyjaciel.

Wyprostowała się na krześle i uśmiechnęła do niego blado.

— Problem w tym, że kocham Sachę niezależnie od tego, czy on żyje, czy nie.

Kocham też

Francję i Szampanię. W środę pojedę do Szampanii i zobaczę, co mogłabym zrobić,
aby pomóc

w Maison Louis David.

— Co rozumiesz przez pomaganie?

— Chcę się nauczyć produkować szampana.

— Chcesz pracować?

Esther potrząsnęła głową.

— Wytwarzanie szampana nie jest pracą. Wytwarzanie szampana jest jak uprawianie
miłości,

tylko że z większą ilością śmiechu.

Rodney przemilczał tę ostatnią uwagę, przede wszystkim dlatego, że nigdy jej nie
zrozumiał.

Był jednak całkowicie oszołomiony pomysłem Esther, by wrócić do Epernay i
zobaczyć, co

może zrobić, aby pomóc w Maison Louis David.

— Na litość boską, Esther! To, co wiesz o szampanie, mogłabyś zapisać dużymi,
drukowanymi literami na jednej stronie pudełka od zapalek.

— Sacha pokazał mi cały proces produkcji.

— Jasne, a mój ojciec oprowadził mnie kiedyś po fabryce cukierków. Czy sądzisz,
że

mógłbym mieć taką zachciankę i zacząć produkować jutro skręcane cukierki —
pałeczki, które

ktokolwiek chciałby jeść?

— Sacha powiedział, że będę największym wytwórcą szampana, jaki kiedykolwiek istniał!

— Kochanie, może i mogłabyś być... ale nie bez Sachy.

— Wdowa Clicquot dokonała tego bez swojego męża.

— Ach, tak?

Esther wzięła kartę win, którą kelner zostawił na stole i otworzyła na szampanach.

— Patrz! — zawołała, wskazując na niemarkowego Veuve–Clicquot–Ponsardin.

— Znasz tę wdowę Clicquot? — zapytał Rodney. — Czy udzieliłaby ci jakichś wskazówek?

— Może i udzieliłaby, gdyby nie umarła w 1866 roku.

Rodney palił przez chwilę papierosa, patrząc w dal na drzewa i lasy, a potem powiedział:

— Naprawdę nie zdołam cię namówić, abyś wróciła ze Stanów?

— Jeszcze nie teraz — odparła. — Może pewnego dnia, ale nie teraz. Przede wszystkim

muszę się dowiedzieć, co się stało z Sachą. Kto wie, może czeka już na mnie u Delahayów.

Rodney mrugnął do niej okiem i uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że tak, mała. Zwłaszcza ze względu na twojego tatę. Nie sądzę, aby natręci

już wyjechali.

Kiedy wróciła do Delahaye'ów, Sacha jednak nie czekał na nią, nie było też o nim żadnych

nowych wiadomości. Niemieccy urzędnicy byli coraz bardziej zirytowani i oburzeni zawartymi

w uporczywych pytaniach Pierre'a Delahaye sugestiami, że ich władze mogą być w jakiś sposób

odpowiedzialne za zniknięcie Sachy.

Pierre siedział w bibliotece. Niemiecki ambasador przesłał mu do rąk własnych następującą

notatkę:

Jeżeli obywatel francuski postanawia wykorzystać pobyt w Niemczech, aby uchylać się od

swoich osobistych i handlowych zobowiązań wobec Francji, rząd niemiecki nie może ponosić za

to winy. Nasza policja zajmie się poszukiwaniami monsieur Davida, nie możemy jednak nic

więcej obiecać.

— Czy wiesz, co to znaczy? — zapytał Pierre, zdejmując okulary i chowając je do kieszeni na

piersi. — Nie będą już dłużej pomagali nam go szukać, a nawet, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będą celowo utrudniać nam poszukiwania.

Powinnam jechać do Berlina! — zawołała Esther. — Uważam, że nie możemy tak po prostu

zrezygnować!

Pierre Delahaye położył jej rękę na ramieniu i rzekł:

— Nie zdziałasz tym nic dobrego, Esther, a możesz wyrządzić sporo szkód.

Pamiętasz, co

Sacha ci mówił? Jesteś bogata, znana i jesteś Żydówką. Nie przyjmą cię tam z radością,

zwłaszcza jeżeli zorientują się, że zadajesz kłopotliwe pytania. Posłuchaj, mam w Berlinie

mnóstwo kolegów, którzy będą kontynuować dyskretne poszukiwania. Zaufaj mi. Jeśli tylko

Sachę będzie można znaleźć, to zostanie on w końcu znaleziony.

Do biblioteki weszła matka Esther. Wyteżyła całą swoją uwagę i zmarszczyła brwi.

Była

ubrana w jedwabną, pomarańczową sukienkę na dzień, która zupełnie nie pasowała do jej cery.

— O, Esther! Jak tam Rodney?

— Miły, jak zwykle.

— Hm — powiedziała matka. — Pierre mówił ci o... o Niemcach? Och, ci Niemcy!

Zawsze

tacy sami! Tylko splunąć!

— Mamo — zaczęła Esther — rozmawiałam z Rodneyem i podjęłam pewną decyzję.

— Decyzję? Jaką decyzję?

— Ty i tata wracacie w poniedziałek do Nowego Jorku, prawda? Ja jednak zostanę tutaj

jeszcze trochę.

— Możesz u nas zostać, jak długo sobie życzysz — oświadczył Pierre.

— To bardzo miłe z twojej strony — odparła Esther — ale prawdę powiedziawszy, zamierzam pojechać do Epernay. Chciałabym zobaczyć, co mogę zrobić, aby kontynuować pracę

Sachy.

Matka gapiała się na nią, jakby nie wiedziała, czy ma przed sobą dziewczynę, czy widmo.

Może było to jakieś przywidzenie.

— Nie możesz tego zrobić! To głupie!

— Dlaczego? Sacha chciał, żebym właśnie to robiła, kiedy się pobierzemy.

— Ale Sachy nie ma! Sacha może już nie żyć!

— Mamo — rzekła Esther. — Dosyc. Wiem, że on może już nie żyć. Nie przestaję o tym

myśleć. Ale jeżeli on nie żyje, ja zamierzam spełnić jego ostatnie życzenie, zrealizować to, czego

chciał. W taki sposób uczczę jego pamięć, niezależnie od tego, jak marne i mało znaczące okaże

się to, co zrobię. Jeśli uda mi się wyprodukować chociaż jedną butelkę szampana, to i tak lepiej

uczczę jego pamięć, niż gdybym nic nie zrobiła!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zjawiła się w Maison Louis David w następny wtorek przed południem. Henri przywiózł ją z

Paryża — niech Bóg mu to wynagrodzi! Zorganizował wszystko tak, aby zostać na noc u

Laurence'a i Charlotte i wracać następnego dnia rano. Esther podejrzewała, że chciał być w

pobliżu na wypadek, gdyby spotkała się z mniej niż łaskawym przyjęciem ze strony monsieur

Medota i potrzebowała kogoś, kto odwiózłby ją do Paryża. Henri, chociaż był przywiązany do Marie-Louise, w ostatnich dniach zajmował się Esther jak brat. Zaparkował na dziedzińcu, a Esther poszła do firmy sama. Mineła wysoki, odbijający echo hol z pozłacanym kandelabrem i ruszyła prosto w kierunku biur. Zapukała do drzwi monsieur

Medota i natychmiast usłyszała, jak zawołał:

— Entrez!**

Był bardzo zaskoczony jej widokiem. Wszedł zza biurka i uścisnął ją, ujmując obie jej dłonie.

— Żadnych wiadomości? — zapytał. Potrząsnęła głową.

— To straszne! — stwierdził, przyciskając wierzch dłoni do czoła. — Taka tragedia! I nikt nie potrafi odkryć, co się z nim stało? Ani z le comte i z la comtesse? Esther usiadła.

— Rodzice prosili mnie, żebym wróciła z nimi do Nowego Jorku, ale nie mogłam. Sacha

może przecież pojawić się w każdej chwili, prawda?

— Mam taką nadzieję — odparł monsieur Medot. Poczęstował Esther papierosem, ale ona

odmówiła. — Mam nadzieję, że ma tylko jakieś kłopoty z niemiecką policją albo z „brunatnymi koszulami”. Możliwe, że zatrzymali go na przesłuchanie. W końcu nie wiemy, dlaczego zniknął monsieur le comte, prawda? Może były to jakieś problemy polityczne.

— Monsieur Medot... — zaczęła Esther, ale pan Medot podniósł rękę i oświadczył:

— Musi mnie pani nazywać Giscard. Sacha David i ja zawsze byliśmy nie tylko współpracownikami, ale i przyjaciółmi. Chciałbym móc darzyć tym samym uczuciem jego żonę.

— Monsieur Medot, Giscard, nie jesteśmy jeszcze z Sachą małżeństwem.

Giscard przycisnął rękę do serca.

— Czy wie pani, co Sacha mówił mi w zeszłym tygodniu, zanim wyjechał do Paryża? Powiedział: „Giscard, wreszcie znalazłem dziewczynę z moich najskrytszych marzeń. Wreszcie

znalazłem kobietę, którą mogę kochać zawsze”. — Zamrugał oczami ze wzruszenia. —

A więc,

mademoiselle Flecker, dla mnie jest już pani jego żoną i w pewnym sensie zawsze nią pani

pozostanie, niezależnie od tego, co się zdarzy.

— Zapaliłabym papierosa, jeśli można — poprosiła Esther.

— Oczywiście. Czy mogę w czymś pani pomóc? Zatrzymała się pani w Epernay na krótko?

— Prawdę powiedziawszy, Giscard, chciałabym tu zostać na dłużej.

— To wspaniale!

— Właściwie chciałabym zamieszkać tutaj, tak jak bym to zrobiła, gdybyśmy ja i Sacha

faktycznie wzięli ślub.

Giscard drżącą ręką podał jej zapalniczkę. Esther musiała przytrzymać jego

nadgarstek, aby
się uspokoił.

— Oczywiście... — odrzekł. — Zawsze jest tu pani mile widziana. A cóż takiego
chciałaby
pani robić?

Esther podniosła głowę i spojrzała na niego wyzywająco.

— Chcę się nauczyć produkować szampana. Chcę się nauczyć robić to tak dobrze jak
Sacha.

— Chce pani z nami pracować?

— A jeśli tak, to czy będziesz temu bardzo przeciwny?

Giscard wrócił za biurko, przerzucił korespondencję i z zakłopotaniem uniósł
dłonie.

— Oczywiście, że nie będę, ale czy to odpowiednie zajęcie dla pani? Jest pani
młoda damą z

towarzystwa, n'est-ce pas? A robienie szampana to niełatwe zadanie. Wymaga
doświadczenia,

ogromnych umiejętności, a także sporej wytrzymałości fizycznej. Sama pani
widziała, jak ciężko

jest, kiedy nadchodzi okres winobrania. Wtedy nawet zarządzający firmą mają dużo
rzeczy do

zrobienia w fabryce i w winnicach. Potom trzeba zająć się sprzedażą szampana, co
oznacza

ciężką walkę z konkurencją, i to jest chyba najtrudniejsza rzecz ze wszystkich.

— Mimo wszystko — rzekła Esther — jestem zdecydowana nauczyć się, jak to robić i
robić

to dobrze.

W tej właśnie chwili wtrącił się jakiś inny głos:

— Moja droga, będzie to pani robiła nie tylko dobrze, ale wręcz znakomicie.

Esther obróciła się na krześle i zobaczyła stojącego w otwartych drzwiach
Guillaume'a. Był

ubrany w białe, marynarskie spodnie, białą koszulę, a na ramiona niedbale
zarzucił granatowy

blezer. Za nim stała mała, blada kobieta o rudych włosach, która była dosyć
ładna na swój

francuski sposób, ale z jakiegoś powodu sprawiała wrażenie małomówniej i
zmęczonej.

Guillaume wszedł do pokoju i pocałował Esther w oba policzki.

— Panno Flecker, to zaszczyt znów panią widzieć. Pozwoli pani przedstawić sobie
moją żonę,

Juliette. Juliette! To jest panna Esther Flecker, narzeczona Sachy.

Esther wstała. Ucisnęła upstrzoną ostrymi, brylantowymi pierścionkami dłoń,
którą podała jej

niepewnie Juliette. To było raczej jak uściśnięcie szponów papugi.

— Jest mi bardzo desolée* z powodu pani ślubu — odezwała się Juliette niepewnie.

Mówiła

po angielsku z mocnym francuskim akcentem. — To bardzo smutne. Jestem pewna, że
Sacha

niebawem wróci. Wszyscy się za niego modlimy.

— Dziękuję — odrzekła Esther. — Ja też się za niego modlę.

Guillaume podszedł wolnym krokiem do okna biura Giscarda i wyjrzał przez nie.

— Nie sądzę, abyśmy mieli się czym martwić. Sacha ma zwyczaj znikać, kiedy wszyscy najmniej się tego po nim spodziewają.

— Czy załatwił pan już tutaj wszystkie swoje sprawy? — zapytał Giscard.

— Na razie tak — odparł Guillaume. — Monsieur Tingaud obiecał dostarczyć mi resztę niemarkowego szampana do końca przyszłego tygodnia. Ale oczywiście teraz, kiedy nie ma Sachy, wszystko się tutaj zmienia.

— Chciał pan powiedzieć, że wszystko się tutaj zmienia, dopóki on nie wróci — powiedziała Esther.

Guillaume przyjrzał się jej uważnie.

— Módlmy się, aby wrócił.

— Mógł zachorować — podsunęła Juliette. — Może miał wypadek w drodze na lotnisko.

— Na litość boską, Juliette, nie bądź śmieszna! — warknął Guillaume. — Gdyby miał wypadek, niemiecka policja wiedziałaby o tym.

— Ale mógł zachorować — upierała się Juliette.

— Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi szpitalami w okolicy Berlina — rzekł Guillaume. — Przez pomyłkę nawet z Hundenkrankenhaus w Poczdamie,

— Z czym?

— Ze szpitalem dla psów, moja droga! Ale nie podniecaj się za bardzo, tam też go nie było.

Guillaume przespał wkoło jeszcze kilka razy, potem zatrzymał się i zwrócił do Esther:

— Wiem, że to może przedwczesne, ale i taką możliwość musimy wszyscy brać pod uwagę.

Jeżeli Sacha rzeczywiście zniknął na zawsze i jeśli zostanie prawnie uznany za zmarłego, to Maison Louis David w całości przejdzie na mnie.

Esther utkwiała w nim wzrok.

— Zniknął niecały tydzień temu, a pan już mówi o uznaniu go za zmarłego? Ciekawe, jakby się pan czuł, gdyby po powrocie z każdego dłuższego weekendu zastawał pan czekających na siebie grabarzy?

Guillaume pochylił głowę.

— Przepraszam. Wiem, że brzmi to jak wyciąganie zbyt pochopnych wniosków. Prawda jest jednak taka, Esther, że Sacha kochał panią bezgranicznie i moim zdaniem może być tylko jeden powód, dlaczego nie wrócił jeszcze z Berlina.

— No cóż, przekonamy się — odpowiedziała Esther cichym i stanowczym głosem. — Dopiero po jakimś czasie od zaginięcia można uznać daną osobę za zmarłą.

— Najmniej po trzech latach, jak sądzę — wtrącił Giscard. A dla Juliette dodał:

— Trois ans, madame Daud.

Guillaume raz jeszcze uścisnął dłoń Esther.

— A więc, moja kochana, skoro zamierza pani zatrzymać się tutaj w Szampanii, będziemy widywali się znacznie częściej. Jeżeli kiedykolwiek potrzebowałaby pani pomocy, wie pani, jak się ze mną skontaktować. Chodź, Juliette — powiedział i ruszył do drzwi przed nią, poprawiając sobie blezer na ramionach. Kiedy wyszedł, Giscard zapytał Esther:

— Napije się pani czegoś?

— Chętnie wypiję kieliszek szampana. Wystarczy zwykły, niemarkowy. Giscard wskazał ruchem głowy na drzwi.

— Zna pani monsieur Guillaume’a?

— Tak, poznaliśmy się. Nie martw się, Sacha opowiedział mi o nim wszystko. Nawet o Camille.

Giscard przeżegnał się.

— Ah oui, biedna Camille. Wie pani, zawsze jest coś między Sachą a Guillaume’em... jeśli któryś z nich cokolwiek i ma, drugi także musi to mieć. To niemal... jakby to nazwać?... — obsesja.

— Czy sądzi pan, że on rzeczywiście będzie rościł sobie prawa do Maison Louis David?

Giscard skinął głową.

— Tak. Jeśli tylko będzie mógł. — Zawahał się, zawstydzził, potem jednak dodał: — Nie zdziwiłoby mnie wcale mademoiselle Flecker, gdyby rościł sobie prawa również do pani.

Esther wytwornie uniosła dłoń z papierosem i prychnęła tak, jak miała w zwyczaju robić to jej matka, kiedy chciała powiedzieć: „marne szanse”, co dokładnie należało tłumaczyć: „prędzej w nocy zaświeci słońce”.

Giscard otworzył lodówkę i wyjął butelkę szampana Louis David Brut NV.

— Pani ma Guillaume’a za nic, ale niech pani tak nie myśli. Uważany jest za bardzo silnego mężczyznę, za kogoś, kto zawsze postawi na swoim.

Esther oparła się na krześle.

— A co się stanie, jeśli gwałtowna siła natrafi na niewzruszoną przeszkodę? Madame Hatte ucieszyła się ogromnie na widok Esther, ale zaraz potem znów zrobiła się smutna. Nie mogła nawet wspomnieć o Sachy, żeby nie wybuchnąć przy tym płaczem. Oczywiście w czasie weekendu była w Paryżu, potem zaś Signacowie odwieźli ją do Château David. Teraz cały czas sprzątała, szorowała, polerowała srebra i zastanawiała się, co ma robić dalej. W domu było cicho, jak makiem zasiał i nieprawdopodobnie czysto.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu — rzekła Esther — chciałabym zatrzymać się tutaj na trochę.

Madame Hatte przytuliła ją mocno.

— Jak długo pani sobie życzy, moje kochane biedactwo. To jest teraz pani dom. Tego wieczora Henri przyjechał po nią i pojechali razem na kolację do Signaców. Wszyscy byli przygaszeni i chociaż Charlotte przygotowała na kolację znakomite, duszone ryby słodkowodne — szczupaka, karpia, węgorza i brzanę — żadne z nich nie miało ochoty na jedzenie. Wypili znacznie więcej, niż zjedli. Potem, kiedy zrobiło się już ciemno, Charlotte zabrała Esther na długi spacer po ogrodzie. Trzymały w dłoniach kieliszki ze schłodzonym Les Riceys rose i przechadzały się po trawnikach pod nocnym, gwiazdzistym niebem. Od czasu do czasu przelatywał meteoryt, jako zapowiedź mających nadejść niecodziennych wydarzeń.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Charlotte. Esther skinęła głową.

— Chyba tak.

Charlotte milczała przez krótką chwilę, a potem powiedziała:

— Teraz stałaś się kobietą, Esther, nigdy już nie będziesz dzieckiem. To, co się zdarzyło, zmieniło cię na zawsze.

— Wiem o tym — odparła Esther i rzeczywiście w jakiś dziwny, tajemniczy sposób wiedziała.

Charlotte wzniosła oczy do nieba.

— Teraz odkryjesz, na czym polega różnica między mężczyznami a kobietami i dlaczego musisz zawsze czuć się dumna, że jesteś kobietą. Mężczyźni posiadają moc agresji i tworzenia. Oni mają siłę fizyczną. Ty jednak obdarzona zostałam siłą, która z czasem okaże się znacznie większa. Ta siła da ci cierpliwość i wytrzymałość. Dzięki niej będziesz w stanie przetrwać tę straszną tragedię, jaką jest utrata Sachy, i radzić sobie jakoś dalej.

— Nie jestem w tej chwili pewna, czy chcę radzić sobie dalej. Myślałam o rozpoczęciu pracy przy produkcji szampana. Chciałam nauczyć się to robić. Ale kiedy pojechałam tam dzisiaj, zrozumiałam, że jest to bardzo ciężkie i skomplikowane zadanie.

— Kobiety robiły już trudniejsze rzeczy, robią je obecnie i będą to robić w przyszłości.

Esther oparła czoło na ramieniu Charlotte.

— Pomóż mi, Charlotte.

Charlotte pogładziła ją po włosach.

— Sz-sz. Zawsze będę ci pomagać. Jesteś jedną z moich sióstr.

Laurence i Henri nadal krążyli po salonie, popijając eau vie de marc de Champagne i grając w nową grę w karty, 5rą wymyślił Laurence. Jej perfidne zasady polegały na ciągłym rozrzucaniu i łapaniu pięciu kart. Widząc to, Charlotte zaprowadziła Esther do domku przy basenie, w którym

regularnie ćwiczyła.

— Gimnastyka jest zawsze wielkim oczyszczeniem — wyjaśniła. — Oczyszcza i duszę, i

ciało.

Zapaliła małą latarnię sztormową, która wisiała na jednej z żelaznych poprzeczek domku.

Następnie, nie zwlekając, rozpięła sukienkę, pozwoliła jej upaść na podłogę i zdjęła bieliznę.

Przewiązała głowę cienką, jedwabną przepaską, ale poza tym była zupełnie naga. — Przyłącz się do mnie — rzekła. Była to jednak bardziej nieśmiała propozycja niż rozkaz.

Niepewnie i z zażenowaniem Esther zdjęła swoją prostą, niebieską suknię wieczorową i

przewiesiła ją przez poręcz ogrodowego krzesła. Potem rozpięła stanik i zdjęła pończochy.

Czuła się dosyć nierealnie, stając nago w tym odbijającym echo, szklanym domu w towarzystwie drugiej nagiej kobiety. Latarnia sztormowa rzucała długie, odbijające się na ich

twarzach i ciałach cienie. Mogłyby stać tak na scenie jakiegoś paryskiego klubu erotycznego,

gdzie mnóstwo ciekawych oczu rozkoszowałoby się ich nagością. Ale Charlotte traktowała

gimnastykę poważnie. Nie był to jakiś kaprys, lecz ciężka praca.

Zaczęły od skłonów, dotykając palców u nóg. Powtarzały to wielokrotnie, aż Esther z trudem

chwyciła powietrze. Następnie wymachiwały ramionami i kręciły biodrami. Potem położyły się

na plecach i pedałowowały w powietrzu. Na szklany, pobielony sufit nogi rzucały drgające cienie w

kształcie swastyki. Ciała lśniły od potu.

Esther nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o bólu w płucach oraz skurczach w

rękach i nogach. Charlotte wciąż kazała uginać kolana przy wyprostowanych plecach i

rozłożonych ramionach — jeszcze raz i jeszcze, aż Esther zaczęły trząść się uda.

Wreszcie zatrzymały się. Charlotte zaledwie sapała, ale Esther była tak zgrzana i wyczerpana,

ze podeszła do jednego z żelaznych filarów i przyłgnęła do niego swoim nagim ciałem. Jego

chłód był bardzo pokrzepiający.

Charlotte podeszła do Esther, obróciła ją i przytuliła do siebie. Esther stwierdziła, że to

niezwykle pobudzające i dodające otuchy: czuć nagie piersi innej kobiety przy własnych.

Odwzajemniła uścisk.

— Teraz wiesz, że zawsze potrafisz być silna — szepnęła Charlotte. — Teraz wiesz, że nikt

nigdy nie może cię skrzywdzić, choćby nie wiem co się działo. Twój los nie jest losem twojej

matki ani nawet losem Sachy, ale twoim własnym.

W owym roku niezwykła energia Giscarda Medota okazała się zbawienna dla Maison Louis David. Poza tym lato 1938 było ciepłe, słoneczne i wyjątkowo łaskawe dla winnic Louisa Davida. Podczas obfitego winobrania na początku października zebrano owoce zadowalającej jakości, nie najlepsze, ale na tyle dobre, żeby Maison Louis David mógł jako jedna z nielicznych firm (obok Kruga) wyprodukować rocznik 1938. Giscard uwijał się jak w ukropie i wszędzie go było pełno. Skrupulatnie sprawdzał każdy etap letniej pracy w winnicy: zaoranie zielonego nawozu, przycinanie roślin, spryskiwanie, przerywanie liści. Obserwował formowanie się zarodków winogron i modlił się. Tymczasem w fabryce zaganiał cavistes do pracy. Mieli robić wszystko, na co było ich tylko stać. Podkreślał, że należy utrzymać odpowiednią jakość wyrobów Maison Louis David, jeśli to możliwe, jeszcze ją podwyższyć. Chef de caves, Félix Benoist, mały człowieczek o błyszczących oczach, stanął na wysokości zadania i stworzył specjalne cuvée dla uczczenia pamięci Sachy. Jego zdaniem, kiedy L'Etoile de Champagne 1938 zupełnie dojrzeje, okaże się lepszy niż 1915 chociaż nie dorówna rocznikowi 1928. Giscard utrzymywał także w należytym porządku księgi rachunkowe, w czym pomagał mu główny księgowy firmy, lakoniczny Daniel Meneau, nałogowy palacz. Obroty Maison Louis David, chociaż nie wzrosły nadzwyczajnie, utrzymały się na stałym poziomie. W czasie lata Esther z nie znaną jej wcześniej prostotą i zaangażowaniem, zaczęła się uczyć sztuki wytwarzania szampana. Całe dni spędzała w winnicach, ubrana w długi fartuch i lniany czepek, dowiadując się wszystkiego o jakości gleby, o winogronach i o tym, jak należy uprawiać winorośl, nauczono ją dwóch sposobów przeszczepiania oraz wyprowadzania różnych gatunków winogron. Nauczyła się też, jak należy zrywać dojrzałe winogrona i jak je potem sortować. Vignerons rozmawiali z nią po francusku, a ona odpowiadała im także po francusku. Kiedy jednak wyjeżdżała do Paryża, przyjaciele często śmiali się z jej, wiejskiej wymowy, która była francuskim odpowiednikiem appalaskiego nosowego akcentu. — Esther — chichotała Isabelle — robi się z ciebie wieśniaczka. Mimo smutku, który wciąż odczuwała po stracie Sachy, Esther uwielbiała pracę w Szampanii. Pewnego pogodnego dnia w okresie winobrania siedziała na oświetlonym promieniami słońca

polu, jedząc potée champenoise wraz z innymi vendangeurs. Troje małych dzieci szło do niej wzdłuż winorośli. Dzieci zbliżyły się i podarowały jej wianek, który uplotły z liści winorośli i późnych, letnich kwiatów.

— Merci, mes enfants — powiedziała, kiedy położyły plecioną koronę na jej lśniących włosach. — Vous ?tes tr?s gentils*.

— Vous ites la Reine du Champagne!* — Dzieci śmiały się i klaskały w dłonie. — Vous ?tes la Reine du Champagne!

Esther siedziała ze łzami w oczach, wspominając wszystkie obietnice Sachy. Jedna z kobiet, które zajmowały się zbieraniem owoców, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, aby zdjąć jej z głowy wianek, ale Esther rzekła:

— Nie, nie. Niech zostanie. Podoba mi się.

Kończyła jeść swoją zupełną jarzynową, podczas gdy reszta vendangeurs obserwowała ją w milczeniu, okazując szacunek i lekkie zakłopotanie. Ona jednak uśmiechnęła się do nich promiennie i oświadczyła:

— Jestem w końcu Królową Szampanii, prawda?

Późnym wieczorem pewnego mglistego dnia, gdy okres tłoczenia winogron dobiegał końca, Esther wróciła zmarznięta oraz wyczerpana do Château David i zobaczyła stojący przed domem samochód Guillaume’a.

Zaparkowała obok niego swojego małego citroena, wysiadła i ciężkim krokiem weszła po frontowych schodach. Madame Hatte musiała ją usłyszeć, ponieważ otworzyła drzwi, zanim jeszcze Esther zdążyła zadzwonić.

— Monsieur Guillaume jest tutaj — rzekła. Jej twarz wyrażała rezerwę i niepokój.

— No to będzie musiał poczekać — oświadczyła Esther. — Najpierw chcę spotkać się z panną z pełną wody.

Guillaume usłyszał jednak, jak wchodziła, i stał już w holu. Wyglądał ładnie i elegancko w ciemnoszarym garniturze Henry’ego Poole’a. Był tylko częściowo widoczny w świetle dochodzącym z salonu.

— Patrzcie tylko, to Esther! Jak pani prostacko wygląda! Prawdziwa colporteuse. Esther ruszyła w kierunku schodów, ale Guillaume zagroził jej drogę.

— Przepraszam, że zjawiłem się tutaj nie zapowiadany.

— Dlaczego miałby pan za to przepraszać? — zapytała. — Zawsze pan tak robił.

— Pomyślałem, że nadszedł czas, abyśmy pani i ja odbyli poważną rozmowę.

— Nie potrafiłabym rozmawiać z panem poważnie.

Chwyił ją za ramię.

— Jest pani na mnie zła! Dlaczego u diabła gniewa się na mnie?

Uwolniła się.

— Nie gniewam się na pana. Ja po prostu nie mam panu nic do powiedzenia. To wszystko.

— Gniewa się pani o to, co powiedziałem tego dnia, gdy wróciła pani do Epernay. Wiem o tym!

— Och, jaki pan wrażliwy! A teraz proszę mnie zostawić. Chciałabym wziąć kąpiel. Guillaume podniósł ręce do góry, poddając się.

— Przepraszam, byłem bardzo bezmyślny. Czy mogę otworzyć dla nas butelkę szampana, kiedy pani pójdzie się wykapać?

Esther widziała, jak stojąca za nim madame Hatte rzuca piorunujące spojrzenia i robi wszelkie możliwe grymasy twarzy, dając do zrozumienia, że „nie”. Ale Guillaume był ostatecznie bratem

Sachy, w każdym razie przyrodnim bratem i tak barzo go jej przypominał. To, co powiedział

tamtego dnia w Epernay, nie było w końcu zbyt okrutne, a jedynie realistyczne.

Minęło całe lato,

a Esther nie miała żadnego znaku od Sachy i coraz trudniej było jej wierzyć w to, że mógł jeszcze żyć.

— Niech mi pan da piętnaście minut — odparła. — Madame Hatte przyniesie panu szampana.

Madame Hatte, poproszę niemarkowego brut.

— Jest pani pewna? — zapytała madame Hatte i nie miała na myśli wyłącznie szampana.

Esther, zmęczona, uśmiechnęła się do niej.

— Tak, jestem pewna.

Tak się też stało. Esther prawie zasnęła w wannie i upłynęło ponad pół godziny, zanim zjawiała

się w końcu w salonie, ubrana w zwykłą, jedwabną sukienkę wieczorową. Guillaume zdążył już

wypić pół butelki szampana i siedział teraz przed kominkiem, patrząc w ogień. W jego oczach

odbijały się pomarańczowe, tańczące płomienie.

Wstał, kiedy weszła, ujął jej dłoń i pocałował.

— Co się stało z colporteuse? — uśmiechnął się.

— Nadal tu jest — odparła. — To, że zmieniłam ubranie, nie znaczy od razu, że zmieniłam mój fach.

Guillaume wyjął butelkę z naczynia do chłodzenia i nalał dla niej szampana.

— A pani fach to produkcja szampana?

— Wygląda na to, że tak.

— Można powiedzieć: „nawrócona gwiazda z towarzystwa”?

Esther piła szampana małymi łykami, potem odstawiła kieliszek.

— To jest po prostu coś, co chcę robić. Dla Sachy, a także dla samej siebie.

— No cóż, właśnie o Sachy przyszedłem z panią porozmawiać.

— Ach, tak?

Guillaume spojrział w ogień.

— Dzisiaj spotkałem się z moimi prawnikami w Chalons. Ich zdaniem, chociaż nie ma jeszcze dowodów na to, że Sacha nie żyje ani nie uznano go prawnie za zmarłego, istnieją podstawy, abym niemal natychmiast uzyskał prawo do kontroli nad Maison Louis David. Esther wytrzeszczyła oczy.

— Co? Chce pan już przejąć Maison Louis David? Nie może pan! Guillaume wzruszył ramionami.

— Tak, jak mówiłem, istnieją podstawy.

— Jakie na przykład?

— No cóż, moja droga, jeśli dowiodę ponad wszelką wątpliwość, że firmą Louis David nie zarządzają już kompetentni ludzie i w związku z tym mój spadek narażony jest na poważne i nieodwracalne szkody...

— Jak pan śmie mówić o niekompetentnym zarządzaniu! Giscard Medot jest znakomity! Ogłosiliśmy w tym roku, że możemy wyprodukować rocznikowego szampana, co nie udało się firmie Guillaume Frère! Nie ma pan racji! Guillaume sączył szampana i uśmiechał się.

— Maison Louis David będzie mój prędzej czy później, kochana. Czy to rzeczywiście ma aż tak wielkie znaczenie kiedy?

— Maison Louis David będzie pański wtedy, kiedy zostanie panu prawnie przyznany, koleś, nie wcześniej.

Guillaume roześmiał się.

— Koleś! Nie sądzę, żeby ktokolwiek kiedyś nazwał mnie Kolesiem”.

— To pewnie dlatego, że nie ma pan żadnych kolesiów, którzy mogliby tak na pana wołać.

— Och, Esther. — Guillaume oparł się na krzesło i uśmiechnął do niej. — Przyszedłem tu tylko po to, żebyśmy się zaprzyjaźnili.

— A dlaczego mielibyśmy się zaprzyjaźnić?

— Dlatego, że jestem przyrodnim bratem mężczyzny, którego pani kocha, oraz człowiekiem, który trzyma teraz w ręku klucz do pani przyszłości.

Esther spojrzała na niego podejrzliwie.

— A to co ma znaczyć?

Guillaume opuścił powieki. Miał niesamowicie długie rzęsy. Esther nigdy nie mogła się nadziwić, jakie wspaniałe rzęsy mieli mężczyźni, podczas gdy kobiety musiały swoim rzęsom poświęcać mnóstwo czasu i pracowicie je malować, żeby nie przypominały kurzego skrzydełka, którego nie oskubano do końca.

Guillaume zapytał:

— Czy chce pani nadal pracować w Maison Louis David należeć do tej rodziny, nawet jeśli

Sacha nigdy się nie znajdzie?

— To jest pytanie, na które trudno mi odpowiedzieć — odrzekła bardzo cichym głosem. —

Wciąż mam nadzieję, nadal się modłę.

— Ale przypuśćmy...

— Nie wiem. Nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji. Ale w jakiś szczególny sposób moje

serce najwyraźniej znalazło tu dla siebie dom. Tak, to prawda.

— I nie zdziwi się pani nami, prostymi francuskimi wieśniakami, i nie będzie pani chciała

wrócić do Nowego Jorku?

Esther napiła się szampana.

— Dlaczego do Nowego Jorku, skoro mam Paryż?

— Nie brakuje pani frywolnych amerykańskich przyjaciół?

— Chyba tak, troszeczkę, ale oni przyjeżdżają do Paryża dosyć regularnie. I... nie wiem,

jakoś nie bawią mnie już tak jak dawniej.

— Widzi pani — zaczął Guillaume — chciałbym zaproponować, aby Maison Louis David i

firma Guillaume Frère połączyły się, to znaczy połączyły swoje magazyny i finanse, natomiast

oficjalnie dla świata powinny nadal zostać zupełnie od siebie niezależne.

— A jaki miałyby to sens? — spytała Esther.

Guillaume przechylił się na krześle.

— Och, prowadzenie sławnej, tradycyjnej fabryki luksusowego szampana z jednej strony i

nowoczesnej firmy produkującej wino na dużą skalę z drugiej ma bardzo wiele zalet. Można

dokonywać wymiany wina między firmami, aby wyrównać straty spowodowane nieudanymi

zbiorami, albo pomagać sobie w realizacji nieoczekiwanych, zbyt dużych zamówień lub po

prostu, dzięki współpracy chefs de caves, uzyskiwać najlepsze z możliwych cuvées. Można

obniżyć maksymalnie ceny na towar dla zwykłych klientów, a równocześnie wywindować ceny

gatunków najwyższej klasy. Zyskuje się więc znacznie większą elastyczność, rozumie pani.

Możliwości są nieograniczone!

— Wiem — odparowała Esther. — Nieograniczone możliwości oszukiwania.

— Uff! — zawołał Guillaume. — Za dużo nasłuchiwała się pani Sachy! Sacha to taki purytanin!

Uważa, że każdy, kto tylko pomyśli o fermentacji wina w czymś innym niż trzydziestoletnia

beczka, jest wcielonym diabłem! — Dopił swój kieliszek szampana i zapalił papierosa. — Jestem

święcie przekonany, że w ciągu pięciu lat połączone firmy Louis David i Guillaume Frère mogą

stać się konkurencją dla Moëta i Merciera.

Esther zmarszczyła brwi.

— Ale jeżeli Sacha nie żyje... jeśli on nigdy nie wróci... tak czy inaczej będzie pan mógł to

zrobić, a ja nie zdołam pana powstrzymać.

— Oczywiście, ale wtedy wszyscy dowiedzą się, że obie spółki prowadzone są przeze mnie.

Stracę cały efekt prowadzenia dwóch oddzielnych firm.

— Ale przed chwilą powiedział pan, że już teraz chce pan przejąć wszystko.

Guillaume skinął głową.

— Tak. Moi prawnicy uważają, że mógłbym doprowadzić do fuzji siłą, nawet pod nieobecność Sachy. Nie chciałbym jednak robić tego w taki sposób. Jeśli musiałbym załatwić

sprawę na drodze sądowej, fuzja stałaby się rzeczą powszechnie wiadomą. Ja natomiast

wolałbym, żeby obie firmy robiły wrażenie zupełnie niezależnych od siebie, nawet wrogich, jeśli

pani sobie życzy. Chciałbym doprowadzić do tego za obustronnym porozumieniem między

Guillaume Frère i Louis David, tak aby wszyscy byli zadowoleni, a zwłaszcza pani. — Wypuścił

dym z papierosa. — Jedyne problemy polegają na tym, że aby niezależność obu firm wydała się

przekonująca, potrzebuję wiarygodnego, marionetkowego dyrektora Maison Louis David. To

musi być ktoś z charakterem, kto miałby swój styl tak jak Sacha, a także ktoś, komu Sacha

zechciałby powierzyć swoje dobra materialne.

— Zna pan jednak warunki umowy — zaprotestowała Esther. — Obie firmy przechodzą na

pierwszego męskiego potomka jednego z was, a jeśli żaden nie będzie go miał, wtedy otrzyma

wszystko ten z was, który przeżyje drugiego.

— Tak, wiemy o tym pani i ja — zgodził się Guillaume — ale większość ludzi z branży nie

zdaje sobie z tego sprawy.

— Nie wydaje się jednak zbyt wiarygodne, aby Sacha przekazał swój rodzinny interes

Giscardowi Medot.

— Nie powiedziałem przecież, że jest to wiarygodne.

— Ale Giscard nim zarządza.

— Oczywiście, że tak, z praktycznych względów. On jednak nie ma własnego stylu ani

odpowiedniego rozmachu, prawda? Nie jest ani trochę intrygujący, nie ma ognia, który mógłby

rozpalić wyobraźnię.

— Nie zwolni go pan chyba? — Esther zrobiła groźną minę.

— Byłbym szalony, gdybym go zwolnił. Jest jednym z najlepszych zarządców fabryki w

branży.

— Nie ma nikogo innego, kto byłby zdolny do...

Guillaume uśmiechnął się szeroko i wskazał palcem prosto na nią.

— Ja? — zdziwiła się Esther. — Chce pan, żebym...

— Myślałem o tym bardzo długo — odrzekł Guillaume. — Ta historia ma wszystkie cechy współczesnej bajki. Prasa i świat handlowy będą zachwyceni. Szampan Louis David będzie się rozchodził jak ciepłe bułeczki. Opuszczona tragicznie przed ołtarzem nowojorska panna z towarzystwa odkrywa, że zaginiony narzeczony zapisał jej w testamencie swoją prestiżową fabrykę szampana. Zapisał jej wszystko, wydziedziczając własnego brata w imię miłości. Ona zamierza zostać drugą Veuve Clicquot i zachować wspaniałe tradycje Maison Louis David.

Esther patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczami.

— Pan jest chory, wie pan? To naprawdę najwstrętniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałam! Mój Boże, Guillaume, nie minął nawet rok od zaginięcia pańskiego brata, a pan...

— Sacha nie żyje! — warknął Guillaume.

Esther zatrzymała się i usiadła skamieniała.

— Przepraszam — powiedział Guillaume. — Nie chciałem na panią krzyczeć. Musimy jednak spojrzeć prawdzie w oczy. Sacha nie żyje. Niezależnie od tego, co się z nim stało, on nie wróci.

Czy sądzi pani, że porzuciłby na tak długo dwie rzeczy, które były najdroższe jego sercu: Maison Louis David i panią? — Guillaume wstał. — Jeśli wyraziłem się zbyt dosadnie czy niesmacznie lub zdenerwowałem panią w jakikolwiek sposób, to przepraszam. Przepraszam ze szczerego serca. Chciałbym jednak, aby rozważyła pani moją ofertę. Jeśli zdołamy dojść do porozumienia, Maison Louis David może być nadal prowadzony w taki sposób jak zawsze, bez rezygnowania z zasad Sachy i bez utraty prestiżu. Natomiast firma Guillaume Frère będzie mogła korzystać z nieograniczonego dostępu do piwnic Louisa Davida.

— Wszystko zależy od pani. Jeżeli zgodzi się pani przejąć brykę i przyjąć tytularną funkcję jej szefa, porozmawiam z Giscardem Medotem i zawrzemy umowę. Jeśli pani nie chce, wtedy będę musiał wszcząć postępowanie sądowe, aby najszybciej jak to możliwe, doprowadzić do fuzji spółek. A stanie się to z ogromną szkodą dla nas obojga.

Esther nic nie odpowiedziała — siedziała nadal na krześle, patrząc bezmyślnie w ogień.

— Pójdę już — powiedział Guillaume, opierając lekko dłoń jej ramieniu. — Proszę to przemyśleć. Niech pani nie podejmuje pochopnej decyzji i proszę dać mi znać. Następnego dnia Esther poszła na spacer po winnicach w Champillon, tam gdzie Sacha po raz

pierwszy pokazał jej gatunki winogron. Było mroźno, oszroniona kredowa ziemia chrzęściła pod jej stopami. Za każdym razem, kiedy się zatrzymywała, widziała parę lejącą z ust.

„Sacha, co mam robić? Gdybym tylko potrafiła uwierzyć, że nadal żyjesz. Gdybym tylko potrafiła uwierzyć, że wciąż myślisz o mnie. Czuję się tak strasznie samotna, Sacha. Proszę, powiedz mi, co robić?

Kiedy szła z powrotem pod górę w kierunku Royal Champagne Hotel, gdzie zaparkowała samochód, zobaczyła, że na brzegu parkanu oddzielającego pole od ogrodu hotelowego wisi jakiś przedmiot. Podeszła tam i zdjęła go. Mimo że był zwiędły, zaszuszone i oszroniony, rozpoznała wianek z liści winorośli, który zrobiły dzieci i dały jej podczas winobrania. Długo obracała w dłoniach tę plecioną koronę, a potem wełniany kapelusz i ostrożnie założyła ją na głowę, wróciła się, spojrzała na pokryte mgłą winnice i zawołała: — Regardez-moi! La Reine du Champagne!*

Zawróciła i z rozpostartymi ramionami oraz błyszczącymi »zimna oczami wędrowała po winnicach. Była ożywiona, straszona, ale całkowicie już pewna tego, co robi. Nie zlekceważyć wróżby!

— La Reine du Champagne!— krzyczała ciągle. — La Reine du Champagne! Guillaume naturalnie miał rację. Prasa była zachwycona historią o gwiazdzie nowojorskiego towarzystwa, która przejmowała prestiżową fabrykę szampana. W ciągu trzech dni hotele w Epernay zapełniły się reporterami z całej Francji i Europy. Esther udzieliła wywiadu każdej gazecie i każdemu czasopismu, począwszy od „Le Figaro”, skończywszy na „Muncie Star”.

Jedną z głównych atrakcji było oczywiście zwiedzanie piwnic Maison Louis David, po którym zapraszano reporterów na przyjęcia połączone z degustacją szampana. Wszyscy dziennikarze po prostu piali z zachwytu.

Guillaume był obecny na większości konferencji prasowych, ale pozostawał raczej w cieniu.

Kiedy przypadkiem znalazł się na fotografii przedstawiającej Esther, która otwierała szampana, określił siebie po prostu jako „doradcę do spraw wina”. Jednak podczas wielkich przyjęć i degustacji szampana ani na moment nie odrywał od niej wzroku i chociaż był niezmiernie uprzejmy i spokojny, Esther czuła się tak, jakby obserwowała ją jakaś potężna, drapieżna bestia.

Sacha śnił jej się nieustannie. Trudno jej było nie czuć się tak, jakby w pewien

sposób go
zdradziła, udając, że zapisał jej w testamencie swoją firmę. Wiedziała jednak,
że zrobi wszystko,
co w jej mocy, aby prowadzić ją zgodnie z jego pragnieniami, a Giscard Medot
pomocze jej w
tym. Naturalnie Giscard uważał tę propozycję za bardziej atrakcyjną, niż była
jej zdaniem.
Gwarantowała mu w końcu pracę, a także, co było nie mniej ważne, zapewniała
możliwość
wytwarzania znakomitego szampana bez żadnych ustępstw na rzecz nowoczesnych
metod
masowej produkcji.
W każdym razie wszyscy pracownicy Maison Louis David uwielbiali Esther i chociaż
brakowało im Sachy, żaden z nich nie miał raczej nic przeciwko temu, aby piękna
i młoda
amerykańska dziedziczka była ich mademoiselle presidente. Nawet zrzędlivi starsi
cavistes, gdy
wieczorem wracali do domów na rowerach przez Avenue de Champagne z robotnikami
Merciera,
znosili dzielnie ich gwizdy, dokuczania i pytania na temat tego, kiedy wszyscy
pojawią się w
„Vogue”.
Zimą pracowano w Maison Louis David jak zwykle, ale często pojawiał się tam
Guillaume i
wywoził z magazynów ogromne ilości szampana do fabryki Guillaume Frère w
Chalons. Od
czasu do czasu Giscard okazywał swoje niezadowolenie z powodu tych praktyk, ale
przecież
zdarzały się one i wcześniej, nawet za czasów Sachy, a pan Medot nic nie mógł na
to poradzić.
Esther pracowała jeszcze ciężiej niż dotąd, ucząc się każdego etapu methode
champenoise,
jakby była zupełnie niedoświadczonym, młodym terminatorem. Ubrana w kalosze i
długi,
skórzany fartuch, pomagała przekładać stosy butelek, kiedy leżały sur lattes,
oraz obracać je, gdy
znajdowały się w specjalnych pupitres. Spróbowała nawet usunąć osad techniką ?
la volée, czyli
wykorzystując jedynie ciśnienie, ale zmarnowała przy tym prawie połowę butelki
szampana,
który trysnął jak fontanna.
Potrafiła znaleźć jeszcze mnóstwo czasu na zabawę. Kilka razy w miesiącu
odwiedzała
Signaców, oni zaś przedstawili ją młodemu towarzystwu z Reims. A ponieważ miała
tak blisko
do Paryża, często wpadała na rue Jean Giraudoux, aby zjeść kolację oraz
potańczyć z Henrim i
Isabelle. Znalazła sobie przystojnego, nieśmiałego, ciemnowłosego chłopaka,
Claude’a Manciera,
najmłodszego syna Mancierów, właściciela wielkiej sieci piekarni. Claude

towarzyszył jej niemal wszędzie, był bardzo uprzejmy, kulturalny, romantyczny i nie mówił ani słowa po angielsku.

Boże Narodzenie spędziła u Delahaye'ów, ale obiecała im, w przyszłym roku sama zorganizuje święta w Château David.

Jej życie zmieniło się całkowicie, ona sama również. Była jednak zadowolona ze spełnionego obowiązku i po raz pierwszy w życiu czuła się panią własnego losu. Nadal opłakiwała stratę Sachy, a uczucie tęsknoty potrafiło ją ogarniać zupełnie niespodziewanie: wybuchnęła płaczem w czasie komisyjnej degustacji wina w Chalons, a pewnego razu w Ambassadeurs, w Paryżu poczuła tak druzgocący ból, że Claude musiał ją odwieźć do domu.

Jednak praca w Maison Louis David dawała jej poczucie, że nie porzuciła Sachy całkowicie i nawet jeżeli w końcu miałyby kogoś poznać i pokochać, będzie mogła powiedzieć sobie, że należycie przestrzegają okresu swego „panieńskiego wdowieństwa”.

Na wiosnę stało się coś, co dowiodło, że jej pozycja w Maison Louis David została ostatecznie ugruntowana, a wysiłki ukoronowane. Félix, chef de caves, oświadczył, że zmiesza dla niej specjalny markowy rose brut rocznik 1938 i bardzo chciałby nazwać go na jej cześć La Reine du Champagne. Zaprojektowano więc specjalną etykietkę, na której znajdowała się korona z liści winorośli i polnych kwiatów.

Na wiosnę zaczęło także wzrastać napięcie polityczne w Europie i sytuacja pogarszała się w zastraszającym tempie. Na Polach Elizejskich wykopano schrony i posadzono na nich begonie w kwietnikach. Paryżanom rozdano maski przeciwgazowe, chociaż nikt dokładnie nie wiedział, jak ich używać. Nad Szampanią zawisła złowróżbna cisza, jakby cała kraina zamknęła oczy w oczekiwaniu na nieuchronnie nadciągającą burzę.

Zdarzyło się coś jeszcze. Kiedy ostatniego dnia maja Esther wróciła do Château David, zobaczyła madame Hatte stojącą w drzwiach z telegramem w dłoni. Podała Esther depeszę i czekała, aż ją przeczyta.

Tekst był suchy:
Akcje Fleckera spadły STOP Sklepy zamknięte STOP Koleje sprzedane STOP Ojciec po zawale poważnie chory STOP Napiszę STOP Pozdrawiam Mama STOP.

Esther zaniósła telegram do biblioteki, usiadła przy biurku i przeczytała go raz jeszcze ze łzami w oczach. Madame Hatte stała w holu i patrzyła na nią. Wtedy właśnie pojawił się Guillaume i przyłożył palec do ust, aby madame Hatte nie oznajmiała jego

przybycia.

Podszedł do Esther i położył jej rękę na ramieniu.

— Esther, czy to z Ameryki? Od rodziców? Właśnie słyszałem wiadomości od moich maklerów.

Esther odwróciła się i zapłakana pokazała mu telegram.

— Ojciec miał zawał — powiedziała.

Guillaume przeczytał telegram, rzucił go na biurko i wyciągnął do niej rękę, a ona zaczęła

szlochać na jego ramieniu. Czowała, że to raczej sztucznie płakać w rękaw obcemu mężczyźnie, ale

musiała się wyplakać, nawet jeżeli było to tylko udawanie.

— Biedny tatuś, pracował zbyt ciężko. Zawsze pracował zbyt ciężko.

— Cicho — odrzekł Guillaume. — Nic mu nie będzie, zobaczysz. W dzisiejszych czasach

lekarze potrafią zrobić prawie wszystko.

— No, nie wiem. A co z mamą? Co u diabła zrobi mama bez pieniędzy?

— Na pewno ma mnóstwo przyjaciół. A twój ojciec nie mógł przecież stracić wszystkiego. Są

jeszcze domy, biżuteria, może obrazy.

Esther pociągnęła nosem, zadrżała i odwróciła głowę. Zaczęła szukać w kieszeni chusteczki,

bezszykownie jednak. Guillaume wyjął swoją z kieszeni na piersi i wręczył jej.

— A co ze mną? — dodała. — Większa część mojego spadku znajdowała się w akcjach Fleckera. Cały mój bieżący dochód pochodzi z dywidend.

— Co z tobą, moja kochana? — Guillaume uśmiechnął się, koniuszkami palców ocierając łzy

z jej rzes. — Sądzę, że będę musiał wypłacać ci pensję.

Esther odwróciła się od niego.

— Muszę wracać do Stanów.

— Oczywiście — odparł Guillaume. — Jeśli mógłbym w czymś pomóc...

— No cóż, nie sądzę, dziękuję — rzekła Esther. — Napisz się czegoś?

— Jeśli ty również masz ochotę, to chętnie.

Zadzwoń do madame Hatte.

— W jakiej sprawie chciałeś się ze mną widzieć? — zapytała.

— Wracałem właśnie z Reims. Pomyślałem po prostu, że mógłbym cię odwiedzić.

— A czy Juliette nie oczekuje cię na kolacji?

— To, czego Juliette oczekuje, a co dostaje, to dwie zupełnie różne rzeczy.

Esther spojrzała na niego ostrożnie. Nadal się uśmiechał.

— Naprawdę tak mało ją kochasz? — zapytała.

Nie odrywał od niej oczu ani przez chwilę.

— Czy to wielki grzech spóźnić się trochę na kolację?

— To zależy, dlaczego spóźniasz się na kolację, nie uważasz?

Zjawiała się madame Hatte. Wyglądała na niezadowoloną. Guillaume poprosił:

— Zechce pani przynieść butelkę rose.

— Oui, monsieur — odparła madame Hatte i zniknęła.

Esther usiadła na kanapie, Guillaume obok niej, niewygodnie blisko.

— Mam wrażenie, że rozpoczęliśmy naszą znajomość w niewłaściwy sposób — stwierdził. —

Twoja opinia na mój temat ukształtowała się na podstawie tego, co usłyszałaś od Sachy.

Nikczemny przyrodni brat.

— Opowiedział mi o Camille, jeśli to masz na myśli.

Guillaume uniósł jedną brew.

— Camille była bardzo piękną kobietą... niezależną. Ani Sacha, ani ja nie mieliśmy szans

zatrzymać jej na długo.

Przerwał, a potem dodał:

— To bardzo smutne, co przytrafiło się Camille. Ale ja zawsze czułem, że ona umrze młodo.

Wiesz, tęsknię za nią tak bardzo, jak Sacha za nią tęsknił.

— Ale ty byłeś żonaty. Guillaume skinął głową.

— Tak, żonaty na papierze, ale nie w żadnym innym sensie. Juliette i ja od lat nie żyjemy jak

mąż z żoną.

— Nie chcę się do tego wtrącać — rzekła Esther.

Potrząsnął głową.

— Nie wtrącasz się. Taka jest po prostu smutna prawda. Ożeniłem się z Juliette, ponieważ jej

ojciec był bogaty, a ja potrzebowałem pieniędzy. Nie usprawiedliwiam się, mogę za to winić

jedynie samego siebie. Teraz spłacam odsetki od posagu Juliette w postaci cierpienia, nudy i

zimnych pocałunków.

— Nie możesz się rozwieść?

— Rozwieść! Juliette nie chce o tym słyszeć! Jej zdaniem małżeństwa zawierane są w niebie

na oczach Boga, niezależnie od tego, jak bardzo nieszczęśliwe potem się okażą.

Miałem inne

kobiety, co innego mogłem zrobić? Ale mimo że Juliette wie o nich wszystko, bo nie

omieszkałem jej o tym powiedzieć, nie zgadza się, aby rozważyć separację.

Weszła madame Hatte, niosąc rose. Guillaume wstał, podziękował jej i odkorkował butelkę.

Kiedy nalewał wino, świadczył:

— W dniu, w którym madame Hatte uśmiechnie się do mnie, doczołgam się do Reims, pchając nosem korek od szampana i odmówię w synagodze specjalną modlitwę broche.

— Nie wiem, dlaczego tak bardzo cię nie lubi. Przykro mi.

Guillaume wzruszył ramionami.

— Wini mnie za śmierć Camille i cierpienia Sachy.

Siedzieli razem i rozmawiali do późna. Esther nadal nie była pewna, czy ufa

Guillaume'owi,

ale potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać po otrzymaniu wiadomości o chorobie

ojca. Guillaume natomiast był życzliwy, spokojny, a czasami nawet zabawny.

— Kiedy wracasz do Ameryki? — zapytał, zbierając się do wyjścia.

— Nie wiem. Mama do mnie napisze.

— Może to zresztą dobry pomysł, abyś wyjechała z Francji. Wielu ludzi uważa, że będzie

wojna.

Esther powiedziała jednak stanowczo:

— Nie opuszczę Maison Louis David, nie teraz.
— Królowa Szampanii będzie broniła swego królestwa do końca, o to chodzi?
— Chyba tak — odparła Esther. — Ułożyłam sobie tutaj życie, więc jak mogłabym stąd wyjechać?
Guillaume objął ją i spojrzał jej w oczy.
— Proszę, daj mi znać, jak czuje się twój ojciec. I dzwoń bez wahania, jeśli tylko będziesz potrzebowała mojej pomocy. Bardzo miło spędziłem dzisiejszy wieczór.
Esther spojrzała w dół.
— Lepiej wracaj do domu. Juliette będzie się martwić.
— Tak — odparł miękko. — Juliette będzie się martwić.
Próbował ją znów pocałować, tym razem w usta, ale Esther odwróciła twarz.
— Nie, Guillaume.
Nie wypuszczał jej z objęć.
— Nawet nie mogę cię pocałować? Gdybyście z Sachą wzięli ślub, bylibyśmy rodziną.
Spojrzała na niego ostro.
— Wiem, ale Sacha i ja nie wzięliśmy ślubu, więc nie jesteśmy.
— A gdybym ci powiedział, że darzę cię wielkim uczuciem?
— Odpowiedziałabym to samo, co przedtem: lepiej wracaj do domu, Juliette będzie się o ciebie martwić.
Guillaume odsunął się od niej i poszedł wziąć swój kapelusz ze stolika w holu.
— Rozumiem, tak jak wszyscy myślisz, że jestem diabłem.
— Wcale tak nie myślę. Ale martwię się o ojca, nadal oplakuję Sachę, a ty jesteś żonaty.
Guillaume zastanowił się nad tym, potem uśmiechnął się i skinął głową.
— Dobranoc, Esther. Niedługo znów cię odwiedzę. Nie zapomnij zadzwonić, gdybyś mnie potrzebowała.
Tej nocy Esther śniło się, że między jej udami leżał jakiś mężczyzna, lizząc ją. Zaczęła jęczeć głośno, wic się i przeczesać palcami jego włosy. Kiedy jednak spojrzała w dół, mężczyzna okazał się Guillaume'em. Uśmiechał się do niej w taki sam tajemniczy sposób, jak to zrobił przed wyjściem.
Poszła do łazienki po szklanek wody i długo stała, przyglądając się sobie w lustrze. Wszystko było dla niej jasne.
Słowa matki były suche i proste. Esther czytała list w ogrodzie — świeciło słońce, ptaki ćwierkały, szczebiały i kapały się w piasku. Matka, tak liryczna kiedy śpiewała, nie potrafiła okazać wrażliwości w liście.
Ojciec umarł. Kiedy otrzymasz ten list, będzie już pochowany. Zarówno dom przy Piątej Alei, jak i willę w Newport trzeba sprzedać. Po pogrzebie lecę do Kalifornii, aby zatrzymać się na

trochę u wuja Henry'ego. Prawnicy wkrótce do ciebie napiszą, aby poinformować cię, co

odziedziczyłaś i w jaki sposób będziesz otrzymywać swoją pensję.

Esther odwróciła kartkę. Na drugiej stronie znajdował się dynie dopisek:

Pozdrawiam, Mama.

Od dnia ślubu Esther nie czuła się tak samotna jak teraz.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tego dnia, kiedy wypowiedziano wojnę, Esther była w Paryżu. Jadła lunch w Tour d'Argent z

Henrim i Isabelle. Właśnie zabierała się do canard au sang, kiedy do restauracji wszedł

kierownik sali i klasnął w dłonie.

— Panie i panowie zechcą wybaczyć. Proszę o chwilę uwagi. Chciałem ogłosić, że Francja

wypowiedziała wojnę.

Przez moment zaległa cisza, po której niby fala przypływu ozwał się szum przyciszonych

rozmów. Esther odłożyła nóż i widelec i patrzyła na Isabelle z wyrazem przerażenia i

niedowierzania na twarzy.

— No cóż — rzekła Isabelle, podnosząc kieliszek wina. — Przypuszczałam, że musi to

nastąpić.

— Ale wojna!

— Ostatecznie jesteśmy do niej przygotowani — stwierdził Henri. — Linia Maginota zatrzyma Niemców. Moim zdaniem cała wojna nie potrwa dłużej niż kilka tygodni.

Hitler nie jest

przyzwyczajony do tego, aby ktoś mu się przeciwstawiał.

Isabelle powiedziała:

— Mam nadzieję. Mój Boże, mam nadzieję!

— On jest tyranem i tchórzem — wyjaśnił Henri. — Wiesz, jak postępuje się z takimi ludźmi?

Wystarczy ich zaatakować, a oni poddają się, zanim się zorientujesz!

Mimo optymizmu Henriego jedli lunch w ponurej atmosferze. Isabelle zapytała Esther:

— Co zrobisz? Wrócisz do Ameryki?

Esther dopiła swoje wino.

— Sądzę, że wezmę to pod uwagę, jeśli sytuacja będzie wyglądała bardzo źle. Ale przecież

podczas ostatniej wojny nie przerwano produkcji szampana, prawda? Sacha mówił mi, że kobiety

i dzieci zbierały winogrona w winnicach pod gradem kul.

— Tym razem nie pozwolimy Niemcom dojść aż do Marny — oświadczył Henri. — Na twoim miejscu pracowałbym dalej. Szampan jest znacznie ważniejszy niż wojna!

Mimo wszystko kiedy wróciła do Szampanii w następnym wtorek, pojechała prosto do Chalons,

aby naradzić się z Guillaume'em, co powinni zrobić. Nie zastała go w firmie Guillaume Frère i

portier odesłał ją do jego domu znajdującego się niedaleko centrum miasta.

Nie widziała tego domu wcześniej. Była to duża, brunatnożółta rezydencja z

białymi
okiennicami, w połowie zarośnięta bluszczem. Samochód Guillaume'a stał na
zewnątrz, Esther
wiedziała więc, że musi być w domu. Zadzwoiła do frontowych drzwi i czekała.
Przyglądał jej
się leniwie rudy kot siedzący na okiennym parapecie.
Guillaume osobiście otworzył drzwi. Był bez marynarki, a wokół pasa dyndały mu
szelki.
Właśnie się golił i na jego policzkach wciąż jeszcze widać było małe trójkąty
piany.
— Esther! — zawołał. — Cóż za miła niespodzianka!
Zaprosił ją do środka i zamknął drzwi. Wnętrze było wyłożone jasną dębina i
obwieszone
ponurymi olejnymi obrazami oraz trofeami myśliwskimi. Był to taki dom, w którym
od razu
widać, że męczyzna jest tu osobowością dominującą. Jedyne ślad kobiecości
stanowił wazon z
opadającymi wrześniowymi różami, który stał na stoliku w holu.
— Wejdz — powiedział Guillaume i wprowadził ją do wielkiego salonu z przepastnym
kominkiem oraz meblami pokrytymi tkaninami dekoracyjnymi utrzymanymi również w
stylu
domku myśliwskiego. — Napijesz się kawy? Czy może czegoś mocniejszego?
— Nie, dziękuję — odparła Esther i usiadła na brzegu jednej z kanap. Miała na
sobie szary
kostium Chanel i wyglądała na trochę zmęczoną po podróży.
— Chciałam porozmawiać z tobą na temat wojny.
— Wojna! No cóż, nie jest to szczególnie interesujący temat, nie sądzisz?
Wszyscy biegają
wkoło jak kurczaki z uciętymi głowami, chociaż nic się nie stało!
— Założmy jednak, że się stanie — rzekła Esther. — W Paryżu traktują sprawę
dosyć
poważnie. Przeznaczili nawet piwnice w Ritzu na schrony przeciwlotnicze. Mnóstwo
ludzi
wyjeżdża.
— Chcesz wyjechać? — zapytał Guillaume. — Ostatecznie nic cię nie powstrzymuje
przed
wyjazdem do Ameryki.
Esther potrząsnęła głową.
— Przemyślałam to i postanowiłam zostać.
Guillaume uśmiechnął się.
— Cieszę się. Giscard Medot mówi, że bardzo dobrze sobie radzisz. Poprosiłem
tylko, abyś
przyjęła tytułarną funkcję dyrektora w Maison Louis David, wygląda jednak na to,
że stałaś się
ekspertem od produkcji szampana. Madame Clicquot-Ponsardin Druga.
— Jeszcze nie, ale zamierzam nią być — odpowiedziała. — Tymczasem powinniśmy
zastanowić się, jak ochronić nasz towar.
— Przed czym? W najgorszym wypadku Niemcy zrzucają na Epernay kilka przypadkowych
bomb. W jaki inny sposób nasz szampan może być lepiej chroniony niż teraz?
— A jeśli będą tu walki?

— Jak do tej pory jedyną armią, która prowadziła poważniejsze walki, jest nasza.
Wszystko
sprowadza się do sporadycznych, nieśmiały ataków przełamujących Linie
Zygryda.
— Niemniej jednak powinniśmy być przygotowani, Guillaume.
Guillaume wstał, podszedł do stołu i otworzył srebrną papierośnicę.
— Chyba masz rację. Może powinniśmy zrobić to, co Mercier. Zamurujemy kilka
swoich
najgłębszych piwnic, aby ukryć najlepsze markowe wino.
Esther powiedziała:
— Moglibyśmy zamurować ostatnie piwnice, gdzie trzymamy L'Etoile de Champagne.
Nie
myślę o ukryciu całości zapasów, bo wyglądałoby to podejrzanie. Jeśli jednak
poproszę Daniela
Meneau, aby sfalszował księgi rachunkowe, moglibyśmy ukryć co najmniej jedną
trzecią tego
szampana i może zamurować też część lepszego wina niemarkowego.
— Podchodzisz do sprawy bardzo pesymistycznie — stwierdził Guillaume.
Jego głowę otaczały kłęby dymu.
— Jestem po prostu praktyczna. Niemcy dosyć szybko zajęli Polskę, prawda?
Dlaczego
Francja nie miała się znaleźć pod okupacją równie szybko?
Guillaume zastanawiał się przez bardzo długą chwilę, patrząc w okno i paląc
papierosa.
— Czy Juliette jest w domu? — zapytała Esther. — Wydaje się, że jest tu
strasznie cicho.
— Nie, nie. Wysłałem ją i dzieci do Nicei. Juliette ma tam rodzinę.
— Kazałeś im wyjechać? A więc jesteś tego samego zdania co ja.
Guillaume odrzekł:
— Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że stanie się to najgorsze.
— Chcę ukryć coś jeszcze — powiedziała Esther. — Chcę zamurować auto Sachy. Jest
warte
majątek. Nie chciałabym widzieć, jak jest plądrowane lub niszczone; on także
nie.
Guillaume przyjrzał się jej ciekawie.
— Nadal masz nadzieję?
Esther nie odpowiedziała. Guillaume podszedł do niej, stanął blisko i patrzył na
nią.
— Nie wybrałabyś się ze mną dzisiaj wieczorem na kolację? — zapytał. — W rynku
jest
znakomita restauracja. Można tam zjeść najlepszą choucroute w Szampanii.
— Nie, Guillaume. Muszę wracać do domu.
— Czuję się tutaj bardzo samotny bez Juliette.
— A ja czuję się samotna bez Sachy. Ale mniejsza o to. Sądzę, że oboje
znajdziemy jakiś
sposób, aby się pocieszyć. Jak to było w piosence? „Zapakuj swoje smutki do
starego plecaka”.
— Nie ta wojna — uśmiechnął się Guillaume. Esther podniosła głowę i spojrzała na
niego.
— Nie ta wojna i nie ta kobieta. Jesteśmy partnerami w interesach, Guillaume, i

chciałabym,
żeby tak pozostało.

— Nie mogłabyś znaleźć w swoim sercu chociaż odrobinę uczucia dla mnie?

— Przykro mi — odpowiedziała Esther. — Sprawiasz wrażenie sympatycznego faceta,
a pod

tą zewnętrzną, miłą powłoką kryje się prawdopodobnie najzyczliwszy i

najwspanialszy człowiek

na świecie. Ale jesteś żonaty, Guillaume, i masz dwie urocze córeczki. Poza tym

moje serce

dopiero co zdołało się jako tako pozbierać i nie sądzę, żeby już było

przygotowane na kolejne

zmiażdżenie, Guillaume skrzywił się.

— Zmiażdżone serce? — zapytał.

— Zgadza się. Wyciśnięte. Pressé jak winogrona.

— Aha — odparł. — Rozumiem.

Stał w drzwiach domu i patrzył, jak wycofywała swojego cotoëna z podjazdu.

Kiedy ruszyła,

pomachał ręką, a ona zatrąbiła klaksonem. Nadal nie wiedziała, jak ma go

traktować. Nie była

pewna, czy rzeczywiście ją lubi czy pożąda jej, ponieważ kiedyś należała do

Sachy.

Guillaume'owi trudno było oprzeć, ale Esther wiedziała, że jeżeli zacznie mu

okazywać zbytnią

przyjaźń, narazi się na takie cierpienia, z którymi nie będzie potrafiła sobie

poradzić. Mogła mu

tylko wierzyć na słowo, że Camille była niezależna, bo sama tego pragnęła.

Wszystko

wskazywało na to, że Guillaume zmiażdżył serce Camille, a teraz to samo

zagrozało Esther.

W następnym tygodniu zaczęli zamuroвывать najdalsze piwnice Maison Louis David.

Giscard

sprowadził siedmiu kamieniarzy, którzy pracowali przy katedrze w Reims. Przy

użyciu pił

elektrycznych i dłut wycięli ze skały wapiennej segmenty i zaczęli starannie

wznosić mur w

poprzek głównej galerii najgłębszej z piwnic.

Tymczasem pracownicy piwnic pod kierownictwem Daniela Meneau przenieśli

najcenniejszy

towar Maison Louis David — ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy butelek

najlepszego

markowego i niemarkowego szampana i ułożyli je na specjalnych deskach w niszach,

pod

łukowymi sklepieniami, które ciągnęły się pod rzeką Marną.

Stworzenie nowych, wiarygodnych ksiąg rachunkowych i kartotek magazynowych z

ostatnich

pięciu lat zajęło Danielowi Meneau ponad dwa tygodnie. Każdy, kto analizowałby

teraz

dokumenty, doszedłby do wniosku, że słabe zbiory z 1932 roku odbiły się trzy raz

gorzej na

Maison Louis David niż stało się to w rzeczywistości, a niewielkie, lecz

wysokiej jakości zbiory z 1933 były według ksiąg bardzo pośledniego gatunku i nie pozwoliły nadrobić tamtych strat. Za sprawą Meneau każda butelka szampana, którą ukryto w chłodnej, wilgotnej piwnicy L'Etoile, znikła z rejestrów. Meneau zamknął potem wszystkie autentyczne księgi w dużej, metalowej skrzyni i ukrył je pod podłogą własnego domu. Tylko on wiedział dokładnie, gdzie się znajdują. Najtrudniejszą sprawą okazało się ukrycie samochodu Sachy. Giscard spędził cały weekend, opracowując plan, a w poniedziałek rano zjawił się w firmie ze śmiałym pomysłem. Przyjechał samochodem z Château David do fabryki w Epernay, a następnie wprowadził go przez ładownię do piwnicy, w której znajdowały się beczki z fermentującym po raz pierwszy sokiem winogronowym. Bardzo ostrożnie wjechał przez drzwi rozlewni. Jeden z kamieniarzy usunął część futryny, aby bugatti mógł zmieścić się w drzwiach, ale mimo to samochód przedostał się przez nie z ledwością i z obu stron brakowało dosłownie kilku milimetrów. Silnik auta ryczał i po piwnicach, w których zwykle panowała grobowa cisza, roznosiło się echo. Nad szerokim otworem w podłodze rozlewni, przez który butelki szampana, dzwoniąc na taśmie, jechały do niższych piwnic, wzniesiono rusztowanie. Samochód zabezpieczono siecią stalowych lin, a następnie przy pomocy małego, lecz mocnego silnika elektrycznego, uniesiono go, aby zawisł, kołysząc się nad otworem. Stopniowo przechylano go maską w dół, aż w końcu znalazł się zawieszony w pozycji pionowej nad szybem, który miał ponad siedemdziesiąt stóp głębokości. Guillaume, który przyszedł zobaczyć całą operację, spacerował teraz wkoło, przyglądając się z podziwem wiszącemu pojazdowi. — Wygląda jak gigantyczna, złowiona ryba. Mam nadzieję, że nie spadnie! Powoli, cał po calu opuszczono auto w otchłań piwnic. Elektryczny silnik rzeził złowieszczo i wszyscy słyszeli odgłos trzeszczącego pod ciężarem rusztowania. W końcu jednak dwutonowy pojazd znalazł się na najniższym poziomie piwnic. Tam dwunastu pracowników zdjęło go ręcznie i postawiło na koła. Potem popychano samochód przez prawie milę na sam koniec piwnic. Szampan, który tutaj dojrzewał, był zbyt cenny, aby hukiem spalinowego motoru

zakłócać jego spokój.

Bugatti został wprowadzony do jednej z nisz przy głównej galerii i tam w ciągu dwóch godzin

spuszczono z silnika olej i wodę, podwozie zostało podparte na ceglach, z opon wypuszczono

powietrze, a cały samochód został nasmarowany grubą warstwą tłuszczu. Zaraz po odejściu

mechaników do działania przystąpili pracownicy piwnic. Wykorzystując masywną drewnianą

konstrukcję, stopniowo zakopali samochód pod dwunastoma tysiącami butelek szampana. Kiedy

skończyli, nie można było odróżnić tej niszy od pozostałych.

— I co o tym sądzisz? — zapytała Esther, idąc z Guillaume'em wzdłuż głównej galerii

piwnic.

— Sądzę, że to pomysłowe — odrzekł Guillaume. — Mam tylko nadzieję, że zdołasz wydobyć stąd ten samochód po kończeniu wojny.

Esther poprowadziła go na sam koniec galerii. Tutaj piwnica była jeszcze chłodniejsza, a ze

sklepienia cały czas kapała na betonowe podłoże woda.

— To jest to miejsce — powiedziała, wskazując na ostatnią ścianę. — Tutaj jest wszystko

ukryte.

Guillaume wpatrywał się w mur, a potem podniósł rękę, aby go dotknąć. Wydawał się

zupełnie tak samo masywny jak każda inna ściana wyciosana z wapiennej bryły.

Został

przybrudzony i ozdobiony maźnięciami węgla oraz naroślami, które wydawały się naturalnie

wytrąconą solą.

— No cóż, muszę przyznać, że to fantastyczne — stwierdził Guillaume. — Ani przez moment

nie przyszłoby nikomu do głowy, że piwnica się tutaj nie kończy. Czy jednak nie istnieje mapa,

na której widać, że piwnica ciągnie się dalej? A broszura reklamowa? Czy nie pokazano tam

wyraźnie, jak daleko ciągną się piwnice?

Esther wyjęła zmiętą broszurę z kieszeni płaszcza.

— Patrz, przekonaj się sam. Piwnica L'Etoile została specjalnie wybudowana przez ojca

Sachy, a wszystkie mapy, które kiedykolwiek publikował Maison Louis David, są od lat zupełnie

nieaktualne. Turystom wystarcza, że są ładne — z cherubinkami, kiściami winogron i całą resztą.

Dlatego poza planem znajdującym się w naszych dokumentach nie istnieją żadne mapy piwnic

L'Etoile.

Guillaume wsunął rękę do kieszeni płaszcza.

— Muszę przyznać, Esther, że jesteś nie tylko bardzo piękna, ale i bardzo bystra.

Szli razem w stronę schodów.

— Prawie wszystkie firmy zaczęły chować swój towar — rzekł Guillaume. — Mieliliśmy spotkanie komisji i powszechna opinia była taka, że musimy zrobić wszystko, co możliwe, aby

chronić branżę. Dotyczy to zarówno producentów jak i handlowców. Nikt nie wierzy, żeby wojna

miała jeszcze długo potrwać. Słyszałem, że Chamberlain prowadzi negocjacje z Hitlerem. Ale —

Guillaume rozejrzał się po piwnicach — moim zdaniem lepiej być przygotowanym.

— Jadę jutro do Paryża — odezwała się Esther. — Claude wyrusza za dwa dni.

— Claude Mancier? Nie wiedziałem, że dostał powołanie do wojska. Sądziłem, że pieczenie

chleba jest istotne dla zaplecza wojennego.

— Zgłosił się na ochotnika — wyjaśniła Esther, kiedy wchodzili po schodach. —

Chciał się

wyrwać od ojca.

— Jeana-Paula Manciera? Poznałem go. Myślę, że jest całkiem zabawny i bardzo zamożny.

— Ależ, oczywiście. Claude nazywa go Wielką Bagietką.

Guillaume chwycił Esther za ramię i zatrzymał ją.

— Czy bardzo... lubisz tego Claude'a?

— Oczywiście, że go lubię.

— Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad poważnym związkiem z nim?

Esther wyrwała rękę i dalej wchodziła po schodach.

— Naprawdę nie sądzę, aby powinno cię to obchodzić, koleś.

Guillaume roześmiał się, a jego śmiech rozniósł się echem po piwnicach.

— Uwielbiam, jak mówisz na mnie „koleś”. Czuję się wtedy taki mały i nic nie znaczący. Nie

pytaj dlaczego!

— Nie będę. Co słyhać u Juliette? Miałeś od niej ostatnio jakieś wiadomości?

— Dlaczego zawsze zaczynasz mówić o Juliette, kiedy ja porozmawiam o tobie?

Esther zatrzymała się.

— Dlatego, że nie podoba mi się to, co usiłujesz zrobić, Guillaume. Pewnego dnia chciałabym

móc się z tobą spotkać i porozmawiać na stopie partnerskiej, nie czując, że jedyne, pragniesz, to

zaciągnąć mnie do łóżka.

Guillaume odetchnął głęboko, a potem skinął głową.

— Bardzo dobrze. Zrozumiałem. Nic do mnie nie czujesz. Mogę się z tym pogodzić.

Esther jednak odparła:

— Nie powiedziałam, że nic do ciebie nie czuję. Ale pracujemy razem, a ty masz żonę. Co by

się stało, gdybyśmy mieli romans, a potem zerwali ze sobą? Co stałoby się wtedy z moją pracą?

Pozwoliłbyś mi zostać? Oczywiście, że nie!

— Esther...

— Dość. Jest wojna.

Pierwsza zima wojny była najmroźniejsza w ciągu połowy stulecia i wyjątkowo cicha. Esther

wydawało się, że wojna toczy się o miliony mil od niej, mimo że Niemcy zajęli

Danię Norwegię,
a do Arras przybył Brytyjski Korpus Ekspedycyjny, żeby pomóc Francuzom bronić granicy na północ od linii Maginota.
Coraz więcej ciężarówek w kolorze khaki zaczęło przejeżdżać przez Epernay.
Większość z nich wypełniały tłumy bladych, młodych francuskich chłopców ubranych w mundury i stalowe hełmy.
Kiedy poddała się Dania, kolejni mieszkańcy Szampanii wysłali swoje rodziny na południe Francji. W pierwszy dzień nowego roku, gdy Esther odwiedziła Signaców, Laurence powiedział jej, co wyczytał z kart: Niemcy zaatakują Szampanię latem i wypiją każdą butelkę szampana, którą uda im się znaleźć, ale potem zawrócą chwiejnym krokiem do Niemiec i tam zasną.
Charlotte stwierdziła, że powinni wyjechać. Wielu ich przyjaciół już to zrobiło. Jednak zdaniem Laurence'a było z tym wszystkim za dużo kłopotu. Musiałby zapakować tysiące książek. I na jakich wyszliby głupców, gdyby przenieśli się na Lazuruowe Wybrzeże, a Niemcy nigdy by nie przyszli i trzeba by przeprowadzać się ze wszystkim z powrotem.
Charlotte powiedziała:
— Niemcy przyjdą, jestem tego pewna. Oni nigdy nie zapominają i nigdy nie wybaczą.
Pewnego dnia przyjdą i zastrzelą nas wszystkich.
Laurence machnął na nią ręką.
— Przekuję wiadro na węgiel na kamizelkę kuloodporną, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej.
Wracając do domu przez białe, oszronione pola w pierwszy dzień 1940 roku, Esther myślała o wszystkich dotychczasowych dniach noworocznych, które potrafiła sobie przypomnieć. Ubrana w gruby, praktyczny płaszcz i szalik oraz ciepłe mitenki, jechała swoim rozklekotanym Citroënem i przypominała sobie lunchy w Sherry, tańce w luksusowych lokalach w wytwornych dzielnicach, dopasowane suknie wieczorowe, białe krawaty i fraki.
Wydawało się, że tamte czasy odeszły bezpowrotnie. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko rzeczywiście się zdarzyło i że ona to przeżyła. Miała wrażenie, jakby były to wydarzenia z filmu lub książki. Ale kiedy w drodze do Château David przekroczyła rzekę Mame, ogarnęło ją niezwykle uczucie całkowitego spełnienia i zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jest

naprawdę szczęśliwa.

Wróciła do domu kilka minut po wpół do czwartej. Czekał tam na nią list od wujka z

Pasadeny. Matka Esther przedawkowała tabletki nasenne i znaleziono ją martwą na podłodze w

wynajętej przez nią małej willi.

Zostawiła list, z którego niewiele można zrozumieć, ale zakończyła go słowami:

„Powiedźcie

Esther, że ją kocham i cokolwiek zrobi, niech nie płacze”.

Esther stała samotnie w holu Château David i jak zwykle sprzeciwiła się matce.

Wiosenne słońce ogrzewało winnice, nadchodziło już lato. Esther w fartuchu i

lnianym czepku

spacerowała po polach i pomagała w przeszczepianiu i przycinaniu winorośli.

Jeżeli nie pojawi

się grzyb, grad lub nawałnica, Esther mogła się spodziewać dobrych zbiorów w tym roku. Miało

to być jej trzecie z kolei udane winobranie.

Nadal nie widać było żadnych znaków wojny. Ludzie zaczęli czuć się zmęczeni rozmowami o

wojnie, a jeszcze bardziej męczyły ich wojskowe ciężarówki, które zakłócały spokój na wiejskich

drogach. Zdaniem Laurence’a Signaca francuskie wojsko robiło Francuzom więcej szkód niż

Niemcy.

Od czasu do czasu Guillaume odwiedzał Esther zarówno w pracy jak i w domu.

Jednak od

czasu śmierci matki Esther stała się jeszcze bardziej zamknięta w sobie i kiedy

Guillaume pił,

palił i mówił, ona najczęściej siedziała w milczeniu, a gdy wychodził, ledwie to zauważała.

Początkowo wydało jej się prawie niemożliwe, że matka odebrała sobie życie. Nie mogła się z

tym pogodzić. Wszyscy powtarzali: „Twoja matka! Osoba tak pełna energii i radości życia!”

Im bardziej jednak Esther zastanawiała się nad tym, tym wyraźniej mogła sobie wyobrazić

upokorzenie i strach, jakie matka odczuwała po krachu giełdowym akcji Fleckera.

Kiedy umarł

ojciec Esther, matce nie pozostało zupełnie nic. Zawsze była kobietą niezwykle zarozumiałą, a

krańcowym przejawem próżności było to, że opchała się czekoladkami, wódką oraz tabletkami

nasennymi i odebrała sobie życie, które otrzymała w darze od Boga.

Śmierć matki była dla Esther szczególnie bolesna. Zdarzyło się to tak daleko od niej w willi,

której Esther nigdy nie widziała. Nie dane jej było pożegnać się z matką. Cały czas usiłowała

przypomnieć sobie moment, w którym widziała matkę po raz ostatni, i słowa, jakie wtedy ona

wypowiedziała, umknęło to jej pamięci. Potrafiła tylko przywołać obraz matki na

Normandii,
kiedy niespodziewanie zaczyna śpiewać, potem kiwa głową i uśmiecha się do
wszystkich, którzy
ją oklaskują.
„Wiesz co, Esther, sezon letni nie ma teraz żadnej klasy. Klasa? Cóż te prasowe
«osobistości»
albo ci sprzedawcy mydła wiedzą o klasie?”
Esther prawie mogła szeptać te słowa razem z nią.
»Przed wojną nie znalazłabyś w Newport miejsca na rozbicie parawanu kąpielowego,
ponieważ na plaży siedzieli ramię przy ramieniu sami królowie i książęta”.
Królowie i książęta, pomyślała Esther. Miała nadzieję, że matka znalazła w
niebie miejsce
między królami i książętami.
10 maja w piątek, w spokojny, ciepły ranek obudził Esther huk, który brzmiał jak
odległy
grzmot. Leżała przez moment w łóżku, nasłuchując. Potem weszła madame Hatte z
kawą na tacy,
postawiła ją koło łóżka i odsłoniła zasłony.
— Czy to burza? — zapytała Esther, kiedy madame Hatte układała jej poduszki.
Madame Hatte potrząsnęła głową.
— Co się stało? — zapytała Esther.
— Mówili o tym dzisiaj rano w radiu. Niemcy napadli na Belgię i Holandię,
zbombardowali
też Francję.
Esther natychmiast wstała z łóżka.
— O Boże — rzekła. — A więc stało się.
— Dzisiaj rano spakuję pani walizki, mam’selle.
— Spakuje pani walizki? Po co?
— Mam’selle, nadchodzą Niemcy. Nie może pani tutaj zostać.
— Ale pani nie wyjeżdża, prawda?
— Oczywiście, że nie. Tu jest mój dom.
Esther podeszła do okna. W ogrodzie wszystko wyglądało całkiem normalnie, a
daleki grzmot
przycichł.
— To jest także mój dom — powiedziała do madame Hatte. — I Sachy.
Madame Hatte przeżegnała się.
— Musi pani wyjechać, mam’selle. Ma pani przyjaciół na południu, n’est-ce pas?
Jest pani
młoda, ładna i jest pani Żydówką. Nie ma pani pojęcia, co Niemcy mogą pani
zrobić. Będzie pani
miała szczęście, jeżeli panią zastrzelą.
— Madame Hatte, ależ to nonsens. Żyjemy w roku 1940, a nie w średniowieczu. Poza
tym
jako Amerykanka jestem neutralna.
Oczy madame Hatte napelniły się łzami, wyciągnęła chusteczkę z kieszeni
fartucha.
— Ja po prostu nie mogę znieść oglądania tego po raz kolejny. Ostatnim razem
zginęło bardzo
wielu młodych mężczyzn. Tylu młodych mężczyzn, których znałam! Jeszcze dzisiaj,
kiedy

zamknę oczy, widzę ich uśmiechnięte twarze. Ilu będzie musiało zginąć teraz?

Esther usiadła na brzegu łóżka i ucisnęła szczupłe dłonie Madame Hatte.

— Wszystko będzie dobrze. Niemcy nie zdołają dotrzeć zbyt daleko; jest przecież Linia

Maginota. Pomogą nam także Anglicy. A jeśli nawet Niemcy przyjdą, nie przeszkodzą nam

prowadzeniu normalnego życia, prawda? W końcu Niemcy tylko ludźmi, tak jak my wszyscy.

Znam wielu Niemców, niektórzy z nich są naprawdę wspaniali.

— Normalne życie? — zapytała madame Hatte gorzko. — Nie ma normalnego życia podczas wojny.

— Mieszkańcy Szampanii nie przestali produkować szampana w czasie ostatniej wojny,

prawda?

— O, tak — zgodziła się madame Hatte. — Produkowali szampana, a podczas pierwszego

winobrania zastrzelono dwadzieścioro małych dzieci, które zrywały winogrona.

Jedno z nich to

był mój kuzyn.

— Proszę mi wybaczyć — odparła Esther. — Nie wiedziałam.

Madame Hatte uwolniła dłonie i odwróciła się plecami do Esther.

— Mam'selle, proszę panią jako osoba, która stała się pani przyjaciółką, niech pani mi

pozwoli zapakować swoje walizki.

Esther odrzekła:

— Przykro mi. W każdym razie jeszcze nie teraz.

— Jutro może być za późno.

— No cóż, będziemy musiały się o tym przekonać. Może jednak wszystko dobrze się skończy.

Mogłaś wyjechać, wiesz o tym. Mogłaś opuścić Epernay dziś po południu, wsiąść w kuszetkę

do Cannes, a jutro rano opalać się na tarasie u księżnej Jean-Louis de Faucigny Lucinge. Ale

wojna ma w sobie coś strasznie fascynującego! Nie wydaje się trochę realna, jest raczej jak jakiś

wyjątkowo głośny film, a ty zamiast go oglądać, znajdujesz się w środku niego.

Prawie zabawne,

gdyby nie było to tak przerażające! Przez całe popołudnie nad winnicami buczały samoloty armii

francuskiej i RAF-u, niektóre z nich okropnie wysoko, a w oddali słyhać było uderzenia i

wybuchy.

Ale opuścić Maison Louis David? Porzucić go tak po prostu? Zostawić wszystko, czemu Sacha

poświęcił swoje życie? Porzucić także moją pracę, moje specjalne roczniki, zaprzepaścić

wszystko, czego nauczyli mnie Giscard i Félix? Szampan mogą pić ludzie lekkomyślni, ale

wytwarzają go ci zdolni do poświęceń. Może potraktować to jako aforyzm, motto

lub cokolwiek
innego.

A za ciebie, kochana mamo, specjalna modlitwa o spokój duszy. Może mogłabyś
zaopiekować

się moim dzieciątkiem, zanim ja przyjdę i dołączę do ciebie?

Minał tydzień, potem następny. Huk przybliżał się nieubłaganie. W radiu podano,
ze

niemieckie wojska przeszły przez Belgię i Holandię, a Brytyjski Korpus
Ekspedycyjny wycofał

się do Dunkierki. Stamtąd rozbitą armię częściowo ewakuowano małymi statkami i
łódkami.

Teraz nie mogło być już żadnych wątpliwości, co się dzieje. Niemcy przekroczyli
Mozę pod

Sedanem i przemieszczali się szybko na południowy zachód, rozgramiając francuską
armię.

Wcześniej rano 9 czerwca Esther usłyszała strzały i odgłosy walki ponad Montagne
de Reims,

które brzmiały tak, jakby rozdierano prześcieradła. Część bomb zrzucono na las,
a gdy spadały,

świszczały tak głośno, że Esther usiadła na łóżku, czując mrozący krew w żyłach
strach. Huczały

i wybuchały gdzieś niedaleko, a kiedy wstała z łóżka i podeszła do okna,

zobaczyła unoszący się
nad trawnikami dym.

Ubrana w spodnie i biały sweter, ruszyła w kierunku głównej drogi, za nią zaś
szły dwa

dobermany Sachy. Promienie słońca prześlizgiwały się przez gałęzie drzew, ptaki
wesoło

śpiewały, ale na długo przedtem, nim doszła do drogi, usłyszała niezwykły hałas.

Było to

rżenie mnóstwa ciężarówek i samochodów, które wlokły się na niskich biegach.

Temu

odgłosowi towarzyszyło nieprzerwane szuranie, jakby setki osób tańczyły
równocześnie.

Kiedy dotarła do drogi, po obu jej stronach ujrzała wolno przepływającą rzekę
ludzi. Z

rosnącym przerażeniem przyglądała się, jak mijali ją, powłócząc nogami, zarówno
żołnierze jak i

cywile. Żołnierze próbowali trzymać głowy do góry, lecz na ich butach widać było
szkarłatne

plamy z krwawiących stóp i prawie żaden z nich nie miał karabinu. Kobiety dzieci
szły opatulone

w płaszcze, chociaż ranek był ciepły, udzie nieśli walizki, koszyki i powiązane
sznurkami

tobołki, niektórzy pchali taczki lub wózki ręczne. Mijały ich telepiące się
samochody. W każdym

z nich tłoczyło się dziewięciu lub dziesięciu pasażerów, a na dachach kiwały się
dziwaczne sterty

poduszek, książek, zegarów i klatek dla ptaków.

Esther zatrzymała młodego, bladego sierżanta z ręką na temblaku.

— Co się dzieje? — zapytała go po francusku. — Niemcy są bardzo blisko?
— Jutro będą w Reims — odpowiedział sierżant. — Niech pani lepiej szybko wyjedzie.
— Ale w radiu mówili, że generał Weygand odpiera najazd Niemców.
— Och, tak mówili? Wobec tego muszę iść w złym kierunku.
Później tego samego dnia Esther zawiesiła znak kierujący zmęczonych i głodnych uciekinierów do Château David, aby mogli coś zjeść i zatrzymać się na noc.
Pomyślała, że chociaż to może zrobić. Nikt jednak nie zszedł wąską dróżką i nie skorzystał z jej zaproszenia.
Szli powoli drogą, powłócząc nogami jak w przerażającym transie. Wytrwale uciekali od niemieckich czołgów, najdalej, jak to możliwe. Tuż przed zapadnięciem zmroku zapukał do jej drzwi młody francuski kapitan ze sztabu generała Weyganda i powiedział, że rekwiruje dom na potrzeby szpitala polowego. Potem jednak podjechał i Esther więcej go nie zobaczyła.
Następnego dnia zadzwonił do niej z Chalons Guillaume. Na linii były trzaski, musiała więc przycisnąć palec do ucha, aby usłyszeć jego słowa:
— Esther? Właśnie usłyszałem, że Niemcy przekroczyli Aisne pod Rethel. Znajdują się już tylko o kilka godzin drogi od Reims. Jedziesz? To może być nasza ostatnia szansa.
— Nie — odrzekła Esther. — Podjęłam już decyzję.
— Dlaczego miałabyś zostać? Nie jesteś przecież mieszkańcem Szampanii.
— Nie? No to się mylisz, koleś. Jestem la Reine du Champagne.
Niemał widziała, jak Guillaume uśmiechnął się.
— Niemądra z ciebie dziewczyna — stwierdził. — już dawno temu ktoś mi powiedział, żeby się nie spierać z niemądrymi dziewczynami.
— Porozmawiam z tobą później — odparła Esther.
13 czerwca Niemcy przełamali francuską obronę w Chalons, a następnego dnia, kiedy Esther zatelefonowała do Epernay, Giscard powiedział po prostu:
— Les Allemands sont arrives* — i odłożył słuchawkę.
Żołnierze niemieckiego XXIII Korpusu prowadzili czołgi, samochody ciężarowe i motocykle na południe, przez lasy wokół Montaigne de Reims. Potem krętymi drogami ruszyli w kierunku Marny i przejechali przez winnice, zostawiając za sobą chmurę piaskowego pyłu, który zawisł w powietrzu, a następnie osiadł na dojrzewających winogronach.
Przez wiele dni po okolicy roznosiło się echo strasznego ryku granatów i huku wybuchających bomb. Francuscy strzelcy, ukryci w lesie, nie przestawali kierować serii ognia na przeciwnika.
Strzelali z zasadzki, dopóki nie skończyła im się amunicja. W powietrzu zawisł czarny dym,

który przypominał ogromną, brudną chryzantemę. Esther czuła aromatyczny zapach żywicy z płonących drzew; zapach, którego nigdy potem nie mogła zapomnieć. Postanowiła nie dołączać do fali uchodźców i przez cały ten czas wołała dla bezpieczeństwa nie wychodzić z domu. Od czasu do czasu, kiedy ogień artyleryjski brzmiał szczególnie przerażająco albo niemieckie bombowce latały tuż nad jej głową, schodziła do piwnicy i siedziała tam przy świecach z butelką czerwonego wina i z egzemplarzem Look Homeward, Angel. Teraz jednak, kiedy zakończono blitzkrieg, w okolicy zapanowała nieoczekiwana, niemal sielankowa cisza. Esther pomagała madame Hatte w przygotowywaniu lunchu i zastanawiała się, czy już bezpiecznie będzie pojechać do Epernay. Chciała się dowiedzieć, czy Maison Louis David jeszcze stoi. Próbowała tam zadzwonić, ale poprzedniej nocy połączenia stały przerwane. Do kuchni wbiegło jedno z dzieci ogrodników i zawołało: — Les Allemands! Les Allemands! Esther zdjęła fartuch i bez słowa wyszła z domu. Wsiadła do swojego citroena i pojechała w stronę głównej drogi, aby zobaczyć przechodzących Niemców. Stała koło samochodu, samotna i przerażona. Wiedziała jednak, że było to coś, czemu trzeba było stawić czoło. Ci ludzie zabrali jej Sachę, a teraz wkraczali w jej nowy świat, jakby należał do nich. Wydawali się zmęczeni, lecz zadowoleni. Setki młodych mężczyzn, w szarych, stalowych hełmach i eleganckich, popielatych mundurach wehrmachtu, maszerowały obok najdłuższej kolumny czołgów, jaką Esther kiedykolwiek w życiu widziała. Było ich całe mnóstwo, jechały jeden za drugim jak opancerzone, cyrkowe słonie. Niektórzy oficerowie salutowali jej z czołgów lub uśmiechali się, kilku mężczyzn zagwizdało. Wydawało się jednak, że w oddziałach panuje doskonała dyscyplina. Kiedy tak przepływali tłumnie obok niej, wyglądali, jakby ruszali na wspaniałą, chwalebny wyprawę krzyżową. Wsiadła do samochodu, zatrzymując się jeszcze raz, aby na nich spojrzeć. Po raz pierwszy w życiu odniosła wrażenie, że nie ma przed sobą żadnej przyszłości. Wracała powoli drogą do Château David. Oczy miała suche, lecz czuła się bardzo przygnębiona. Madame Hatte stała w ogrodzie i czekała na nią. Wszystko wydawało się takie spokojne. Przez drzwi kuchenne wlatywały i wylatywały motyle. — Widziała ich pani? — zapytała madame Hatte.

Esther kiwnęła głową.

— Tak — odparła. — Widziałam ich.

Madame Hatte przełknęła ślinę, nic jednak nie powiedziała. Potem wróciła do kuchni i dalej

kroiła marchewkę.

Następnego dnia bardzo wcześnie rano, na długo przed świtem zadzwonił telefon.

Esther

pozwoliła mu dzwonić przez chwilę, potem jednak wstała z łóżka i zeszła boso do biblioteki,

żeby go odebrać.

— Château David — ziewnęła do słuchawki.

— Esther? — Był to nie kto inny tylko Guillaume.

— Guillaume? Czego ty u diabła chcesz? Czy wiesz, która jest godzina?

— Oczywiście, że wiem. Posłuchaj, nie mamy chwili do stracenia.

Esther przeczesła palcami rozczochrane włosy.

— Guillaume, cokolwiek to jest, czy nie możemy porozmawiać o tym rano? A przynajmniej w

biały dzień?

— Esther, czy znasz niemieckiego oficera o nazwisku von Höxter? A ściślej mówiąc, czy on

zna ciebie?

Esther zamrugnęła oczami.

— Masz na myśli Harolda von Höxtera?

— Nie mam zielonego pojęcia, jak on ma na imię — odrzekł Guillaume. — Ale wczoraj

późno w nocy przyjechał do Chalons i natychmiast zażądał, żebyśmy zwołali spotkanie komisji.

Niemcy wyznaczyli go do zarządzania szybką i efektywną produkcją szampana.

— To musi być Harold von Höxter — stwierdziła Esther. — Pracował dla Henklla.

Może

nadal to robi. Wiem też, że był dobrym znajomym von Ribbentropa.

— Co to za człowiek?

Esther wydeła policzki.

— Jeśli chcesz wiedzieć, jest to stuprocentowy schweinhund*. Poznałam go na Normandii,

gdy po raz pierwszy płynęłam do Francji, a potem spotkałam go w Paryżu. Mówiąc delikatnie,

zachował się bardzo nieodpowiednio.

— Nazywa siebie Führerem Szampanii — powiedział Guillaume. — Niezły tytuł, no nie?

— Strasznie szybko przejął władzę, nie sądzisz? — zapytała Esther. — A jeżeli uda nam się

odeprzeć Niemców?

— Esther, widziałaś niemieckie kolumny? Słuchałaś dzisiaj rano wiadomości w radiu?

Naturalnie Esther nie musiała mu odpowiadać. Na północy Niemcy doszli już do Le Havre i z

siedmioma dywizjami pancernymi oraz dwudziestoma dalszymi dywizjami piechoty przygotowywali się do ostatecznego uderzenia na Paryż.

Jej ukochany Paryż w rękach Szwabów! Myśl o tym była nie do zniesienia!

Guillaume poczekał chwilę, a potem mówił dalej:

— Von Höxter rozmawiał już z Maurice’em Doyardem, Robertem–Jeanem de Vogue i dwoma innymi członkami komisji. Powiedział, że przejął kontrolę nad Szampanią tak szybko,

ponieważ nie chce, aby ukrywano jakieś wino lub sadzano piwnice. Bardzo mu zależy, żeby

zbiory winogron przebiegały tak jak dotychczas. Wehrmacht dał dowódcom czołgów odgórny

rozkaz, aby nie przejeżdżali przez winnice, chyba że nie będą mieli wyboru.

Sądzę, że należy

podziwiać ich sprawność. No i w końcu przysłali do pilnowania nas winiarza, a nie

prymitywnego piwosza z Bawarii.

Esther odparła:

— Nie tak sobie wyobrażam winiarza. Harold von Höxter jest spoconą świnią o wyłupiastych

oczach. I jest to określenie krzywdzące dla świń.

— On chce widzieć ciebie.

— Słucham?

— Całkiem wyraźnie powiedział Robertowi–Jeanowi, że chce cię widzieć. Dał mu jasno do

zrozumienia, że osobiście ma coś przeciwko tobie. Mówił o wyrównywaniu rachunków z

Fraülein Flecker. Sześć albo siedem razy pytał, gdzie jesteś. Najwyraźniej był już w Maison

Louis David, żeby zobaczyć, czy cię tam nie ma. Tylko dlatego, że zrobiło się bardzo późno,

drogi były zablokowane przez wojska pancerne wehrmachtu, nie próbował jechać do Château

David.

Esther zapytała:

— Naprawdę szukał mnie tak zawzięcie?

— Tak twierdził Robert–Jean. Przez cały czas mówił o wyrównywaniu rachunków.

— Robert–Jean nie powiedział mu, gdzie jestem?

— Oczywiście, że nie. Powiedział, że nie ma pojęcia, gdzie jesteś. Natomiast Maurice

powiedział mu, że uciekłaś do Paryża.

— O Boże — rzekła Esther. — Co ja zrobię?

— To zależy, co von Höxter rozumie przez „wyrównanie rachunków”. Co ty u diabła mu

zrobiłaś, że tak bardzo go zdenerwowałaś?

Esther odetchnęła głęboko.

— To zdarzyło się w Paryżu. Próbował... szczerze mówiąc, próbował mnie zgwałcić.

Nie

udało mu się.

Zapanowała bardzo długa cisza. Potem Guillaume powiedział:

— No cóż, teraz rządzi wszystkim. Może ustanawiać swoje własne prawa.

Prawdopodobnie

czytał o tobie w gazetach. Skoro jest w branży, to pewnie wie wszystko na temat

la Reine du

Champagne.

— Guillaume, co mam robić?

— Zanim do Ciebie zadzwoniłem, rozmawiałem z Giscardem Medotem. Zaproponował, żebyśmy chwilowo ukryli Cię w piwnicy do czasu, aż wszystko wróci do normy i będziemy

mogli bezpiecznie Cię stąd wywieźć. Czy sądzisz, że mogłabyś to wytrzymać? Nie jest tam zbyt

wygodnie, ale przynajmniej bezpiecznie.

— Guillaume — zawołała Esther rozpaczliwie. — Cierpię na klaustrofobię.

— Wiem, ale to nie potrwa długo. Może kilka dni, nie więcej.

Esther zamknęła oczy.

— W porządku — zgodziła się. — Może wyślą Harolda gdzieś indziej, kiedy zorientują się,

jaki z niego w rzeczywistości arogancki cham.

— Esther, cała armia niemiecka składa się z aroganckich chamów. — Kazał jej zapakować

koce, płaszcze, rękawiczki i najcieplejszą odzież, jaką będzie mogła znaleźć. —

Nie martw się

tym, że nie będziesz wyglądać jak z okładki „Vogue”. Wiesz przecież, że tam na dole jest

ciemno.

Miał przyjechać do Château David i zabrać ją stamtąd za godzinę. Jazda nocą była niebezpieczna, ale miał pojechać bocznymi drogami przez Bouzy, aby, jeśli dopisze mu

szczęście, nie natknąć się na jakiś przypadkowy niemiecki patrol.

— Poproś madame Hatte, żeby przygotowała ci trochę jedzenia. Kielbasę, chleb, coś dzięki

czemu przeżyjesz do jutra. Picia nie będzie ci brakowało.

— Guillaume — odezwała się Esther — boję się.

Guillaume zawahał się, po czym powiedział:

— Oczywiście, że się boisz. Wszyscy się boimy. Inaczej nie bylibyśmy ludźmi.

Dotarcie do Château David zajęło mu ponad półtorej godziny. Pod Mutry wjechał celowo w

przydrożny zagajnik, aby uniknąć spotkania ze zbliżającym się niemieckim patrolem, potem zaś

przez piętnaście minut wycofywał samochód z miękkiej trawy. Przyjechał spocony, blade i w

obryzganym błotem płaszczu. Kiedy wziął mały kieliszek eau de vie, który podała mu madame

Hatte, trzęsły mu się ręce.

— Merci, madame — powiedział, unosząc kieliszek.

Madame Hatte uśmiechnęła się i skinęła głową. Guillaume wytrzeszczył oczy ze zdumienia, a

potem spojrzał na Esther.

— Widziałaś to? Uśmiechnęła się do mnie. Teraz wiem na pewno, że świat się kończy.

Na dworze było już jasno, niebo miało bladoniebieski kolor. Guillaume spojrzał na zegarek na

ręku i oświadczył:

— Powinniśmy już jechać. Nie chcemy przecież natknąć się na kolejnych Niemców.

Esther była już opatulona w płaszcz z wigonii i trzy wełniane kamizelki, założyła także grube, brązowe wełniane pończochy, które nosiła w winnicach w największe mrozy, szalik i beret.

Zrobiło jej się tak gorąco, że aż sapała, zdawała sobie jednak sprawę, jak zimno będzie tam na dole, w najłżejszej piwnicy Maison Louis David. Madame Hatte zapa kowala koce do walizki i dała jej koszyk z wędzoną kielbasą wołową, zimnym kurczakiem, serem i chlebem z ciemnej mąki.

Esther uścisnęła mocno madame Hatte.

— Wróć, jak tylko będę mogła — obiecała. — I dziękuję za wszystko. Była pani dla mnie więcej niż matką.

Madame Hatte ucałowała Esther, uderzając ją w policzek swoją rewolucyjną czapkę.

— Proszę na siebie uważać. Niech pani nigdy nie zapomina, że teraz ma pani tutaj rodzinę.

Jest pani jedną z nas, mieszkank Szampanii.

Wsiedli do samochodu Guillaume'a i odjechali w jasność wczesnego poranka. Esther odwróciła się na siedzeniu i pomachała ręką. Potem zasłonięty ścianą drzew Château David

zniknął jej z oczu. Kluczyli małymi, wiejskimi drogami — najmniej widoczną trasą, jaka

prowadziła do Epernay.

Esther zapytała:

— Gdzie ja się ukryję? Czy Giscard ma jakiś konkretny pomysł?

Guillaume skinął głową.

— Jeden z pracowników piwnic wyważył kilka wapiennych bloków, którymi zastawiliśmy

piwnicę L'Etoile de Champagne.

— Ale tam nie ma światła! Odłączyliśmy elektryczność. Nie mogę przecież siedzieć w

zpełnych ciemnościach!

— Giscard da ci na początek lampę gazową. Dzięki niej będziesz miała nie tylko światło, ale

zdołasz się też trochę ogrzać. Gdybyś jednak musiała pozostać tam dłużej niż dzień lub dwa,

możemy zamontować kabel elektryczny i kilka przyzwoitych lamp.

— Och, jak wieczorem w El Morocco — rzekła Esther.

— Słucham? — zapytał Guillaume.

— Nieważne — odparła Esther.

W centrum Epernay pełno było niemieckich samochodów ciężarowych i wojska. Wokół zakrętu na Boulevard de la Motte ustawiono sznur czołgów. Nikt jednak nie zwrócił specjalnie

uwagi na Esther i Guillaume'a, którzy w ubłoconym packardzie przejechali przez most i skręcili

na wschód. Jechali rue de Verdun ulicą, która była równoległa do Avenue de Champagne i

wzdłuż linii kolejowych prowadziła na tyły Maison Louis David.

Guillaume otarł czoło wierzchem dłoni. Chociaż miał na sobie tylko lekkie, popielaty garnitur, pocił się obficie.

— Bałem się tego fragmentu drogi — powiedział, gdy skręcili w Avenue de Champagne tuz obok budynku Merciera. Nie było tam jednak żadnych Niemców. Pod drzewami po przeciwnej stronie alei stał tylko samochód do wożenia personelu wojskowego. Kiedy przyjechali, czekał już na nich Giscard Medot. Pospiesznie zamknął za nimi wysoką, żelazną bramę, a następnie jeden z pracowników wyjął z bagażnika walizkę Esther. Giscard ucałował Esther w oba policzki.

— Musimy się bardzo spieszyć! Tylko cztery osoby wiedzą, co tutaj robimy: ja, monsieur Guillaume i dwóch naszych pracowników. Zdajemy sobie sprawę, że nie będzie to dla pani łatwe, mam'selle. Ale wydaje się, że majorowi von Höxterowi bardzo zależy na znalezieniu pani.

— Widziałeś go już? — zapytała Esther.

— O tak. Był tutaj zeszłej nocy.

— I... jak się zachowywał?

Giscard wzruszył ramionami.

— Chwilami, jak się to mówi, paradował napuszony niczym paw, ale kiedy mówił o pani, był zły jak diabli.

Pogarda, jaką Esther odczuwała dla Harolda von Höxtera od tamtego popołudnia w Paryżu, zmieniła się teraz w paniczny strach. Jeśli potrafił przez tyle lat chować do niej urazę, Bóg raczy wiedzieć, co mógłby zrobić, gdyby udało mu się ją znaleźć. Właściwie mogła się domyślić.

Esther spiesznym krokiem przeszła przez cellier, a potem dół znajomymi, zniszczonymi schodami do caves. Guillaume schodził pierwszy, za nim Giscard i Esther.

— Myślę, że straciłam już kilogram na wadze — skarżyła się.

Dotarli na najniższy poziom i szli w milczeniu wzdłuż głównej galerii, mijając kolejne, wypełnione szampanem nisze. Przeszli obok miejsca, gdzie pod butelkami niemarkowego brut zakopany został cenny bugatti Sachy. Nie odzywali się. Było zimno, temperatura wynosiła dziesięć stopni, a przy odychaniu para leciała im z ust. W końcu stanęli przed wapienną ścianą, za którą ukryta była najdalsza piwnica.

Przy ścianie, pałac gauloise'a, czekał Emil, jeden z ulubionych pracowników Esther. Był to chudy młodzieniec o wielkim nosie, który bardzo kochał Esther i często przynosił jej kwiaty z ogródka swojej matki. Kiedy zobaczył, że nadchodzi, zerwał z głowy niebieską

czapkę z
daszkiem i zrobił kilka posuwistych kroków w tył.
— Mam'selle, zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby było pani wygodnie — powiedział
powoli
po angielsku z bardzo mocnym akcentem. Zawsze zwracał się do niej w tym języku,
choć
Esther mówiła po francusku znacznie lepiej niż on po angielsku.
— Dziękuję, Emil — odrzekła i pocałowała go w policzek.
— Pospiesz się — poganiał Guillaume.
Wyjęto ze ściany wapienny blok o szerokości około metra i grubości pół metra,
pozostawiając
zbliżony do prostokąta metrowy otwór zaczynający się na wysokości podłogi.
Esther zajrzała do
środką i zobaczyła migoczącą lampę, która rzucała jasne światło na zimne i
ponure rzędy tysięcy
ciemnozielonych butelek szampana. Dojrzała również materac w niebiesko-białe
paski, stertę
haftowanych poduszek oraz drewnianą skrzynię na kapustę, którą w pośpiechu
napelniono
gazetami i książkami.
Giscard położył jej rękę na ramieniu.
— To wszystko, co mogliśmy zrobić przez tak krótki czas. Potem postaramy się o
więcej
wygód: przyniesiemy pani normalne łóżko i wszystko inne, co będzie potrzebne. —
Zawahał się,
a potem dodał: — Jest tu też dzbanek, miska i mydło do mycia, a także mała
wygódka, rozumie
pani, w jakim...
— Rozumiem — przerwała Esther. Guillaume przytulił ją.
— Esther, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby wydostać cię stąd najprędzej,
jak to
możliwe — obiecał. — Teraz musisz wejść do środka. Przykro mi. Rozumiem, jakie
to dla ciebie
nieprzyjemne. Ale to potrwa tylko dwa, najwyżej trzy dni.
Esther skinęła głową.
— Nie wiem, co mnie bardziej przeraża: ukrywanie się w piwnicy czy Harold von
Höxter.
— Wierz mi — rzekł Guillaume — wojna niby zły sen ogarnęła Szampanię. Musimy
spojrzeć
prawdzie w oczy: owszem, jesteś mieszkanką Szampanii, to dumny tytuł w okresie
pokoju, ale
teraz jesteśmy pokonani, prawda? Musimy się ukrywać. Musimy się nauczyć tak
postępować, by
przeżyć. Esther odwróciła się na chwilę, niepewna, co odpowiedzieć. Stwierdziła,
że lepiej
będzie nic nie mówić. Trzymając się dłoni Giscarda, schyliła głowę i przedostała
się przez otwór
w ścianie na drugą stronę piwnicy. Było tam wyraźnie chłodniej, o co najmniej
dwa lub trzy
stopnie, i pierwszą rzeczą, jaką usłyszała poza jednostajnie szumiącą gazową

lampą, było echo
odgłosu ciekącej z sufitu wody. W otworze pojawiła się twarz Giscarda.
— Ce n'est pas le Ritz* — powiedział przeprasza­jąco. — Wstawimy teraz blok na
miejsce i
zasłonimy go beczkami lub stojakiem.
— A co z powietrzem? — zapytała Esther.
— To ogromna piwnica, jest tu mnóstwo powietrza. Jeśli miałyby pani zostać tutaj
dłużej,
założymy pompę i odpowiednią wentylację.
— Giscard — ostrzegła Esther — kategorycznie oświadczam, że zostanę tu najwyżej
trzy dni i
ani chwili dłużej!
— Mademoiselle, bardzo, proszę, zrobimy wszystko, co naszej mocy.
Esther z rękami w kieszeniach płaszcz zrobiła parę kroków w głąb piwnicy.
Wciągnęła
powietrze. Nie potrafiłaby znaleźć odpowiedniego słowa na określenie zapachu
piwnicy z
szampanem. Był słodki jak śmierć, suchy jak kreda i zimny jak lód.
Usłyszała za sobą chrobotanie. Odwróciła się. Giscard i Emil przesuwali blok na
miejsce.
Praktycznie rzecz biorąc, dziecinko, pomyślała, właśnie zamurowano cię żywcem.
Wróciła do
ściany i oparła na niej płasko dłoń.
— Giscard! — zawołała. Odpowiedziała jej cisza.
— Giscard! — krzyknęła wtedy raz jeszcze.
— Oui, mam'selle, je vous ecoute*.
Dzięki Bogu, pomyślała w nagłym przypływie paniki. Przynajmniej mnie słyszą.
Przynajmniej będą mogli mnie wypuścić, jeśli ogarnie mnie panika.
Nie żartowała, kiedy powiedziała Guillaume'owi, że nie wie, czy piwnica nie
przeraża jej
bardziej niż Harold von Höxter.
Guillaume zawołał:
— Esther!
— Tak? — odkrzyknęła.
— Esther, to nie jest dobry moment, żeby to powiedzieć!
Oparła się o ścianę i czekała. Potem zawołała:
— Skoro to niedobry moment, to nie mów tego!
— Esther, kocham cię!
— Nieprawda, koleś!
— Dowiodę tego! — krzyknął Guillaume najgłośnie­j, jak potrafił.
Esther wybuchnęła oschłym, chrapliwym śmiechem.
— Przez skałę kredową grubości dwóch stóp? Kim jesteś? Supermanem?
Potem zapadła cisza. Esther zapomniała, że Francuzi nie lubią dowcipnych uwag,
zwłaszcza
ze strony pań. Stała przy ścianie, wciąż nasłuchując i czekając, ale po chwili
stało się oczywiste,
że wszyscy już poszli. Guillaume też. Przechadzała się przez moment tam i z
powrotem,
następnie usiadła na materacu i wyjęła paczkę lucky strike'ów. Zapaliła jednego,
położyła się na

plecach i wypuściła dym w ciemne, wilgotne powietrze.
Zostałaś zamurowana prawie sto stóp pod ziemią. Giscard i Guillaume mogą całkiem o tobie zapomnieć. Mogą zostać aresztowani i zastrzeleni przez Niemców. Kto wie, co może się zdarzyć? Wtedy zostaniesz tu na zawsze bez jedzenia i powietrza. Zakopana żywcem pod tysiącami ton wapiennych skał.
Przerzuciła znajdujące się w skrzynce książki i gazety. Głównie były to prezentujące modę francuskie czasopisma, przestarzałe, z zagiętymi rogami, a poza tym egzemplarz Ojca Goriot (na litość boską!) z wyblakłą, fioletową pieczętką Biblioteki Miejskiej w Epernay oraz With Pointer and Shotgun in the Kush Gordona Welsha–Burnetta. Jednak ku swej radości znalazła też prawie nowy zbiór humorystycznych sztuk Jamesa Thurbera. Otworzyła książkę.
„Moja żona znalazła tę sowę na strychu między mnóstwem zegarów z pozłacanego brązu i starych, kryształowych żyrandoli. Nie wiemy, czy została wypchana, czy zwyczajnie zdechła.
Siedzi na dziwnym, trudnym do opisanego żelaznym kiju”.

Esther, zupełnie sama, w najgłębszej piwnicy Maison Louis David, leżała na gołym materacu i śmiała się. Jej śmiech rozniósł się echem między długimi rzędami butelek markowego szampana, jedyne dziedzictwo, jakie zostawił po sobie jej niedoszły mąż. Potem śmiech przeszedł w płacz. Zakryła twarz rękami i szlochała, czując, jakby jej serce miało się rozpaść na dwoje.

O Boże, Guillaume powiedział, że ją kocha.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W południe blok skalny znów zachrobotał i w szczelinie pojawiła się madame Medot, żona Giscarda.

— Mam'selle! — zawołała. — Przyniosłam pani jedzenie!

— Czy są jakieś nowiny? — zapytała Esther. Giscard stał tuż za swoją żoną.

— Obawiam się, że tylko złe. Niemcy wdzierają się wszędzie.

— Nie sądzisz chyba, że faktycznie dojdą aż do Paryża?

— Nie wiem. W radiu powtarzają, że Weygand i Brook odeprą Niemców, ale do tej pory

tamci z pewnością dotarli prawie do Sekwany. — Jego głos był niski i niepewny. — Obawiam

się, że przegrywamy.

— Biedny Paryż — rzekła Esther i pomyślała o wszystkich wspaniałych, pełnych blasku

dniach na Polach Elizejskich, o przejażdżkach konnych w Lasku Bulońskim i o balach w domu

Delahaye'ów.

Giscard przytaknął:

— Ah oui, biedny Paryż i my także biedni.

— A co z Haroldem von Höxterem? — zapytała Esther. — Dawał znaki życia?
Giscard skinął głową.

— Mniej więcej godzinę temu przyjechał do biura z dwiema osobami ze swojego sztabu.

Poprosił Daniela Meneau o spis wszystkich naszych towarów w magazynach i księgi rachunkowe.

— Wygląda na to, że jest bardzo dokładny w tych sprawach.

— O tak. Jeśli nie będzie robił w Szampanii nic więcej, to zostanie po prostu dobrym zarządcą

magazynów. Muszę też dodać, że wydaje się niemal ludzki. Nie było żadnego plądrowania ani

szkód, z wyjątkiem tych w budynkach zniszczonych podczas walk. Niemcy nie tknęli ani jednej

butelki szampana. Major von Höxter powiedział, że jego ludzie zapłacą za wszystko, co będzie

im potrzebne. W niemieckich markach, oczywiście, ale w takiej sytuacji nie mamy wyboru.

— Pytał o mnie? — chciała wiedzieć Esther.

— Tak — odpowiedział Giscard. — Wie już na pewno, tak mówił, że nie pojechała pani do

Paryża. Jego ludzie pytali o panią w mieście i oczywiście ktoś musiał powiedzieć, że widziano

panią. Nie może ich pani za to winić. Wszyscy są bardzo przerażeni i nikt nie wie, że von Höxter

chce panią skrzywdzić.

— O, Boże — westchnęła Esther. Wyobraziła sobie, że będzie zamknięta w tej piwnicy przez

całe tygodnie. — A więc co on teraz robi?

Giscard potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie pojedzie najpierw do Château David. Niech się pani nie

martwi, nie ma się czego bać. Nie powiedziała pani przecież madame Hatte, gdzie się pani

ukryje, prawda?

Esther potrząsnęła głową.

— Oczywiście, że nie. Nie chciałam jej w to w ogóle wplątywać. Mam nadzieję, że coś, czego

nie wie, nie może jej zaszkodzić, prawda?

— Znakomicie! A więc jest pani bezpieczna. Niemożliwe, aby major von Höxter znalazł panią

tutaj.

Giscard i Emil unieśli blok i zamierzali wsunąć go na miejsce, ale Esther przycisnęła do niego

dłonie i rzekła:

— Giscard?

— Tak, mam'selle?

— Jak długo, Giscard? Nie jestem pewna, czy potrafię to jeszcze długo wytrzymać.

— Nie wiem, mam'selle. W tej chwili panuje jeden wielki chaos. Wszystkie drogi są

zablokowane. Niemcy nie pozwolą przejechać żadnym cywilom.

— Wobec tego może to potrwać kilka dni?

Giscard nie odpowiedział. Esther zapytała:

— Chyba nie więcej, prawda? To znaczy, nie myślisz o okresie dłuższym niż tydzień?

Wolałabym się poddać, niż {siedzieć tu na dole dłużej niż tydzień.

Mam'selle, wyciągniemy panią stąd najprędzej, jak będzie można. Przysięgam na własne życie.

Blok został wsunięty na miejsce. Esther przez moment stała i patrzyła na ścianę.

Potem

odwróciła się, usiadła przy małym, zniszczonym stoliku, którego dawniej używał chef de caves

jako biurka i zaczęła jeść lunch. Zupa była dobra dodała jej otuchy. Potem

Esther położyła się na

materacu, zapaliła papierosa i czytała dalej Thurbera.

Boże, jestem zamknięta w tej piwnicy dopiero od czterech godzin, a wydaje się, jakby to były

raczej cztery wieki. Jeśli nie wyciągną mnie stąd do końca tygodnia, poddam się.

Ostatecznie

Harold jest Szwabem, ale to tylko Harold.

Śpiewała do siebie. Głos roznosił się echem po piwnicach, jakby znajdowało się tam jeszcze

cztery czy pięć dziewcząt ukrytych za regałami z szampanem. Efekt był zupełnie niezwykły.

Będę czekać na ciebie dzień i noc...

Zawsze będę czekać, kochanie...

Była to rzewna piosenka pod tytułem: J'attends, którą wszyscy śpiewali w Paryżu, kiedy była

tam ostatnim razem. Siedząc w swoim wapiennym grobowcu pod Marną, nie mogła oczywiście

wiedzieć, że śpiewano ją tam nadal, że Henri i Isabelle poprzedniego wieczoru poszli do

Comedie Française na nowe przedstawienie Cyrano de Bergeraca i że kawiarnie świeżym

powietrzu oraz restauracje były zatłoczone jak zwykle. Niemcy znajdowali się tylko pół godziny

drogi od Paryża, a gdy Henri i Isabelle wychodzili z teatru, słyszeli dalekie wystrzały. Jednak

większości paryżan nawet nie przyszło do głowy, że ich ukochane miasto mogłoby rzeczywiście

wpaść w ręce wroga.

Minęło popołudnie, chociaż nie można było tego stwierdzić w głębi piwnicy

L'Etoile de

Champagne. Lampa gazowa przez cały czas syczała. Esther postanowiła, że poprosi Giscarda o

lampę elektryczną. Straci wtedy ciepło, które daje lampa gazowa, ale za to elektryczna nie będzie

tak głośna. Zdrzemnęła się chwilę, a kiedy się obudziła, poszła na przechadzkę po całej

piwnicy, chcąc dokładnie poznać jej topografię. Trzysta sześć kroków na północ i
dwieście
dziewięć kroków na wschód. Olbrzymi, podziemny pałac Królowej Szampanii, tyle że
większą
część jego cennej przestrzeni zajmowały butelki.
Zastanawiała się, co pomyślałby Sacha, gdyby wiedział, do czego doprowadzi ten
pościg
motorówką z Cherbourga. ESTHER, JE T’AIME — obwieszczał jego transparent.
— Sacha — szepnęła do piwnicy — ja też cię Kocham.
Zegarek tykał i tykał delikatnie, nastał w końcu wczesny wieczór. Nic nie było
słyszeć zza
ściany. Żadnego wołania ani pukania. Zaczęła się zastanawiać, czy Guillaume i
Giscard
całkowicie o niej nie zapomnieli. Chciałaby móc się wykapać. Czytała jeszcze
trochę Thurbera,
ale tym razem jego słowa wydawały się raczej tragiczne niż zabawne i nie
potrafiła się śmiać.
„Właśnie wtedy Mężczyzna pojął, że Kobieta jest tak nierozdzielnie związana ze
wszystkimi
cudami i koszmarami tego świata, tak mocno w nie uwikłana, że wcale się ich nie
obawia”.
Chyba żartujesz, pomyślała Esther. Właśnie teraz zostałam pogrzebana pod
wszystkimi
cudami i koszmarami tego świata i jestem śmiertelnie przerażona!
„Zawarła ciche porozumienie z siłami natury. Była integralną częścią gwiazd i
księżycy, była
jednym z drzew i jednym z irysów na moczarach. On, żalony idiota, padł na
kolana i chwycił ją
w pól”.
Esther zamknęła książkę. Miała łzy w oczach. Tak, pomyślała, żalona idiotka.
Patrz, do
czego cię w rezultacie doprowadziło uwielbienie mężczyzn.
Położyła się. Może powinna otworzyć butelkę szampana, nie pochwałałby tego,
ponieważ
większość butelek, które schowano w tej części piwnicy, musiało jeszcze co
najmniej dwa lata
dojrzewać; niektóre z nich nawet pięć lub sześć. Ale kiedy człowiek musi się
upić, to po prostu
musi koniec.
Podeszła do regału oznaczonego jako La Reine du Chamie i wzięła jedną z butelek.
Starła
rękawem kurz z etykiet — Była na niej korona z liści winorośli i kwiatów. Gdyby
tylko Sacha
mógł to zobaczyć, pomyślała. Zamknęła oczy ujrzała żywy obraz jego twarzy,
uśmiechnęła się.
Zrywała folię, kiedy usłyszała, że ktoś odsuwa blok.
— Giscard! — zawołała. Ale kiedy szczelina otworzyła się, środka piwnicy
przedostał się
Guillaume, który włókł za sobą ciężki, tweedowy płaszcz. Miał rozczochrane
włosy, purpurowe

siniaki na lewym policzku i ciężko dyszał. — Guillaume! Co się stało?
Zanim jednak Guillaume zdążył odpowiedzieć, w szczelinie ukaazał się Giscard i
pospiesznie
wepchnął do środka płócienną torbę.
— Jest tu trochę jedzenia, butelka kawy i papierosy. Spróbujemy przynieść trochę
więcej
rzeczy jutro rano.
— Co się dzieje? — chciała wiedzieć Esther. — Guillaume, jesteś ranny?
Giscard powiedział:
— Wszędzie są Niemcy. Proszę, muszę teraz zabarykadować ścianę! Postaram się
wrócić do
was późno wieczorem.
Z tymi słowami szybko wstawił blok. Usłyszeli potem tylko głos przesuwanego,
drewnianego
stojaka, którym zastawiono ścianę z drugiej strony.
Guillaume odetchnął głęboko i rzucił płaszcz na materac.
— Przykro mi — rzekł. — Obawiam się, że będziesz miała przez jakiś czas
towarzystwo.
— Ale dlaczego? Co się stało?
Wyjął łagodnie butelkę szampana z jej rąk.
— Pozwól, że ja to zrobię. Napiłbym się czegoś. — Zaczął zdzierać folię i
odkręcać druczane
zabezpieczenie. — Obawiam się, że twój przyjaciel Harold von Höxter okazał się
jeszcze
większą świnia, niż nawet ty mogłabyś przypuszczać.
Esther obserwowała, jak otwierał butelkę, i miała najgorsze przeczucia. Kiedy
Guillaume był
tak opanowany jak teraz, prawie zawsze znaczyło to, że ma złe nowiny. Takim
samym tonem
mówił pewnego przedpołudnia rok temu, gdy jeden z ich vigneronów zginął w wypadku
na
traktorze niedaleko Dizy.
— Przyjechał do Château David i wypytywał, gdzie jesteście — opowiadał Guillaume. —
Jeden
z twoich ogrodników został uderzony kolbą karabinu, ale oczywiście nie mógł im
niczego
powiedzieć.
— Och, Guillaume, to straszne! Jest poważnie ranny?
— Wszystkie kości ma całe, z tego, co słyszałem. Ale poczekaj... Boję się, że to
nie jest
jeszcze najgorsze.
Wziął dwa kieliszki służące do degustacji i zdmuchnął z nich kurz. Napenił je
szampanem i
podał jeden Esther.
— Kiedy Herr major zorientował się, że ogrodnik nie wie, gdzie jesteście, poszedł
do domu i
porozmawiał z madame Hatte.
— Ale madame Hatte też nie wie, gdzie jestem!
— Oczywiście, że nie. Ale Herr major o tym nie wiedział. Przykro mi, Esther,
madame Hatte

została pobita. Była też torturowana.

— Harold torturował madame Hatte? Nie mogę w to uwierzyć!

Guillaume patrzył w podłogę.

— Przykro mi, to prawda.

— Ale co oni jej zrobili?

— Przepraszam, nie mogę ci powiedzieć.

Esther chwyciła go za rękaw i trzymała mocno.

— Guillaume! Nie jestem dzieckiem! Jestem twoim współnikiem w interesach! Madame Hatte nie tylko dla mnie pracuje, ale jest też moją przyjaciółką!

— Bardzo cię to zmartwi. Nie pytaj, proszę. Mogę ci tylko powiedzieć, że została bardzo

ciężko ranna.

Esther zapytała drżącym głosem:

— Ale nie zabili jej? Nie chcesz przez to powiedzieć, że ją zabili?

— Nie, Esther, nie zabili jej. Ale jest bardzo ciężko ranna. Dranie! Przebywa w sanatorium

Ste-Marche. — Wziął łyk szampana, zgrzytając zębami, tak że bąbelki przepłynęły między nimi.

— Powiedziała im wszystko, co wiedziała: że wywozłem cię dokądś i dlatego teraz ja też muszę

się ukrywać. Von Höxter wydał rozkaz, aby z miejsca mnie aresztowano.

Esther delikatnie dotknęła jego policzka.

— Co ci się stało w twarz?

— To zdarzyło się w drodze tutaj. Wyszedłem zza rogu i natknąłem się na niemieckiego

żołnierza. Był sam... rozmawiał z jakimiś małymi dziećmi. Podszedłem prosto do niego i

uderzyłem go cegłą.

— Mógł cię zabić!

— Esther, byłem tak zły z powodu madame Hatte, że naprawdę nie obchodziło mnie to. Poza

tym uderzyłem go tak mocno, że praktycznie nie mógł mi oddać. Uderzyłem go po raz drugi i już

nie wstał.

Esther długo milczała.

— Co oni zrobili madame Hatte?

Guillaume podniósł głowę.

— Chcesz mieć koszmarne sny?

— Co jej zrobili?

Guillaume podniósł swój płaszcz i strząsnął kurz z kołnierza.

— Odcinali jej, jeden po drugim, czubki palców za pomocą i (jak to nazywacie?) nożyc do

drobiu. Gdy nadal nie chciała im nic powiedzieć, posłużyli się pustą butelką po winie i kotłem z

wrzącą wodą.

Esther przelknęła ślinę.

— O Boże — szepnęła — madame Hatte.

Guillaume nic nie powiedział.

Esther zapytała:

— Zabije mnie, jeśli mnie znajdzie, prawda? Pewnie zabije las oboje.

— Przykro mi — odparł Guillaume — ale sędzę, że odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak.
Musiałś go bardzo dotkliwie upokorzyć.
— Gdybym tylko wiedziała — rzekła Esther. — Powinnam była zostać i zjeść lunch z Maurice'em.
— Maurice'em? — zapytał zdumiony Guillaume.
— To długa historia — wyjaśniła Esther.
Guillaume wyjął papierośnicę i poczęstował ją papierosem.
— Nie narzekamy raczej na brak czasu — stwierdził.
Owinięci w płaszcze i szaliki przechadzali się tam i z powrotem po piwnicach.
Guillaume
niósł lampę, która kołysała się leniwie. Ich cienie podnosiły się i padały na ściany piwnicy,
przypominając cienie dzieci bawiących się beztriosko na huśtawce.
Opowiedzieli sobie nawzajem swoje życiorysy, poczynając od najwcześniejszych wspomnień.
Esther mówiła Guillaume'owi o wakacjach w Newport, balach, tańcach i przejażdżkach po parku. Guillaume opowiedział Esther o swojej pięknej matce i gwałtownym ojcu oraz o tym, jak ojciec uczył go robić szampana.
— Ojciec był geniuszem. Zbyt wielkim tradycjonalistą, jak Sacha, niemniej jednak geniuszem.
— Tęsknisz za Sachą? — zapytała Esther.
— A czy jeden syjamski bliźniak tęskni za drugim, kiedy chirurdzy ich rozdziela?
— Zawsze się kłóciliście.
— Oczywiście. To leży w naturze braci.
Doszli do najdalszej części piwnicy, gdzie ściany lśniły od wilgoci, a ze sklepienia kapą woda. Chór kropli wygrywał nie kończącą się, roznoszoną przez echo melodię:
Plip! Plop! Blip!
Plip! Blop!
— Jak długo twoim zdaniem będziemy musieli tutaj siedzieć? — zapytała Esther Guillaume'a.
— Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że dopóki Harold von Höxter będzie cię szukał. Moglibyśmy wydostać się stąd w przebraniu. Bylibyśmy chyba bezpieczni, gdyby udało nam się dotrzeć do Szwajcarii.
Zawrócili. Esther czuła się zmęczona i zmarznięta, nie mogła też przestać myśleć o madame Hatte. „Odcinali jej, jeden po drugim, czubki palców za pomocą nożyc do drobiu. Gdy nadal nie chciała im nic powiedzieć...”
— Opowiedz mi o Camille — poprosiła Guillaume'a.
— O Camille? Nie ma nic do opowiadania.
— Nie wierzę — odparła Esther. — Zarówno ty, jak i Sacha oszaleliście na jej punkcie. Jak to możliwe, żeby nie było o czym mówić?
Doszli do sterty pustych, drewnianych palet. Guillaume postawił lampę i zaproponował:

— Odpocznijmy. Chcesz papierosa?

— Nie, dziękuję. Chyba zaczyna mnie boleć gardło. Nic w tym dziwnego, skoro siedzę tu

zamknięta przez cały dzień, nie uważasz?

Guillaume usiadł na paletach, Esther usiadła obok niego.

— Camille była tego typu kobietą — zaczął — której mężczyzna nigdy nie może mieć naprawdę. Nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli. Sądzę, że właśnie to czyniło ją tak

pociągającą dla każdego mężczyzny, który ją poznał. Ty też masz w sobie taką siłę przyciągania.

Wiem na pewno, że byłabyś dla Sachy wspaniałą żoną. Pozostałabyś jednak nadal sobą, kimś

zupełnie niezależnym. Spójrz, w jaki sposób przejęłaś Maison Louis David. Wiesz dzisiaj więcej

o produkcji szampana niż większość chef de caves.

— Dzięki za komplement. A czy ty próbowałbyś uganiać się za mną tak jak za Camille?

Guillaume chrząknął rozbawiony.

— Może. Kto wie, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Sacha nie zniknął.

Esther bacznie mu się przyjrzała.

— Nie wiem, czemu, ale odnoszę wrażenie, że w sprawie Camille jest coś, czego mi nie

powiedziałeś.

— Mówiłem już, że nie ma nic do opowiadania. Sacha zakochał się i ożenił się z nią. Ja też się

w niej zakochałem. Zaszła w ciążę i umarła. Tragiczny, klasyczny trójkąt małżeński.

— Ale dlaczego Sacha zawsze uważał, że jest ci coś winien?

Guillaume wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem.

— Kiedy chciałeś taillę, żeby móc zrealizować swoje zamówienia, zawsze ci dawał, mimo że

było to całkowicie wbrew jego zasadom. Pożyczał ci pieniądze... Widziałam w księgach

rachunkowych. Stał po twojej stronie, kiedy urząd podatkowy zarzucił ci zatajenie informacji o

eksportcie wina do Stanów.

— Nie mogę narzekać na lojalność Sachy — stwierdził Guillaume. Brzmiało to tak, jakby

bardzo starannie dobierał słowa.

— Ale ty nigdy nie zrobiłeś nic dla niego! Wydaje się, że przysporzyłeś mu tylko mnóstwo

kłopotów.

— No cóż... — Guillaume uśmiechnął się. Wstał ze sterty palet i podniósł lampę. — Mogę

tylko powiedzieć, że Sacha był tym, co Brytyjczycy nazywają „dobrym jajem”.

Ruszył w stronę znajdującej się przy ścianie części piwnicy, którą Esther nazwała ich

salonem. Zatrzymał się, ponieważ Esther nie poszła od razu za nim. Odwrócił się i uniósł lampę.

— Wyglądasz jak Diogenes szukający uczciwego człowieka — powiedziała.
Uśmiechnął się.

— Nie sądzę, żebyśmy ja i Diogenes mieli ze sobą wiele wspólnego. Diogenes wierzył, że cnotą jest odmawianie sobie wszelkiej fizycznej przyjemności, a dobroć można osiągnąć tylko

przez cierpienia i niewygody.

Esther podeszła do niego.

— No, cóż — odrzekła. — Nie brakuje ci tutaj ani jednego, ani drugiego.

Na kolację zjedli chleb i zimną kielbasę cielecą. Guillaume podgrzał nad lampą ronderek,

warząc barbottin, mieszaninę gorącej, mocno osłodzonej wody i eau de vie de marc. Napój był

tak mocny, że Esther zaczęło po nim dzwonić w uszach.

Mieli jeden kurek z zimną wodą, którą mogli wykorzystywać do mycia i picia. Za ustep służył

im duży, porcelanowy nocnik ozdobiony jaskrawymi różami, który opróżniali do ścieku na

samym końcu piwnicy. Esther przykuciała w chłodnym cieniu za regałami z szampanem i

podkasawszy poły płaszcza, usiłowała myśleć o luksusowych łazienkach w domu przy Piątej

Alei.

Zawinięci w płaszcze, leżeli obok siebie na materacu.

— Możesz spać przy zapalonym świetle? — zapytał Guillaume.

— Wolałabym, żeby było zgaszone.

— Zastanawiam się, skąd będziemy wiedzieć, kiedy jest rano.

— Masz przecież zegarek — zauważyła Esther.

— Ah, oui, ale moje ręce nie świecą w ciemności.

— Och... przypuszczam, że obudzi nas Giscard.

Guillaume przykręcał lampę, dopóki nie przestał trzaskać płomień. W piwnicy zapanowała

nieprzenikniona ciemność. Esther zawołała:

— To dopiero ciemność! Nawet nie musimy zamykać oczu! Leżeli w milczeniu przez prawie

dziesięć minut, wsłuchując się w kapanie kropli z sufitu i oddech drugiej osoby.

— Możesz spać? — zapytał w końcu Guillaume.

— Nie — odpowiedziała. — Jest mi strasznie zimno. A to kapanie doprowadza mnie już do szału.

— Chciałabyś, żebym przepowiedział ci przyszłość? Mam ze sobą karty.

— Mogę robić cokolwiek, byle nie leżeć tutaj i nie gapić się w pustkę.

Guillaume poszukał po omacku zapalek, po czym zapalił powrotem lampę. Następnie podszedł do płóciennej torby i poszperał w niej, aż znalazł małą talię kart.

— To są przepowiadające przyszłość karty mademoiselle Lenormand. Kiedyś należały do

Camille. Może przepowiedzą ci lepszą przyszłość niż jej.

Rozłożył zakryte karty na łóżku.

— Proszę! Jedyne, co musisz zrobić, to wybrać jedną z nich.

Esther zawahała się, a następnie dotknęła jednej z kart.

Gillaume odwrócił kartę i pokazał jej. Był na niej obrazek przedstawiający bukiet kwiatów i wierszyk:
Dadzą Ci szczęście kwiaty pachnące.
Los będzie zawsze już sprzyjał Ci.
Więc porzuć smutki duszę dręczące.
Przyjemność niosą najbliższe dni.
Spójrz! — zawołał Guillaume. — To jedna z najlepszych wróżb w całej talii!
— Nie sądzę, abym w nią wierzyła — odrzekła Esther. — teraz, kiedy sprawy tak się przedstawiają.
Guillaume potasował karty.
— Esther, jesteś zupełnie inna niż Camille. Ona była nieszczęśliwa, ty natomiast zawsze pozostaniesz radosna.
Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, lecz Esther natychmiast mu się wyrwała.
— Nie, Guillaume, to że utknęliśmy razem w tej norze, nie znaczy od razu, że rzucę ci się w ramiona.
— Zamierzasz spędzić resztę życia bez mężczyzny?
— Oczywiście, że nie. Ale to nie znaczy, że muszę mieć mężczyznę akurat teraz, i nie znaczy to także, że musisz być nim ty.
— Nie lubisz mnie na tyle?
— Nie złość się tak. Oczywiście, że cię lubię. Ale, na litość boską, jestem zmarznięta i zmęczona! Siedzę w tych cholernych, wilgotnych katakumbach i raptem mam zostać kochanką żonatego mężczyzny!
Guillaume wytrzeszczył na nią oczy, a ona na niego. Wybuchnął śmiechem, Esther także.
Położyli się na materacu i śmiali się, aż odpowiedziało im echo w całej piwnicy.
— Wybacz mi — powiedział Guillaume. — To nie był czas na to, prawda?
— Guillaume, zrozum, ten czas może nigdy nie nadejść. Guillaume spojrzał na łukowate, wapienne sklepienie.
— Wiesz co, kiedy byłem małym chłopcem, zawsze marzyłem o lataniu. Wiesz, kto był moim bohaterem? Major Tricornot de Rose z Les Cigognes, jego eskadra z czasów pierwszej wojny światowej nazywała się „Bociany”. I oczywiście Georges Guynemer. Wszyscy uwielbialiśmy Georges’a Guynemera. Zestrzelił pięćdziesiąt cztery niemieckie samoloty!
— Spróbujmy jeszcze raz zasnąć, dobrze? — zaproponowała Esther.
Guillaume odwrócił się do niej i rzekł:
— Gdybyś powiedziała, że mogłabyś zakochać się we mnie, nie wróciłbym do Juliette.
— Czy właśnie to mówiłaś Camille? Guillaume skrzywił się.
— Zawsze będziesz dla mnie taka bezlitosna?
— Nie wiem, może. Nie mówisz mi prawdy. No, może i mówisz, ale tylko część

prawdy. Nie ufam ci, Guillaume, i nigdy nie miałam podstaw do tego, żeby ci zaufać. Mam wrażenie, że ja jestem radosna, a Camille była nieszczęśliwa tylko dlatego, iż była na tyle naiwna, aby ci wierzyć.

Było oczywiste, że Guillaume'a strasznie kusiło, aby się odgryźć. Zamiast tego jednak usiadł,

zgasił lampę i nic nie mówiąc, położył się ciężko na materacu.

— Mam rację? — zapytała Esther, a echo odpowiedziało jej w ciemności.

— Co innego mogę powiedzieć, skoro nie chcesz mi wierzyć? — odparł Guillaume.

— Do diabła, mógłbyś powiedzieć: dobranoc.

Znowu zapanowała długa cisza. Potem Guillaume odwrócił się do Esther plecami i rzekł:

— Dobranoc, mademoiselle Flecker. Mam nadzieję, że będzie pani dobrze spała.

Esther nie odpowiedziała. Leżała na plecach, gapiała się w sufit, którego nie widziała, i myślała

o tych niezliczonych tonach skał wapiennych nad jej głową. Przypomniała sobie, jak Aleksander

Wielki powiedział Diogenesowi, że otrzyma wszystko, o cokolwiek poprosi.

Diogenes

natychmiast odrzekł: „Proszę, odejdz, panie, i nie zasłaniaj mi słońca”.

Tak, to była jedyna rzecz, o którą Esther teraz by poprosiła. Móc stanąć w ogrodzie przy

Château David z zamkniętymi oczami i rozpostartymi ramionami, czuć na twarzy gromienie

słońca i wdychać aromatyczne ciepło letniego dnia.

Mijały godziny. Z sufitu kapały krople, a dźwięk roznosił się echem. Guillaume zaczął

oddychać powoli i miarowo jak ktoś, kto mocno śpi. Esther poczuła, że jest jej prawie go żal.

Zrobił wszystko, co mógł, aby ustrzec ją przed Niemcami. Ryzykował własne życie.

Walczył z

niemieckim żołnierzem i powalił go. A ona, siedząc w tej piwnicy, odpłaciła mu tylko złym

słowem.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Nie zauważył tego, zbyt twardo spał. Poruszył się jednak,

naciągnął na siebie płaszcz zamruczał:

— Ce n'est pas...* — a potem — Camille...

O Boże, pomyślała Esther, co ja z tobą zrobię?

Obudził ich łoskot przesuwanego bloku. Do piwnicy wdarło się od razu światło i usłyszeli

głos Emila:

— Sz-sz! Mademoiselle Flecker!

Esther usiadła. Miała sucho w ustach i czuła pulsowanie w skroniach. Guillaume też się

poruszył.

— Qu'est-qui se passe?* — zawołała Esther.

— Proszę, cicho, mademoiselle! Niemcy są tutaj. Przeszukują cały budynek i

wszystkie

piwnice od góry do dołu. Powiedzieli, że zastrzelą każdego, kto panią ukrywa.

Guillaume spojrział na zegarek.

— Wpół do jedenastej.

— Oui, monsieur — odrzekł Emil. — Et il fait tes beau aujourd'hui*.

— Je vous remercie* — powiedział sarkastycznie Guillaume.

— Spróbujemy przynieść wam trochę jedzenia i kawy. A tymczasem proszę zachowywać się cicho.

Wstawił blok na miejsce. Guillaume dygocząc, zapalił lampę. Długo siedzieli i patrzyli na

siebie w milczeniu. Potem Guillaume wstał i poszedł za półki z szampanem, żeby się załatwić.

Słyszała, jak na podłogę leci woda z kranu. Następnie wrócił z ponurym wyrazem twarzy.

— Zdajesz chyba sobie sprawę, że oni nigdy nie pozwolą nam stąd wyjść. Będziemy tu żyli i

umrzemy tutaj. Albo będziemy musieli poddać się i znieść wszelkie tortury, jakie przygotował

dla nas Harold von Höxter.

Esther pomyślała o pustej butelce po winie i kotle z wrzącą wodą.

— Wolę umrzeć tutaj — szepnęła, a jej głos był przytłumiony i ochrypły.

Guillaume wziął ją za rękę.

— No tak, z tego, co słyszę, zapewne tak się stanie i to już niebawem.

Esther przygotowała dla nich prowizoryczne śniadanie złożone ze skrawków tostowego chleba

i zimnego, pieczonego kurczaka. Siedzieli na materacu, przeżuwiąc jedzenie.

Kiedy skończyli,

strzepali okruszki z ubrań.

— O czym dzisiaj porozmawiamy? — zapytał Guillaume. Nie był zbyt poważny. Esther zapaliła papierosa.

— Chyba wygadałam się już całkowicie. Może po prostu powinniśmy się upić.

— Upić?

— A co innego jest tutaj do roboty? Niektórzy ludzie sprzedaliby własne babcie, aby tylko

móc siedzieć tu, gdzie my, w otoczeniu tysięcy butelek markowego szampana.

— Ale on nie jest do picia — zaprotestował Guillaume, I rozglądając się po regałach z

L'Etoile de Champagne i La I Reine du Champagne. — Gdybyś wypila którąś z tych butelek,

Sacha byłby...

Esther odwróciła się szybko do niego.

— Co by zrobił Sacha? Guillaume odparł:

— Mówiłem ci, że tęsknię za nim tak samo jak ty. Zapalili papierosy, Esther powiedziała:

— Nigdy nie przestałam się zastanawiać, co się z nim stało.

— Nie żyje — odpowiedział Guillaume. — Nie ma co do tego wątpliwości.

— Nie — rzekła Esther. — Przypuszczam, że żyje. Czekali do późnego popołudnia, lecz nadal

nikt do nich nie przychodził. Zjedli bardzo skromny lunch, poświęcając ostatnią

kiełbasę. Popili ją kieliszkiem szampana, ale Esther czuła już wstręt do tego napoju. Dałaby sobie uciąć prawą rękę za butelkę Château Fonplegade. Po lunchu, kiedy Guillaume napełniał lampę, usiadła po turecku na materacu i czytała Thurbera. W końcu podniosła głowę.

— Ciekawe, czy Niemcy już poszli — odezwała się do Guillaume’a. Guillaume spojrział na zegarek.

— Czwarta. Powinni już do tej pory skończyć poszukiwania. Zresztą nie usłyszelibyśmy ich.

— Ale nikt nie przyszedł. Nie przeżyjemy tutaj bez jedzenia. Guillaume odrzekł;

— Przyjdą. Teraz prawdopodobnie nie jest bezpiecznie. Esther przeczesła ręką włosy.

— Dałabym się zabić za kąpiel.

— Sądzę, że gdyby trzeba było wybierać, lepiej być żywym niż czystym.

— Wstrzymam się z osądem do czasu, aż zdejmiesz skarpetki.

Według zegarka Guillaume’a dzień zmienił się w noc. Nic nie słyszeli w piwnicach i nikt do nich nie przyszedł. O pierwszej w nocy byli już znużeni, umyli się więc i wyłączyli lampę. Tym razem odgłos kapania brzmiał głośniejszy i bardziej natarczywie niż zwykle, a Esther leżała bezsennie ze łzami w oczach, rozpaczliwie marząc o zaśnięciu. Co gorsza, kiedy tylko zaczęła zasypiać, Guillaume przewracał się z boku na bok, jakby męczyły go koszmary.

— Non! — mamrotał. — Cest pas possible*. Cest pas possible.

Po pewnym czasie, który wydawał się trwać lata, Esther zasnęła i obudziła się dopiero następnego dnia, gdy było już dobrze po jedenastej. Usłyszeli chrobotanie odsuwanego bloku, a potem wewnątrz piwnicy zalał strumień światła latarki. Esther przez moment przeraziła się, że znaleźli ich Niemcy, ale wtedy latarka przechyliła się w górę i w jej świetle ukazała się blada twarz Emila. Wydawał się zmęczony i zdenerwowany, a zanim się odezwał, spojrział za siebie, sprawdzając, czy nikogo tam nie ma.

— Emil! — zawołała Esther, kucnąwszy obok szczeliny. Powietrze z głównej piwnicy wlatujące do pomieszczenia, w którym się ukrywali, pachniało wyjątkowo słodko. Emil przycisnął palec do ust.

— Przepraszam, mam’selle, ale muszę się bardzo spieszyć. Niemcy wciąż są w fabryce. Major von Höxter postanowił założyć tutaj swoją główną kwaterę. Korzysta z pani biura. Jest nam bardzo trudno przychodzić na dół i przynosić państwu jedzenie. Kręci się tu mnóstwo niemieckich wartowników. Przez otwór w ścianie przepchnął tobolek zrobiony z obrusa w czerwoną kratkę. Był on ciężki,

niezgrabny i pobrzękiwał.

— Daliśmy państwu tyle, ile mogliśmy. Są tu puszki z mięsem i warzywami, a także kawa,

herbata i pudełka sucharów. Poza tym latarki elektryczne i bakterie.

— Masz na myśli „baterie” — rzekła Esther.

— Tak, baterie. A tutaj, proszę poczekać, mam jeszcze koce.

Esther podawała wszystko Guillaume’owi.

— Jak długo jeszcze, twoim zdaniem, będziemy musieli tutaj zostać?

Emil potrząsnął głową.

— Teraz, kiedy major von Höxter przejął fabrykę, jest bardzo ciężko.

— Wierzę, że ciężko — odparła Esther. — Gdzie jest Giscard?

— W tej chwili nikt nie wie. Miał odwiedzić swojego przyjaciela w Chalons i zorganizować

przrzut pani i monsieur Guillaume’a za granicę.

— Przrzut — poprawiła go Esther. — Co się więc stało? Gdzie on teraz jest?

— Nikt nie wie — powtórzył Emil. Esther rzekła:

— O Boże, mam nadzieję, że go nie złapali.

— Spróbuję się dowiedzieć — powiedział Emil. — Ale proszę, abyście państwo byli cierpliwi. Ponieważ major von Höxter korzysta z tego budynku, zawsze są tutaj Niemcy. Bardzo

trudno będzie przynosić państwu jedzenie. A Félix uważa, że nie należy mówić nikomu więcej z

pracowników, że państwo tutaj są, na wypadek gdyby zmuszono kogoś z nich do udzielenia informacji.

Esther odwróciła się i spojrzała na Guillaume’a. Nie musiała nic mówić. Jeżeli Harold von

Höxter postanowił ulokować się na górze w Maison Louis David, zanosilo się na to, że będą

musieli pozostać w ukryciu przez kilka tygodni, o ile nie miesięcy.

Zaschły jej wargi, oblizwała je.

— Czy myślisz, że mógłbyś przekazać ode mnie wiadomość do Bois d’Argensolle, do monsieur i madame Signac? O ile jeszcze tam są.

— Mogę spróbować, mam’selle.

— Świetnie. Napiszę do nich list, a kiedy następnym razem przyjdiesz do nas zjedzeniem,

zabierzesz go i zaniesiesz Signacom.

— Dobrze, mam’selle.

Guillaume zapalił lampę, a Emil wsunął blok na miejsce. Esther rozwinęła obrus i razem

przejrzeli zapasy żywności: konserwy z wołowiną, zielony groszek w puszcze, kiszona kapusta w

puszcze, mleko skondensowane, ser i jabłka. Esther wiedziała, jak niezmiernie trudno było zdobyć

jakikolwiek jedzenie w strefie wojennej, dlatego wzruszyła się niemal do łez, widząc, jak wiele

ofiarowali im Félix i Emil.

Znaleźli tam także inne potrzebne rzeczy: świeże mydło, ołówki, papier do pisania i mitenki

zrobione na drutach.

— Cudownie byłoby mieć radio — stwierdziła Esther, ale Guillaume powiedział:
— Nie działałoby tutaj. Musielibyśmy mieć antenę na poziomie ulicy.
Esther otworzyła brązową, papierową torbę, która zawierała aspirynę, dwuwęglan sodu i
podpaski higieniczne.
— Teraz wiem, że zostaniemy tutaj na długo. Co najmniej przez miesiąc.
Była tam również tubka maści z napisem: pour anoplura.
— Co to jest „anoplura”? — zapytała Guillaume’a. — To nie brzmi wcale po francusku.
— To nie jest po francusku — wyjaśnił Guillaume — tylko po łacinie.
— No dobrze, ale co to znaczy?
— Wszy — odpowiedział.
— O, Boże — westchnęła.
Starali się, na ile to było możliwe, aby ich życie toczyło się tak samo jak w świecie nad nimi.
Jedli posiłki co cztery godziny, wypijali jedną butelkę szampana po kolacji, a potem usiłowali spać. Wstawali codziennie o ósmej rano, myli się i ubierali.
Najtrudniejsza do zniesienia była wilgoć. Esther przeziębila się, była spocona i przez dwa dni nie mogła opanować dreszczy. Niewiele pomagał nawet regularnie podawany gorący barbotin.
Czuła, że jej ubranie jest wilgotne, materac także. Nawet strony książki, którą czytała, pomarszczyły się od wilgoci. Przez cały czas ze sklepienia piwnicy kapą woda, nigdy jednak nie powtarzała się ta sama „melodia”. Esther natomiast leżała, nie mogła zasnąć i miała ochotę wrzeszczeć bez końca.
Emil nie zjawiał się przez trzy kolejne dni. Zaczęli już zastanawiać się, czy nie złapali go Niemcy, gdy próbował przynieść im jedzenie. Jeśli tak się stało, było jasne, że nie wyjawiał miejsca ich pobytu. W takim razie jednak musieliby pozostać tutaj tak długo, aż głód zmusi ich do poddania się.
Mimo wszystko Esther przygotowała list do Signaców. Napisała po prostu: Guillaume David i ja ukrywamy się w piwnicach Maison Louis David. Jeżeli możecie znaleźć jakikolwiek sposób, aby pomóc nam w ucieczce stąd i przekroczeniu granicy szwajcarskiej, przekażcie, proszę, wiadomość przez Emila. Pozdrawiam, Esther.
Guillaume nie był przekonany, czy to dobry pomysł, aby ujawniać w liście miejsce ich pobytu, ale Esther powiedziała:
— Laurence może nie uwierzyć Emilowi, jeżeli tamten nie przyniesie mu listu.
Guillaume odparł:
— I tak jak ja masz nadzieję, że list nie zostanie odkryty. Nawet bycie zgwałconą przez Harolda von Höxtera zaczyna się wydawać niewielką karą w porównaniu z

przebywaniem w tej
piwnicy.

Przez większą część dnia opowiadali sobie różne historie i dyskutowali o polityce. Co

wieczór, kiedy pili szampana, Guillaume udawał „Radio Guillaume”: śpiewał piosenki,

opowiadał dowcipy i przedstawiał wiadomości dotyczące rozwoju wojny.

— Bonsoir... Niemcy dotarli do Château-Thierry, ale zjednoczone siły francuskie i brytyjskie,

powtórzywszy klasyczny kontratak marszałka Focha, który przełamał niemieckie linie podczas

wielkiej wojny, odparły wroga.

— A teraz żart. Słynny pisarz William Faulkner zapytał kiedyś swoją służącą, czy wie, jaka

jest różnica między „tym, co się lubi”, i „tym, co się kocha”. Ona zaś odpowiedziała:

„Oczywiście, proszę pana. Jeśli ich lubię, to im pozwalam, jeśli ich Kocham, pomagam”.

— A teraz piosenka. Bardzo smutna piosenka o młodym mężczyźnie, który utracił kobietę

swoich marzeń...

Esther zapytała:

— Sądysz, że to prawda?

— Słucham? Sądzę, że co jest prawdą?

— Czy myślisz, że Niemcy zostaną odparci pod Château-Thierry?

Guillaume wzruszył ramionami.

— Już raz tak było. Nie ma powodu, żeby nie mogło się to zdarzyć ponownie.

— Módlmy się o to — rzekła Esther.

— Oczywiście, módlmy się za Francję, ale także za nas samych.

Czwartego dnia o siódmej wieczorem Emil odsunął blok i wsadził głowę przez otwór.

— Przepraszam! — zawołał. — Nie mogłem zejść do piwnic z jedzeniem. Niemcy przeszukiwali wszystkich, sprawdzając, czy nie przymyamy szampana. To znaczy: „przemycamy”. Ale proszę bardzo, mam tu świeże mięsne paszteciki i trochę konserw.

Pociągnął kilka razy nosem.

— Powietrze w środku nie jest najlepsze.

— Słyszysz, Guillaume — powiedziała Esther — zaczynamy śmierdzieć.

— Jutro mam przelożyć trochę butelek w tej części piwnicy — wyjaśnił Emil. —

Zejdę więc

tutaj i zostawię szczelinę otwartą.

— Tylko niech pan będzie ostrożny — rzekł Guillaume. Esther wręczyła Emilowi list, który

napisała do Signaców.

— Proszę, weź go, jeśli możesz. Jeżeli jednak masz jakiegokolwiek wątpliwości, czy to

bezpieczne, nie idź. Nie jest tu wygodnie, ale przynajmniej bezpiecznie.

Ostatnia rzecz, jakiej

byśmy chcieli, to żeby ci się coś stało.

— Doręcę go, mam'selle, nie ma obawy — obiecał Emil. Emil już miał wstawiać

blok, kiedy

Esther zapytała:

— Czy są jakieś nowiny?

— Ani śladu Giscarda, mam'selle.

— Daj mi znać, kiedy będzie coś o nim wiadomo.

— A wojna? — zapytał Guillaume.

— Wojna, monsieur?

— Tak, wojna. Jak daleko udało się posunąć Niemcom naprzód? Czy już ich odpieramy?

Emil wydawał się zakłopotany.

— Monsieur Medot powiedział, żeby nie mówić państwu o wojnie.

— A dlaczego, u diabła, nie? — zapytał Guillaume.

— Powiedział, że powinniśmy zrobić wszystko, co możliwe, aby podtrzymać państwa na duchu.

Guillaume wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

— Czy to znaczy, że sytuacja nie wygląda dobrze?

— Nie, monsieur. Wojna się skończyła. Tego dnia, kiedy zszedł pan do piwnicy, dowiedzieliśmy się, że Paryż się poddał.

— Paryż — szepnęła Esther.

— A co potem? Po Paryżu? — zapytał bezbarwnym tonem Guillaume.

— Rząd przeniósł się do Bordeaux, monsieur, ale to na nic się nie zdało.

Przedwczoraj walki ustały.

Guillaume usiadł na brzegu materaca. Na jego policzkach załśniły łzy.

— Skończyło się. Nie mogę w to uwierzyć.

— Przykro mi, monsieur.

— Proszę powiedzieć — zaczął Guillaume — czy Niemcy okupują całą Francję?

Emil chciał odpowiedzieć, ale w tej właśnie chwili usłyszeli jakiś łoskot w głównej piwnicy.

Obejrzał się za siebie i powiedział:

— Nie teraz, monsieur. Ktoś idzie. Wezmę pani list, mam'selle, a jutro spróbuję przynieść

państwu więcej jedzenia.

Emil z trudnością wsunął ciężki, wapienny blok. Esther i Guillaume znów zostali zamurowani,

ale tym razem kiedy spojrzeli na siebie, wiedzieli, że świat, który zostawili za sobą, nigdy już nie będzie taki sam.

Esther podeszła do najbliższego regału z butelkami L'Etoile de Champagne. Wzięła jedną z

nich i spojrzała na etykietkę.

— Co powiesz na łyk rocznika 21? — zapytała Guillaume'a. — Niewielki rocznik, wyjątkowa

jakość, o ile dobrze pamiętam.

Guillaume potrząsnął głową.

— Ten rocznik można będzie pić jeszcze za pięćdziesiąt lat.

— Oczywiście, że będzie można! — odpaliła Esther. — Ale kto go wypije? Pan Adolf Hitler?

Czuła wewnętrzną pustkę, a jednocześnie gniew i szczególny rodzaj podniecenia.

Cały świat

jakby odpłynął, a ona nie była w stanie nic na to poradzić — mogła tylko pić. Guillaume podszedł i stanął obok niej.

— To jest jak sen — powiedział. Wciąż błyszczały mu oczy. Wyjął jej z rąk butelkę i

przyjrzał się etykietce. — Masz całkowitą rację. Niewielki rocznik, lecz niezrównana jakość.

Moim zdaniem lepszy niż 28.

Esther poszła przynieść kieliszki, a w tym czasie Guillaume otworzył butelkę.

Nalał ostrożnie

szampana, a potem oboje stanęli w świetle lampy, unosząc kieliszki, aby móc przyjrzeć się jego

barwie i bąbelkom. Następnie powąchali bukiet i w końcu skosztowali.

— Znakomity — przyznał Guillaume. — Jeżeli cokolwiek Sacha potrafił, to umiał robić

wspaniałego szampana.

Usiedli obok siebie na materacu i sączyli wino. Żadne z nich właściwie nie wiedziało, co

powiedzieć. Esther zauważyła:

— Będziesz musiał zwolnić reportera „Radia Guillaume”. Wszystkie wiadomości były fałszywe.

Guillaume skinął tylko ponuro głową.

Wypicie całej butelki zajęło im chyba tylko dziesięć minut. Esther czknęła, zasłaniając twarz

pięścią i miała nadzieję, że Guillaume tego nie usłyszał. Boże, mieszkali tu razem w tej wilgotnej

piwnicy, oboje śmierdzeli jak skunksy, a ona zawracała sobie głowę tym, że jej się odbiło!

— Otwórzmy następną — zaproponował Guillaume. — Tak jak powiedziałaś, nie ma sensu

zostawiać żadnej dla wuja Adolfa.

Esther rozejrzała się bacznie po piwnicy.

— Mamy tu diabelnie dużo szampana do wypicia, zanim się poddamy.

— Oczywiście, ale nie zdołamy tego zrobić, jeżeli nie zaczniemy.

— Masz rację — kiwnęła głową Esther. — Otwórz następną.

Guillaume otworzył kolejną butelkę rocznika 21, wzniesli toast za swoje zdrowie i zaczęli pić.

— Co się stało? — zapytała Esther. — Czy „Radio Guillaume” nie gra dziś wieczorem? Co

byś powiedział na trochę muzyki?

— Znam tylko smutne piosenki — odparł Guillaume.

— Co powiesz na tę? — zaproponowała Esther. — Down in de meddy in a itty bitty poo... fam

fee itty fitty and a mama fitty, fool — zaśpiewała.

Guillaume przyłączył się, wymachując kieliszkiem szampana.

— „Firn”, fed de mama fitty, „Firn if oo tan”. I razem skończyli śpiewać:

— And dey fam and dey fam all over the dam!

Esther wstała i tanecznym krokiem lambeth — walka ruszyła przez piwnicę, rozlewając

szampana po całej podłodze.

— Boop boop dit—tem dat—tem what—tem Chu! Boop boop dit—tem dat—tem what—tem Chu!

Guillaume ruszył za nią, trzymając butelkę w ręku.

— Boop boop dit—tem dat—tem what—tem Chu!

Dogonił ją, wziął ją za ręce i razem zaczęli przemierzać moką, betonową posadzkę, tańcząc

tańce, które tańczyli dawniej w Ambassadeurs, w New York St Regis i śpiewając na cały głos:

— And dey fam and dey fam all over de dam!

Otworzyli następną butelkę szampana, a potem jeszcze jedną. W końcu Esther rozwalila się na

materacu, zaczęła wierzcąc nogami w powietrzu i chichotać do utraty tchu.

— Czego chcemy? — zapytał Guillaume.

— Więcej szampana! — śmiała się Esther.

— A kiedy go chcemy?

— Teraz!

Ich prywatny bal trwał przez kilka godzin. Po raz pierwszy od wielu dni Esther było ciepło,

zaróżowiła się i czuła się pobudzona. Zapomnieli o tym, że mieli przestrzegać czasu

obowiązującego w świecie na zewnątrz. Zamiast tego przytuleni mocno do siebie, tańczyli wokół

piwnicy, jakby znajdowali się w Ritzu, wirując między półkami i wyspiewując głośno piosenki

Cole'a Portera.

Esther niemal zapomniała, gdzie się znajduje. Światło przygasło i migotało, skrzyły się

kropelki wody. Mieli muzykę, szampana i noc, w której nikt nie mógł im przeszkodzić.

Guillaume położył ją na materacu. Bez najmniejszego wahania pocałował ją w usta, wsuwając

język między jej zęby. Odpowiedziała mu pocałunkiem, gryząc jego język, aż poczuła smak

krwi. Sól i żelazo — oto z czego zrobieni są mężczyźni. Poczwała, że jego palce rozpinają guziki

jej płaszcza, a potem podnoszą spódnicę. Poczwała ciepło jego dłoni na nagiej części swoich ud,

tuż ponad wełnianymi pończochami.

— Esther — szepnął jej do ucha.

Przyłgnęła do niego, oplatając mu szyję ramionami.

— Nic nie mów — powiedziała. — Za późno, żeby coś mówić.

Ściągnął jej majtki. Poczwała chłód piwnicznego powietrza wdzierającego się między uda.

Wtedy Guillaume uniósł się nad nią. W swoim wielkim płaszczu wydawał się bardzo potężny.

Wyszła mu na spotkanie, a on natychmiast wszedł w nią.

Nigdy dotąd nie doświadczyła podobnego uczucia. Było jej tak przyjemnie jak wtedy z Sachą,

a jednocześnie czuła napierającą, nieustępliwą siłę, swego rodzaju łagodną brutalność. Napierał

na nią ciągle, mrużąc z wysiłku. Za każdym pchnięciem miała wrażenie, jakby jej mózg coraz bardziej się zaciskał.

Powiedział coś, czego nie mogła zrozumieć. Przyłgnęła mocno do jego płaszcza.

Zaczęła

drzeć i nie mogła przestać. Wtedy Guillaume także zadrżał i wytrysnął głęboko w jej wnętrze.

Leżeli potem na plecach i palili razem papierosa. Zaczynali się powoli uspokajać. Nadal

dyszeli ciężko, a ich twarze oblane były zimnym potem.

Guillaume zapytał:

— Czy rozumiesz teraz, że cię kocham?

— Jestem pijana. Nie mam ochoty niczego rozumieć.

— Zrozumiesz, kiedy wytrzeźwiejesz.

Esther podparła się na łokciach i zmarszczyła brwi.

— Nie używałaś „sprzętu”, prawda?

— Sprzętu?

— No, wiesz, tak zwanej „gumki”, une capote anglaise. Guillaume również zmarszczył brwi.

— Nie wzięłem żadnej ze sobą. Kiedy schodziłem ukrywać się w piwnicy, nie myślałem, że...

no wiesz, nie pomyślałem o tym.

— Guillaume — oświadczyła Esther — ostatnia rzecz, jakiej bym pragnęła, to mieć dziecko.

Zaszłam już raz w ciążę i było to po prostu okropne.

Guillaume był poważny.

— Wobec tego musisz się umyć albo oblać wodą.

— Woda jest za zimna. Guillaume usiadł.

— Poczekaj, mam lepszy pomysł.

Podszedł do stojaków i wyjął butelkę szampana.

— Ten będzie doskonały. Rocznik 20. Nie tak dobry jak 21, niemniej jednak całkiem niezły.

Potrząsnął energicznie butelką. Potem uklęknął między kolanami Esther, wyciągnął do

połowy korek, przyciskając mocno kciukiem szyjkę butelki, aby powstrzymać wytrysnięcie

szampana.

— Guillaume, jeśli zamierzasz zrobić to, co przypuszczam...

Ale Guillaume odkorkował z głośnym hukiem butelkę i wsunął szyjkę między nogi Esther.

Zapiszczała, chwyciwszy się płaszcza Guillaume'a, kiedy do jej ciała wpływał musujący płyn.

Poczuła chłód, szczypanie i łaskotanie. Kiedy wszystko się skończyło, Esther położyła się na

plecach i roześmiała na całe gardło.

— Mój Boże, najdroższa metoda antykoncepcji na świecie! Czy wiesz, ile ten szampan

kosztuje!

Guillaume przyniósł ręcznik i wytarł ją. Potem opuścił jej spódnicę i zapiął płaszcz.

— Nie chcemy, abyś znów się przeziębila, prawda? Pocałowała go i zmierzwiła jego brudne włosy.

— Co z Juliette?

Potrząsnął głową.

— Ten świat odszedł na zawsze, Esther. Ten świat nigdy już nie powróci.

— Jestem pijana — oświadczyła Esther. — Nigdy nie pozwoliłabym ci na to, gdybym nie była.

— Ale ja cię kocham. Na tym polega różnica.

— To mi nie robi żadnej różnicy. Widzę was trzech i wszyscy wyglądacie, jakbyście byli ze sobą w zмовie i knuli intrygę.

Guillaume nalał sobie kolejny kieliszek szampana i sącząc go, pograżył się w myślach. Esther obserwowała go bez słowa.

— Czy sądzisz, że twój przyjaciel Laurence Signac będzie mógł cokolwiek zorganizować? — zapytał w końcu.

Kiedy nie odpowiadała, odwrócił się i zobaczył, że śpi głębokim snem: włosy prawie zupełnie zasłaniały jej policzek.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Minęło szesnaście dni, zanim Emil ponownie ich odwiedził. Przez te dni oboje byli odrętwiali

i przerażeni, odczuwali jednocześnie potworną nudę i śmiertelny strach. Nie mieli pojęcia, ile

czasu upłynie, zanim dostaną nową żywność, jeśli w ogóle ją otrzymają, dlatego zawartość

każdej konserwy dzielili na miniaturowe porcyjki: cal kwadratowy wołowiny z puszki, pół

suchara, odrobina sera i plasterek jabłka.

Pewną wartość odżywczą, głównie w postaci cukrów, miał szampan. Pili go jednak tak dużo,

że mieli po nim ciągłą biegunkę, co tylko potęgowało cierpienia i upokorzenia spowodowane uwięzieniem.

Dziesiątej nocy doszli wspólnie do wniosku, że dadzą Emilowi jeszcze jedenaście dni. Jeśli

nie pojawi się do tego czasu, wypchną wapienny blok i spróbują uciec.

— Wolę chyba zostać zastrzelony, niż umrzeć z głodu — powiedział Guillaume, gdy leżeli

przytuleni do siebie. — Nie marzysz wtedy całymi dniami o zjedzeniu steku z antrykotu.

— A ty o tym właśnie marzysz? — spytała Esther — O steku z antrykotu?

— Tylko w dzień. W nocy marzę o tobie.

— W tej chwili nie jestem szczególnie inspirująca. Głowa mnie swędzi tak, że nie mogę wytrzymać.

— Jedynie drobne odwyszawianie może tu coś pomóc.

— Mówiłeś chyba, że nas zastrzelą. Nie będą sobie najpierw zawracać głowy odwszawianiem,
prawda?
Guillaume pocałował ją.
— Nie miej takich czarnych myśli.
Kiedy tak rozmawiali, kamienny blok został znów odsunięty i do środka zajrzał Emil.
— Jak się państwo mają? — zawołał cicho. Nie tłumaczył się wcale, dlaczego tak długo ich nie odwiedzał.
— Po prostu wspaniale — odparł Guillaume. — Co słyhać?
— Czy mogą być państwo gotowi do wyjścia dziś o dziesiątej wieczorem?
— Żartujesz? — odparła Esther. — Naprawdę zamierzasz nas stąd wydostać?
— To pani przyjaciel, monsieur Signac. Piętnaście po dziesiątej przejedzie samochodem koło Maison Louis David. To będzie samochód monsieur Guillaume'a, który tak pomalowano, żeby wyglądał na samochód niemieckiego sztabu.
— Dzięki — stwierdził Guillaume, udając rozzłoszczonego. — Ten samochód kosztował mnie majątek.
— A co z Haroldem von Höxterem? — chciała wiedzieć Esther.
— Dzisiaj wieczorem przyjeżdża do Epernay generał von Block. Major von Höxter i większość niemieckich oficerów będzie w ratuszu. Mają tam degustować szampana i jeść kolację. Nie wrócą tu przed dziesiątą trzydzieści.
— Czy nie możemy wyjechać wcześniej? — spytała Esther.
— To niemożliwe, mam'selle. Musimy czekać, aż zapadnie zmrok. W świetle dziennym widać zupełnie wyraźnie, że nie jest to prawdziwy samochód wehrmachtu.
— Bardzo dobrze — rzekł Guillaume. — Czy przyniósł pan coś do jedzenia?
Emil wręczył im papierową torebkę z chlebem żytnim, salami i jabłkami.
— Żałuję, ale nie jest tego wiele.
— A ma pan jakieś nowiny?
— Tylko złe, monsieur. Giscarda Medota znaleziono na polach niedaleko Chalons. Został zastrzelony. W radiu natomiast mówili, że brytyjska marynarka wojenna zatopiła francuską flotę w Afryce. Utonęło ponad tysiąc dwustu francuskich marynarzy.
— Brytyjska marynarka wojenna zatopiła francuską flotę? — zdziwiła się Esther.
— Chyba uważali, że nie mają wyboru — stwierdził Guillaume. — Inaczej wszystkie francuskie okręty wojenne dostałyby się w ręce Niemców. Ale zabić tylu Francuzów...
Esther rozpaczliwie pokiwała głową.
— Nie wygląda to raczej na walkę ramię w ramię, prawda? — zauważył Guillaume.
— A więc dziś wieczorem, mam'selle? Dziś wieczorem, monsieur? — zapytał Emil.
Guillaume skinął głową, po czym usłyszeli (mieli nadzieję, że słyszą go po raz ostatni) odgłos bloku wsuwanego w ścianę.
Esther otworzyła torbę z jedzeniem i zaczęła przygotowywać grube kanapki. Nie miała

specjalnie apetytu teraz, gdy zamierzali podjąć próbę ucieczki, lecz Bóg wie, kiedy będą mogli zjeść następny posiłek.

— Może wypijemy ostatnią butelkę szampana — zaproponował Guillaume. — Powinniśmy wznieść toast.

— Za co? — zapytała Esther cynicznie. — Za piwnice Maison Louis David, żebym ich już nigdy nie zobaczyła?

Guillaume podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

— Za miłość. Za prawdziwą miłość, która przetrwa mimo wszelkich przeciwności, która jest

potężniejsza niż wszelkie prawa i wojny, jakie może wymyślić człowiek.

Esther również go pocałowała i powiedziała:

— Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek zastąpisz Sachę.

— Nigdy bym nie mógł. On i ja to dwaj różni mężczyźni.

— Wydaje się, że wam obydwu podobały się tego samego rodzaju kobiety. Najpierw Camille, potem ja.

Guillaume wziął kanapkę i zaczął ją jeść, usiłując nie robić tego łąpczywie i przeżuwać jedzenie, jak należy.

— Sacha był zawsze wściekle zazdrosny. Ja nie bywam tak zazdrosny jak on.

Esther pomyślała o tym, jak Sacha przyłapał ją na całowaniu się z Guillaume'em na schodach

Château David oraz o wszystkich innych sytuacjach, kiedy nie pozwalał jej zachowywać się zbyt czule w stosunku do innych mężczyzn.

Guillaume przełknął kęs.

— Zazdrość to niebezpieczne uczucie, bardzo niebezpieczne. Oczywiście nie mogę dawać ci

rad, ale nie polecałbym ci na męża kogoś tak zazdrosnego jak Sacha.

Esther wpatrywała się w niego uporczywie.

— Czuję wyraźnie, że próbujesz mi coś powiedzieć. Guillaume skrzywił się.

— To chyba dlatego, że być może mam ostatnią szansę, aby komukolwiek o tym powiedzieć.

Zdajesz sobie sprawę, że opuściwszy dziś wieczorem tę piwnicę, możemy zostać zabici. A jeżeli

ja umrę, wtedy... no tak, wtedy tajemnica umrze razem ze mną i nikt jej nigdy nie pozna. A

przypuścimy, że jakimś cudem Sacha jeszcze żyje...

— Guillaume — zaprotestowała Esther — mówisz zagadkami!

— Nie — odpowiedział Guillaume. — Próbuję po prostu odpowiedzieć na pytanie, które mi

wcześniej zadałaś. Dlaczego Sacha zawsze pożyczał mi pieniądze i zezwalał, abym sprzedawał

jego tańszy szampan jako swój. Dlaczego nie protestował.

— No więc, mów. Dlaczego? Guillaume powiedział:

— Tej nocy, kiedy umarła Camille... No wiesz, ona miała urodzić moje dziecko.

— Wiem o tym.

— Sacha nie mógł już dłużej znieść, że mnie kochała. Uważał, że nie może zgodzić

się jeszcze
i na to, aby urodziła mi dziecko. Pod moją nieobecność przyjechał do domu w
Chalons i
próbował ją namówić, aby wróciła do niego i żeby mógł adoptować dziecko.
Pokłócili się. Sacha
był pijany. Uderzył Camille, a ona upadła, uderzając twarzą w krawędź żelaznego
stołu. Był to
chyba najbardziej pechowy cios, jaki mógł kiedykolwiek zadać. Złamał jej nos, a
złamana kość
wdarła się do mózgu. Zmarła natychmiast. — Guillaume patrzył na swoją kanapkę.
Potem dodał:
— Kiedy wróciłem do domu, znalazłem Camille martwą, a Sachę w stanie szoku.
Oczywiście
byłem zrozpaczony, ale wiedziałem, że nie zabił jej umyślnie. Po długich
rozważaniach
postanowiłem nie zawiadamiać policji. Od tej pory wiedziałem jednak, że Sacha to
człowiek
opętany przez zazdrość i pewnego dnia inni mogą na tym ucierpieć.
Esther usiadła na materacu, jej kanapka była nie ruszona.
— Zabił Camille? Nie mogę w to uwierzyć.
— On był dziwnym mężczyzną, Esther. Tradycjonalistą, perfekcjonistą,
człowiekiem, który
chciał, aby wszystko było zrobione, jak należy. Nigdy nie próbowałem
przeszkodzić ci w tym,
abyś go kochała lub opłakiwała. Ale możliwe, że wyświadczył ci przysługę,
znikając w dniu
ślubu.
Esther spojrzała na Guillaume'a i spróbowała się uśmiechnąć.
— Chyba napiłabym się teraz tego szampana.
Przez całe popołudnie trwało nerwowe oczekiwanie. Palili papierosy i próbowali
gawędzić.
Esther usiłowała umyć włosy, na wypadek gdyby zatrzymali ich Niemcy. Nie chciała
wyglądać
jak rozbitek z bezludnej wyspy. Kiedy wskazówki zegarka Guillaume'a zbliżyły się
do dziesiątej,
nie mogła już usiedzieć na materacu, zaczęła więc krążyć po piwnicy, paląc
jednego papierosa za
drugim.
Sześć po dziesiątej odsunięto nagle wapienny blok. Ukazał się Félix, chef de
caves, ubrany w
czarny sweter i czarny beret.
— Pst! — Przywołał ich ruchem ręki. — Szybko!
Esther, zeszywniała i drżąca ze strachu, przedostała się przez otwór w ścianie
i po raz
pierwszy od trzech tygodni odetchnęła naprawdę świeżym powietrzem. Guillaume
przeszedł za
nią, a następnie pomógł Félixowi wepchnąć blok i zastawić go stojakiem.
— Musimy zachowywać się bardzo cicho — wyjaśnił Félix. — W biurze jest dwóch
niemieckich wartowników. Nie spodziewam się, aby major von Höxter wrócił w ciągu
najbliższych dwudziestu minut, ale on jest zupełnie nieobliczalny.

Pospiesznie wchodzili po drewnianych schodach, które prowadziły na kolejne poziomy piwnic. Esther nie mogła złapać tchu już po pierwszej kondygnacji, a na drugiej Félix musiał chwycić ją za ramię i prawie wciągać na górę.

— Mamy czekać przed budynkiem punktualnie piętnaście po dziesiątej! — poganiał ją. —

Inaczej samochód będzie musiał odjechać i szansa przepadnie!

Esther przelknęła ślinę, skinęła głową i chwyciła się poręczy ostatniej kondygnacji schodów.

Dotarli wreszcie do dębowych drzwi, które prowadziły do holu i drzwi na zewnątrz. Były częściowo uchylone, Esther mogła więc zobaczyć na dworze ciemność nocy, usłyszeć szelest lip oraz poczuć ciepły, mocny podmuch letniego, wieczornego wiatru. Nie mogła się już doczekać jutra, aby zobaczyć słońce.

— Teraz musimy iść bardzo ostrożnie — szepnął Félix. — Emil rozmawia z wartownikami i częstuje ich winem, ale oni zawsze są trochę zbyt pobudliwi. Wczoraj w Epernay zginęło trzech Niemców. Jednemu z pasażerów samochodu uciął głowę drut, który jacyś chłopcy przeciągnęli przez drogę.

Usłyszeli grające radio. Było nastawione na rozgłośnie niemiecką. Drżący baryton śpiewał Die Wacht Am Rhein. Słyszeli także śmiechy oraz głos Emila.

Przeszli cicho na palcach po marmurowej posadzce w holu. Wysadzany gwiazdami zegar z brązu nad drzwiami wskazywał trzynaście po dziesiątej. Félix pokazał na niego i wykonał energiczne, zamaszyste ruchy pięściami, dając do zrozumienia, że powinni się pośpieszyć, bo nie mają chwili do stracenia.

Minęli otwarte drzwi biura. Esther mogła dostrzec czarne, skórzane buty jednego z wartowników wehrmachtu, który siedział tyłem na krześle Daniela Meneau i pił szampana.

Poczuła chłód, a jednocześnie spociała się. Kiedy szła szybko do głównych drzwi, jej płaszcz z wigonii wydawał się szumieć jeszcze głośniejsze niż gałęzie lip.

Naraz znaleźli się na zewnątrz. Zbiegli po schodach i minęli spadzisty, wybrukowany kamieniami dziedziniec. Félix otworzył żelazną bramę akurat na taką szerokość, aby mogli przez nią przebiec.

Na Avenue de Champagne zobaczyli zbliżające się do nich przysłonięte światła samochodu.

Guillaume syknął:

— To już Laurence! Mon Dieu*, ledwo zdążyliśmy!

Félix uściskał Esther.

— Proszę na siebie uważać, mam'selle. Cokolwiek się zdarzy, będziemy pamiętać, jak bardzo

nam pani pomogła i jak wiele z siebie dała.

Uściskał rękę Guillaume'owi właśnie wtedy, gdy na krawężnik wjechał duży, pomalowany na

szaro samochód. Na przednich błotnikach powiewały dwie czerwono–czarne flagi ze swastykami. Félix popędził Esther.

— Teraz, szybko! Bon voyage!

Esther zasłoniła ręką oczy przed oślepiającym blaskiem świateł. Kiedy jednak podeszła do

samochodu, na tylnym siedzeniu uniosła się postać w czapce z daszkiem. Człowiek ten otworzył

drzwi samochodu i wyszedł jej na spotkanie.

— Esther? — powiedział szorstkim, zdziwionym głosem.

Esther zatrzymała się tam, gdzie stała, ze zwieszonymi rękami.

— Esther — powtórzył tym razem znacznie łagodniejszym tonem.

W świetle ukazał się Harold von Höxter w galowym mundurze oficera wehrmachtu. Wyglądał

poważniej, jego twarz była jeszcze czerwiejsza, ale Esther nie mogła go nie poznać. Podeszedł do

niej i przyglądał się z odległości mniejszej niż kilka cali. Potem ręką w szarej rękawiczce uniósł

jej podbródek.

— Esther? To tak się witasz ze starym kumplem?

Guillaume, gdy tylko zrozumiał, co się stało, zrobił kilka kroków w tył. Zaczął wycofywać się

wzdłuż starego, kamiennego muru otaczającego Maison Louis David, ale Harold, nie obracając

się nawet, warknął:

— Halt!* — Z samochodu wysiadło dwóch poruczników wehrmachtu, którzy przyparli Guillaume'a do muru, przystawiając do niego pistolety.

Harold odezwał się do Esther:

— Szukałem cię strasznie długo. Bardzo źle wyglądasz. Co ci się stało? Jesteś brudna!

Esther podniosła oczy.

— Ukrywałam się. Słyszałam, co zrobiłaś mojej gospodyni. Nie chciałam, żeby to samo

spotkało mnie.

Harold sapnął głośno, a potem roześmiał się.

— Myślałaś, że co mógłbym ci zrobić? Mój Boże, Esther! Sądziłaś, że pozwoliłbym, aby choć

jeden włos spadł ci z głowy?

Guillaume wykrzyknął:

— Zostaw ją, ty hitlerowska świni!

Harold zrobił niezadowoloną minę i odwrócił się na moment.

— Czy to twój przyjaciel? Kolejny Francuz? Niezbyt chwalebne czasy nastały dla Francji,

prawda? Czy nie mówiłem ci, że nadchodzą nasze dni? Jak myślisz, co powinienem zrobić? On

odzywa się bardzo obelżywie! Może powinienem go rozstrzelać!
— Nie! — zawołała Esther błagalnym tonem.
— Lubisz go, tak? Wygląda na to, że lubisz niemal każdego mężczyznę, który źle
cię traktuje.
Widzisz, popełniłem błąd, zachowując się jak dżentelmen! W tym cały kłopot! Nie
rozumiałem,
że nawet dobrze wychowane młode damy mogą być ostatnimi szmatami! — Przywołał
gestem
swoich dwóch poruczników. — Zabierzcie go do środka, tego drugiego Francuza też.
Félix,
zaskoczyłeś mnie! Myślałem, że jesteś realistą! Ech! A ty, Esther, pójdziesz
teraz ze mną. Mamy
mnóstwo zaległości do nadrobienia!
Esther czuła się zupełnie pokonana. Mogłaby usiąść tutaj na tych kocich łbach i
nie ruszać się
z miejsca. Jej świat, któremu od dawno już zagrażał koniec, zawalił się teraz
całkowicie. O co tu
chodziło? Nigdy nie uwierzyłaby, że Bóg kazał jej cierpieć przez te wszystkie
tygodnie w
piwnicy tylko po to, aby oddać ją w ręce Harolda von Höxtera. Ale On to zrobił,
więc teraz nie
pozostawało jej nic innego, jak się poddać.
Harold ściągnął jedną rękawiczkę i położył rękę na ramieniu Esther.
— Chodź, Esther. Ty i ja zawsze byliśmy sobie przeznaczeni, ja?
Esther właśnie zamierzała zawrócić w stronę Maison Louis David, kiedy usłyszała
silnik
nadjeżdżającego ulicą drugiego samochodu. Odwróciła się i zobaczyła packarda
Guillaume'a,
który zatrzymał się za mercedesem Harolda. Był pomalowany na szary, matowy
kolor, a na
przednich błotnikach także powiewały flagi ze swastykami, które wydawały się
jednak dziwnie
sztywne, jakby wycięto je z papieru.
Boże, pomyślała, Laurence miał odwagę tu przyjechać! Na pewno widzi, co się
tutaj dzieje!
Jeśli ma odrobinę rozsądku, to odjedzie i zostawi nas tu!
Jednak z fałszywego samochodu wojskowego wysiedli i kierowca, i pasażer, którzy
zbliżali
się teraz do nich po kocich łbach.
— Heil Hitler! — zawołał pasażer.
Kiedy stanął w świetle, Esther zobaczyła, że jest nim Laurence. Miał na sobie
strój, który
wyglądał na autentyczny mundur oficera wehrmachtu. Podszedł prosto do jednego z
poruczników, którzy pilnowali Guillaume'a, przystawił blisko rewolwer i strzelił
mu prosto w
twarz.
Huk był ogłuszający, krew trysnęła na wszystkie strony. Kierowca podszedł do
drugiego
porucznika i też w niego strzelił, trafiając dubeltówką w jakieś miejsce na jego
ciele. Porucznik

zawył dziko i w drgawkach runął na chodnik.
Przez ułamek sekundy Harold był oszołomiony całą tą strzelaniną. Potem jednak odpiął swoją kaburę, wyciągnął lugera i oddał trzy strzały. Guillaume upadł twarzą na bruk.
Esther, wstrząśnięta, dostrzegła na jego karku za lewym uchem dwie dziury po pocisku. Kierowca fałszywego wojskowego samochodu także runął, upuszczając dubeltówkę na ziemię.
Esther chwyciła Harolda za rękę, w której trzymał pistolet, złapała go za mankiet i wykręciła broń.
Harold ryknął:
— Scheiß*, Esther!
Przez ten moment Laurence zdążył przejść nad ciałem Guillaume'a, zbliżyć się powoli do Harolda i wycelować prosto w jego głowę.
— Laurence, nie możesz! — krzyknęła Esther.
Ale nie był to już ten spokojny, ekscentryczny Laurence, którego знаła z Bois d'Argensolle.
Wypalił prosto w prawe oko Harolda. Harold runął w tył, jakby przejechał go pędzący parowóz.
Krew zmieszana z mózgiem trysnęła w górę jak fontanna.
Laurence złapał Esther za rękę tak mocno, że ją to zabolalo.
— Szybko! Musimy uciekać!
— Ale co Guillaume'em? Co z twoim kierowcą?
— Nie żyją — rzekł Laurence. — A teraz szybko, zanim i nas zabiją!
Esther ukłękła drżąc przy ciele Guillaume'a. Nie było najmniejszych wątpliwości. Jego oko patrzyło nieruchomo na bruk, jak oko martwej ryby.
— O, Boże — szepnęła Esther i podeszła do ciała kierowcy Laurence'a.
Od razu wiedziała, kto to jest. Zdjęła czapkę, pod którą kryła się blada, martwa twarz Charlotte. Wzięła Charlotte w ramiona.
— Och, Charlotte — szlochała. — Och, Charlotte.
Laurence wsiadł już do packarda i zapalił silnik. Esther klęczała na chodniku, trzymając Charlotte w ramionach i patrzyła na niego z twarzą zalaną łzami.
— Laurence, och, Laurence!
— Potem będziesz płakać — powiedział Laurence i przechylił się, aby otworzyć dla niej drzwi z drugiej strony.
Tydzień później Esther i Laurence przekroczyli granicę szwajcarską niedaleko Morteau. Jako obywatelka Stanów Zjednoczonych, Esther udała się do Konsulatu Amerykańskiego w Bernie i po dziesięciu dniach poleciała samolotem transportowym Czerwonego Krzyża najpierw do Marsylii, potem do Gibraltaru, a następnie popłynęła do Londynu. Laurence został internowany w Szwajcarii i resztę wojny spędził, opiekując się chorymi dziećmi jako

sanitariusz.

W 1941 roku Esther wróciła do Stanów Zjednoczonych. Pojechała na grób ojca, potem poleciała do Kalifornii na grób matki. Jej powrót pozostał nie zauważony przez prasę, która miała teraz co innego na głowie niż przyjazdy i odjazdy osób z dawnego kawiarnianego towarzystwa.

Do 1946 roku pracowała dla Jackson Leap Winery w Napa Valley, pomagając im wytwarzać białe wino musujące, produkowane ściśle według méthode champenoise. Następnie późnym

latem 1946 roku zarezerwowała bilet na podróż do Europy jako cicha, surowa, niezamężna

kobieta, która wydawała się zbyt chuda, aby być piękna.

Odwiedziła Paryż. Delahaye'owie wyjechali. Rezydencja przy rue Jean Giraudoux stała pusta,

dzieła sztuki zostały złupione przez hitlerowców, a ściany budynku wypalone w czasie

bombardowań i walk ulicznych. Udało jej się wypożyczyć wojskowego forda od usłużnego

kapitana Amerykańskiej Armii. Był to zniszczony samochód w kolorze khaki, z popękana

przednią szybą. Pojechała nim do Szampanii, żeby zobaczyć Epernay, Bois d'Argensolle, lecz

przede wszystkim — wrócić do Château David.

Zatrzymała się na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na winnice Champillon.

Słońce już

powoli zachodziło i wznoszące się na kształt amfiteatrów winnice jarzyły się teraz złotem. To

jednak nie winnice przykuły jej uwagę, ale samotna postać stojąca trochę w dole od Royal

Champagne Hotel, z ręką opartą na parkanie, na którym dzieci zawiesiły kiedyś jej ususzoną

koronę.

Usiadła na chwilę w samochodzie. Czowała, że bieg historii wywrócił wszystko do góry nogami

jak klepsydrę, w której piasek sypał się teraz w odwrotnym kierunku. Mogła odjechać. Mogła

zawrócić i odwieźć samochód usłużnemu amerykańskiemu kapitanowi z Paryża.

Zamiast tego

jednak wysiadła z samochodu, zesła z boczem winnic, aż znalazła się w odległości kilkudziesięciu stóp od tej postaci i tam się zatrzymała.

Odwrócił głowę, aby na nią spojrzeć. Był przygarbiony, przeraźliwie chudy, włosy miał siwe i

bardzo krótko ostrzyżone. Ale ona wiedziała z całą pewnością, że to jest on.

Podeszła więc do

brzegu parkanu, aby stanąć z nim twarzą w twarz. Wyciągnęli do siebie dłonie i zanim ich palce

spotkały się, oboje już płakali.

— Nie umarłeś — szepnęła z niedowierzaniem.

Podniósł swój wysuszony podbródek z całą dumą, na jaką go było stać.
— Nie — odpowiedział. — Wycierpiałem wszystko inne, ale nie umarłem. — Jego oczy były blade jak kamienie. — Słyszałem o tobie — powiedział. — Oczywiście znalazłem też cały szampan, który ukryłaś przed Niemcami, a także mój samochód. Trudno było mi w to uwierzyć.
— Przerwał, a potem dodał: — Znalazłem też łóżko, na którym leżałaś z Guillaume'em. Wasze książki i puste butelki. Wypiliście razem dużo szampana przez te trzy tygodnie.
— Co się stało? — zapytała go.
Odwrócił głowę, jakby nie mógł już znieść jej widoku.
— Nie mam wiele do opowiadania. Victor wykorzystał swoją pozycję w Achille Tyres, aby pomóc żydowskim uchodźcom w ucieczce z Berlina. Hitlerowcy urządzili łapankę na zebraniu osób, które pomagały Żydom. Victor został pobity i zginął. Biedna Marguerite próbowała narobić hałasu wokół jego zniknięcia i również została zabita, tak przynajmniej sędzę. — Zapalił papierosa, nie poczęstowawszy Esther. Wydmuchiwał dym przez swój chudy nos. — Kiedy zacząłem poszukiwania, aresztowali mnie jako agitatora. Wysłali mnie do Ohrdruf, jednego z pierwszych obozów koncentracyjnych. Być może czytałaś o nich. Nie da się tego opisać, nie w tak piękny wieczór jak ten.
Stała obok niego, lecz nie wydawało się, aby chciał jeszcze rozmawiać. W końcu powiedziała:
— W takim razie lepiej już pójdę.
Skinął głową, nie spojrzawszy jednak na nią.
— Sacha — zapytała. — Dobrze się czujesz, prawda?
— O, tak. — Uśmiechnął się, jakby się uśmiechał do wspomnienia o niej.
Poczekala, aż słońce zaczęło chować się za pozłacane zakręty rzeki Marny, a powietrze ochłodziło się. Potem zawróciła na wzgórze, nie powiedziawszy nawet do widzenia. Błądziła po winnicach to tu, to tam, wędrowała od jednej winorośli do drugiej.
Kiedy dotarła na szczyt wzniesienia, słońce już prawie zaszło. Odwróciła się, aby rzucić ostatnie, długie spojrzenie na dojrzewające winogrona Szampanii. Sacha nadal stał przy ogrodzeniu i patrzył na nią.
Potem bardzo powoli, nie mając zbyt wielkiej nadziei, że na niego zaczeka, zaczął iść pod górę w jej stronę. Pod jego stopami unosił się pył kredowej ziemi.
Esther zawahała się. Podniosła lekko głowę, wciąż bowiem czuła się dumna z tego, co sama osiągnęła, i nadal była la Reine du Champagne. Potem jednak zawróciła i zeszła ze wzniesienia,

aby wyjść mu na spotkanie.

Stali pośród winnic, obejmując się mocno bez słowa i czując bicie serca drugiej osoby.

Teraz, gdy wszystko zostało już powiedziane i zrobione, żadne z nich nie miało nikogo, do

kogo mogłoby się zwrócić.

* cochon (fr.) — świnia

* N'est-ce pas? (fr.) — nieprawdaż?

* con brio — z werwą, z życiem, żwawo (termin muzyczny)

* allargando — rozszerzając, zwalniając (jw.)

* tutta la forza — całą siłą (jw.)

* Comme vous voulez, madame (fr.) — Jak sobie pani życzy.

* Oui, monsieur (fr.) — Tak, proszą pana.

* gnädige Fräulein (niem.) — szanowna panno

* natürlich (niem.) — oczywiście

* Bitte sehr (niem.) — Proszę bardzo.

* auf wiedertanzen (niem.) — do następnego tańca

* derri?re (fr.) — tyłek

* Ça ne fait rien (fr.) — Nic nie szkodzi

* Jawohl (niem.) — W porządku.

* Allez! Allez! (fr.) — Dalej! Dalej!

* fortissimo — bardzo silnie, bardzo mocno (termin muzyczny)

* Santé (fr.) — Na zdrowie.

* encore une fois (fr.) — jeszcze raz

* Gegen die Dummheit die Götter kämpfen selbst vergebens! (niem.) — Na głupotę, nie ma mocnych!

* Allons! Enfants de la Patrie! (fr.) — Naprzód! Dzieci Ojczyzny.

* une femme sans vertue (fr.) — kobieta niecnotliwa

* f?te champ?tre (fr.) — wiejska zabawa

* Enchante, mesdames (fr.) — Bardzo mi miło, moje panie.

* Excusez-moi (fr.) — Wybaczy pan.

* Pardon? (fr.) — Słucham?

* Ma fille... si heureuse d'avoir une m?re si jolie et sympat — hetique comme moi-m?me (fr.) — Moja córka...

jest bardzo szczęśliwa, ze ma taką piękną i miłą matkę jak ja.

* je t'en prie, ma cherie (fr.) — przepraszam cię, kochanie

* chic (fr.) — szyk, elegancja

* soupçon (fr.) — kropelka, odrobina

* jolie (fr.) — ładna

* Il fait.. (fr.) — żart językowy Esther

* Herrlich (niem.) — Wspaniały

* Versteh? (niem.) — Zrozumiano?

* Platze, O Platz in Paris. (niem.) — Place, o place w Paryżu, nie kończące się witryny, gdzie modystki

madame Lamort, niespokojne drogi świata, nie kończące się wstęgi wijące i okręcające.

* verdammten Verkäufere (niem.) — przekłęci sprzedawcy

* Ja (niem.) — tak

* Gott im Himmel! (...) Meine Ohren! (niem.) — Wielkie nieba! Moje uszy!

* Ich bin Deutschland! Ich bin die Zukunft! (niem.) — Ja to Niemcy! Ja to

przyszłość!

* meine Prinzessin! (niem.) — moja księżniczko!

* merci (fr.) — dziękuję

* nos amis (fr.) — nasi przyjaciele

* bienvenus (fr.) — witajcie.

* (...) Laurence m'a dit que vous n'arriveriez pas avant une heure! (fr.) — (...)

Laurence powiedział mi, że nie

przyjedziecie przed pierwszą!

* Comment dit-on en Anglais „une pette féerique”? (fr.) — Jak się mówi po angielsku „une pette féerique”?

* Quel couleur, mademoiselle? Rose, Marie-Rose. Avec des bandes jaunes. (fr.) — Jakiego koloru, panienko?

Różowy, Marie-Rose, żółtymi ramiączkami.

* Ah, oui. La nouvelle femme. (fr.) — O, tak. Nowoczesna kobieta.

* bon viveur (fr.) — człowiek korzystający z życia

* en plein air (fr.) — pod gołym niebem

* mes enfants (fr.) — moje dzieci.

* cuvée (fr.) — dosł.: zawartość kadzi.

* Ah, oui. (...) Qu'est-ce que c'est qu'un „pedant”? (fr.) — O, tak. (...) Co to jest „pedant”?

* Un moment s'il vous plait! (fr.) — Chwileczkę, proszę pana!

* degorgement (fr.) — oczyszczanie

* mousse (fr.) — bąbelki

* Je suis desole! (fr.) — Przepraszam!

* Au revoir! (fr.) — Żegnaj!

* Vous ?tes execrable (fr.) — Jest pan wstrętny.

* Salut! (fr.) — Witam!

* au contraire (fr.) — wręcz przeciwnie.

* croix de guerre (fr.) — Krzyż Walecznych.

* les femmes de quarante ans (fr.) — czterdziestoletnie kobiety

* petillant (fr.) — musujący

* Cest Sacha. Tu dors? (fr.) — To ja, Sacha. Śpisz?

* Je m'excuse? (fr.) — Przepraszam.

* c'est la vie (fr.) — takie jest życie

* les poissons d'Avril (fr.) — żarty primaaprilisowe

* eau de Nil (fr.) — woda Nilu

* Ce n'est rien, mademoiselle (fr.) — To nic, panienko.

* Pardon, mademoiselle? (fr.) — Słucham, panienko?

* Pourquoi jettes-tu ces jolies roses dans la poubelle? (fr.) — Dlaczego wyrzucasz do kosza te piękne róże?

* Allo? Attendez, s'il vous plait (fr.) — Halo? Proszę czekać.

* Merci, monsieur (fr.) — Dziękuję panu.

* Angielskie słowa „on”, „tutaj”, „do” i „serce” zaczynają się na „h”, którego nie wymawia się w języku

francuskim. Tłumaczy to niezrozumiałą wypowiedź urzędnika i żart Esther.

* Bonsoir, madame (fr.) — Dobry wieczór pani.

* Esther powiedziała: „nuthouse”. Angielskie słowo „nut” znaczy „orzech”, ale również: „wariat” (przyp. tłum.).

* Dors bien (fr.) — Śpij dobrze.

* un peu (fr.) — trochę

- * Bonsoir, mon Frère (fr.) — Dobranoc braciszku.
- * l'affaire Louis David (fr.) — sprawa Louisa Davida
- * guano (fr.) — nawóz ptasi
- * merde d'oiseau (fr.) — ptasie gówno
- * Goim, goj — tak Żydzi pogardliwie nazywają innowiercę, chrześcijanina (przyp. tłum.).
- * bon voyage (fr.) — szczęśliwej podróży
- * Je faime (fr.) — Kocham cię.
- * ravissante (fr.) — prześliczna, zachwycająca
- * vocabulaire du vin (fr.) — słowniczek win
- * It looks like rain (ang.) — Znosi się na deszcz.
- * mon ami (fr.) — mój najdroższy
- * mon amour (fr.) — mój ukochany
- * je ne sais quoi (fr.) — nie wiem czego.
- * „Plank” znaczy po angielsku „deska” (przyp. tłum.).
- * magnifique (fr.) — wspaniały
- * le 3 aout (fr.) — trzeci sierpnia
- * ma cherie (fr.) — moja droga
- * comme çi, comme ça (fr.) — jako tako
- * formidable (fr.) — wspaniały
- * eau de vie — francuska nazwa wódki, dosłownie: „woda życia”
- * Bonjour mam'selle! Vous avez bien dormis? (fr.) — Dzień dobry, panienko!
Dobrze pani spała?
- * Oui, mam'selle. Jus de pamplemousse (fr.) — Tak, panienko. Sok grejpfrutowy.
- * Eau de vie, avec deux oeufs de cailles (fr.) — Woda życia. z dwoma przepiórczymi jajkami.
- * Tr's bien, mam'selle, comme vous voulez (fr.) — Dobrze, panienko, jak sobie pani życzy.
- * gâteau (fr.) — ciasto
- * Ich habe nichts neues gehört (niem.) — Nic nowego nie słyszałem.
- * Voil?, mam'selle! (fr.) — Proszę, panienko!
- * gnädige Fraülein (niem.) — łaskawa panienko
- * menage a trois (fr.) — trójkąt małżeński
- * Entrez! (fr.) — Proszę wejść!
- * desolée (fr.) — przykro
- * Merci, mes enfants (...) Vous êtes tr's gentils (fr.) — Dziękuję, moje dzieci.
Jesteście bardzo miłe.
- * Vous êtes la Reine du Champagne (fr.) — Pani jest Królową Szampanii.
- * Regardez-moi! La Reine du Champagne! (fr.) — Spójrzcie na mnie, Królową Szampanii!
- * Les Allemands sont arrives (fr.) — Niemcy przyszli.
- * schweinhund (niem.) — świnia
- * Ce n'est pas le Ritz (fr.) — To nie jest Ritz.
- * Oui, mam'selle, je vous ecoute. (fr.) — Tak, panienko, słucham
- * Ce n'est pas... (fr.) — To nie jest...
- * Qu'est-qui se passe? (fr.) — Co się dzieje?
- * Et il fait tr's beau aujourd'hui (fr.) — I jest dzisiaj bardzo ładna pogoda.
- * Je vous remercie (fr.) — Dziękuję panu.
- * Non! (...) Cest pas possible (fr.) — Nie! To niemożliwe.
- * Mon Dieu! (fr.) — Mój Boże!

* Halt! (niem.) — Stój!

* Scheiß! (niem.) — Cholera!